



WIERCHY

WIERCHY

ROCZNIK POŚWIĘCONY GÓROM I GÓRALSZCZYŹNIE

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
ZAŁOŻONY PRZEZ ODDZIAŁ LWOWSKI TOWARZYSTWA
WYDAWANY PRZEZ ZARZĄD GŁÓWNY P. T. T. POD RE-
DAKCJĄ PROF. DR WALEREGO GOETLA (RED. NACZ.)
I JANA A. SZCZEPAŃSKIEGO

ROK SZESNASTY

(OGÓLNEGO ZBIORU ROCZNIKÓW P. T. T. TOM 54)

MRZL MB-91



KRAKÓW 1938

NAKŁADEM POL. TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO W KRAKOWIE
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA W KRAKOWIE

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

WIERCHY



Z Hali Gąsienicowej

SPIS RZECZY

	Str.
Góry nasze, wiecznie nasze (11 ryc.) <i>Władysław Krygowski</i>	VII
Karol Szymanowski a Podhale (11 ryc.) <i>Adolf Chybiński</i>	1
W kolibie na Jaworzynie (5 ryc.) <i>Tadeusz Malicki</i>	36
Dwory i dworki pod Tatrami (12 ryc.) <i>Jan Reychman</i>	52
Dwór Moniaków w Zubrzycy Górnej — przyszłe orawskie muzeum regionalne (5 ryc.) <i>Bogdan Treter</i>	62
O szacie leśnej Tatr (13 ryc.) <i>Marian Sokolowski i Maciej Zajączkowski</i>	71
Cisna i zachodnie krańce Bieszczadów (6 ryc.) <i>Antoni Wrzosek</i>	84
Dziesięć lat w Alpach Francuskich (13 ryc.) <i>Jerzy Golcz</i>	94
Przejście z południa na północ przez Zachodni Spitsbergen (10 ryc.) <i>Stanisław Siedlecki</i> .	118
Kronika:	
Polskie Towarzystwo Tatrzańskie i odzyskane ziemie górskie (5 ryc.). (— . —) .	137
Polskie Towarzystwo Tatrzańskie: Refleksje, fakty, zadania (5 ryc.) <i>Władysław Krygowski</i>	146
Wspomnienie o Andrzeju Strugu (3 ryc.) <i>Wanda Gentil Tippenhauer</i>	156
Poznań i Tatry (1 ryc.) <i>Jerzy Młodziejowski</i>	161
Nazwa najwyższej góry w Gorcach (1 ryc.) <i>Sebastian Flizek</i>	165
Nowe przyczynki do dziejów poezji tatrzańskiej. <i>Juliusz Zborowski</i>	168
Rudolf Alt i jego obrazy z Podkarpacia i Podhala. <i>Juliusz Zborowski</i>	169
Odkrycie nowego rękopisu Stęczyńskiego. <i>Witold Mileski</i>	173
Przyczynek do życiorysu Sabaly i polowań na niedźwiedzie w Tatrach. <i>Juliusz Zborowski</i>	176
Badania naukowe	178
Ochrona przyrody (6 ryc.)	185
Sprawy turystyczne	193
Alpinizm i taternictwo (2 ryc.)	199
Podhale i Podkarpacie	211
Przyczynki krajoznawcze (1 ryc.)	215
Piśmiennictwo	217
Różne (1 ryc.)	339
Kronika żałobna	241
Od Redakcji	244
Osobne dodatki:	
Z Hali Gąsienicowej <i>A. M. Wieczorek</i>	przed tytułem
Z Tatr Zachodnich: Błyszcz i Bystra. <i>A. Lenkiewicz</i>	48— 49
Grań Peteret i Mont Blanc od wschodu. <i>W. Ostrowski</i>	96— 97
Spitsbergen. Szkic drogi przebytej przez polską wyprawę w 1936 r.	128—129
Na okładce:	
Widok z Roztoki na najwyższe wzniesienie Polski, Północny Szczyt Gier- lachu. <i>W. Ostrowski</i>	

WIERCHY (LES CIMES)

ANNUAIRE DE LA SOCIÉTÉ POLONAISE DE TATRA

TABLE DE MATIÈRES

Nos montagnes. — Le musicien Karol Szymanowski et la région de Podhale. — Châteaux et seigneuries aux pieds de la Tatra. — La maison familiale des Moniak à Zubrzyca Górna (le futur musée régional de la terre d'Orawa). — Les terrains sylvestres de la Tatra. — Cisna et les extrémités occidentales des Monts Bieszczady (Carpathes Orientales). — Dix années dans les Alpes Françaises. — Passage du sud au nord par le Spitsbergen occidental.

Chronique. La société Polonaise de Tatra et les régions de Carpathes recouvertes en 1938. — La Société Polonaise de Tatra: réflexions, faits, devoir. — Souvenir sur le romancier André Strug. — La ville de Poznań et les Monts Tatra. — Le nom du plus haut sommet des Monts Gorce (Beskides Occidentales). — Nouvelles contributions à l'histoire de la poésie de la Tatra. — Rodolphe Alt et ses tableaux de la région des Carpathes. — La découverte d'un nouveau manuscrit de *Świętyński*. — Contribution à la biographie de Sabała et à ses chasses à l'ours dans la Tatra. — Recherches scientifiques. — Protection de la nature. — Tourisme. — Alpisme à l'étranger et dans la Tatra. — La région de Podhale et la zone subcarpathique. — Notices géographiques et ethnographiques — Littérature. — Divers. — Nécrologie. — Avis.

Hors texte: Vue prise de l'alpe Gašienicowa (Haute Tatra Polonaise). — Blyszcz et Bystra dans la Tatra Occidentale. — L'arête de Péteret et Mont Blanc, pris du côté oriental. — Spitsbergen Occidental.

Couverture: Le plus haut sommet de la Pologne, le Pic Nord du Gerlach (2638 m) dans la Haute Tatra, pris du côté de Roztoka.

GÓRY NASZE, WIECZNIE NASZE...

*Ludzie jednej mowy, jednej wiary, jed-
nych obyczajów, wąskim pasmem ziemi lub stru-
mykiem oddzieleni zostali jeden od drugiego,
zmuszeni żyć różnym życiem, przystosować się
do innych mów, innych wier, innych zwyczajów.
Te paski ziemi były w naszym życiu wiecznie
krwawiącą raną, nie dającą się zablźnić. Teraz
granice te z tragedji zmieniły się w naszą
radość. Klęska przeobraziła się w triumf.*

(Piłsudski — 28 sierpnia 1922 r.)

Przez dwadzieścia lat oddziaływały nas od sąsiadów na południowozachodnich kresach złe i bolesne granice. Palily nas i bolały jednakowo mocno czy patrzyliśmy z gościńca cieszyńskiego na łańcuch gór nad Jabłonkowie lub na lunę nad dymiącym Trzyńcem, — czy spoglądaliśmy na ogromne zjawy górskie rozpostarte nad Białą Wodą, nad Jaworowymi Sadami.

Pamiętaliśmy świąty tatrzańskie z dawnych dni, gdy przemykaliśmy się chyłkiem przed tyrolskim jęgrem «na tamtą stronę» ku Żelaznym Wrotom, ku Litworowej, ku Rówienkom, w uroczysko Czarnej Jaworowej czy w zielone przepaście Szerokiej Jaworzyńskiej.

Ani nas wtenczas nie obchodził węgierski napis ani zatrzymywał lew republikański; ziemia i góry miały swoją dla nas mowę, jedną jedyną, tak samo tu jak i tam po drugiej stronie granicy zawsze zrozumiałą. Tak samo tu na wysoczyźnie mowa kamieni, chmur i wichru, jak i tam za smutną graniczną Olzą była nasza ze serca wydartą, tak samo tamta śląska była jak mowa gór niewzruszona i niezmienna.

Przed dwudziestu jednak laty nie to przemawiało do świata. Nie to, że ta ziemia nawskróś polska, góry odwiecznie nasze, lasy na śmierć i życie tutejsze, że lud za Olzą nie żaden inny tylko ten sam co pod Puńcowem, Dziegielowem i Skoczowem, — że tak samo szumią lasy na Oстрыm, Jaworowym jak na Stożku i Czantorii, — w on czas obcy dyplomaci z obcymi uczuciami w sercu, z wyrachowaniem w głowie do stołów zielonych w obcych miastach siedli i jak mapę z papieru rozdarli ziemię serdeczną, góry zachwycone, lud najwierniejszy na dwoje przeorali i granice nienawistne uczynili. — Odtąd krzywda i wstyd miały nas nękać po nocach i odtąd mieliśmy patrzeć na tamtą stronę z zaciśniętymi ustami.

Wojska Rzeczypospolitej krwawiły się wówczas na innych granicach a na tych, palących i wstyd wyciskających plon zbierała zdrada.

Zdawać by się mogło, że to nic ten szmat ziemi piastowskich książąt, strzępek świata niewielki, tyle a tyle kilometrów kwadratowych, że to nie

Karol Szymanowski a Podhale

Pamięci Karola Szymanowskiego

I.

Spory zastęp polskich kompozytorów złożył w swych dziełach dowody twórczego zainteresowania dla Podhala i Tatr. Jeśli już pominiemy niektóre sceniczne utwory dawniejszych kompozytorów operowych (sprzed r. 1850), mające tylko «tytułarny», imaginacyjny związek z Podhalem, jeśli następnie wspomnimy tylko o góralskich tańcach z «Halki» Moniuszki, niewątpliwie góralskich, lecz również wymaginowanych i nie wskazujących w stronę Tatr i Podhala jako muzycznego regionu, to wymienimy dopiero Władysława Żeleńskiego (1837—1921) i Zygmunta Noskowskiego (1846—1909) jako tych, którzy pierwsi zetknęli się jako kompozytorowie bezpośrednio nie tyle z Podhalem, ile raczej z Tatrami. Dzięki wrażeniom doznany w najpiękniejszych stronach Polski i dzięki swym talentom pozostawili utwory należące do najtrwalszych wśród ich dzieł. Wydany dopiero w r. 1883 utwór symfoniczny «W Tatrach» Żeleńskiego i wydane w r. 1885 «Morskie Oko» Noskowskiego, obydwa utwory do dzisiejszego dnia grywane — to najstarsze «charakterystyczne obrazy muzyczne» (jak je nazywa Żeleński) lub po prostu «uwertury koncertowe» (jak je nazywa Noskowski), pozostawione przez tych romantyków o wyraźnych skłonnościach klasycystycznych, wychowanych jeszcze na ideałach Mendelssohna i Schumanna. Nie Podhale, lecz TATRY interesowały ich w pierwszym rzędzie. Tatra jako piękne obrazy przyrody, dające silne wrażenia i twórcze impulsy dla pewnych (nie wszystkich jednak i nie zawsze w równym stopniu) typów twórczych, a zarazem dające możliwość muzycznej stylizacji różnych akustycznych zjawisk («głosy przyrody»), uplastyczniających wyraz nastroju. W drugim dopiero rzędzie interesowała tych kompozytorów muzyka ludowa PODHALA, i to o tyle tylko, o ile w niej można było znaleźć dla siebie i swych celów «charakterystyczne» i «piękne» melodie, mogące mieć zastosowanie w ten czy ów sposób w muzyce artystycznej według ówczesnych poglądów estetycznych czy artystycznych, melodie wyabstrahowane od życia ludu i niekoniecznie nawet podane zgodnie z ludową ich interpretacją. Melodie te zużytkował może



po raz pierwszy Noskowski w swej orkiestrowej «*Fantazji góralskiej*», opracowanej z nakładem środków przerastających swym ciężarem świeży prymitywizm melodij góralskich. Ale właśnie leżało w sferze ówczesnych poglądów omijanie wszystkiego, co prymitywne, a więc «nieudolne», nieprzydatne dla «kunsztu», choćby posiadało najbardziej swoiste, odrębne, rdzenne, typowe, charakterystyczne cechy, nie dające się odłączyć od muzyki «góralskiej», a co mogło mieć znaczenie dopiero wówczas, gdy rozplynęło się w «kunszcie». Jaskrawym tego przykładem może być też opera «*Janek*» Żeleńskiego. Nie do pomyślenia była jeszcze droga odwrotna: «zniżenie się» do prymitywu bez rezygnacji z najwyższych wartości artystycznych. Tego miała dokonać dopiero literatura, poezja.

Zainteresowanie jednak dla melodij Podhala wzrastało. Pierwszym artystycznym objawem ściślejszego życia się z ludową muzyką tatrzańską góralszczyzny, a zarazem dalszym już etapem w muzycznym zbliżeniu się do podhalańskiego regionu było «*Album Tatrzańskie*» (opus 12, dwa zeszyty w układzie fortepianowym 4-ręcznym) Ignacego Jana P a d e r e w s k i e g o (ur. 1860). Nie są to już «obrazy muzyczne» z Tatr, lecz swobodne parafrazy najpiękniejszych lub najpopularniejszych melodij podhalańskich, jakby małe «fantazje», opracowane tak wdzięcznie i z takim niekiedy przekonującym urokiem poetyckim, że zdobyły sobie szybko popularność, której właściwie do dnia dzisiejszego nie straciły (kilka z nich zorkiestrował H. Opiński). Materiał melodyczny tych utworów pochodził z repertuaru Bartłomieja Obrochty i jego kapeli góralskiej z Kościelisk. Tu już słyszymy pewne interpretacyjne maniery ludowych muzykantów, im tylko właściwe. Zwracają na siebie uwagę pewne drobne szczegóły, charakterystyczne, jakby podpatrzone czy podsłuchane w temperamencie i usposobieniu góralskim, szczegóły może nawet «programowej» natury, na pozór drobne, ale w swej sumie przyczyniające się do większej plastyki wyrazu. W nastrojowej harmonice niektórych parafraz nie trudno dopatrzeć się choćby intuicyjnie szczegółów nie dających się może pomyśleć w opracowaniach melodij niziny. Regionalizm jest tu już wyraźnie podkreślony, a duch ludu góralskiego ujęty może nawet wszechstronniej niż w niejednym wybitnym dziele późniejszym. Oczywiście musimy zawsze pamiętać, że dzieło Paderewskiego jest i musi być wyrazem swej epoki. Obowiązuje nas tu ta sama lojalność estetyczna, jaka obowiązywać będzie za lat pięćdziesiąt wobec dzieł będących wyrazem dzisiejszego ustosunkowania się do problemu folkloru muzycznego, jako czynnika mającego wpływ na twórczość artystyczną.

Wydanie «Albumu Tatrzańskiego» (edycja ta jest niestety wyczerpana i nie posiada drugiego wydania) przyczyniło się zupełnie niewątpliwie do rozpowszechnienia melodij z Podhala. Zainteresowanie dla nich wzrastało także dzięki wydaniu 74 melodij góralskich w «*Pamiętniku Towarzystwa*



Karol Szymanowski

Fot. A. M. Wieczorek

Tatrzańskiego» (1888, t. XII) przez warszawskiego muzyka Jana Kleczyńskiego (zm. 1895), autora kilku studiów o muzyce góralskiej («Echo muzyczne»). Nie wszystko w jego wydaniu było zgodne z oryginałami, często istotnie trudnymi do zanotowania ze słuchu, o ile ktoś nie miał z tą muzyką do czynienia przez czas dłuższy, znając ją dzięki temu «na pamięć». Ale popularyzowały się właściwie tylko nieliczne melodie góralskie, najłatwiejsze i stosunkowo najprostsze, a nie te, których prymitywizm i archaizm czyniły je najbardziej wartościowymi i najbardziej interesującymi. Do tych popularnych melodij przyczepiały się niekiedy twory będące zaprzeczeniem wszelkiej «podhalańszczyzny» i jej rodzimej stylistyki («Góralu czy ci nie żal» i t. p.). Niekiedy nawet zjawiały się falsyfikaty..., owe złe duchy muzyki ludowej Podhala.

Rozpoczął się okres dość ogólnej eksploatacji melodij góralskich dla nich samych, dla ich popularności i własnego wśród szerokich warstw powołania kompozytorów zwłaszcza chóralnych «ludówek» (jak nazywane są w żargonie muzykanckim utwory tego rodzaju). Okres ten trwał dosyć długo, może nawet zbyt długo; jeszcze się nawet nie skończył, mimo że reakcja staje się coraz silniejsza. Okres ten dostarczył wielu dowodów niewątpliwych sympatji muzycznych (nie bez wyzyskania koniunktury) dla Podhala i jego muzyki, ale w bardzo tylko nielicznych wypadkach możnaby się dosłuchać w kompozycjach tego rodzaju tych wyników, jakie istotnie twórcemu artyście daje bezpośrednio, bliskie, ściśle życie się z ludem i jego sztuką, tak zrosła z życiem samym. Razi nas niekiedy coś w rodzaju ceperskiego stylu muzycznego, usiłującego bez powodzenia (gdyż bez znajomości rzeczy) przemawiać gwarą góralską i nie zawsze odpornego na elementy obce duchowi góralskiej muzyki. W tych warunkach trudno było — mimo niekiedy doskonałej techniki chóralnej — stworzyć coś, co nazwane «muzycznym stylem podhalańskim» stanowiłoby przynajmniej odległą analogię do regionalnego artyzmu St. Witkiewicza i K. Tetmajera, istotnie żytych z ludem i jego sztuką, a nie zbliżających się ku niemu tylko okolicznościowo, «w lecie», na niedługich «wywczasach». Samo zaś «czytanie o góralach» i pozieranie ku nim na tle Tatr nie mogło zastąpić bezpośredniości przeżyć. Szerokim masom dano oczywiście «zdrowy pokarm» w postaci tak czy inaczej opracowanych chóralnie melodij, niekiedy opracowanych wybornie, z wielkim efektem, porywająco i wzruszająco jako prawdziwy «kawior dla ludu». Poza tym rodzajem kompozycji muzycznej nie powstawały dzieła muzyczne w większym stylu, zwłaszcza dzieła instrumentalne (wspomnę jednak o kwartecie smyczkowym Henryka *Opieńskiego* wyzyskującym folklor podhalański). Wytworzył się jakiś zastój, z którego muzyczną naszą twórczość miała wyprowadzić właściwie dopiero literatura piękna z dziełami Kazimierza Tetmajera na czele, a po części i plastyka (głównie malarstwo).

Zmiana sytuacji nastąpiła dopiero po wojnie światowej dzięki temu, że w kompleks artystycznych zagadnień muzyki podhalańskiej wkroczyła twórczość największego z nowoczesnych kompozytorów polskich — Karola Szymanowskiego (1883—1937), który przebywał przez dłuższe okresy na Podhalu, zanim osiedlił się na stałe w *Zakopanem*, gdzie po r. 1920 wytworzyły się na szereg lat specjalne warunki kulturalne i artystyczne, dążące do odnowienia problemu «stylu podhalańskiego» w sztukach plastycznych, literaturze i muzyce. Nie stało się to — jeśli się nie ludzę — bez silnego oddziaływania «Legendy Tatr» i «Skalnego Podhala», dających impulsy nie tylko zresztą samej sztuce.

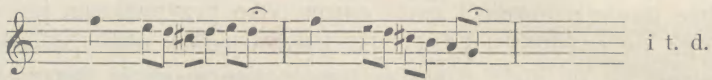
Z muzyką ludową Zakopanego i jego pobliza zetknął się Szymanowski zupełnie powierzchownie i może nawet tylko przypadkowo już przed wojną światową (w r. 1905? i 1914). Jak bardzo jednak niebezpośrednie było jego odniesienie się do niej, dowodzą jego piękne *wariacje fortepianowe* op. 10, skompon. ok. 1910 r., napisane na temat rzekomo góralski, ale zaczerpnięty z publikacji J. Kleczyńskiego (nr. 19), podającej ten temat w postaci zmienionej nie do poznania. Ktoś ponadto nazwał tę melodię najzupełniej bezpodstawnie... «Sabałową». Gdy po latach Szymanowski usłyszał jej góralski «oryginał», z trudem rozpoznał jego związek z melodią podaną przez Kleczyńskiego, rytmicznie i rysunkowo, a także metrycznie zupełnie zepsutą. Nic to jednakże nie ujmuje wartości dzieła Szymanowskiego, ponieważ o niej rozstrzyga oczywiście sztuka wariacyjna, a nie pochodzenie tematu tych wariacyj.

Po kilkunastu dopiero latach miał Szymanowski zbliżyć się do autentycznej muzyki Podhala, w wiernej interpretacji jego ludu. A tym razem to zetknięcie się miało wydać możliwie jak najbardziej produktywne wyniki. Przypadło ono na ten okres w jego artystycznym rozwoju, w którym problem stosunku folkloru muzycznego do muzycznej twórczości a zarazem problemat muzyki narodowej, tj. tej, w której duch narodu znajduje swój czysty wyraz, zajmował go z szczególnie wielką intensywnością. Był to okres reakcji przeciw pewnemu kierunkowi jego własnej twórczości — jak się jeszcze przekonamy, okres silnych walk wewnętrznych, gdyż rozpoczęty w toku kończenia utworów w wielkim stylu, do którego Szymanowski tracił już przekonanie. Rozstrzygnięcia zbliżyć się mogły tylko z wolna, albowiem nie były to wyłącznie muzyczne zagadnienia, wymagające tylko przeistoczeń pewnych wartości muzycznych i niczego innego ponadto.

II.

Było to w r. 1921, w rok po powrocie z Ukrainy, gdzie wraz z rodziną Tymoszwką stracił Szymanowski sporo rękopisów swych dawniejszych

dzień. Odwiedził *Lwów*. Odnowiły się dawne znajomości i przyjaźnie. Było dużo muzykowania u znajomych, dopytywania się o nowe kompozycje, dużo wymiany myśli. Wypłynęła, bo wypłynąć musiała już wówczas coraz bardziej aktualna sprawa folkloru muzycznego w stosunku do muzycznej twórczości. A że zajmowałem się wówczas już studiami nad kulturą muzyczną Podhala, więc nie obeszło się też bez zwrócenia uwagi na prymitywizm i odrębność cech muzyki naszego Podtatrzca. Jedna z «Sabałowych nut» (a potem i druga i dalsze), podana z towarzyszeniem prymitywnej harmonii, zresztą tylko na dwóch tonach opartej («dudowa kwinta»), zwróciła swą tonalną odrębnością szczególną uwagę Szymanowskiego. Oto ona:



Kazał ją sobie powtarzać. Przechodziliśmy i do innych melodj góralskich, ale wracaliśmy do niej. Powtarzałem jej motywy, tak archaiczne, tak silne w swej «barbarzyńskiej» prostocie, tak do niczego prawie nie podobne. Powtarzałem mu je chętnie w kilku wariantach, w gruncie rzeczy prawie nie różniących się pomiędzy sobą, gdyż mających ten sam «ośrodek», kondensujący w sobie «styl podhalański». Powtarzałem je z tą myślą, że «może coś z tego wyniknie», skoro Szymanowski tak uporczywie przy nich się zatrzymuje. (W «Harnasiach» i pierwszym mazurku znajdują się na samym wstępie).

Tak padł pierwszy posiew, który jak ziarno czekał na odpowiednią chwilę i odpowiednią glebę: na własne przeżycia kompozytora tam, skąd te motywy pochodziły, a więc na bliskie, bardzo nawet bliskie zetknięcie się z Podhalem i jego ludem. Był to warunek nie dający się w niczym zmienić, warunek, którego nie mogą zastąpić nawet najsilniejsze wrażenia z dzieł literackich, choćby one były «Legendą Tatr» lub «Skalnym Podhalem», jak to, niezbyt artystycznie myśląc, przypuszczał jeden z naszych kompozytorów. Momentem decydującym mogło być tylko życie się z ludem, momentem decydującym i produktywnym.

Tak więc rozpoczęło się od coraz liczniejszych przyjazdów do Zakopanego, a skończyło się obraniem *Zakopanego* na miejsce stałego pobytu. Nie odrazu to mogło nastąpić, ale od 1922 roku Szymanowski należał do tych, którzy «bez Zakopanego żyć nie mogą». Mieszkał chwilowo w «Stamarze», przez krótki czas w «Czerwonym Dworze» (Kasprusie), a od r. 1923 zajeżdżał stale do «*Limby*» przy ul. Ogrodowej, gdzie powstały *wszystkie* jego



Dom, w którym powstały »podhalańskie« utwory Szymanowskiego
Willa «Limba» w Zakopanem

Fot. I. Bujak

działa należące do «okresu podhalańskiego» w jego twórczości. Właścicielem «Limby» był przewodnik J ó z e f R o j B u k o w i a n, który — odpowiednio podniecony — opowiadał niestworzone historie o dawnych czasach i często ofiarowywał chętnym nabywcom melodie «z czasów Jana Kazimierza» lub «z czasów Sobieskiego». Z grzeczności tej korzystano nieraz kilkakrotnie. Tak to zaczęły się zakopiańskie czasy Szymanowskiego. Oczywiście nie o samo Zakopane chodziło, lecz o lud góralski, jakkolwiek w Zakopanem znajdował ludzi, którzy stwarzali mu atmosferę przyjazni pełnej zrozumienia dla jego artystycznych zamierzeń. A była to sytuacja wyjątkowo korzystna właśnie dla Szymanowskiego zwłaszcza od r. 1923.

III.

Gdy Szymanowski stawał się coraz częstszym gościem w Zakopanem, aby w roku 1930 osiąść w nim na stałe, zapanowały w środowisku podtatrzańskim «nowe czasy», które miały doprowadzić do nawrotu kwestii «stylu góralskiego». Góralszczyzna miała wywołać nowy przyływ zainteresowań w sztuce i nauce. Przede wszystkim nareszcie już można było ogarnąć szybko to, co możnaby nazwać kulturą Podhala. Rozrastało się wspaniale Muzeum Tatrzańskie pod pieczołowitą i świadomą celów opieką *Juliusza Zborowskiego*, zaprzysiężonego regionalisty, który pierwszy w Polsce utrwalał (od r. 1914) na walkach fonograficznych gwarę i muzykę ludową, w tym wypadku gwarę i muzykę Podhala, marzył o wielkim filmie góralskim, zanim



Juliusz Zborowski

jeszcze ktokolwiek inny powziął te same zamiary. Zborowski zżył się z ludem pod Tatrami bardzo szybko, a jego entuzjazm i sumienność były czynnikami, które wydzwignęły Muzeum Tatrzańskie wówczas na czoło muzeów regionalnych w Polsce. Umysłowość, usposobienie i temperament jego pozwoliły mu być w stałym porozumieniu nie tylko ze światem nauki ale i sztuki. Wkrótce połączyły go z Szymanowskim węzły zażyłej przyjaźni. Nie raz też przyszły twórca «Harnasiów» zaglądał do Muzeum Tatr., aby znajdować tutaj to, co wskazywało na tak bardzo interesującą go i odpowiednio nastrajającą dzięki lekturze arcydzieł Tetmajera przeszłość Podhala. Miał Szymanowski zaciekawienie dla każdego przedmiotu kultury góralskiej. Z każdego obrazka na szkłe malowanego, z każdego zdobionego łyżnika czy czerpaka, pasa bacowskiego czy spinki lub sprzączki góral-

skiej pragnął wyczytać coś z bajecznej przeszłości Podhala, coś łączącego ją z terażniejszością. Ileż razy «stróż skarbów góralszczyzny» przyśpiewywał Szymanowskiemu niezliczone śpiewki góralskie z setkami tekstów, których nabierał się moc wielką. Ileż razy naopowiadał mu się rzeczy, których daremnie byłoby szukać w drukowanej literaturze góralskiej?! Nie omijał też Szymanowski nigdy i w późniejszych latach dyrektorskiej kancelarii w Muzeum, gdy wdrapywał się na III piętro tego budynku, idąc na partię bridża do p. Józefa Fedorowicza, kierownika Stacji meteorologicznej. Zawsze bowiem usłyszał lub ujrzał coś mającego bliski związek z góralszczyzną.

Z Muzeum sąsiadowała o krok Szkoła przemysłu drzewnego. Rządził w niej od r. 1923 wybitny artysta, wielki inspirator nowego stylu zakopiańskiego w plastyce i budownictwie, a wogóle reżyser wszelakich artystycznych poczynań w ówczesnym Zakopanem, pełen fantazji i umiejętności, a przy tym myślący nowożytnymi kategoriami zachodnio-europejskimi, człowiek bogaty w inicjatywę: *Karol Stryjeński*. Był ponadto człowiekiem szerokich horyzontów myślowych i posiadał liczne zainteresowania, pomiędzy którymi nie ostatnie miejsce zajmowała muzyka Podhala, jako część wielkiej całości — kultury ludu. Dążąc konsekwentnie do odrodzenia wypaczonego przez nieodpowiednie jednostki «stylu góralskiego», widział konieczność zbliżenia się do wszystkiego, co kulturę ludu stworzyło. Rozumiemy dobrze, dlaczego n. p. uczniom swej szkoły nakazywał brać udział w wieczornicach góralskich

i dlatego np. w obrębie szkoły odbywały się tańce góralskie przy wtórze góralskiej muzyki. Tylko ogarnięcie ducha góralskiego mogło odrodzić «styl» podhalański i uwolnić go od «krupówczańskich» fałszerstw.

Dookoła właściwych ośrodków ideowych jednoczyły się wszystkie niemal jednostki pragnące zależnie od kierunków swej pracy artystycznej czy naukowej zbliżyć się do ogólnego zagadnienia, jakim jest kultura i sztuka Podhala. Mogło to nastąpić tylko przez życie się z ludem, i to życie się na stałe, bez dorywczowości. Entuzjazm dla tego ludu, jego życia i sztuki, złączył z sobą osobną grupę ludzi, którą Szymanowski nazwał żartobliwie «pogotowiem ratunkowym kultury góralskiej». Można by wymienić głośne nazwiska ówczesnych tubylców zakopiańskich (*Rafał Malczewski, Jan Gwałbert Pawlikowski jun.*) i tych, którzy gorąco przywiązali się do Podhala i jego ludu (*Jarosławowie Iwaszkiewiczowie*), i tych wreszcie, którzy zwolna uznawali Zakopane jakby za główne czy właściwe miejsce swego zamieszkania, choć mogli tam zaglądać tylko na krótszy lub dłuższy czas (*St. Mierczyński*). Ale nie brakowało i takich, którzy z ludem weszli w związki pokrewieństwa (pp. *J. M. Rytardowie*). Do tych stałych gości i do owego «pogotowia ratunkowego» zaliczał się i Karol Szymanowski, zanim został faktycznym mieszkańcem Zakopanego. «Zwolna — pisze Rafał *Malczewski* — zamieniał się ten obszar pagórów opasanych skalistym murem w ojczystą ziemię, w najbliższą mu połać ojczyzny, źródło natchnienia».



Ś. p. Karol Stryjeński
(Ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego)

Jest rzeczą zrozumiałą, że muzyka i taniec góralskiego ludu dzięki swemu prymitywizmowi i bezpośredniości wyrazu «człowieka pierwotnego» pociągały Szymanowskiego całą swą siłą sugestywną. Czerpał ze wszystkich stron. Korzystał z transkrypcyj sporządzonych przez autora niniejszej pracy z walków fonograficznych J. Zborowskiego (1920), korzystał z przyjaźni z pp. Rytardami, spokrewnionymi z rodami góralskimi (p. Rytardowa z domu *Rojówna*), aby dzięki im wejść w świat góralski. Zaprzyjaźnił się serdecznie z honornymi rodami *Rojów, Sobczaków, Wawrytków, także Krzeptowskich*. A w tym świecie królem muzyki był *Bartłomiej Obrochta* z Polan w Kościeliskach, który — jak się wyraził potem Szymanowski trafnie i prawdziwie — «stał niezłomnie na straży starodawnej podhalańskiej muzyki», a którego repertuar muzyczny uznawał za «ewangelię góralskiej muzyki». Przyjaźń z Bar-

tusiem Obrochtą stawała się coraz zażyłszą i przeniosła się w sposób naprawdę wzruszający na rodzinę Obrochty i jego towarzyszków-muzykantów. Przetrwiała ona poza śmierć nieśmiertelnego artysty góralskiego, na którego muzyka cepeńska nie wywarła najmniejszego nawet wpływu. Nie pomijał więc Szymanowski żadnej sposobności, aby możliwie jak najbardziej wejść w życie ludu, nie to odświętne, lecz to zwykłe życie z dnia na dzień. Spotykał Bartusia i na prywatnych wieczornicach góralskich (np. u pp. Mierczyńskich), i «na wsi». Wraz z «pogotowiem ratunkowym kultury góralskiej» zjawiał się niemal zawsze i wszędzie tam, gdzie mógł podpatrzyć to, co wprowadzało go w inny świat, i — czego mógł się dla swych celów nauczyć. Będąc nieskazitelnie czystym w stosunku do zagadnienia artyzmu w ogóle i będąc przy tym wrogim wszelkim kompromisom artystycznym, wiedział zbyt dobrze, że wszelka twórczość, której przedmiotem jest lud, nie może zawierać trwałych wartości, jeśli twórca nie «pójdzie w lud». To też gdy dowiedział się, że jeden z kompozytorów chciałby napisać «góralską operę» mimo że z Podhalem wcale się nie zapoznał i nic wspólnego z jego ludem nie ma, a tylko pragnie korzystać z melodyj góralskich zebranych przez drugich, wyzyskując zapewne «modę na Zakopane», wyraził się, w liście z 14. III. 1923 pisany do autora tej pracy, następująco:

«...Zresztą tę muzykę (góralską) trzeba «słyszec», pijąc razem z góralami, żeby zrozumieć o co tu chodzi. Iks «pije» wprawdzie, ale szczęściem w Warszawie z ceprami, więc nic nie rozumie».

Niech kilka wspomnień wspólnie z Szymanowskim spędzonych wieczorów i nocy na hulankach góralskich odsłoni epizody z życia wielkiego artysty na Podhalu!

IV.

Bezksiężycowa noc letnia... Szereg wózków toczy się z turkotem ku Kościeliskom po dawno nienaprawianym gościńcu. Jedzie młoda góralszczyzna w towarzystwie literatury, plastyki, muzyki, nauki — bez ceprów i snobów. Śpiewają bez przerwy, każdy wózek co innego. Zanoszą się od śpiewu. Wyskakują tylko luźne, dudniące tony basetli, skrzypiec prawie nie słychać. Ciągłe fortissimo, śpiew coraz namiętniejszy, coraz dzikszy, coraz «fałszywszy». Potworne barbarzyństwo! Wspaniałe barbarzyństwo! Ludzi nie widać, słychać tylko ich dusze. Huczy śpiewną pożogą czarny las przy drodze. Kłębi się czerń nocy i jaskrawe mijanie się krzyków i melodyj. Zjazd w dół — i naraz ucisza się wszystko, jakby góry połknęły ludzi, konie, wózki. Skręcili w Dolinę Kościeliską, na starą drogę zbójnicką. Tam, głęboko w niej, jest schowana gospoda, tam się wytańcza. Już widać światelka. Jeszcze parę kroków.

Mąż się zrobił w tajemniczej dolinie. Napad czy co? Wystraszony brodaty gospodarz zniknął jak ów żydowski karczmarz w starogóralskiej powiatce. Wszyscy uczestnicy najazdu nocnego byli bardzo nastroszeni i tym różnili się od zawsze trzeźwego gospodarza. Światła pogasły.

Kilka soczystych przekleństw, dźwięk szyby i ogólny redyk ku Zakopanemu, bo gdzież tańczyć? Znowu zmieszanie nocnego chłodu z gorącym nastroszeniem, ciszy nocy górskiej z szumem i hukami potoku, ścigającego się z turkotem wózków, zawadzających o kamienne łby, ze śpiewami, hukaniem, rżeniem koni i piskiem dziewcząt. Każdy wózek jęczy od ścisku. «Przeżywa się drugą młodość». Znowu dudni las galopadą wózków i rozśpiewaną wrzawą. Świeżo skoszone siano mąci zmysły swą mocną wonią, przenikającą ostre, chłodne powietrze, które spływa z Czerwonych Wierchów. Nie widać ich, ale czuje się ich poblizko. Czuwają. Wlecz się leśną drogą jakaś ledwie widoczna mara. Słychać tylko żarliwie wypowiedane słowa jakiejś zapóźnionej babiny: «Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna»... «Nie bójcie się matko! — wio siwy!»

Minął las. Jeszcze kilometr pod górę i wreszcie zatrzymał się pierwszy wózek. Jest tu znajoma, gościnna chałupa — z mocnymi podłogami. Serdecznie przyjmuje nas miły gazda, stary — ale młody. Kieszenie uwalniają się od szkła — i od razu zabawa, taka sama jak inne, na Krzeptówkach czy Skibówkach, taka sama, a zawsze nowa, niby w tym samym nastroszeniu, a zawsze w innym. Wkrótce już rządziła białą izbą taneczna zawierucha. Jeden tancerz lepszy od drugiego, każda tancerka wyśmiałaby baletnicę. Tańczy cała izba, tańczy podłoga, ściany i okna, wszystko zamienia się w ruch, rytm, tupot. Ludzie wychodzą z siebie. Już dobrze «przinapici», a nie wyglądają na «przinapitych», trzymają się w pięknej formie, tak pięknej, że co tu mówić o najbardziej zdyscyplinowanym balecie! Wielkie święto uciechy i tańca, «reszta» bowiem tylko «na codzień». Tańczą już kilka godzin i nie widać wyjścia z formy. Licytują się z kapelą Kościeliszczan, uczniów Obrochty



Bartuś Obrochta

Fot. T. Studnicki



w prostej czy bocznej linii. Każda nuta ta sama, a każda od nowa inna. I gazda nie próżnuje, staje nieco chwilejnie przed kapelą i śpiewa:

«Nie uważaj na siwizne,
Zagroj ino jak ci gwizne».

Szaro się robi na dworze. Chwila ciszy, przerwanej pianiem koguta i cyniczną piosenką zaśpiewaną od pola pod oknem:

«Kieby béło nie świtało
.
Ale kohut zacon piskać,
Zaceno sie dziywce ciskać».

Podjęli grajkowie tę frywolną melodię wśród chichotu dziewcząt i wytańczono się do reszty. Szybko zbliżał się ranek.

«Béły jesce dwie flaski i kasi sie popodziwały» — zauważył chmurnie gazda. Podejrzanie padło na «kogosi». Wkrótce trybunał przeniósł się poza chałupę. Ciupagi oderwały się od «zbójnickiego» i zamieniły się w narzędzie sprawiedliwości. Rytm było słycać dalej, ale już nie taneczny. Zginął i on wśród smreków chwiejących się pod podmuchem orawskiego wiatru.

Niebawem słońce zapowiedziało się złotymi włóczniami, rzuconymi ponad Murań. Stożek Osobitej powlekał się uroczą patyną.

Niekaždy z nas zapamiętał koniec zabawy.

.....

Gdzieś na Krzeptówkach... Późną nocą wtoczył się księżyc oświetlając pokryte śniegiem szczyty. Złotawy pył przedarł się przez szarozieloną ciemność wiosennej nocy. Wiatr, od gór idący, szuścił w młodej trawce i świeżym kwieciu, chwiejąc smrekami i bezlistnymi jesionami, sterczącymi na straży przed starą odosobnioną chałupą. Tańczono w niej od wieczora. Orgia wesołości, tanecznego zapamiętania, kolorów, dźwięków, rytmów, dudnienia podłogi i basów, ostrego jęku skrzypiec, z których wyfruwały wartkie wstążki melodyj tanecznych. Trwało to już długo, bez końca.

Na uboczu, nad parowem z szumiącym potokiem, toczyła się w cieniu rozłożystego jaworu rozmowa jej i jego. Zaręczyła się z woli rodziców z bogatym gazdą, nawet młodym, ale pono «nicpotem». Jej podobał się inny, prawdziwy harnaś, król tańca, ale płony gazda. Hej, kieby to ino były «starodowne casi»! Bogoc ostałby sie na swoim bogactwie, a ona poszłaby jako «frajjerka» ze zbójnikami. Patrzy jej to z pięknych, ognistych oczów, z całej jej postaci, jakby zdjętej ze starego zbójnickiego obrazka na szkle malowanego. Dzisiaj już «nieporada».

Zagrzmiała chórem od gościńca stara piosenka zbójnicka, jedna z «symfonicznych melodyj» przyszłych «Harnasiów»:

«Podźcie chłopcy, podźcie zbijać,
Bo ni mamy za co pijać,
Ej bo sie juz zacyna
Bucyna ozwijać, bucyna ozwijać».

Ktoś z pod chałupy odpalił:

«Jo se pije dwa dni,
Jo se pije trzy dni,
Bo jo sie o dudki
Nie trubuje nigdy».

Tańczono dalej. Dziewczyna zatańcowywała ból serca, król tańca zdawał się wbijać z pasją swe pięty w podłogę. Tańczono coraz zawzięciej. Mętnym okiem pozierał przyszły mąż.

Znowu skończyło się na załatwianiu dawnych i nowych nieporozumień. Ciupagi rozstrzygały. «Prawo myśliwskie krótkie»: ktoś ustąpił («niema sprawiedliwości na świecie, chéba Bóg!»), a ktoś wrócił do tańca («jest sprawiedliwość na świecie»).

I znowu słońce z ponad Murania spłoszyło sen nocy wiosennej. Czas było na orkę, choć bruzdy na polach świeciły jeszcze resztkami śniegu.

.

U stóp Gubałówki... Noc przeraźliwie ciemna. Dokoła chałupy same wyboje i dziury, niedaleko parów z poszarpanym dnem, po którym potok sepleni swą odwieczną gwarą. Odbywa się wesele. Pierwszym drużbą jest słynny kompozytor, sprawujący swój weselny urząd honornie, z powagą, serdecznością i nieporównanym wdziękiem. Samo dobrane towarzystwo: chłopci i artyści. Było też trochę snobów i ceprów, ale rychło wczas się ulotnili («koło tej chałupy jest strasznie»). Nasycili zresztą swą ciekawość: jak też to wygląda wesele, gdy młody człowiek z miasta żeni się z góralką? A ten młody człowiek był znanym literatem, jego zaś przyjaciele zajmowali pierwsze miejsca w literaturze, plastyce i muzyce.

Tak się złożyło, że tańczyli sami królowie tańca góralskiego, piękni jak młodzi apollinowie, szumni i bezwzględni. Dziewczęta szalały w kolorach i arabeskach tanecznych, falujących po izbie. Pod migocącym od pędu powietrza płomykiem lampy umieścił się w kącie sam Bartuś Obrochta ze swą kapelą, miotając najprawdziwszą orgią melodyj i harmonij, zawsze tych samych a ciągle zmiennych, jak powierzchnia potoku, którego szum dochodził przez otwarte okna do izby. Wszystko to razem było jakąś pogmatwaną a równo-

czesnie wspaniale skomponowaną całością. Nie wiadomo było, czy patrzeć czy słuchać. Jedno dopełniało drugie. Czekaliśmy aż podłogi zawała się pod uderzeniem tanecznej burzy, aż się rozstąpią ściany. Jak oni tańczyli! W jak pięknych formach! Nie na pokaz — z ochoty i namiętności, ujętej w nieskazitelnie piękne linie i ruchy. Na twarzy rysował się wyraz ludzi wyzbytych z trosk, które deptali w zapamiętłym tańcu. Wiedzieli, że za kilka godzin znowu zwała się te same koszmary. Wszyscy rozumieli się doskonale, bo już dawno wyprali precz do pola codzienną pruderię. Za parę godzin i tak znowu maski nałożą. Niknęły szybko konwencjonalne ścianki szklane, przez które spoglądali na siebie grzecznie górale i «panowie». Bo i ci pokazali, czego się nauczyli, ci... z «pogotowia ratunkowego kultury góralskiej». Z chochlikowatą gracją i lekkością krzeszał «krzesanego» dyrektor Muzeum Tatrzańskiego, z janosikową sprężystością tańczył «zbójnickiego» autor «Bajdy o Niemrawcu». Nie brakło i solisty. Na werandzie przytupywał sobie z zamkniętymi oczami zamroczony geolog (świeć Panie nad jego duszą!), trzymając w podniesionej ręce — niby ciupagę — młotek geologiczny, którym dopiero co pukał w ściany Czerwonych Wierchów. Teraz, na pół we śnie tańczył «drobnego» w tempie majestatycznej sarabandy. Pokrzykiwał sobie «wesolo chłopcy!», bo zdawało mu się, że to on taniec prowadzi, on wyczynia huragan tańca.

Niebawem znowu zadzwęczały ciupagi — jedno w izbie białej przy «zbójnickim», inne przy wymiarze sprawiedliwości gdzieś na podwórku chałupy, nad kłótliwym potokiem. Ale nikt na to nie zwracał uwagi w roztańczonej izbie, gdzie pierwszy drużba i wielki kompozytor «przeżywał swą drugą młodość» i — uczył się czytać w duszach harnasiów, tańczących przy wórze muzycznego piewcy ich dawnej sławy i wolności. Był w rozkosznych humorze, utrzymanym w pięknych, dystygowanych a prostych i serdecznych formach. Miał dookoła siebie samych tylko przyjaciół. Niekiedy tylko myśl jego zatrzymywała się gdzieś w przestrzeni, zapewne widząc już to, co miało się począć w niedalekiej przyszłości. Można to było wyczytać z jego spokojnych oczów, w których uśmiechała się radość muzycznego odkrywcy odwiecznych i na nowo odkrywanych skarbów ducha góralskiego.

Nowe burze tańca i pieśni zrywały się w chałupie i koło niej, niosąc się ku wyżynnym łąkom i polom Gubałówki, aby zniknąć w jej lasach.

Słońce wystrzeliło już wysoko ponad Granaty i Kosistą, gdy «redykaliśmy» się ku «miastu», bogaci we wrażenia, jakich się nigdy nie zapomina. Odnawia je każde przypomnienie nuty góralskiej. Odnawia je nawet jeden dźwięk owczego dzwonka, wyczarowujący wizje dalekiej i niedalekiej przeszłości, która już nie wróci.

.

Niech opis tych hulank góralskich dopełni obraz tej atmosfery, w której przygotowywały się «Harnasie», obraz prawdziwie malarski, bo rzucony mistrzowską ręką *Rafała Malczewskiego*:

«Świat ten zarzucał na Szymanowskiego sieci podczas niespodziewanych zetknięć, gdy odarty z naskórka cywilizacji, dziki i potężny, rozplómiął się burzą instynktów. Jakieś jazdy w dalekie osiedla, do domostw przylepionych do urwistych zboczy omotanych gąszczem jesionów, świętych drzew, opiekunów ludzkich zabudowań, na jakieś wesela i chrzciny, gdy rychło po odprawionych obrządkach, owianych aromatem pogaństwa, zaczynała łać się wódka i całe obejście tarzało się, zataczało, przy dźwiękach zawodzenia «złóbcaków» i dudnienia basów, w jazgocie dziewczęcych pisków, w przyśpiewkach tancerzy wrykiwanych zduszonym gardłem, w uniesieniu, w najwyższej pasji, w furiach żądy, w nadmiarze sił.

Ginęły światy kultury, subtelnych finezyj, zrywał się człowiek pierwotny, kolebała się ziemia w atramentowej nocy pod czarną blachą gór, pod niskim pułapem chaty paliły się spocone ciała, błyskały skrwawione oczy, ręce szukały czyichś ramion lub noża, pijany jak bela Bartuś Obrochta zawodził na skrzypkach starodawne melodie, w oparach dymu przygasaly naftowe lampki. Dudniały zatrzaskiwane dzwierze, ktoś rwał w rośną noc, aby otrzeźwieć lub zwalić się w haszcze.

W izbie furkotały spódnice, przytupywały nogi w białych portkach, szedł «drobny». Zwyrtało dziewczyny — razporaz z nieposkromionym chybodem bioder darł się przed muzyką tancerz naciskając kłobuk na spocony łeb — upał i smród dławił gardła — kieliszki szły z garści do garści. Gdzieś w pobliżu rzępolącej piątki siedział Karol uśmiechnięty, zasłuchany, zapatrzony. Opoдал pętał się czarny jak cygan Wawrytko, świecił białymi zębami, puszył się tygrysią siłą, nieujarzmioną młodością. I tak płynęła noc. Gwiazdy błądy na wysokim niebie, poszarzałe trawska leżały ugniecione rosą, śniegi na Czerwonych Wierchach różowiały, a chata dudniała i wybuchała płomieniem wrzasku».

Tak to pracowało zakopiańskie i kościeliskie Podhale, aby w duszy artysty narastały bogate skarby, z których mieli powstać kiedyś «Harnasie». Ale to była część skarbów, część czysto ludzka, niewątpliwie najważniejsza, lecz jakby zamknięta w chałupie góralskiej. A Tatry wzywały do swego wnętrza, na swe hale i polany, u stóp skalnych wyniosłości, w których zakamarkach czai się płat śniegu i to niewiadome, co zawsze ucieka przed człowiekiem. Ach, gdyby można się wspiąć tam, zażyć tej swobody, o której tak kusząco pięknie śpiewa Tetmajer w Poezjach, w «Skalnym Podhalu», w «Legendzie Tatr», w tych «prześlicznych poematach», jak je nazywał Szymanowski. Tak jest, Tetmajer śpiewał w duszy Szymanowskiego, a jego opisy piękna

i życia w Tatrach grały pełnym brzmieniem wielkiej orkiestry przyrody, skójarzonej z duszą człowieka. Były lata, w których Szymanowski spontanicznie i jakże często wymieniał nazwisko wielkiego poety, tego — według słów Szymanowskiego — «wizjonera», przedewszystkiem wizjonera przeszłości Podhala, za którym on sam tęsknił — muzycznie. Niestety — nie było mu dane doznawać bezpośrednio czaru piękna, rozsianego we wnętrzu Tatr. Ułomność fizyczna, nabyta za młodu, gdy o mało nie utracił nogi, a potem rozwijająca się choroba płuc i gardła, udaremniły nawet najusilniejsze starania przyjaciół, aby wielkiego artystę nieomal na rękach wynieść choćby na Halę Gąsienicową. Próbowano też metody z czasów Eliaszkowskich: chciano by wyjechał na Halę konno na specjalnie skonstruowanym damskim siodle. Niestety... Jakież żal musiał się budzić w Szymanowskim, gdy zajechawszy na wygodnych saniach w Dolinę Kościeliską, by oglądać fiolet i szafir «pól» krokusowych, spoglądał w górskie dale — albo gdy z zaprzyjaźnionymi góralami wjeżdżał w kawałek Doliny Chochołowskiej — albo gdy wreszcie podczas przejażdżki gościńcem Olczańskim otwierała mu się panorama Tatr. Wnętrze Tatr zamknęło się przed nim na zawsze. Pozostał mu lud podtatrzeński, jego życie i jego duch, tętniący wiecznie niezmordowanym pulsem w jego muzyce. O tej muzyce pisał kilkakrotnie, a to co napisał, nie może pozostać na uboczu, gdy mowa o jego muzycznym stosunku do Podhala. Poznajmy zatem wyjątki z tych entuzjastycznych manifestacyj.

V.

Oto co czytamy w jego małym artykule «*O muzyce góralskiej*» ukończonym 12 stycznia 1924 r. i umieszczonym w warszawskim czasopiśmie «*Pani*» w r. 1924 (Nr. 8—9):

«Chciałbym przedewszystkiem kategorycznie zaprotestować przeciw legendzie o ich (t. j. górali) «niemuzykalności», stworzonej — przypuszczam — przez pierwszych przybyszów z «nizin», przerażonych do głębi *wykrzykiwaniami* (dosłownie!) z wirchu do wirchu, z hali do hali pieśni juhasów. Oczywiście, nie ma ta metoda śpiewu nic wspólnego z pieściwym «bel canto» weneckich gondolierów. Jednak czy można mówić o «niemuzykalności» ludu, który poza niezmiernym bogactwem pieśni, czarujących nieraz niezwykle, kapryśną linią melodji, zdobył się *jedyny* w Polsce (a może i gdzieindziej!) na stworzenie zespołowo-instrumentalnej muzyki, opartej o oryginalny system harmoniczny i rytmiczny.

Pomijam tu rozmyślnie kwestję wpływów słowackich, węgierskich, czy jakichkolwiek innych, na kształtowanie się zasadniczych właściwości tej muzyki, wiedzą z gorzkiego doświadczenia, iż tak zwana «wpływołogja» nic



Ten zespół grywał Szymanowskiemu

Fot. J. Młodziejowski

zazwyczaj w sztuce nie tłumaczy, zasłaniając sobą, natomiast, szczerze to, co w danym dziele jest jedynie *istotne*. Sądzę więc, że ujmować ją trzeba taką, jaką jest, w przeciwieństwie do tak w charakterze swym odmiennej muzyki «nizin». Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na takie, a nie inne ukształtowanie się wpłynęły dwa potężne miejscowe czynniki, warunkujące sobą zresztą całokształt zjawisk swoistej tutejszej kultury; a więc przede wszystkim niezmierna nędza, bezlitosna surowość i bezwzględność dawnego tutaj życia; z drugiej zaś strony również niezmierna, upajająca piękność otaczającego świata. Te dwa kontrastujące z sobą czynniki ukuły duszę dawnego górala, a z nią wszystko, co on w życiu czynił. Możliwość utrzymania tutaj życia zaczynała się na wąziutkiej grani najwyższego indywidualnego wysiłku. Wyjście na spadziste wirchy, na śnieżne wyżyny było odwiecznym, a wzniosłym symbolem twardego, codziennego życia w «dziedzinach», i sądzę, iż było odebrane, jako symbol, bowiem góral jest bodaj jedynym chłopem w świecie nad wyraz wszelki czułym na głębie i piękno przyrody, oczywiście na swój sposób, a nie sentymentalno-emfatyczny wzór przybyłego z nizin gościa. Codzienna konieczność największego wysiłku, z natury rzeczy, nakazuje osiągnięcie maximum rezultatu. W dziedzinie twórczości artystycznej tłumaczy się to dążnością i wolą zdobycia bezwzględnej doskonałości «formy». Ta psychologiczna właściwość górali jest dla nas — artystów, nad wyraz bliską i zrozumiałą i — sądzę — tem właśnie się tłumaczy, — a nie jedynie pięknnością przyrody — przyciągająca nas do stóp Tatr, niezwykciona siła. Górale,

w pewnym znaczeniu, osiągnęli tę doskonałość formy w budownictwie swem i zdobnictwie, ja i moi przyjaciele twierdzimy uparcie, iż osiągnęli ją również w muzyce swej i tańcu. Jest w tem wszystkim pierwotna dzikość, schematyczna surowość prymitywu, nieustępliwość granitowej skały, a jednak wyczuwa się tu zupełny brak wszelkiego improwizatorskiego niedołęstwa, stwarzanie ciągle pozytywnych, zamkniętych w sobie wartości, pracowite kucie kształtów, nie tonących beznadziejnie w bezkrwistym morzu sentymentalizmu, wreszcie wrodzona im plastyka wyobraźni. Cechy te, w zakresie pojęć estetycznych, umożliwiły im w zupełności osiągnięcie tego, co zwiemy «métier» sztuki: pewność ręki, niechybny wybór najprostszej i jedynej drogi do zrealizowania w surowym materiale artystycznego pomysłu. Ta «pewność ręki» wyziera z każdego architektonicznego szczegółu pięknej staroświeckiej chałupy, z każdej melodji tanecznej, wykonywanej z taką wirtuozowską precyzją przez grajków-samouków, a wreszcie i samej nieomal baletowej «techniki» tańca, który nigdy nie jest dorywczą improwizacją, a raczej opartem na indywidualnym temperamencie tancerza zrealizowaniem w ruchu pewnej «formy»: przewyciężaniem z największą swobodą możliwie największych trudności; taniec górala jest zawsze solowym popisem i stąd uznanie, jakiem się cieszą najlepsi tancerze.

Objektywny stosunek do własnego tworzywa formuje dopiero prawdziwego artystę. Góral — pomiędzy polskimi chłopami — jest, a w każdym razie był niegdyś artystą *par excellence*.

Muzyczne «pięknoduchy» i tak zwane «subtelne natury» uciekają od tej «kakofonicznej» muzyki, widząc w niej jedynie barbarzyński prymityw. Być może, iż tak jest w istocie, jednak jakże jest on ożywym — w przeciwieństwie do wielu niezawsze subtelnych «subtelności» naszej współczesnej artystycznej kultury — swoją bliskością natury, siłą i bezpośredniością temperamentu, a wreszcie niezmaconą niczem czystością wyrazu rasy. Pragnąłbym, by młoda generacja polskich muzyków zrozumiała, jakie bogactwo, odradzające anemiczną naszą muzykę, kryje się w tym polskim «barbarzyństwie», które *ja już ostatecznie «odkryłem» i pojąłem — dla siebie*.

Cokolwiek byśmy dziś powiedzieli o poglądach «etnograficznych» Szymanowskiego, zawsze najważniejszym dla nas będzie *artystyczne* stanowisko Szymanowskiego wobec muzyki góralskiej i fakt, że jej wartość emocjonalna jako impulsu dla jego twórczości stała się faktem znaczenia pierwszorzędowego. Raz jeszcze zabrał głos Szymanowski w sprawie muzyki Podhala, a to w *przedmowie* do «*Muzyki Podhala*» St. Mierczyńskiego, wydanej w r. 1930. Zawiera ona w zasadzie powtórzenie głównych poglądów, wyrażonych już poprzednio (w czasopiśmie «*Pani*», p. wyżej), jednakże zawiera szereg uwag, które doskonale dopełniają to, co już przytoczyliśmy. Oto one:

«Góralską muzykę taneczną albo się rozumie i odczuwa tajemnym jakimś instynktem r a s y: wówczas kocha się ją, tęskni się do jej tętniącego uniesieniem życia, utajonego w chropawej, prostokątnej, w kamieniu jakby wykutej formie. Albo się jej nie rozumie: wówczas nie ma mowy nawet o obojętności, o pobłażliwym «braniu pod uwagę» jej sui generis wartości, jak każdego innego objawu ludowej sztuki. Wówczas jej się *nie znosi*, uważa się ją za brzydką par excellence, za natrętne, obrażające cywilizowane uszy i nerwy barbarzyństwo, za cokolwiek zresztą, co stanowi odwrotny biegun normalnych naszych pojęć o pięknie muzycznym.

Zastanawiając się nad tym nerwowym, niecierpliwym stosunkiem wielu cywilizowanych ludzi «z miasta» (skądinąd «jak najlepiej usposobionych dla góralszczyzny») do muzyki tej, stanowiącej bezsprzecznie jeden z najciekawszych objawów podhalańskiej ludowej kultury, pojąłem wreszcie, iż stosunek ten polega na wyjątkowym stanowisku, jakie zajmuje ona w naszym folklorze...

Przytoczywszy szereg swych dawniej wypowiedzianych uwag, pisze Szymanowski dalej:

«Chodzi mi właśnie o to pojęcie «formy», z tego bowiem punktu widzenia muzyka taneczna Podhalan — nie jest zdaniem mojem «muzyką ludową» w tem znaczeniu, w jakim starałem się scharakteryzować ją powyżej. Przede wszystkim brak jej wszelkiego «obyczajowego» liryzmu, a więc owego niezawodnego zwierciadła, w którym «cywilizowani ludzie» zwykli odbijać własne swe wzruszenia.

Niewątpliwie taniec góralski, a więc i jego muzyka, której melodyjnym udrzeniem jest przeważnie zreformowana rytmicznie, w zasadzie jednak «śpiewana» pieśń, są objawem obyczajowej strony góralskiego życia. Jednak, — i to jest zastanawiające — i taniec i muzyka wzniosły się ponad tę obyczajowość dzięki formalnym swym wartościom. Pozostawiam omówienia tańca bardziej ode mnie fachowym, jednak dla najbardziej nawet uprzedzonych solowo-popisowy jego charakter jest najzupełniej oczywisty. A więc niewątpliwem jest dążenie do pewnej dyscypliny, do ujęcia go w karby indywidualnie pojętej formy. W muzyce uderza to jeszcze silniej: przypadkowość «improwizacji» jest jej niemal zupełnie obca. Każdy «krzesany», czy «zbójnicki» ujęty jest w krzepki kształt, w plastyczną ramę nie tylko już melodji i rytmu, lecz nawet pewnej swoistej harmonji. Każdy taniec niechże mi znawcy muzycznego klasycyzmu wybaczą to niesłychane bluźnierstwo) jest swego rodzaju «symfonią», «współbrzmieniem», zdecydowaną «kompozycją»...

«Rzecz cała polega na tem, iż «brzydkiej» tej (tj. góralskiej) muzyki niepodobna uważać za jakąś nieskończoną perspektywę, w głębinach swych ukazującą mgliste, wierzycie falujące dno liryzmu prymitywnego człowieka,

a raczej za szereg konstruktywnych, ujętych w pewną stałą formę całości, znajdujących się już poza wszelkiem doraźnym wzruszeniem, czy przeżyciem. Sądzę, że te jej skrajnie pozytywne X (w znaczeniu artystycznego materiału) i antyliryczne cechy stanowią właśnie tę tajemną moc, przyciągającą ku sobie wszelkie twórcze w sztuce jednostki, bez względu na ich subiektywne artystyczne credo, odpychają natomiast tych, co wszelką «ludowość» widzą pod kątem wyłącznie literacko-sentymentalnych zainteresowań.

Dopiero, gdy się pojmie prawdziwą góralską pasję do nadawania plastycznych kształtów wszystkiemu, co górala w życiu otacza, gdy się przeniknie te chropawe, kanciaste, jakby w opornym gładzie kute formy, ukazuje się w tej muzyce prawdziwe oblicze nieugiętego, twardego, specyficznie góralskiego «liryzmu», przedziwna «epickość» spokojnie falującej powierzchni i głęboko na dnie ukryta, teatralna niemal «dramatyczność» treści, znajdująca plastyczny swój wyraz w tańcu.

Nie sądzą, iż powyższe słowa dyktuje mi jedynie mój własny «podhalański» sentyment. Staralem się być obiektywnym i ująć w pewną formułę fascynującą do dziś dnia siłę tej jedynej niemal wśród wszelkich innych polskich «ludowości», która wciąż jeszcze — pomimo niewątpliwej swej dekadencji — pociąga ku sobie ludzi, obdarzonych twórczą wyobraźnią.

Nie miejsce tu na psychologiczną i estetyczną analizę poglądów Szymanowskiego, który w późniejszych latach (1927) zainteresował się również muzyką ludową Kurpiów tworząc idealnie piękne «Pieśni Kurpiowskie». Ale nie można nie zauważyć, że znaczną część swych ówczesnych poglądów «absolutnie»-artystycznych, pragnął Szymanowski nie bez podstaw widzieć także w muzyce Podhala, przenosząc je na nią pod pewnymi względami. Nie popełnił może przesady twierdząc, że afirmatywny, optymistyczny, mocny ton muzyki góralskiej wraz z jaśniejszymi stronami góralskiego «żywobycia», atmosferą przyrody tatrzańskiej i — nie w najmniejszej mierze — artystyczną atmosferą ówczesnego życia zakopiańskiego, był schronieniem dla zmęczonych ówczesnymi ogólnopolskimi stosunkami (nie tylko artystycznymi) myśli wielkiego twórcy. Jakże przykry był nastrój w dniu, w którym Szymanowski musiał na czas jakiś opuścić Zakopane, będące mu prosto narkotykiem na wiele moralnych dolegliwości, jakich mu nigdy nie szczędzono — poza Zakopanem. Jakże żywo stawała w pamięci w takich chwilach postać Karłowicza, który «murem Tatr» odgradzał się od czyhających przeciwności!

VI.

Cofnijmy się jednak w lata 1922—1924...

Nie od razu niestety mógł Szymanowski przystąpić do zrealizowania dzieł, mających związek z Podhalem, przede wszystkim zaś «Harnasiów»,

o których — na razie coprawda w innej nieco postaci i pod innym tytułem («Janosik») — myślał niemal od początku swego «*okresu podhalańskiego*». Był bowiem związany z różnymi nie dającymi się usunąć zajęciami i sprawami w Warszawie, skąd mógł do Zakopanego zaglądać od r. 1922 tylko w wolniejszych chwilach i szczęśliwszych okolicznościach. Na tym jednak nie koniec. Istniały jeszcze inne przeszkody, natury czysto artystycznej. Miał do dokończenia bardzo obszerne dzieło, które swym rodzajem i swym stylem tkwiło jeszcze w poprzedniej epoce jego twórczości, epoce, z którą w rzeczywistości już był zerwał, dążąc do uproszczenia swego języka i swego stylu muzycznego właśnie w drodze zbliżenia się do ludowego prymitywu jako źródła zupełnie innych podnieć. Pracował mianowicie jeszcze nad operą «*Król Roger*» («*Pasterz*»), gdy wszystko już ciągnęło go ku nowym światom, w zupełnie inne strony, aby nie powiedzieć: w kierunku diametralnie przeciwnym. Wyzyskiwał każdą sposobność, aby choć na krótki czas opuścić Warszawę i duchowo odświeżyć się w atmosferze Podhala. Oto kilka wyjątków z listów znajdujących się w zbiorze autora niniejszej pracy:



Wł. Skoczylas: «Janosik z kochanką»
drzeworyt

List z 14. III. 1923 (Zakopane): «...Jaka szkoda że nie możesz tu przyjechać! 18-go chcę jednak urządzić orgię miłą. Muszę sobie znów trochę góralszczyzny zastrzyknąć, bo wyrafinowanie «*Pasterza*», nad którym ciągle ślęczę, aż mię dławi»...

List z 26. III. 1924 (Warszawa): «...Co do mojej pracy, to w Zakopanem napisałem 6 mazurków i... nie skończyłem Rogera, który mi kością w gardle stoi! No jakoś to będzie. Okropnie Cię nam w Zakopanem brakowało — była tam jedna tylko, ale kapitalna orgia na Ś-ty Józef, z Mrozem i dudami...»

Musiał raz nareszcie skończyć «*Rogera*». Oto co pisze w r. 1924 (sierpień) do jednego ze swych przyjaciół, Augusta Iwańskiego: «Zabrałem się do kończenia Rogera z całą energią, ale męczę się jak dziki osioł! Nudzi mnie to trochę, bo mam ochotę na co innego».

Tym «innym» były oczywiście «*Harnasie*».



Jakby «memento» miał w swym warszawskim mieszkaniu «pamiętki» z Podhala: fotografię Bartusia Obrochty, gdy sobie «herbę» warzy w swojej izbie w Roztoce, drzeworyt Skoczylasa z harnasiami i tańczącą «frajerką» i trzy krówskie czy owcze dzwony, dźwiękami swymi umiejące wyczarować niejedną wizję...

Można przyjąć bez daleko idących zastrzeżeń, że w r. 1923 *skrystalizował się już nowy styl, nowy okres w twórczości Szymanowskiego*, okres nazywany «*podhalańskim*». Zwolna powstawały i rozwijały się projekty i dzieła. Przede wszystkim już w r. 1922 podczas pobytu w Zakopanem omówił wraz z Mieczysławem Rytardem i Jarosławem Iwaszkiewiczem scenariusz «*Harnasiów*», poddawany później różnym przemianom z powodu nadmiernych trudności dla scenicznej realizacji (n. p. scena wyjścia baców i juhasów z trzodami na halę). Powstał wówczas przede wszystkim wstęp do «*Harnasiów*», oparty na melodii, którą «*kusiłem*» go we Lwowie, melodii Sabalowej, a ponadto kilka szkiców do dalszych scen tego baletu. W marcu 1923 przynaglał swych przyjaciół-współpracowników do ostatecznego ustalenia scenariusza. Dla swego dzieła wybrał Szymanowski formę nie opery, lecz *baletu*, formę, która w muzyce europejskiej (głównie francuskiej i rosyjskiej) już przed wielką wojną zaczęła święcić swój triumfalny renesans. Ale nie miał to być balet konwencjonalny; tego rodzaju muzyka nigdy nie mogłaby znaleźć w Szymanowskim swego wyraziciela. Niemal od samego początku swoich zamysłów Harnasiowych pragnął Szymanowski włączyć do baletu «sceny» nie tylko taneczne, ale nawet i śpiewane i te, w których, mówiąc po prostu, chciał dać wyraz swemu sentymentowi dla Podhala i jego piewcy muzycznego, Bartusia Obrochty. Nie spodziewał się zapewne, że realizacja jego dzieła nie nastąpi tak szybko, jak pierwotnie przypuszczał. Były lata, w których z powodu trudnych warunków życiowych musiał zajmować się czym innym, zamiast posuwać «*Harnasiów*» naprzód. W każdym razie już w r. 1926 «*Harnasie*» były w kompozycji niemal w całości gotowe. Nareszcie mógł przystąpić do szczegółowego opracowywania partytury «*Harnasiów*». Oto co pisze 20. VII. 1928 r. ze Lwowa do swego przyjaciela Augusta Iwańskiego: «*Rzuciłem się na moją partyturę jak zgłodniały wilk i prawie po całych dniach pracuję z dużym rezultatem. Nie bardzo to higienicznie, ale dobrze mi na nerwy działa*». Jeszcze w r. 1929 wykańczał partycję tego dzieła, które i później musiało otrzymać pewne nieznaczne uzupełnienia, nie mówiąc o nieistotnych zresztą adaptacjach scenicznych.

Pierwszym «publicznym» znakiem nowego życia i okresu w twórczości Szymanowskiego było *opracowanie góralskiej pieśni* «*Jo za wodom, ty za wodom, jakoz jo ci gęby podom*», napisanej w styczniu 1924 r., a wydanej wraz z artykułem o muzyce góralskiej w czasop. «*Pani*», 1924, nr. 8—9

(listopad). Melodia ta jest śpiewana zwykle z innym tekstem, cokolwiek frywolnym («Kieby béło nie świtało»). Na życzenie Szymanowskiego wybrał J. Zborowski inne, ale odpowiednie teksty (ze zbiorów drukowanych i nie-drukowanych). Ta ulubiona przez Szymanowskiego melodia znalazła się również w «Harnasiach».

Nie tylko jednak «Harnasie» były wyrazem jego ustosunkowania się do muzyki Podhala. Już w marcu 1924 r. było gotowych 6 *mazurków* fortepianowych, którym — pomijając kwestię pochodzenia formy i rytmiki tego tańca — «zastrzyknął» również sporo «góralszczyny» czy w melodyce czy ogólnym charakterze i nastroju, nie negując jednak pewnych zwrotów związanych z mazurkiem od dawna (już przed Chopinem). I tu postąpił jakby w ślad ludowej praktyki, która na Podhalu góralizuje n. p. krakowiaka a nawet poloneza, nie pozbawiając ich przez to ich rodzimego charakteru. Pierwszy mazurek Szymanowskiego rozpoczyna się znowu (wyłączwszy pierwszą nutę) tym samym zwrotem przez kompozytora ulubionym, jaki słyszymy na samym początku «Harnasiów». Sporo góralszczyny zawierają i inne, choć nie wszystkie mazurki, powstałe w latach 1924—1926 (wydane jako op. 50). Nie można tu pominąć pewnego powiedzenia Szymanowskiego o jego «regeneracji» mazurka. Otóż uważał tę formę za kostniejącą w szablonie i skazaną na wymarcie w muzyce artystycznej. Wyraził się raz (we Lwowie), że «skrzyżowanie ras» może ją odrodzić. Zapewne nie popełnił pomyłki.

I w niektórych innych dziełach Szymanowskiego, jak przede wszystkim w *II kwartecie smyczkowym* (op. 56 z r. 1927), a po części w *II koncercie skrzypcowym* (op. 61 z r. 1929—30) znajdujemy jeszcze sporo «reminiscencji» podhalańskiego «stylu» muzycznego, choć w tym ostatnim utworze wyczuwamy już jakby zapowiedź końca okresu «podhalańskiego» i zwrot myśli ku innym sferom twórczym.

O jeszcze jednym dziele «podhalańskim» Szymanowskiego należy tu wspomnieć, dziele wprawdzie może tylko poczętym w myślach twórczych, lecz nie urzeczywistnionym. Nie dotyczy ono już «Podhala tańczącego», ale zupełnie innego. W swym «Liście z gór» wspomina o tym *Rafał Malczewski* pisząc:

«...po przybyciu do Zakopanego (w późniejszych latach) powiedział mi, że napisałby *muzykę do filmu*, który by obrazował *życie Podhala*. Nie to od święta i od cyfrowanych portek, ale to które rozgrywa się w pracy i znoju, w walkach z leśnemi ostępami, z rolą kamienistą, to życie od gnoju i bitki, dzikich pijaństw w karczmach, drapieźnych żądź, krwawych mordów. Lecz któż podjął by się takiego przedsięwzięcia? Wszystkim polskim magikom od filmu tkwił w głowie Janosik, historyczna szmira w teatralnym sosie.

— Dwa lata potrzebowałbym na napisanie takiej muzyki — mówił Karol; tym terminem odstraszyłby najodważniejszych».

Niestety — zabrakło by mu już życia, aby te zamysły mógł urzeczywistnić. Podhale dało mu niemal wszystko, co mu dać mogło, ale ponad tym wszystkim szybował jego wielki i niezmordowany duch, który zawsze pragnął zdobywać «nowe światy» nie znosząc żadnego zastoju.

Musimy obecnie zająć się kwestią posiadającą zasadnicze znaczenie, a musimy to uczynić także z tego powodu, że na tle pozytywnego ustosunkowania się Szymanowskiego do muzyki ludowej Podhala powstały liczne nieporozumienia, utrudniające zwłaszcza laikom zrozumienie muzyki Szymanowskiego i jego «podhalańskiego stylu». Powstały — jak się ktoś słusznie wyraził — «legendy», których część polega na nieznamości muzyki Podhala i muzyki «Harnasiów», część inna na stwarzaniu pozorów, że się niby nie wie, o co właściwie chodzi.

Otóż niewątpliwie w błędzie byłby ten, kto by przypuszczał że w muzyce Podhala znalazł Szymanowski jakiś «prapolski» styl muzyczny, który sobie przyswoił. Należy jednak w imię prawdy powiedzieć, że początkowo i Szymanowski był przekonany, iż muzyka Podhala jest jakąś szczęśliwie z zamierzchłej przeszłości uratowaną «prapolską» muzyką. I nie był zbyt uszczęśliwiony, gdy udowodniłem mu (zresztą nie tylko ja sam), że jak ogólna kultura Podhala, tak i jego muzyka wchłonęła w siebie obok polskich najróżniejsze pierwiastki, które w swej sumie złożyły się na odrębność Podhala w stosunku do całej rdzennie polskiej kultury duchowej i materialnej, jak tego dowodzi język, zdobnictwo, budownictwo, strój i t. d. Wszak Podhale jest regionem typowo pogranicznym, gdzie sąsiadują z sobą kultury różnych ras i narodów, wzajemnie się przenikające. Jeśli w «Harnasiach» Szymanowski stworzył muzykę poczętą z ducha ludu, to muzyka tego dzieła jest wyrazem Podhala Skalnego, a nie wyrazem jakiejś wymaginowanej «polskiej» muzyki. Jest to muzyka regionu podniesiona dzięki jego geniuszowi do wyżyn absolutnego arcyzmu, nie krępowanego refleksjami na temat tego, co może być uznane za «prapolskie».

Można było w okresie powstawania «Harnasiów» słyszeć i czytać o tym, że dzieło to użytkowuje (w sensie «cytowania») melodie Podhala; potem zaś można było słyszeć i czytać poglądy, według których Szymanowski w ogóle nie posługuje się «autentycznymi» melodiami góralskimi. I jeden i drugi pogląd jest w równej mierze prawdziwy jak i fałszywy, a najniewątpliwszą jest przesada w jednym i drugim kierunku. Mówiąc o «Harnasiach» wyraził się sam kompozytor następująco: «*Balet mój będzie prawie w całości folklorystyczny*». Oczywiście nie w znaczeniu cytowania melodii góralskich in sensu stricto, tak aby żadna melodia nie odstępowała nuta w nutę od «ory-

ginałów», «autentyków» (posiadających zresztą liczne warianty), ale w sensie mniej lub więcej stylizacyjnych postaci, na które składają się *motywy* posiadające zupełnie wyraźne znamiona, właściwe muzyce podhalańskiej, a *nie innej* w Polsce. Mimo to znajdujemy w «Harnasiach» melodie autentyczne i takie, które nam przypominają autentyki. Trzeba tylko znać ludową muzykę Podhala i «Harnasiów», aby o tem móc mówić. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że w melodiach Podhala istnieją pewne stereotypowe zwroty, dzięki którym melodie te są podhalańskimi a nie innymi. Opuszczenie tych cech odejmuje tej muzyce znamiona indywidualne. Szymanowski zdawał sobie zbyt dobrze sprawę z tego, i nawet wówczas, gdy stylizował i «upraszczał» autentyki, lub je nawet zmieniał, *cech tych nie pomijał*. Przeciwnie — w niektórych przestyliзовanych, przetworzonych przez siebie melodiach umieszczał te cechy, choć ich oryginały w odnośnych zwrotach nie posiadały. Ale nie czynił tego dla celów «etnograficznych», jak by w ogół chciały wmówić niezbyt lojalnie podrzucane «arrières pensées» (mimo przekonania, że nikt tego nie twierdzi i nikt by o takie pomysły Szymanowskiego nie podejrzewał), natomiast doskonale poczucie stylu muzyki podhalańskiej wprost narzucało mu takie stanowisko wobec tego artystycznego zagadnienia jakim są «Harnasie». Należy tu dodać, że *podhalańska motywika* (w przeciwieństwie do melodyj w sobie zamkniętych) przeszła w jego styl własny w okresie «podhalańskim», jak to widzimy w mazurkach, w II kwartecie i II koncercie skrzypcowym. I każdy kto dobrze i w całości zna muzykę Podhala, *musi* fakt ten słuchowo stwierdzić. Nie chodzi tu o żadne cytaty, ale o zjawisko zupełnie naturalne: *o nierozzerwalne zespolenie personalnego stylu artysty ze stylem muzycznym środowiska, które artyście stało się w danym okresie bliższym, aniżeli jakiegokolwiek inne*. Musimy wreszcie zauważyć, że w późniejszych dziełach powstałych już po «okresie podhalańskim», motywiczne «słownictwo» pochodzenia podhalańskiego znika coraz widoczniej. Albowiem twórczy lot Szymanowskiego kierował go w inne światy, w stronę zupełnie innej ideologii. Stylistyka tych ostatnich dzieł uległa zmianom, gdy zmieniły się jej założenia duchowe. Proces ten, tak bardzo widoczny w twórczości Szymanowskiego, jest zapewne zupełnie zrozumiały wobec «ewolucyjnego» rodzaju i typu, jakim był genialny talent Szymanowskiego, który też sam siebie za typ tego właśnie rodzaju uznawał.

«*Nie można wiecznie żyć z folkloru*» — oto jego słowa, które powiedział, gdy zapytałem go w r. 1930, czy muzyka Podhala interesuje go w tym samym stopniu, jak poprzednio. Domyślił się, że chodzi mi o jego *twórczość*.

Rok 1930, w którym Szymanowski zamieszkał w Zakopanem na stałe («Atma» na Kasprusiach), zakończył «okre podhalański» jego twórczości, nie nakrywający się z zakopiańskim okresem jego życia.

VII.

«Harnasie»¹⁾ są bez wątpienia najbardziej charakterystycznym, «reprezentacyjnym» dziełem Szymanowskiego z jego «okresu podhalańskiego». Nie twierdzimy tym samym, że inne jego dzieła z tego samego okresu posiadają mniejsze znaczenie. Byłoby to twierdzenie co najmniej jednostronne. Ale w kwestii «Szymanowski a Podhale» zajmują «Harnasie» pozycję najsilniejszą, tym bardziej, że zrodziło je nie tylko wielkie mistrzostwo twórcy, ale i głęboka miłość do samego «tematu», miłość podwójnie silna, bo czysto ludzka i twórcza, przepelniająca bez przesady każdą najmniejszą nawet nutkę partycji, jakże jednak wolnej od łzawo-zachwyconego, «serdecznego» sentymentalizmu, od wszelkiej ceperskiej estetyki! Jeśli obiektywizm artystycznego ujęcia i przedstawienia «tematu» da się bez reszty pogodzić z jego gorącym umiłowaniem, to «Harnasie» są tego klasycznym przykładem. I tu prawdopodobnie leży tajemnica ich nieopisanie wielkiej siły działania na widza-słuchacza. Ta niewielka, choć smukła partycja, licząca w wyciągu fortepianowym zaledwie 86 stron, mknących ponadto w przeważnie szybkim tempie, jest naładowana szczelnie tak bardzo skondensowaną i rzeczową treścią o tak przejmującym i porywającym wyrazie, zrodzonym z płoniennej fantazji i nastrojowo-malowniczego słyszenia i widzenia piękna Podhala i Tatr, że nawet najchłonniejszy umysł muzyczny musi słuchać tej muzyki z zapartym oddechem. Tu nie ma czasu na żadne refleksje i spoczynki w emocji. Na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, potraktowanej przez mistrza z maksymalną, wręcz klasyczną ekonomią treści i formy, skoncentrowane są największe energie, jakie są właściwe wielkiemu mistrzostwu Szymanowskiego w jego najdojrzałym okresie twórczości. Dlatego właśnie działanie muzyki «Harnasiów» jest tak potężne, gdyż wręcz elementarne. Ta zwięzłość i rzeczowość — to jakby odpowiednik «stylu góralskiego», z jakiegokolwiek punktu widzenia, zwięzłość i rzeczowość łącząca się z fantazją i plastyką wyrazu, rytmiką i tempem temperamentu, a tak daleka od wszelkiej patetyki i «mocarności» w treści i sposobie wypowiedzania się. O tym mówi nam w równej mierze całość dzieła, jak wszystkie jego większe i mniejsze ustępy i każdy szczegół w «Harnasiach», nade wszystko zaś melodyczna zawartość dzieła w jej ustosunkowaniu się do muzyki ludu podhalańskiego.

¹⁾ Od dwudziestych lat opera stołeczna zapowiadała wykonanie «Harnasiów», które do dnia dzisiejszego jej sceny nie zaszczyliły. Pra-premiera odbyła się w Pradze Czeskiej w dniu 11 maja 1935 r. W tym samym roku nakładca paryski Max Eschig mógł na «Harnasiach» położyć swe «Copyright». W dniu 27 kwietnia 1936 odbyła się w Paryżu premiera «Harnasiów» w obecności kompozytora. W Hamburgu wykonano «Harnasiów» w dniu 13 listopada 1937 r. Wreszcie Poznań, jako pierwszy w Polsce wystawił to dzieło pod dyrekcją dra Zygmunta Latoszewskiego w dniu 9 kwietnia 1938 r. W wykonaniu koncertowym wykonano «Harnasiów» w wielu miastach Europy i Ameryki.

«Harnasie» w swej ostatecznej, a przynajmniej paryskiej wersji zawierają trzy «obrazy»: pierwszy i trzeci mają tytuł «Hala», drugi — «Wnętrze chaty». Trzeci obraz jest właściwie tylko jedną sceną, śpiewanym przez harnasia nastrojowo-lirycznym epilogiem całości mimiczno-tanecznej z epizodami śpiewanymi przeważnie przez chóry. W najpierwotniejszej postaci «Harnasiów» nie istniał jeszcze osobny obraz III, całość kończyła się wprawdzie również «lirycznie», gdy harnaś śpiewał piosenki miłosne przeniesione obecnie do obrazu III, ale śpiewał je za sceną, wśród nocnego mroku, jaki panuje w chałupie po napadzie harnasiów uprowadzających dziewczynę. Otóż mam wrażenie, że — o ile tylko pamięć mnie nie myli, a o to się nie mogę posądzać — zakończenie pierwotnej całości (obecnie II obrazu) doznało na rzecz III obrazu pewnego skrócenia. Jeszcze w r. 1929, gdy miałem możliwość poznania całych «Harnasiów» w interpretacji Szymanowskiego, istniał ustęp, w którym skrzypek góralski («Bartuś») wśród nastrojowego mroku opuszczonej chałupy wygrywał na swych gęślikach chwałę dawnego Podhala, «tego, które już nie wróci». Zdaje mi się, że przywrócenie pierwotnej wersji, a raczej uzgodnienie jej z «paryską» leży zupełnie w sferze możliwości, bez najmniejszego uszczerbku dla dzieła.

Treściowa osnowa «Harnasiów» jest możliwie najprostsza. Obraz I: pochód juhasów, juhasek i baców na halę wraz z trzodami, zjawienie się harnasiów, których przywódca zaleca się do jednej z dziewczyn; po nastrojowym wstępie i «scenie mimicznej» słychać marsz zbójnicki, po scenie zalecanek następuje taniec zbójnicki, po nim muzyczne nawiązanie do początku tego obrazu. Obraz II: w chałupie odbywa się wesele, panną młodą jest właśnie ówa dziewczyna z hali; po cepinach śpiewają siuhaje (piosenka wydana w r. 1924), następuje taniec góralski, po nim wejście harnasiów, taniec i bitka, wreszcie porwanie panny młodej przez harnasiów; obraz zawiera szereg pieśni chóralnych. Obraz III: scena miłosna na hali, nad stawem siedzi harnaś z porwaną dziewczyną, śpiewa piosenki miłosne (jedna z nich nawiązuje blisko do tematu, którego użył Szymanowski do swych dawnych wariacji). Oczywiście «akcja» sceniczna jest tylko kanwą dla głównej treści, która leży w muzyce, a obok niej w tańcu. Ale i bez wykonania scenicznego «Harnasie» (w wykonaniu koncertowym jako rodzaj suity) stanowić będą zawsze pełną, samowystarczalną wypowiedź twórczą. Wszak większa ilość ich części powstała przed scenariuszem baletowym.

Nie będziemy tu zajmowali się muzykologicznym rozważaniem tego dzieła, charakteryzując je z wielu punktów widzenia, rectius: słyszenia. Jeśli jednak chodzi o kwestię «Szymanowski a Podhale», to oczywiście główną uwagę zwrócimy na melodykę «Harnasiów» i jej stosunek do ludowej muzyki Podhala. W tej sprawie niejednokrotnie już zabierali głos różni pisarze muzyczni. Sądzę jednakże, iż kwestię tę można pozytywnie oświetlić tylko

wówczas, gdy się zna jak najwszechstronniej zarówno dzieło Szymanowskiego jak i muzykę ludową Podhala. W przeciwnym razie wyniki będą zawsze błędne lub co najmniej problematyczne.

Otóż gdy Szymanowski wyraził się do autora niniejszej pracy, że muzyka jego «Harnasiów» jest «prawie w całości *folklorystyczna*», to wyrażając się w ten sposób wiedział dobrze, w czym leży istota folkloru w ogóle, a folkloru podhalańskiego w szczególności, w stosunku do aktu twórczego. Wiedział zbyt dobrze, iż ustosunkowanie się kompozytora do pewnego wybitnie «etnograficznego» środowiska pociąga za sobą konsekwencje, które w różny sposób i w różnej sile mogą i muszą być uzewnętrznione. Muzyka w «Harnasiach» jest — bez względu na pochodzenie licznych melodj Podhala — *etnograficznie ścisłą* (choć nie «folklorystyczną») w tym sensie, że nie znajdujemy przy jej słuchaniu dosłownie ani jednego momentu, w którym odczuwalibyśmy coś obcego muzycznej atmosferze Podhala. Jakie jest Podhale i jaka jego muzyka, takimi je widział i słyszał okiem i uchem swej duszy, swego temperamentu twórczego.

Wbrew temu, co można było słyszeć lub czytać o muzyce «Harnasiów», musimy tu najzupełniej rzeczowo stwierdzić, że Szymanowski przejął niemal melody podhalańskich w pierwotnej postaci, jakkolwiek «nie w tym rzecz», nie w tym istota rzeczy spoczywa. Jeśli nie ten, to inny współczynnik twórczej syntezy «Harnasiów» zwraca nasze ucho i nasze myśli w stronę Podhala i Tatr, ale zwykle wszystkie te współczynniki działają. Najmniejszy motyw, najmniejsza figura rytmiczna, brzmienie czy koloryt kierują nasze myśli ku muzyce Podhala. Sądzić o tym może tylko ten, kto żył się z tą muzyką, uchwycił jej sedno, poznał bogaty zasób pieśni i melodj spod Tatr. Na tym jednak nie koniec. Co chwilę zbieramy w muzyce «Harnasiów» dowody, że Szymanowski z całą świadomością wręcz podkreśla i wzmacnia właśnie «etnograficzne» cechy melodyki podhalańskiej nawet tam, gdzie przejęty w całości lub częściowo przez niego temat cech tych silnie nie uwydatnia. Co więcej — Szymanowski niejako nasycy nimi odnośnie ustępy swego dzieła w ten sposób, że przejętą z ludowej muzyki melodię kontrapunktuje inną, również z muzyki ludowej pochodzącą, a ta metoda techniki kompozytorskiej jest stosowana przez niego nie bez pewnych intencji, przypominających z dala jakby technikę motywów przewodnich, traktowaną z podziwu godną oryginalnością, mającą sens głębszy, a nie będącą tylko czczym choć wielkim efektem technicznym, dla Szymanowskiego przecież zupełnie łatwym. Trzeba tu z całym naciskiem podkreślić, że częste przetwarzanie w toku «Harnasiów» jakiegoś materiału melodycznego w ogóle przypomina technikę motywów przewodnich, jakże jednak pojętą twórczo! Ustawicznie powstają nowe zjawiska wywodzące się z jednego i tego samego źródła a przypominające zasadę psychologiczno-nastrojowej wariacyjności. Przy tym wszystko jest na-

(F6)

Taneczki

Picc

Fl. I

Fl. II

Oboe I

Oboe II

Clar. I

Clar. II

Bassoon I

Bassoon II

Contrab. I

Contrab. II

Trumpet I

Trumpet II

Trumpet III

Trumpet IV

Trombone I

Trombone II

Trombone III

Horn I

Horn II

Timpani

Snare

Bass Drum

Cymbals

Gong

Harp

Violin I

Violin II

Viola

Cello

Double Bass

Allegretto moderato

Allegro moderato = (in modo maestri)

pizzicato

arco

mf

f

ritardando

RT 1154
34 Imp

cechowane siłą ustawicznie odradzającej się inspiracji. Ze w instrumentacji i harmonice znajdujemy tu i ówdzie pewne brzmienia i ich połączenia znane nam z gry muzykantów podhalańskich, tego chyba nikt nie uzna za coś bezcelowego, przypadkowego i nie posiadającego znaczenia.

Wszystkie te środki i świadome «cytaty» z muzyki ludowej i ich przetwarzania i różne oświetlenia z pomocą potężnych zasobów techniki kompozytorskiej Szymanowskiego sprawiają, że «Harnasie» od początku do końca stykają się z folklorem podhalańskim, który kompozytor wykorzystuje na swój sposób i dla swych celów w sposób godny swej wielkiej twórczej indywidualności. Te «folklorystyki» zjawiają się tak, iż powstaje w «Harnasiach» klasyczny odpowiednik do poematów podhalańskich K. Tetmajera, w których «folklor» i «etnografia» ustawicznie dochodzą do głosu nie pomniejszając wartości i potęgi twórczej wielkiego poety. Nie znajdujemy w «Harnasiach» również żadnego doktrynerskiego ustosunkowania się do sprawy stosunku folkloru i twórczości. Dlatego rozumiemy słowa wypowiedziane przez Szymanowskiego do *A. Janty-Polczyńskiego* (nie wiem jednak czy podane dokładnie, słowo w słowo): «Jeżeli w «Harnasiach» znajdują się autentyki, to i te zawsze jeszcze uproszczone, zawsze jeszcze synteza tylko w stosunku do oryginału. Ach, nie chodzi o żadną dosłowność, ale o wizję, o ramy, o szerokie, dowolne tło, w które buduje się potem mimo wszystko własną treść, myśl swoją, swoje widzenie tamtego». Po prawdzie znajdujemy w «Harnasiach» — jak to już wyżej powiedzieliśmy — najzupełniejsze «autentyki», ale obok nich stałe ich przetwarzanie i owe «syntezy», będące kondensacją stylistyczną. Wypowiedzenie się Szymanowskiego w tej sprawie — przynajmniej w formie podanej przez cytowanego autora — rozumiemy jako wyraz pewnej indygnacji kompozytora z powodu kolportowanych przez nieodpowiedzialne jednostki wieści, iż «Harnasie» zawierają same «autentyczne» melodie góralskie, «zharmonizowane» (!) i «zinstrumentowane» przez kompozytora. Ileż razy sobie wytwornie dworował z «kompozytorów» w ten właśnie sposób płodzących «opusy» nieudale, a będące według niego wynikiem «nieporozumienia» artystycznego.

«Harnasie» są dziełem na wskróś twórczym, poczętym z ducha cudownej harmonii między twórczym geniuszem ludu a twórczym geniuszem jednostki, która swój personalny styl umiała zjednoczyć ze stylem ukochanego przez siebie środowiska. Widzimy to zresztą nie tylko w «Harnasiach», ale i innych dziełach «podhalańskiego okresu» Szymanowskiego, w jego mazurkach fortepianowych, w II koncercie skrzypcowym i II kwartecie. Ale widzimy też niebawem, że twórcze myśli Szymanowskiego zwracały się w inne strony, uwalniając się od tych swoich cech stylistycznych, jakie integralnie należały do tego okresu.

VIII.

Mijał w roku 1929/30 «okres podhalański» twórczości Szymanowskiego. Ale przywiązanie Szymanowskiego do Tatr i Podhala pozostawało bez najmniejszego zachwiania w sile sentymentu. Niech o tym świadczy mały, ale jakże charakterystyczny szczegół, opowiedziany mi przez *J. Zborowskiego*. Podczas pewnego deszczowego i zimnego lata rzekł Szymanowski do niego: «Słuchaj, Samuelu... Czy my nie jesteśmy wariaty, że tu siedzimy? Gdzie indziej jest słońce i ciepło, a nam tak trudno rozstać się z tym deszczem i psim zimnem». Nie wypędzały go z Zakopanego i jesienne długotrwałe ulewy. Gdy już klimat zakopiański nie wystarczał dla ratowania jego beznadziejnie zniszczonego zdrowia, musiał Szymanowski szukać ratunku w sanatoriach Alp szwajcarskich. Miał w Davos (1930) przed sobą nie dające się z niczym porównać widoki alpejskich olbrzymów. Ale cóż? Cała estetyka tych widoków nie przedstawiała dla niego żadnej niemal wartości wobec «jego» Tatr. Jeden z jego kuzynów i przyjaciół, prof. Artur *Taube*, relacjonuje nam następujące fakty:

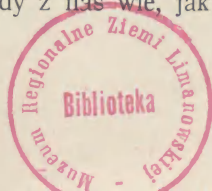
«Widoków górskich w Davos Karol nie lubił, tęsknił za Zakopanem i często mówił, iż Tatry są tysiąc razy ładniejsze. W pokoju kazał porozwieszać fotografie z Zakopanem i chętnie je gościom pokazywał».

I jeszcze gdzie indziej pisze ten sam autor:

«...robiliśmy wycieczki saniami w cudowne okolice Davos, notabene porównywane zawsze przez Karola z Zakopanem na korzyść tego ostatniego».

Czyż nam to wszystko nie przypomina tego, co w swoim czasie pisał M. Karłowicz o Tatrach w porównaniu z innymi światami górskimi Europy? A tak się złożyło, że oglądał te same olbrzymy górskie, które widział i Szymanowski. «Widziałem zastygłe w lodzie cielska olbrzymów alpejskich, podziwiałem ponurą dzikość Czarnogórza, wpatrywałem się w białą szatę majestatycznej Etny, lecz żadne z tych gór nie były mi tem, czem Tatry».

Ale czyż mógł Szymanowski być przywiązany do Tatr, których przecież nie zwiedzał? Czy może był przywiązany do nich ze względu na Podhale i świat góralski? I czy może w myśl pewnej «ideologii» zaliczylibyśmy Szymanowskiego do «estetyzujących snobów»? Sądzę jednak, że odpowiedzią na to pytanie było zamianowanie Szymanowskiego honorowym członkiem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, tak jak odpowiedzią na to, czy Szymanowskiego interesowała etnografia Podhala, było zamianowanie go na-przód czynnym, potem (1936) honorowym członkiem Muzeum Tatrzańskiego. Zbyt dobrze zdawano sobie sprawę z tego, kim jest Szymanowski dla Tatr, Podhala i Podhalan, a nie mniej i dla Zakopanego, którego honorowym obywatelom winien był zostać. I każdy z nas wie, jak bardzo ten, obsypany za-



szczytami i wysokimi odznaczeniami artysta, był dumny z tych właśnie wyszczególnień, które go wiązały z Tatrami, Podhalem i ich ludem.

Wiemy też, jak bardzo przykre ogarniało go uczucie, gdy w ostatnich latach pobytu w Zakopanem (do jesieni r. 1935) już nie był w możności brania udziału w życiu ludu, któremu zawdzięczał tyle najlepszych chwil swego życia. Jakże to pisał do autora niniejszej pracy jeszcze w roku 1923, gdy (zdawać by się mogło) chwilowo zdrowie jego pozostawiało sporo do życzenia? Oto jego słowa:

«...Boję się, żeby moje Zakopane tej zimy nie uciekło mi, bo jak wiesz, mogę tam być jedynie pod warunkiem zupełnego zdrowia, inaczej nie warto mi tam być, ...nie warto mi inwalidować w Zakopanem».

Niestety był «inwalidą» w coraz większym stopniu. «Już brakowało mu sił — pisze jeden z jego najwierniejszych przyjaciół zakopiańskich, Rafał *Malczewski* — aby uczestniczyć w wielu wyprawach do wsi na wesela, chrzciny, prządk i t. d. Ubywało młodości, rosły strapienia, niedościgłem marzeniem stawał się dłuższy okres wypoczynku».

Czasem zdołał zwlec się z łoża śmiertelnej choroby, aby zaglądnąć do znajomej chałupy w pobliżu «Atmy». Chciał jakby płacić dług wdzięczności ludowi, do którego był tak przywiązany. Nie chciał uchodzić za niewdzięcznego.

Oto mały, ale jakże wymowny obrazek, jaki nakreśliła Kl. *Solonowicz* w «Czasie» (1938), zdając relację z wizyty swej u Obrochtów na Żywczańskim:

«Spędziłam u Obrochtów niejedną wieczór. W chałupie nad potokiem, podobnej do wielu góralskich chałup, strzeżonych przez owczarki, kołysanych szumem wody, można odpocząć od «góralczyzny» Krupówek. W izbie ich są proste ławy i stołki delikatnie rzeźbione; na skrzypcach grają Jaś Obrochta, syn Bartusia i wnuk jego, Staszek. Jest tu muzyka, taniec przy niedzieli i opowieści o Chałubińskim, o Paderewskim, o «panu Karolu».

Jaś Obrochta mówi, mówią jego usta i oczy: każda ławka, każdy kątek kryją wspomnienia o «panu Karolu». Tu siedział z Sergiuszem Lifarem na weselu Zośki Obrochtówny, tu mu tłumaczył sekrety tańca zbójnickiego, tu słuchał muzyki góralskiej; tu przychodził najchętniej ciekawy góralskich spraw codziennych.

Pan Karol to artysta wielki, ale pan Karol, to także wielki człowiek. Pełno w izbie uśmiechów na wspomnienie 20 zł. na spodnie góralskie dla wnuka Bartusia, żeby nie chodził po «cepersku». Na kupno konia także dał, a nie miał pieniędzy dla siebie... Nie przestając nucić, Jaś Obrochta podszedł do ściany. Zdjął portret w pięknych złożonych ramach — podwójną pamiątkę domu Obrochtów, pamiątkę po Bartusiu od «pana Karola».



Przed willą «Atma» w Zakopanem (1935). Stoją od lewej strony; Zbigniew Uniłowski, Stanisława Korwin-Szymanowska, Karol Szymanowski, Rafał Malczewski

Fot. A. M. Wiczorek

Jest na nim Bartuś jak żywy. Coś tam rusza pogrzebaczem, przy ogniu siedzi, herbatę gotuje; jest stary, zgarbiony, chory, jak był w tym czasie.

— Masz Jasiu ojca, żebyś go zawsze pamiętał — powiedział «pan Karol», dając portret Obrochty».

Z dala już tylko mógł nadsluchiwać niepowstrzymanych wybuchów «matury» góralskiej, żyjącej śpiewem. Charakterystyczny szczególnie opowiada J. Zborowski. Podczas partii bridża usłyszał Szymanowski śpiew podpiitych górali przejeżdżających z turkotem. Mimo poważnej «sytuacji» w strategii bridżowej, gdy już miał przygotowaną do położenia na stole kartę, trzymaną w podniesionej ręce, wstrzymał powiedzeniem «poczekajcie» tok gry. A gdy górale przejechali i śpiew ich się oddalił, karta padła na stół. A przecież znał dawno i dobrze wiecznie te same śpiewki galopującej młodzi góralskiej, fiakierskiej, ale gązdowskiej. Odżyły w nim widocznie jakieś wspomnienia, których nic nie było w stanie zatrzeć.



Karol Szymanowski (1935)

Fot. A. M. Wiczorek

«A kiedy z mroku, przez otwarte okno (w «Atmie») dochodziły głosy i dźwięki muzyki góralskiej, przerywał rozmowę i mówił: «słuchaj jak górale krzyczą» — opowiada Z. Mycielski.

Ostatnie dni Karola Szymanowskiego. Wielki twórca «Harnasiów» dogorywa w sanatorium w Lozannie. «Od czasu do czasu każe sobie odsłaniać parawan, żeby mieć z okna widok, który mu przypomina Zakopane» — pisze Stanisława Szymanowska, siostra mistrza.

Zmarł 29 marca 1937 roku. A gdy na Skalce w Grobach Zasłużonych chowano jego ciało, ostatnie dźwięki, ostatni głos miała muzyka, która wypełniała całe jego serce: muzyka góralska.

Serce to do dnia dzisiejszego nie znalazło dla siebie miejsca wiecznego spoczynku. Zdaniem najbliższych przyjaciół mistrza winno je znaleźć na starym cmentarzu zakopiańskim, w pobliżu Sabaly, Chałubińskiego, Witkiewicza, Orkana i w pobliżu artysty, który w tym samym czasie, gdy powstawały wielkie, z ducha góralszczyzny poczęte dzieła Karola Szymanowskiego, tworzył nowe wartości artystyczne, również z ducha góralszczyzny poczęte: w pobliżu Karola Stryjeńskiego. Kiedyż wreszcie na cmentarzu starym w Zako-

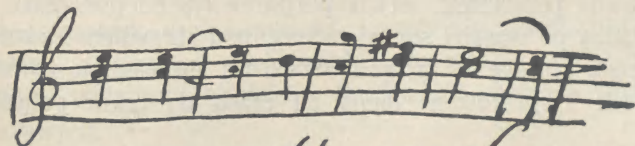
panem spoczną prochy Bartłomieja Obrochty, owego — według słów Karola Szymanowskiego — «spadkobiercy Sabaly», uwiecznionego w «Harnasiach», i to nie bez powodu?! Ten poczet wielkich nazwisk, z Tatrami i Podhalem związanych, stworzy linię tradycji, w której nie zabraknie ogniwa żadnego: od harnasia Sabaly do twórcy «Harnasiów» — Karola Szymanowskiego!

Lwów—Zakopane, maj—lipiec 1938 r.

Adolf Chybiński

Literatura: 1. Adolf Chybiński: Do genezy «Harnasiów» K. Szymanowskiego, w «Muzyce Polskiej», 1936, Nr. III, maj—czerwiec. — 2. «Muzyka Polska. Numer poświęcony Karolowi Szymanowskiemu», 1937, Nr. IV, kwiecień. — 3. «Muzyka. Karol Szymanowski. Monografia zbiorowa», 1937, Nr. 4—5, kwiecień—maj. — 4. «Prosto z mostu», 1937, Nr. 17 (125). — 5. «Wiadomości Literackie. Numer poświęcony pamięci Karola Szymanowskiego», 1938, Nr. 1, 2 stycznia. — 6. Klementyna Sołonowicz: «Pan Karol» w domu Obrochtów, w «Czasie», 1938, Nr. 54 z 24 lutego. — 7. Jerzy Młodziejowski: Szymanowski na Podhalu, w «Tęczy», 1938 (odbitka). — 8. Adolf Chybiński: Z korespondencji Karola Szymanowskiego, w «Muzyce Polskiej», 1938, Nr. VI ¹⁾.

«Harnasie»¹⁾



Karol Szymanowski
Poznań 14/931.

¹⁾ Za szereg nieznanych mi szczegółów, w niniejszej pracy użytokowanych serdecznie dziękuję dyr. Juliuszowi Zborowskiemu.

W kolibie na Jaworzynie



W kolibie płonie watra. Purpurowe iskierki wznoszą się chwiejnym lotem ku ciemnym dranicom dachu i giną w błękitnym dymie. Leżę na pachnącej cetynie. Przez szeroko otwarte wrota koliby zagląda do wnętrza granatowa noc, cicha i pełna wiru gwiazd. Ze zrębu nad roztoką, dźwiga się coraz wyżej i wyżej czarny jełtowy las, kąpiący się w rosie gwiazd i w złotej łunie wschodzącego księżyca. Chłodna noc pachnie rosą. Na tle tej nocy w kwadracie niskich wrót koliby, siedzi Stanisław Przybytek, mój towarzysz wypraw łowieckich, ongiś kłusownik — pogromca dzików. Białe rękawy ko-

szuli, białe wyprawny porębiański serdak purpurowieją od pobrzasku watry. Głębokie cienie błędzą po wąskiej suchej twarzy, pod skrzydłem kłobuka wciśniętego na wylysiałą czaszkę. W małych oczach tlą się wiecznie żywe ognie. Ręce żylaste twarde i spracowane łamią od czasu do czasu gałęzie, którymi sycą watrę.

Pomiędzy nami jest milczenie, wymowniejsze od słów, milczenie, które przeżywa trud dnia wielogodzinnych dróg wierchowych i niezapomniany smak długiej wieczornej zasiadki na zrębie, wśród goryczek i rokin, kiedy świat nieznacznie tonie w cichy mrok, przesycony zapachem dymów pastuszych i dalekim ich pośpiewem.

Pod brzaskiem wieczornej zorzy, złoto-purpurowym, daleki świat gór, aż hen po Babią staje się coraz bardziej granatowy, coraz bardziej wysoki i daleki.

Przeżywamy radość dnia w nieogarniętym świecie wierchów i roztok, w buczynowej tajni leśnej, na jasnych polanach, i w mrocznych wirydarzach chodników, tam — gdzie nas tylko chciały zanieść cierpliwe kroki myśliwca.

Właśnie wielki księżyc oparł się na jedlach nad roztoką. Od srebrnego zalewu światła posiwiała rosą trawa. Ciepły oddech lasu zmącił się z nocnym chłodem, niosąc przez powietrze aromat skoszonego w dolinach siana, najśłodszy zapach górskiej ziemi, który towarzyszy wspomnieniom wszystkich najradośniejszych dni przeżytych wśród gór.

Pozornie bez przyczyny i związku powiada Stanisław: «Brat mi osiemdziesiąt akrów ziemi w Kanadzie dawał, zebyk u niego hań ostał. Nie chciołek. Tera zły na mnie, nie pisa będzie ze trzydzieści roków.

Mnie haw dobrze w Trubacyk wylecieć, w Pustki...» Tułał się po morzach i ziemicach cudzych, zarabiał krwawe grosze i wracał. Cały zarobek, trud lat płonął wraz z dworską oficyną, «ino sie siwiuskim ogniem te dulary palily». Tam — na obczyźnie może lepiej było żyć niż w zapadłej gorcowskiej wsi a przecież wrócił do twardej poniewierki dworskiego sługi, człeka bez ziemi, jeno żeby móc w Trubacyk wylecieć... w Pustki...

Zawsze czegoś w życiu chciał. Małym chłopcem, poszedł piechotą przez góry do Zakopanego do szkoły rzeźbiarskiej, niosąc w zawiniątku wszystko co mogła mu dać matka: czystą koszulę, owsiany placek i zeszło-roczny oszczypek.

«...byłek pod Siaflarami i poculek głód. Ido... ido... dosełek do kilometra przy smentorzu w Siaflarak, siadłek se na kamieniak bo mie nogi zboły. Wzionek oscypek na tym kilometrze kamieniem tłuc telo beł kwardy...»

To było pięćdziesiąt lat temu. Mały chłopak z pod Turbacza szedł się uczyć, by wyrwać się z czarnej niedoli wsi. Pozostał w niej przemierzwszy oceany, pozostał na całe życie dla jednej jedynej pasji — dla łowiectwa.

Umie wszystko. Spracowane ręce wykonują najmisterniejszą robotę rzeźbiarską, bednarską, ślusarską, precyzyjnie i ze swoistym artyzmem. Wierny towarzysz, druń i myśliwy, surowy dla swoich, prawdomowny, prawy i delikatny, nieoceniony czuły opiekun, moszczący cetynę na krótki letni sen w kolibie, wytrawny tropiciel i przewodnik nocnych podchodów na dzika przy księżycu.

Opowiadajcie Stanisławie!

Nachyla się właśnie nad gaworzącym kotlikiem aby zrobić herbatę. Pijemy.

«...miołek spotkanie roz z dzikiem w Skalisnem Potoku. Wysełek se w Spolone w jarmarcny dzień. Flinte miołek osłozonom pod serdake. Ido a ciężko sie sło bo śnig beł wielgi. Pote zaś trza było dość potokie wodom iść coby mie dworscy nie wysłakowali. Dziwom sie a tu ze Skalisnego Potoka znać bande dzików. Narychtowałek se flinte, ido dali za świrzuśkim tropem a tu na Równiak pięci dzików, jak jałówki wielgie. Uchyliłek sie pocichusku za wiatrołom a tu mos! spod kłody sunie prosto na mnie dzik jak kuń wielgi. Zamierzyłek z flinty, a biła ta lefosiówka ponktualnie. Zamierzyłek rzeke

na samo coło, ale mnie jaze strach broł na tego dzika patrzeć, telo wielgom i siwom mioł łeb. Strzeliłek a on spod na kolana i zostoł lezeć. Tamta cała banda koło mnie przelufrowała, ale nie było juz casu do nik strzylać. Ido do tego dzika, patrzem sie z boku, no alek mu doł! Na samo coło kula przysła. Lezy jak kopa siana wielgi, ino murcy. Myślem se: ty ta zdechnies! Nawróciłek sie du dom, a uwazalek pilnie coby stracić ślad. Skakałek po jałowcak, po buckak, selek potokie, jazek zaseł dudom. Nie włazek do izby, zacymek nie nabrusił sikiry.

W izbie dziwek do stu djabłów. Zesły się prządki len przojść, rajcujom, śmiejom sie. Moja niebozycka Hanka widzi po mnie ze cosi mom, ale jakze jom z izby ciongnonć kie takie babskie mrowie. Pofiglowolek śnimi kwile pote my powiecerzali a kie sie zaceno zmrokcać baba suko za lampom a ja jom za katane. Widzom baby ze ćma sie robi, światła nie świcom, zabrały sie sitkie do pola.

Uryktowali sie i my i poza ogrody pošlimy z Hanką. Idziemy juz po ćmoku przychodzimy na to iste miejsce. Sukom co sie stało, dzika nima!

Straśnie mi sie zrobiło markotno. Rzeke do Hanki — e babo zebyś ty widziała kieli był dzik! Musieli go dworscy najść i zabrali.

Bez te prządki psiokrew my sie opóźnili.

Telo mom ino uciechy ze sie musieli cudować ze go dobry maśnik zabił co na samo coło trefił! Haj raty! cała góra misa sie nam straciła.

Ale przecie nie dawało mi to spokoja. Wybrołek sie na drugi dzień o świtaniu. Mróz był wielgi. Leco roztokom ku Starej Hucie... ślaku, znaku! Słyso, a tu cosi nademnom hurcy! Pozirom przez krzoki, a tu mój dzik! Kiz sie djabli stali ze on na coło strzylony i posed. Tak se miarkujem, ze go musioł paralus porazić bo widzo ze go nogi nie niesom.

Wylozek z krzoka a ten pozira do mnie. Gwarzem do niego: E musiała cie bez noc głowa boleć.

Ta bestyjo do mnie tute ozdziawił, kielcami strugo a z tuty sie krew leje z pianom. Miołek ino sikire, a zaś ku niemu z sikirom iść bojno, bo jesce dość krzepki. Łap ja za kamien i beł! w samom łeb! Skwicoł, ale wse do mnie kłapie. Jo za drugi kamień i zaś, po trzecie jazek natrafił na takom skalke końcystom — beł! w samo to miejsce ka był strzelony. Zapiekło go bo sie wywrócił na bok! Pomalućku ślozek ku niemu, a ten burcy jaze bojno. Zacionek sikirom na łopatke, ale słabo, bok przy tem skiełznął a ten łap tutom za toporzysko. Jo hip na brzyzek. Zaś pierem skolami do niego. Ten sie otrząsał, sikira odpadła i wlece sie pomalućku do takiego baniora i tam lóg! Jo na stare miejsce, złapałek sikire i dopirotek go w tym baniorze ubił.

Stojem nad nim cały juchom zlony i ozmyślujem jakze go tu w tyj wodzie robić? Woda od krwi cyrwona, mogom ludzie na dole postrzec.



Puszcza w Gorcach (rezerwat im. Orkana)

Fot. Stefan Jarosz

Woda zimna robić śnim w nij nie bedem, a dźwignonć takom góre som nie udolem. Miołek powróż ze sobom, ścionek smrecka, zrobilek zolustynek, uwiązołek mu powróż u zadku i ciongnem jaze mie w krzizu spiekło. Wyciongnolek zad na brzzyzek, podparłek kamieniami, ciongnem zaś zolustynkiem za przodek. Takeg go mioł juz na brzzyzku. Zrobilek maškierunek, i posełek dudom.

Letko mi sie sło, bez to zek go przecie umęcył!

Mówiem do Hanka: — Babo zbirojsie, pódziemy po tego dzika, ale jest groźny. Wzieni my conieco zjeść i pošlimy. Łupilimy go w krzakach jaze do zmroku. Nie chciała sie skóra oddzielić, ino my jom nozem od spyrki odrzynali.

Wziena Hanka przedniom noge, nimogła se jom nadać na plecy telo była ciężka. Jo wzion zadniom. Obrócili my sie o nocy zaś i wzieni po nodze. Kie my śli po trzecie, nie kciały nos juz nieść. Wzieni my brzemie ogromne, całe krzyze ś niego jo som na sie wzion, alek sie przy tem oberwał zek mało zywy dudom prziseł. Chwyciła me gorącka, kolki kłujom, nogi sie podemnom płacom. Ido, ido i nie wim ka jestem, co robiem. Juz dniało kie my sie do chałpy zawlekli. Lezałek panie cały miesiąc w łózku. Taki sie fajny tłusc na kuchni gotował, takie miso, a jo jeść nimóg zanic, jaze mie złość brała.

Po miesiącu posełek za skóróm to my jom z Piłkom ledwo we dwuk na dragu śnieśli. To był dzik — raty!»

Rzucił wielką naręcz gałęzi na watrę. Burza iskier uderzyła w strop. Widziałem przed oczyma tę srogą, w surowych słowach skreśloną walkę człeka z ogromnym zwierzem, walkę na kulę, topór i kamienie. Zapachła razem z dymem żywicznym — dawność.

Cichą noc zmącił gwar głosów ludzkich. Daleko od koliby ścieżyną ku Tobolczykowi szli ludzie na jarmark do miasta. Szli chłodną nocą, gwarząc. Śmielszego zwabił pobrzask naszej watry. Zbliżył się ku kolobie wołając z daleka: «Coście za jedni ludzie?»

Stanisław — facecjonista odkrzyknął w noc: «Wy sie nos nie pytojcie cośmy za jedni, ba rychtujcie lo nos dudki, co je niesiecie na jarmark!»

Pytający szybko wsiąknął w ciemne drzewa.

«Nie wojenne som dziś nase chłopcy — mruknął wesoło Stanisław. — Bele co ik spłosy».

Ten śmieszny incydent dał mi impuls do pytań o sprawy, które mnie z dawna interesowały.

Posłuchajcie Stanisławie, nie pamiętacie co tam ludzie za waszej młodości rozprawiali o zbójnikach?

«Tutok u nos po Gorcak tota po prowdzie zbójników nie było. Słyhać było ale o innyk ze świata od Tater i o Orawcak.

O nasyk to mój własny ujek co sługował u Cichorza opowiadał, że widziół na Buholowem siubienice, ka dwunastu zbójów obiesili i som iście pochowani na tyj kempie, co Jędrus po zajacu siedem razy strzyłoł. Ci zbóje byli tutejsi, porębiańscy, co jakomsi kase w Krakowie zrabowali. Gwarzili ujek ze sie popołedniu umówili, wieczór stela pošli, a na rano sie bez te jednom noc z Krakowa obrócili. Ale ik połapali. Dwór doł drzewo, skrzesali siubienice na tyj kempie i tam ik powiązanyk zawiedli. Wisali ik w dzień po jednemu. Mówili ujek, ze temu ostatniemu kie mu juz powróz na syjom kładli ciurki z ocu leciały. Krzycioł: Ludzie! ej ludzie! skroś tyk siedmi trojaków, marnie ginem.

Drzewij, to tu chodzowali zbójniki od Tater i z za Tatrów. Mieli takie piwnice popod Jaworzynom Kamienickom to w nik siedzieli. Mozecie sami panie popatrzeć i dziśka jak te dziury idom. Jedna tak, jak pod Truboc, druga jak Lubomirz. Idom te dziury spadkiem dołu, ale potem je ciasno, musieli sami zbójnicy zasuć siutrem. Zasypane, zasute. Wzieni roz owcorze — mówi baca Bulanda — koze, wegnali jom w te dziure to dopiro kasi na dobrzańskim wylazła. Boki miała ze sierci odarte, telo tam musiało być ciasno.

Haw mioły zbójniki przesmyki, najwięcej popod Truboc. Pod Truboc-kom syjom na Limierzach stał tam jeden baca, na samym jejik ślaku. Cho-

dzili ku niemu ci zbójnicy na syr. Co urobił — zjedli. Gwołtem nie brali, ba ino pytali — dej! — no kiebyś im nie doł, to by ci wyplacili.

Ty mos dość — nom hybia — gwarzili do niego. Płakał, a dawał, coz miół robić kie chłopy byly ze zbrojom i wielgie, mocne. Umyślił se przecie baca kainendy sie przenieść. Coz jo tu bedem na nik robić — myśli se — stracem sie z tyj polany, bedzie spokój.

Tak i zrobił. Co sie nie dzieje, nie usiedziol i kilka dni, patrzy a tu idzie polanom taki chłopiec, co ze zbójnikami chodzował i rzyka: Przislali mie tu kolegowie na syr. Dawajcie a pilno.

Zbójniki co go wysłali, ułożyli sie skraju lasa na tota strona, ale ani baca o nik nie wiedziol ani oni ku bacówce widzieć nie mogli bo polana była garbata.

Jakeś ty mie haw naloz? — pyta sie baca.

Wyślakowalek wos.

A kaz twoi kolegowie?

Wy sie o nik nie starajcie a dawajcie syr, kie kazali!

Pocekojze kwile — gwarzi baca — hnet bedzie gotowy. A sam se myśli: Jo cie tu oducem na mój syr chodźć.

Wzion kule, co na nij kociol wisi, i z nienazdania prasnoł tego zbójnicka w leb i zabił. Kie go zabił i widziol ze juz je niezywy, wzion go za karman, wywlókl ze sałasa i przykrył patykami.

Cekali zbójniki w kraju lasa i cekali, a kie sie im juz cosi długo widziało, zabrali sie sami ku bacy isć. Przychodzm ku niemu śmiało, stanęli u sałasa i pytajom:

Ka nas brat, co tu u ciebie był?

Ulonk się fte dopiro baca kie ik zaś uwidziol. Stały chłopy w cerwonyk portkak, wielgie w opaskach po pachy. Za opaskami mieli pistolce po dwa po trzi. W garści fuzyje. Kosule na nik były corne od watry, włosy długie, kręcone do warkocy.

Tu go nie belo — prawi baca, a cały stał biały na gembie.

Gdzieś go schowol — krzicom.

Jo go nie chowol, nie widziolek hawoj nikogo na sałasie.

Podniósł jeden tom kule a na ni była krew i włosy tego zbójnicka. Na progu — krew. Za sałasem krew.

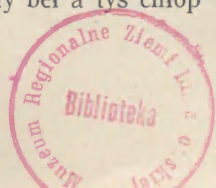
Co to za krew — pytajom.

E dy urzezałek dziska barana.

Oni nic ino za tom krwiom pošli i našli zbójnicka pod patykami. Prziwiedli ku niemu bace.

Takiegoś barana urzezał?

Najstarszy prawi: To to tak baco? Cemuzes go zabił? Dy nic po tobie nie fciol jacy krug syra. Mały bel a tyś chłop wielgi!



Klenknom przed nimi ten baca, płace i gwarzi:

Loboga zbójnikowie! Wywiedlibyście wy mnie na dzioda. Skrony was o z owcami kainendyj uciók, bok juz swoje przez was zbył i ludziom by chybiało co sie im patrzy z miru.

Cemużeś nom nie pedziół co jako? Kiebyś był tak jako dziś sie uzolił, byliby my ci zapłacili i dobrze!

Nie śmiołek!

A zabić toś śmioł? No pockoj!

Kazali mu ci zbójnicy wszystkim żentyce jaka była na sałasie do największego kotła wlać. Kazali mu drwa narąbać i pod kotłem ozłozyc watre. Pote go wzieni, uwiązali rence do nóg i tak go do tego kotła wrazili. Usiedli se społem dookoła, nie mówili nic ino fajki zapolili a sajty pilno podkładajom. Pokieła móg, pytał ik baca coby mu darowali, pote omgłół. Kie już ciało na bacy zaceno pyrceć, zabrali sie i pošli.

Paciorek se zmów — pedziół ostatni — za tego chłopca i za swojom zdradzieckom duse.

Pošli chodnikiem a tu napotkali owcarzy. Żenom owcarze owce na polednie i zapatrzili sie do tyk zbójników, telo sie do słonka tom zbrojom świcili.

Stanęli ci zbójcy rzędem, owcarzy przepuścili telo im ino rzekli:

Idźcie moli, moli, macie tam na sałasie uwarzonego barana.

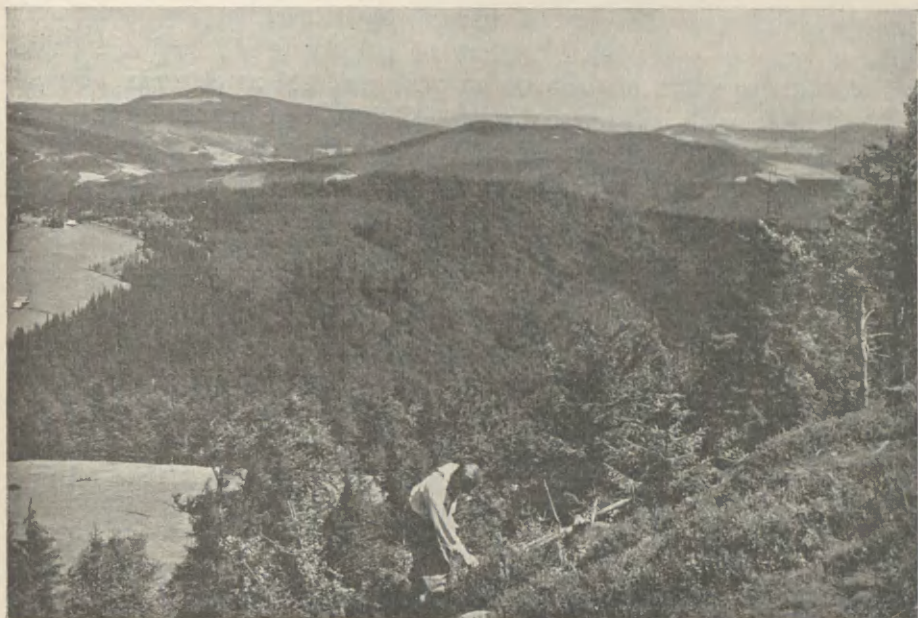
Pošli, ale se po drodze ci owcorze ugwarzujom:

Co to takie może być, dy my przecie sitkie owce wyzenili? Abo oni barana przynieśli, abo sie z bacom cosi musiało stać!

Hej! Našli go jak w kotle ku nim gołe zęby scyrzył!

Tak to beło. Baców nie napastowali, jacy ino o syr, o żentyce, zwyczajnie, kie głodni byli. Światami sie przecie nieśli to sie i posilić musieli. Kie im kto na zdradzie stoł to sie mścili. Nojracyj na karcmy napadali, na dwory, na gazdów hrubych, kie sie im zwidziało abo ka wyspekulowali ze u nik dudki som.

Nieobdalno od tego miejsca kaście panie łoni w gminnym porębiańskim cietrzewia zabili (hej pięknie tyz tuloł) juz popod same Stare Wirchy stała karcma. Som ta po nij jesce opalone ligary na polance. To juz downo! Siedziół tam karcmorz z karcmorzom młodom. Dokoła nad roztokom lasy hrube, ino ze taka dróga haw tamtędy sła jako i dziś idzie, bez Wirchy, bez Rozdziele ku miastu! Tam ta karcma stoła. Našli sie takie opryski skądśi z Orawy co do tyj karcmy przyšli samodwa. Kozali se dać jeść i pić a pilnie sie po izbie i ku kumorze poglądali. Pod wiecór zapłacili i kasi pošli. Nie widzieli sie ci chłopci karcmarzowi, polecioł za nimi pocichuśku na wyziorki. Oni śli lase hore, on za nimi. Siedli se na kamieniu nad Rozdzielem, ten isty kamień po dziś dzień hań lezi i gwarzom:



Widok na Gorce z Kudlonia

Fot. Stefan Jarosz

Karcma jest je bogata, karcmarecka fajna. Penize musom być w kumorze w skrzynie bo kaby inendyj? Sługi nimo, nimo sie co bać! Pódziemy ku nim kie sie ułożom spać! Nie bedzie fciol dudków dać, to go zabijemy, a z karcmareką potańcujemy.

Na to ten drugi: Chłop sie widzi mocny i nie głupi. Joby go o dudki nie pytoł ale byk do razu z pistolce ustrzelił. Nimo co śnim długo narabiać, choć ta miejsce puste.

Mówili po orawsku i takom zbójnikom gwarom, ale karcmorz im zrozumioł. Jaze zmiertwiol kie to uslysoł!

Obrócił sie pocichutku ku karcmie. Idzie wartko a po dródze ozmyśluje. Cy sie z babom ku wsi zaraz brać, cy sie bronić. Jest je ik ino dwa, a tu baba słaba po połogu, dziecie małe, dudków tyz dość, nie letko by sie z tym sło. Lepi kie sie na nik haw doma naryktujemy.

Przisel dudom i gwarzi babie jak i co. Baba uradziła, coby dźwi w kumorze zamknąć i zastawić, okiennice zamknąć tyz, a były hrube, brzostowe i z sikirem sie przy oknie zatajić. Dźwierzy nie ozbijom bo gwoździami kute, heba zeby okiennice wywazyli, no to sie za okiennicom zatajimy z sikirami, niek sie dzieje co chce!

Tak i zrobili. Za jakisi cas kie juz całkie zmrokcało, wrócili sie ci

orawcy i burzom do dźwierzy. Karcmarze siedzom cicho przy oknach. Ci burzom, krzicom — otwirojcie my haw na palenku przišli. Oni nic. Próbowali dźwirze wyważyć, nie dało sie im, wzieni sie zaś za okiennice, wyrwali jednom, błony pobili i jeden łeb do izby wraził. Wte go karcmarz bez łeb sikirom i niezwyego do izby wewlekli. Ten drugi dopirz teraz uwidziol co sie dzieje, uskocyl od okna i z pistolca bez okno do izby strzelił. Kula w ścianie nad samom kołyskom pacla!

Wte wzion krzyceć:

Budzies widzieć gospodzki co ja ci udzielam! Budzies widzieć!

Z tym sie zabrał.

No wybronili my sie — gwarzi karcmarz ku babie.

Wzieni tego zabitego wywlekli na mlake, a sami wrócili sie do karcme, zabrali co zabrać mieli na wóz, wołu zaprzągali, karcme zaparli, gwoździami okiennice zabili i znieśli sie dołu hań w to miejsce ka dzisiok Jasiek Kraluz.

Markotno było temu karcmarzowi ze nimoze synkować, ale sie boł. Tak mineno w sam michalski miesiąc węcyl jak ćwierć roku, przišlo ku niemu pod wiecór trzek chłopów. Ludzi dokoła nie było. Wleźli do izbe. Baby tyz nie beło, zabrała sie ku matce w Porębe. Noc była cichuška jako dziś, kszionżyc świciuł.

Kie ik karcmarz uwidziol, wiedziol co bedzie.

Ka mas penize gospodzki — pytali sie.

Penizy u mnie nimos, dałek księdzu na Olsówce przechować.

Dołeś przechować? No to ik haw nańdzies. A poznajes ty mie?

Nie! Pirse cie widzem.

Pirse? A kto w karcmie na Wirchak mojemu kamradowi łeb ozbił?

Tego to jo nie wim!

No to jo ci przybacem, tak samo ka dudki mos, przybacem ci tyz.

Położyli go na ławie, uwiązali za nogi i ręce, ozwarli na nim kosule i nasamprzód na goły brzuk goroncom wode, co sie na ogniu warzyła — lali!

Ten krzycy, lamentuje.

Ka mas dudki?

U księdza w Olsówce!

Lejom wode zaś aż całkie pamięć stracił. Wzieni go krzysić wódkom i zaś go na spytki, ale nie wydał nic! Wiedziol ze go i tak za ta tego kamrata zabijom.

Dali mu chwile dychnonć, siedli se na ławie, palnenke pijom, ugwarzujom, śmiejom sie.

Po jakimsi casie zaś o dudki pytajom. Kie im juz ani nic nie odpedziol, gwarzi ten nostarsy: No, to tobie juz koniec! My ci tu pieknie odplacimy za tamtego towarzysia, ino pockej!

Sjeni go z tyj ławy i wynieśli do pola na brzyzek nad potokiem. Tam go ciśli.

Lezy korcmorz na rosie, na zimnyj, pozira do nieba na księżyc, na gwiazdy, ostatni roz. Modli sie pocichusku o prędkie skonanie. Tymcasem zbójnicy sukoli na oborze łańcucha. Našli go i w kuminie, pośrodku ten łańcuch do cyrwona ozpalili. Przyšli z tym łańcuchem na brzyzek, podnieśli karcmarza na nogi i tym łańcuchem opasali bez pól. A pote go ku wodzie stulali. Beła tam skrzyżal nad samym potokie, to sie na nij obiesił i tak został przez pól ciała przepolony i umar!

Nawet i ta skrzyżal sie opolila i jest podziška u Kraluzów nad potokiem, przydymiona.

Srogie wte zbóje byli!»

Stanisław umilkł. Księżycowa noc zagładnęła na klepisko koliby jasnym chodnikiem srebrnej poświaty. Watra niesycona drzewem, przygasła żarząc się rubinowo. Daleko od Działku, słychać było jęklliwe pohukiwanie sowy.

«Dobrzeby było dzisiok na Suhore na owies zagłodnonć, musi dzik tam być».

Mamy czas.

«No dyj prowda. Na Wyśnij wcora zryły, nisy sałasa. Na tym sałasie tyz kiejsi baca siedziol ale uciók, cosi tam strasyło. Gwarził ze sie ziem tam poliła. Sukoł na tyk miejscak, nie znoloz nic ino sie mu łopata osmalila. Musiały han być piniądze zakopane ale diabelskie.

Trafiały sie i inne. Nieroz, nie dwa, kie zbójnicy z rabónku śli, to ik abo dworskie hajduki, abo i wojsko ozbiło ze pomykali hań bez góry samojeden, samodwa. Zrabowane nieśli, ciężko im było, to zakopali dudki pod skrzyżalom abo pod jedlom, miejsce zaznaczyli, piniondze zakleni, i pošli.

Na Kamienickiej Jaworzynie nieobdalno od koliby były zakopane takie zbójnickie penize, ale kto ik zakopał nie wiada, ani ludzie nie wiedzieli, ka one lezom. Gwara ino o tym sła. Bacował hań Mikołaj Bulanda a ten i carować umioł i licyć ludzi i bydło, jako baca.

Kie sie z owcami w jednym wiosne hań wynieśli mieryjdowali owcarze mieryjdzisko. Bili kołem zeleznym dziury ka mieli słupy kłaść, i trafili na takim skrzyżal, co ani dziury nie przebije ani skrzyżali nie dźwignie.

Idom ku bacy i mówiom: Baco! nimozemy na tym miejscu nic robić bo nos skrzyżol nie pusca.

Cosi se ten Bulanda zmiarkował, kazoł im kainendyj kosor robić. Pošli, sukali, našli takie miejsce dobre i hań robili. Bulanda pošli, ka ta skrzyżal i widzi ze była kiejsi dźwigana bo miała końce obite zelezem i jakiejsi po nij były znaki. Casu mioł dość, owcarze pošli z owcami pod sam Trubac paść, zrobił se zolustynek i tom skrzyżal het dźwignol i obrócił. Nie chciała sie



Widok na Gorce z Lubonia

Fot. Stan. Mucha

tak łatwo dać dźwignonć nie zeby zolustynek był płony, abo skrzyżal za wielga, ale widno było ze nie chce puścić. Miół na to bacą sposoby, dźwigła sie!

Dziwo sie — a tu pod skrzyżalom dziura, w nij kotlik a w kotliku penize! Musiało być ik majontek, bo kocioł był jak na żentyce i pełny! Wewlók go kainendyj w krzoki, ślaki ka go tocył zamaškirował, i miół sie ku tyj skrzyżali brać, zeby jom na swoje miejsce nastawić a tu mos, prziseł najmłodszy owcorz co miół robić drwa a śnim mój niebozycek ociec — Antoni mu było — prziseł do miru. Widzom ze skrzyżol dźwigniona a dziura pod niom wielga, od miedzi osiwiana.

Podropoł sie Bulanda w głowe i gwarzi do ojca: Wicie! wicie! Zabralek sie na polany popatrzeć co jako kany a tu cosi musiało bez ten cas przijść, kotlik z penizami zabrało! Hej raty! musioł sie tyz nimi skrześcić! Ale kto by to miół taki być? Bili owcarze doły pod słupy, nie dało im haw bić. Musioł ten zmiarkować że trza sie wartko z tym zabrać stela.

Nie widziało sie to mojemu ojcu nieboszczykowi, ale nie odezwoł sie nic, bo coż bedzie gwarził kie sie ten kryje.

Widno było pote ze sie ten Mikołaj Bulanda zбоgacił i jak! Ale chłop był dobry, dość ludziom pomagał.

Nie nachodzili ludzie tak mocki tyk piniendzy bo byly zaklente i trza było na nik wiedzieć sposób. Bali sie tyz, bo przecie wte jesce widowali po polak strzygonie, dziwozonki planetniki, wierzyli w nie śwencie. Trza było wiedzieć sposób jak tu takim przyjść. Dzisok sie z tego ludzie śmiejom, ale przódzi nie było im do śmichu kie im dróge zastompiło i dali nie puściło. Musiol sie wrócić kciol cy nie kciol.

Różne to bywało. Jo sam takie widziol, co temu do dziska nie rozumie...»

Stary dość pilnie zaczął poprawiać watrę. Zaśnięty płomień liznął łapczywie chraść, jaskrawy wysoki płomień zalał wnętrze koliby.

Cóżeście takiego widzieli Stanisławie?

Chwilę stary żuł szczękami, zapatrzony w płomień.

«Jo z małego nie bylek bojaźliwy, bo nima sie cego na świecie bać, ale kie se na to zbacem cok widziol, troche mi bojno, bo do dziska nie rozumiem temu.

Bylek fte małom chłopakom, miołek siostrze w ćtyrok latach a mnie licyli moze dziewięć, moze dziesięć. A byly jesce przy nos ze społectwa dwa dziewcenta i jeden chłopok. Jo pas barany a tamci gensi. Zytó sie wte suło. Barany obległy pod brzyzkom, gensi przy wodzie, słonko parło. Był hrabski trac nad to wodo nad Kuninom koło osiedla Bekaca, a był na nasym groncie. Trac był dookoła obity desckami, ale jedna descka była oburwana to my do tego traca nieraz po ciekawości włazili.

Skoro my mieli cas, mówiem do tyk dzieci — pódźmy sukać ptoków na tracu! A te gniazda byly wysoko nad bantami. Skoro tam nie było nic wleźlimy pod trac i zobacyli my do razu na tym wale ka sie obraca koło wodne i palecne cosi takie, co było udane jak lalka, a głowe miało nie więksom jak jajko. Włosy miało strącyse, lewom renke na uchu, prawom na biedrze i to było ziwe.

Głupie my byli, wzieni my w to prać skolami. Ale ono sie raz po razu uchylało. Az tu nase dziwce krzykło, ze barany w zycie. Sitko wyleciało do pola a jo ino krziknoł — pockojcie mie! Chycilek za kamien i beł w to! w samom głowe na coło kamien prziseł. Kopyrtło sie i wpadło pod koło do wody. Tam sie straciło. Poziralek za tem ka je, wylecialek nad wode — straciło sie. Wte mie strach obujon!

Niedługo pote woda trac zabrała i na tym miejscu ustawili mój tata młynek. Wse mi było bojno tam iść i cliwo nawet pote, kie juz bylek chłopel!

Nie dziwota, że choć bida, ludzie tyk dudków nie sukali pilno! Casem sie same odkryły.

Jak stara karcma na Tyrawie pod Lubomierzem, tam byly w brzegu nade drugom zatajone piniondze. W kwietniom niedziele sła jedna baba ku matce do wsi, a tu zaraz u Marka brzeg sie do słonka oberwał i kotlik sie z dukatami wysuł. Nie było jakosi nikogo na drudze to sie babina zwinęła,

wziena te dudki do zapaski a kotlik prasa do potoka. Były tego wielgie brzemie, ledwie dudom doniesła. Chłop siedziol w izbie, pozira na niom bo baba była na gembie cyrwona, uznोजना i pyta sie: Coz to takie dźwigos?

Wysuła baba te dudki na łozko, i mówi co — jako. Wzieni je ogłondać a były i złote i srybne ale złotyk było wiency. Nie mogli nijakim sposobem wyrozumieć temu kielo te dudki płacom.

Do miasta niś bali sie, ze im zabierom, no to pozwali takiego przekrzte co siedziol na Rzykach coby przezniol te piniondze. Widzi przekrzta kieli to majontek, ale gwarzi ze on tym dudkom nimoze wyrozumieć i za kiela ryńskik te dudki mogom stać. Pytali go coby po wsi nie ozpowiadał to im obiecał i poseł.

Za jakisi cas wybroł sie jij chłop z deskami do Bochnie. W nocy baba śpi a tu dźwirze wywalili jacysi chłopi na gembie znurciani, chycili babe za rence i pytajom o te dudki co je nasła.

Nie fciała wydać. Ni — pada — nimom dudków, naślimy to prowda ale je chłop ze sobom do Bochni zabrał, na wymianki.

Wzieni jom mencyc. Lali jij gorącom wode po piersiach, baba nie wydała. Lali wode po plecak, po nogak, nie wydała.

Widzom ze ji nie dadzom rady choć baba mało ziwa ale kwarda. Pockojze my ci tu jesce cosi kasi pokozemy, gwarzom do ni.

Wzieni sierdzeń, ozpalili w ogniu do cerwona i chcieli tyj babie wrazić do.... wte zesłała i wydała. Zabrali piniondze i pošli.

Wtedy sie dźwigła i tak jak stała zabrała sie do ksiendza pozolić. Zasła ku mojj matce mało ziwa i wte jom matka widzieli na ziwe ocy, poranionom i spuchnientom.

Przekrzta sie kasi ze wsi stracił. Babe ostawił i — ślaku znaku po nim. Widowali go pote kasi nasi ludzie na Węgrak, ka rozpocął z nowa zidowskom wiarom. Tym to ta nie wysło tak dobrze, jako Bulandowi.

Musiały te dudki być jakosi zaklente ze z nik nie mieli nic ci co ik naśli.

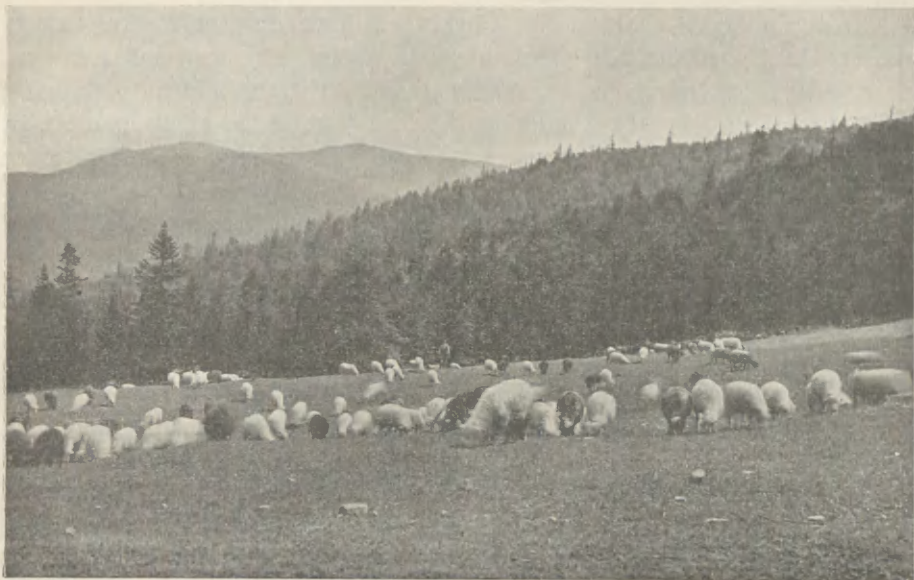
Dyjto przecie nie tak dawno jak Cichorcyk korcowal z Kuciapom jablonie na ogrodzie. Korcujom takom starom wielgom jabloni co juz nie rodziła, bijom bikiem pod korzenie, a tu cosi zazbyrcało. Wzieni pomalušku okopować, naśli kotlik a w nim piniondze, nie wiadomo cy zbójeckie, cy z rabonku. Co tu robić, ludzie dokola, dzieciska, zasuli toto ziemiom i tak sie umówili ze kie sie bedzie zmrokcać haw sie zeńdom i podzielom, kie juz nik nie bedzie na nik uwazować. Kuciapa beł chłop powolny i fajny, Cichorcyk wartki i chytry.

Co tu gadać, ubiegł ten Cichorcyk Kuciapie, dudki zabrał i pote przisel i cudował sie co to mogło być takie ze im ten kotlik zabrało.

Musiało być i tyk dudków moc, bo sie Cichorcyków syn po wsiak tuloł, pił, płacił a sam Cichorcyk nawet hrabiemu Aliksandrowi piniondze pozycył.



Z Tatr Zachodnich: Blyszcz i Bystra



Gorc z pod Kudłonia

Fot. Stefan Jarosz

Jak nastał Hadicak na leśnicego do Poremby pokazał mu taki Sobestyjon na Rozdzielu jedle, co w korzeniak miała dudki zakopane. Našli chłopi tam kotlik i do majstratu do miasta zanieśli ale były płone, miedziane. Nie płaciły nic abo mało.

A kiel a ik jesce lezi w Gorcu, w Pustkak, na Trubacyku, na Luboniu, fto ta wi fto by ik policzył?

Ci co ik pochowali, dawno ziem gryzom, abo zabici, abo obieseni, abo pomarci.

No panie! Trza sie nom brać w Suhore. Te chłopy comy ik nastrachali dawno przešli, wiatru nima, cicho, jasno, biermy sie!»

Zaraz Stanisławie, jeszcze chwilke, mówiliście że dawniej ludzie wierzyli w dziwożonki, planetniki, strzygonie. Jakże wyglądał ten strzygoń i co robił? gdzie siedział?

«Strzygoń był to ceczek nie duży, cały obrośnięty włosom jak dzik, telo ze zębce i pazdury miół wielgie. Siedział w takik pustkach, na rozdzielach, na styrbnych brzyzkach, ludziom despecił, przeganiał z wyrębu, a i nieroz zabił abo udowił.

Beł taki chłop nazywał sie Pasternak a niedawno sie ozenił. Baba jego beła za służke u innygo gazdy, wołali go Michalorz.

Kie sie ten Pasternak miół zenić, mówi do swojij coby sła ze służby. E wis — mówi ta dziwka — nolezy mi sie 5 łokci płótna na paruche, kie

wysłuzem do końca. Zol mi iść. Chybia mi jesce dwa miesionce. Odesła przecie, ale ji gaździna tego płótna nie dała. Wołała na niom, ale ta ni i ni, nie nolezy ci sie, boś przed case odesła. Dobze niebardzo mineno mało casu, śpi se ta gaździna w izbie i śnije sie ji ze sie pokozol ten chłop co sie z jij sluzkom ozenił, pokiwoł do ni palce i gwarzi: Oddej moji to płótno, co se na nie zasługowała.

Obudzila sie, mówi swemu tak i tak mi sie śniło ale, pada, jo jij tego płótna nie dom bo sie ji nienolezy.

Chłop jod, nie goda nic a pote wzion woły orać. Na połednie obrócił sie dudom bioly jak wapno. Pada do baby: Babo mirzój siedem łokci płótna i pošlij Pasternakowi.

Cyś ty chłopie zgłupioł, krzycy ta baba, niedość ze sie jij nie nolezy jesce mom ji dwa łokcie więcy dawać.

Moli — pada chłop — mirzój płótno. Trza temu chłopu na gacie i śmiertelnom kosule słać telo — kielo sie wse — dawa łokci 7, bo on juz nie zije i umarty do ciebie przisel o płótno prosić. Strzygoń go udowił.

A było tak ze sie ten chłop do lasa z wozem i wołami wybroł i nie wiadomo poco bo drzewa nimioł, z dworskiego by nie broł, boby sie boł tak śmiało jechać. Cosi tam musioł mieć. Na noc sie nie wrócił. Baba w lament, pošli chłopci rano onego sukać i našli go w niedobrem miejscu ka taki wysoki brzyg. Wóz lezoł wywrócony, ale nie do potoka ba ku ścianie, a chłop po drugij stronie na brzyzku niezyw, okrwawiony. Ziem była dokoła pazdurami zryta, jakby tam sam djaboł tańcowoł jaze strach było na to patrzeć.

No panie chodźmy...»

Wysliłmy w cichą srebrną noc. Ani jeden oddech wiatru nie zmącił wonnej, chłodnej ciszy. Nieogarnięte mrowie gwiazd mrugało na wysokiem granatowem niebie. Od czasu do czasu wielki meteoryt znaczył się oślepiającą smugą przelotu w otchłani nieba. Szliłmy grzebieniem Jaworzyny ku Tobołczykowi. Po jednej stronie — głęboka roztoka nad Porębą — po drugiej ku Hucisku, skąd dochodził nas stłumiony szmer potoka. Garbate olbrzymy gór, okryte czarnym lasem, śniły swój nieodmienny sen nocy sierpniowej. Gdzieś na wyrębie zbeczał rogacz.

Niestrudzony Stanisław zaczął półgłosem:

«Było to we wojnie. Posełek se na zajoncka, ido, patro a tu po Basielce idzie dzik za Bukowinom. Maluško sie ozwidniało, przymizolek do niego i beł! a ten do lasa.

Wrócił sie, aby ślaku nie robić, pośniadałek doma coby sie za ten cas uciszyło. Zajonek babe i wróciłimy tam za farbom sukoć. Widze krew ze ślinami nieobdalno od tego miejsca ka był strzylany. Idem dali, wypatrujem, a ta psiokrew siedzi na tyłku pod rńnioke, łeb ma obwiśniętom ale kielcami struze!

Wołam na babe: Hanka pódź!

Jest?

Je — ale ziwy.

Kie wysła nad niego, jaze zbielala na gembie, ni mogła garła ozewrzyć teli koń był wielgi i straśny. Siedlimy se nad nim siedzimy, pocekamy — mówie — jaze zdeknie.

Siedzo, siedzo, jaze popołedniu zabrał sie ten dzik iść, zesel nizey, ino sie krzoki surajom. Jency, hurcy, co raty, jaze po lesie zgielcy. Myślem se, słuchać złą krew na cały las: zejdom sie ludzie najdom jego i nas. Ludzi belo dość po lesie a to za jagodami, tu zaś nieobdalno pasom, ej raty! Wycofalimy sie a tu nisy drogi zryte, pełno krwi, poziram do krzoków nade druge a ten lezi niezwy. Fte o dzika nie bylo tak trudno jako teraz».

Weszliśmy w ciemną szyję pomiędzy Tobołczykiem a Suchorą. Ogromne buki srebrzyły się w księżycu bezszumnym listowiem. Czarne jedle majaczyły w poświacie wyciągając ku niebu konary. Otaczał nas ze wszystkich stron dech gór. Niedaleko smużyło się w wylocie tunelu owsiane poletko.

«Haw panie ostancie z tego kraja, tchnął mi najcichszym szeptem w ucho Stanisław. Uwazujcie on haw z doła wyńdzie. Stancie se na tym kopcu pod jedlom w cieniu i uwazujcie pilno. Jo oblecem dokoła na tota strona».

Zniknął jak duch. Otoczyła mię dookoła ciemna pachnąca noc. Oparty o chropawą jedlę zapatrzyłem się w popielatą polanę, w czarną ścianę lasu od której jeszcze głębszą czernią odcinał się mały napół rozwalony szałas. Zwidziały mi się w tym momencie widma tych, co tę ziem deptali w niekończących się tajemnych zbójeckich pochodach. Ożyły ich pieśnią drzewa, góry i polany.

Zwidzieli mi się bacowie pozierający na okraj świata za białym welnistym kerdelem owiec, strzelcy surowi i nieustępliwi, dawny drzewiejszy świat...

Czas płynął w szumie gwiazd. Gdzieś na wschodzie niebo stało się zaledwo bledsze, odezwał się puszczyk.

Noc, przechodzącą w rozbudzenie poranka, rozdarł strzał. Ocknąłem się wstrząśnięty tem nagłem rozerwaniem ciszy. Echo niosło się ku Turbaczycowi i wracało, tłukąc się po roztokach. Głośno, radośnie wezwał mię Stanisław. Ruszyłem. Na rosie leżał w czarnej kaluży własnej krwi, duży wycinek.

Uradowałem się dobrym strzałem i wreszcie nie bez cienia zazdrości zapytałem starego wyge:

Powiedzcie mi Stanisławie czemu dziki zawsze najchętniej na chłopów wychodzą?

Chłop panie dzikowi nie śmierdzi! — nie bez ironji odpowiedział stary.

Poręba Wielka — Zakopane, marzec 1938.

Tadeusz Malicki

4*



Dwory i dworki pod Tatrami

Przez d w ó r rozumiemy budynki służące za mieszkanie dla przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej, bądź siedzibę zarządu dóbr państwowych. Do budownictwa dworskiego oprócz samych budynków mieszkalnych zalicza się i wszelkie dependencje gospodarcze, jak folwarki itd.

Naokoło całych Tatr oprócz własności prywatnej dworskiej, której ośrodkami były dwory szlacheckie, sporo było własności państwowej (monarszej, kameralnej), która również posiadała swe ośrodki. Pojęcie dworu związane jest z pojęciem pewnego centrum gospodarczego: budynki folwarczne, czworaki, stajnie, lamusy, w których ginie często sam główny budynek mieszkalny. Natomiast budynek zamieszkały przez właściciela ziemi dworskiej, jeśli nie tworzy tego ośrodka gospodarczego, nie nosi też nazwy dworu, chyba, że z niego wykonywane były pewne uprawnienia, tak np. swego czasu górale nazywali dworem leśniczówkę Jarczysko przy ujściu doliny Olczyńskiej. Tak więc pojęcie dworu wiąże się tu z pewnym centrum administracyjnym.

Wiek XIX, likwidacja uprawnień dworskich, upadek wielkiej własności, niesie ze sobą i powolną likwidację dworów na Podhalu. Wiele zostało rozparcelowanych, inne niszczały, po niektórych i śladu nie zostało. Te które dotychczas stoją, przedstawiają tylko cień dawnej świetności, ale w każdym razie mogą — choć nieco fragmentarycznie — dać nam wyobrażenie o cechach dawnego staropolskiego budownictwa na Podtatrzu.

Budownictwo to wyraźnie odcina się od reszty budownictwa wsi. Powstało jako symbioza budownictwa dworskiego, «pańskiego», pałacowego, z budownictwem chłopskim, jako produkt budowania na modele «pańskie» przez wiejskich cieśli i «budarzy». Mieszają się więc tu motywy stylów klasycznych z grubo ociosanymi głazami i motywami góralskimi. W każdym razie całość odbija od ogólnego charakteru wsi. Już z daleka widać długie parkany z murowanymi słupkami, gęste liściaste drzewa, pozostałość dawnego parku dworskiego, spośród których bieli się dworski budynek.



Dworski budynek w Kuźnicach

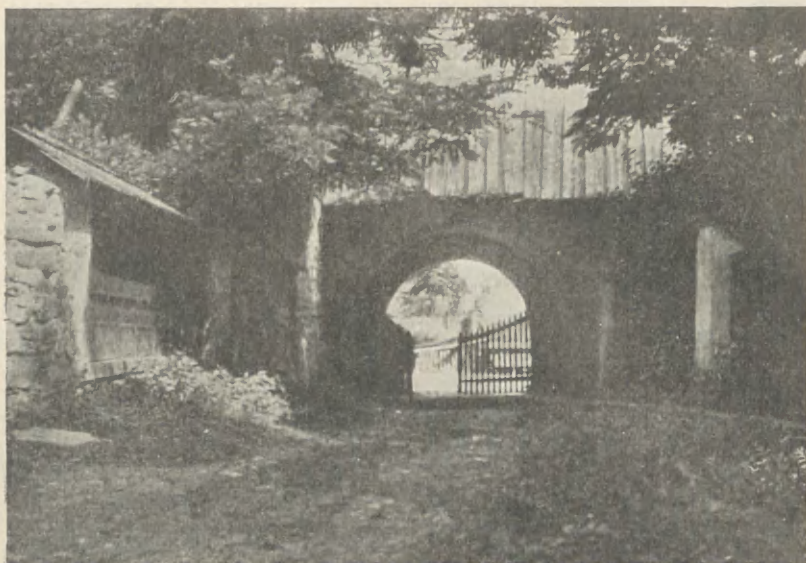
Fot. J. Reychman



Dwór, niegdyś Tetmajerów, w Łopusznej na Podhalu

Ze zbiorów Wyd. Turystyki Min. Komunikacji

Fot. H. Poddębski



Brama do dworu w Harklowej na Podhalu

Fot. J. Reychman

Na samym Podhalu istniały tak dwory prywatne (własność szlachecka) jak i folwarki stanowiące własność starostwa nowotarskiego (królewszczyzna). W XVII wieku były takie folwarki w Zębie, Czarnym Dunajcu, Szaflarach; w XVIII w. został z nich tylko folwark w Szaflarach¹⁾. Przejęte zostały po rozbiorach przez rząd austriacki czyli «kamerę». Siedzibą kamery były Kuźnice koło Zakopanego, sprzedane następnie na pocz. XIX wieku rodzinie Homolacsów. Za czasów Homolacsów był w Kuźnicach ładny budynek dworski, z łamanym, mansardowym dachem. Spłonął on w ósmym dziesiątku XIX wieku i późniejsi właściciele Kuźnic mieszkali w pozostałych budynkach, w których mieści się dziś szkoła gospodarstwa domowego.

I w Szaflarach istniał ładny dwór zbudowany przez Uznańskich, właścicieli Szaflar (od 1819 r.); dwór ten spłonął w r. 1923. Zostały tylko ruiny i budynki gospodarcze. W Poroninie nazywano dworem budynek będący ongiś zdaje się nadleśnictwem za czasów kamery. Potem zamieszkivali go Uznańscy: długo mieściła się w nim poczta. Po podziale dóbr Uznańskich (po Adamie Uznańskim) i w Kośnych Hamrach zbudowano dwór, nieciekawą budowlę drewnianą w stylu XIX-wiecznym. Był też dwór i w Dziańszu, w środku wsi na t. zw. Zagrodach. Należał on na pocz. XIX w. do Aleksandra Wojnarowskiego, który go zapisał Borowskiemu z Wysokiej; je-

¹⁾ Rafacz J., *Dzieje i ustrój Podhala nowotarskiego*. Warszawa 1935, str. 111—112.

den z nich Kajetan gospodarował na dworze dzianiskim. Potem kupił go kapitan Hauer i rozparcelował¹⁾. W r. 1928 widać jeszcze było resztki podmurówki z dawnego dworu; w r. 1930 zbudowano na tej podmurówce nowy góralski dom mieszkalny. Pozostałością dworską jest wspinały stary dąb, jeden z niewielu na Podhalu²⁾.

Tuż koło Nowego Targu, w Ludzimierzu był dwór Tetmajerów, którzy odkupili Ludzimierz od «kamery» («kamera» dostała go w spadku po cystersach szczyrzyckich). Z dworem ludzimierskim związane jest znów niebylejakie wspomnienie: tu bowiem urodził się Kazimierz Tetmajer. Obecnie z dworu nie ma śladu — został tylko łamus nieco przerobiony i śliczne brzozy płaczące. W dworze ludzimierskim bawił też Goszczyński za drugim swym pobytom na Podhalu, w latach 1872 i 1873³⁾. Również i z dworu Fihauzerów w Klikuszowej zostały tylko szczątki, uwidaczniające dziś jeszcze motywy staropolskiego dworskiego budownictwa. Nic już za to nie zostało z dworu w Odrowążu.

Lepiej się zachowały dworki drobnej szlachty na wschód od Nowego Targu. W Harkłowej stoi dwór (Cisowskich i Radeckich w XVIII w.; po



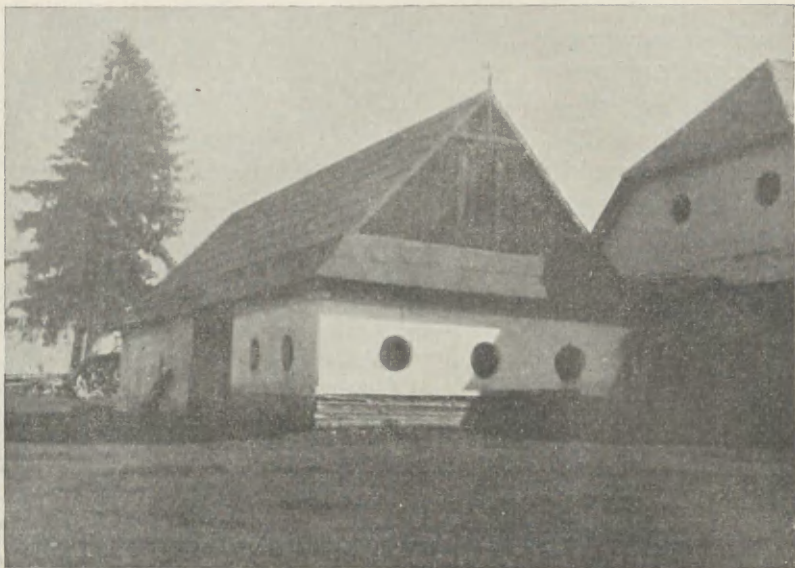
Dąb przy podmurówce dawnego dworu w Dzianiszu na Podhalu. Zdjęcie z 1928 r.

Fot. I. Reyhman

¹⁾ Górka ks. J., Ks. Wojciech Błaszyński, proboszcz w Sidzinie, Tarnów 1914, str. 11.

²⁾ Dąb ten został uznany za chroniony zabytek przyrody zarządzeniem Wojewody Krakowskiego.

³⁾ Wasilewski Z., Goszczyński w Zakopanem, Myśl Narodowa, nr 20, 1929.



Lamus dworski w Ludzimierzu na Podhalu

Fot. J. Reychman



Dwór w Matiaszowcach na Spiszu

Fot. J. Reychman

1865 r. Krobickich), częściowo przebudowany z dawnego dworku obronnego. Jeden z najładniejszych dworów znajduje się w Łopusznej. Z gościńca ku Czorsztynowi widać bielące się jego ściany, wysoki łamany mansardowy dach, ganeczek pokryty zielenią.

Z dworem tym wiąże się wspomnienie, moment, który silnie zaważył na dziejach Podhala w literaturze polskiej. Tu bowiem u swego przyjaciela Tetmajera gościł po raz pierwszy na Podhalu Seweryn Goszczyński, stąd czynił liczne wycieczki na Kluczki i dalej w Gorce czy ku Tatrom, tu poznał folklor Podhala, który potem — jeden z pierwszych — wprowadził do literatury polskiej. W swych wspomnieniach z podróży do Tatr pisze Goszczyński o dworku łopuszniańskim:

«Dom drewniany w stylu rodzinnym wszystkich naszych dworów szlacheckich, obszerny, porządnie i mocno postawiony, przyozdobiony krytym gankiem...»¹⁾. Skromne mury łopuszniańskiego dworku zasługują więc na upamiętnienie faktu o tak doniosłym znaczeniu dla dziejów regionalizmu podhalańskiego w literaturze polskiej.

Niedaleko od Łopusznej, w Maniowach jest dwór ongiś Gerżabków, potem Dudzińskich, nieciekawy budynek z XIX w. Ładnym jest za to obok stojący lamusik drewniany. W Czorsztynie pod zamkiem był dwór Drohojowskich z pocz. XIX wieku. Spłonął on w r. 1852; wybudowano potem nowy dwór w r. 1862, podobno z kamieni ruin zamkowych. Nowy dwór



Pawilon z dawnego dworu we Frydmanie na Spiszu
Fot. J. Reychman

¹⁾ (Goszczyński), Dziennik podróży do Tatrów, Petersburg 1853, str. 55—56.



Ruina dworu w Rychwałdzie na Spiszu

Fot. J. Reychman

jest to parterowy budynek w stylu «tyrolskim», modnym dla budownictwa willowego w drugiej połowie XIX wieku.

Po drugiej stronie Dunajca, na ziemi spiskiej, spotykamy już charakterystyczne cechy architektury dworskiej ziem dawnych Węgier. We Frydmanie jest dziś i «kasztel» tj. piętrowy dwór obronny, rodzaj zameczku, ale stojącego na równinie i resztki starego dworu, w postaci niebrzydkich okrągłych pawiloników dworskich z końca XVIII wieku. Typowym okazem budownictwa «kasztelowego» jest budynek dworski w Niżnich Łapsiach, czworograniasta piętrowa budowla z łamanym mansardowym dachem i otworami strzelniczymi pod nim. Dziś jest w stanie całkowitej ruiny. Ten typ «kasztelu» będącego czymś pośrednim między dworem a zameczkiem, ozdobiony często wieżyczkami na rogach, odpowiada naszemu typowi podkarpackich, piętrowych dworów obronnych, jak np. dwór w Wysokiej koło Jordanowa lub zameczek w Szymbarku.

Ku południowi na terytorium Spisza czechosłowackiego ciągnie się linia dworów dawnej szlachty spiskiej. Większość z nich znajduje się w stanie dużego zniszczenia. Resztki zostały tylko z dawnego dworu w Rychwałdzie. Piękny dwór Görgeyów w Matiaszowcach zachował się, acz dość zniszczony; dziś mieści się w nim urząd notarialny. W Toporcu sterczy zupełnie zniszczony, odrapany i wałący się, wspaniały ongiś, rokokowy dwór Görgeyów. Drugi podobny, zamieszkały przez właścicieli do dziś dnia, na drugim końcu wsi, zachował się lepiej. Kilka zniszczonych i roz-



Kasztel w Łapsiach Niżnich na Spiszu

Fot. J. Reychman



Dwór w Słowieńskiej Wsi na Spiszu

Fot. J. Reychman



Dwór w Św. Ondreju na Liptowie

Fot. J. Reychman

parcelowanych dworów stoi w sąsiedniej Słowieńskiej Wsi, własności niegdyś Badanych. Wizerunek dawnej świetności zachował dwór Berzeviczych w Wielkiej Łomnicy.

Na zachodzie Spisza tuż pod Tatrami spotykamy kilka ciekawych dworskich budowli. U stóp samego Gierlachu we wsi Batyżowce stoi śliczny dworek Mariassych, z krużgankami i barokową attyką. W niedalekiej stąd Łuczywnej jest dwór, należący do Szakmarych. Są to — po kądzieli — potomkowie Maurycego Beniowskiego. Podczas swej wycieczki na Spisz bawił tutaj Zejszner i od ówczesnego właściciela tych dóbr zbierał szczegóły o Beniowskim. O dworze w Łuczywnej zapisał: «Dwór w Łuczywnej, aczkolwiek obszerny, nie odznacza się niczym, jest to zwyczajny budynek a architekt jego nie starał się dzieło człowieka wprowadzić w harmonię z uroczystością wielkich sił przyrody, które go otaczają»¹⁾.

Z Tatr widać dalej ku zachodowi Liptów z jego dworami i dworkami, ongiś ośrodkami rodów liptowskich «panów»: Szentiványich, Illesházych, Palugyayów, Benickich, Rakowskich. Dwory te niegdyś zasobne dziś podupadłe, to dawniej cel i marzenie licznych wypraw zbójników tatrzańskich; niejedne z nich jeszcze dziś pamiętają napady «hornich chłop-

¹⁾ Zejszner L., Spisz słowacki, Bibl. Warsz., 1855, III, 200.



Dworski budynek w Ślaniu na Orawie

Fot. J. Reychman

cov». Od dworu Szentivanyich w Poturni koło Św. Jana, aż hen po dwór Rakowskich koło Ružomberku ciągnie się ich cały rząd. Zwykle są to podobne do siebie stylowe budowle z mansardowym dachem, piętrowe, czasem parterowe, nieraz z wieżyczkami na rogach. Reprodukowany na str. 60 dwór w Św. Ondreju (z r. 1784) jest charakterystyczny jako typ «kasztelu» przypominając niemal całkowicie kasztel w Łapsiach koło Czorsztyna.

Na Orawie dworki grupują się głównie w jej dolnej części. Tam żyła drobna szlachta orawska, dająca wielu wybitnych mężów swemu krajowi. A więc Abaffowie w Mokradzie i Lehocie, Kubinyowie w Górnym Kubinie (z nich pochodził niedawno zmarły Mikulasz Kubinyi, historyk Orawy), Zmeszkalowie w Lesztinach, Rewiccy w Rewisznem (jeden z Rewickich był ambasadorem austriackim w Warszawie w epoce pierwszego rozbioru), Csillágyowie w Istebnem. Najpiękniejszy, istne cacko, to dworek Kubinyich w Górnym Kubinie, pod samym Wielkim Choczem, parterowy, barokowy budynek z baniastymi wieżami i krużgankami. Z okien wagonu między stacjami Dolny Kubin—Bziny z lewej strony ku Zamkom Orawskim widać dwór mokradzki, piękny obronny kasztel, z wieżami po bokach, sięgający swymi początkami XIV wieku.

Powyżej Zamków Orawskich budownictwa dworskiego coraz mniej. Stylowy dworski budynek przy dawnej farbiarni płótna w Ślaniu na Orawie zamyka ten łańcuch, oplatający Tatry wspomnieniami dawnych, minionych czasów.

Jan Reychman



Dwór Moniaków w Zubrzycy Górnej — przyszłe orawskie muzeum regionalne

W dniu 13 sierpnia 1937 r. odbyła się w Zubrzycy Górnej na Orawie niegłośna, lecz pełna wyrazu i znaczenia uroczystość przejścia t. zw. Dworu Moniaków na własność Państwa Polskiego od szczodrych ofiarodawców, p. Joanny z Lattyaków Wilczkowej i jej brata, p. inż. Sandora Lattyaka. Ofiarodawcy, kierowani przywiązaniem do Polski, złożyli swój majątek w darowiźnie w tej intencji, by piękna rodowa siedziba sołtysów orawskich, których są potomkami, oddana została pod trwałą opiekę Państwa Polskiego.

Wprawdzie w prasie ukazało się kilka artykułów opisujących ten zabytek ¹⁾, niemniej jednak zasługuje on na dokładniejsze, monograficzne opracowanie, nie tylko jako plastyczny wyraz ustroju społecznego, panującego od XVI w. na ziemi orawskiej, kiedy to osadnictwo weszło w zdecydowane, ustalone normy, ale zarazem jako coraz to rzadziej spotykany przykład organicznej łączności dworu w swej formie architektonicznej, z elementami budownictwa ludowego, formie opartej na tej samej zasadzie konstrukcyjnej co chata i dającej tym samym świadectwo wyrastania obydwu ze wspólnego podłoża i jednakich warunków. Zanim jednak będą zebrane i wydane dostateczne materiały opisowe i rysunkowe dotyczące dworu, upłynie zapewne sporo czasu. Na razie zatem, jako drobny początek do zamierzonych już prac w tym kierunku, pragnę z okazji aktu przejścia Dworu Moniaków przez Państwo opisać ten zabytek i rzucić kilka refleksji w związku z tym tematem. Ponieważ wszakże jak wspomniałem dwór Moniaków jest doskonałym rozwinięciem konstrukcyjnych zasad orawskiej chałupy, samo tylko opisanie go bez poznania jego pierwowzoru, nie byłoby może dość plastyczne i jasne, więc naprzód poświęcę parę ogólnych uwag budownictwu ludowemu na Orawie. Mam nadzieję w ten sposób podkreślić znaczenie samego dworu, jako zabytku i przyszłego Muzeum Regionalnego tej ziemi, a zarazem uwydatnić jego znaczenie i wartość w budownictwie drewnianym.

¹⁾ Obszerny opis Rafała Malczewskiego w Gazecie Polskiej z dnia 22. VIII. 1937, dalej artykuł prof. dr. Tadeusza Szydłowskiego w Dodatku artystyczno-literackim I. K. C. z dnia 23. IX. 1937 r.

Matlakowski w swym dziele pt. «Budownictwo ludowe na Podhalu» opisał chałupę góralską, podtatrzańską w sposób najbardziej drobiazgowy, każdą najmniejszą część składową budowli wymienił i podał jej nazwę lokalną według skrętnie zbieranych informacji wprost od cieśłów-budarzy. Ta sumienność opisu u Matlakowskiego była wynikiem zachwytu nad sztuką cieśliarską górali, jej bajeczną celowością i doskonałością, w której nie ma najlichszego szczegółu bez właściwego przeznaczenia i odpowiedniego mu kształtu. Można-by tę żelazną wprost logikę i celowość formy w budownictwie podhalańskim przyrównać do niemal każdej dziedziny twórczości

ludowej, np. do tkactwa, w którym wszystko, poczynawszy od chwili zżęcia lnu, konopi czy zestrzyżenia wełny z owcy, aż do uszycia z niej odzienia i przyozdobienia go, jest wyrazem długiego i przemyślanego doświadczenia, nadającego wytworom rękodzieła i sztuki ludowej cechy doskonałości.

Zarówno jednak Matlakowski, który tyle benedyktyńskiej pracy poświęcił badaniom budownictwa zakopiańskiego i zbieraniu niezwykle cennego materiału, jak i drugi oczarowany pięknem Podhala wnikliwy artysta i badacz, Stanisław Witkiewicz, nie poświęcili jednak większej uwagi budownictwu orawskiemu. Tak więc Orawa długo czekać musiała, zanim się zajęto jej sztuką, a zwłaszcza budownictwem. Zainteresowanie to spotęgowało się z chwilą włączenia po wojnie kilku gmin orawskich, razem z gminami spiskimi do Polski. Od tego czasu, głównie dzięki szlakowi turystycznemu, wiodącemu wyłącznie już po polskim terenie z przełęczy Krowiarki na Babiej Górze na południe, przez Zubrzycę Górną i Dolną ku Tatrom lub Pieninom, zwrócono baczniejszą uwagę na ziemię orawską, jej historię, ludzi i budownictwo. Mnożą się artykuły, notatki, opisy; pojawiają się coraz popularniejsze publikacje, przedstawiające piękno Orawy i zachęcające do jej poznania.

Orawa zwróciła na siebie uwagę głównie przedstawicieli świata naukowego (historyków, etnografów), wreszcie i artystycznego, między innymi archi-



Pani Joanna z Lattyaków Wilczkowa
i p. inż. Sandor Lattyak

Fot. B. Treter



Chałupa z wyżką w Zubrzycy Dolnej

Fot. B. Treter

tektów, dla których chałupa orawska była do pewnego stopnia rewelacyjnym odkryciem. Przedstawia ona bowiem pod pewnym względem wyższy typ od chałupy podtatrzańskiej, gdyż odznacza się konstrukcją architektoniczną, więcej od tamtej rozwiniętą. Jest bezsprzecznie mniej od zakopiańskiej ozdobna. Brak w niej szczytów ze słonkami, wiekami i innych dekoracyj; drzwi, tak bardzo w chałupie zakopiańskiej bogate, tutaj są przeważnie skromne. Za to orawska chałupa, choć mniej w szczegółach ozdobna, rozwinęła założenie wieńcowe w nowy kształt architektoniczny, godny z tego względu najbardziej sumiennych badań.

Charakterystyczną cechą, która dom orawski wyróżnia jako zupełnie odrębny typ budownictwa od przyjętego na Podhalu, jest tzw. wyżka (wyska), t. j. piętrowa nadbudowa chałupy w wieńcowej konstrukcji, ponad jej dolną częścią. Jadąc od Chabówki ku Orawie, pierwsze chałupy z wyżkami spotyka się na północnym krańcu Spytkowic. W Rabie Wyżnej jest też jedna. Witają nas one też w Piekielniku, gdy od Czarnego Dunajca zdążamy na zachód. Zstępując zaś z południowych stoków Babiej Góry, natrafiamy na pierwsze, najbardziej na północ położone chałupy z wyżkami w Zubrzycy Górnej, gdzie je dostrzegamy wreszcie w samym Dworze Moniaków, położonym na północnym krańcu wsi.

Jak wiadomo na całym Podhalu obowiązuje wprost kanon ustawiania chałup dłuższym bokiem z oknami ku południowi. Matlakowski w wymienionej już wyżej pracy tak się między innymi wyraża: «Słońce jest rodzicem i dobrodziejem górala». Otóż w żadnym typie chałupy góralskiej ten wzgląd, aby dobroczynne działanie słońca jak najbardziej wyzyskać, nie został tak doskonale wyrażony w samej konstrukcji, jak właśnie w chałupie orawskiej. Okna i drzwi są rozmieszczone tylko w południowej ścianie i od tej tylko strony jest założona wyżka, którą później bliżej opiszemy. Patrząc zatem z tej strony na chałupę, odczytujemy z łatwością rozkład wewnętrzny izb, zasadniczo różny od powszechnie przyjętego planu na Podhalu.

Podczas gdy w chałupie zakopiańskiej sień umieszczona jest w środku i dzieli ją na dwie symetryczne części, z czarną izbą na lewo, białą na prawo, w planie orawskim uderza nas inny zupełnie układ izb. Obie izby stykają się z sobą i są połączone drzwiami. Biała zwykle od zachodu, czarna od wschodu. Z czarnej wychodzi się do sieni, która zamyka od wschodu zręb chałupy. W skład wieńcowej konstrukcji chałupy wchodzi też komory, jedna o wymiarach takich jak sień po przeciwnej stronie chałupy, tj. od strony zachodniej, przytykająca do izby białej, druga przylegająca do izb od północy. Obydwie zabezpieczają w ten sposób zachodnią i północną ścianę chałupy od nawałnic. Plan ten więc, podobnie jak i w chałupie zakopiańskiej, jest zupełnie symetryczny, tylko porządek w układzie jest inny. Zaznacza się on jasno w rozmieszczeniu otworów na frontowej ścianie. (Choć są i takie chałupy, które nie mają komory od zachodu, tylko dwie od północy, przy tym sień od zachodu. Wówczas brak jest symetrii w rozmieszczeniu otworów w ścianie czołowej. Taki plan jednak jest rzadszy). Przy węglach skrajnych w typowym planie flankują ścianę frontową drzwi, które z zachodniego jej końca wiodą do komory. Od wschodniego końca takie same drzwi prowadzą z pola do sieni. Część środkową ściany wypełniają cztery małe okna izb białej i czarnej. W uboższych chałupach wieńcówka kończy się od zachodu na izbie białej, podczas gdy komora zamienia się w szopę, o ścianach zbitych z desek, jednakże zachowuje te same proporcje. Uzupełnieniem planu są tylko komory, przylegające do północnej ściany i należące do zrębu chałupy.

Wieńcowa konstrukcja nie kończy się jednak przy stropie, lecz wznosi się wyżej, tworząc ponad nim piętrową nadbudowę, ową wyżkę orawską, dostępną od zewnątrz za pomocą drabiny. Wzdłuż południowej ściany pięterka, jedynie od tej strony widocznej, przebiega ganek, wsparty na końcach płazów, wysuniętych silnie naprzód z bocznych ścian chałupy. Głęboki okap dachu nad wyżką, równy szerokością gankowi, opiera się na jego słupkach, często bardzo misternie wyciętych. Czterospadowy gontowy dach, nie ma jednakowych nachyleń ze wszystkich stron. Od strony północnej i południowej spadek wynosi około 45 stopni, czasem mniej, na bokach natomiast jest bystrzejszy. Przy spadkach bocznych, zasadniczo nie ma szczytowych ścianek, które charakteryzują budownictwo zakopiańskie. Zdarzają się jednak czasem odchylenia, w których zaznacza się bądź to wpływ podtatrzański, bądź też nawet beskidzki z dachem naczółkowo-przyczółkowym. Płaszczyznę frontową dachu zwykle przyrywają w chałupie orawskiej dwa małe wyglądy (dymniki), których forma jest dwojaka. Są to zwykle albo okienka pionowo ustawione, ujęte w boczne trójkątne ścianki i nakryte daszkiem w formie klapy, lub też daszek jest dwuspadowy, przechodzący od frontu w półstożek. Takie dymniki spotkać można także i w starych chałupach zakopiańskich.

Wyżka jest doskonałym powiększeniem użytkowej przestrzeni w cha-



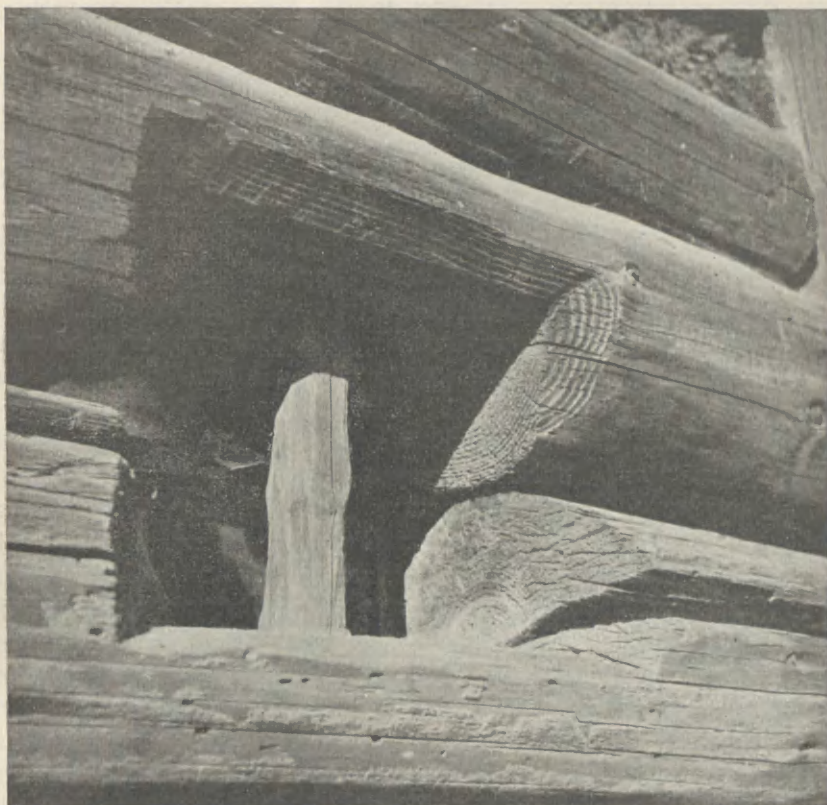
Obejście dworskie Moniaków od północy

Fot. B. Treter

łupie i znakomicie przystosowana do potrzeb miejscowego gospodarstwa. Na ganku wyżki suszą się w południowym słońcu ziola, len i konopie, wietrzy się bez względu na pogodę pościel i odzież, chowana na strychu wyżki w skrzyniach. Świetne dostosowanie chałupy orawskiej do warunków klimatycznych objawia się szczególnie w rozłożystych kształtach dachu, którego północna połać, schodząc najniżej i nakrywając również przystawione od północnej strony do izb komory, chroni skutecznie wewnątrz przed zimnem, wicherami, deszczem i zawiejami, podczas gdy połać południowa, jak gdyby odsłonięta z chusty czoło, otwiera cały wysoki front ku słońcu. Kwiatowy ogród przed chałupą podkreśla jeszcze bardziej celowość usytuowania, i zarazem wyraża poczucie i potrzebę piękna.

Jeśli teraz popatrzymy na dwór Moniaków, stawiany w roku 1784, to zdumiewa nas jego wielkie podobieństwo do chałupy orawskiej i od pierwszego wejrzenia stwierdzimy, że mamy przed sobą typ takiej samej chałupy, tylko rozwinięty w nowy, okazalszy organizm architektoniczny. Przy zasadniczym podobieństwie są jednak pewne odchylenia jak np. usytuowanie sieni, która tu nie jest z boku, lecz w samym środku dworku, czym przypomina znowu typowy rozkład w dworze polskim. Takie centralne założenie sieni i przez to stworzenie ściśle symetrycznego planu było konieczne, aby dwór odpowiadał swemu przeznaczeniu.

Dwór ten, leżący z boku wiejskiej drogi, wiodącej z Jabłonki przez Zubrzycę Dolną i Górną na północ ku stokom Babiej Góry, mogłby nie zwrócić



Okienko w dworku Moniaków w sieni od południa *Fot. B. Treter*

uwagi turysty, gdyż wtulony jest w grupę starych drzew. Zbliżywszy się jednak do nich odkrywamy całe obszerne osiedle gospodarskie ze stodołami, stajnią, szopami drewnianymi, krytymi gontowymi dachami, ustawionymi w niekształtny czworobok, zamknięty od południa imponującą bryłą dworu. Przed południowym frontem rozłożyste lipy i wyniosłe jesiony otaczają domostwo, które z tej strony spogląda drobnymi szybkami wszystkich okien ku światu.

Chociaż dwór, oglądany od północnego boku nie zapowiada na pozór nic osobliwego jednak budzić musi zaciekawienie znaczne wymiary domu wraz z otoczeniem. Toteż każdego turystę kusi jego poznanie. Wejźmy zatem do wnętrza. Prowadzą do niego proste zupełnie drzwi. Wchodzimy naprzód do szerokiej, lecz dość mrocznej sieni, o ścianach poczernionych, na których tle zarysowuje się biała masa komina. W przeciwległej ścianie drugie drzwi wychodzą na ogród przed frontem domu. Obok nich małe okienko, wy-

cięte w dwu płazach wpuszcza skąpą ilość słonecznego światła do wnętrza ¹⁾. Z sieni na prawo otwarte drzwi odsłaniają widok na czarną izbę. Drzwi naprzeciwległe wiodą do izby białej. Za izbą czarną mieści się wąski pokój, zamykający od zachodu blok dworu. Taki sam pokój kończy również jego część wschodnią za izbą białą. Do izby czarnej i białej przylegają od północy podłużne, wąskie komory, podobnie, jak w chałupie orawskiej, służące za skład, spiżarnię i t. p., a mające też połączenie bezpośrednie z sienią.

Porównując zatem dwór z planem chałupy, wystarczy przestawić się chałupy między obie jej izby, a podobieństwo to okaże się zupełne. Prowadząc dalej porównanie, musimy zwrócić uwagę na wyżkę i rozwiązanie, jakie ona znalazła we dworze. Już pierwszy rzut oka na południową ścianę od razu tę różnicę uwydatnia. Tutaj wyżka nie ciągnie się wzdłuż całej frontowej ściany, tylko jest rozdzielona na dwie wyżki, prawą i lewą, założone przy obu węglach, ponad oknami skrajnych pokoiów od południa. Umieszczono je zatem tylko tam, gdzie mała wysokość skrajnych izb na to pozwalała. Dostęp do nich jest łatwiejszy niż w chałupie, bo zewnętrznymi schodkami, przylegającymi do południowej ściany. W izbie czarnej zarówno jak i białej, nad którymi nie ma wyżki, strop jest założony znacznie wyżej niż w bocznych alkowach; w białej, jako mieszkalnej i zarazem reprezentacyjnej, a w czarnej ze względów gospodarskich, aby w górze dość było miejsca na urządzenie do wędzenia oraz na ułożenie drzewa do suszenia na opał i do innych potrzeb gospodarskich. Tak więc wymogi życia i odmienne jego warunki niż w chałupie znalazły inne rozwiązanie w poszczególnych częściach budynku, natomiast całość nie straciła nic na wspólnocie założeń ze swym pierwowzorem.

Największe zaciekawienie zwiedzającego wewnątrz dworu budzi izba czarna, i słusznie. Przekraczającemu jej próg wydaje się, że został przeniesiony nagle w dawne czasy, osobliwe otoczenie, dziś jeszcze czasem spotykane, w mniejszej tylko skali w starych chatach góralskich. Izba jest rzeczywiście czarna, ale o tej sile tonu, że musi wzbudzić zdumienie. Pierwotnie nie było w niej komina i dym z pieca rozścielał się w kurnej wówczas izbie, malując ściany jej na coraz ciemniejsze tony brązu, póki nie stały się tak czarne i lśniące, jak przepysznie polerowany heban. Nad paleniskiem dochowało się jeszcze na strychu specjalne urządzenie do wędzenia mięsa, zamknięte od dołu ruchomą klapą w stropie, otwieraną przy wędzeniu, względnie dla przewietrzenia wnętrza. W tej izbie czuje się, że życie gospodarskie, podobne zresztą jak w domu górala, biło i dziś jeszcze bitym tętnem najżywszym. Z mroku u góry wyłaniają się nieobrobione, surowe belki stropowe.

¹⁾ Pośrodku okienka tkwi kolek, który tam wprawiono po zdarzeniu sprzed bardzo wielu lat, kiedy to wilki, zapędziwszy się przed uciekającymi psami, wpadły za nimi przez to właśnie okienko do sieni, gdzie zresztą je ubito. Po tym wypadku zabezpieczono się na przyszłość tym prymitywnym sposobem przed nieproszonymi gośćmi.



Wyżka w dworze Moniaków

Fot. B. Treter

Poniżej ich na półstropkach, jak gdyby na olbrzymich półkach, suszy się drzewo na opał. Wzdłuż ścian, półki z wycinanymi listwami i przemyślnie rzezanymi podpórkami, dźwigają misy, garnki i inny sprzęt kuchenny. Przy bocznej ścianie mocna ława, ujęta jest w dwie grube w łuk wycięte podpory.

Biała izba kryje inne znowu niespodzianki, bo w izbie tej, będącej rodzajem świetlicy, prócz starych mebli, sztychów na ścianach, jest pełno rodzinnych pamiątek. Wśród nich ciężka żelazna skrzynia, w której właściciele przechowują swoje rodowe dokumenty, królewskie pergaminy i cesarskie nadania sołtystwa Moniakom i Wilczkom, wreszcie szlachectwa przez cesarza Leopolda II. W wyżkach, do których dostęp jest od zewnątrz po stromych schodkach, przytulonych do ściany, pełno rupiecia gospodarskiego. Natrafić tam można na różne niespodzianki, jak np. gazety węgierskie z roku 1863, podające dokładne komunikaty z placów bojów powstańczych w Polsce.

Zwiedzając szczegółowo dwór ten, nie podobna jest nie poddać się oso-

bliwemu nastrojowi jaki wywiera, nie można też pominąć milczeniem refleksyj, jakie się mimo woli nasuwają. Oto wskutek utrudnień komunikacyjnych, w osiedlach położonych zdala od jedynej szosy, biegnącej dawnym, sięgającym wczesnego średniowiecza, szlakiem osadniczym z Polski na Orawę, budownictwo ludowe zachowało się tam w swej nieskażonej jeszcze formie. Toteż rozpoczęta budowa szosy, mającej połączyć Śląsk z Podhalem najkrótszą drogą, wiodącą od Zawoji przełęczą Krowiarki w dół południowymi stokami Babiej Góry przez Zubrzycę Górną i Dolną do Jabłonki, musi budzić obawy o przyszłość tego, dotąd mało znanego zakątka, rezerwatu regionu orawskiego, który dostanie się rychło w orbitę rozmaitego rodzaju pokus inwestycyjnych, nie liczących się zwykle z obowiązkiem poszanowania miejscowej kultury, sposobu życia, zwyczajów i sztuki tubylców. I mimo woli chciałoby się wyrazić niepobożne życzenie, że lepiej byłoby nie prowadzić nowej drogi, gdyby z nią miało się stracić wszystko to, co dziś jeszcze przedstawia w niczym nieskalanej formie obraz miejscowej kultury. Być może zresztą, obawy te są przedwczesne. Może obecnie, po smutnych doświadczeniach, po dokonaniu tylu już kardynalnych błędów w innych osiedlach z racji przystosowywania ich do celów letniskowych, kompetentne czynniki zrozumieją wreszcie, że na Orawie, zatem na granicy zetknięcia się elementu etnicznego polskiego ze słowackim, opieka nad regionalnymi cechami orawiaków, wyrażającymi się najsilniej w języku i budownictwie, musi być najważniejszym postulatem. Jest więc rzeczą niezmiernie wagi, aby, zanim jeszcze hufce junackie postawią wszystkie mosty i złączą szosą Jabłonkę z Zawoją, przede wszystkim został opracowany ogólny, wszystkie aktualne zadania obejmujący, plan działania na nowym terenie. Pierwszym jego przykazaniem musi być przede wszystkim podporządkowanie wszelkich poczynań względem na ochronę tamtejszej przyrody i regionalnej odrębności.

Dwór Moniaków przemieni się z czasem w muzeum regionalne. Nie należy się jednak obawiać, żeby życie, które w nim dziś istnieje, miało ustąpić martwocie. Przeciwnie, zamiarem władz muzealnych będzie utrzymać tętno tego życia w możliwie niezmienionej formie, co pokrywa się z intencją ofiarodawców, którzy w swej deklaracji pięknie się wyrazili, iż «życzeniem naszym jest zabezpieczenie dla przyszłości starodawnego charakteru tego osiedla dworskiego w formie muzeum, w którym znalazłoby pomieszczenie również ruchomości, należące do rodziny, z historią dworu i tej ziemi związanej». Nie z innych pobudek, tylko z wielkiej troski o przyszłość umiłowanego rodzinnego zakątka ziemi polskiej, o utrzymanie ducha i całości kultury miejscowej, złożyli Oni ten piękny dar Państwu Polskiemu, który stanie się niewątpliwie ogniskiem, skąd promieniować będzie siła wytrwania w obronie starodawnej kultury polskiej Orawy.

Bohdan Treter

O szacie leśnej Tatr

O lasach tatrzańskich ma przeciętny turysta dość niejasne i jednostronne pojęcie. Łączy się z nim niemal wyłącznie obraz monotonnej świerczyny i — limby nad Morskim Okiem. W rzeczywistości las w Tatrach jest tak pod względem składu gatunkowego, jak i form rozwoju bardziej urozmaicony niżby się to na pierwszy rzut oka zdawało. Nic też nie stoi na przeszkodzie temu, by szerszy ogół taterników i turystów zaznajomił się bliżej z lasem górskim i w ciągu wycieczek zwracał baczniejszą nań uwagę. Zaobserwowane w nim zjawiska i obrazy wzbogacają wrażenia i zwiększają zadowolenie z wycieczki. Literatura popularna o lesie tatrzańskim jest już wcale obfita. W samych rocznikach «Wierchów» jest parę większych artykułów i sporo mniejszych notatek poświęconych naszemu lasowi górskiemu¹⁾. W wydawnictwach popularno naukowych Muzeum Tatrzańkiego w Zakopanem są dwie książeczki poświęcone w całości lub znacznej części lasowi w Tatrach²⁾. W rocznikach «Ochrony Przyrody» i wydawnictwach Państwowej Komisji Ochrony Przyrody znajdujemy wiele większych i mniejszych rozpraw na tematy związane z lasem tatrzańskim³⁾. W pewnej mierze poruszane są te sprawy w różnych popularnych wydawnictwach⁴⁾. W powyższym szkicu nie będziemy więc poruszali szerzej zagadnień omówionych już w wymienionej literaturze, do której też czytelników odsyłamy. Zajmiemy się natomiast głó-

¹⁾ M. Sokołowski: Limba w Tatrach polskich. Wierchy II, 1934. — M. Sokołowski: Wiatry w Tatrach. Wierchy V. 1927. — S. Sokołowski: Z krainy regli. Wierchy I. 1923. — M. Zajączkowski: Z historii sosny w Karpatach. Wierchy XIV, 1936.

²⁾ M. Sokołowski: Szata roślinna Tatr Polskich. «Z Tatr i Podhala» nr. 1. Wydawnictwo popularno-naukowe Muzeum Tatrzańkiego. Zakopane 1935. — S. Sokołowski: Las Tatrzański. «Z Tatr i Podhala» nr. 2. Zakopane 1936.

³⁾ J. Domaniewski: Kilka słów o sprawie ochrony ptaków i lasów tatrzańskich. Ochrona Przyrody V. 1925. — M. Sokołowski: Projekt rezerwatu limbowego w dolinie Suchej Kasprowej. Tamże XIII. 1933. — M. Sokołowski i S. Sokołowski: Wantule. Tamże XVI. 1936. — M. Zajączkowski: Dolina Sucha Kondracka. Tamże XVI. 1936. — K. Stecki: Ostatnie cisy w Tatrach. Tamże I, 1920. — S. Sokołowski: Tatry jako Park Narodowy. Nakładem P. K. O. P. Kraków 1923.

⁴⁾ M. Sokołowski: Nasz las. »Ze świata przyrody«, nr 9. Wyd. «Nasza Księgarnia», Warszawa—Wilno, 1938. — J. Szaferowa: Brzoza, Wyd. Księgarnia św. Wojciecha, 1933.





Wnętrze mieszanego lasu dolno-reglowego (świerk,
buk, jodła)

Fot. M. Sokołowski

wnie paru problemami, będącymi dotychczas wyłącznie przedmiotem badań naukowych i treścią literatury wyłącznie naukowej.

* * *

Każdemu, kto kiedykolwiek stanął w pogodny dzień na głównym grzbiecie Tatr utkwii w pamięci zupełna odrębność krajobrazu po obu stronach łańcucha górskiego. Odrębność ta polega zarówno na różnaitości form górskich, jak i charakteru krain u podnóża leżących. Podobnie ma się rzecz i z lasami. Chcąc dać choćby najbardziej skrócony rzut oka na lasy tatrzańskie, trzeba zacząć od stwierdzenia odrębności świata leśnego w obu połaciach Tatr, — północnej i południowej. Odrębność ta ma znów swą przyczynę w odrębności tychże połaci i pod względem klimatu i budowy geologicznej. Podczas gdy północna

połać Tatr zbudowana jest w części środkowej ze skał krystalicznych (głównie z granitu) a w skrajnej ze skał osadowych (głównie dolomity i wapienie), to południowa połać ma budowę prostszą, składa się bowiem cała ze skał krystalicznych. Klimat połaci północnej jest chłodniejszy, wilgotniejszy i bogatszy w opady, niż połaci południowej. Te głębokie różnice w stosunkach siedliskowych musiały pociągnąć za sobą równie głębokie różnice w składzie i życiu lasów.

* * *

Lasy tatrzańskie na północnych stokach gór dzielimy pod względem składu gatunkowego na dwie krainy: regiel dolny i regiel górny. W każdej z tych krain znajdujemy inne lasy charakteryzujące się różniami gatunkami,

zarówno piętra drzew jak i roślinności zielnej w runie. W reglu dolnym rozwiniętym na skałach osadowych i sięgającym do 1250 m wzniesienia n. p. m. w naturalnym stanie rzeczy główną rolę odgrywają lasy bukowe, bukowo-jodłowe i jodłowo-świerkowe. Lasy bukowe występują głównie na zboczach wschodnich, jodłowo-świerkowe na zachodnich, podczas gdy bukowo-jodłowe spotykamy na wszystkich wystawach. Te ostatnie były ongiś prawdopodobnie przeważające w reglu dolnym, zanim człowiek nie zmienił naturalnego składu lasów tatrzańskich. Skład gatunkowy dawnych lasów regla dolnego był bardzo rozmaity, o czym można wnioskować z ocalałych do dziś jego resztek. Prócz buka, jodły i świerka występuje tu jawor, jarzębina, jarzęb mączny (zwany też mąkinią od mączysto białej barwy spodniej strony liści), rzadka sosna (o której zresztą obszerniej zaraz pomówimy), modrzew i cis.

Wspomniana duża różnorodność lasów regla dolnego ogranicza się w Tatrach Polskich naogół tylko do okolic najbliższych Zakopanego. W innych okolicach gospodarka ludzka po wyeksploatowaniu w ubiegłym jeszcze wieku bogactw drzewnych tej krainy (głównie dla kopalnictwa i hutnictwa) wprowadziła na miejsce lasów jodłowo-bukowych i bukowych — sadzone lite świerczyny, które, jako obce tej krainie, ulegają też często różnym kłęskom: wiatrom, okiści, kornikom i innym. Na osobną wzmiankę zasługują laski olchowe ciągnące się wąskim pasem wzdłuż rzek i potoków. Tworząca je olcha siwa jest gatunkiem odmiennym od znanej nam z nizin olchy czarnej.



Wnętrze lasu świerkowego górno-reglowego

Fot. M. Zajączkowski



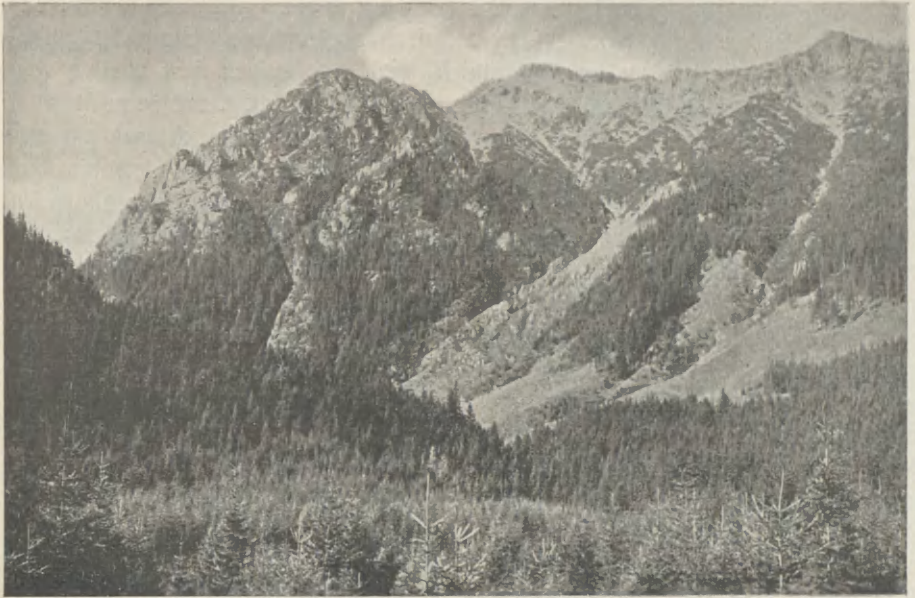
Pierwotny las świerkowy na obrywie górskim na Wantulach

Fot. M. Sokołowski

W runie tych górskich olszynek rośnie m. in. lepiężnik, o dużych talerzowatych liściach, wydzielający woń ostrą, zwracającą uwagę przechodnia.

W reglu dolnym występują też sporadycznie małe drzewostany sosny pospolitej. Są to rodzime resztki górskich lasów sosnowych względnie sosnowo-modrzewiowych, które przetrwały na tych reliktowych ostojach od pierwszych okresów epoki polodowcowej, nie wyparte przez świerka, jodłę, czy buka. Największe z tych lasków, na Skałce nad Łysą Polaną i na Koryciskach w dolinie Chochołowskiej, porastają strome ściany i zerwy skał dolomitowych. Sosny wrastają korzeniami w szczeliny, czepiają się półek skalnych i czerpią soki z niewielkiej ilości urodzajnej gleby ukrytej w załomach skał; żyją — jakby się zdawało na pierwszy rzut oka — na zupełnie nagiej skale.

W reglu górnym rozpościerającym się od 1250 m do 1500—1600 m n. p. m. dominującą rolę odgrywają lasy świerkowe, świerkowo-limbowe i limbowe; pojedynczo występuje na urwistych skałach sosna pospolita, rzadko spotyka się modrzew. Na skład florystyczny lasów świerkowych ma wielki wpływ rodzaj skały, przy czym różnice te dotyczą nie tyle piętra drzew (jako że wszędzie panuje świerk), ile roślinności zielnej. Na wapieniach i dolomitach runo lasu świerkowego jest znacznie bogatsze, warunki obsiewu



Lasy świerkowe górno-reglowe i urwiskowe na Wołoszynie

Fot. M. Zajączkowski

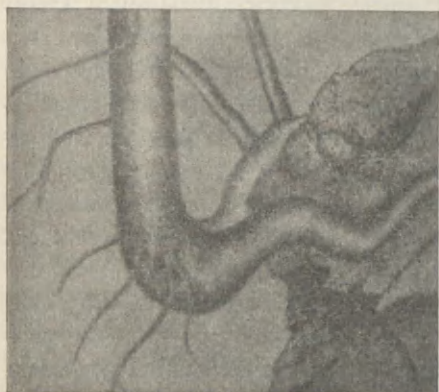
i rozwoju młodego pokolenia korzystne, podczas gdy na granitach i odnowienie naturalne jest trudniejsze i runo wybitnie uboższe. Składa się ono tu głównie z borówki czernicy, która znów na wapieniach i dolomitach stanowi składnik podrzędny.

Świerczyn w stanie całkowicie pierwotnym mamy w Tatrach bardzo niewiele; prawie wszędzie już wdarła się niszcząca ręka ludzka trzebiąc i przerywając odwieczne drzewostany. Gdziekolwiek tylko ocalały nienaruszone przez człowieka świerczyny. Są to partie lasu leżące bądź w wyższych położeniach (w Tatrach Polskich nawet od 1300 m), bądź też na urwistych, niedostępnych skałach. Z tego powodu drzewa nie dosięgają tu tak imponujących rozmiarów jak w niżej położonych lasach pierwotnych Karpat Wschodnich, albo na niżu n. p. w Puszczy Białowieskiej (tu świerk dorasta do 50 m wysokości) niemniej jednak okazy do 35 m wysokości, a 100 cm grubości nie są w pierwotnych świerczynach tatrzańskich rzadkim zjawiskiem. Budowa wewnętrzna i rozwój tych lasów kształtuje się nader rozmaicie, w zależności od ich położenia. W położeniach niższych las świerkowy jest gęsty i mroczny gdyż korony drzew wysoko osadzone tworzą jednolity strop, przez który z trudem tylko sączy się światło. Strop ten wsparty jest na gładkich wysokich pniach niby na kolumnach. Inny jest natomiast obraz wnętrza lasu świerko-

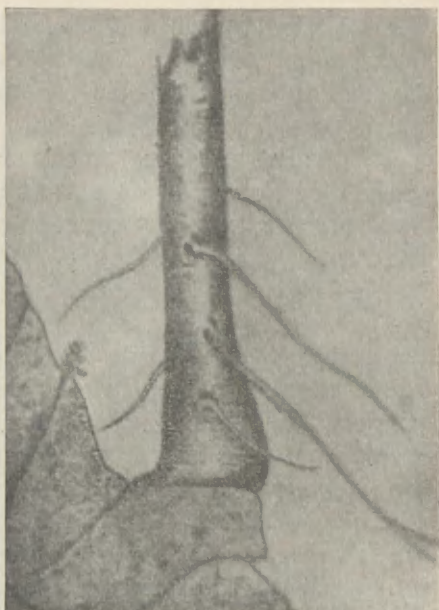
wego w pobliżu jego górnej granicy. Tu las jest znacznie rzadszy, widniejszy, korony osadzone nisko, prawie przy ziemi. Wspólną cechą charakteryzującą pierwotny las świerkowy we wszystkich jego położeniach jest wielkie jego zróżnicowanie pod względem wysokości, grubości i wieku, t. zn. że na pewnej, nawet małej powierzchni znajdujemy obok siebie zarówno drzewa wysokie (tworzące wspomniany wyżej zwarty strop) jak i niskie, grube i cienkie, bardzo stare i całkiem młode. Ta interesująca cecha jest wynikiem sposobu odradzania się pierwotnych świerczyn. W różnych odstępach czasu i w coraz to innych miejscach lasu tworzą się mniejsze i większe wyrwy i luki, poczynione przez wiatry, okiść i t. p. Luki te obsiewają okoliczne świerki nasionami i tak powstają w lesie liczne gniazda młodnika. Z biegiem długiego czasu pozostaje z każdego gniazda kilka, lub kilkanaście drzew, które wypełniają lukę w zupełności. Ponieważ te procesy tworzenia się luk, pojawiania się w nich młodnika i rozrastania się go w duże drzewa trwają nieustannie, otrzymujemy w rezultacie ową dla pierwotnych świerczyn tak charakterystyczną rozmaitość pod względem wysokości, grubości i wieku drzew.

Do pierwotnych świerczyn zaliczyć też należy nietknięte również przez człowieka świerczyny wchodzące na bardzo strome ściany górskie i zajmujące nieraz (jak n. p. na Wołoszynie) dość znaczne przestrzenie, tak zwane «lasy urwiskowe». Nie są one przywiązane do żadnego rodzaju skały, spotyka się je zarówno na dolomitach, wapieniach, jak i na granitach, nie są też ograniczone żadnymi specjalnymi wymaganiami co do wzniesienia, czy krainy klimatyczno-leśnej. Drzewa w świerczynach urwiskowych rosną — podobnie jak w reliktowych drzewostanach sosnowych — na urwistych i przepaściwych skałach. Zwartej pokrywy glebowej poza nielicznymi półkami skalnymi oczywiście tam nie ma, — tylko w szczelinach i rysach znajdujemy nieraz spore nagromadzenie zwietrzliny i resztek roślinnych, co razem tworzy urodzajną, świeżą glebę. Ciężkie warunki glebowe, skrajności klimatu (szczególnie pod względem ciepłoty, światła i wiatru), oraz uszkodzenia przez spadające z góry kamienie, lawiny i t. p. wpływają hamująco na wzrost drzew, to też nie osiągają one tak wielkich wymiarów jak okazy rosnące na tych samych wzniesieniach w zwykłych drzewostanach i przybierają rozmaite formy wzrostowe. Przede wszystkim zwraca uwagę obfitość form wielowierzchołkowych, świecznikowych, harfowych i t. p. i to w stopniu znacznie większym niż w zwykłym lesie. Często spotykamy się też ze skrzywieniami pni wyrosłych pod przewieszkami i usiłujących wydobyć się z pod niekorzystnej osłony górnej. Na osobną uwagę zasługują formy utwierdzenia świerków w skalistym podłożu, na gładkich prawie nieraz ścianach. Najczęściej spotykanymi są formy siedzące, szczudłowe, wiszące i przyczepione. Formy siedzące tworzą świerki na małych półczkach. Korzenie bądź wnikają w szczeliny, bądź ciągną się po półce pokrytej zwykle cienką warstwą gleby.

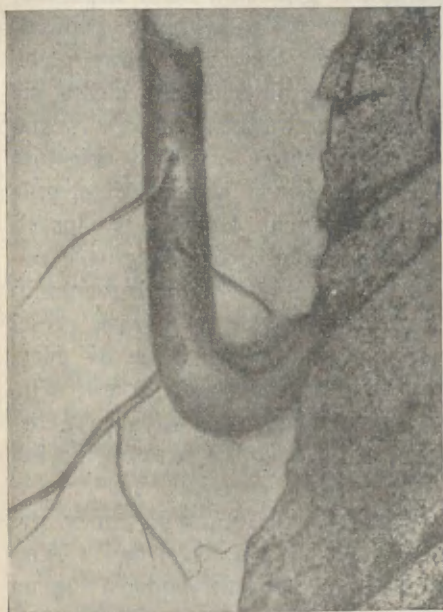
ZAKORZENIANIE SIĘ DRZEW
W LASACH URWISKOWYCH :



Typ wiszący



Typ siedzący



Typ przyczepiony

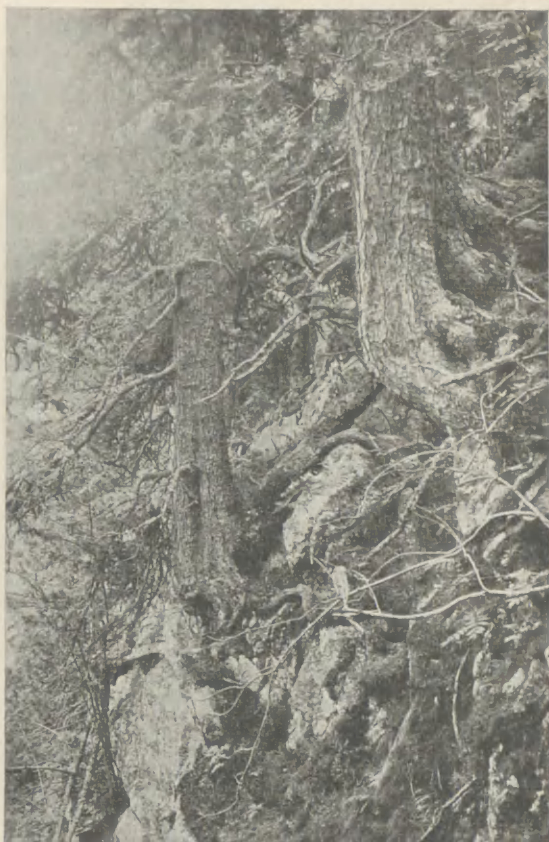


Typ szrudłowy

Wskutek nacisku następuje rozrost tkanek u nasady pnia, która rozszerza się znacznie, co zapewnia drzewu możliwie najlepsze utwierdzenie na małej podstawie. Przy formie s z c z u d ł o w e j świerk stoi silnymi odnogami korzeni (szczudłami) na przynajmniej dwu kondygnacjach półek nad sobą biegnących. W dalszym ciągu korzenie zagłębiają się w szczeliny lub biegną po półkach. Forma ta zawdzięcza swe powstanie częściowemu wypadnięciu skalnego podłoża z pomiędzy korzeni i oberwaniu się pokrywy glebowej, w której korzenie były ongiś zagłębiane. Formy w i s z ą c e budzą prawdziwy podziw. System korzeniowy rozmieszczony jest w przeważnej części na półce, ale pień zwisa poza nią (w normalnej zresztą pozycji) zawieszony tylko na paru odnogach korzeni. Nasada pnia bywa albo prosta, albo wygięta ku dołowi. Formy wiszące powstają w dwojaki sposób: albo świerk rosnący na półce zostaje przez śniegi, głązy i t. p. przyczyny zepchnięty ze swego stanowiska bez zmiany normalnej pozycji i zawisa tylko na wyciągniętych korzeniach, poczem żyjąc nadal w tym położeniu wzmacnia osłabiony system korzeniowy i może dożyć nawet późnego wieku; albo młody świerk na półce zostaje obalony, a zwisający ku dołowi jego wierzchołek zaczyna po pewnym czasie podnosić się i wracać do pierwotnego kierunku, i tak stopniowo pień przyrasta i wyprostowuje się — z wyjątkiem nasadowej części, która pozostaje wygięta ku dołowi. Formy przyczepione spotyka się na gładkich ścianach. System korzeniowy, niewidoczny, schowany jest w głębokiej, mało widocznej szczelinie, pień zaś u nasady silniej lub słabiej ku dołowi wygięty. Obfitość światła w ścianach skalnych a wilgoć i żyzna, choć skąpa ilościowo gleba na półkach i w szczelinach skalnych sprzyja naturalnemu odnowieniu się świerczyn urwiskowych, to też nieraz można obserwować pionowe niemal ściany porośle gęstwiną młodych drzewek. Oczywiście zaledwie niektóre z nich tylko dojdą do późniejszego wieku — znaczna większość ulegnie w walce o byt w tak trudnych warunkach życiowych i zginie. W lasach urwiskowych, podobnie jak i u górnej granicy lasu, bardzo dużą rolę odgrywa rozmnażanie rastowe (wegetatywne). Polega ono na zakorzenianiu się dolnych gałęzi leżących na ziemi i przykrytych zwykle na pewnej części swej długości ziemią lub mchem. Końce tych gałęzi podnoszą się do góry, zaczynają energicznie wzrastać i przybierają postać normalnych drzew, a po pewnym czasie łączność ich z drzewem macierzystym przerywa się. W ten sposób wokół jednego okazu może powstać cała kolonia okazów pochodnych.

W najwyższym pasie lasów świerkowych, już u ich górnej granicy, pojawia się limba, tworząc lasy ś w i e r k o w o - l i m b o w e a wyżej nawet l i m b o w e. Są to lasy rzadkie, widne. Pas ich występowania podnosi się na grzbietach, a obniża się w dolinach, zgodnie z górną granicą lasu. Najczęściej i najlepiej rozwinięte lasy limbowe spotykamy na zboczach pół-

nocnych i zachodnich, szczególnie na miejscach skalistych i urwistych, na których współzawodnictwo ze świerkiem jest mniej groźne. W przeciwieństwie do reliktowych lasów modrzewiowych nie znajdują się one dziś w fazie cofania się, zaniku — owszem, klimat obecnego okresu, wilgotniejszy i chłodniejszy sprzyja ich rozwojowi. Stosunkowo skromny ich udział w całokształcie lasów tatrzańskich należy sobie tłumaczyć głównie niszczytelką działalnością człowieka. Runo ich podobne jest do runa lasów świerkowych na granicy, jako że w Tatrach Polskich większe skupienia limby występują tylko na tym podłożu skalnym. Jako ważna domieszka występuje w nich jarzębina, która tu jest sporym drzewem, dochodzącym do kilkunastu metrów wysokości i do 20 cm grubości.



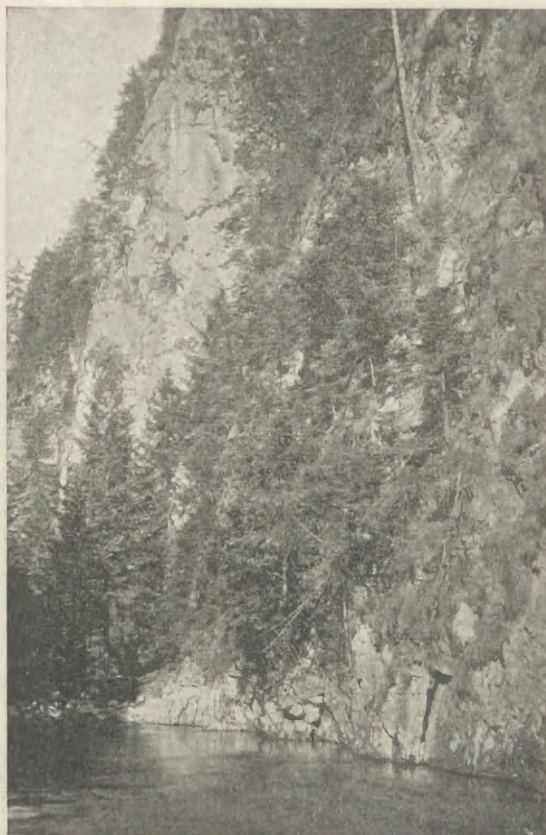
Fragment wnętrza lasu urwiskowego (Wołoszyn)

Fot. M. Sokółowski

Ciekawym a rzadkim zjawiskiem jest występowanie lasów jarzębinowych ponad górną granicą lasu świerkowego.

* * *

Zupełnie inny wygląd przedstawiają lasy południowej strony Tatr. Nie ma tam tak wyraźnie zróżnicowanej piętrowości, nie możemy też podzielić ich na regiel dolny i górny. Na całej przestrzeni od podnóża gór aż do górnej granicy lasu występują lasy świerkowo-modrzewiowe, jedynie tylko w najwyższych położeniach natrafiamy na drzewostany limbowe, limbowo-modrzewiowe, a nawet ponad górną granicą lasu na lite laski modrzewiowe. Gdziekolwiek również na niższych wzniesieniach spotyka się domieszki jodły; sosna pospolita tworzy większy drzewostan na wzniesieniu ok. 1100 m w okolicach Jaskiń Bielskich a w pojedynczych okazach dochodzi do wzniesienia 1465 m n. p. m.



Fragment lasu urwiskowego (Brama Kraszewskiego
w dol. Kościeliskiej)

Fot. M. Sokołowski

między modrzewiem i świerkiem wynosi ok. 10 lat. W ten sposób modrzew starszy i większy od świerka ma dostateczną ilość światła do swego rozwoju, świerk zaś może wzrastać dobrze pod jego ocienieniem. Gdy drzewostan taki dojdzie do późniejszego wieku, świerk może się ciągle obsiewać w cieniu pod okapem drzew, modrzew jednak nie ma zupełnie możliwości wytwarzania tam nowych siewek. W tym stanie rzeczy modrzew powinien w naturalnych lasach świerkowo-modrzewiowych wyginać. Należałoby bowiem przypuszczać, że pojedyncze jego sztuki będą jeszcze długo pozostawać w lesie w charakterze coraz to bardziej zmniejszającej się ilościowo domieszki, kiedy jednak te ostatnie okazy zgryzione zębem czasu padną, pozostanie lokalnie tylko drzewostan świerkowy. Tak jednak nie jest. Wiemy dobrze, że modrzew od

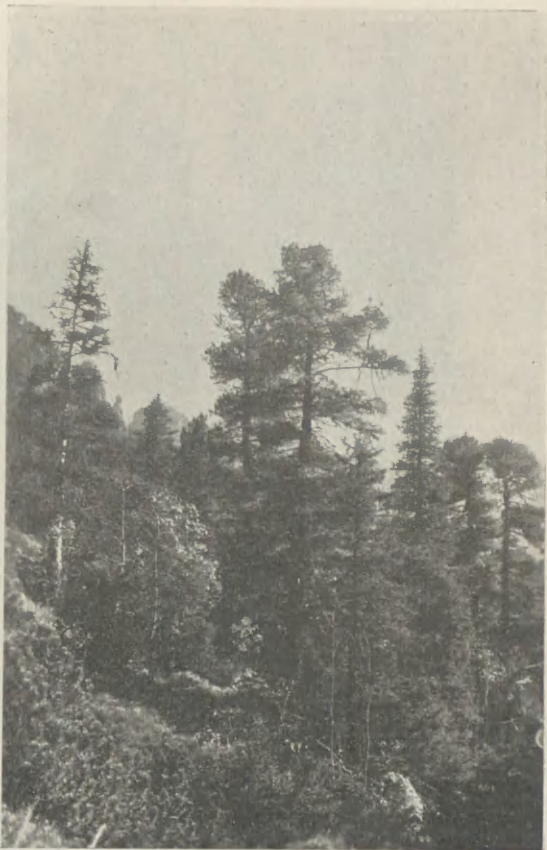
Lasy świerkowo-modrzewiowe są bardzo zajmującymi z leśnego punktu widzenia obiektami. Modrzew jako gatunek wybitnie światło-żądny wymaga do swego rozwoju znacznej ilości światła i nie znosi ocienienia; świerk natomiast, bardziej cieniowytrzymały może wzrastać nawet w dość silnym ocienieniu. Prócz światła ma stan gleby bardzo wybitny wpływ na odnowienie naturalne i wzrost małych siewek modrzewia. Na glebach ubitych i zadarnionych nie wyrosną młode modrzewie, natomiast zasieją się one chętnie na glebach zruszonych i pozbawionych silniejszego kobierca roślin zielnych. Modrzew więc odnawia się w większych niezadarnionych lukach leśnych, przy czym obsiewa się i wzrasta na danej powierzchni pierwszy, po nim dopiero zajmuje teren świerk. Obserwacje wykazały, że różnica wieku

wieków pozostaje w tatrzańskich lasach modrzewiowo-świerkowych. Utrzymywanie się modrzewia w dość znacznych ilościach na południowych stokach Tatr wywołane jest szeregiem niekorzystnych zasadniczo dla życia lasu objawów, w jakie obfitują siedliska tatrzańskie. Silne wiatry, wody, lawiny, obrywy górskie niszczą lasy wytwarzając wielkie niejednokrotnie luki. Modrzew, jak już wiemy, chętnie obsiewa się na takich ogołoconych z drzew miejscach — po kilku latach wchodzi na to miejsce w jego cieniu świerk i cały cykl powtarza się od początku.

Wielkie zainteresowanie wzbudzają lasy modrzewiowe na południowych stokach Huncowskiego i Sławkowskiego Szczytu. Leżą one już ponad górną granicą lasu świerkowo-modrzewiowego, przebiegającą w tych miejscach na wzniesieniu ok.

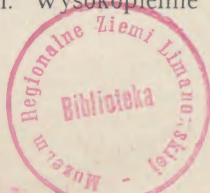
1550 m. Powyżej niej natrafiamy na las modrzewiowy o wysokości pni do 20 m i zwarcu jak u wszystkich modrzewin dość luźnym. Las ten sięga wzniesienia 1600 m, po czym rozpada się nagle na pojedyncze okazy dochodzące do 1630 m wzniesienia. Powyżej widać jeszcze pojedyncze limby wśród łanu kosówki.

Pochodzenie tych lasów modrzewiowych wyłomaczyć możemy sobie w sposób następujący: w najcieplejszym okresie epoki lodowcowej modrzew — który jak wiemy obok sosny był jednym ze składników pierwszego lasu w Tatrach po ustąpieniu lodowców — mając szczególnie na południowych zboczach Tatr znacznie odpowiedniejsze warunki rozwoju, rozszerzył swój zasięg znacznie powyżej dzisiejszej górnej granicy lasu świerkowo-modrzewiowego t. j. ponad 1600 m. Wysokopienne jego okazy rosnące dziś po



Las limbowo-świerkowy nad Morskim Okiem

Fot. M. Sokołowski





Reliktowy las modrzewiowy na południowych zboczach
Stawkowskiego Szczytu

Fot. M. Sokołowski

1630 m, mogą być poczytane za ostatnie resztki tych rozleglejszych ongiś lasów modrzewiowych, na całym obszarze Tatr, przynajmniej po południowych ich zboczach. Oczywiście owo rozszerzenie zasięgu modrzewia dokonało się zarówno w dół, kosztem lasu świerkowo-modrzewiowego, jak i w górę, gdzie zwycięsko wkraczał w dzisiejszą krainę kosówki. W późniejszych okresach epoki polodowcowej klimat wilgotny i zimny nie sprzyjał już rozwojowi modrzewia, okazał się natomiast korzystnym dla świerka i kosodrzewiny. To też z jednej strony, zaczął modrzew cofać się od swej granicy i oddawać stopniowo teren kosówce, z drugiej ustępować świerkowi, który ruszył od dołu na zdobycie obszarów zajętych dotychczas przez lasy modrzewiowe. Tak to lasy modrzewiowe zostały całkowicie wyparte z jednej strony przez kosówkę, z drugiej przez świerka. W paru tylko miejscach zostały resztki dawnych lasów modrzewiowych w postaci opisanych wyżej małych lasków.

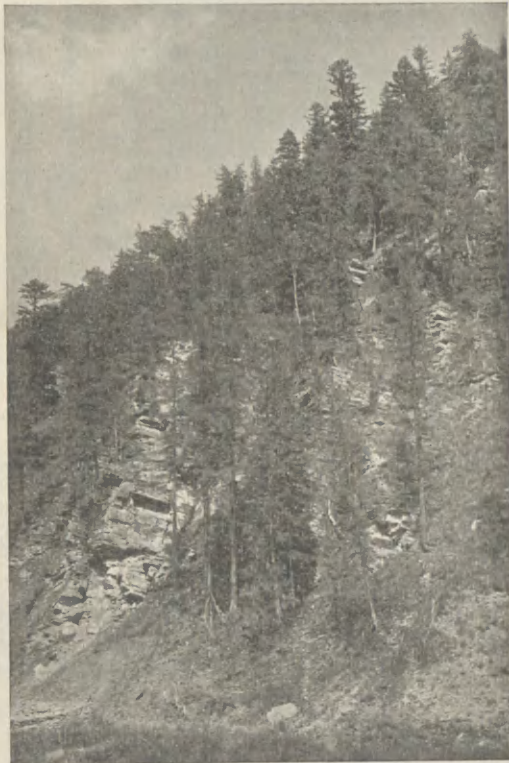
W północnej połaci Tatr historia modrzewia ukształtowała się odmiennie. Tu dzięki chłodniejszemu zawsze i bogatszemu w opady klimatowi, świerk szybciej opanował teren i wyparł pierwsze lasy modrzewiowo-sosnowe, osiągając zresztą we wspomnianym cieplejszym okresie również znacznie wyższą od obecnej (według prof. Szafera¹⁾ o 300 m) górną granicę.

¹⁾ W. Szafer: Jak powstały lasy tatrzańskie? Rozdział w S. Sokołowskiego «Las Tatrzański».

*
* *

Pierwotna przyroda leśna Tatr — jak z tego pobieżnego szkicu widać — była bardzo bogata. Niestety wiele z tych bogactw strawiła i zaprzepaściła krótkowzroczna zachłanność ludzka, a także i nieumiejętność człowieka w hodowaniu lasu. Nowoczesne leśnictwo oparte na zdrowych podstawach przyrodniczych przystępuje do naprawy tych błędów, do odrodzenia lasu tatrzańskiego, do przywrócenia mu pierwotnego składu i wewnętrznej budowy, a przez to do uodpornienia go przeciw różnym niszczącym go dziś klęskom.

Marian Sokółowski i Maciej Zajczkowski



Las mieszany (świerkowo-modrzewiowy) na południowych stokach Tatr

Fot. M. Zajczkowski

Cisna i zachodnie krańce Bieszczadów

Na 600-kilometrowym odcinku Karpat mamy w Polsce 7 linii kolejowych, przecinających łuk karpacki w poprzek, wzdłuż których grupują się liczne miejscowości o wybitnym znaczeniu turystycznym. Jest wśród tych kolei tylko jedna linia, przy której nie ma dotąd ani jednej stacji, uznanej oficjalnie za docelowy punkt ruchu turystycznego, jest nią mianowicie linia Nowy Zagórz—Łupków z wąskotorowym odgałęzieniem do Cisnej. Fakt ten nie wynika z okoliczności, jakoby w sąsiedztwie tej właśnie linii kolejowej nie było nic turystycznie ciekawego, lecz jest skutkiem tego, że część Karpat, leżąca na pograniczu Beskidu Niskiego i Bieszczadów jest z całych Karpat Polskich najbardziej opóźniona w rozwoju. Można przypomnieć, że przecież jeszcze w roku 1926 mało kto słyszał o Zwardoniu, w roku 1930 można było na palcach liczyć turystów odwiedzających Sianki, a dziś te obie miejscowości należą do czołowych punktów zainteresowania turystycznego. Mamy więc nadzieję, że za lat kilka Cisna będzie w kołach turystycznych powszechnie znana, a linia Nowy Zagórz—Łupków będzie skupiać ożywiony ruch wycieczkowy.

Linia powyższa jest najstarszą ze wszystkich polskich transkarpaccich linii kolejowych, została bowiem ukończona już w r. 1874, jako tak zwana pierwsza kolej galicyjsko-węgierska Przemyśl—Łupków. Miała ona znaczenie głównie strategiczne, wiążąc ważną twierdzę — Przemyśl z wnętrzem monarchii austro-węgierskiej. W transporcie towarów i osób znaczenie linii było zawsze nie wielkie, tym bardziej że niewiele później przybyły w sąsiedztwie inne linie konkurencyjne. Górski odcinek tej kolei sąsiadował od wschodu z zachodnią częścią Bieszczadów, obfitującą w rozległe lasy, które zresztą były jedynym bogactwem okolicy. Dla ułatwienia eksploatacji tych lasów zbudowano z Łupkowa wąskotorową kolejkę, biegnącą w głąb Bieszczadów do małej osady górskiej — Cisnej. Okolicy tej wsi pragniemy właśnie niniejsze uwagi poświęcić. Dziś jest Cisna jeszcze mało znana, ale nie trzeba specjalnych zdolności proroczych, aby przewidzieć jej szerokie możliwości rozwojowe. Warunki naturalne dla rozwoju ruchu turystycznego i letniskowego są tu bowiem pierwszorzędne, a jedynie uciążliwy dostęp

i brak urzędzeń turystycznych przyczynił się do tego, że powolne jej «odkrywanie» rozpoczyna się dopiero od jakichś dwóch lat.

Dostęp do Cisnej, jeżeli pominąć możliwości dalekich wędrówek pieszych grzbietami gór, jest możliwy w chwili obecnej dwiema drogami: albo koleją przez Nowy Zagórz do Nowego Łupkowa, a stąd wąskotorową kolejką do stacji Cisna, albo też koleją do Leska-Łukawicy, z Leska autobusem do Baliogrodu, a dalej do Cisnej pieszo lub zwykłą furmanką. Dogodniejszy będzie



Cisna, widok ogólny

Fot. B. Lehman

mimo wszystko pierwszy sposób, przy którym wszakże trzeba mieć na względzie, że pociągi na wąskotorowej linii Nowy Łupków—Cisna kursują tylko 3 razy w tygodniu, trzeba więc trafić do Łupkowa w odpowiednim dniu, nie chcąc się narazić na przykre niespodzianki.

Opiszmy pokrótce charakter tej drogi. Już w Nowym Zagórz, wsiadając do pociągu w kierunku Łupkowa spostrzeżemy silny kontrast między ożywionym ruchem na linii transwersalnej w kierunku Chyrowa i Sanoka, a wybitnie lokalnym charakterem linii do Łupkowa. Na linii tej, dawniej dwutorowej, zniesiono wkrótce po wojnie światowej drugi tor i dziś kursują tu wyłącznie pociągi mieszane, ciągnięte przez pradawnego typu parowozy. Na stacjach parowozy te wyczyniają niekiedy dziwne harce, opuszczając pociąg i przesuując wagony towarowe nieraz nawet przez kilka kwadransów. Osobom przyzwyczajonym jeździć pociągami współczesnego typu, eksperymenty te nie przyczyniają dobrego humoru. Minąwszy stację Zagórz z charakterystycznym cmentarzyskiem wycofanych z obiegu parowozów, pociąg posuwa się powoli krętą doliną Osławy wśród łagodnego krajobrazu dość wysokich wzgórz, pokrytych polami, a tu i ówdzie płatami lasów. Ubogie osiedla ludzkie grupują się w pobliżu dna doliny, lub też wchodzą w doliny bocznych potoków. Wzgórza, ciągnące się po wschodniej stronie Osławy



Chaty łemkowskie w Duszatynie *Fot. B. Lehman*

należą już geograficznie do Bieszczadów, od zachodu rozlega się Beskid Niski, jednak aż do Komańczy tak jedne, jak i drugie nie mają właściwie charakteru górskiego i nie różnią się krajobrazowo od siebie. Pewną monotonię doliny Osławy urozmaica od czasu do czasu prymitywny most o ciekawej wiszącej konstrukcji (np. w Wielopolu, w Czaszynie), wyłaniające się w dnie doliny lub na stromszych stokach ławice skalne, czy też wieże szybów naftowych, ciągnące się sznurem. Ruchu letniskowego w osiedlach prawie nie widać.

Od przystanku Rzepedź kolej wkracza w boczną dolinę Osławicy, a główną doliną, ścieśniającą się w tym miejscu, podąża dalej w górę tylko kolejka gospodarcza do tartaku w Duszatynie. Wieś ta, położona niezmiernie uroczą w przełomowym odcinku i otoczona zewsząd pięknymi lasami, posiada dobre warunki przyrodzone dla rozwoju ruchu turystycznego i letniskowego, jest jednakże, podobnie jak i inne miejscowości w tej części Karpat, zupełnie do tego nie przystosowana. Osobliwością Duszatyna jest znacznych rozmiarów osuwisko w dolinie Osławy, które spowodowało utworzenie się dość głębokiego jeziorka, słynnego z wspaniałych pstrągów.

Najbliższą stacją kolejową jest Komańcza, jedyna miejscowość przy tej linii kolejowej, wykazująca już obecnie dość wyraźny ruch letniskowy. Istnieje tu pensjonat i pewna liczba pokoi dla letników w domach wiejskich,



Jezioro w dol. Olchowatego Potoku pod Duszatynem, utworzone skutkiem zsuwu w 1909 r.; z dna jeziora wysterczają pnie zatopionych jodeł

Fot. B. Lehman

okolica jest malownicza, lecz niestety trochę malaryczna. Za Komańczę linia kolejowa wznosi się nieco stromiej do stacji Nowy Łupków, położonej pięknie na stoku wzgórza, na poziomie ok. 570 m n. p. m. Stąd główna linia podąża dalej do pobliskiej granicznej stacji Łupków, aby później przekroczyć przełęcz Łupkowską w tunelu i opuścić się w dół na stronę czesko-słowacką. Stojąc na małym dworcu w Nowym Łupkowie mamy przed sobą rozległy widok na kotlinę górnej Oslawy, zamkniętą od południa łagodnymi grzbietami granicznymi, zaś w głębi pokazują się już wyższe lesiste szczyty Bieszczadów w okolicy Cisnej. Tu zaczyna się kolejka do Cisnej. Krótki, mieszany pociąg posuwa się zrazu wśród falistych pól, zstępując na dno doliny Oslawy, gdzie leży rozległa wieś łemkowska Wola Michowa. Za nią krajobraz nabiera już cech typowo górskich. Strome i pokryte lasem bukowym zbocza górskie zbliżają się tak dalece, że w dnie doliny mieści się z trudem potok i tor kolejki, za chwilę znów ściany lasu się

rozstępują, krajobraz łagodnieje, a pociąg mija źródłowe strugi Osławy i dociera do przystanku Balnica, leżącego przy samej granicy państwa, na głównym wododzielnym grzbiecie Karpat. Trasa kolejki przekracza zaraz za stacją granicę, biegnie na przestrzeni kilkuset metrów przez terytorium czeskosłowackie, aby znów dalej wrócić na teren Polski. Oczywiście takie poprowadzenie kolei nie było niczym dziwnym przed wojną, skoro było podyktowane względami terenowymi, jednak z chwilą, gdy dawna granica wewnętrzna między Galicją i Węgrami stała się granicą państwową Polski i Czechosłowacji, miejsce to stało się pewnego rodzaju osobliwością komunikacyjną. Podczas przejazdu przez obcy teren eskortują pociąg strażnicy graniczni¹⁾. Powróciwszy w granice Polski, kolejka zniża się ostrym łukiem w dolinę rzeczki Solinki i towarzyszy już stale tej rzeczce aż do Cisnej. Pierwszy odcinek doliny jest znów ciasny i przełomowy, gdyż Solinka przeciska się tu między wyniosłymi stokami szczytów Matragóry (991 m) i Hyrlaty (1103 m), a kolej — z trudem się mieszcząc — przerzuca się to na jedną, to na drugą stronę rzeki. Dalej jednak dolina się rozszerza, nieco łagodnieje, a kolejka mija przedostatni przystanek w Żubraczu i dochodzi do Cisnej.

Przy samej stacji znajduje się tylko tartak i nie wielka osada, sama wieś rozłożyła się jeszcze półtora kilometra w dół biegu Solinki. Cisna jest wsią, liczącą ok. 600 osób ludności, polskiej, ruskiej i żydowskiej. Obecnie znajduje się tu siedziba rozległej gminy zbiorowej, największej w powiecie leskim (255 km², 6500 ludności), wieś więc nabrała znaczenia lokalnego ośrodka dla obszaru większego, niż np. taki powiat tarnogórski na Śląsku. Cisna posiada drewnianą cerkiew bez stylu, maleńki murowany kościółek, urząd pocztowy, posterunek policji, placówkę straży granicznej i około 20 sklepików, będących — z wyjątkiem jednej spółdzielni polskiej i jednej ruskiej — w posiadaniu żydowskim. Wieś leży na wzniesieniu ok. 550 m n.p.m. nad brzegiem Solinki w niewielkiej kotlinie, otoczonej ze wszystkich stron zalesionymi grzbietami gór, przekraczającymi 1000 m wysokości. Punktem oparcia dla dłuższego pobytu w Cisnej może być jedyny dotąd pensjonat «pod Beskidem», znajdujący się na górnym krańcu wsi, bezpośrednio nad Solinką i otoczony z trzech stron lasem. Jest on jednak chwilowo niezupełnie jeszcze wyposażony. Niski poziom kultury i brak elementarnych urządzeń higienicznych nie dozwala na ogół szukać pomieszczenia w zwykłych domkach wiejskich i stoi na przeszkodzie oficjalnemu uznaniu Cisnej za miejscowość letniskową, mimo niezwykłych zalet jej położenia.

W obecnych warunkach komunikacyjnych Cisna jest mimo wszystko najłatwiej dostępną miejscowością w zachodnich krańcach Bieszczadów, tej

¹⁾ Na podstawie nowego wytyczenia granic pomiędzy Polską a Słowacją z dnia 1 listopada 1938 r. cały szlak tej kolei znalazł się na terytorium Polski. *Przyp. red.*



Pensjonat i Urząd Gminny w Cisnej

Fot. A. Wrzosek

grupy górskiej najmniej znanej i uczęszczanej przez turystów w obrębie całych polskich Karpat Wschodnich.

Krajobraz okolic Cisnej jest typowo bieszczadzki, odrębny od krajobrazu wszystkich innych grup polskich Karpat. Cechują go podłużne grzbiety górskie różnej długości, oddzielone od siebie równoległymi, dość szerokimi obniżeniami, a w kierunku poprzecznym porozrywane przez ciasne przelomowe odcinki dolin rzecznych. Morfologicznie — grzbiety odpowiadają występowaniu warstw odporniejszych, obniżenia wytworzyły się w materiale mniej odpornym. Bieszczady należą więc do typu, nazywanego w geografii górami rusztowymi. Tymi słowami można określić cechy krajobrazu Bieszczadów Zachodnich w zarysach ogólnych. W zakresie form drobnych uwydatniają się jeszcze inne typowe zjawiska. I tak, na wielu grzbietach górskich, ławice twardych piaskowców zaznaczają się występowaniem pasów litej skały na wychodni warstw, przybierając niekiedy formę urwisk. Urwiska te rzadko przekraczają 10 m wysokości, ale zdarzają się i większe (np. na Jelenim Skoku — ok. 40 m, na Rabiej Skale — przeszło 60 m). Obszary leżące na wychodniach twardych warstw pokryte są prawie wszędzie lasem, podczas gdy na terenie warstw miękkich (łupków) rozpościerają się najczęściej pastwiska. Ta mozaika lasów i pastwisk, występujących naprzemian podłużnymi pasami jest właściwa dla całej przestrzeni gór między Osławą i Sanem.

Lasy nie mają charakteru kultywowanych, lecz raczej zbliżają się do naturalnego pierwoboru. Ręka człowieka zaznacza się przede wszystkim w tym, że w okolicach łatwiej dostępnych i niższych, miejsce buka zajmuje coraz częściej świerk, jako bardziej ekonomiczny dla leśnictwa. W miejscach mniej zacienionych zwraca uwagę wielka ilość krzewów i bogate podszycie, a w szczególności niezwykła obfitość jagód. Jak łatwo o nie w okolicy Cisnej tego dowodem może być fakt, iż za 1 złoty można tu kupić 15-litrową konwię borówek. W górnych partiach lasów przeważają i dziś jeszcze buki, tworzące niekiedy na grzbietach w pobliżu strefy połonin charakterystyczny parkowy krajobraz. Ponieważ górną granicę lasów stanowi tutaj buk, nie zaś świerk, jak w wielu innych częściach Karpat, granica ta przebiega niżej i trzyma się mniej więcej wzniesienia 1100 m n. p. m. Ciężki cios zadała tutejszym lasom ostra zima w roku 1928—29. W wyższych partiach ucierpiały bardzo jodły i buki. Na szczytach widać nie tylko pojedyncze obumarłe drzewa, ale w wielu miejscach rozległe, grożą tchnące cementarzyska nagich szkieletów pni.

Bogaty jest świat zwierząt. Sarny można napotkać w lasach niemal co krok, trafiają się i zające, choć to dla nich nie najlepsze środowisko, liczne są również dziki. Nad Solinką gnieźdzą się czarne bociany, ptaki dość rzadkie w tych stronach.

Kultura ludności wiejskiej w okolicy Cisnej jest dobrze zachowana i nie skażona wpływami urbanizacji, choć nie odznacza się błyskotliwością. Na każdym kroku rzuca się w oczy bieda i prymitywizm gospodarczy. Wieśniacy nie żyją w XX wieku, lecz pod wielu względami w połowie XIX-tego, a pod niektórymi jeszcze dawniej. Rolnictwo, prowadzone metodami nad wyraz prymitywnymi, do tego na jałowych z natury glebach górskich, nie może oczywiście dawać obfitych plonów i wyżywić dostatnio ludności. Dodatkowe zajęcia na miejscu mogą wieśniacy znaleźć tylko w leśnictwie i przemyśle drzewnym, ponieważ tartaki są jedyną postacią, pod którą zjawia się w tych stronach wyżej zorganizowany przemysł. Prócz nich można napotkać tylko małe i prymitywne warsztaty przemysłowe, ukryte nieraz wśród lasów, jak np. cegielnie, fabryczki gontów i tym podobne. Uwagę etnografów mogłyby zwrócić ciekawe stroje ludowe, narzędzia oraz bogaty zasób przesądów, wierzeń i podań ludowych.

Wycieczki, jakie można odbywać w okolicy Cisnej, posiadają rozległą skalę, od małych a ciekawych godzinnych przechadzek do dalekich parudniowych wędrówek, które wobec braku schronisk trzeba urozmaicać przygodnymi noclegami we wsiach, czy też w szałasach lub domkach myśliwskich. Najbliższym ciekawym punktem widokowym jest szczycik zwany Jeleni Skok (778 m), na wschód od wsi leżący, z którego rozciąga się bardzo pouczający widok na wielkie podłużne obniżenie, ciągnące się od okolic Baligrodu

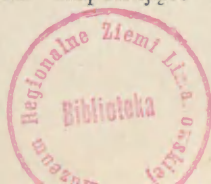


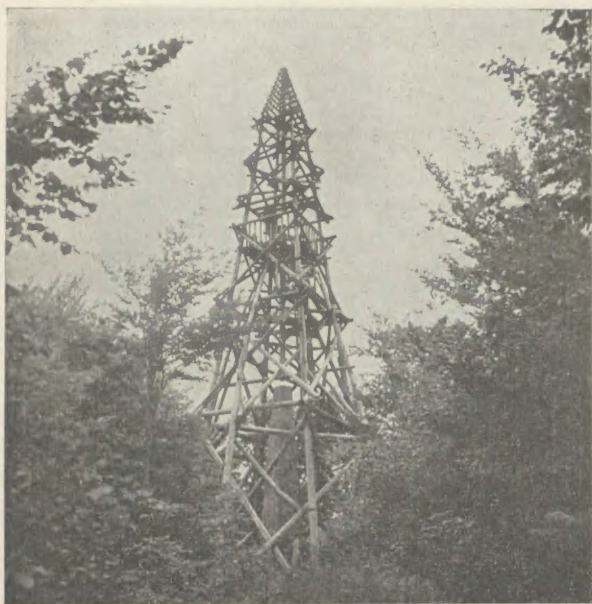
Cerkiewka w Rabem koło Cisnej

Fot. B. Lehman

przez Cisnę, Wetlinę aż po Wołosate, które wytworzyło się w pasie miękkich łupków menilitowych, a zamknięte jest z obu stron wyniosłymi grzbieciami piaskowcowymi. Dwugodzinną przechadzkę na Jeleni Skok można urozmaicić zwiedzeniem ciekawego urwiska, jakim opada szczyt w stronę południowo-wschodnią, oraz siarczanego źródła, znajdującego się powyżej łąki «Płaskie», opodal trasy dawnej kolejki leśnej do Kalnicy.

Dłuższe, bo już północne, muszą być wycieczki na szczyty Łopiennik (1069 m) i Wołoszań (1070 m), wznoszące się na północ i pn.-zachód od Cisnej. Łopiennik daje doskonały widok na kotlinkę Cisnej i otaczające ją szczyty, na samym zaś szczycie można obserwować ciekawe formy skalne. Wołoszań jest najpotężniejszym masywem na zachodnim krańcu Bieszczadów. Na grzbiecie jego można obserwować resztki okopów z czasów wojny, a ze szczytu wzrok sięga od Beskidu Niskiego aż po wschodnie krańce Bieszczadów. Najwybitniejszymi szczytami na południe od Cisnej są Wielki Wiasiel (1153 m) i Hyrlata (1103 m). Czub Wiasiele sięga już ponad granicę lasów, daje więc nader rozległy widok. Imponująco przedstawiają się stąd ostre





Szczyt Kreszczatej (999 m) pomiędzy Duszatynem a Cisną

Fot. B. Lehman

grzbiety Połoniny Smerreckiej i Wetlińskiej, na południu zaś widać doskonale głębokie doliny i przeliczne garby górskie po stronie słowackiej. Hyrlata nie daje pełnego widoku, ponieważ szczyt jej porośnięty jest lasem, ciekawe natomiast są doliny otaczające grzbiet, w których rozłożyły się wsie Liszna i Solinka. Nade wszystko zaś ciekawy jest bieg Solinki w najgórnieszym odcinku. Mianowicie w tej części Karpat podstawa erozyjna leży po stronie południowej znacznie niżej, jak po północnej. Rzeki, płynące na południe wci-

nają się więc silniej, doliny są głębsze, a stoczystości grzbietów opadają gwałtowniej, wododział przesuwają się więc zwolna ku północy. Wynikiem takiego dawniejszego przesunięcia wododziału jest fakt, że część kolei Łupków—Cisna znajduje się na terytorium czeskosłowackim. Rzeczka Udava przecięła bowiem dawny grzbiet wododzielny, wcinając swój lejek źródłowy w część obniżenia, leżącego już na północ od tego grzbietu, a obecnie zaczyna się wdzierać na stok Matragóry. Udava grozi dalszym zwiększaniem swego dorzecza kosztem Solinki. Poniżej cerkwi we wsi Solince znajduje się miejsce, w którym główny wododział europejski przebiega w odległości niespełna 100 m od potoku Solinki i jest wzniesiony zaledwie 20 m nad jej poziom. Jest bardzo prawdopodobne, że w niedługim czasie źródłowy odcinek Solinki zostanie skaptowany przez Udawę i przeciągnięty z dorzecza Wisły w dorzecze Dunaju.

Aczkolwiek istnieją w Karpatach północnych jeszcze inne podobne punkty, w których rzeka płynie w bezpośredniej bliskości działu wodnego i może być narażona na przeciągnięcie (np. potok Jałowiecki pod Babią Górą koło Głuchaczek, górny Stryj w okolicy Żupaniego), to nie ulega wątpliwości, że tu mamy przed sobą najbardziej klasyczny przykład grożącego

przeciągnięcia rzeki. Aż dziw, że dotąd nie zainteresował się tą formą żaden morfolog i nie popróbowwał dać jakiegos bliższego jej opisu.

Najpiękniejsza część całych Bieszczadów Polskich rozciąga się nieco dalej na wschód od Cisnej i jest w obecnych warunkach bardzo trudno dostępna, gdyż daleka tam droga zarówno od zachodu, z Cisnej, jak też od wschodu, z Sokolik lub Sianek. Przed kilku jeszcze laty kolejka wąskotorowa ciągnęła się z Cisnej dalej na wschód do Strubowisk, rozgałęziając się tu, przy czym jedna odnoga dochodziła do tartaku w Kalnicy, druga do tartaku na t. zw. Beskidzie (u podnóża szczytu Dziurkowca 1190 m). Z drugiej zaś strony z Sokolik Górskich prowadziła podobna kolejka leśna przez Stuposiany do Ustrzyk Górnych. Nie były to wprawdzie kolejki przeznaczone dla ruchu osobowego, ale turyści mogli z nich okazjnie korzystać. Brakowało tylko kilkunastu kilometrów od Ustrzyk Górnych do Wetliny, a mogłoby powstać jednolite połączenie z Nowego Łupkowa do Sokolik, któreby miało dla rozwoju turystyki w Zachodnich Bieszczadach kapitalne znaczenie. Niestety, zła koniunktura w przemyśle drzewnym skłoniła właścicieli do rozebrania kolejek i sprzedania żelazniwa na złom. Kolejkę z Cisnej do Kalnicy i Beskidu rozebrano przed siedmiu laty, kolejka z Sokolik do Ustrzyk Górnych została zlikwidowana w roku 1936. Dziś wioski leżące na trasie obu kolejek, to zakątki deskami od świata zabite, w których rzadko pokazują się narciarze, a jeszcze rzadziej turyści letni. Należałoby sobie gorąco życzyć, ażeby kiedyś tym właśnie szlakiem poprowadzono wielką «szosę karpacką». Byłby to jeden z najpiękniejszych odcinków tego śmiałego i jedyne w swoim rodzaju szlaku. Przyniósłby on z sobą niewątpliwie renesans niedostępnym i pogrążonym w letargu wsiom bieszczadzkim, a turystom zbliżyłby przepiękne tak w lecie, jak i w zimie tereny wycieczkowe Bieszczadów Zachodnich, dziś tak niesłusznie zaniedbane.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że takie tereny, jak rozległe połoniny grupy Halicza, urozmaicone pięknymi i osobliwymi formami skalnymi, jak puszcze i roztoki Wielkiej Rawki (1303 m), wspaniałe widokowo grzbiety Połonin Caryńskiej, Wetlińskiej i Smereckiej, wreszcie ostępy leśne Dziurkowca i urwiska Rabiej Skały (1168 m), muszą kiedyś zająć należne im miejsce w rzędzie atrakcyj turystycznych Karpat Polskich.

Antoni Wrzosek

Dziesięć lat w Alpach Francuskich

W południowo-wschodniej Francji, w głęboko wciętej dolinie rzeki Isère, na wysokości 200 m nad poziomem morza leży niewielkie, lecz bardzo malownicze miasto: Grenoble. Znane jest ono ogólnie ze swych rękawiczek, oraz jako centrum turystyczne, uniwersyteckie i sportowe.

Bezpośrednio nad nim, na zachodzie, wznoszą się szczyty przekraczające 2.000 m, a na wschodzie Belledonne, masyw średnich Alp, ponad 3.000 m.

Trudno znaleźć miasto bardziej nacechowane młodością. Tłumy studentów, ściągnięte możliwościami jakie dają im różnorodne katedry uniwersytetu, instytuty techniczne, handlowe, kursy języków itp. itp. oraz niemniej zróżnicowane rodzaje sportów, nadają miastu zupełnie charakterystyczny wygląd, szczególnie w połączeniu z cechami, które pociąga za sobą sport. Na przykład na wiosnę całe centrum miasta jest nieraz zupełnie przepełnione narciarzami, wysypującymi się z autokarów, lub tramwajów, mieszającymi się z tłumem jasnych ubrań tenisistów, cyklistów, spacerowiczów, automobilistów itp., którzy rekrutują się chyba ze wszystkich narodowości świata.

Nie byłoby więc nic dziwnego, gdybym w tych warunkach i w tym otoczeniu, biorąc żywy udział w ruchu sportowym, spędzając godziny na korcie, w pływalni, czy dnie całe na rowerze, lub na nartach, zainteresował się również i alpinizmem. Byłby to raczej normalny tryb rzeczy, tym więcej, że miałem za sobą lata ożywionej działalności górskiej w Tatrach.

A jednak może właśnie dlatego, że pociągały mię Tatry, że średnie góry otaczające Grenoble nie wydały mi się ani zbyt dzikie, ani zbyt ciekawe i pacyły wyobrażenie o wysokich Alpach — wykluczyłem alpinizm z zasięgu zainteresowań i wakacje w latach 1926 i 1927 spędziłem w Tatrach.

Wybierałem się tam i w 1928 r., ale sprawę zasadniczo zmieniła i to raz na zawsze drobna dyskusja z jednym z kolegów i jej konsekwencje. Choć nie był on nigdy w terenie wysokich gór, ale znał Chamonix i w czasie jakiejś rozmowy oświadczył, że tak jak i ktokolwiek inny, bez przewodnika nie potrafiłbym wejść na Mont-Blanc (4.810 m). Wprawdzie zdanie to miało dotyczyć nie tylko mnie, lecz ogółu turystów (obejmował on tym wyrażeniem i alpinstów) i wprawdzie pochodziło z ust mało kompetentnych, ale musiało dotknąć do żywego kogoś, kto miał za sobą szereg najpoważniejszych przejść tatrzań-

skich (Rumanowy Szczyt z dol. Kaczej i i.), kto od zarania działalności górskiej nie był nigdy przez nikogo prowadzony, miał dużo zaufania do własnych sił i możliwości w terenie gór, a ponadto opierając się na bezpośrednim otoczeniu Grenoble, żywił jeśli nie lekką pogardę, to w każdym razie mało szacunku dla Alp. Rozmowa skończyła się zakładem, skutkiem którego, gdy w dwa tygodnie później zbliżałem się autokarem do Chamonix, zostałem urzeczony ogromem tysięcy metrów skał, lodów i śniegu, wzbijających się ponad dolinę. Rozpięta nade mną potęga dzikości i grozy, wywarła niezatarte piętno — pochłonęła całkowicie.

Zmieniło się od razu me ustosunkowanie moralne do Alp. Znikło lekceważenie, pogarda. Nie wątpiłem zresztą ani przez chwilę, że tak czy inaczej cel swój osiągnę. Nie przeżyłem ani sekundy wahania, wątpliwości, czy niepokoju. Dawna aktywność tatrzańska, pozwoliła mi nie poddać się przeszkodom.

Zrozumiałem jednak, jak bardzo zmieniła się treść celu: że nie będzie to spacer potrzebny do wygrania zakładu, ale może ciężkie chwile walki w zupełnie nieznanym mi świecie, konieczność wydobycia z siebie wszystkich sił — nateżenie moralne i fizyczne nie dla zaspokojenia zdrażnionej ambicji — wygrania zakładu, ale uzyskania tak pociągającego wyniku sportowego: «wejścia na najwyższy szczyt Europy».

Położenie Chamonix, jednej z miejscowości wciśniętych w wąską dolinę Arve, jest ogólnie znane. Z jednej strony ogranicza je masyw Aiguilles Rouges, z drugiej masyw Mont-Blanc. Ponieważ szczyt Mont Blanc liczy 4.810 m wys., a Chamonix leży na poziomie lekko przekraczającym 1.000 m, wejście na Mont-Blanc wymaga pokonania blisko 4.000 m różnicy wysokości.

Wybrałem się na to przejście, jak bym miał zamiar biwakować dwa tygodnie w Tatrach (czyżby wpływ teorii aklimatyzacji?). Nie zdawałem sobie



Mont Blanc widziany z Les Courtes

Fot. J. Golcz

sprawy z nieproporcjonalności długiej drogi i dużej wysokości do krótkiego czasu eskapady. Może źle się nie stało, bo nauka w las nie poszła. Wprawdzie wyniosłem cały bagaż do schroniska Vallot (4.263 m), ale też przed powrotem wyrzuciłem połowę obciążenia, a w następstwie nauczyłem się dobrze kalkulować materiał konieczny do wyniesienia i ograniczać do minimum jego wagę.

Spałem w schronisku Grands Mulets (3.051 m). Wczesnym rankiem byłem w Vallot, niedługo potem mimo mgły i niepogody na szczycie Mont-Blanc. W drodze na szczyt zdjąłem zielone okulary, sądząc, że mgła jest dostatecznym środkiem ochrony przed blaskiem. Dwa dni gorączki i nieznośny ból porażonych oczu wyjaśniły mi tę drobną nieświadomość i wykazały dotkliwie, że światło rozproszone przez mgłę jest bardziej szkodliwe, niż promienie słońca odbite przez śnieg, czy lód.

A ekwipunek? Przy jego wyborze opierałem się na mniej, lub więcej kompetentnych opisach polskich względnie radach sprzedawców. To też miałem rzecz podobnie niepraktyczną, jak czekan o długości 1 m 30 cm, zamiast jakichś 90 cm, oraz, co gorsze, raki o zębach najwyżej dwu-, zamiast czterocentymetrowych. Raki tego rodzaju są przykładem nieuczciwości handlowej, dążącej do konkurowania taniością i dużym zbytem, bez liczenia się z katastrofalnymi skutkami jakie mogą z tego nieraz wyniknąć. Bo laik liczy, że utrzyma się na nich na lodzie. Tymczasem zaś, nie wbijając się dostatecznie głęboko w śnieg, nie tylko nie zabezpieczają przed ślizganiem się, ale ułatwiają je, nawet tam, gdzie już zwyczajny podkuty but znalazłby oparcie. Przez te pierwsze raki, omal nie zakończyłem od razu mej działalności alpinistycznej w najbliższej szczelinie. Ale to moje pierwsze wejście alpejskie z jego wszystkimi błędami nauczyło mnie niepomernie dużo. Poza tym uzmysłowienie braku doświadczenia i mimo tego przewyciężenie napotkanych trudności, uzyskanie wygranej — dodały bodźca do dalszej aktywności.

Od tej chwili alpinizm porwał mnie całkowicie. To też choć konieczność powrotu do Grenoble pozwoliła mi wówczas skutecznie jeszcze tylko jedno wejście, jednakże już w dwa tygodnie później byłem znów w Alpach. Tym razem za pole działania obrałem znacznie bliższy masyw: Oisans w Delfinacie.

Odkryłem go dla siebie dzięki literaturze alpinistycznej, która zainteresowała mnie bardzo z chwilą poznania Mont-Blanc.

Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że tuż za średnimi masywami otaczającymi Grenoble istnieją wielkie góry lodowcowe, dzikie, o charakterze indywidualnym, i o wiele mniej zdeptane, niż Mont-Blanc, czy inne masywy wysokich Alp. Trudno dostępna Meije (3.986 m) pociągnęła mnie specjalnie swą charakterystyczną sylwetką. Historia jej zdobycia może się chyba porównać z historią zdobycia Matterhornu. Punktem wyjścia do trawersowania jej głównego i środkowego wierzchołka jest schronisko Promontoire (3.093 m) tkwiące na ogromnej ostrodze spadającej od szczytu ku południowi na lodowiec



Granie Peteret i Mont Blanc od wschodu



Schronisko Promontoire u stóp Meije, w głębi szczyty Oisans

Etançons. Dostać się do niego można od południa z osady Le Béarde (1.700 m) lub od północy z La Grave (1.500 m) poprzez przełęcz Meije (3.358 m).

Jeśli wybrałem La Grave na początek mej drogi, to dlatego, że chciałem mieć prócz trudności skalnych, maksimum trudności lodowcowych. Rzeczywiście nie zbrakło mi niczego. Wyruszywszy z La Grave o pierwszej po południu, straciwszy właściwy kierunek na lodowcu Meije, nie miałem już czasu zawracać, by szukać obejścia olbrzymich szczelin. Zygzakując ku górze pomiędzy nimi dotarłem do wysokiej pionowej ściany lodowej, oddzielonej szeroko otwartą szczeliną, której brzegi łączył wąziutki, cienki mostek śnieżny. Powierzenie mu mej osoby było chyba jednym z mych najbardziej straceńczych czynów. Przerąbanie przez lodową ścianę, wznoszącą się tuż nad nim, tak przewieszoną w górze, że nie tylko stopnie i chwyty trzeba było kuć w lodzie, ale i prawdziwą nyzę na górną połowę ciała — to jeden z największych wysiłków fizycznych, na szczęście krótkich, jakie kiedykolwiek wypadło mi dokonać.

Nocą osiągnąłem przełęcz, potem schronisko.

Następnego dnia rano przeszła burza. Dopiero około dziewiątej mogłem rozpocząć dalszą wędrowkę. W jednej trzeciej drogi do szczytu, na skutek napotkanych trudności musiałem zdjąć worek. Zawieszony na linie zsunął się przy szarpnięciu, spadł, i rozpruł się (stary, jeszcze tatrzański). Cała żywność, ekwipunek, buty, sypnęły się lawiną w dół. Została połowa składanego czekana



Aiguille de Triolet w grupie Mont Blanc

Fot. J. Golcz

(niestety, dolna), raki i nieprzemakalna wiatrówka, najbardziej cenna w tej chwili — bo poza koszulą nie miałem na sobie nic, a właśnie rozpętała się gwałtowna burza gradowa. Przeżyłem długie chwile niepewności i rozważań. Miałem do wyboru ciężką drogę w górę, wprost beznadziejną w tych nagle powstałych warunkach, albo odwrót względnie jeszcze łatwy, lecz łączony z koniecznością rezygnacji z wejścia na szczyt — klęska moralna.

Wybrałem drogę w górę — poszło jako tako na skale, gorzej na wiszącym lodowcu Carre, gdzie musiałem włożyć raki na skarpetki. Minąłem szczyt i biwakowałem na grani, między wierzchołkami na wysokości ok. 3900 m. Chyba najohydniejszy biwak mego życia. Lodowaty wicher północny po burzy, dy-

gotanie nieosłoniętego ciała, bezustanne szczykanie zębami, wszystko pod dalekim, zimnym, prawie wrogim okiem pełni księżyca.

Zejście z Meije Centrale (3.974 m) na lodowiec Tabuchet. Długa wędrówka lodowcami, znów w rakach na skarpetkach. Po tym niezliczona ilość upadków na mokrych trawkach i błotnistych urwiskach pod lodowcem, gdzie sznurki trzewiczków ślizgały się lepiej nawet niż na lodzie.

W La Grave, niepomierne wesołe wejrzenia pasażerów autokaru, ich zachwyty i ironia na widok tego dziwaczego alpinisty, wytarzanego w błocie, bez butów, ze strzępkami worka. Nie zwracałem na nic uwagi. Byłem szczęśliwy, jak rzadko kiedy. Boć ja, nowicjusz, tylko swą wolą, potrafiłem samotnie przetrawersować Meije, wydobyć się moralnie ponad wszelkie przeciwności, osiągnąć cel, wyrwać się z kleszczy, które mogły zatrzymać na zawsze nawet bardziej doświadczonych, nie poddać się depresji, przeistoczyć każdą przeciwność na nowy bodziec do tym silniejszej akcji¹⁾.

¹⁾ Trawersowanie grani szczytów Meije, dopiero dwukrotnie wykonane przez alpinistów polskich, należy do długich i szczególnie pięknych wypraw zachodnio-alpejskich,

Całą działalność w następnym sezonie (1929) musiałem traktować jeszcze jako rozszerzenie i pogłębienie pierwszego okresu. Uskuteczniłem wtedy, przeważnie samotnie, szereg trudnych wejść, m. i. w Mont-Blanc na Aiguilles Mummery (3.700 m) i Ravanel (3.696 m, z p. Ingeborgą Driesch) oraz na Dent du Requin (3.442 m),— a w Oisans: trzecie wejście na Pointe Choisy (3.650 m), wejście na Tour Carré (3.650 m), trawersowanie trudnej lodowej przełęczy Casse Déserte (3.510 m), gdzie po raz pierwszy musiałem uskutecznić zjazdu na linie po lodzie, oraz wejście na Aiguille Dibona. Przy czym przy większości tych wejść towarzyszyła mi zła, czasem beznadziejna pogoda.

Nie wiem, czy pobilem już wtedy wszystkie rekordy polskie w Alpach (dawniejsze). Jeśli nawet nie, to w każdym razie osiągnąłem ich poziom. Oczywiście nie biorę pod uwagę Alp Wschodnich, gdzie już przed wojną poziom wejść polskich wzniósł się bardzo wysoko. Poza tym biorąc pod uwagę wartość przejścia, należy uwzględnić epokę, w której się ono odbywa. Bo niewątpliwie, pierwsze wejście Malczewskiego na łatwo dostępną Aiguille du Midi (3.843 m), które miało miejsce przeszło sto lat temu (1818), było sportowo nie mniej warte, a może więcej niż wszystkie nasze dzisiejsze zdobycze.

Traktując więc rzecz bezwzględnie, dorównałem, lub podwyższyłem nasze rekordy. Oceniając jednak wyniki w uwzględnieniu epoki, w której przejście odbyło się, może nie dorównałem w niczym poprzednikom.

Mniejsza o to. Każdy, chcąc czy nie chcąc, przyczynił się do rozwoju alpinizmu polskiego, lecz jeśli o mnie chodzi nie dokonałem jeszcze wtedy ani

o ustalonej oddawna sławie, por. «Taternik» z 1931 r., str. 121—123. Jerzy Golcz opisał obszerniej to przejście w «Taterniku» z 1929 r., zesz. 2, we wspomnieniu pt. «W lodach i skałach Meije». *Przyp. red.*



Morze mgieł u stóp Aiguille du Midi

Fot. J. Golcz

żadnego w pełni nowego przejścia, ani też żadnego wielkiego przejścia na miarę nie powiem nowoczesną, bo od tamtego momentu alpinizm dźwignął się jeszcze wyżej, ale lat w których rozpocząłem swą działalność.

Kwestia podniesienia poziomu, rozpoczęcia działalności na wielką skalę zaczęła być dla mnie palącą, a sposób przeprowadzenia projektów krystalizował się coraz jaśniej, przy czym zaczynał mię obchodzić nie tylko poziom własny, ale także i ogólnie alpinizmu polskiego i jego przyszłości. Ta zmiana nastawienia sportowego, która z czysto indywidualnej ekspansji sportowej przerzuciła mię na szerokie pole ekspansji całego taternictwa polskiego powstała początkowo pod wpływem nieznośnego poczucia naszej niższości sportowej w tej dziedzinie, tak jaskrawej z chwilą porównania wyników naszych i obcych. Niemniej ze zdawania sobie sprawy, że uzyskiwałem swe kolejne zdobycze z dużą łatwością i to przy okolicznościach bynajmniej nie sprzyjających, i z zupełnej pewności, że zadanie dorównania najlepszym byłoby kwestią tylko dobrej woli i wzmożonej działalności.

Już w roku 1928, pisząc artykuł do «Taternika» o Meije, starałem się podkreślić, że przy rzutkiej inicjatywie, stanowczej woli zwycięstwa i niezachwianej ofiarności, wygrana jest zawsze możliwa, nawet dla niedoświadczonego taternika polskiego.

Miałem już wtedy nadzieję, że przykład i zachęta jaką daje wykrycie własnych sił wyrwą taternictwo polskie z zamkniętej obręczy Tatr — otworzą nowe horyzonty. Wierzyłem w możliwości towarzyszy mych byłych wypraw tatrzańskich i innych taterników, których wysoką wartość mogłem ocenić na podstawie osiągniętych przez nich wyników. Nie wątpiłem, że będą oni mogli zrobić co najmniej tyle co ja, jeśli nie więcej, i że wspólnymi siłami możemy dać podstawy polskiej ekspansji już nie tylko w Alpy, ale w najwyższe nawet góry świata.

Ale w 1930 r. — chory, po operacji, mogłem jedynie dyskutować o tych sprawach w Zakopanem.

Myślałem nad tym, że chociaż mogąc, ale nie chcąc chodzić z obcymi, muszę działać samotnie, podczas gdy najlepsze jednostki polskie marnują swe siły na problemy nieraz ośmieszające, a nie podnoszące nawet taternickiego poziomu. Cała działalność nasza zdawała mi się udeptywaniem już ugniecionego trawnika, zamknięciem w ramach ciasnego boiska, zamiast wykorzystywania swych sił i zdolności do wielkich i nieznanych nam, alpejskich a potem egzotycznych celów.

Podstawą i pierwszą na zewnątrz realizacją tych moich rozważań był artykuł «Dlaczego Liliowe zamiast Ewerestu?» («Taternik» z 1931 r., zes. 1), który niewątpliwie przyczynił się do rozjaśnienia zamglonego horyzontu i w następstwie do organizacji polskich wypraw pozatatrzańskich.

Były jednak i inne czynniki, ważniejsze. Przede wszystkim w Polsce za-



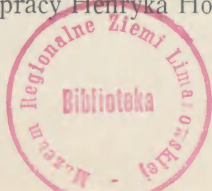
Na lodowcu Giganta (stoi Witold Wyszyński)

Fot. W. Birkenmajer

częli kierować tatarnictwem ludzie, których przekonania były bardzo zbliżone do moich i którzy mimo nieznaczonej, lub żadnej, znajomości Alp, widzieli w nich najbliższy konieczny kierunek działalności polskiej: Marian Sokołowski, który zachęcał mnie do publicznego poruszenia tej sprawy, Kazimierz Piotrowski, Jan Kazimierz Dorawski, Jan Alfred Szczepański, którzy mimo wszelkich, tak ogromnych wtedy trudności potrafili zorganizować pierwszą wyprawę, tę która bez cienia wątpliwości stała się fundamentem polskiej działalności poza-tatrzańskiej.

Ja w owym czasie działałem zupełnie niezależnie i poza tymi jednostkami. Tym łatwiej mi więc podkreślić, jak wielką zasługę oddali polskiemu alpinizmowi ci realizatorzy dawnych idei i pragnień tatarnictwa, kielkujących latami, ale których wykonanie zawsze zdawało się jakąś nieosiągalną mrzonką dalekiej przyszłości. By doprowadzić do celu musieli oni stoczyć długą walkę, wymagającą na pewno dużo więcej woli, wytrwałości, odwagi, niż najcięższe przejście — i to na bardzo długą metę. Na szczęście, znaleźli również zrozumienie w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim, którego ówczesne władze, zwłaszcza prezes J. W. Czerwiński i wiceprezes prof. W. Goetel, zostały szczerze dla spraw wysokogórskich zjednanne.

Pozostaje jeszcze do omówienia rola Sekcji Alpejskiej Koła Studentów Polaków w Grenoble. Znaczenie jej, mam wrażenie, jest dotychczas niedocenione. A przecież była ona pierwszorzędnym czynnikiem dopingowym i pomocniczym. Założona z inicjatywy Witolda Wyszyńskiego, jej stałego animatora, oparta na nieustającej pracy Henryka Hoffmana, zorganizowała całą inte-



resującą się alpinizmem i narciarstwem młodzież polską z Grenoble, nawiązała ścisły kontakt z Francuskim Klubem Alpejskim, zdobyła masę cennego materiału ekwipunkowego.

Dla mnie, rzuconego poza obręb współpracy i działalności krajowych organizacji wysokogórskich, pozbawionego towarzysza liny, stała się źródłem nieocienionym, a do dziś niestety niezastąpionym.

Tylko przy jej pomocy, i w jej ramach, mogły się odbyć dwie wyprawy, które dały alpinizmowi polskiemu, niewidziane od czasów Malczewskiego zdobycze: pierwsze wyjście zimowe na Pointe des Chamois (3.250 m), oraz pierwsze w ogóle wejście na Pointe des Frères Chamois (3.570 m) i na dwie dziewicze turnie, które otrzymały polskie nazwy¹⁾.

Jakaby nie była wartość tych wyników, przewyższała niewątpliwie wszystko, co Polacy uzyskali w Alpach uprzednio i niewątpliwie stała się nie tylko zachętą do organizacji przyszłej polskiej oficjalnej wyprawy, ale ożywiła jej działalność i rozdmuchała potężnie jej ambicje.

Sekcja Alpejska przestała istnieć w kilka lat później. Lecz jej krótka egzystencja oddała tak duże usługi alpinizmowi polskiemu, że imię jej nie powinno zostać bez echa, tak jak i praca jej przewodców: Wyszyńskiego i Hoffmana.

Wynikiem tych wszystkich czynników, dalszym ciągiem tak dobrze zaczętego sezonu, była pierwsza oficjalna wyprawa alpejska, zorganizowana przez Sekcję Turystyczną PTT w lecie 1931 r. Zawdzięczamy ją, jak zaznaczyłem, Piotrowskiemu, Dorawskiemu i Szczepańskiemu, ówczesnym kierownikom Sekcji, zawdzięczamy ją niemniej poparciu całego PTT, w którym Walery Goetel pierwszy docenił w pełni wartości alpinizmu polskiego i poparł idee wypraw z całą swoją energią.

Nazwiska tych pionierów wymieniłem po raz drugi dla zaznaczenia ich roli, ich znaczenia, dla podkreślenia, że ta właśnie pierwsza wyprawa, w całości zorganizowana przez nich i z ich inicjatywy, stała się punktem zwrotnym w rozwoju naszego alpinizmu, nieustannie rozszerzającego swój zakres. Z niej zrodziły się nie tylko wszystkie dotychczasowe zdobycze, ale i te, które osiągniemy w przyszłości. Nie chciałbym pominąć wymienienia składu tej pierwszej wyprawy, która dostarczyła materiału ludzkiego następnym. Wzięli w niej udział: W. Birkenmajer, J. K. Dorawski, K. Narkiewicz-Jodko, J. A. Szczepański, W. Wyszyński i wreszcie niżej podpisany, a więc bez wyjątku taternicy,

¹⁾ Por. wspólny opis W. Wyszyńskiego i J. Golcza pt. «W poszukiwaniu Pointe des Frères Chamois» («Taternik» z 1932 r., zesz. 2). Owe dwie turnie nazwali zdobywcy *Tour Tatra* i *Tour Hanka* i nazwy te zostały przyjęte przez alpejskie piśmiennictwo fachowe. Wyprawę na Pointe des Chamois — oraz o cztery dni późniejsze wejście zimowe na masywny szczyt Grande Ruine (3.765 m) — opisał Golcz w «Taterniku» z 1931 r., zesz. 3. *Przyp. red.*

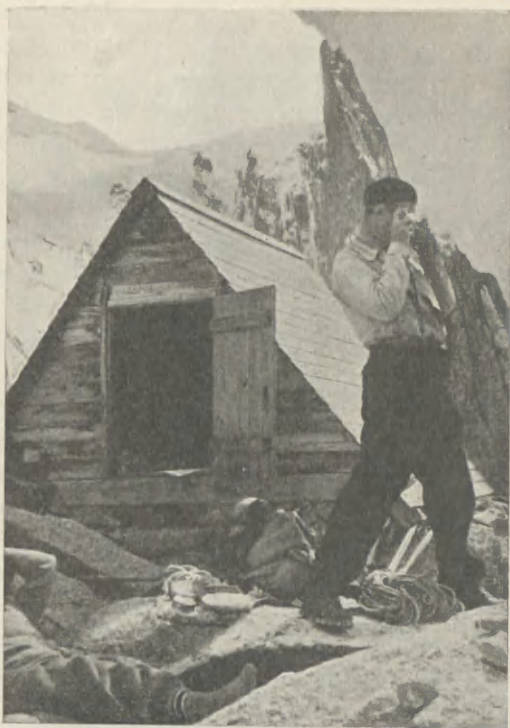
którzy rok później znowu pojawili się w Alpach, a w większości uczestniczyli w następnych wyprawach egzotycznych w Andy i w Atlas.

Dla większości wyprawa ta stała się początkiem i podwaliną dalszej aktywności — dla całego zaś alpinizmu polskiego, w dalszym jego rozwoju, dowodem wobec społeczeństwa.

Ci pionierzy dokonali więcej, niż można było wymagać od nich, działających po raz pierwszy na terenie gór wysokich, lodowcowych. Nie myślę otaczać ich aureolą. Stwierdzam, że depresja spowodowana stałą złą pogodą zredukowała bardzo rozpiętość i zapewne rekordowość wyników wyprawy. Ale jest to chyba drobiazg wobec faktu, że ci początkujący alpinści, nie mający żadnego dopingu w poprzedzających polskich przejściach, bo poprzednie wyniki stały na niższym poziomie, potrafili już na wstępie osiągnąć taką zdobycz, jaką było drugie przejście całości południowej ściany Meije, zaliczane wówczas do wypraw o najwyższym poziomie alpejskim — rekord polski, który moim zdaniem, w kategorii przejść skalno-lodowych dotąd nie został pobity. A ogólnie nie stracił wiele na wartości, chociaż alpinizm poszedł o wiele naprzód.

Moralnie było to przejście tym wartościowsze, że odbyło się w najbardziej niesprzyjających warunkach, w grozie burz gradowych i śnieżnych, przy stałym osłabieniu grupy z tego czy innego powodu.

Baza nasza została założona w La Bélarde, miejscowości położonej, jak już zaznaczyłem, w samym centrum Oisans, na wysokości 1.700 m, w górnej części doliny Véneon. Trzy hotele, kilkanaście zabudowań, około trzydziestu mieszkańców stałych, wioseczka odcięta od świata śniegami. Prowadzi do niej latem wąziutka szosa, nagłymi zygzakami łamiącymi zbocze w wys. 200 m



Typowy wysokogórski schron w Alpach Zachodnich:
Bivouac Chevalier w grani Les Periades

Fot. J. Goltz

ponad dnem doliny: przyczyna głębokich emocji dla turystów podróżujących autokarami i przeważnie spragnionych sensacyjnych nowości.

Pierwsze kroki wyprawy były nacechowane prawdziwym entuzjazmem. Jednakże konieczność pokonywania ogromnych wysokości, do których większość nie była przyzwyczajona, zachwiała nieco pewnością siebie. Niemniej przyczyniła się do tego, jak już wspomniałem, pogoda. Złośliwość jej przeszła w system. Piękne poranki zachęcały do wyruszenia, po czym atakowały śnieżyce i burze (niżej ulewa). Dopiero, gdy mimo wszystko osiągnięto już cel, lub już zawrócono, słońce powracało, by rozjaśnić powrót. Wystarczyło jednak ubić kilka godzin następnego wymarszu, aby się natychmiast program powtórzył na nowo. A jednak uzyskano kilka wyników, a przede wszystkim sukces na południowej ścianie Meije.

Opisywałem już Promontoire. Z niego wyruszyliśmy o świcie w czwórce (Birkenmajer, Dorawski, Golcz, Szczepański), z niezachwianą pewnością, że przejdziemy tę 900-metrową ścianę, o rozpiętości kilku kilometrów.

Nie zaważył deprymująco widok przewodników ściągających w dół ciała alpinisty, który dwa dni temu spadł około 600 m wprost na lodowiec z przełęczy położonej ponad wschodnią częścią ściany.

Już zaraz po wejściu w ścianę palące promienie słońca powodowały wciąż wzmagający się wokoło nas gwizd kamieni. Sytuacja pogorszyła się znacznie w żlebie, spadającym z przełęczy pod głównym wierzchołkiem Meije. Ze skał położonych 400 i więcej metrów wyżej leciały powietrzem kamienie, bloki, głazy. Rozbryzgiwały się na tysiące odłamków, tnąc powietrze z nieopisaną siłą, rozpylając się wreszcie na skalach. Już to tylko mogło doprowadzić do rozstroju nerwowego, cóż mówić o dwóch lawinach kamiennych złożonych z głazów dosięgających półmetrowej średnicy, ryjących w twardym jak lód podłożu, długie, głębokie leje.

Dlaczego — jakim cudem wyszliśmy wreszcie 300 m wyżej, poza obręb tego żlebu siejącego śmierć, to już pozostanie tajemnicą gór.

Powyżej zasięgu tego obstrzału, gdzie słońce stało by się znów przyjacielem, nie wrogiem — według wyszczególnionego już uprzednio programu, zasnuły je chmury, zerwał się wicher, zimno owładnęło naszymi ciałami. Po niewygodnym, wyczerpującym biwaku, otuliła nas rano mgła, zaczął sypać śnieg. Dwa żleby, które miały być skalne, okazały się wypełnione zwałami i nawisami lodu.

Rozpętała się pierwsza burza, przeszła zaraz w śnieżną kurniawę.

Pole widzenia skurczyło się. Trudności skalne zmuszały do ściągania butów, koniecznych znów na lodowych częściach drogi.

Sytuacja wydała się bez wyjścia, z chwilą gdy Dorawski pnąc się w pionowym próchnie, odpadł (urwały się dwa stopnie i chwyt). Od ciężkich obrażeń uratowała go rozpięta poprzecznie na płytach lina drugiej dwójki — zatrzy-

mał go towarzysz na łączącej ich linie. Lewa ręka i noga silnie potłuczone, prawie sparaliżowane. Opanowanie się i stoicyzm, jakich przedtem u nikogo nie widziałem. Zamiast załamania się, które przecież w takiej chwili byłoby zupełnie zrozumiałe, znaleźli jedynie słowa otuchy i uspokojenia.

Zachęcał do drogi wzwwyż, która niewątpliwie w tych okropnych warunkach była jedyną szansą ratunku. By jednak w jego położeniu zrozumieć to, móc odrzucić tak pociągającą myśl powrotu, trzeba było posiadać nieprzeciętny hart i siłę woli. Pozostający odcinek drogi, najtrudniejszy, musiał przebyć posługując się tylko jedną ręką i jedną nogą.

Wreszcie wydobyć się na grań — niepohamowane uczucie radości, rozcięcia pęt, wyrwania się z matni i: mimo wszystko — odniesienia zwycięstwa.

To przejście było i jest dla mnie mocnym przejawem cech koniecznych do działalności alpinistycznej: siły moralnej, odporności, bezustannie wysokiego napięcia woli.

Gdyby choć jeden z tych czynników był zanikł i pozwolił załamaniu się wniknąć do grupy — zawróciłibyśmy, a więc i pozostali tam na zawsze¹⁾.

¹⁾ Dzieje Meije, ich obszerną literaturę i szczegóły techniczne polskiej wyprawy podał specjalny «alpejski zeszyt» «Taternika» (zesz. 6 z 1931 r.). Poza tym obszerną relację o polskim przejściu ogłosił Golcz na naczelnym miejscu kwietniowego zeszytu «La Montagne» z 1932 r., czołowego wydawnictwa alpinizmu francuskiego. Obok paru artykułów o taternictwie w czasopismach alpinistycznych Włoch i b. Austrii, i obok krótkiej relacji J. K. Dorawskiego, na ten sam temat Meije, w miesięczniku monachijsko-wiedeńskim «Der Bergsteiger» z grudnia 1932 r. — jest to jedyna jak dotychczas poważniejsza manifestacja sportowego (nie egzotycznego) alpinizmu polskiego w prasie zachodniej Europy. *Przyp. red.*



Południowe urwiska Meije

Fot. L. Davies («Alpinisme»)

Jest wprost niezrozumiałym po takim początku, ale faktem niestety, że załamanie takie znalazło jednak później dostęp do nas, powodując niezwykle szybkie i wyraźne pogorszenie dalszych wyników.

Wywołały je ciągle jak najgorsze warunki atmosferyczne. Skutkiem nich popełniono błąd, który do dziś uważam za nonsens. Mianowicie, wyprawa postanowiła przenieść się w masyw Mont-Blanc, gdzie klimat jest zawsze o wiele gorszy. Oisans znajduje się bowiem już pod wpływem klimatu śródziemnomorskiego. W wyniku tego, wyprawa pozostając na miejscu dysponowałaby aż pięcioma dniami bezchmurnej pogody (jak to dokładnie stwierdziłem) i to poczynając od dnia następnego — a wyjeżdżając zmarnowała ten czas, przesiadziawszy go w wagonie, a następnie w schronisku Marguerita na Col du Géant w masywie Mont-Blanc, w otoczeniu tumanów szalejącej kurniawy.

Straciła w ten sposób jedno, a może kilka pierwszorzędných wejść, na które sukces na Meije pozwalał liczyć.

Brak wytrwałości na długi dystans, poddanie się w końcu nieustającym przeciwnościom, zamiast tym większej potrzebnej odporności — oto specyficzna wada zespołowego sportu polskiego. (Nie zapomnijmy jednak, że w tym wypadku prawie w całości były to osoby, które przedtem Alp nie widziały).

Na tym nie zakończyła się moja działalność rozpoczętego sezonu, jednakże blisko metr świeżego śniegu, który następnie jeszcze dopadał, ograniczył możliwości. Uzyskaliśmy ostatecznie w zespole Sekcji Alpejskiej Grenoble trzy wejścia szczytowe, a w tym i na najwyższy szczyt masywu Oisans — les Ecrins (4.103 m).

W 1932 r. nowa wyprawa alpejska rozszerzyła znacznie zakres działalności. Odniosła szereg sukcesów, początkowo skalnych (I przejście jednej z grani Aiguille du Moine (3.412 m), i to w najwyższej skali trudności, wykonane przez Birkenmajera, Chwaścińskiego i Ostrowskiego), potem lodowych: pierwsze polskie wejście na Aiguille Verte (4.121 m), wejście na Mont-Blanc granią Brenva, oraz przejście jednej z najpoważniejszych lodowych dróg alpejskich, Grani Péteret na Mont-Blanc — do dziś nie pobity rekord polski, jeśli chodzi o przejścia lodowo-śnieżne¹⁾. Péteret zajęła nam dziesięć dni ogółem.

¹⁾ Droga Granią Péteret na najwyższy szczyt Europy uznana jest powszechnie za jedno z najwspanialszych wejść skalno-lodowych w Alpach; jest to zadanie, któremu może podolać tylko elita alpinistów, równie doświadczona jak sprawna technicznie i dobrze wyekwipowana. Przejście Grani Brenva, jakkolwiek ani trudnościami ani długością nie może się równać z przejściem Grani Péteret, należy również do wybitnych czynów alpejskich. *Guide Vallot*, monograficzny przewodnik po Alpach Francuskich, określa je jako «jedne z najpiękniejszych w Alpach, tak z technicznego jak i z estetycznego punktu widzenia». Wejście obu graniami opisał Golcz w «Przeglądzie Turystycznym» z 1932 r., nr 3 («Zdobywamy Mont-Blanc»), poza tym przejście Grani Brenva w «Taterniku» z 1934 r., zes. 1—2. O Grani Péteret pisał obszerniej «Taternik» z 1931 r., zes. 1 i 2.

Przejsie do Courmayeur, punktu wyjścia od strony włoskiej, niepogoda, dojsie do schroniska Gamba (2.550 m), wreszcie trzy dni właściwego przejścia.

Etapami były: pokonanie spienionej grzywy lodowca Fresney, najtrudniejszego chyba w Mont-Blanc; wejście lodowe żlebem na Col des Dames Anglaises (3.490 m), gdzie trzeba było znaleźć się dość wcześnie, by promienie słońca nie zdążyły rozkuć spojeń lodowych i wywołać spadku kamieni, pochodu lawin; wejście na Aiguille Blanche de Péteret (4.107 m); zejście na przełęcz Péteret (3.947 m) przy zapadającej nocy; zjazd na oślepie w czarną nieznaną czeluść szczeliny brzeźnej, osłoniętej lodem stalaktyków i biwak wewnątrz tej ochłani na moście śnieżnym; potem lód i *verglas* (zalodzenie) płyt lodowych na Grand Pilier d'Angle (4.244 m), i wydobywanie się ze śmiertelnych pionów, przez przerąbany nawis na jasną płaszczyznę Mont-Blanc de Courmayeur (4.748 m); gwałtowne odprężenie nerwowe po godzinach i dniach napięcia, i wreszcie główny wierzchołek Mont-Blanc (4.810 m).

Długa droga, ale dwa dni powinny być starczyć.

Powolne tempo na Meije było funkcją czynników od nas niezależnych. Choroba jednego z uczestników, niepogoda, biwak założony na dwie czy trzy godziny przed zachodem słońca w obawie, że wyżej nie będzie odpowiedniego miejsca, wreszcie odpadnięcie Dorawskiego. Atuty moralne zastąpiły tutaj niedociągnięcia fizyczne.

Na Péteret przeciwnie — pogoda prześliczna, żadnych niedomagań. Szwankowała strona subiektywna, moralna. Nie wystarczy powiedzieć, że Péteret jest najdłuższą z dróg wiodących na Mont-Blanc. Gdyby zespół był w całości choć trochę przeszkolony i zgrany, uniknęlibyśmy niewątpliwie tego żółtego tempa.

Trudności odnalezienia właściwego szlaku przyczyniły się nie mało do



Dent du Géant z Courmayeur

Fot. W. Ostrowski

opóźnień. Chwile depresji na szczęście były krótkie, a powodowane ujawniającym się ogromem zadania, mimo dokonanego już wielkiego wysiłku.

Były to oczywiście drobniejsze powody, ale uwydatniły one, że poza treningiem powinien być tępiony już w zarodku każdy przejaw defetyzmu, kształcona odporność moralna i duch zespołowy.

W 1933 r. wczesnie zacząłem sezon, by jeszcze prędzej go zakończyć.

Miałem z Witkiem Wyszyńskim dokonać pierwszego zimowego wejścia na szczyt Pavé (3.831 m) w Oisans. Niestety po całym dniu nartowania prawie nago w ostrym słońcu, Witek «poparzony», z gorączką, pozostał w niezagospodarowanym schronisku Chatteret. Nie mając ani jednego dnia czasu do stracenia, wyruszyłem o pierwszej w nocy. W kilka godzin później, tuż przed świtem, niebo zasnuło się chmurami. Zerwał się wicher, zaczął prószyć śniegiem. Cienka, lekko zmarznięta skorupa powierzchni śniegu, załamywała się ciągle, męcząc niebywale. Powyżej świeży puch sięgał kolan. Na szczęście twarde, wypolerowane koryto lawinowe, umożliwiło szybsze uzyskiwanie wysokości. Dwie czy trzy szczeliny, z których jedna o kilkometrowym progu, zmusiły do intensywniejszej pracy, szczelina brzeżna do akrobacji.

Nad nią wznosiła się już ściana szczytowa, przyprószona śniegiem, zalodzona, w górze otulona mgłą.

Trzeba było znaleźć szlak nie tylko nie znając drogi letniej, ale nie mogąc na skutek olodzenia i zaśnieżenia, nawet wyobrazić sobie dokładnie jej uwarstwienia i ukształtowania. Im wyżej, tym gorzej. Coraz więcej lodowego szkliwa, coraz gęstsza mgła.

Dotarłszy wreszcie do szczytu, znalazłem zaraz poniżej niego doskonale osłoniętą platformę, na której mogłem wygodnie odpocząć.

Długo zastanawiałem się nad drogą powrotną. W czasie wchodzenia nawet do głowy mi nie przyszło wracać tym samym szlakiem, tak bardzo trudnym. Ze wszystkich możliwości, najpraktyczniejszym wydawało mi się zejście granią, w kierunku Meije Orientale (3.891 m) i następnie stromym żlebem lodowym, na najwyższe piętro lodowca Etançons, znacznie poniżej podnóża właściwej ściany.

Wszystkie roztrząsania «za» i «przeciw» rozstrzygnęła definitywnie śnieżyca. Należało uciekać czym prędzej, a jedynym możliwym zejściem pozostawała droga wejściowa, choć tak bardzo trudna, ale jednak już poznana.

Przez czas mego pobytu na szczycie warunki pogorszyły się niepomiernie. Śnieg zdążył zakryć wszystkie chwyty i stopnie. Wygładził powierzchnię, uniemożliwił wykorzystanie naturalnych pomocy, zatarł ślady.

Nie było nad czym rozmyślać. Pozostały tylko zjazdy na linie. Na szczęście moja 50-metrówka zapewniała całkowicie możliwość osiągnięcia punktu lądowania. Natomiast brakło punktów zaczepienia liny. Nie mogłem używać ha-

ków, gdyż miałem tylko jeden czy dwa, a jak zaobserwowałem uprzednio, gładkie pionowe płyty w dolnej części ściany, uniemożliwiały tam wszelkie inne zaczepienie liny.

Pierwszy zjazd był stosunkowo bezpieczny, drugi, na całą długość liny, wymagał utrzymania jej na sztywno i w jednym kierunku. Miałem dwa bloki do wyboru, by zaczepić linę po raz trzeci. Jeden z litej skały, ogromny, ale niewygodnie umieszczony, drugi mniejszy, mniej pewny, ale za to w idealnej linii zjazdu.

W normalnych warunkach nie wahałbym się ani chwili i użył tego ostatniego o wiele wygodniejszego, jednak tym razem zbiór przeciwności, dopiero co uskuteczniiony niepewny zjazd, chęć zmniejszenia ryzyka do minimum, przeważały na korzyść wielkiego i pewnego (!) bloku. W chwilę później wisiałem już w powietrzu.

Zjazd nie miał być długi, osiem do dziesięciu metrów na małą płytę, która miała umożliwić mi przedostanie się na linię zejścia.

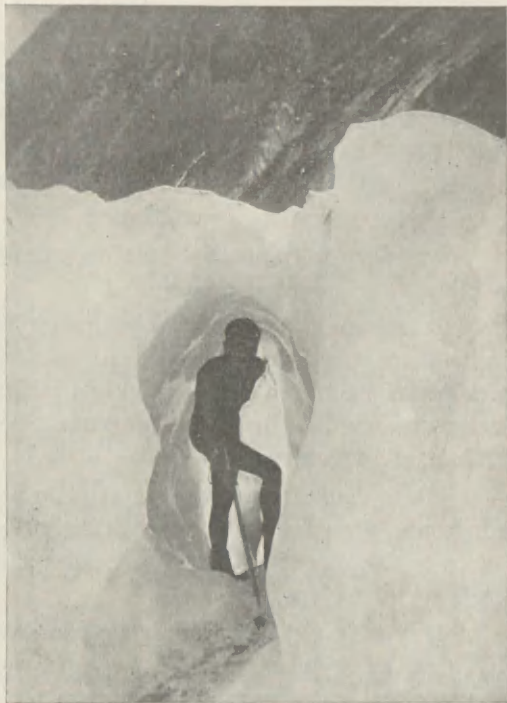
Byłem już nie dalej jak na pół metra od tej płyty, gdy nagle

posłyszałem szmer nad sobą i bezpośrednio jak kamień poleciałem w dół. Odbiwszy się kolanami od płyty, przewinąłem się głową w dół.

Jedno słowo nie do druku i błyskawiczne uzmysłowienie, że wszystko już skończone.

Nie wiem jak tam jest z tonącymi, we mnie niezmacona pewność, że mogę już patrzeć na sprawy tego świata z wysokości drugiego, do którego zacząłem należeć, spowodowała całkowity spokój ducha, stan absolutnej obojętności.

Błyskawica w oczach. Niepomierne huk w uszach. Wata w mózgu i ostatnie odczute, trzecie uderzenie, tym razem w plecy; twarde, głuche, ale już bezbolesne.



Autor w tunelu lodowym

Fot. J. Goltz

Jakieś sny, czy koszmary, niemożność ruchu. W dole nad srebrną, mieniącą się taśmą potoku, dziewczyna pochyła się, nabiera wody, pije chciwie.

Tak to daleko ode mnie, nie dostanę się tam, nie mam sił, by wydobyć się sponad tej grożącej szczeliny spadam wreszcie ponad nią gdzieś w przestrzeń.

Kto mnie okrył gazetą, czemu śnieg jest czerwony? Tak zimno, a deszcz pada. Deszcz czerwony — ciekawe?

Szaleńcze pragnienie — nie do zniesienia. Chyba nawet na pustyni nie można odczuć czegoś podobnego.

Przedemną, naprzeciwno, charakterystyczna szczyba nad schroniskiem Promontoire. Skąd się tu wziąłem i co się właściwie dzieje. Nie wiem. Zresztą to wszystko jedno. Na pewno byłem na jakimś szczycie, coś się stało po drodze. Teraz wracam do schroniska. Strasznie źle się czuję, nie mam sił i wszystko mię boli, ale wrócić muszę.

Jak to ciężko poruszyć się, jakież to bolesne. Trudno, wyprawa musi być skończona. Nie pozwolę by mnie szukano — tak, oczywiście najwygodniej zostać tu bezboleśnie. Nie ruszać się. Ale nie, nie poddam się. Niech się co chce dzieje — tu, nie zostanę.

Trzy razy klękam, próbuję się podnieść. Trzy razy walę się na lód. Spostrzegam, że zejście zamknięte. Leżę na wąskim języku lodu, między dwiema równoległymi szczelinami, połączonymi tuż poniżej trzecią poprzeczną.

Trzeba iść w górę. Gdzie mój czekan, raki, worek? Nie ma — mniejsza o to. Z nadludzkim wysiłkiem czolgam się na łokciach i kolanach. W dłoniach trzymam głowę zwisającą, ciężki owoc na drzewie. W szyi ból nie do zniesienia. Nie mogę wlec się w górę, nie dam już rady. Staczam się z dwóch metrów na most w górnej szczelinie, nie dbając czy utrzyma. Wyjście z niego jest łatwe. Poza tym mogę wreszcie stanąć na nogach. Głowę muszę ciągle trzymać rękami, tak będzie aż do końca. Co chwila muszę się kłaść dla odpoczynku, po czym spostrzegam, że to krew nie deszcz kapie. Skąd? Wszystko jedno.

Niech się co chce dzieje, nie mogę dłużej schodzić. O nie, wyprawa musi być skończona, bezwarunkowo, a poza tym nie chcę by mnie ktoś ratował, no i muszę się napić.

Długi i stromy spad czystego lodu, który w drodze na Pavé przeszedłem rąbiąc stopnie. Teraz nie mam czekana i raków. Stopnie gdzieś zniknęły. Trudno, ostatecznie to nie ma znaczenia, i tak nie mam sił na ekwilibrystykę. Mogę tylko schodzić. W chwilę później przewracam się i ześlizguję szybko, coraz prędzej. Bezładne ciało przeskakuje łukiem kolejno dwie niewielkie szczeliny.

Ohydne uderzenie w głowę — spadek zmniejsza się. Śnieg zastępuje lód — ryją w nim łokcie, zatrzymują rozpędzoną masę.

Znów łamie się skorupa zmarzniętego śniegu. Gwałtowny ból przy każ-

dym zapadnięciu. Dość mam tego — dość. Nie i nie. Dość — będzie dopiero w schronisku.

W głębokiej szczyrbie przełęczy Chamois zachodzi słońce. Świat oszalał niechybnie — zachód jest na wschodzie — na odwrot. . . . Sylwetka Witka stojącego na nartach przed schroniskiem, mijam go kilkanaście metrów poniżej. Krzyczy do mnie, pyta co się stało. «Nie wiem, może spadłem, może coś innego, ale niech powie, czy wie, gdzie ja byłem».

— «Na Pavé».

Ach tak, słusznie. Zresztą to mało ważne, byle się położyć. «Daj pić, a dużo». Dwie litrowe menażki gorącej herbaty wprowadzają w organizm ciepło i życie. Zасыpiam czy też tracę przytomność.

Nade mną zatroskana twarz Kazimierza Rodier, tak dobrze mi znanego przewodnika z La Bérarde. Znoszą mnie w dół. Teraz zaczyna się chyba najgorsze. Każde drgnięcie noszy powoduje ból ponad wyobrażenie.

Nachyla się nade mną p. Lory, prezes Sekcji Isère Francuskiego Klubu Alpejskiego. Cała jego przychylność, przyjaźń, uczucie, odbijają się w każdym słowie i spojrzeniu. Lekarz, karetka pogotowia. Klinika w Grenoble.

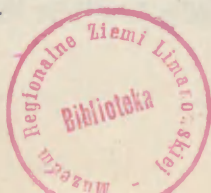
W dwa dni później odzyskałem wreszcie całkowicie przytomność. Powoli wracają wspomnienia. Zaczynam obrazami zdawać sobie sprawę z przebiegu całego zdarzenia.

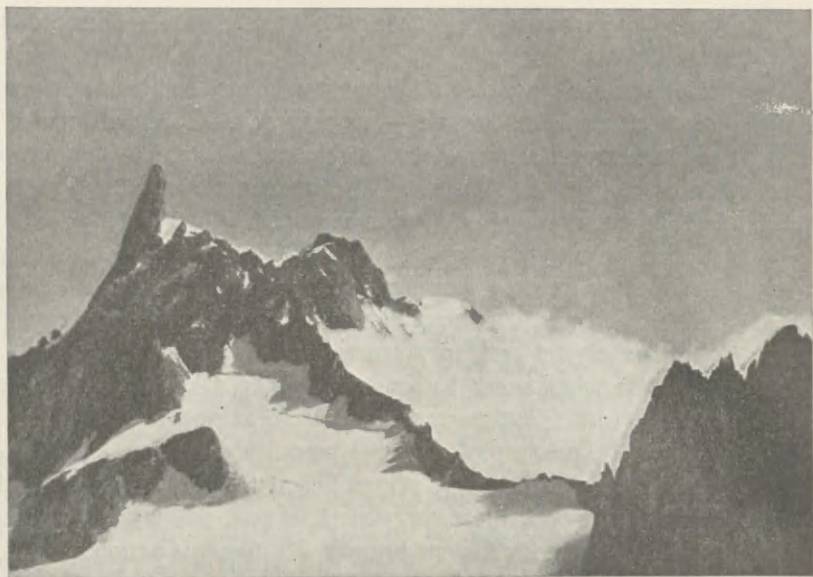
Bajecznie pewny lity blok, oderwał się od podłoża, powodując mój około 600-metrowy upadek.

Nie wiem ile było uderzeń o skały, bo przy drugim straciłem przytomność, ale niewątpliwie musiałem w dole przeskoczyć 30—40-metrową ściankę lodową, wznoszącą się nad szczeliną trasy lawinowej, którą niewątpliwie spadałem. Innej drogi tam nie było. A wyminięcie tego odcinka, wymagało by zbożenia w kierunku Meije Orientale. Odzyskałem przytomność rankiem następnego dnia. Gazeta, to warstwa śniegu, która mnie przysypała w nocy. Deszcz: krew płynąca z ran głowy. Ból szyi — wiązania międzykręgowie naderwane tak silnie, że niewiele brakło do całkowitego zerwania. Słońce w przełęczy Chamois: oczywiście, bo przecież wschodziło, a nie zachodziło. W ostatecznym wyniku: tygodnie łóżka zupełnie nieruchomo; miesiące łóżka, konieczne do wyleczenia ran i obrażeń i lekkiej amputacji podmrożeniowej.

W schronisku — wszystko dalsze było mi już obojętne, przejście zostało zakończone.

Na marginesie sprawy muszę podkreślić niezwykle oddanie Witka Wyszńskiego, który zorganizował pierwszą pomoc, i prezesa Lory, który zajął się dalszym ciągiem akcji pomocniczej. Obaj zresztą jeszcze i w następstwie, w czasie choroby i jej skutków okazali mi nieustającą pomoc, a udzieliła mi jej także nasza Sekcja Turystyczna. Bez nich niewątpliwie cały mój wysiłek, nie pomógłby dostatecznie wiele.





Dent du Géant i Aiguille de Rochefort

Fot. J. Golcz

Poza tym przewodnicy z La Béarde z Kazimierzem Rodier na czele. Przyszli natychmiast, gdy dowiedzieli się o wypadku, znosząc dokładali wszelkich starań, by zaoszczędzić mi bólu. Byli nad wyraz serdeczni. Nie chcieli przyjąć zapłaty. To samo i właściciel hotelu, Tairraz. Są to cechy tak rzadkie, tak odbijające od postępowania ludności i przewodników w innych masywach, gdzie nieraz długotrwałe targi o wynagrodzenie poprzedzają najdrobniejszą akcję, że zasługują na jak najusilniejsze wyróżnienie. Górale z Oisans przynoszą zaszczyt swym górcom.

W 1934 r. była wyprawa w Atlas. Opisaną w «Wierchach», opisaną w «Taterniku», opisaną w książkach — pomijam na tym miejscu. W międzyczasie przeniosłem się do Strasburga. To oddaliło mię od gór.

«Le Polonais qui va tout seul» popadł na pewien czas w nieczynność.

Wreszcie w 1937 r. mogłem spędzić 4 tygodnie w Alpach. Wyjazd był zdecydowany od miesięcy, a cały program skryształizowany w okół jednego problemu: wejścia na Mont-Blanc przez Sentinelle Rouge¹⁾.

¹⁾ Przy sposobności należy przypomnieć, że w okresie ostatnim przeszli polscy alpinści jeszcze dwie inne, b. piękne sportowe drogi na Mont-Blanc, mianowicie — w lecie 1937 r. — Grań Innominata oraz Grań (pd.-wsch.) Mont Maudit (por. «Wierchy» z r. ub., str. 212). Tym bardziej konsekwentny i logiczny był zamiar Golcza, o którym pisze w dalszym ciągu swego opowiadania, wejścia na Mont-Blanc również i drogą przez jej

Nie przystępowałem do sprawy, jak niegdyś, z chęcią zapewnienia rezultatu bardziej dla alpinizmu polskiego niż dla siebie. W ciągu ostatniego czasu przeszedłem znaczną ewolucję. Widziałem organizację polskich wypraw, w których nie brałem udziału, a w organizacji ich niejedno można było lepiej przeprowadzić. Nie myślę wchodzić w szczegóły. Uwaga moja dotyczy wielu momentów.

Mój kontakt z oficjalnym alpinizmem polskim rozluźnił się. Powróciłem ideowo i praktycznie do dawnej formy, czysto sportowej, uzyskania wyniku wyłącznie dla niego samego.

Chodziło mi już tylko o cel, o Sentinelle. Z kim, w czym towarzystwie miałem go osiągnąć, było mi obojętne.

Przejście to miałem uskutecznić z towarzyszem z Grani

Péteret, Stanisławem Grońskim już w 1932 r. Nieustająca lawina zmusiła nas do zmiany kierunku, do przejścia Grani Brenva, która okazała się zresztą przesłiczna i którą, po treningu na Péteret, przeszliśmy w doskonałym czasie.

Ale tym więcej pociągała mnie Sentinelle. To uczucie pogłębiło się w następnych latach.

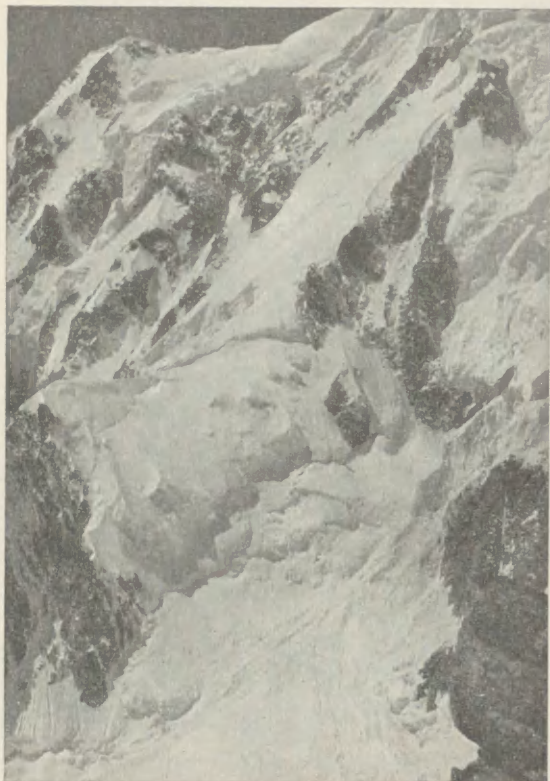
By po tak długim zastoju mieć pełne szanse wygranej, musiałem jednak przed główną rozprawą potrenować.



Dent du Géant z Col des Nantillons

Fot. J. Golcz

najpiękniejsze, wschodnie urwisko, mianowicie tzw. Droga obok Czerwonego Strażnika (Sentinelle Rouge), turni ok. 3.700 m, tkwiącej w dolnej części ściany. *Guide Vallot* nazywa tę drogę «bezwątpienia najtrudniejszą z dróg wiodących na Mont-Blanc, następczą trudności skalne i lodowe najpierwszego rzędu (*de tout premier rang*)». Nie dziw, że została ona przebyta po raz pierwszy dopiero w 1927 r. — przez najwybitniejszych alpinistów angielskich, T. G. Browna i F. S. Smythe'a — i że powtórzono ją od tego czasu nie wiele razy, zresztą nigdy samotnie. Przejście tej drogi było by też dla alpinizmu polskiego dalszym postępowaniem w stosunku do dotychczasowych zdobyczy w Alpach. Golcz o swoim ataku na to urwisko napisał ostatnio najobszerniej w «*Taterniku*» z 1938 r., zes. 5. *Przyp. red.*



Wschodnie urwisko Mont Blanc

Fot. W. Ostrowski

wypełnione śniegiem, lub czystym lodem. Wszelaka różnorodność podobnych przyjemności alpejskich. Zresztą zwykła codzienna robota.

Spady wielkiego żlebu Mont-Blanc już po za Sentinelle, niewidoczne we mgle, ale dające się tak «odczuć» niesamowitą stromizną i hukiem lawin.

Depresja (tak, ona wreszcie) spowodowana niemożliwością odnalezienia ukrytej we mgle ostrogi skalnej, którą trzeba było osiągnąć jak najszybciej, po pierwsze: ze względu na brak czasu na poszukiwania, po drugie: dla wyrwania się z zasięgu wiszącego, a ukrytego niebezpieczeństwa lawiny, która prędzej czy później, przy podnoszącej się temperaturze, musiała przejść tędy. Stwierdzenie straconego czasu, niemożliwości orientacji, konieczności osiągnięcia spokojniejszego terenu.

Odwrót śladami i spadek około 200 m po stromiznie lodowej.

Ta niezachwiana równowaga moralna, która pozwoliła mi w obliczu realnego niebezpieczeństwa, uchwycić jedyną możliwą sekundę, ustabilizować czekaniem

W towarzystwie alpinistów francuskich wyszedłem na Aiguille de Blaitière (3.522 m) i na Dent du Géant (4.014 m), przetraversowałem granie Les Courtes (3.720 m) i Aiguille de Rochefort (4.004 m). Na tej ostatniej szczelina brzeźna dostarczyła prawdziwie artystycznej pracy na ścianie lodowej, przewieszanej od pasa w górę, a spadającej poniżej prawie pionowo, daleko w dół.

Biwak, śnieżycza, która zatrzymała nas w schronisku Torino (3.300 m), wreszcie schron na Col de la Fourche de la Brenva (3.682 m).

Od Col Moore (3.479 m), przełączki w dzikiej ostrodze, dzielącej na dwoje górną część lodowca Brenva, szedłem już sam.

Przebijanie się przez zmurszałe lub pokryte lodowym szklivem skały, żleby

wirujące ciało, zatrzymać je wreszcie mimo błyskawicznego tempa, stałą raków zarytych w lód.

Potem godziny całe, beznadziejne, straszne, w czasie których poszukiwałem w gęstej mgle jakiegoś śladu i nie mogłem znaleźć.

Beznadziejne a jednakz podświadomym prawie podszeptem: psiakrew i tak znajdę i zejść.

Lawinki świeżego śniegu, spadające wokół, lub nawet wprost na mnie, jak prysznic z przewieszonych skał. Nie groźne same w sobie, ale denerwujące okrucieństwem ukrytego niebezpieczeństwa, niemożliwego do przewidzenia — będące zapowiedzią innych, bardziej głębinowych.

Setki metrów to w górę, to w dół, dla określenia swego położenia, wyznaczenia kierunku dalszej drogi.

Odsłonięcie się Col Moore nad wieczorem. Stwierdzenie nie zgubienia szlaku, radość zwycięstwa nad żywiołem.

Nocny zjazd na tę przełęcz, błędzenie po lodowcu Brenva, by wykryć na wysokiej grani schron Fourche.

Teraz zimno posunięte do niebezpieczeństwa przy tym zmęczeniu i wyczerpaniu (nie zabrałem prawie żadnego posiłku, aby przyspieszyć tempo marszu mniejszym obciążeniem), zresztą nie zatrzymałem się mimo szalonego pragnienia, nawet by łyknąć z manierki. Nie mógłbym ruszyć dalej, nie rozprostowałbym już skurczonych tym mrozem palców.

Wspinaczka na ślepo, według intuicji, przeblask blaszanej ściany, uderzenie czekaniem w drzwi zaryglowane, dowodzące czyjejś obecności. Herbata zgotowana na prymusie schroniska i sen trupa, a nie istoty żywej.

Prawie trzydniowa gorączka spowodowana ostrym zapaleniem oczu, wywołanym koniecznością zdjęcia okularów we mgle.

Powrót do Chamonix, ostatnia próba, zakończona zaraz na początku ulewną burzą i śniegiem.



Na grani Aiguille de Rochefort

Fot. J. Goltz

Konieczność powrotu do Strasburga i rezygnacji z Sentinelle.

Tak zakończyła się ta walka, druga co do intensywności po Pavé.

Po raz drugi musiałem dobyć wszystkich sił, posunąć natężenie do ostatnich granic, opanować swe uczucia, na to by powrócić, by osiągnąć schronisko. Przegrawszy alpinistycznie, wygrałem sportowo, bo mimo wszystko cel, może nawet niedostępniejszy, osiągnąłem. Czy jednak dobrze zrobiłem, że zrezygnowałem i zawróciłem, zamiast za wszelką cenę piąć się w górę? W chwili powrotu postępek ten wydał mi się jedynym rozsądnym i logicznym. Kierowała mną jednak i napięcie nerwowe, ciągnęła groza lawin, zupełny brak pola widzenia i strata czasu na poszukiwania.

Dziś, gdy patrzę na to z odległości, gdy wiem, jak szalonego wysiłku trzeba było, by wyrwać się ze szponów i wrócić do schroniska, myślę, że droga w górę nie mogłaby mi drożej kosztować. Równe chyba były szanse pozostania, lub wyrwania się stamtąd, przy takim czy innym wyborze. Droga w górę dałaby może jednak — szczyt. Tak zdaje mi się teraz, a jednak jeśli wtedy wróciłem, widocznie innego wyjścia nie było.

Mniejsza o to. Pozostało zwycięstwo nad rozpetanym szaleństwem przyrody, a z Sentinelle spróbuję się raz jeszcze — jeszcze mnie nie pokonała ¹⁾.

Na tym skończyło się dziesięciolecie mej dorywczej działalności alpejskiej. Nie osiągnąłem jeszcze całkowicie w tym okresie swego celu z pierwszych lat, który wtedy wydawał mi się tak łatwy, by, dzięki wysiłkowi własnemu, kolegów i organizacji, podnieść sportowy alpinizm polski na najwyższy poziom międzynarodowy.

Powróciłem do czystego sportu. Ponieważ znajduję w nim pełne zadowo-

¹⁾ Autor pisał te słowa na wiosnę 1938 r., a już w parę miesięcy później miał możliwość ich wypełnienia. Oto, połączwszy się ze znanymi alpinistami Zbigniewem Korosadowiczem i J. Wawrzyńcem Żuławskim, w lecie 1938 r. uczestnikami dorocznego alpejskiego obozu Klubu Wysokogórskiego PTT (por. dział «Alpinizm i taternictwo» w «Kronice»), w dniach 24—25 sierpnia t. r. dokonał przejścia całości drogi przez Sentinelle Rouge na Mont Blanc. Ponieważ wyprawa ta nastąpiła już po opracowaniu drukarskim całej pierwszej części niniejszego rocznika «Wierchów», możemy tylko w przypisku wspomnieć o niej, podkreślając, że odbyta została w całkiem dobrym tempie i z należytą sprawnością. Niestety, okoliczności uboczne i od woli ludzkiej niezależne (zmiana w ukształtowaniu się górnej bariery lodowej u wyjścia z urwiska na plateau wierzchołkowe) spowodowały konieczność cofnięcia się ok. stu metrów w ścianie, a to z kolei przymusowy biwak. Nazajutrz alpinści dokończyli wprawdzie pomyślnie wyprawy, ale skutki biwaku — spędzonego w nader niekorzystnych warunkach, na małej platformie wykutej w spadzistym firnie — okazały się dość groźne: wszyscy trzej ulegli poważnym odmrożeniom stóp, do tego stopnia dotkliwym, że musieli się poddać kuracji szpitalnej i pewnym amputacjom palców u nóg. Cena jaką zapłacono za sukces była więc wysoka. Ale pociechą może być fakt, że wyprawa nie była daremna, i że wynikiem jej był nowy i to poważny krok naprzód w osiągnięciach polskiego alpinizmu sportowego. *Przyp. red.*

lenie i nie zależy mi już na braniu udziału w oficjalnych wyprawach, mogę chyba wobec tego powiedzieć w krótkich słowach, czego trzeba, by osiągnęły one kiedyś swój cel.

A więc należy bezwzględnie zwalczać brak zgody jednostek, nie zawsze zdrowe ambicje, niekarność i brak ducha zespołowego, niedostateczne poczucie odpowiedzialności i zrozumienia celu wypraw, łatwość w uleganiu depresji i to nie tyle z powodu warunków zewnętrznych, ile przez poddawanie się niekorzystnemu wpływowi jakiejś jednostki. Jeszcze ważniejszym wydaje się sprecyzowanie ostatecznej zasady organizacji wypraw, które z jednej strony muszą dać możliwość niweczenia w zarodku rozmaitych usterek uczestników, z drugiej winny umożliwić nadawanie bardziej odpowiedniego kierunku całemu programowi, wreszcie dać podstawę do konsekwentnego unikania wszelkiej protekcji i względów osobistych przy doborze osób, które mają być uczestnikami wypraw.

Że należy baczną uwagę zwrócić na powyższe zasady, szczególnie przy wyprawach o charakterze sportowo-alpinistycznym, świadczy fakt, że wyprawy na Meije i Péteret w latach 1931—2 były najwyższym dotychczasowym wyrazem sportowego alpinizmu polskiego, mimo, że alpinści polscy także i później bawili w Alpach. Może winna tu była słabsza technika następców, może wycofywanie się z wypraw czynnych jednostek, które nieraz po jednej wyprawie nie biorą udziału w następnej, w każdym razie należy dążyć do osiągnięcia wyników coraz to lepszych, zwłaszcza wobec postępów ogólnych alpinizmu światowego w ostatnich latach. Należy wyczerpać wszystkie siły, aby w zgodnym wysiłku wszystkich jednostek, które mają w alpinizmie coś do powiedzenia, zlikwidować wszelkie usterek, jakie się pojawiły!

Ale dość o tym.

Do dziś wierzę, że polska wyprawa alpinistyczno-sportowa o składzie dobieranym jedynie pod kątem widzenia osiągnięcia celu, wydzwignie wreszcie nasz alpinizm do poziomu najlepszych zdobywców światowych.

Ale trzeba będzie dać jej uczestnikom maksimum treningu, wymagać bezwzględnie w każdej okoliczności wysokiego napięcia woli, ducha zespołowego, największej ofiarności i woli zwycięstwa.

Wtedy okaże się nagle, że ci nasi alpinści, prawdziwi alpinści, którzy niejednokrotnie potrafili wykazać swą sprawność górską, wytrwałość, wolę i chęć wygranej, potrafiali odeprzeć każdą przeciwność — zrealizują dzisiejsze marzenia.

Takich alpinistów jest u nas może niewiele. Nigdzie nie są zbyt liczni, tym bardziej w kraju leżącym daleko od gór o typie alpejskim. Ale przy dobrej woli, można będzie na pewno znaleźć wystarczającą ich ilość.

Trzeba ich jednak skupiać a nie rozpraszać, bo na taki luksus alpinizm nasz jest za ubogi.

Jerzy Golcz

Przejście z południa na północ przez Zachodni Spitsbergen

Dzięki polskim ekspedycjom naukowym na Wyspę Niedźwiedzią w «Roku Polarnym» 1932—1933, oraz na Spitsbergen (do Ziemi Torella) w r. 1934, w środowiskach naukowych w Polsce silnie wzrosło zainteresowanie badaniami w krajach polarnych. Za wysyłaniem dalszych wypraw z Polski na Svalbard przemawiają liczne argumenty, z których dwa są może najistotniejsze. Po pierwsze kraj ten jest jednym z tych lądów, które najbardziej zbliżają się do bieguna północnego, stanowi więc doskonały teren dla badań nad rozlicznymi zjawiskami geofizycznymi, obejmującymi często całą nawet ziemię lecz w krajach polarnych rozwijającymi się w sposób ogromnie charakterystyczny. Po drugie Spitsbergen to kraina żyjąca do dziś jeszcze w epoce lodowej. Wnętrze lądu jest tu opancerzone skorupą lodową ogromnych rozmiarów, zaś strefa wybrzeżowa to wąski skrawek ziemi, na której opierają się czoła potężnych lodowców, dążących z wnętrza lądu ku morzu. Tu na skraju świata lodów zachodzą zjawiska podobne do tych, jakie miały miejsce w Polsce przed wielu tysiącami lat, gdy olbrzymi pancierz lądolodu europejskiego pokrywał znaczną część dzisiejszego naszego kraju.

Geologowie i geografowie, zajmujący się badaniami utworów lodowcowych w Polsce, znajdują na Spitsbergenie teren, umożliwiający przeprowadzanie nader cennych studiów porównawczych, które pozwalają rozstrzygnąć przynajmniej część wątpliwości na jakie ciągle natrafia nauka zwana dyluwialistyką.

Argumentem przemawiającym również na korzyść Spitsbergenu jako terenu dla badań polarystycznych, jest też i to, że Spitsbergen dzięki specjalnemu układowi prądów morskich na morzu Barentsa, jest stosunkowo łatwo dostępny i podróż z Polski do tego kraju trwa w dogodnych warunkach zaledwie około 8 dni, podczas gdy np. do najłatwiej dostępnych części Grenlandii trzeba jechać z Warszawy co najmniej dni 15. Koszty niewielkiej wyprawy na Spitsbergen nie są duże. Przy organizowaniu kilkusobowej naukowej ekspedycji do tego kraju należy obliczać około 2.000—3.000 zł na osobę na dwa miesiące. Z sumy tej można swobodnie nabyć zarówno dobry ekwipunek, obfitą

żywność jak i opłacić podróż tam i z powrotem. Nasza trzyosobowa wyprawa na Spitsbergen, która jest tematem niniejszego artykułu, kosztowała w sumie około 4.500 zł.

Pomiędzy czterema innymi polskimi ekspedycjami do krajów polarnych, wyprawa na Spitsbergen w 1936 roku wyróżniła się przede wszystkim celem dla którego została zorganizowana. Gdybyśmy chcieli w najkrótszych słowach scharakteryzować wyprawy, które ją poprzedziły i te, które po niej przyszły powinniśmy powiedzieć, że zadaniem ekspedycji na Wyspę Niedźwiedzią (1932—33) było przeprowadzenie systematycznych obserwacji meteorologicznych i magnetycznych, przewidzianych programem tzw. Roku Polarnego, w czasie którego wiele państw z całego świata zorganizowało podbiegunowe placówki badawcze. Stacja polska na Wyspie Niedźwiedziej była więc jednym z licznych węzłów międzynarodowej sieci meteorologicznej, założonej pod biegunem na okres jednego roku. Członkowie tej wyprawy pędzili w ciągu 13-tu miesięcy tryb życia najzupełniej osiadły. Żyli związani ze swym domkiem, a poza codzienną pracą w stacji, największym ich wysiłkiem była moralna i nerwowa walka ze swą własną ludzką naturą, wystawioną na próbę dwóch długotrwałych «dni polarnych» i ponurej wielomiesięcznej zimowej nocy podbiegunowej.

Pierwsza polska wyprawa na Spitsbergen w roku 1934, zorganizowana z inicjatywy dwóch członków ówczesnego Koła Wysokogórskiego przy Oddziale Warszawskim PTT, miała charakter badawczy i odkrywczy. Działała przez dwa miesiące w nieznaney dotychczas Ziemi Torella i przyniosła w rezultacie piękną mapę wycinka tego kraju, opracowaną przez Wojskowy Inst. Geograficzny w Warszawie, oraz interesujące badania geologiczne przeprowadzone przez dr. S. Z. Różyckiego. Ta ekspedycja miała przebieg wybitnie ruchliwy, a wymagania jakim musieli odpowiadać jej członkowie obejmowały jedynie dwie cechy: wytrzymałość na ciężką pracę fizyczną i znajomość swego fachu. Rezultaty działań wyprawy stanowią skromny, lecz nie pozbawiony znaczenia przyczynek do ogólnoludzkiego dorobku wiedzy polarystycznej.

Bezpośredni związek z problemami geologii czy geografii Polski posiadały wyprawy na Grenlandię w 1937 r., oraz na Spitsbergen w 1938 r. Obie te ekspedycje zostały zorganizowane głównie w tym celu, aby przeprowadzić studia porównawcze między zjawiskami zlodowacenia polskiego, a współczesnego podbiegunowego. Jeszcze o wyprawie na Grenlandię można powiedzieć, że przynajmniej częściowo miała w swym programie «badanie Grenlandii dla Grenlandii»; ostatnia ekspedycja spitsbergenska «pojechała pod biegun, aby tam studiować geologię Polski».

Trzy ostatnio wspomniane wyprawy przyjęły podobną metodę działania w terenie. Najpierw na wybrzeżu w pobliżu miejsca wylądowania była za-

kładana główna «baza operacyjna», składająca się z jednego lub kilku dużych namiotów, w których znajdował się skład żywności i sprzętu potrzebnego do pracy. Stąd wyruszały w głąb lądu czy lodu, lub do tego miejsca powracały grupy pracujące w myśl programu ekspedycji¹⁾.

Wszystkie wyprawy, o których tu piszę, za wyjątkiem rocznej ekspedycji na Wyspę Niedźwiedzią, działały jedynie w okresie lata.

Wyprawa na Spitsbergen w 1936 roku nie miała charakteru ekspedycji naukowej. Stanowiła na wielką skalę przeprowadzoną próbę ekwipunku, sił i możliwości ludzkich. Była rekonesansem, przygotowaniem do wypraw, które nastąpiły i które będą następować po niej.

Uczestnikami a zarazem inicjatorami ekspedycji byli: inż. Stefan Bernadzikiewicz, asystent Politechniki Warszawskiej, kierownik wyprawy na Spitsbergen w 1934 r., uczestnik wyprawy w góry Kaukazu (1935 r.), uczestnik wypraw na Grenlandię (1937 r.) oraz na Spitsbergen (1938 r.); dr Konstanty Narkiewicz-Jodko, asystent zakładu fizyki Uniwersytetu J. P. w Warszawie, kierownik I. wyprawy wysokogórskiej w Andy, znany badacz stratosfery; oraz Stanisław Siedlecki, student geologii na Uniwersytecie J. P. w Warszawie, uczestnik wypraw na Wyspę Niedźwiedzią (1932—1933), na Spitsbergen (1934) i na Grenlandię (1937 r.) — wszyscy trzej członkowie Klubu Wysokogórskiego PTT.

Postanowieniem naszym było dokonać całkowitego przejścia przez Zachodni Spitsbergen, od jego krańców południowych do północnych. Pragnąc w przyszłości przeprowadzać prace polarystyczne chcieliśmy w tej wyprawie pozyskać możliwie jak największy zasób doświadczeń podróźniczych i organizacyjnych, a zarazem poznać dobrze ten «klasyczny kraj badań polarnych» jakim jest Spitsbergen.

Przez wykonanie zamierzenia powiększyliśmy poważnie naszą zdolność do dalszej działalności polarystycznej. Pierwsze zaś w historii wypraw Spitsbergeńskich przejście wzdłuż tego kraju zostało nawet przez Norwegów ocenione jako wyczyn śmiały i interesujący. Wypróbowanie przez nas drogi przez niektóre lodowce i przejścia wśród gór, może mieć znaczenie dla różnych wypraw badawczych, które coraz częściej zapuszczają się w lodowe i skalne labirynty wnętrza Spitsbergenu.

Czas trwania wyprawy obliczyliśmy na dwa miesiące. Drogę, której

¹⁾ Metoda zakładania bazy jest dla wyników wyprawy naukowej najodpowiedniejsza. W pewnych wypadkach najdogodniej jest urządzać na Spitsbergenie bazy w opuszczonych domkach myśliwskich, które rozrzucone są wzdłuż wszystkich wybrzeży tego kraju. Na Grenlandii (a czasem i na Spitsbergenie) najwłaściwiej jest mieć bazę ruchomą na dużej łodzi motorowej, lub na stateczku, który mógłby dowolnie przenosić się z miejsca na miejsce i zarzucać kotwicę w pobliżu badanej okolicy.



Spitsbergen: kraj lodu i mgieł

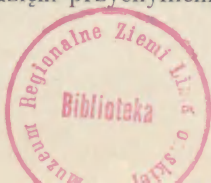
Fot. S. Bernadzikiewicz

długość przekroczyła 800 kilometrów, rozdzieliliśmy na dwa, mniej więcej 400-kilometrowe jednomiesięczne etapy. Trasa przemarszu wiodła nas setki kilometrów poprzez lodowce wszelkich typów i rozmiarów, poprzez łańcuchy górskie lub olbrzymie, wysoko wyniesione płaskowyzę lodowe. Czasem wędrowaliśmy przez pustynne nadbrzeża morskie, lub wielkie doliny bezlodowcowe porośnięte polarną tundrą. Szlak ten przebiegał też poprzez krainy czasem nietknięte stopą ludzką.

Posuwaliśmy się przeważnie po lodowcach. Na teren pozbawiony lodu natrafialiśmy bardzo rzadko. Sprzęt obozowy, ekwipunek alpinistyczny i żywność transportowaliśmy na wielkich 3,5 metra mierzących saniach polarnych typu «Nansenowskiego», zakupionych w Oslo. Sanie te ciągnęliśmy przez Spitsbergen siłą własnych mięśni, idąc na nartach lub też bez nich w butach dobrze podkutych. W terenach stromych pod narty podklejaliśmy tzw. «foki».

Organizując wyprawę, układając jej trasę i przygotowując sprzęt podróży, opieraliśmy się na doświadczeniach licznych ekspedycji norweskich i angielskich, które przed nami pracowały na Svalbard'zie. Wyzyskaliśmy też wiadomości zdobyte w czasie wspomnianych wyżej wypraw polskich. Profesor Adolf Hoel, dyrektor Norges Svalbard og Ishavs Undersökelse służył nam swymi cennymi radami i pomocą. Pozwalam sobie na tym miejscu złożyć mu za to szczerze podziękowanie.

Wyprawę zrealizowaliśmy dzięki przychylnemu stosunkowi Ministerstwa



W. R. i O. P. Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Min. Komunikacji. Mniej więcej połowę sumy potrzebnej do pokrycia kosztów ekspedycji uzyskaliśmy od «Gazety Polskiej».

Ekwipunek wyprawowy przygotowaliśmy specjalnie lekki, jedzenie jak najpożywniejsze a zarazem najbardziej treściwe. Ciężar sań w początkach każdego etapu wynosił ponad 200 kilogramów, więc obciążenie na człowieka wypadło około 70 kilogramów. Praca w zaprzęgu bywała niekiedy ogromnie męcząca i na krótkich odcinkach wymagała niemal skrajnego wysiłku ciągnących. W terenie jednak płaskim lub lekko nachylnym ciągnięcie sań zwłaszcza po dobrym śniegu szło stosunkowo lekko i sprawnie.

Projektując wyprawę rozważaliśmy sprawę użycia do zaprzęgu psów. Odrzuciliśmy jednak tę możliwość, gdyż wówczas musielibyśmy się liczyć z koniecznością znacznego zwiększenia bagażu i składu osobowego wyprawy. Teren pomiędzy Süd-Cap Land a lodowcem Rabort'a nasuwałby duże trudności w użyciu zaprzęgu psiego, ze względu na wysokogórski charakter tamtejszych lodowców, których cyrki a zwłaszcza bezśnieżne jezory bywają ogromnie nierówne i spękane. Natomiast na trasie pomiędzy lodowcem von Post'a a północnym skrajem plateau Nowej Fryzlandii zaprzęg psi miałby przez całe lato dobre pole działania.

Trudności jakie spotykaliśmy po drodze i rozmiary trasy jaką postanowiliśmy przebyć zmuszały nas do nieustannej wytężonej pracy w zaprzęgu i pośpiechu w marszu. W czasie tego rodzaju ekspedycji było nam niezmiernie trudno prowadzić jakiegokolwiek systematyczne prace naukowe, gdyż albo spieżyliśmy się do jedynego naszego składu żywności, do Zatoki Tempel (w pierwszej fazie wyprawy), albo do czoła lodowca Nordenskjöld'a, (w fazie drugiej) skąd po zakończeniu ekspedycji zabrał nas z góry zamówiony statek. Jedynie okazały zbiór roślin z całej naszej trasy można zaliczyć do zdobyczy posiadających dla nauki wartość bezpośrednią. Zbiorami botanicznymi zajmował się inż. Bernadzikiewicz.

Głównym sprzętem obozowym był namiot. Posiadał on pojedyncze ściany i był dzięki temu dość lekki, lecz przekonaliśmy się, że nieco cięższe namioty o podwójnych ściankach, jakich używaliśmy w Ziemi Torella w 1934 r., były o wiele dogodniejsze i przede wszystkim cieplejsze. Ważną częścią ekwipunku były małe materacyki z «musu kauczukowego», które podkładaliśmy sobie pod ramiona i biodra. Były one bardzo lekkie a izolowały doskonale od zimna i wody, która często pojawiała się na gumowej podłodze przemakającego namiotu. Worki do spania mieliśmy puchowe. Naszą bronią była dubeltówka, której użyliśmy kilkakrotnie, lecz tylko w pierwszym etapie marszu.

Żywność zabraliśmy w ilości 1.080 gr jedzenia suchego na jednego człowieka dziennie. Była to porcja zupełnie wystarczająca. Podstawą były płatki owsiane (100 gr dziennie), cukier (200 gr dziennie), mleko i owoce suszone,



Obóz wyprawy na Płaskowyżu Centralnym. Namiot, celem zmniejszenia przemakalności, osłonięty płachtą zdjętą z sań

Fot. S. Bernadzikiewicz

masło oraz bekon. Chlebem naszym były herbatniki E. Wedla. Spełniały one doskonale swe zadanie, gdyż były pożywne a zarazem lekkie. Jako napoju używaliśmy odżywczego «Ovomaltine» zmieszanego z kakao. Pożywienie mieliśmy rozdzielone w lekkich skrzynkach dyktowych, łatwych do przenoszenia i umocowania na saniach. Każda skrzynka zawierała kompletne jedzenie wyprawy na 8 dni. Był to system ogromnie wygodny.

Gotowaliśmy na maszynie naftowej typu «Primus». Był to mały model sportowy, opatrzony pompką. Modele bez pompki nie nadają się do gotowania na śniegu. Do primusa używaliśmy benzyny lub nafty. Nafta okazała się paliwem wyraźnie ekonomiczniejszym, choć mniej wygodnym i czystym w użyciu niż benzyna. Na 25 dni marszu wystarczyło nam 10 litrów paliwa.

Zapasy podzieliliśmy na dwie równe części i połowę zabraliśmy ze sobą ładując w fiordzie Hornsund, skąd rozpoczęliśmy wyprawę, połowę zaś zabrał do zatoki Tempel S. S. «Lyngen», który przywiózł nas na Spitsbergen. Kapitan «Lyngena» pozostawił tę żywność w Tempel Bay, t. zn. mniej więcej w połowie długości Zach. Spitsbergenu, w chacie myśliwego Hilmara Nöis'a, który tam stałe zamieszkuje. Nöis przyszedł nam z cenną pomocą, zaopiekowawszy się tym ważnym dla nas składem.

Orientowaliśmy się w czasie marszu według nielicznych map obejmujących różne wycinki naszej trasy. Znaczne jednak przestrzenie przebywaliśmy

zupelnie bez pomocy map, albo z tego powodu, że szliśmy krajem nieznanym, albo dlatego, że błędy w mapach danej okolicy myliły nas i utrudniały orientację. Może najcharakterystyczniejszą cechą ekspedycji była stała niepewność naszego położenia i dalszej drogi przed nami. Kto zna wewnątrz Spitsbergenu ten nie zdziwi się, że bywaliśmy niekiedy zagubieni pośród labiryntu grzbieców górskich, szczytów i przełęczy, na niezmiernych polach lodowisk, pociętych siecią szczelin i nie noszących nawet śladu życia, a za to niemal bez przerwy zatopionych w oparach mgieł.

Nasz przemarsz przez Spitsbergen poprzedzony był jedną próbą podobnego rodzaju. W roku 1928 trzech Norwegów: O. J. Broch, E. Fjeld i A. Höygaard wyruszyło z fiordu van Keulen na południe w kierunku góry Hornsundtind. Po próbie zdobycia tego szczytu zawrócili ku północy z zamiarem dotarcia do Kings Bay. Z okolic centralnego plateau lodowego (plateau Łomonosowa wg Wasiliewa) zawrócili do zatoki Tempel, przerywając wyprawę z powodu oślepienia od blasku słońca na śniegach. Opis drogi przebytej przez tych ludzi¹⁾ i schematyczna mapka ich trasy oddały nam duże usługi przy orientacji w terenie, gdyż prawie połowa naszej drogi przez Spitsbergen biegła po szlaku poprzedników.

Wyprawa wyjechała z Warszawy dnia 28 czerwca 1936 r. Jechaliśmy koleją przez Niemcy, Szwecję i kawałek północnej Norwegii. Na Spitsbergen pojechaliśmy norweskim statkiem towarowo-turystycznym noszącym miano «Lyngen». Na jego pokład wsiedliśmy w Narvik dnia 2 lipca. 3-go byliśmy w Tromsø, gdzie dokonaliśmy ostatnich zakupów części żywności i ekwipunku, 6-go lipca mijaliśmy Wyspę Niedźwiedzią, przy której nie mogliśmy niestety zatrzymać się z powodu burzliwej pogody; 7-go «Lyngen» lawirując wśród licznych gór lodowych wpłynął do fiordu Hornsund, wrzynającego się w południową część Spitsbergenu. Tutaj w zatoce zwanej Gaas Hamna wysadzono nas na ląd. «Lyngen» wkrótce odплыł dalej ku północy. Zostaliśmy sami. Wyprawa się zaczęła.

Gdybyśmy byli zabobonni, to w dniu rozpoczęcia wielkiego przedsięwzięcia wróżylibyśmy z pewnością wyprawie, uwieńczonej zupełnym powodzeniem, losy jak najgorsze. Gdy bowiem na ponurym wybrzeżu zatoki Gaas otworzyliśmy hermetyczne bańki z paliwem do «Primusa», skonstatowaliśmy ze zdumieniem, że w Tromsø dostarczono nam przez pomyłkę spirytus denaturowany zamiast żądanej benzyny. To niedopatrzenie mogło mieć konsekwencje naprawdę poważne, bo nasza maszynka do gotowania stała się teraz bezużyteczną, a do spirytusu nie posiadaliśmy żadnego palnika. Gdybyśmy nawet

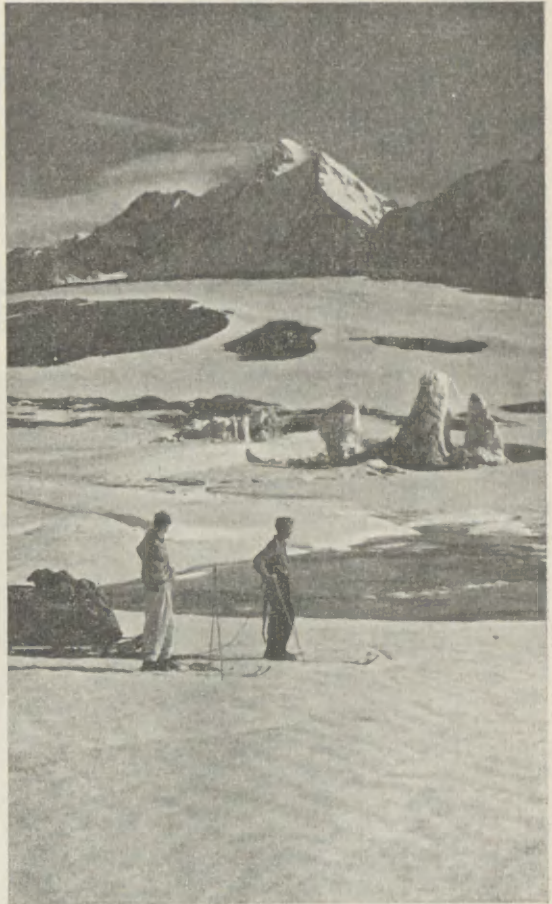
¹⁾ Patrz: O. J. Broch, E. Fjeld i A. Höygaard, Paa ski over de sydöstlige del av Spitsbergen, Norsk Geogr. Tidsskr. Bind II, H. 3—4, Oslo 1928.

zdecydowali się spalać w czasie drogi drzewo ze skrzynek żywnościowych, nie moglibyśmy sobie pozwalać na więcej niż jedno ciepłe danie dziennie. Próbowaliśmy więc skonstruować palnik na spirytus z puszki blaszanej i sznurówadeł. Efekt jednak osiągnęliśmy niewielki.

Dopiero w chwilę później przypomnieliśmy sobie, że wpływając do Hornsundu widzieliśmy mały norweski stateczek rybacki, stojący na kotwicy o kilka kilometrów na zachód od zatoki Gaas. Dwóch z nas udało się jak najszybciej w tamtym kierunku wzdłuż skalistych wybrzeży. Po dwóch godzinach marszu znaleźliśmy się w pobliżu statku, który właśnie odpływał, uciekając przed napierającymi od wschodu górami lodowymi. Udało się nam jednak wezwać strzałami z rewolweru ludzi, którzy dostarczyli nam 5 litrów benzyny i 5 litrów nafty.

Najbliższym naszym celem był teraz południowy przylądek zachodniego Spitsbergenu. Szliśmy ku niemu przez kraj o charakterze niemal alpejskim. W Ziemi Południowego Przylądka poruszaliśmy się wśród gór, których skrzęsane ściany wznosiły się setki metrów ponad biel lodów. Przeważały lodowce dolinne o wyraźnie zaznaczonych cyrkach i jezorach. Praca w zaprzęgu była ciężka. Wspinając się na przełęcz musieliśmy dobrze wyłożyć się do przodu i wpiąć wolne od nart buty w strome kopne śniegi. Zjeżdżając w dół, mocno trzymaliśmy w rękach zdjęte z ramion pętle uprzęży i w pełnym szczelin terenie hamowaliśmy sanie, coraz to nabierające niepokoju rozpedu.

Technika zjazdów z saniami to sztuka, z którą zapoznaliśmy się wraz



W Ziemi Południowego Przylądka

Fot. S. Bernadzikiewicz



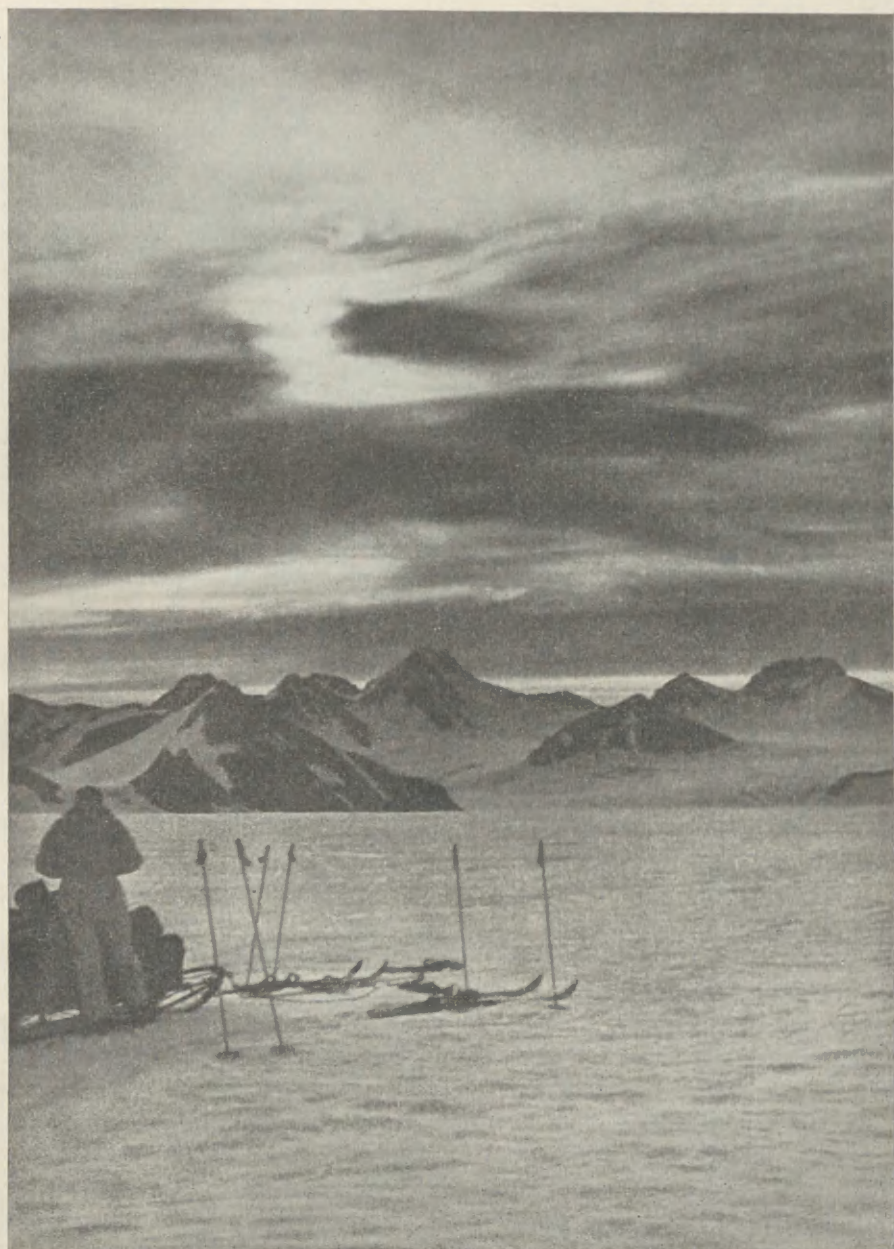
Rozlewiska w strefie silnego tajania śniegów na lodowcu

Fot. S. Bernadzikiewicz

z inż. Bernadzikiewiczem już w r. 1934 w Ziemi Torella, lecz dopiero teraz opanowaliśmy ją zupełnie. Zazwyczaj zjazd odbywał się w sposób następujący: dr Narkiewicz zjeżdżał na nartach naprzód po danym zboczu i wyszukiwał drogę wśród spękań i nierówności lodowca. Inż. Bernadzikiewicz i ja odpinaliśmy się od sań, stawaliśmy po obu ich stronach i chwytaliśmy uprzęż mocno w jedną rękę, a złożone kijki w drugą. Sanie stały przygotowane do zjazdu, zwrócone przodem w kierunku spadku pochyłości. Na dany znak ruszaliśmy. Długi i ciężki pakunek sań już po kilkunastu metrach drogi nabierał rozpędu i sunął nieco z przodu między nami. Zjazd wprost trwał tylko chwilę, bo już po kilku sekundach trzeba hamować rosnący wciąż pęd. Trzeba jechać łukami. Jeden z nas wołał wtedy: — Skręcam ku sobie! — Robił ostry zwrot w swoją stronę, ściągał z całych sił uprzęż trzymaną

w rękę, zwracając przód sań w obranym kierunku. Te skręcały ostro, wyrzucały w górę fontanny śniegu i z charakterystycznym szelestem płóz sunęły w skos zbocza. Drugi z nas tymczasem zjeżdżając szerokim łukiem towarzyszył saniom po drugiej stronie i już przygotowywał się do ponownego zwrotu.

Gdy osiągnęliśmy pewną wprawę manewry te wykonywaliśmy w dużym tempie. Węzowym śladem znaczyliśmy zjazd z każdej przełęczy. Gdy teren był równy i bezpieczny można było z łuków przejść do zjazdu wprost. Wtedy sanie zamieniały się w prawdziwy pocisk, długi na przeszło 3 metry, sunący błyskawicznie w dół. Dwóch ludzi z oczami zażawionymi od pędu zawsze im towarzyszyło mocno trzymając uprzęż i bacząc aby sanie, od całości których



Chmurna pogoda w Ziemi Południowego Przylądka

Fot. S. Bernadzikiewicz



Sanie wyprawy na lodowcu Goes. W głębi szczyt Hornsundtind (1430 m)

Fot. S. Siedlecki

zależało powodzenie wyprawy, nie wpaść w szczelinę, lub nie strzaskały się na nierównościach lodowca.






Bywały wypadki. Sanie przewracały się w pędzie, czasem nawet koziolkowały wielokrotnie, ciągnęły za sobą obalonych ludzi; nigdy się jednak nie rozbiły i nie rozsypały ekwipunku.

W drodze do południowego przylądka przechodziliśmy najpierw przez lodowiec Goes. Porzuciliśmy na nim drobną część żywności i opakowań. Sanie zdawały się nam zbyt ciężkie. Pozbycie się nawet tak małej ilości jedzenia zmusiło nas mniej więcej w dwa tygodnie później do strzelania mew, z których przyrządzaliśmy potrawy. Na lodowcu Vallée Est po raz pierwszy sanie wraz z ekwipunkiem wyrzuciły się do jeziora pełnego wody i rozmięklej papki śnieżnej. Było to ważne doświadczenie i ostrzeżenie na przyszłość, że wody pochodzące z tajania nawierzchni lodowców polarnych stanowią przeszkodę trudniejszą do przebycia nawet od pól szczelinowych. Lodowiec Olsok był specjalnie ciężką próbą dla sań i ludzi, gdyż jego bezśnieżny, nagi i twardy jezior jest ogromnie nierówny, pocięty gęstą siecią rynien i brózd, między którymi wznoszą się wznórki lodowe, podobne do jakichś nieregularnych a kanciastych stołów, o powierzchni kilku metrów i wysokości przekraczającej jeden metr. W tym terenie sanie przewracają się nieustannie, skaczą z bloku na blok, wpadają w głąb lodowych parowów, gną się i objają swe boki, a płozy

SPITSBERGEN

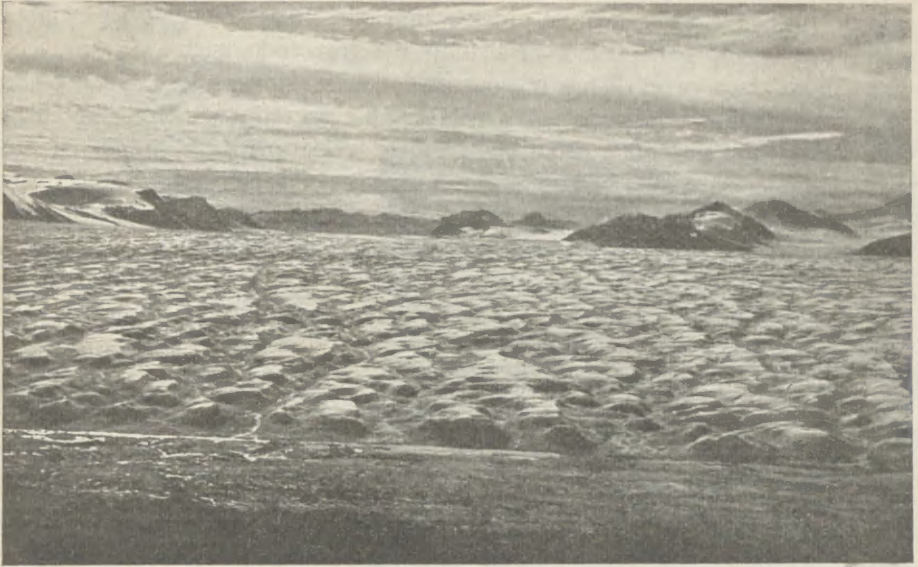
SZKIC DROGI PRZEBYTEJ PRZEZ WYPRAWĘ
POLSKĄ W R. 1936

OBJAŚNIENIE ZNAKÓW

-  DROGA WYPRAWY NA LĄDZIE
-  " NA MORZU
-  KIERUNEK MARSZU
-  WAŻNIEJSZE SZCZYTY GÓRSKIE
-  CHATA MYŚLIWIEGO H. NÓIS'A
- Lod. ? LODOWCE BEZ NAZWY, NIEOZNACZONE NA MAPACH.

0 5 10 20 km.





Część jezora Lodowca Nathorsta. Wyboje, lodowe pagórki, rynny wodne... Teren zabójczy dla sań i tych, którzy je ciągną

Fot. S. Bernadzikiewicz

ich niszczą się zastraszająco szybko. Na jeziorach prawie wszystkich lodowców spotykaliśmy duże przestrzenie pokryte utworami tego typu.

Na lodowcach Spitsbergenu zazwyczaj bez trudu wyróżnić można dwie strefy, charakterystyczne dla wszystkich lodowców Ziemi: strefę akumulacji śniegów czyli tzw. «pole firnowe», położone w «cyrku lodowca», oraz poniżej ciągnący się potężny jezior. Ze względu na ogromne rozmiary lodowców spitsbergenskich, a często bardzo równomierne ich nachylenie, niezakłócone nagłymi różnicami spadku, linia graniczna, dzieląca te dwa obszary czyli t. zw. linia «wiecznego śniegu» jest tu rozciągnięta niekiedy na szerokość bardzo znaczną i stanowi też samoistną charakterystyczną strefę lodowców. Oddziela ona jezior od pola firnowego pasem szerokim czasem na kilka kilometrów, pełnym rozlewisk, rozmokłych śniegów, jezior lodowcowych i potoków.

11-go lipca stanęliśmy na przylądku południowym, stąd zawróciliśmy na północ. Przeszliśmy najpierw Vallée Moyenne, noszącą w naszym słowniku nazwę «doliny bez echa». Nazwaliśmy ją tak, bo gdy któregoś dnia a raczej nocy staliśmy w ciszy, wśród oślepiającego blasku słońca na środku jej lodowych rozłogów i krzyczeliśmy głośno ku góróm, które, zdawało się, że tuż w pobliżu wznosiły swe ściany, echo wcale do nas nie wracało. Głos brzmiał dziwnie głucho, niki zaraz po wybiegnięciu z ust, krzyk zdawał się być szepcetem gaszonym przez wielką ciszę przyrody. Ulegliśmy wtedy złudzeniu wywo-

lanemu przez niezwykłą wprost przejrzystość powietrza. Zdawało się nam, że stoimy tuż u stóp gór, od których dzieliły nas jeszcze kilometry.

15-go lipca przebyliśmy w poprzek lodowiec Horna. Jest on ogromnie spękany i stanowi właściwie jedno wielkie pole szczelinowe. Szczeliny układają się na nim na ogół równolegle, biegnąc w kierunku z południa na północ. Wyzyskaliśmy to zjawisko i przy pewnej dozie ostrożności unikaliśmy niebezpieczeństw. Przeciągaliśmy sanie po długich, wąskich grzbietach lodowych, ograniczonych z dwóch stron przepastnymi pęknięciami. 11 godzin trwał pochód poprzez ten labirynt potrzaskanych mas lodowych. Jeśli chodzi o szczeliny to lodowiec Horna był najgorszym i najniebezpieczniejszym na całej naszej trasie.

17-go i 18-go lipca przechodziliśmy przez Ziemię Torella. Mieliliśmy prawdziwą satysfakcję, patrząc na wysokie kopce kamienne ustawione naszymi rękami na szczytach przed dwoma laty. Obozowaliśmy na lodowcu Polaków¹⁾ i wędrowaliśmy wzdłuż pięknych gór Piłsudskiego. Stąd przeszliśmy na lodowiec Nathorsta, który był jednym z najcięższych do przebycia. Pogoda w tym dniu była słoneczna i ciepła, napotkaliśmy więc ogromną ilość dużych potoków, płynących po lodowcu w poprzek naszej trasy. 11 spośród nich wymagało albo zupełnej zmiany kierunku naszego marszu, na przestrzeni często więcej niż kilometra, albo rozładowywania sań i przeciągania ponad wodą na linach części ekwipunku. Dwukrotnie sanie znalazły się w połowie pod wodą. Następnego dnia musieliśmy poświęcić na gruntowną naprawę uszkodzonych sań i sprzętu.

Do tego czasu pogoda dopisywała nam nieźle. Teraz zaszedł moment zwrotny. Już do końca wyprawy mgły i zawieruchy towarzyszyły nam znacznie częściej niż pogoda. Obszar pomiędzy lodowcem Nathorsta a doliną Kjellström przebyliśmy w warunkach pogodowych fatalnych. Mapa Wasiljewa tych okolic jest najzupełniej błędna. Szliśmy więc kierując się kompasem lub wychodziliśmy na szczyty gór, ponad morza mgieł, w celach rekonesansowych.

Poza połowę pierwszego etapu marszu natrafiliśmy na pozbawioną pokrywy lodów i śniegów, zieleniejącą tundrą dolinę Kjellström. Tu musieliśmy przenieść cały nasz sprzęt na ramionach od czoła lodowca Edwarda aż do odległego o 15 km lodowca w dolinie Skut. W ciągu dwóch dni mogliśmy doskonale doświadczyć na sobie, że wyprawa nasza przystosowana była przede wszystkim do poruszania się po lodowcach tzn. do transportowania ekwipunku na saniach a nie na plecach. 28-go lipca mieliśmy ciężką pracę z przenoszeniem bagażu poprzez błotniste moreny czołowe lodowca Edwarda i puszystą

¹⁾ Polskie nazwy gór i lodowców w Ziemi Torella (lod. Polaków, góry Piłsudskiego, góra Kopernika, g. Staszica, g. M. Curie-Skłodowskiej, g. Roku 1934, grań Stanisławskiego oraz plateau Amundsen) zostały nadane przez Polską Wyprawę na Spitsb. w 1934 r. i zostały zatwierdzone oficjalnie przez odpowiednie instytucje w Norwegii.

tundrę doliny. Przeprowa przez błota upodobniła nas do istot zupełnie niehumanicznych, lecz gdy przeszliśmy przez szeroko rozlany system rzek płynących środkiem doliny, ukapaliśmy się doskonale, a choć woda była lodowata nasze stroje naprawdę się wyprały. Rozdzielony na części ekwipunek przenosiliśmy na raty, każdy odcinek drogi przebywając przynajmniej trzykrotnie. Gdy następnego dnia znów stanęliśmy na lodowcu, odetchnęliśmy z ulgą.

30-go po raz pierwszy zabiliśmy dwie śnieżno-białe mewy lodowcowe i przyrzadziliśmy z nich jedzenie. Smakowało nam ono bardzo. Wreszcie 4-go sierpnia po przebyciu 22 lodowców zesliśmy z lodowca von Post'a ponad wody fiordu Tempel. Sańie pozostawiliśmy na lodzie. Z lekkimi plecakami skierowaliśmy się wzdłuż wybrzeży, poszukując chaty myśliwego Hilmar'a Nöis'a. Domek ten

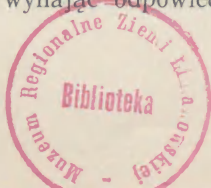
odnaleźliśmy u wylotu doliny Sassen i choć nie zastaliśmy w nim gospodarza nie mieliśmy kłopotu z użyciem pozostawionych tu dla nas zapasów.

Nieobecność myśliwego była dla nas przyczyną pewnych trudności. Liczyliśmy bowiem na to, że Nöis zabierze nas na swą motorówkę i przewiezie wraz z zapasami z chaty do sań, tzn. do czoła lodowca odległego o przeszło 10 kilometrów. Gdybyśmy chcieli na tym odcinku nosić ciężkie skrzynie na własnych barkach, stracilibyśmy kilka dni czasu, bo bagaż był duży, a skaliste wybrzeże fiordu nader stromo opada do morza. Postanowiliśmy więc po krótkim odpoczynku udać się do odległej o około 40 km węglowej osady norweskiej Longyearbyen. Tam mogliśmy wynająć odpowiednią łódź motorową, wrócić



Obóz wyprawy przy czoła lodowca Skut

Fot. S. Bernadzikiewicz



z nią do chaty, aby następnie przejechać do czoła lodowca już wraz z zapasami żywności.

Dwa dni zajęła nam droga do Longyearbyen. Przebyliśmy w poprzek dolinę Sassen i przekroczyliśmy grzbiet górski dzielący ją od doliny Advent, w której rozbiliśmy obóz u stóp góry Arctowskiego. Następnego dnia doszliśmy do celu. Na tej drodze cały czas poruszaliśmy się po tundrze, wśród której napotykalimy stadka reniferów. Przeprowa przez rzekę w dolinie Sassen zajęła nam półtorej godziny czasu. W godzinach rannych zastaliśmy tam wody sięgające naszych bioder.

Po krótkim pobycie w osadzie zakupiliśmy 10 l benzyny i wynajęliśmy mały stateczek rybacki, który przewiózł nas z powrotem do chaty u wylotu doliny Sassen. Teraz zastaliśmy już Hilmara Nöis'a w jego domu. Godziny spędzone z nim w chacie, czy wspólne polowania na foki zaliczamy do chwil najmiłszych w wyprawie.

10-go sierpnia podjechaliśmy łodzią motorową myśliwego do czoła lodowca von Post'a i tu wylądowaliśmy w pobliżu pozostawionych sań. Po 5-ciu dniach przerwy załadowaliśmy je do dalszej drogi. 11-go wyruszyliśmy w drugi wielki etap wyprawy.

Teren, którym biegła obecnie nasza trasa posiadał charakter odmienny od kraju przebytego w pierwszej fazie ekspedycji. O ile tam, przenosząc się z lodowca na lodowiec, przekraczaliśmy rozliczne łańcuchy górskie i wędrowaliśmy wzdłuż lodem wypełnionych dolin, o tyle teraz przemierzaliśmy ogromne płaskowyże lodowe, wyniesione do poziomu wierzchołków okalających je gór, rozległe i co najwyżej łagodnie sfalowane. Te olbrzymie tarcze lodowe zbliżały się do typu «fieldowego», choć np. szeroką na 30, a długą na 70 km pokrywą lodową Nowej Fryzlandii można nawet określać jako rodzaj lądolodu.

W drodze do północnego przylądka przekroczyliśmy dwa takie wielkie lodowe płaskowyże: Plateau Centralne (czyli Pl. Łomonosowa) i płaskowyż Nowej Fryzlandii. Między nimi biegł długi na około 40 km lodowiec Lomme.

Posuwaliśmy się prawie stale na wysokościach bliskich tysiąca metrów. Lecz o ile na Plateau Centralnym miewaliśmy stale temperatury poniżej zera a śniegi suche i dogodne do marszu z saniami, o tyle w Nowej Fryzlandii spotykaliśmy się prawie stale z rozmiękłą nawierzchnią lodowca, ogromnie niemiłą do przebycia. Temperatura powietrza wahała się tu między 0° a kilku stopniami ciepła. Zjawisko to wytłumaczyć można tym, że północne krańce Spitsbergenu ulegają w silnym stopniu wpływom ciepłego prądu Golsfztromu, którego odnoga płynie wzdłuż zachodnich wybrzeży archipelagu aż poza 80° szerokości geograficznej.

Przez Plateau Centralne szliśmy 3 dni. Pogoda była jak najgorsza. Nieustanna mgła i mroźne wichry miotające tumany śniegu bardzo utrudniały nam pochód i orientację. Posuwaliśmy się powoli, niekiedy w ten sposób, że tylko



Południowy skraj Gór Stubendorff'a. Na pierwszym planie lodowiec Lomme, w głębi po lewej stronie niezbadana górská kraina

Fot. S. Bernadzikiewicz

dwóch z nas pracowało w uprzęży, a trzeci siedł z tyłu, obserwując uważnie kompas ułożony na saniach i krzykiem kierując ruchami towarzyszy. W ten sposób szliśmy «na ślepo», jakgdyby żeglując po morzu wprost w kierunku północnym.

Obniżywszy się z lodowej wyżyny, zeszliśmy na lodowiec Lomme i zbliżyliśmy się do stóp gór Stubendorff'a. Góry te stanowią dziś największą białą plamę na mapach Spitsbergenu, a są zarazem najwspanialszym zespołem łańcuchów skalnych w tym kraju. W ich pobliżu wznosi się góra Newtona (1.717 m), szczyt uważany za najwyższy na Spitsbergenie. Wydaje się jednak rzeczą prawdopodobną, że wśród gór Stubendorff'a znajdzie się szczyt jeszcze wyższy. Wysokości ścian skalnych sięgają w niektórych przypadkach z pewnością 800 m, a kształty gór przypominają jak gdyby Wysokie Tatry zatopione w powodzi lodów. Wzdłuż tych gór szliśmy ku północy robiąc krótkie wypadki na zachód w głąb tajemniczego kraju. Niestety niemal bez przerwy tonął on we mgłach.

Z najniższych partii lodowca Lomme przez stromy lodowiec bez nazwy wspięliśmy się na wysoko wyniesione plateau Nowej Fryzlandii. Ponieważ mieliśmy je przebyć dwukrotnie, bo w drodze tam i z powrotem, więc u jego stóp zostawiliśmy skład żywności i ekwipunku potrzebnego na końcowy okres wyprawy.

Przez potężny płaskowyż szliśmy wielkimi marszami. Olbrzymia równa pustynia lodowa otaczała nas ze wszech stron, a krawędzie jej ginęły zlewając się z mglistym horyzontem. Odrabialiśmy co dzień 10 godzin marszu. Naszymi przewodnikami były kompas i słońce. Żyliśmy w tych dniach jedynie wyobraźnią, która była dla nas ucieczką od beznadziejnej monotonii tego kraju. Poza nami leżało jednak już 500 kilometrów lodowej drogi. Mieliśmy więc

dobrą zaprawę w pochodzie i obozowaniu. Organizmy nasze funkcjonowały tak doskonale, jak świetnie wyregulowane i dobrze naoliwione precyzyjne mechanizmy. Szliśmy jak automaty, byle na północ, byle prędzej.

Z plateau Nowej Fryzlandii zesliśmy na bujną tundrą porośniętą, lśniącą tafłami licznych jezior kraj przybrzeżny w okolicy Zatoki Mossel. Dnia 24 sierpnia osiągnęliśmy północny przylądek wyspy noszącej miano Verlegenuken. Stańliśmy na szerokości geogr. 80°4', tzn. na skrawku lądu najdalej ku północy wysuniętym na jakim kiedykolwiek stanęła noga Polaka.

Jeszcze tego samego dnia zawróciliśmy na południe i po 30 km marszu przez kamienistą równinę doszliśmy do sań na skraj wyżyny lodowej. Warto tu wspomnieć, że na całej przestrzeni między Zatoką Mossel a Verlegenuken poruszaliśmy się po terenie zbudowanym z silnie warstwowanych gneisów lub łupków mikowych o różnym stopniu metamorfizacji. Na niektórych mapach geologicznych okolice te bywają znaczone jako czysto granitowe.

25-go i 26-go szliśmy szybko ku składowi żywności pozostawionemu na lodowcu Lomme. 26-go znaleźliśmy się we mgle gdzieś w pobliżu skraju wyżyny Nowej Fryzlandii. Nie mogąc znaleźć zejścia do leżącego o około 600 m niżej lodowca Lomme, musieliśmy przeczekać niepogodę. Tego dnia skończył się nam zapas paliwa do primusa. Ze względu na wzmagającą się wichurę i ewentualność dłuższego postoju na miejscu, ograniczyliśmy nasze i tak już skromne porcje żywnościowe. 27 sierpnia zastał nas zamkniętych w namiocie, pogrążonych we mgle. Trzeba przyznać, że bezczynne dłuższe leżenie w naszym już zniszczonym i zupełnie przemoczonym płóciennym domku było bardzo przykre. Była to ciężka próba cierpliwości i nerwów. Z godziny na godzinę sytuacja się pogarszała, wzmagał się głód, lecz gorszym od niego był coraz większy niepokój, czy zdążymy na czas do kresu wędrówki. W namiocie panował zaduch, a we wgłębieniach podłogi stały kałuże brudnej wody.

28-go mimo trwającej jeszcze śnieżycy i mgły wyruszyliśmy dalej do szczętnie przemoczeni i zmarznięci, aby po 10 godzinach marszu odnaleźć zejście na leżący w dole lodowiec i tam trafić do składu żywności. Tego dnia po raz pierwszy i ostatni użyliśmy środków na wzmocnienie akcji serca.

Spieszyliśmy się teraz w pochodzie, bo bliskim już był umówiony termin spotkania się ze statkiem «Lyngen» we fiordzie Klaas Billen.

Ostatnim lodowcem przebytym przez wyprawę był lodowiec Nordenskjölda. Po raz ostatni przekroczyliśmy owe trzy piętra lodowców Spitsbergenu: pole firnowe, dogodne do transportu sań, poniżej pas tających śniegów, rzek lodowcowych i przykrych do przebycia rozlewisk, a wreszcie nagi, nierówny jęzor pełen niespodziewanych przeszkód, wybojów i szczelin. Tu w odległości 10 km od kresu wędrówki wiernie towarzyszące nam sanie ostatecznie się roztrzaskały. Odwróciliśmy je jeszcze tyłem do przodu, przewiązaliśmy odpo-

wiednio uprząż i dociągnęliśmy jednak cały ekwipunek do czoła lodowca. 1 września przeszliśmy przez morenę czołową i po pół godzinie znaleźliśmy się na wybrzeżu w opuszczonych chatkach, tzw. Bruce City. Stąd dnia 5 września zabrał nas na swój pokład S. S. «Lyngen».

W ten sposób ekspedycja nasza trwała 56 dni. Z tego mieliśmy 47 dni marszu, a 9 postoju, albo przymusowego z powodu niepogody lub w Bruce City, albo dobrowolnego, np. w chacie Nöisa lub w Longyearbyen. Przeszliśmy ponad 800 km drogi, tzn. średnia szybkość marszu dla całego czasu trwania wyprawy wyniosła ok. 14 km dziennie. Jeśli policzymy tylko dni marszu (47) otrzymamy średnią 17 km dziennie. Stwierdziliśmy, że pochód z saniami odbywa się na ogół z szybkością 2 km/godz.

Trzymaliśmy się na ogół zasady, aby wędrować w godzinach «nocy», a sypiać w ciągu dnia. W ten sposób spotykaliśmy się z temperaturą powietrza w czasie marszu zwykle niższą od zera i unikaliśmy przynajmniej częściowo trudności, wynikających z niezwykle intensywnego dziennego taniajania nawierzchni lodowców. Na pochód poświęciliśmy 8 godzin dziennie. W drugim etapie wędrowki normę stanowiło co dzień 10 godzin marszu. Maksymalna długość trasy przebytej z saniami w ciągu jednego dnia wynosiła ok. 40 km. Skończyliśmy wyprawę w doskonałym stanie sił i zdrowia.

Przez cały czas trwania wyprawy mieliśmy, mówiąc ogólnie, pogodę słabą. Jedynie w pierwszej połowie lipca cieszyliśmy się szeregiem dni słonecznych. Poza tym okresem nie mieliśmy dwóch dni i nocy po sobie następujących zupełnie pogodnych. Głównie dokuczały nam częste mgły i silne wichury. Ze śnieżycami spotykaliśmy się przede wszystkim w połowie sierpnia w Ziemi Garwood'a, z deszczami, czasem ulewnymi, na wyżynie lodowej Nowej Fryzlandii. Mgły miewaliśmy na całej trasie, choć często obserwowaliśmy, że trzymają się one raczej dolnych partii lodowców, a rzadziej okolic ich pół firnowych. Temperatura powietrza trzymała się na ogół ok. 0° C. Najniższą, tzn. —7,3° zanotowałem na lodowcu Lomme dnia 30 sierpnia o 5h 15' na wysokości ok. 1.000 m nad poz. morza. Temperatury pomiędzy +5° a +10° miewaliśmy w dolinach Kjellström, Sassen i Advent.

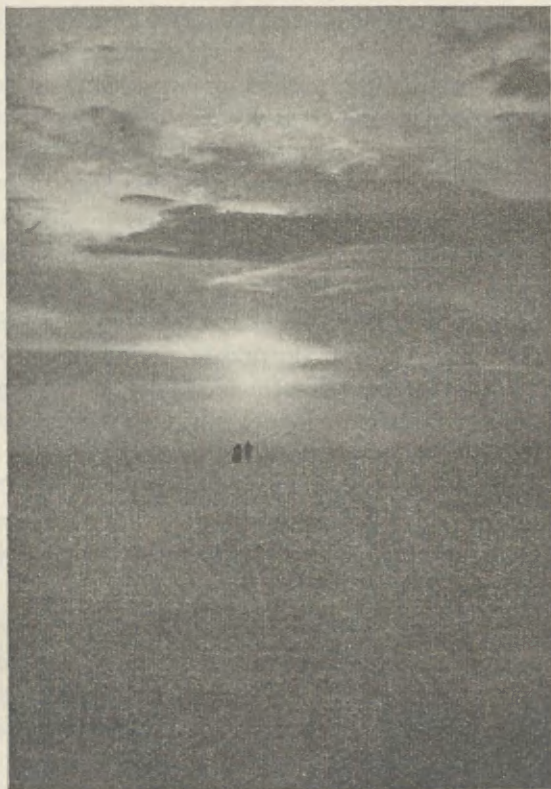
Obserwacje zjawisk geologicznych i glaciologicznych poczynione przeze mnie w czasie tej wyprawy posłużą mi, mam nadzieję, jako podstawa do dalszych szczegółowych prac w tej dziedzinie. Kolekcję roślin zebranych z całej trasy przez inż. Bernadzikiewicza oddaliśmy do opracowania Zakładowi Systematyki Roślin Uniw. J. P. w Warszawie.

Ta «przygotowawcza» wyprawa, której związek z nauką nie jest bezpośredni, spotkała się jednak z przychylną opinią i zainteresowaniem kół polarystów norweskich i szwedzkich. Wygłaszając w Sztokholmie i w Oslo odczyty

o polskiej działalności polarystycznej i pokazując film z Ziemi Torella z 1934 r., wyzyskaliśmy propagandowe znaczenie ekspedycji.

Niewątpliwie poczynania wszystkich polskich wypraw podbiegunowych są dowodem niezbitym, że pragniemy i możemy dokładać cegiełki do tych zdobyczy ludzkiej wiedzy i kultury, o które walczyły dotychczas wszystkie inne narody cywilizowane, że w zainteresowaniach naszych wybiegamy poza polityczne granice państwa i że jesteśmy zdolni do wydajnej pracy w krajach dalekich w warunkach choćby najsurowszych.

Stanisław Siedlecki



Godzina północy na wielkim płaskowyżu
Nowej Fryzlandii

Fot. S. Bernadzikiewicz

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie i odzyskane ziemie górskie

Walka o południowe Kresy Rzeczypospolitej toczyła się od dawna. Polskie Towarzystwo Tatrzańskie w walce tej brało zawsze jak najczynniejszy udział. Pomyślne rozstrzygnięcie sprawy Morskiego Oka z początkiem XIX wieku, było związane z wysiłkami Towarzystwa, jego niezmordowaną troską i przygotowaniem przez nie materiałów wreszcie alarmowaniem w tej sprawie opinii społecznej.

Po zakończeniu wielkiej wojny walka o południowe i zachodnie Kresy tworzącego się Państwa rozgorzała na nowo ze zdwojoną energią. Także w tym etapie walki o Tatry, Spisz, Orawę i Czadeckie, P. T. T. odegrało rolę rzecznika interesów polskich. Dramatyczne boje spisko-orawskie, całokształt akcji plebiscytowej a później delimitacyjnej związał się nierozzerwalnie z nazwiskami ludzi Towarzystwa, prof. W. Goetla, mjra B. Romaniszyna i innych bojowników spisko-orawskich. Wedle słów niestrudzonego szermierza spisko-orawskiego ks. senatora F. Machaya, wypowiedzianych dnia 14 października 1938 r. na publicznym zebraniu w Krakowie — nie byłoby możliwe przeprowadzić w latach 1919—20 i później walki o Kresy południowe z takim poświęceniem i zaparciem siebie, wytrwałością i wszechstronnością, gdyby nie udział w niej Pol. Tow. Tatrzańskiego. Do podtrzymania ducha walki o Spisz i Orawę przyczyniło się wybitnie poświęcenie im w 1920 r. tomu «Pamiętnika Tow. Tatrzańskiego», w którym pióra znawców tematu ujęły szczegółowo prawa polskie na tych rubieżach.

W dziesięć lat później, w r. 1930, poświęciło Towarzystwo VIII. tom Wierchów Spiszowi, Orawie i Ziemi Czadeckiej, aby w społeczeństwie nie zatraciła się pamięć o nieodzyskanych w latach 1919—1920 ziemiach.

W publikacjach P. T. T. pojawiają się wciąż liczne artykuły, w których z nieodpartą siłą wraca ustawicznie sprawa Jaworzyny. Przez całą działalność naszego Towarzystwa przewija się postulat naprawy nienaturalnej i niesłusznej granicy. Przypominamy choćby w I roczniku «Wierchów» artykuły A. Chybińskiego i M. Świerza, w III roczniku syntetyczny artykuł W. Goetla, a we wspomnianym już VIII roczniku artykuły W. Semkowicza i W. Goetla.

Toteż gdy w roku 1938 zaczęła się mapa Europy zmieniać, żywiej zaświtała nadzieja naprawienia krzywdy na południowych Kresach. W tym roku burzliwym i brzemiennym w historyczne zdarzenia, czuwaliśmy wytrwale na swoim odcinku pracy, pomni dalszych tradycji w przyszłości. W tym to roku akcja P. T. T. miała przynieść długo oczekiwane rezultaty.

Oto zwięzły diariusz poczyniń naszych w roku 1938:

Dnia 24 września, na tydzień przed wkroczeniem wojsk polskich na Śląsk Zaolziański, — delegacja P. T. T. przedstawia miarodajnym czynnikiem postulat odnośnie granicy południowej.

W wyniku tego opracowuje Towarzystwo memoriał w sprawie Spisza, Orawy

i Czadeckiego i przedkłada go w dniu 3 października 1938 r. najwyższym władzom Rzeczypospolitej.

W międzyczasie, w odpowiedzi na list otwarty gen. M. Zaruskiego, poruszający sprawę spisko-orawską, Wiceprezes Zarządu Głównego P. T. T. Wł. Krygowski pod nieobecność w Europie Prezesa Towarzystwa prof. dra W. Goetla poinformował w dniu 1. października 1938 r. opinię publiczną za pośrednictwem prasy o dotychczasowych przedsięwzięciach Towarzystwa w zakresie obrony Kresów południowych, i zapewnił opinię o stałej trosce i czujności P. T. T. nad prawami polskimi w polskich górach, podkreślając, że «cisza w tej sprawie jest jedynie pozorna».

Dnia 5 października 1938 r. P. T. T. przedkłada władzom miarodajnym drugi obszerny memoriał, zawierający szczegółowo opracowane przez mgra W. Mileskiego postulaty, dotyczące terytoriów na Spiszu, Orawie i w Czadeckiem a nadto mapy wraz z innymi materiałami etnograficznymi.

Dnia 13 października 1938 r. przesyła Towarzystwo trzeci memoriał z dalszymi uzupełnieniami materiałów. Członek Zarządu Głównego P. T. T. mjr. B. Romaniszyn opracowuje je dla P. T. T.

Na skutek powyższych szczegółowych opracowań odnośne czynniki były dokładnie poinformowane o całokształcie postulatów.

Dnia 11 października przystępuje Towarzystwo do co dopiero uruchomionego Głównego Komitetu Pomocy dla Spisza, Orawy i Czadeckiego, który powstał z takiegoż Komitetu Pomocy dla Śląska Zaolziańskiego. Duszą Komitetu i jego niestrudzonym pracownikiem był ks. senator F. Machay, wypróbowany szermierz sprawy spisko-orawskiej od dawien dawna; patronował akcji prof. dr. W. Semkowicz, znakomity znawca sprawy.

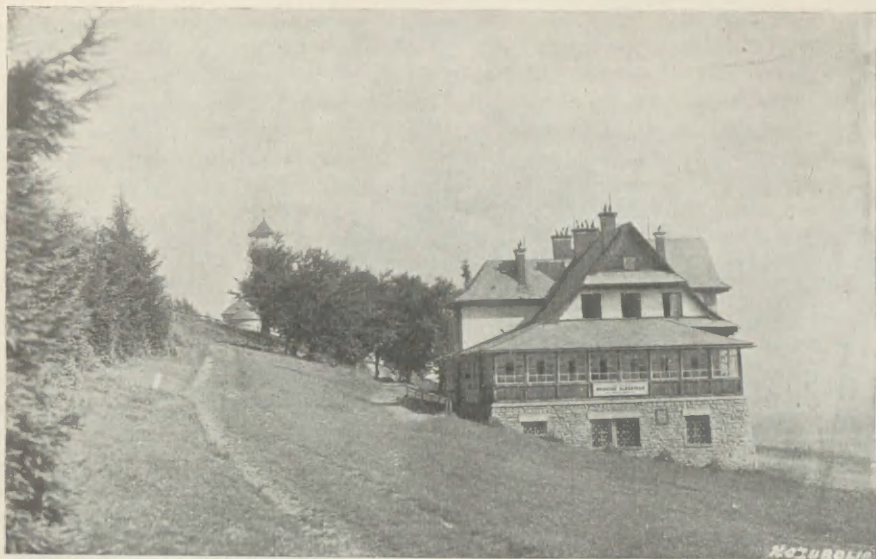
Od tej chwili współdziała Towarzystwo w pracach Głównego Komitetu Pomocy dla Spisza, Orawy i Czadeckiego i oddaje mu do dyspozycji cały aparat organizacyjny Towarzystwa i za pośrednictwem Oddziałów i Kół przyczynia się do uruchomienia lokalnych komitetów.

Dla uzupełnienia powyższej kroniki wystąpień P. T. T. należy dodać, że niezależnie od oficjalnej akcji Towarzystwa poszczególni jego działacze (W. Mileski, J. A. Szczepański, Wł. Krygowski, J. Młodziejowski i inni) obficie zasilali prasę polską informacyjnymi artykułami.

Gdy nadeszły historyczne rozstrzygnięcia 1 listopada 1938 roku, Towarzystwo nie ustało w dalszej pracy. Minimalny program żądań Polski w stosunku do Słowaków wymagał uzupełnień i korektur ze stanowiska gospodarczego i turystycznego, to też w dniu 1 listopada przedłożyło je Towarzystwo Ministerstwu Spraw Zagranicznych i Komisji delimitacyjnej. Przy ostatecznym wytyczeniu granicy poprawki te zostały w przeważnej części z korzyścią dla interesów ludności, turystyki i ochrony przyrody (Pieniński Park Narodowy, Sucha Góra i Głodówka, Jałowiec pod Mędralową, Źródło Sulińską i t. d.) uwzględnione. W historycznym dniu 1 listopada 1938 jako w dniu powrotu Tatr do Ojczyzny, — Prezydium P. T. T. wydało do wszystkich Oddziałów i Kół okólnik, w którym przedstawiło obraz swych wysiłków i osiągnięć i wyraziło swą radość, że rolę rzecznika spisko-orawskiego spełniło na swoim społecznym froncie pracy.

* * *

Na skutek znanych wydarzeń politycznych, które nie tu miejsce streszczać — Wojska Polskie obsadziły teren Śląska Zaolziańskiego w dniach 1—10 października 1938 r. Inne rewindykacje graniczne pozostały chwilowo w zawieszaniu, póki wymiana not pomiędzy rządem polskim a czecho-słowackim w dniu 1 listopada nie przyniosła



Z odzyskanych gór:
schronisko «Beskidu Śląskiego» na Kozubowej

i tutaj zasadniczego rozstrzygnięcia. W wyniku tej noty powołały oba zainteresowane rządy specjalne komisje delimitacyjne celem ostatecznego wytyczenia w terenie nowych granic, osobną dla granicy polsko-czeskiej i osobną dla granicy polsko-słowackiej.

Komisja delimitacyjna polsko-czeska pracowała w dniach 1—15 listopada i wynikiem jej prac stała się trasa granicy na Śląsku Zaolziańskim. Nowo tu ustalona granica biegnąc od Odry i Zagłębia Ostrawskiego, osiąga pierwsze wyniosłości Beskidu w dolinie rzeki Holczyny i w Górnej Ligocie (dawny powiat frydecki), wkracza, biegnąc w górę potoku Morawki (wieś Morawka pozostaje po stronie czeskiej), w piękną lesistą okolice górską, mając od zachodu pasmo Trawnego (1.201 m), od wschodu zaś całkowicie w Polsce pozostający nie tylko grzbiet Ropicy (1.082 m), lecz także boczne pasmo Sławicza (1.051 m) i osiąga główny grzbiet Beskidów Zachodnich nieco na zachód od wierzchu Mały Połom (1.058 m), koło t. zw. Kozich Grzbietów.

Komisja delimitacyjna dla nowych granic polsko-słowackich pracowała w dniach 15—30 listopada w terenie i w Zakopanem, gdzie była właściwą siedzibą obu delegacji, polskiej i słowackiej. Delegacji polskiej przewodniczył prof. dr Bogdan Zaborski. Członkami jej byli pp.: radca Min. Spraw Zagranicznych Aleksander Kwiatkowski, nacz. wydziału Min. Komunikacji inż. Albert Diakiewicz, inspektor szkolny dr Marian Gotkiewicz, radca Min. Spraw Wewnętrznych Jan Bronisław Knapik, delegat Min. Spraw Wojskowych kpt. Olgierd Jakubowski oraz inż. Tadeusz Mejer z Min. Komunikacji. W delegacji polskiej pracowali nadto eksperci, pp.: dr Mieczysław Orłowicz z Min. Komunikacji, radca Otmar Gedliczka z Krak. Urzędu Wojewódzkiego, insp. Wszewład Lewicki z dyrekcji Lasów Państwowych, inż. St. Smółski kierownik Parku Narodowego Pienińskiego, mgr Witold Mileski z Pol. Tow. Tatrzańskiego i ze Związku Ziem Górskich, inż. Józef Zacharzewski z Biura Planu Zabudowy Okręgu Krakowskiego, Bohdan Ma-



Z odzyskanych gór: schronisko na Girowej

Fot. J. Jaroszyński

łachowski z Pol. Związku Narciarskiego, Tadeusz Zwoliński — kartograf, dr Henryk Szatkowski z Urzędu miejskiego w Zakopanem, nadkomisarz Skibiński ze Straży Celnej, nac. Henryk Miszewski z dyrekcji Ceł we Lwowie, nadto kreślarze i sekretarki.

Delegacji słowackiej przewodniczył prof. Fr. Hrušovský. Składała się ona również z członków delegacji oraz ekspertów.

Łącznie Komisja pracowała w liczbie około 35 osób w sposób nadzwyczaj wytężający, dniem i nocą. Wynikiem pracy Komisji był podpisany w nocy z 30 listopada na 1 grudnia 1938 r. protokół delimitacyjny, załączone do niego mapy i aneksy.

Oparta o notę z dnia 1 listopada i szczegółowo ustalona w toku prac komisji delimitacyjnej nowa granica polsko-słowacka wykazuje następujące zmiany w stosunku do granicy dawniejszej:

1) W Czadeckim uzyskaliśmy teren 44 km² z około 2000 dusz a to przez korekturę graniczną, przydzielając Polsce pas terenu na południowych zboczach głównego grzbietu Beskidów Śląskich na przestrzeni rozciągającej się od punktu położonego nieco na zachód od Małego Połomu pasem mniej więcej $\frac{1}{2}$ —1 km szerokości; następnie granica biegnie opodal osiedla Miłoszowa i opada aż do miasta Czacy, które pozostaje w Słowacji (Polsce zaś przypada miejsce na nowy polski węzeł kolejowy, łączący linię kolei żelaznej Bogumin—Czaca i Zwardoń—Czaca oraz do czasu zbudowania tej stacji używalność budynków i urządzeń słowackiej stacji kolejowej Czaca). Następnie nowa granica biegnie wzdłuż linii kolejowej Czaca—Zwardoń, pozostawiając przy Polsce tę ważną z punktu widzenia komunikacyjnego i turystycznego linię wraz z częścią gmin Świerczynowiec, Czarne i Skalite. Gościniec Skalite—Czaca przypada Słowacji; ruch pieszy i kołowy

na tym gościńcu aż do połączenia z szosą Mosty—Czaca dla osób wkraczających do Polski lub opuszczających teren Polski ma się odbywać bez przeszkód i przepustek.

2) Na Orawie przypadają Polsce: a) teren 5 km² w górnej części doliny Jałowca z lasami na południowych stokach Mędralowej i to w ten sposób, że cały przebieg głównego szlaku karpackiego P. T. T. im. J. Piłsudskiego na odcinku między Głuchaczkami a Przełęczą Jałowiecką, który leżał w obrębie Czecho-Słowacji, znalazł się w granicach Polski; b) pewne ważne gospodarczo partie lasu i pastwisk, należące katastralnie do gminy Lipnica Wielka a dotychczas położone poza linią graniczną (razem 3 km²); c) cały teren gmin Głodówka i Sucha Góra w okolicy Chochołowa t. j. 40 km² i ok. 1300 dusz.

3) W Tatrach odzyskany został całkowicie teren Jaworzyny Spiskiej wraz z pokaźną częścią Tatr Wysokich i Bielskich. Nową granicą będzie obecnie z Rysów (2.499 m) w dalszym ciągu rdzennym grzbiecie Tatr Wysokich aż po Przełęcz pod Kopą Bielską (1.756 m). Stąd nowa linia graniczna wspinia się na Szalony Wierch (2.062 m) i główną granią Tatr Bielskich biegnie do Placziwej Skaly (2.148 m), skąd przez Głośną Skalę (1.660 m), Złebnińskie Turnie (1.407 m) i Mały Regiel (1.187 m) opada ku północy na Bielski Potok, przecina go, biegnie na Ptasiowskie Turnie (1.086 m) i Brzegi (1.061 m), przecina szosę Podspady—Zdziar w punkcie 1.023 m n. p. m., wspinia się na Przysłop Zdziarski (1.216 m) i na grzbiet Magóry Spiskiej (pozostawiając w Polsce szczyt Rzepisko 1.267 m) i posuwa się nim ku północy granicą katastralną gminy Osturnia, która pozostaje w obrębie Słowacji, aż do dotychczasowej granicy, z którą styka się opodal Wierchu Bryja (942 m). Odzyskany obszar wynosi tu ok. 110 km² i 530 mieszkańców.

4) W rejonie Pienin przypada Polsce całość Pienin na prawym brzegu Dunajca wraz ze wsią Leśnicą i osadą Huta, t. j. razem 15 km² i ok. 450 mieszkańców.

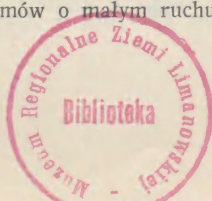
Cały tok Dunajca przypada Polsce wraz z wyspami, łęgami prawobrzeżnymi i zalewiskami na odcinku granicznym, tak, że prawy jego brzeg stał się naszą granicą. Czerwony Klasztor i zdrojowisko Śmierdzonka pozostały w Słowacji, z którą graniczymy wzdłuż grzbietu Aksamitki.

5) Wzajemna wymiana enklaw nastąpiła nad Popradem i Polsce przypada t. zw. «Łopata spiska» (zwana też Ołtarzykiem) oraz wąski pas ziemi na lewym brzegu Popradu, ciągnący się nawprost Żegiestowa—Wsi i Żegiestowa—Zdroju wraz ze Źródłem Sulińskim i stokami góry Perunów Dił; w wyniku tej delimitacji przypadł Polsce netto obszar 5 km² z kilkoma mieszkańcami.

6) Z ziemi Szaryskiej przypadł też Polsce drobny teren opodal polskiego zdrojowiska Wysowa i słowackiego zdrojowiska Cigelka a to część gminy tejsze nazwy z grzbiecie Cygielką (2¹/₂ km²), którą ma przebiegać odcinek «drogi karpackiej», budowanej przez Polskę wzdłuż północnych stoków Karpat.

7) Wreszcie w Beskidzie Środkowym drobna korektura granicy przyniosła włączenie do Polski części (1¹/₂ km²) gminy Telepowce (powiat Snina we wschodniej Słowacji), przez co linia polskiej kolei wąskotorowej Łupków—Cisna znalazła się całkowicie w obrębie Polski (dotychczas na niewielkim odcinku biegła przez pograniczny teren Słowacji).

Częścią integralną delimitacji są protokoły dodatkowe, zawierające postanowienia o układach co do swobody ruchu na pozostałych w obrębie Słowacji drogach nad Dunajcem i Popradem, o zagwarantowaniu dotychczasowych uprawnień pasterskich i leśnych ludności pogranicznej, podziału parafii przeciętych granicą oraz beneficjów i patronatów kościelnych, używalności obiektów kolejowych i drogowych, zwrotu inwentarzy, urządzeń i planów gospodarczych leśnych, nadto zaś dezyderaty komisji co do nowelizacji umów turystycznych, umów o małym ruchu granicznym, współpracy na po-





Z odzyskanych gór:
Dolina Białej Wody ku dolinie Żabich Stawów Bialczańskich

Fot. W. Ostrowski

graniczu w dziedzinie ochrony krajobrazu, przyrody i zabytków, współpracy w dziedzinie górskich parków narodowych i t. d.

* * *

Na wstępie bieżącego rocznika «Wierchów» W. Krygowski dał wyraz uczuciom, z jakimi ogół polskich turystów górskich śledził, zakończone ostatecznie w dniu 30 listopada 1938 roku, etapy tworzenia nowych granic polskich w Karpatach. Ani tu więc nie powtórzymy toku myśli o «Górach naszych, wiecznie naszych», ani nie podamy też szczegółowej charakterystyki odzyskanych obszarów: odpowiednio wiele miejsca poświęcimy im w przyszłorocznych «Wierchach». Na tym miejscu wymienimy więc tylko, w największym skrócie, główne dane ze świeżo odzyskanych polskich gór.

Odzyskaliśmy na Śląsku Zaolziańskim należącą od 1920 r. do Czechosłowacji zachodnią część pasma Czantorii z Girową (839 m) oraz całe pasmo Ropic i Połomów ze szczytami Wielki Połom (1.067 m), Ropica (1.082 m), Ostry (1.043 m) i w. i. Góry te są znane z uroku swoich krajobrazów i słynne jako tereny narciarskie. Ich zagospodarowanie jest zupełne, wystarczy przypomnieć, że na obszarze tym przeszło do Polski 18 schronisk, mianowicie dziewięć schronisk KČST: pod Kiczorami, na Jaworowym (900 m), na Oстрыm (1000 m), pod Stożkiem (660 m), na Girowej (839 m), na Praszywej (740 m), dwa na Wielkim Połomie (948 m), wreszcie na Ropiczce (918 m), wzniesione opodal zgłiszcz dawnego (z 1913 r.) polskiego schroniska, spalonego w 1918 r., — pięć schronisk niemieckich: na Czantorii (995 m), na Stożku (975 m), na Skalce (956 m), na Jaworowym (947 m) i pod Sławiczem (930 m), — trzy schroniska prywatne: na Babim

Wierchu (900 m), pod Małym Stożkiem (860 m) i pod Soszowem (780 m), — wreszcie jedno schronisko «Beskidu Śląskiego» z Orłowej: na Kozubowej (976 m).

W uzyskanej części Czadeckiego otrzymaliśmy piękne obszary letniskowe, wypoczynkowe i sanatoryjne (wysłonecznione, południowe i ukryte przed wiatrami, pełne iglastych lasów stoki Beskidów Śląskich) i znakomite tereny dla narciarstwa, turystyki letniej i obozownictwa.

Naprawa granicy na Orawie, tak cenna dla turystyki w okolicy Babiej Góry, umożliwiła zarazem powrót do Polski wsi Głodówka i Sucha Góra, uświadomionych narodowo i już w latach 1918—1920 wchodzących w skład państwa polskiego.

Poprawki graniczne nadpopradzkie są drobne, ale dają podstawę do racjonalnego rozwoju zdrojowiskowego Żegiestowa, który dawniej dusił się formalnie w swoich sztucznych granicach. Włączenie do Polski Źródła Sulimskiego pozwoli na należytą eksploatację tego obfitego źródła szczawy alkalicznej, którego woda ma przewyższać mineralne wody sudeckie i giesshüblerkie i już w XIX wieku była ze znakomitym skutkiem stosowana w wielu chorobach. Wraz z tym źródłem przypadło nam też schronisko świeżo zbudowane przez Oddział K. Cz. S. T. w Starej Lubowli.

Cóż pisać o pozostałych zmianach granic, o odzyskaniu Północnych Tatr i prawie całych Pienin? Czytelnicy «Wierchów», turyści górscy wiedzą dobrze jakie wartości wnoszą Polsce te «kamienie», o które tak długo walczyło polskie społeczeństwo. Walka o Pieniny na terenie komisji delimitacyjnej toczyła się o to, by całość Pienin, będących jednolitą całością fizjograficzną i przyrodniczą, znalazła się w obrębie jednego, polskiego parku narodowego oraz o to, by na południe i wschód od Pienin mógł być uzyskany dogodny teren dla przeprowadzenia szosy samochodowej, mogącej połączyć Sromowce ze Szczawnicą z ominięciem przełomu Dunajca, w którym publiczny ruch kołowy ma na zawsze zostać w interesie ochrony przyrody zakazany.

A wreszcie wytknięcie granicy szczytami Tatr to naturalne i konieczne zamknięcie długiego okresu powracania Polski do tych gór, które sama przyroda wyznaczyła na granicę. Polska stała niegdyś na «Polskim Grzebieniu». Teraz doń powróciła. Powróciła więc do Polski walne doliny Białej Wody i Jaworowa wraz ze wszystkimi swymi odgałęzieniami. W miejsce Rysów najwyższym wzniesieniem Polski stał się drugi szczyt całych Tatr, Północny Szczyt Gierlachu (2.638 m), granica opiera się dziś o Wysoką (2.565 m) i Małą Wysoką (2.429 m), o Lodowy Szczyt (2.630 m) i Kopę Lodową (2.611 m), o Baranie Zworniki, Kołowy Szczyt (2.425 m) i t. p. Polsce przypadł w całości najwspanialszy rezerwat zwierzyny górskiej w Europie (gniazda Szerokiej Jaworzyńskiej i Hawrania), najwspanialsze urwiska Tatr (Galeria Gankowa, Dolina Śnieżna z otoczeniem), dzikie, nieporównane uroczyska dolin Żabich Stawów Białczańskich czy Czarnej Jaworowej, — przypadła jej spora część pasma górskiego, dotychczas leżącego w całości poza jej granicami, mianowicie Tatr Bielskich (którego najwyższy szczyt, Hawrań 2.154 m, znajduje się w całości na polskiej ziemi) oraz część cennego narciarsko grzbietu Magóry Spiskiej (której najwyższy wierz, Rzepisko 1.267 m, również znajduje się w całości w Polsce). Wartością tego obszaru są: piękno krajobrazu wysokogórskiego, bogactwo lasów i hal, mnogość zwierzyny (kozica, koziorożec, jeleń, sarna, świstak, lis, ryś, żbik, niedźwiedź, orzeł, puchacz, głuszc, cietrzew, jarząbek i in.), fauna wodna (łoś, pstrąg), flora alpejska (bogate asocjacje roślinne Tatr Bielskich).

Polska nauka i polska turystyka uzyskały tu obszary, które zawsze były terenem ich wytrwałej wszechstronnej i owocnej działalności. Już pierwszy ich badacz, Stanisław Staszic w 1805 r. związał je z polską działalnością w Tatrach, gdy jako pierwszy człowiek stanął na Kołowym Szczycie, a jako pierwszy pionier przeszedł z Doliny Jaworowej do Kołowej przez grzbiet Uplazu. I później taternictwo polskie przełamy-

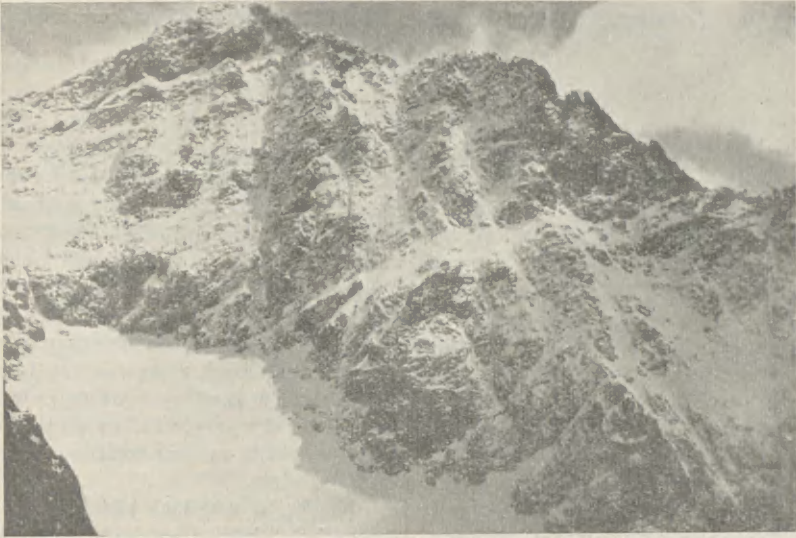


Z odzyskanych gór: Dolina Rówienek

Fot. F. Larisch

wało zawsze sztuczne granice polityczne, od epoki Stolarczyka, Chałubińskich i Pawlikowskiego poczynając, aż po najmłodsze sportowe taternictwo zimowe. Ani jednego wybitnego taternika nie brakło jako zdobywcy krzesanic Tatr Północnych, czy nim był Janusz Chmielowski czy Roman Kordys, Mieczysław Świerz i bracia Goetlowie czy taternicy powojenni z Sekcji Taternickiej AZS w Krakowie i Koła Wysokogórskiego przy Oddziale PTT w Warszawie. Znakomitą większość szczytów i turni, ścian i grani urwistych, od północnej ściany Zabiego Szczytu Wyżniego na zachodniej aż po północny żleb Kołowej Przełęczy Wyżniej na wschodniej tych gór krawędzi, zdobyli taternicy polscy, zaledwie tu i ówdzie znajdujemy w kronikach nazwiska naszych południowych sąsiadów.

A wreszcie i cementem krwi zespoliły się Tatry Jaworzyny z Polską i jej turystyką: śmiercią na Galerii Gankowej okupił swe triumfy w ich zerwach Wincenty Birkenmajer, jeden z najśmielszych taterników doby powojennej; doczekała się znalezienia na polskiej ziemi tablica pamiątkowa ku czci Klemensa Bachledy, niedoścignętego wzoru góralskich przewodników tatrzańskich, upamiętniająca tragiczną katastrofę na północnej ścianie Małego Jaworowego Szczytu; i jak znak wiecznego przymierza nowo



Z odzyskanych gór: ściana Lodowego Szczytu ponad doliną Suchą

Fot. J. Pierzchała

odzyskanych Tatr Polskich z ojczyzną stanie na Zdziarskiej Przełęczy kamień nagrobny ku czci majora Rago, poległego w dniu 27 listopada 1938 roku.

Granica górską Polski, osiągnięta dzięki staraniom naszego rządu, popartym nieodpartymi argumentami dostarczonymi przez fachowców i zainteresowane czynniki społeczne, skorygowana w czasie lokalnej delimitacji w terenie, oparta o zasady słuszności i logiki, osiągnęła linię naturalnej podstawy. Oddaje ona narodowi należne mu terytoria, umożliwia wspaniały rozwój letniej i zimowej turystyki, kładzie podwaliny pod rychlejszą realizację tak nam drogiej idei Parku Narodowego Tatrzeńskiego i dopełnia Park Narodowy w Pieninach, daje podniętą do znakomitego rozwoju uzdrowisk, lotnisk górskich i stacyj klimatycznych (Podspady, Jaworzyna, miejscowości nad Dunajcem i nad przełomem Popradu), umożliwia zachowanie przyrodzonej gospodarki pasterskiej górali spiskich z Jurgowa, Czarnej Góry, Rzepisk, Trybsza.

Poza nowym kordonem granicznym pozostały dziesiątki miejscowości polskich na Spiszu w powiatach starowiejskim, lubowelskim i kieźmarskim (że wspomnimy tylko Lubowlę, Drużbaki, Starą Wieś Spiską, Zdziar, Lendak i t. d.), na Orawie — pod Babią Górą i Pilskiem (m. in. Pólhora, Rabczyce, Rabcza, Wesole, Mutne, Nowoc i t. d.), w Czadeckim — Oszczadnica i liczne przysiółki.

Nie wspominamy tu już o polskich wyspach językowych na Liptowie (Huty — Borowe, Łuzna, Ciepliczka), w ziemi Gemerskiej, Zwoleńskiej i t. d. Okrągło conajmniej około 55.000 Polaków pozostało jeszcze poza granicą państwa na południowych karpaccich kresach. Mamy nadzieję, że Słowacja będzie tych braci naszych sprawiedliwie traktować.

(—.—)

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie: Refleksje — fakty — zadania

(W sześćdziesiątą piątą rocznicę założenia)

Sześćdziesiąty piąty rok istnienia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego związał się z dziejowymi wypadkami roku 1938. Jeżeli który jubileusz obchodzony był w tak wyjątkowych okolicznościach, to właśnie jubileusz P. T. T., ukoronowany w działalności naszej organizacji powrotem do Rzeczypospolitej Śląska Zaolziańskiego wraz z nowymi regionami górskimi Jabłonkowa, a przede wszystkim Tatr i Jaworzyny. W historii Towarzystwa, którego kolebką są właśnie najwyższe góry polskie, które dla tych gór i w walce o nie tyle położyło zasług, trudno o bardziej wzruszający moment, gdy po owocnych wysiłkach o Morskie Oko na przełomie XX wieku, po dramatycznych kolejach walk o Spisz i Orawę w r. 1919, wreszcie po niezmordowanych zmaganiach o Jaworzynę w latach 1920 do 1923 północne stoki tatrzańskie wraz z Jaworzyną wracają do Polski. W tej uroczystej chwili oglądamy się wstecz nie po to, aby przytaczać na etapach historii położone zasługi, lecz po to, aby uczynić rachunek sumienia za czas sześćdziesięciu pięciu lat i aby zarazem wysnuć z niego refleksje na dalsze lata.

W czasie gdy Polska tliła się w sercach poetów, w umysłach historyków i mężów stanu, tułających się po trzech zaborach, — góry były siedzibą swobody ducha, koncentracją wszystkiego co było silne i najlepsze w narodzie.

W tym to czasie, w roku 1873 przy stoliku kawiarnianym rodzi się myśl, — jakże zdawałoby się nieopozorna i zwyczajna — utworzenia towarzystwa, któreby miłość do gór szerzyło, a przez to poszerzało granicę ojczyzny. Bo ruch krajoznawczy w czasie niewoli nie był tylko naturalną u wszystkich ludzi potrzebą poznania przyrody, lecz zrodził się z potrzeby poznania własnego kraju, jego piękna, historii i przez to podniesienia na duchu pokolenia, które wolności zapominało. Za myślą rzuconą w 1873 r. następuje jej realizacja; wiążą się z nią ludzie sztuki i nauki; Tatry zaludniają się tymi uroczymi maniakami piękna, zaludnia się i podnosi Zakopane. Nie ma niemal żadnej postaci wybitniejszej z końcem XIX wieku i początkiem XX wieku, której nazwisko nie otarłoby się przynajmniej o Tatry i Podhale i jego rosnącą z roku na rok stolicę.

I to jest pierwsza pozycja nowo założonego Towarzystwa: odkrycie gór polskich i uprzystępnienie ich dla ludzi. W owym czasie staje się Towarzystwo dla Zakopanego właściwie wszystkim: komisją zdrojową, gminą, biurem propagandy, krzewi zamilowanie do gór, buduje schroniska, zakłada pierwsze ścieżki, buduje i utrzymuje drogi i mosty, pierwsze tratwy na stawach tatrzańskich, buduje altany po dolinach, oświetla pierwsze wyboiste uliczki zakopiańskie, wspólnie utrzymuje listonosza i zakłada w r. 1882 stację telegraficzną, słowem powtarzając zdanie najcharakterystyczniejszej dla owych czasów obok Chałubińskiego postaci ks. Stolarczyka, Towarzystwo Tatrzańskie «na szczęście Zakopanego Opatrzność Boska jakby ze snu wywołała». Dorobek Towarzystwa z tych czasów nie ogranicza się do Tatr. W roku 1876, a więc w trzy lata po swym powstaniu sięga ono po nowe szersze zadania we wschodnich Karpatach; powstaje w Stanisławowie Oddział Towarzystwa, a w dwa lata później Kołomyjski, następnie połączone w jeden Czarnohorski. Wspaniałe klejnot naszej przyrody, Pieniny stały się powszechniej znane dzięki powstaniu w r. 1893 Oddziału Pienińskiego. W r. 1905 z inicjatywy dra H. Zapałowicza, powstaje Oddział Babiogórski, a w rok później Oddział Nowosądecki.

Zatrzymajmy się na tych datach, tak już odległych, oddzielonych od nas pożogą wielkiej wojny. Znaczą one jedynie częściowo rozwijający się ruch organizacyjny. Obok rozwoju Oddziałów żywiłowo zakwita ruch turystyczny związany z powstaniem Sekcji Turystycznej

T. T. (1903 r.) i jej organu «Taternika», bez którego nie można sobie wyobrazić wspaniałego rozmachu taternictwa i alpinizmu odkrywczego nowszych czasów. Przychodzi złoty okres zdobywania Tatr. Szczyt po szczycie staje się lupem młodego ruchu, a gdy kurczą się problemy wysokogórskie, — ruch ten znajduje jeszcze jedno ujście. Oto z pierwszych początków narciarstwa datujących się od powstania Sekcji Narciarskiej w Zakopanem (1907 r.) rozwija się w coraz to szerszym zasięgu turystyka narciarska i w ślad za zdobywaniem letnim Tatr przyjąć ma niebawem zimowe taternictwo. Dziś po 65 latach, gdy nie żyją już dziesiątki i setki zasłużonych działaczy dawnego zespołu tatrzańskiego, gdy nazwiska Janoty, Wierzbickiego, ks. Sutora, ks. Stolarczyka, W. Eliasza Radzikowskiego, Leopolda Swierza, — tylko niezbyt szerokiej grupie znawców tematu kojarzą się z odrywaniem Tatr i Zakopanego, jedynie historia i kroniki zawarte w kilkudziesięciu tomach «Pamiętnika Tow. Tatrzańskiego», — są dokumentem zawsze doniosłym oddanego poświęcenia i pracy dla dobra społeczeństwa. Nie była to praca wyłącznie turystyczno-społeczna. Obok powstających schronisk i szlaków, obok kultywowania wiedzy o górach, — obok subwencjonowania badań naukowych (badania florystyczne, geologiczne, meteorologiczne, etnograficzne, historyczne i t. p.) — opiekuje się Towarzystwo górzem i góralszczyzną, rozbudowawszy przede wszystkim przewodnictwo góralskie, szczytujące się takimi nazwiskami jak Szymon Tatar, Maciej Sieczka, Klimek Bachleda i in.). W r. 1876 zakłada Towarzystwo szkołę rzeźbiarską, przekształconą później w Zawodową Szkołę dla przemysłu drzewnego, której znaczenie dla Podhala i kraju jest powszechnie po dzień dzisiejszy znane i uznane.

W pierwszym wreszcie dziesiętku XX wieku z inicjatywy M. Zaruskiego powstaje w łonie Towarzystwa Tatrzańskiego Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, którego bogata kronika działalności aż do dni naszych budzi u wszystkich podziw i największy szacunek.

Regionalizm huculski również znalazł w Towarzystwie naturalnego opiekuna. Pierwsza na ziemiach b. Galicji wystawa huculszczyzny, urządzona w roku 1880 przez Oddział Czarnohorski, grupująca rozliczne rodzaje wyrobów przemysłu i płodów huculszczyzny, — dalej bazar Kołomyjski popierający domowe przemysły ludowe, wreszcie prace nad podniesieniem hodowli konia huculskiego są pięknym świadectwem działalności Towarzystwa na tym polu. Z tego ducha opieki nad ludem i swojszczyzną wyrasta Sekcja ludoznawcza, w której szeregach znalazł się Bronisław Piłsudski.

Pora teraz na omówienie pewnych dążeń ideowych, tkwiących u podłoża każdej rzetelnej turystyki. W zaraniu swej działalności Towarzystwo stawiało sobie za cel badanie i poznawanie gór i udostępnianie ich innym. Rozrastający się ruch turystyczny, — musiał z biegiem czasu wysnuć jeszcze inne cele, — napozór z poprzednimi sprzeczne, a które w ideologii prawdziwego turysty miały niebawem stać się nierozłącznymi. Losy idei ochrony przyrody, — od czasu gdy nieznaną do dziś dnia Wielkopolanin w «Pamiętniku» Tow. w r. 1888 nawoływał o stworzenie z Tatr Parku natury, — stały się nierozwalnie zespolone z dziejami Towarzystwa.

Rok 1912 przynosi utworzenie Sekcji Ochrony Tatr, na której czele staje prof. Jan Gwałbert Pawlikowski. «Problem, który się tutaj nasuwa, jest to problem wynaleźnienia sposobu pogodzenia dwóch przeciwności, dwóch napozór sprzecznych tendencji: uprzystępniania i zachowania» — głosi memoriał tej Sekcji, wyrażając głęboko pojęte tendencje rozwojowe, tkwiące w zespolonych z sobą ruchu turystycznym i idei ochrony przyrody. To też gdy w r. 1913 obchodziło Towarzystwo swe czterdziestolecie wysunęło się na czoło programowe hasło ochrony Tatr dla przyszłych pokoleń, hasło szarmonizowane z dotychczasowym uprzystępnianiem ich piękności.

W przyszłości, już po wojnie, — za dni naszych miała idea ochrony przyrody doznać poważnych uszczerbków. To co udało się w r. 1912, obrona Tatr przed kolej-

kami linowymi, gdy parę artykułów i broszur, wśród których wybił się artykuł H. Kunzeka: «Czyżby triumf nonsensu?» — wystarczyło, aby pogrzebać pomysł kolejki na Świnicę, — nie udało się w trzydzieści parę lat później. W walce ducha z pieniądzem, ten ostatni okazał się bardziej skuteczny, choć nie przekonywujący. Stało się paradoksem, że Tatry były bardziej chronione wówczas, gdy chroniło je poczucie kultury, niż w czasie, gdy przygotowywała się w naszych oczach ustawa o Tatrzańskim Parku Narodowym. Miejmy nadzieję, że w walce tej niezakończony ostatecznie idealizm zwycięży. Zwycięży on napewno wtedy, gdy opadną pewne kompleksy nagromadzone dookoła wydarzeń ostatnich lat w Tatrach.

Przytoczymy teraz kilka cyfr statystycznych. W roku 1874 tj. w roku, gdy został zatwierdzony statut Towarzystwa miało ono 260 członków, w roku 1912 — 2.367, w r. 1937 — 16.640, w r. 1938 — 15.845. Równoległe do tego rośnie majątek Towarzystwa. Od pierwszego schroniska w Tatrach (1874 r.) nad Morskim Okiem, poprzez rozliczne, budowane po tej i po tamtej stronie granicy węgierskiej, poprzez wznoszone, palone i niszczone schroniska na całym łańcuchu karpackim — któż dziś pamięta pierwsze schronisko w Czarnohorze w Gadźynie pod Szypciami z roku 1879 lub na poloninie pod Popem Iwanem! — ciągnie się wzrastający z roku na rok, z dziesiątka lat na dziesiątki dorobek materialny w postaci schronisk, schronów i stacyj noclegowych. W roku bieżącym P. T. T. jest już posiadaczem 48 schronisk, 10 schronów i 78 stacyj, — budowniczym ponad 4.300 km. szlaków, ostatnio przystosowywanych także dla użytku narciarskiego. Należy zapytać skąd czerpało i czerpie P. T. T. fundusze, pozwalające obsłużyć tak rozległe rozbudowaną działalność. Oto składki członkowskie są przede wszystkim podstawą finansowania prac Towarzystwa. Zdawałoby się, że przy tak szerokim zasięgu prac społecznych finanse Towarzystwa nie będą musiały ograniczać się w znacznej mierze do składek członkowskich, ale że władze państwowe zechcą udzielać mu wydatniejszej pomocy, skoro podstawy pracy są celowe i zdrowe i cele zbiegające się z najżywotniejszymi interesami społecznymi. Niestety pomoc tych czynników jest znikoma, a w zakresie przywilejów, mogących ułatwić uprawianie turystyki (zniżki kolejowe) członkowie Towarzystwa są nadal traktowani po macoszemu.

Zahamowany wielką wojną rozwój Towarzystwa doznał niedługo po jej zakończeniu, — nowego bodźca z chwilą powstania Państwa Polskiego.

Od roku 1922 datuje się organizacyjna przebudowa Towarzystwa Tatrzańskiego, które przekształca się w ogólnopolską organizację turystyki i pokrywa siecią nowo tworzących się Oddziałów wszystkie ziemie Rzeczypospolitej. Struktura P. T. T. miała być jeszcze raz w roku 1935 gruntownie przebudowana w związku z nowym prawem o stowarzyszeniach.

Od tych czasów krystalizują się ostatecznie nowe formy działania, rozrasta się aparat pracy i zasięg zainteresowań. Tatarnicy sięgają po nowe zdobycze na odkrywczych wyprawach alpinistycznych, zapisując imię Polski dobrymi osiągnięciami w Andach, Alpach, Kaukazie i Afryce. Narciarstwo zgrupowane przed wojną w Sekcji Zakopiańskiej T. T. i paru innych organizacjach rozrasta się w żywiołowy ruch, wymagający osobnego ujęcia, — w obrębie P. T. T. tworzą się z roku na rok liczniejsze Sekcje Narciarskie, a zawodnicy ich a przede wszystkim S. N. P. T. T. w Zakopanem zbierają nie tylko laury krajowe, lecz czynią z polskiego narciarstwa doskonałą klasę europejską, zwłaszcza w skokach. Kto dziś pamięta początki tego ruchu, związanego z ludźmi Towarzystwa, początki, bez których nie można sobie nawet wyobrazić stanu dnia dzisiejszego? Ale też nikt nieuprzedzony nie może powiedzieć, żeśmy kroku nie dotrzymali rozwojowi narciarstwa, odróżniając w nim modę od stylu i od ceny wartości.

W szeregach P. T. T. wykształcał się z biegiem lat typ turysty, który przemierza



Nowe schroniska PTT:

schronisko na Przegibku Koła w Dziedzicach Oddziału Bielskiego (wiosna 1938 r.)

góry nie tylko w lecie, lecz także w zimie na nartach i z zespolenia obu sposobów uprawiania turystyki, wyrasta — naszym zdaniem — najwłaściwszy kształt prawdziwego człowieka gór. Stąd ta zrozumiała opieka Towarzystwa także nad turystyką zimową i narciarską, która nie powinna być przedmiotem przetargu między pokrewnymi organizacjami i zamiast dzielić winna łączyć. Dwadzieścia cztery Sekcyj Narciarskich zgrupowanych przy Oddziałach P. T. T. — to rozrastające się w ramach Towarzystwa zrozumienie narciarstwa w jego zasadniczych przejawach (sportowym i turystycznym). W ślad za tym idzie opieka nad terenowymi ułatwieniami dla ruchu narciarskiego. W olbrzymiej sieci szlaków karpackich, w której na pierwszy plan wybija się szlak główny P. T. T. im. Marsz. Józefa Piłsudskiego, — nie brak dróg już przystosowanych do potrzeb narciarskich a dalsze prace w tym kierunku są z roku na rok planowo przeprowadzane. Z jednej strony chodzi o niemnożenie zbytnie szlaków, z drugiej o umiejętne ujęcie ruchu na typowych szlakach, możliwie nie wprowadzając chaosu przez znakowanie nowe bez uzgodnienia go z istniejącą siecią. Nie jest kwestią prestiżu, — jak to często usiłowano wmawiać — obrona stanu posiadania, zdobytego własnymi siłami oraz pewnych koncepcyj warunkujących ład w systemie szlaków i ścieżek, który łatwo może być zachwiany, gdyby każdy na własną rękę zechciał szlaki znakować. Gdy wytyka się Towarzystwu braki, trzeba pamiętać o środkach, którymi ono dysponuje, braki nie pochodzą z konserwatyizmu Towarzystwa — jak się słyszy z ust malkontentów, — lecz poprostu z braku funduszków. Myśleć można najpiękniej, projektować jeszcze śmielej, — działać tylko o tyle, o ile wystarcza funduszków. Trzeba zaprawdę, — zawsze trzeba podkreślać wobec wszystkich bezinteresowność pracowników rozsianych po całej Polsce, którzy bez rozgłosu, nie czyniąc fachu z turystyki, — oddają siły i pracę dla drugich. Bez tych nieznanych szerokiemu ogółowi pracowników, stan zagospodarowania gór polskich byłby na poziomie z przed lat kilkadziesiątu.



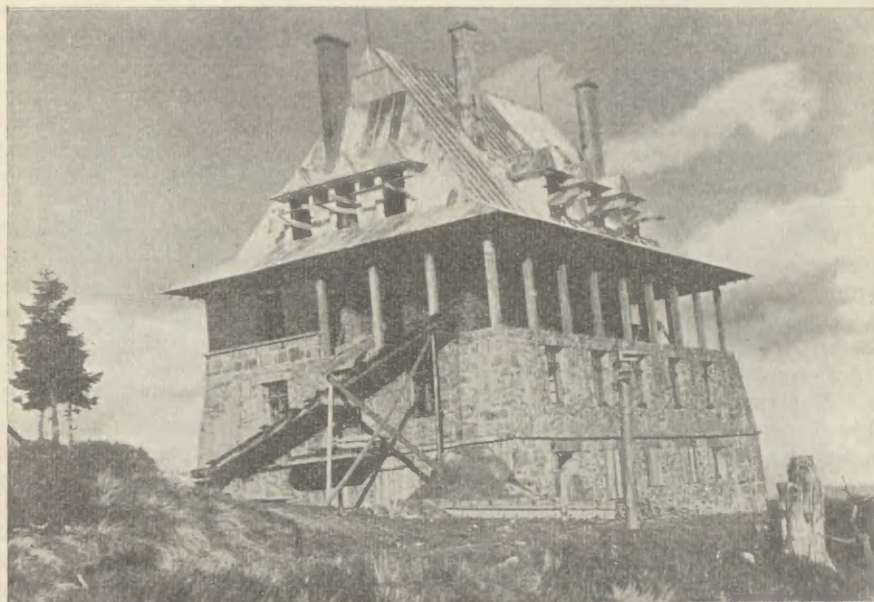
Nowe schronisko PTT:
schronisko Oddziału Jordanowskiego pod Jasną Grapą w masywie Policy

Fot. dyr. Fox

Od tych ogólnych refleksyj, — pragniemy przejść do omówienia działalności Towarzystwa w roku ubiegłym. Dla ułatwienia przeglądu wydarzeń tego okresu podzielimy ich omówienie na sprawy wewnętrzne, inwestycje turystyczno-terenowe, narciarstwo, propagandę i stosunki zewnętrzne.

W sprawach wewnętrzno-organizacyjnych, w obrębie ustalonych i wypróbowanych metod pracy osiągnęło Towarzystwo dalsze usprawnienia. Aparat organizacyjny zasadza się na istnieniu 33 Oddziałów, 23 Kół i 15 delegatur, stanowiących kościec administracyjny. Styczność z tymi Oddziałami utrzymywał centralnie Zarząd Główny bądź to bezpośrednio osobiście lub korespondencyjnie bądź to za pośrednictwem — komisij międzyoddziałowych, dla których nowoułożony regulamin stworzył nowe ramy działalności. W miarę pozyskania dla Zarządu Głównego młodych sił, kładziony jest z każdym rokiem mocniejszy nacisk na styczność z terenem, pozwalający wyczuwać potrzeby i braki zagospodarowania niejako na gorącym uczynku. Wiele braków zostało dzięki temu w porę usuniętych, — wiele inicjatyw doczekało się szybkiej realizacji, wiele innych, słusznych i koniecznych — czeka na fundusze.

Odzyskany teren Śląska Zaolziańskiego, jego piękne góry — wymaga włączenia w system gospodarki ogólnokarpackiej, do czego ma nie tylko dobrze przygotowany stan, lecz także zasłużoną tradycję. Na tym to terenie gospodarował przed r. 1918 Oddział P. T. T. w Cieszynie, którego członkowie po zdradzieckim podziale Śląska Cieszyńskiego musieli stworzyć osobne towarzystwo «Beskid Śląski» w Orłowej, — będące też jak gdyby komórką P. T. T., nie tracącą nigdy łączności z macierzystym Towarzystwem, które go wspomagało moralnie i materialnie. Na Ropiczce zbudowało P. T. T. schro-



Nowe schroniska PTT:

schronisko na Turbaczu Oddziału «Gorce» w Nowym Targu (stan z października 1938 r.)

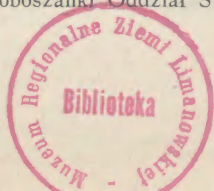
Fot. F. Rozłucki

nisko, które w r. 1918 zbrodnicza ręka podpaliła. Dziś więc powrót do Polski Śląska Zaolziańskiego winien stać się zarazem reaktywowaniem działalności P. T. T. na Zaolziu w dawnej czy zmienionej, ze względu na warunki lokalne, formie.

W zakresie inwestycji terenowych rok ubiegły zaznaczył się poważnymi osiągnięciami. Od zachodu poczynając, rozbudowano schronisko na Babiej Górze i Pilsku oraz pod dach wyprowadzono i wykończono schronisko na Turbaczu, którego gospodarz, Oddział w Nowym Targu, dał dalsze dowody niezłomowanej wytrwałości, aby pomimo ciężkich warunków pracy — przełamać wszystkie trudności.

We wschodniej polaci Gorców uruchomiona na Gorcu w niewłaściwym budynku stacja turystyczna uzyskała dalsze ulepszenia, przede wszystkim ocieplono ją i przystosowano do użytku zimowego. Oddział w Nowym Sączu wykończył nowe schronisko na Przehybie, w doskonałym miejscu szczytowym, przyczyniając się w ten sposób do związania łańcucha schronisk w tej części Beskidów. Posuwając się dalej na wschód ku ciągle jeszcze niezagospodarowanym regionom Beskidu Środkowego, — mamy do zanotowania, że w Łupkowie istniejące tam w wartowni schronisko, po usunięciu pewnych trudności dzierzawczych będzie nadal pełniło swą pożyteczną rolę ośrodka narciarskiego. Im dalej na wschód, tym ekspansywna działalność Towarzystwa w bież. roku stawała się silniejsza. Po oddaniu do użytku schroniska na przełęczy Wyszkowskiej i w dolinie Mołody, Oddział Lwowski z ogromną energią wykończył ostatecznie schronisko na Ruszczyńcu, które zwłaszcza dla ruchu narciarskiego stanowić będzie niezrównany punkt oparcia wśród doskonałych terenów najwyższych szczytów Gorganów Centralnych.

W dolinie Zielenicy u stóp Doboszanki Oddział Stanisławowski, który od szeregu



lat zmagał się z wielkimi trudnościami, — zdołał szczęśliwie ukończyć swe wielkie dzieło, piękne schronisko na kilkadziesiąt osób. Jeszcze dalej na południowo-wschodnim krańcu górskim Rzeczypospolitej wyrasta nowoczesne schronisko w Burkucie, wznoszone przez młody i energiczny Oddział w Kosowie, schronisko stanowiące centralny punkt w zagospodarowaniu dorzecza Czeremoszów i bazę wypadową do już istniejących schronisk tego Oddziału na Popadyńcu, Bałtagule, Masnym Prysłupie i Bereźniaku, oraz do najdalej na południowy wschód wysuniętego schroniska P. T. T. nowo uruchomionego na Preluczny nad Perkałabem.

Wymieniliśmy tutaj główne inwestycje schroniskowe, których wykończenie wypadło w bieżącym roku; oprócz nich powiększyła się wydatnie ilość innych punktów oparcia w stworzonych w różnych miejscowościach stacjach turystycznych, chociaż w tym zakresie wiele jest jeszcze do zrobienia. W końcu wymienić należy budowę przez Oddział w Sosnowcu schroniska w Bydlinie w Jurze Krakowskiej, mającego lokalne znaczenie dla Zagłębia Dąbrowskiego.

W zakresie ścieżek chodziło przede wszystkim o usuwanie braków. Świadome wielu braków, — walczy Towarzystwo bezskutecznie o pomoc czynników miarodajnych a w samym terenie — jak wiadomo — niski poziom kulturalny ludności jest przyczyną, że znakowanie ustawicznie jest niszczone, tabliczki orientacyjne grabione a tyczki narciarskie padają ofiarą pastuchów. Kto przeglądąłby coroczne wydatki, ustawicznie powtarzające się na odnawianie typowych szlaków n. p. w Tatrach, — ten miałby obraz niezmiernie trudnej walki, w której P. T. T. mało ma sprzymierzeńców a wielu wrogów wśród nieświadomych niszczyteli mienia. Wysiłki P. T. T., aby drogą osobnego rozporządzenia powiększyć ochronę urządzeń turystycznych w ich charakterze urządzeń użyteczności publicznej, — wciąż jeszcze nie znajdują realizacji pomimo, że ogólnopolskie zjazdy turystyczne tezy P. T. T. gorąco poparły.

Działalność Klubu Wysokogórskiego była w ub. roku również bardzo ożywiona. Wyprawa alpinistyczna w Alpy, wysokogórskie kursy w Tatrach, — szeroko przygotowane plany wypraw w przyszłych latach, opieka nad przewodnictwem góralskim — oto w skrócie jeszcze jeden rozdział pracy P. T. T., przynoszący mu wiele czynnych pozycji w ogólnym bilansie.

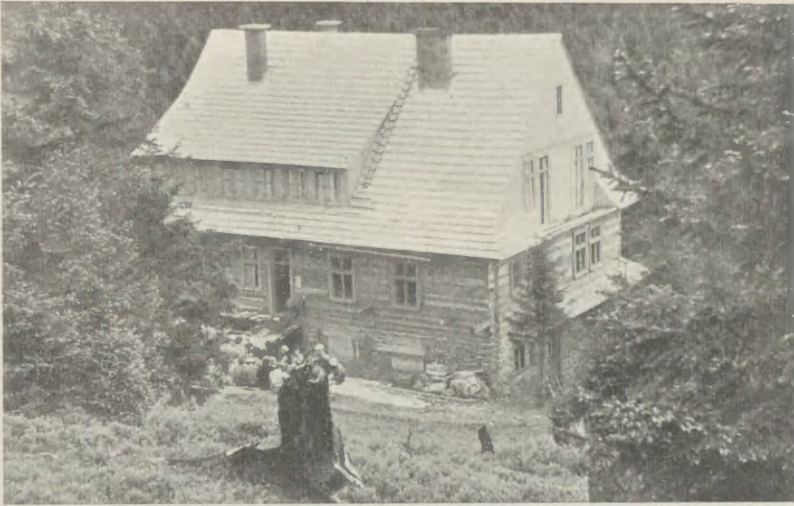
Osobne omówienie pragniemy poświęcić narciarstwu w łonie Towarzystwa. Ponieważ «Wierchy» ukazują się u progu sezonu narciarskiego nie jesteśmy w stanie sprawozdanie uczynić aktualnym. Musimy zatem z konieczności operować cyframi sezonu narciarskiego zakończonemu z wiosną 1938 r., a jedynie sygnalizować niektóre główne zadania czekające sekcje narciarskie P. T. T. w obliczu sezonu 1938/39, w którym na czoło wybijają się zawody F. I. S.

Rok ubiegły cechowała duża prężność tak w zakresie ruchu sekcji jak i w stanie liczebnym poszczególnych ośrodków. Jedną z najgłówniejszych cech działalności S. N. P. T. T. jest scementowanie ich w jednolitą świadomą zadań całość; te zadania idą przede wszystkim po linii interesów narciarstwa i praca w tej dziedzinie sumuje się w realnych osiągnięciach.

Wystarczy suchymi cyframi przemówić z ostatniego roku, aby móc stwierdzić, że zespolenie wszystkich Sekcji Narciarskich w całość, nad którą czuwa w łonie P. T. T. Komisja Narciarska P. T. T. — wyszło samemu narciarstwu na korzyść.

Oto kilka cyfr. W 24 Sekcjach Narciarskich zrzeszyło P. T. T. 3.054 narciarzy. Suma własnych urządzonych imprez wynosiła w ub. roku narciarskim 227, udział zaś w imprezach cudzych 40.

Na czoło wewnętrznych imprez wybijają się zawody międzysekcyjne o Puchar Czarnohorski w Worochcie w dniach 19 i 20 lutego 1938 r., obejmujące kombinacje nor-



Nowe schroniska PTT:
schronisko na Przehybie Oddziału «Beskid» w Nowym Sączu

Fot. St. Pennar

weską, uświetnione w b. r. jubileuszem 15-lecia istnienia Sekcji Stanisławowskiej oraz zainicjowane w tym sezonie po raz pierwszy międzysekcyjne zawody o Puchar Babio-górski na Pilsku w kombinacji alpejskiej w dniach 26 i 27 lutego 1938 r.

Pierwsze z nich, wchodząc w program uroczystości Marszu Huculskiego Szlakiem II Brygady Legionów, wypadły pod każdym względem imponująco. O ile w latach ubiegłych były one niemal wyłącznie reprezentacyjnymi zawodami P. T. T., o tyle urządzone w b. r. stały się najpoważniejszą imprezą narciarską na terenie Karpat Wschodnich, przyczyniając się do propagandy imienia P. T. T. i narciarstwa. Liczny współdział Sekcyj oraz innych klubów narciarskich, wysoki poziom organizacyjny, wyniki sportowe oraz kilkutyśieczny udział publiczności były dowodem żywotności i popularności tej imprezy. W ogólnej klasyfikacji zdobywcą Pucharu Czarnohorskiego została po raz drugi S. N. P. T. T. Zakopane, drugie miejsce przypadło urządzającej zawody S. N. P. T. T. Stanisławów, trzecie S. N. P. T. T. Lwów.

Druga bardzo poważna impreza odbyła się na Pilsku. Jakkolwiek te zawody, zorganizowane przez S. N. P. T. T. Żywiec odbywały się po raz pierwszy, mimo tego zgromadziły one reprezentacje Sekcyj zachodnio-beskidzkich oraz S. N. P. T. T. Zakopane, która i tutaj — wyszła zwycięsko. Zainteresowanie zawodami było bardzo duże a wyniki techniczne wysokiej klasy.

Na płaszczyźnie szerszej, duży i zasłużony rozgłos przyniosły najstarszej Sekcji P. T. T. w Zakopanem wspaniałe wyniki jej zawodnika Stanisława Marusarza na mistrzostwach świata w Lahti. Zawodnik ten sięgnął i tego roku po najszczytniejszy tytuł narciarski mistrza świata i jedynie skutkiem niesłusznego — jak zgodnie podkreśliły głosy fachowej prasy — orzeczenia sędziowskiego, stał się zdobywcą jedynie tytułu wice-mistrza świata. Zawodnik ten, należący dziś do elity skoczków świata, — zdobył nadto w Garmisch-Partenkirchen pierwsze miejsce w skokach do kombinacji oraz tytuł mistrza Polski w skokach. Drugi zawodnik S. N. P. T. T. Zakopane, Andrzej Marusarz, ustanowił



Nowe schroniska PTT:

budynek główny schroniska Oddziału Stanisławowskiego przy kładzie Zubryńki pod Doboszanką (stan z sierpnia 1938 r.)

Fot. M. Sobolewski

podczas mistrzostw Okręgu Podhalańskiego wspinały rekord skocznicy na Krokwi długością skoku 76.5 m. Obok braci Marusarzy, coraz częściej przychodzą do głosu doskonale rozwijające się młode talenty braci Kulów, Daniela Krzeptowskiego i innych. Obiektywną ocenę ogólnej działalności tej Sekcji stanowi fakt, że Zarząd Polskich Związków Sportowych przyznał S. N. P. T. T. Zakopane tytuł najlepszego klubu narciarskiego w Polsce.

W zakresie propagandy w szerszym tego słowa znaczeniu uczyniono również wiele. Na czoło wybija się kontynuacja wydawnictw Towarzystwa przede wszystkim «Wierchów», — które są jedynym rocznikiem górskim obejmującym całokształt spraw interesujących polski świat turystyczny.

W sześćdziesiątym piątym roku istnienia Towarzystwa daje ono 54 tom wydawnictw P. T. T., — co jest żywym sprawdzianem i dokumentem ciągłości pracy propagandowej.

Przy pomocy Zarządu Głównego wydaje Klub Wysokogórski «Taternika», którego poziom dorównywa dobrym wzorom obcym.

Rolę informatora narciarskiego a także częściowo letniego spełniło wydawnictwo S. N. P. T. T. Lwów, która przy pomocy Komisji Narciarskiej P. T. T. także i w b. roku rzuciła je na rynek turystyczny. Prócz wydawnictw i propagandowych ulotek, których nie sposób wszystkich wymienić, — należy z uznaniem podkreślić kulturalną działalność Oddziału w Poznaniu, który chociaż z daleka od gór — rozwija na terenie swoim żywą propagandę naszych gór, rozpisując bądź to konkursy muzyczne, bądź to konkursy na

afisze, bądź to wreszcie ulotki, — przyczyniając się w wysokim stopniu do popularyzacji imienia Towarzystwa.

Wspomnieć trzeba o wystawach fotograficznych organizowanych przez Oddział Kołomyjski oraz o pięknym i pomysłowym Kalendarzu Huculszczyzny wydanym przez Oddział w Stanisławowie, i innych przedsięwzięciach, świadczących o ruchliwości tych ośrodków. Niemal każdy Oddział w czasie sezonu urządzał wycieczki, które gromadząc rzesze turystów, zjednywały organizatorom nowych zwolenników.

Stosunki zewnętrzne rozwijały się harmonijnie z uwzględnieniem zmian zaszłych w b. roku. Na wiosnę 1938 r. duże utrudnienie ruchu granicznego wprowadziło czasowe zawieszenie konwencji polsko-czechosłowackiej, której przywrócenie tuż przed sezonem letnim przyjęli wszyscy turyści z prawdziwą ulgą. Obecnie po rozszerzeniu granic górskich Rzeczypospolitej konwencja turystyczna powinna być utrzymana i rozbudowana terytorialnie, gdyż otwierają się za jej pośrednictwem nowe horyzonty współpracy turystycznej i kulturalnej. Także w innej dziedzinie poszerzenie granic Państwa Polskiego ma swe reperkusje. Oto z chwilą odzyskania północnych stoków Tatr, ze zwiększoną siłą powraca sprawa utworzenia Tatrzańskiego Parku Narodowego, który — stworzony obecnie na obszarze całych Tatr Polskich — byłby najwspanialszym upamiętnieniem powrotu Jaworzyny w dwudziestolecie państwowości polskiej do Ojczyzny.

Zarząd Główny w tej sprawie zwrócił się do P. Ministra W. R. i O. P. z memoriałem a nadto współpracuje z powołaną przez Komitet Ochrony Przyrody w Krakowie specjalną Komisją, której zadaniem jest opracowanie szczegółowych wniosków w poruszonych kwestiach.

Przyświeca nam jedna przede wszystkim myśl: nie zniszczyć odzyskanych Tatr! Niech ich dzika, cudowna przyroda po wiek wieków będzie tak piękna, jak jest w dniu powrotu do Ojczyzny.

Również w sprawie Parku Pienińskiego, przy sposobności delimitacji granicy Zarząd Główny występował z wnioskami dotyczącymi konieczności jednolitej gospodarki w obu częściach tego Parku, polskiej i słowackiej.

Całokształt akcji spisko-orawsko-czadeckiej, w której Zarząd Główny odegrał tak poważną i zdecydowaną rolę, — poszczególne fazy tej akcji oraz szczegółowe poczynania Prezydium P. T. T. na przestrzeni od 24 września 1938 r. do chwili obecnej omawiamy osobno na innym miejscu ze względu na doniosłość sprawy.

Myślą o spełnionych obowiązkach chcielibyśmy zakończyć przegląd prac ostatniego roku zamykającego olbrzymi okres 65 lat życia Towarzystwa. W takiej chwili skierowuje się uwaga tych, którzy sterują życiem organizacji nie tyle w przeszłość ile ku przyszłości. Refleksjom o minionych latach i ostatnich pamiętnych dniach października i listopada 1938 r. towarzyszy uczucie dumy, że spełniło się wedle swych sił i możliwości obywatelski obowiązek, który jest niczym innym tylko radością współdziałania. Myślom zaś, które daleko wybiegają naprzód przyświeca zawsze jeden cel: służyć jak najlepiej polskiej turystyce, poszerzając jej podstawy działania, kształcąc jej charakter, pogłębiając jej wartości moralne.

Do celu tego droga wiedzie nie przez turystykę ulatwioną, nie przez znianie gór do mas, lecz odwrotnie, przez podnoszenie ich ku pięknu gór, nie przez schlebienie ich chęci ku łatwiznie lecz przez kształcenie w nich pędu do walki, nie przez podsuwanie piękna pod nos, lecz przez wydobycie z człowieka potrzeby wysilenia się o to piękno.

Niema prawdziwej wartości poznania bez wysiłku i stąd ten przedział między nami a giermkami łatwej turystyki, sui generis przemysłu polegającego na przesuwaniu z miejsca na miejsce ludzkich ciał. Tak pojęta turystyka ma niewątpliwie znaczenie gospodarcze, ale zadań kształcenia charakteru, — wyrabiania woli, przytomności umysłu,

sprawności fizycznej, zamiłowania do piękna ojczyźnej przyrody nie wypełnia. Prawdziwa turystyka zmierza przez siłę ku radości, przez wysiłek ku pełnemu odczuciu piękności świata gór. Właśnie takiej turystyce służy Polskie Towarzystwo Tatrzańskie.

Ale z różnic poglądów, idei i szkód wynikłych dotąd dla turystyki musi wysnuć się jeszcze jeden wniosek: interes turystyki wymaga, aby ów przedział ideowy z wolna wypełniał się aktami obustronnej dobrej woli, zmierzającej do harmonizowania rozbieżności.

W turystyce jak w każdej działalności mogą i powinny ścierać się różne poglądy, — ale ideologiczne różnice nie powinny uchodzić za motyw do różnicy traktowania w zakresie poparcia przez czynniki decydujące.

Przyszły rozwój turystyki zatem domaga się rozwiązania wszelkich rozbieżności konkretnych na drodze porozumień a nie na drodze faktów dokonanych.

Służąc turystyce poprzednio scharakteryzowanej, Polskie Towarzystwo Tatrzańskie spotka się z każdym, kto doceniając nasze ideowe dążenia, — będzie wspólnie z nami pracował nad stworzeniem atmosfery lojalnej i usuwaniem przeszkód do dalszego rozwoju turystyki.

Władysław Krygowski

Wspomnienie o Andrzeju Strugu

(✧ 9 grudnia 1937 roku)

...przywieź mi stamtąd (z Tatr) jaki duży kamień omszały z jakiego najpiękniejszego miejsca, z nad jakiego cudnego jeziora i połóż na moim grobie. Będzie mi tak przyjemnie leżeć w grobie z tą tatrzańską pamiątką...

(Strug — «Chimera», rozdz. XX.)

Należał do pokolenia, dla którego Tatry były wyższe od Himalajów, rozleglejsze niż Alpy, piękniejsze niż wszystkie szczyty Kaukazu, Afryki, Kordylierów!

Dziś, gdy w oczach wielu młodych Tatrę są tylko odskocznią treningową w Andy lub w Himalaje, nie mówiąc już o tłumach zjeżdżających przez snobizm na jednodniowy pobyt w Tatrach czy parotygodniowy pobyt w kawiarniach zakopiańskich, — miłość do Tatr pokolenia Chalubińskiego, Witkiewicza i Struga nie łatwą będzie do pojęcia. Była to miłość w pełnym słowa tego znaczeniu, na całe życie, zachłanna, romantyczna.

W 1908 r. zwiedza Andrzej Strug Pireneje, w 1909 — Alpy, w 1910 przyjeżdża znów w Tatry, aby odtąd rok rocznie wracać do nich, pełen tęsknoty. Zapytany przez żonę, czemu w czasie pobytu we Francji nie skorzystał, aby lepiej zwiedzić Pireneje czy Alpy, — odpowiada Strug czarownym wyznaniem: — Każdą chwilę wolną śpieszyłem spędzić w Tatrach — tęskniłem do Polski...»

Trzydzieści cztery lata trwała miłość pisarza do polskich gór. Miłość wybuchła od pierwszego wejrzenia, podczas pobytu w chałupie Chowańca, na Bukowinie Tatrzańskiej, w 1904 r. Mieszka następnie Strug w Zakopanem na Żywieńskim, później na Skibówkach u Marusarzy. Podczas Wielkiej Wojny, w 1916 r. — w «Jurandzie» na Chalubińskiego, a zawsze marzy beznadziejnie o własnym domku na Gubałówce. W ostatnich



W Roztoce ok. 1910 r.

latach życia ukochał Bystre. Przykuty często chorobą do łoża, wymykał się niekiedy z domu potajemnie, nie zważając na gorączkę, aby pobiec na Koziniec, spojrzeć na Osobitą o zachodzie słońca. Był mu zawsze ten widok źródłem niewyczerpanych wzruszeń, o których marzył na nizinach.

Przy wyborze pseudonimów i nazwisk bohaterów powieściowych, snują mu się imiona, wyrosłe z ziemi podhalańskiej (Galica, Gąsienica, Orawiec, Chowaniec). W «Wiekach Nowym», Lwów 1910, drukuje Strug swój «Zakopanoptikon, kronika 49 dni deszczowych w Zakopanem», satyrę na ludzi, przyrodę i obyczaje. Zaczęta w Paryżu «Chimerę», kończy w Zakopanem w 1916 r. W 1926 r. w «Kurjerze Porannym» drukuje «Wielki Dzień», «kronikę niedoszłych wydarzeń», satyrę, mającą za tło znowu Zakopane. Rękopis «Chimery» roi się formalnie od winiety i rysunków, pełnych motywów sztuki podhalańskiej, słońce i parzenie.

Chory na nerki, w ostatnich latach życia, Strug przybywa jednak stale w Tatry. W pierwszych dniach września 1937 r. wybierał się gorączkowo — «ostatni raz» i na uwagę żony, iż doktorzy nie pozwolili mu chodzić, odpowiedział ze spokojem: — «Nie rozumiesz, że jeśli ktoś kocha góry, to choćby był niewidomym, gdy się wśród nich znajdzie — będzie się czuł szczęśliwym». Struga bowiem łączyła z Tatrami miłość głęboka, istotna i bezinteresowna. Nie szukał w nich sławy rekordów wspinaczkowych, niezwykłych

emocji sportowych, czy jakichkolwiek wyczynów turystycznych. Kochał Tatrę dla Tatr. Dla owej czarownej przygody, czyhającej na śmialka, który zagłębia się w ich wnętrza. Kochał niepogodę, legendarny deszcz tatrzański, mgły i burze, lubił włóczyć się po dolinach, zazierać na szczyty, spocząć przy potoku, rozpalic wiatrę, łązikować tygodniami, byle patrzeć i patrzeć na ukochane góry. Artystę zachwycała zmienność ich profilu, romantyka — porywała żywiołowość pogody tatrzańskiej. Pewnego razu, po dłuższej wędrówce w cudnym słońcu jesiennym ufknęło całe towarzystwo, wraz ze Strugiem przy Pięciu Stawach Polskich, grzejąc się w blaskach upalnego zachodu. Nagle Strug wyraził życzenie, aby nazajutrz, nazajutrz... spadł śnieg, olbrzymi śnieg! Zakrzyczeli go wszyscy, oburzeni. Lecz góry, kapryśne i fantastyczne, wysłuchały swego ulubieńca. Nazajutrz rano zbudził śpiących na pryzkach starego schroniska lodowy chłód. Półmetrowy śnieg okrywał bielą góry. Powrót przez Zawrat odbywał się w kopnym, sięgającym pasa puchu!

Plątały czasem Strugowi figle i doliny, zmuszając do romantycznych przepraw przez nabrzmiące potoki. Pewnego lata potok Koprowy wezbrał tak fantastycznie, iż zerwał wszystkie kładki i mosty. Turystów powitały wzburzone fale. Strug z żoną i towarzyszkami stanęli bezradnie wobec dzikiego żywiołu. Na szczęście znalazła się lina. Chwila namysłu — i padł krótki rozkaz: — «Rozebrać się do naga! Ubranie do plecaków». Najlepszy pływak, Józio Oppenheim, asekurowany na linie przez ś. p. Kostka Aleksandrowicza, rzucił się w odmęty. Walcząc z prądem przez pół godziny, dobrnął wreszcie do przeciwnego brzegu, po czym, umocowawszy linę, chwycił w ramiona wynurających się z wody towarzyszy w stroju adamowym, przepływających potok przy pomocy liny.

Podobne kąpiele, przeplatane tygodniową siąpiawicą, wilgotnym noclegiem pod wianą czy w szałasie nie odstręczyły od dzikiej turystyki. Był Strug i pozostał do ostatniej chwili życia śmiertelnym wrogiem pseudocywilizacji niszczącej pierwotne piękno Tatr, a więc kolejek, ceprostrad, hoteli i w ogóle przywożenia człowieka *en masse* w góry, dlatego przyjeżdżał we wrześniu, gdy góry pustoszały. Chciał aby w góry chodzili ci, których nie przeraził nocleg pod gołym niebem, prymityw obiadów turystycznych, mus dźwignia plecaka i trud chodzenia pod górę. Dał sam z siebie przykład jak mimo wieku, przeżyć i choroby człowiek, który naprawdę góry kocha, do ostatniej chwili życia dotrzeć może do ich wnętrza bez kolejek i ułatwień pseudocywilizacji.

W przedwojennych jeszcze latach dotarł kiedyś Strug po przejściu Polskiego Grzebienia do schroniska w Wielickiej dolinie. Było późno, dość późno, i zbudzony ze snu gospodarz warknął na włóczących się po nocach polskich turystów. Strug zachnął się z oburzenia i pociągnął towarzyszy do stojących opodal szałasów dla bydła. Noc była zimna, lecz watra z kosówki buchnęła wkrótce obok posłań z cetyny. Przerazony możliwością pożaru, czy też poruszony wyrzutami sumienia, gospodarz daremnie przybiegał, proponując na nocleg swe najlepsze pokoje. Strug nie chciał już słyszeć o innym schronieniu. Wolał raczej zimny szałas, gryzący dym i cetynę, niż zetknięcie się z chamstwem ludzkim w obliczu piękna gór. Szukał tu bowiem, jak wszyscy prawdziwi miłośnicy, poezji, ucieczki od krzykliwych walk ludzkich i od małostkowości egoizmów, szukał ciszy, ukojenia, tajemniczych rozmów szczytów górskich z duszą ludzką, natchnienia.

Chadzał Strug po Tatrach z młodu, chadzał przyprószonej siwizną, chadzał z pierwszą żoną, p. Honoratą i z drugą, p. Nelly. Chadzał z Mariuszem Zaruskim, ze Stanisławem Osieckim, ze ś. p. Ksawerym Praussem, pierwszym ministrem oświaty w niepodległej Polsce, którego pierwszy dekret dotyczył ochrony przyrody, chadzał z jego córką, Jadwigą, ze ś. p. Kostkiem Aleksandrowiczem, zmarłym z powodu komplikacji w związku z ranami, otrzymanymi podczas służby w Legionach, z jego siostrą z p. Węgą Wróblewską, z prof. Gumplowiczami, z Józkiem Oppenheimem, z Młodzianowskim,

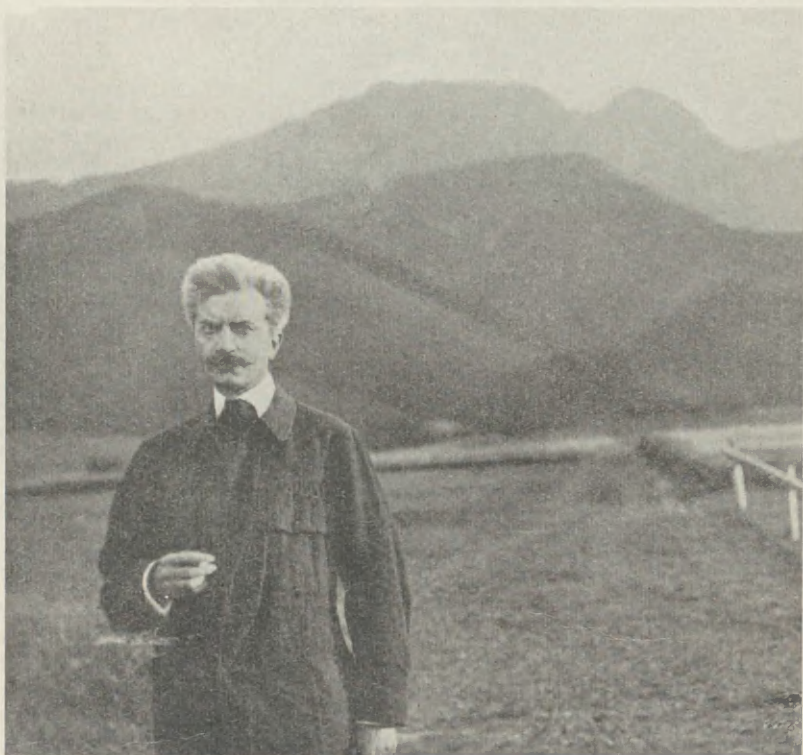


Scena obozowa w Tatrach (przy ognisku Strug, wśród pań Honorata Strugowa)

z Minkiewiczami. Chodził początkowo szumnie i gwarnie, potem coraz samotniej, ostatnie osiem lat życia wyłącznie z żoną.

Miewał ulubione szczyty, ukochane doliny. Ubóstwiał Niewcyrkę, Koprową, uwielbiał Krywań i Wołoszyn. Pierwszy — Matterhorni podkrywańskich polan, szczyt fotogeniczny i śmigły, opadający ku północy urwiskami dzikich żlebów, a od wschodu łagodnym ramieniem pozwalający narciarzowi dotrzeć na swój wierzchołek. Drugi — taras wspaniały, nad kenionem Rostoki i Swistówki zawieszony, z którego wzrok obejmuje oczy pięciostawiańskich jezior, sylwetę Rysów, Wysokiej, trawniki Hawrania i Murania i het na południu potężny wał Hrubego. Dziewięć razy był Strug na Wołoszynie i rok jeszcze przed śmiercią wybierał się po raz ostatni, lecz Wołoszyn okrył się mgłą i deszczem, nie puszczając ku sobie pisarza. Tylko wieniec kosówki z jego zbroczy spoczął w Warszawie na grobie artysty — ostatnie pożegnanie gór ze swym przyjacielem, dalekie wspomnienie Tatr na cmentarzu Powązkowskim.

Nie dłużył się Strugowi czas w górach nigdy. Włóczęga wielokilometrowa, czy krótka wyprawa — pochłaniały go jednak. Wszystko w górach było dlań ciekawe, nowe i romantyczne. Pewnego razu szedł na swój ulubiony Krywań ścieżką myśliwską, zapatrzonej w siklawicę, kosówki i jarzębinę. Droga przydługa, «dwunastu apostołów», jak określa czasem podobne ścieżki nomenklatura turystyczna, zwiędła a wymowna. Towarzysz Struga, prof. Gumplowicz, niecierpliwił się, dopytując, ile godzin do szczytu. Ktoś rzucił nieopatrznie: «Cztery»! Lecz Strug szedł, aby iść — i po czterech godzinach towarzystwo było jeszcze w odległości dwóch godzin od szczytu. Naukowca poniosła profesorska pasja. Jakże cztery godziny mogły zmienić się w sześć? Jak można się tak mylić w ocenie czasu? Na ustach Struga zaigrał uśmiech. Cztery, sześć, czy nawet osiem godzin, —



Andrzej Strug

czym że był czas wobec piękna jarzębin, zwisających nad siklawą, traw, sięgających pasa i różanych kwiatów, strzelających ponad głowę ludzką w czarownej dolinie Niewcyrki? Czas! Lata więzień, godziny zmagañ, minuty trwogi śmiertelnej, sekundy zwątpienia — czymże były wobec ogromu fioletowego profilu Krywania, wylaniającego się na tle opalowych pasm Tatr Niżnich? Czarowny kielich zapomnienia i najwyższej ekstazy, góry polskie, bliskie, przepiękne Tatry, czyż nie są wytchnieniem, krainą rajską, gdzie człowiek, pisarz, bojownik społeczny, Andrzej Strug, zagłębiał się w nirwanę, z której tryskały strumienie natchnień pisarskich.

Zwycięsko przez Miedziane Ławki dosięgał ongiś Strug szczytu Łomnicy. Wspinały, dziki, alpejski pejzaż północnej ściany opadł w ponurą czeluść u stóp Durnego. Z loggii granitowej tego, być może, najpiękniejszego szczytu Tatr, wyjrzała złocista panorama Spisza, zalanego słońcem, polyskującego tysiącem wsi i miasteczek, rozrzuczonych u stóp sinawych baszt Niżnich Tatr. Strug upajał się widokiem ponurych grani, rozszarpanych ścian i błogich złocień dalekich winnic bogatej doliny. Należało zejść przed nadejściem nocy, ścieżką koło Źródła Mojżesza dosięgnąć dna piarżystych żlebów. Lecz Strug spojrział na towarzyszy. A gdyby przenocować na szczycie?

Młodość i beztroška tętniły w żyłach przyjaciół pisarza. Noc na szczycie Łomnicy? Zgoda! Zaczęto się szykować do noclegu, poszukiwać załomów skalnych i rozpadlin.

Jeden Strug tylko stał i patrzył. Zginęło słońce. Opalowe mgły przybrały kolor rubinu. Niebo zzieleniało. Powoli fioleł, unosząc się z głębi dolin, pochłonął barwy, otulając świat gazą ciemności. Błysnęły źrenice gwiazd, oczy miasteczek spiskich zapaliły się koronami światła. Strug patrzył. Mieszkania bogów i ludzi! Ciepły podmuch osiągnął szczytu Łomnicy. Zerwał się wiatr halny.

Wtuleni w nisze skał, towarzysze pisarza drzemali, budzili się, szarpani wiatrem, wstrząsani zimnem. Strug stał. Mijały godziny. Zaklinowany między dwa bloki skalne, owinięty peleryną, w szerokim kapeluszu, tkwił nieruchomy granit myśli ludzkiej, wpatrzony w oczy żywiołu. Wiatr szalał. Z morza dolin piany chmur bryzgały bielą w twarz skalnych murów. Szedł wicher, szum i jęk. Rozdarte chmury odsłaniały chwilami światła gwiazd i siedzib ludzkich. Wiatr cichł, rósł, dosiegał szczytów, biegł fantastyczną granicą Widel i zapadał w nicłość pustkowi poza Kieżmarskim Szczytem. Nagle nikł. Rozkwitał szafir ciemnych niebios. Uśpione wsie patrzyły z dołu oczyma gasnących światła. Daleko, ponad Niżnemi Tatrami zwał białych chmur stał nieruchomy, czekając przyzwolenia halnego, by dopaść Tatr Wysokich. Gorący oddech nizin wypierał górski chłód. Zdało się, że świat usnął w objęciach nocy letniej. W sekundę później, w omroku mgieł, ze skowytom potępieńczym dopadał halny skał, liżąc głowę Łomnicy. Świat nikł. W szklanej kuli oparów Strug stał, zawieszony na balkonie niebios. Świt zbudził go z zadumy. Towarzysze ściągnęli go na dół, śpiesząc ku nizinom. Zbliżał się halny w całej swej potędze, zdolny zmieść ludzi ze szczytu, jak szyszki z szumiących limb.

Wanda Gentil Tipenhauer

Poznań i Tatry¹⁾

Poznań leży bardzo daleko od Tatr. Geograficzne położenie usprawiedliwia więc zupełnie poznańskich miłośników Podtatrza i samych Tatr, że przez większość miesięcy w ciągu roku mogą tylko myśleć i marzyć o górach. Starają się jednak owe marzenia zamienić na bardziej konkretne czyny i — zgrupowani w Poznańskim Oddziale Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego — urządzają szereg imprez kulturalno-artystycznych, których przedmiotem są przede wszystkim góry.

Założyliśmy poznański ośrodek zainteresowania się Tatrami przed kilkunastu laty, lecz nie tu miejsce na rozpatrywanie historii Oddziału. Pragnę opisać to wszystko, co się «tatrzańskiego» w naszym mieście nadwarciańskim stało w ciągu ubiegłego roku 1938. A czy się dużo stało — osądzą sami czytelnicy.

Warto przechodzić którejkolwiek jesiennej czy zimowej soboty, na długo jeszcze przed godziną 18-tą, koło poznańskiego Collegium Medicum, gdzie się mieści popularna sala wykładowa im. Śniadeckich. Gwar, hałas, okrzyki; to nasza młodzież gimnazjalna a nie rzadko i «słuchacze» szkół powszechnych czekają na chwilę otwarcia sali. Bo właśnie ma się tu odbyć jeden z wykładów Towarzystwa Tatrzańskiego. O «kalendarzu» odczytów poucza wielki afisz, misterne dzieło znakomitego typografa, Jana z Bogumina Kuglina, który tu osiadł od szeregu lat i ze swej oficyny drukarskiej cuda w świat wysyła ku bibliofilskiej radości. Jan Kuglin jest zapalonym miłośnikiem nart i gór, a już swoich rodzinnych śląskich w szczególności; zaprosiliśmy go do zarządu P. T. T.

¹⁾ Zamieszczamy zwięzłe sprawozdanie p. Młodziejowskiego w tym przekonaniu że znajdzie ono naszepców również w odniesieniu do innych wielkich ośrodków zainteresowania górami w Polsce. *Przyp. red.!*



i niejednokrotnie z cennych rad kuglinowych korzystamy. Cóż więc mówi afisz? «Poznaj nasze góry» — oto zbiorowy tytuł siedmiu sobotnich pogadanek na temat poszczególnych regionów karpackich. «U źródeł Olzy i Wisły» (Jan Kuglin z pomocą ilustratora muzycznego, Jerzego Drozda, muzyka z samej Wisły pochodzącego), «Urok Tatr Zachodnich» (dr Stanisław Dedio), «Wierchy, turnie, granie» — o Tatrach Wysokich i «W krainie Orkana i Tetmajera» — o Podhalu i Gorcach (dr Jerzy Młodziejowski), «Śród białych skalic i kwiecistych łąk» (mgr. Jarosław Urbański), «Góry Łemków» (prof. dr Witold Schramm), wreszcie «Najdziksze polskie góry» — o Karpatach Wschodnich (inż. Zygmunt Hetper). Wszystkie odczyty ilustrowane są mnóstwem doborowych przeźroczy lub obrazów epidiaskopowych z oryginalnych zdjęć prelegentów, którzy obiektywami władają niegorzej, niż sławni taternicy czekaniem lub liną. Frekwencja na każdym odczycie przekracza 400 osób lub «osóbek», dla których głównie pogadanki owe są przeznaczone. Kuratorium Szkolne idzie nam bardzo na rękę, gdyż poleca dyrekcjom szkół propagowanie odczytów. Zresztą miejscowi nauczyciele geografii i przyrody sami zachęcają młodzież do uczęszczania na ciekawe wieczory, gdyż są one uzupełnieniem materiału nauczania. Oprócz młodzieży gromadzi się nadto nieliczna garstka starszych «karpatomanów», którzy chociaż w ten sposób starają się być bliżej gór.

Obok regularnych pogadanek, których bywa przeciętnie 10—12 w ciągu roku, urządziliśmy w Poznaniu świetny wieczór prof. dr Mieczysława Limanowskiego («Niszczony Tatry»), interesujące wspomnienia gen. Mariusza Zaruskiego («Na bezdrożach tarzańskich»), subtelne rozważania prof. Jana Gwalberta Pawlikowskiego («O stylu zakopiańskim»), wreszcie relację z wyprawy alpinistycznej w Kaukaz, którą wygłosił prof. dr Marian Sokołowski. Jak w każdym roku przyjechał też do nas prof. W. Goetel z odczytem ilustrowanym pięknymi przeźrocami. Na szczególną wszakże uwagę zasłużył «Poranek spisko-orawski» w dniu 20 lutego 1938 roku, a więc na pół roku przed właściwą «sprawą». Zaprosiliśmy ks. dr Ferdynanda Machaya. O wrażeniu, jakie wywarło na licznych słuchaczach serdeczne przemówienie prelegenta trudno tu pisać bez najwyższych uniesień. Raz jeszcze przeżywaliśmy słynną «Drogę do Polski», tym razem skróconą wprowadzie, lecz tym cenniejszą, że słyszaną na żywo, z ust samego autora. Na tymże «Poranku» przemawiał o polskości Spisza nad Popradem prof. U. P. dr Roman Pollak, autor jednej z najpiękniejszych książek o polskim Podtatrzu. Wspomnienia, jakie ze spiskiej roboty plebiscytowej posiada prof. dr Pollak, są zbyt cenne i ważne, by nie miały się ukazać drukiem ku pożytkowi przyszłego historyka walki o polskość szczyrce polskich terenów podtatrzańskich. Zdarzeniem wszakże nader dla «kulturalnej» przyszłości ważnym było pierwsze wykonanie «Suity spisko-orawskiej» Tadeusza Kasserna, napisanej na chór męski.

Warto przytoczyć na tym miejscu «dzieje» owego utworu muzycznego, gdyż ze wszech miar wartością swą na to zasługuje. Organizując «Poranek» wiedziałem, że polska literatura muzyczna «podtatrzańska» jest nad wyraz uboga i w dzieła rzetelnego talentu bynajmniej nie obfituje. Zwróciłem się tedy do poznańskiego kompozytora T. Kasserna (awangardowego twórcy współczesnej symfoniki) z prośbą, by zechciał napisać dłuższy utwór chóralny, na tematach spisko-podhalańsko-orawskich oparty. Kassern miał w rękę niedawno wydany zbiorek «Pieśni Orawskich» Emila Miki z Lipnicy Wielkiej. Właśnie wydał był fortepianową «Sonatę orawską» na tematach «mikowych» opartą — dzieło wirtuozowskie i... bardzo nowoczesne. Proszę tedy Kasserna, by zechciał «zamówioną» rzecz skomponować możliwie niezbyt trudno, do wymagań chóru męskiego dostosowaną. Tematy podhalańskie i spiskie wyciągnąłem ze swoich przygodnych notatek «terenowych», wśród nich zaś uroczą piosenkę z Jurgowa, którą śpiewała pod wodzą p. Plucińskiego grupa spiska na «Święcie Gór» we Wiśle a przedtem

jeszcze, niejako na generalnej próbie w Zakopanem. Warta była, jak się później okazało rozpowszechnienia po całej Polsce. Kassern w umówionym terminie wręczył mi partyturę. Niezapomniana będzie dla mnie chwila pierwszego przegrania «Suity orawsko-spiskiej». Jest rzeczą rzetelnego talentu twórczego dać dzieło tak skończone i do aparatu wykonawczego (chór męski) dostosowane. Zadnych dysonansów — ustawiczne kontrasty poszczególnych piosenek, których jest razem 9, niebывале odczucie brzmienia chóralnego a nade wszystko ślicznie opracowane i «przekomponowane» melodie, dotychczas zupełnie nieznanne w Polsce. Uroku dodaje «Suicie» głos solowy żeński — mezzosopran — oraz dwa «przegadujące» głosy solowe męskie: tenor i baryton. Całość trwa okrągło kwadrans a mimo to jest całkiem nie nużąca lub jednostajna. «Suite orawsko-spiską» śpiewało poznańskie «Echo», któremu to zespołowi poświęcił ją do wyłącznego (na razie) wykonywania autor. Dyrygował prof. Władysław Raczkowski a sukces był nieopisany. «Echo» — bo i to należy do dzieł naszych poczynań «tatrzańskich» — śpiewało jeszcze «Suite» podczas kolacji dla grupy chłopów słowackich, jadących przez Poznań do Gdyni po oryginalną «Umowy Pittsburskiej» — warto było patrzeć na rozbadowane twarze naszych sąsiadów z karpackiej grani, gdy słuchali dobrze sobie znanych melodii. Jednakże największy sukces odniosła «Suite» podczas ogólnopolskich Zawodów Śpiewackich w Zielone Świąta w Gdańsku. Około 70 zespołów śpiewaczych stawało do bezkrawej «walki» o pierwsze miejsce. Gdy poznańskie «Echo» pod batutą swego dyrektora Władysława Raczkowskiego, skończyło śpiewać «Suite» — po olbrzymiej sali stoczni gdańskiej, gdzie się zawody odbywały — przeszedł dreszcz szczerzego wzruszenia, który po chwili zamienił się w nieustający grzmot oklasków. Podtatrzańskie melodie popłynęły nad Bałtyk... «Echo» uzyskało zaszczytne wyróżnienie, pierwsze miejsce w zawodach i piękny puchar w nagrodę. Miłą też palmą zwycięstwa dla świetnego zespołu było odśpiewanie «Suity» następnego wieczoru w radiostacji oksywskiej w transmisji na całą Polskę. Jeszcze przed latem śpiewało «Echo» swoją pieśń zwycięską na koncertach w Słupcy i we Wągrówcu, zaś w jesieni i zimie 1938 roku dwukrotnie, a to podczas «Uroczystego Zebrania» w sprawie Spisza, Czadeckiego i Orawy w dniu 23 października (z odczytem ks. dr F. Machaya) oraz na «góralskim» koncercie «Echa» w grudniu. «Suite spisko-orawska» została oddana do druku i niewątpliwie wszędzie, gdzie tylko dotrze — zyska serdeczne uznanie słuchaczy i wykonawców.

Jeśli się już pisało tyle o muzyce — warto wymienić oryginalną imprezę naszego Oddziału P. T. T. O tyle oryginalną, że w dziejach całego Towarzystwa zdarzającą się po raz pierwszy. Z inicjatywy podpisanego udało się rozpiścić ogólnopolski Konkurs Muzyczny na pieśń chóralną (dla męskiego zespołu), opartą o tematy podhalańskie. Nadesłano niłą, niestety, liczbę utworów, bo zaledwie 20, mimo, że pierwsza nagroda wynosiła 200 złotych! Sąd konkursowy, złożony z miejscowych muzyków przyznał jednomyślnie pierwszą nagrodę dyr. Bolesławowi Wallek-Walewskiemu z Krakowa za utwór «Muzyka» do świetnych słów Jana Mazura («Zajęcały, zahucały organy niebiosów...»), drugą — dwom pieśniom dyr. Stanisława Rączki z Buska-Zdroju: «Kołodzie podhalańskiej» (do góralskich słów i stylizowanej melodii), oraz «Owiecom» (skomponowanym na podstawie ogłoszonej w I tomie «Wierchów» melodii z Rogoźnika, zapisanej przez Eugeniusza Janotę w latach sześćdziesiątych). Trzecią nagrodę zyskał młody poznański kompozytor — Walerian Gniot za «Taniec zbójnicki» (z towarzyszeniem dwojga skrzypiec i wiolonczeli — więc z «góralską muzyką»). Zaszczytne wyróżnienie spotkało nadto ks. dr Hieronima Feichta za utwór «Ciemnosmreczyński Staw» do słów Tetmajera. Wszystkie te pieśni zostały wykonane publicznie po raz pierwszy na koncercie, organizowanym przez Oddział P. T. T. w Auli Uniwersytetu w grudniu 1938 roku, w wykonaniu «Echa». Pieśni Walewskiego i Rączki zostały wydane drukiem przy pomocy



«Harnasie» na scenie poznańskiej

finansowej Oddziału P. T. T. nakładem Wielkopolskiego Związku Śpiewaczego. Na wspomnianym koncercie «Echo» śpiewało ponadto utwory góralskie Kasserna, Lachmana, Marka, Walewskiego, zaś niewydane drukiem pieśni Nowowiejskiego («Trzy pieśni weselne podhalańskie») wykonała artystka opery poznańskiej p. Emma Szabrańska, która zwykle śpiewała z «Echem» partię solową w «Suicie» Kasserna.

Ale jeszcze z muzyką nie koniec. Jakżeby nie pisać o «Harnasiach» Karola Szymanowskiego, wykonanych dnia 9 kwietnia 1938 roku na scenie poznańskiej. Tu już Oddział P. T. T. nie mógł w niczym pomóc, jedynie podpisany na zaproszenie kierownika baletu był «doradcą» w dziedzinie stylu tańca, obrzędów weselnych, zwyczajów pasterskich, «topografii» dekoracyjnej, kostiumów, rekwizytów scenicznych i t. p. szczegółów. Premiera polska «Harnasiów» odbyła się w niezwykle uroczystej atmosferze; biletów zabrakło już na kilka dni przed słynnym w dziejach Opery poznańskiej przedstawieniem. Z kilku miast Polski przyjechali wybitni muzycy i miłośnicy Tatr, by po raz pierwszy ujrzeć czołowe arcydzieło naszej symfoniki. Wielką przeżywaliśmy radość, słuchając genialnej partytury Karola Szymanowskiego. Serca się rwały do wspaniałego pochodu dziewięciu rosnących zbójników, jakby żywcem przez Skoczylasa w drzewie ciętych. Dłonie biły rześiste okłaski dekoracjom Zygmunta Szpingera, zwłaszcza niezwyklej w perspektywie chacie podhalańskiej. Wielki tryumf święciła poznańska orkiestra pod batutą dr Zygmunta Latoszewskiego, dyrektora Opery, który nie zraził się rzekomo «nadmierzająco trudnymi» zasiekami dookoła partytury «Harnasiów» i rzecz jak należy wykonał. Baletmistrz p. Maksymilian Statkiewicz zmontował zespół z najlepszych sił, by całość choreograficzna stała na najwyższym poziomie. Słowem, Poznań nie tylko ubiegł Warszawę w dacie polskiej premiery «Harnasiów» — pono widowisko poznańskie stało pod wielu względami od stołecznego wyżej.

Z okazji «Harnasiów» w Poznaniu ukazała się prywatnym nakładem w ilości

113 (!) sztuk pamiątkowa pocztówka z reprodukcją rękopisu Karola Szymanowskiego: piosenki podhalańskiej z drugiego obrazu «Harnasiów». Rozeszła się pomiędzy sympatykami Tatr a dochód z niej przeznaczono na potrzeby drogiego nam Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem.

Ogłosiliśmy również i drugi konkurs artystyczny, tym razem na wielki plakat propagujący rolę «gazdy tatrzańskiego» — Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Ogółem nadesłano 45 prac o dosyć wysokim poziomie artystycznym.

Dwukrotnie skorzystaliśmy z uprzejmej gościny okien wystawowych dwóch księgarni poznańskich; oto trzeba było urządzić kilkudniową wystawę okolicznościową, poświęconą pamięci Mieczysława Karłowicza. Przed wspomnianym «Zebraniem Uroczystym» w sprawie Spisza, Czadeckiego i Orawy urządziliśmy dnia 23 października 1938 roku propagandową wystawę map, literatury i fotografii z tych terenów. Dla własnych potrzeb reklamowo-propagandowych zdobyliśmy się na estetyczną gablotkę ścienną, umocowaną w dość «ruchliwym» punkcie miasta. Wywieszamy w niej pieczołowicie «komponowane» wnętrza; czuwa nad tym Jan Rafałski, przyrodnik i «tatroman». Pierwsza zmiana tyczyła radosnego faktu odzyskania spiskich Tatr, dalsze — aktualnych potrzeb Oddziału P. T. T.

Zamierzamy urządzić w lutym 1939 roku z okazji 30-lecia śmierci Mieczysława Karłowicza pierwszą tego typu Wystawę kilkutygodniową. Będą w niej zebrane z całej Polski pamiątki muzyczne i tatrzańskie wielkiego kompozytora i miłośnika Tatr. Równocześnie odbędą się koncerty: symfoniczny, kameralny i pieśniarski z niezbyt, niestety, obfitej spuścizny muzycznej po Karłowiczu. Prace dookoła uczczenia drogiej nam wszystkim pamięci znakomitego człowieka już dziś, gdy to piszę, są daleko posunięte.

Oto nasze poznańskie działania kulturalno-artystyczne dookoła Tatr i ich okolicy. Pono dużo się tego zebrało jak na jeden rok; środowiska, zdala od gór położone, powinny mniej więcej w tym kierunku, co i my pracować. Gdy jednak nadejdzie upragnione lato — rzucamy wszystko i jedziemy tam, do «Nich», by żyć, oddychać, wzruszać się i «być» w najcudowniejszym zakątku Polski.

Jerzy Młodziejowski

Nazwa najwyższej góry w Gorcach

Turystom zwiedzającym Gorce niewątpliwie zdarzyło się słyszeć od chłopów wyraz Trubacz na określenie najwyższego szczytu w tym paśmie górskim. Niejednemu może się wydawać, że to brzmienie jest zwykłym zniekształceniem poprawnej nazwy Turbacz, jakie przytrafiać się zwykło w ustach ludu licznym nazwom miejscowości a nawet osób, choćby wymienić Klikuszową, dla której lud w Porębie Wielkiej i okolicy ma nazwę Kulkosowa. (Przemiana dokonana się za pośrednictwem formy Klukoszowa, poświadczonej w dokumentach dworskich wielkoporębskich z XVIII w.). Tymczasem z Turbaczem rzecz ma się inaczej. Obie formy Trubacz i Turbacz są dawne i równouprawnione, jak to dowodnie wykazał dr K. Dobrowolski w pracy p. t. «Studia nad nazwami miejscowymi Karpat polskich» (Kraków 1930, Sprawozd. z czynn. i pos. P. A. U. nr. 8). Dowiadujemy się z niej, że nazwy Beskid, Kiczora, Kotelnica, Przysłop a także Trubacz i Turbacz «występują zarówno w Karpatach etnograficznie ruskich jak też na półwyspie Bałkańskim. Tworzą one szlak ciągnący się środkiem Karpat przez Rumunię i na Balkan aż do podnóża Pindusu i Olimpu».

Jak wiadomo z prac tego samego badacza oraz innych uczonych, w przytoczonych wyżej nazwach miejscowych mamy ślady pobytu koczowniczych pasterzy wołoskich, którzy od XIV w. nawiedzali nasze góry i często się na stałe osiedlali. Obecność ich w Gorcach nie ulega żadnej wątpliwości. Świadczą o tym nie tylko wyżej wymienione nazwy topograficzne, których szereg dałby się znacznie powiększyć, lecz nadto nazwiska rodowe pochodzenia rumuńsko-balkańskiego częste wśród ludu podgorczańskiego, jak np.: Lupa, Luberda, Sater, Sutor, Butor, Kuczaj, Rakoczy, Farganus, Paks, Ogiela i inne. Ci więc przybysze nadali także najwyższemu szczytowi w Gorcach nazwę. Wśród ludu przyjęła się forma *Trubacz*, być może pod wpływem elementu ruskiego, który obok *Wołochów* bywał silnie reprezentowany, a zaś forma *Turbacz* zapisana w dokumentach pozostała nazwą oficjalną, nazwą aktów i map.¹⁾ — W tej postaci występuje w tzw. metryce józefińskiej czyli księdze pomiarów gruntowych z 1787 r. w związku z ustaleniem granic obszaru dworskiego wielko-porębskiego. Czytamy tam:

«Zszedłszy się starszyzna gromadzka wielko-porębska uchwaliła opisanie granic zacząć od punktu znakomitego, gdzie siedmiorakie łączą się granice, a mianowicie trzy z sobą stykające się, to jest: kamienicka, kameralna nowotarska a w szrodku pomiędzy tymi wielko-porębska. Między lasami na górze Kluczki zwanej za *Turbaczem*, górą wielko-porębską, są trzy kopce blisko odległe w równej linii: kamienicki, porębski i nowotarski...»

Od szczytu góry otrzymał także nazwę las okrywający jej północne stoki, o którym ten sam dokument podaje następującą wiadomość: «Wald *Turbacz*, grösster Teil Tannen mit Buchen gemischt, auf den äussersten Anhöhen von etwas sparsamem Wuchs... durch Windbrüche ruiniert, mittelmässig konserviert, 100 jährig und schlagbar».²⁾

W związku z tym nie od rzeczy będzie jeszcze nadmienić, że na *Turbaczu* rozposcierała się jedna z najładniejszych polan o powierzchni 36 morgów i 1000 sążni kwadratowych, wydająca rocznie 146 cetnarów siana.³⁾ Użytkowali ją chłopcy z *Podobina* z osiedla *Potaczków* i pozostali w jej posiadaniu także po uwłaszczeniu i po regulacji serwitutów prawie do ostatnich lat przedwojennych.

Tym sposobem nazwa *Turbacz* dla najwyższego szczytu w Gorcach, 1311 m liczącego, jest ponad wszelką wątpliwość przez stary, autentyczny dokument poświadczona. Skądże atoli wzięła się druga nazwa, która widnieje na mapach przedwojennych a nawet niewiele młodszych od metryki józefińskiej, mianowicie nazwa *Niedźwiedź*? Ta nazwa wzięła początek z błędu kartograficznego na pierwszej mapie Galicji.⁴⁾ Mapa ta, sporządzona przez autorów nie znających języka polskiego, zawierała mnóstwo błędów i przekręceń w nazwach miejscowości szczególnie na Podhalu, gdzie poszczególne osiedla miały osobne nazwy, a które autorzy brali często za nazwy całości. Co więcej, wymiary odległości nie zgadzały się ze stanem rzeczywistym, co wszystko razem dawało powód do głośnych narzeków szczególnie urzędowi cyrkularnym.⁵⁾ Skutkiem niedokładnej znajomości terenu w omawianej tu okolicy, twórcy pierwszego zdjęcia umieścili wioskę *Niedźwiedź*, odległą od *Turbacza* o 9 km na północ, na szczycie 1311 m, a miejsce, gdzie powinien znajdować się *Niedźwiedź*, pozostawili naturalnie jako nie zajęte przez żadną

¹⁾ Zaznaczam, że formy *Turbacz* nie słyszałem nigdy w żywej mowie ludu podgorczańskiego. Gdy ja pierwszy raz napotkałem w pismach W. Orkana, posadziłem poetę o dziwaczne a niepotrzebne przekręcenie pięknie brzmiącej nazwy ludowej. Dałem też wyraz temu zdziwieniu i ubolewaniu w broszurce p. t. «Wspomnienie o W. Orkanie», Sanok 1930. Teraz po zapoznaniu się ze źródłami cofam, co tam napisałem.

²⁾ Metryka józefińska, Archiwum państw. we Lwowie.

³⁾ Metryka tzw. franciszkańska z 1820 r. Ibidem.

⁴⁾ Regna Galiciae et Lodomeriae Josephi II et M. Theresiae Aug. iussu methodo astronomico-trigonometrica, nec non Bukovinae geometricae dimensa curante Josepho Liesganig, elaboravit et descripsit Joann. Liechtenstern 1790.

W. Tokarz, Galicja w pierwszych latach ery józefińskiej, str. 119. Kraków 1909.



Wieś Niedźwiedź

Fot. S. Flizak

osadę. Zeby zaś nikt nie miał wątpliwości, że Niedźwiedź oznacza wieś a nie górę, umieścili obok napisu znak ⚔ kółko z krzyżykiem, które, jak mówią objaśnienia do znaków użytych na mapie, oznacza wieś z kościołem. Istotnie w Niedźwiedziu jest kościół parafialny. Kościołami obdarzyli wszystkie sąsiednie wioski, jak Porębę Wielką, Koninę, Lubomierz i Mszanę Górną (według tradycji istniała w tej wsi jakaś większa kaplica, którą powódź w 1813 r. zabrała), a natomiast przy Mszanie Dolnej, która ma kościół od czasów Kazimierza Wielkiego, tego znaku nie widzimy. Z mapy Liesganiga przeszedł szczyt 1311 m ochrzczony Niedźwiedziem do wszystkich map późniejszych, nawet sztabowych austriackich i mimo ich stopniowego udoskonalania¹⁾ utrzymał się i został ze swą błędną nazwą przejęty przez polską kartografię.

Z mętnego źródła kart sztabowych pochodzą również błędne informacje w «Słowniku Geograficznym» Chlebowskiego, przynajmniej co się tyczy Gorców. Autor artykułu o Gorcach Br. Gustawicz, choć Gorce dobrze znał i był nawet niezłym etnografem, nie odważył się wprowadzić do swego opisu ludowych nazw topograficznych, lecz pedantycznie trzymał się niemieckiej mapy Kummersberga. Mapy wydawane przez Wojskowy Instytut Geograficzny w Warszawie są nareszcie wolne od fałszów i przekręceń. Mimo to stary błąd odnośnie do Turbacza zdarza się jeszcze sporadycznie w pracach naukowych nawet poważnych autorów. Tak np. prof. Józef Rafacz w książce p. t. «Dzieje i ustrój Podhala nowotarskiego», Warszawa 1935, przeprowadza północną granicę dzierzawy nowotarskiej przez górę Niedźwiedź. Niedźwiedź jest nazwą wioski w dolinie nad rzeczką Porębą leżącej; góry Niedźwiedź nie było nigdy.

Sebastian Flizak

¹⁾ Königreich Galizien und Lodomerien herausgegeben im Jahr: 1790 von Liesganig, vermehrt und verbessert von dem k. k. Oest.-Generalquartiermeisterstabe im J. 1827.

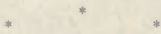
Nowe przyczynki do dziejów poezji tatrzańskiej

«J. A. Haura wierszydła o górach». Tak zatytułował w «Ziemi» (1938, nr 4, str. 78—79), ciekawe odkrycie Roman Pollak. Oto Jakub Kazimierz Haur, znany szeroko w XVII w. autor «Ekonomiki ziemiańskiej» grzeszył — jak się wyraża z humorem odkrywca — rwaniem się do rymotwórstwa i pozostawił rękopis «Merkuriusz polski z dobrymi nowinami, wierszem opisany». W tym niezbadanym dotąd manuskrypcie znalazły się trzy wierszydła związane z Tatrami i Czorsztynem. Pollak przypuszcza słusznie, że Haur pracując przez trzydzieści lat w ekonomii wielickiej, bocheńskiej i samborskiej stykał się z Podkarpaciem i chyba choć z daleka oglądał Tatry. Musiał się nasłuchiwać o górach, o kruszczach i niedostępnych skarbach i na podstawie tych opowieści wytworzył sobie pogląd na Tatry, pogląd znamieny i wówczas szeroko rozpowszechniony. Dodajmy: nie tylko wówczas. Bo jeszcze przecież u ks. Ładowskiego panuje głęboka wiara w tatrzańskie skarby, jeszcze w początkach XIX w., gdy w Beskidach i w Tatrach rozwijają się liczne kopalnie rudy żelaznej i zakłady hutnicze, kołacze się przecież nadzieja dotarcia do złota i srebra.

Jakkolwiek rymowane utwory Haura wołają o pomstę do nieba przez haniebną wersyfikację, częstochowskie rymy, niezdarność i niezrozumiałość, to jednak w treści są wcale ciekawe i odkrywca dobrze zrobił przytaczając je w całości. Tym więcej, iż są to dotąd pierwsze w ogóle rymowane utwory polskie, całkowicie osnute na motywie gór.

Treścią pierwszego i drugiego wiersza są Tatry, «srogie», wyniosłe i niedostępne, kryjące w sobie kruszce, metale i skarby, tak samo jak i Babia Góra. Niestety, skarby te marnują się dotąd, a należałoby je wydobywać z pożytkiem dla społeczeństwa.

Trzeci wiersz jest o Koscie Napierskim, «buntowniku w górach za Krakowem», o jego ruchawce wśród «góralów molojców» i straceniu wraz z góralskimi towarzyszami.



Przy sposobności informacji o odkryciu wierszy z XVII w. podaję na razie pobieżną poprawkę do dziejów poezji tatrzańskiej w XIX w., mianowicie do rozprawy Jana Gwałberta Pawlikowskiego («Z dziejów poezji tatrzańskiej. Prehistoria» w «Wierchach» 1934, XII, str. 1—33).

Sporo uwagi i miejsca poświęcił Pawlikowski Stanisławowi Jaszowskiemu i jego poematowi «Karpaty» z 1821 r. Autor słusznie stwierdził, że Jaszowski nie opisywał samych Tatr i okolicy; przypuścił natomiast, że tematem są prawdopodobnie okolice Czorsztyna i Pieniny.

Otóż Jaszowskiego należy całkiem usunąć z dziejów poezji tatrzańskiej. Nie ma on nic wspólnego nawet z Pieninami. Ten lwowski poeta nie dotarł dalej niż do Krosna i okolicznych gór, stamtąd czerpał natchnienie, a uzupełniał je «z Staszycem w rękę», którego już w młodości z zapalem czytywał. Tym się też tłumaczy, iż Jaszowski pomieszał Karpaty z Górami Świętokrzyskimi, bo o nich Staszic w tym samym «Ziemiorodztwie» również nie mało pisze. Poeta uznał je widać za część Karpat i tą drogą do karpackiego poematu dostała się wzmianka o Rusinowskiej, która zbójowała na przełomie XV i XVI w. w Górach Świętokrzyskich, a o której, interesując się dziełami historycznymi, wyczytał w kronice Marcina Bielskiego pod 1505 r.: «Na tymże sejmie niektórą ślachtę o rozbój potracono, Osuchowskiego i Mysowskiego ścięto, a Rusinowską w skórniach, z ostrogami, z mieczem, w ubiorze męskim, jako ją poimano, obwieszono». Motywy Jaszowskiego zużytkował A. Ładnowski w piecioletowym dramacie historycznym «Barbara Rusinowska czyli zbójcy gór świętokrzyskich», granym po raz pierwszy 10 kwietnia

1853 r. w Krakowie (drukowanym w Bochni 1862). Jak zaś wiadomo, iż Jaszowski jest ojcem motywu o Rusinowskiej w poezji, dowód w tym, że Estreicher w dziejach teatrów w Polsce podał Jaszowskiego jako autora dramatu (t. II, str. 437), czego oczywiście już nie powtórzył później w Bibliografii.

Dodać jeszcze trzeba, że Jaszowski pomieszawszy Karpaty z Górami Świętokrzyskimi ani razu w poemacie nie wspomniał o Tatrach, tak jakby zdawał sobie sprawę z ich odrębności. W kilku jego innych utworach są natomiast wzmianki o Tatrach, oczywiście całkiem mu nieznanymi. Wzmianki te są tego rodzaju, że znowu mamy wrażenie, iż poeta odróżnia je od Karpat.

Mógłby ktoś dowodzić, że Jaszowski przynajmniej z dala widział Tatry, skoro wśród jego artykułów w lwowskich pismach jest krótki opis myślenickiego powiatu. To jednak nie dowód. Jest to wyciąg z obszerniejszego artykułu, może z materiałów Siarczyńskiego, jawnie napisany przy redaktorskim biurku bez znajomości terenu. Nie należy zapominać, iż Jaszowski w czasopismach zwracał się do czytelników, aby mu nadsyłało opisy miast, okolic, osobliwości historycznych i t. d., ponieważ zamierza wydać przewodnik po kraju. Może ten artykuł o myślenickim «obwodzie» opiera się właśnie na dostarczonych usłudze materiałach, o ile nie jest streszczeniem poprzednio drukowanych opisów.

Wreszcie mała rehabilitacja należy się Reklewskiemu, na którego «tatrzańskie» poematy zwrócił już uwagę Maurycy Mann («Wincenty Pol», t. I, str. 130—131), podkreślając wprowadzenie górali zamiast konwencjonalnych pasterzy do sielanek. Co prawda, trudno się zgodzić, jakoby tych przedstawicieli ludu Reklewski «wcale trafnie» przedstawił. Słuszność ma Pawlikowski, iż mamy tu do czynienia ze zniekształceniem w duchu sielanek sentymentalnych. Skoro jednak Pawlikowski pokpiwa sobie z ówczesnych wyobrażeń o Tatrach i góralach, odzwierciedlających się u Reklewskiego w kozłach zabijających się w upadku z lesistych zboczy, w opisie wspinaczki przy pomocy zaczepiania się toporkiem o pnie drzew, w wodzie pachnącej fiołkami, to jednak tę fiołkową wodę musimy mniej kpiąco potraktować. Przypomnijmy sobie, że nie mało opisów podróży w Tatry i to nie tylko w pierwszej połowie XIX w. jako wielką osobliwość przytacza zapach fiołków w tatrzańskich dolinach nad potokami. To pachną kamienie pokryte ciemnofioletowym lub czerwonym nalotem. Intrygują one niemal każdego podróżnika, który je chętnie zabiera z sobą jako pamiątkę z Tatr. Przyrodnik Zawadzki w «Galicji w obrazach» (ok. 1840) poświęca im również kilka słów i nazywa kolorowy porost bisiosem «fijałkowym» czyli *Byssus iolithus* Lin. *Dematium petraeum* Pers. Te kamienie w górskich stronach zwykle nazywają się «fijałkowymi». A że jeszcze Walery Eliazs o nich nadmieni jako o osobliwości, to Reklewskiego woda pachnąca fiołkami traci swój posmak humorystyczny dla dziejopisa.

Juliusz Zborowski

Rudolf Alt i jego obrazy z Podkarpacia i Podhala

W nrze 8 z 1937 r. i nrze 4 z 1938 r. czasopisma «Arkady» przypomniała St. M. Sawicka wybitnego wiedeńskiego malarza, Rudolfa Alta (1812—1905) i jego akwarele wykonane w Małopolsce. Oba artykuły są wartościowym uzupełnieniem monografii poświęconej Altowi przez L. Hevesi'ego. Nas w «Wierchach» interesuje przede wszystkim

druga rozprawa p. t. «Widoki Małopolski w akwarelach Rudolfa Alta», ponieważ autorka omawia w niej twórczość artysty związaną z Podkarpaciem.

Dodamy tu kilka nowych szczegółów.

Pierwszą podróż do b. Galicji odbył Alt w 1839 r. Jak według dat obrazów i na podstawie korespondencji ustaliła Sawicka, było to w sierpniu i we wrześniu. Pejzażysta zainteresował nie tylko Kraków i jego okolice, ale i malowniczo położone mniejsze miasteczka podkarpackie. Autorka przytacza powstałe podczas tej podróży akwarele, znajdujące się w prywatnych zbiorach wiedeńskich i szwajcarskich, więc widok Krakowa i Tyńca, a z Podkarpacia widok Wadowic, Nowego Sącza i Krosna, ten ostatni z typami ludowymi w strojach regionalnych na pierwszym planie. Na podstawie korespondencji Alta stwierdza dalej Sawicka jego pobyt w Dukli i w Jaśle, zaś według daty jednego portretu i w Jordanowie. Poza tym cytuję z Hevesi'ego, iż w 1839 r. artysta wykonał wiele studiów w czasie wędrowki po Galicji i że «galicyjskie» zeszyty wydawnictwa «Das pittoreske Oesterreich» są nimi wypełnione.

Lotó w tym wydawnictwie ukazującym się seriami w Wiedniu nakładem H. L. Müllera publikowano liczne barwne litografie z widoków Alta. Litografie wykonywali Józef Zahradniczek senior i junior, oraz R. Lang, a odbijał je zakład chromolitograficzny Alojzego Leykuma. Z tego cyklu Sawicka zna sześć widoków Małopolski ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie, a to Krosno, Duklę, Nowy Sącz, Stary Sącz, Nowy Targ i Jasło.

Uzupełniając ten wykaz na podstawie zbiorów Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem, wymieniam inne prace Alta odnoszące się do ówczesnych okręgów administracyjnych: sądeckiego i wadowickiego. Do sądeckiego należało wtedy i Podhale.

W 1842 r. ukazał się 21 zeszyt zbiorowego dzieła «Das pittoreske Oesterreich», mianowicie «Der Sandecer Kreis». Tekst napisał Józef von Mehoffer, okręgowy komisarz. Na okładce figuruje zgodnie z rzeczywistością jako autor pięciu chromolitografii i oryginalnych rysunków Rudolf Alt, natomiast na stronie tytułowej wydrukowano: «wedle oryginalnych rysunków Jakuba i Rudolfa Altów». To oczywista myłka, bo w tym zeszycie tylko Rudolfa podpis znajduje się pod rycinami. Jakub Alt, ojciec Rudolfa, również malarz, ilustrował inne zeszyty, np. spiski i cieszyński.

Do tych pięciu barwnych litografii należą wspomniane przez Sawicką widoki Nowego i Starego Sącza, oraz Nowego Targu, a ponadto nieznanne jej dwie tablice. Jedna składa się z czterech widoków; są tam zamek w Czorszynie, zamek w Nowym Sączu, mineralne źródła w Szczawnicy i kaplica św. Kingi w Starym Sączu. Na drugiej dał Alt pokaz strojów ludowych: jest juhas z Karpat (ponad wątpliwość z Tatr), dziewczyna z Dzianisza, mieszczanin i mieszczka z Nowego Targu, oraz wieśniacy spod Sącza.

W 1843 r. wyszedł dalszy zeszyt «galicyjski», mianowicie «Der Wadowicer Kreis», również z tekstem Mehoffera. I tu znajduje się pięć barwnych litografii «wedle oryginalnych rysunków Rudolfa Alta». Są to: Kalwaria, Wadowice, Tyniec, dalej na jednej tablicy Lanckorona, kościół w Stryszowie, Sucha i Zator, a na drugiej górale i Lachy z Wadowickiego.

Widok Starego Sącza ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego reprodukował «Kalendarz Ilustr. Kuryera Codziennego» na r. 1938 (str. 39), a widok Wadowic to samo wydawnictwo na rok 1939. Ryciny przedstawiające stroje z Podhala zamieścił z własnego egzemplarza w kolorowych reprodukcjach Stanisław Eliaż Radzikowski w rozprawie «Zakopane przed stu laty» («Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego» 1901, XXII i odb.), z dodatkiem własnym, t. j. z podobiznami herbów województwa krakowskiego i ziemi sądeckiej. Nie obeszło się przy tym bez polemiki, wywołanej przeinaczeniem faktów

i naciąganiem ich do urojonych teoryj, zresztą w szczegółach całkiem podrzędnego znaczenia, objawów typowych dla Radzikowskiego w początkach jego chorobliwego stanu.

Chociaż Alt wyraźnie zaopatrzył rycinę w napisy «Juhász (Schafhirt) aus den Karpathen» i «Mädchen aus dem Dorfe Dzianisz», Radzikowskiego poniosła fantazja i reprodukcję w swojej rozprawie zatytułował «Juhás i dziewczka z Witowa».

Bez wątpienia ten juhás Alta jest juhászem typowo tatrzańskim i na pewno tak samo ubrany bywał w Witowie; napewno strój dziewczyny dzianiskiej niczym się wówczas nie różnił od odzienia witowskiej. Ale pomimo to dowolne zmienianie tytułów ryciny Alta w poważnym, naukowym dziele było niepoważną lekkomyślnością.

Wytknął ją Radzikowskiemu w recenzji Henryk Ułaszyn («Lud» 1902, VIII, 323) zarzucając ponadto przemilczenie, skąd rycina pochodzi i w jakim powstała czasie, a tym samym wprowadzanie w błąd czytelnika, iż ilustracja przedstawia stroje sprzed stu lat. W odpowiedzi odparł Radzikowski z powodzeniem zarzut zatajania autora ryciny i źródła jej pochodzenia; również przekonywująco udowodnił, że stroje ludowe na Podhalu przedstawione przez malarza w pierwszej połowie XIX w., napewno były tradycyjnym ubiorem z XVIII w. («Lud» 1905, XI, str. 439—440). Ułaszyn w polemice cofnął te dwa wytyki i przeprosił Radzikowskiego, za to tym energiczniej zaprotestował przeciw zmianie tytułów na rycinie i zastępowaniu Dzianisza Witowem («Lud» 1906, XII, 195—196).

Radzikowskiego wówczas znowu poniosło. Dał odpowiedź jeszcze raz («Lud» 1906, XII, 345—346), ale ta obrona nie robi dobrego wrażenia. Autor «Zakopanego sprzed stu laty» operuje w niej nieudowodnionymi argumentami jakby *ad hoc* zmyślonymi. Uważa, że był uprawniony do zmiany Dzianisza na Witów, ponieważ wie, kogo z Witowa i w jakich okolicznościach Alt malował, — wie, że przedstawiona na litografii mieszcza nowotarska pochodziła ze wsi Zaskala, — wreszcie, że Alta sprowadził do Tatr¹⁾ autor dziełka «Der Sandecer Kreis», Mehoffer. Nazwisk portretowanych przez Wiedeńczyka Witowian i Zaskalanek Radzikowski nie podał, co nadało jego polemice również piętno głośności.

Czy istotnie Mehoffer skierował Alta ku Tatom?

Józef Mehoffer, redaktor «Mnemosyne» i «Galicia», niemieckich czasopism wydawanych we Lwowie, dostawca artykułów o austriackim zaborze dla wiedeńskiej prasy, uchodził w Wiedniu za wybitnego znawcę Galicji. Tekst o Sądecyźnie, Podhalu i Wadowickim miał napisać dla tej samej wydawniczej firmy, która użytkowała dzieła Alta jako ilustracje do licznych zeszytów o austriackiej monarchii. Mógł zatem albo Altowi bezpośrednio albo za pośrednictwem wydawcy poddać plan podróży do najciekawszych miejscowości Podkarpacia. A że Podhale i Tatry były już wówczas powszechnie znane z prasy i książek jako «osobliwość Galicji», trudno sobie wyobrazić, aby podsunięte itinerarium mogło te okolice pominąć.

Napewno tak rozumował Radzikowski. Tymczasem mamy dowód, iż plan podróży Alta kto inny obmyślał.

Zresztą Radzikowski nie zwrócił uwagi na tekst Mehoffera, bo nie uważałby autora za takiego znawcę Tatr, jakby to wynikało z polemiki w «Ludzie». O ile opisowi Podhala w redakcji Mehoffera można przyznać samodzielność, o tyle opis Morskiego Oka i innych okolic tatrzańskich jest kompilacją opartą na «Galicji w obrazach», wydanej przez Pillera we Lwowie. Stąd pochodzi, iż Mehoffer powtarza przestarzałe i w 1842 r. niezgodne już z rzeczywistością szczegóły.

¹⁾ Nie wiemy, czy Alt był w samych Tatrach, nie wiadomo dotąd o jego tatrzańskich widokach. To, co pozostawił z tej wędrowki, odnosi się do Nowego Targu i jednej wsi na Podhalu tj. Dzianisza.



Sawicka omówiła artystyczną wartość widoków Alta podkreślając przy tym i dokumentarne znaczenie niektórych akwrel. Zdaje się, że także widoki Nowego Targu, Czorsztyna i fragment szczawnicki należą do kategorii dokumentów i dość zgodnie z rzeczywistością przedstawiają ówczesny stan zabudowania miasta²⁾, ruin zamkowych i źródeł mineralnych. Może i innym litografiom znawcy Sądeczyny i Wadowickiego przyznają te same zalety.

Jak się jednak przedstawia etnograficzna wartość typów i strojów malowanych przez Alta?

O ile idzie o Nowotarszczyznę i Podhale, to Alt jest w zupełnej zgodzie z opisaniami podróżników do połowy XIX w., z tradycją i okazami dawnych ubiorów w Muzeum Tatrzańskim. Jego rysunki są cennym przyczynkiem ikonograficznym i mają znaczenie rzetelnego dokumentu.

Warto jednak przytoczyć polemikę, jaka się niegdyś toczyła na temat właśnie etnograficznej wartości dzieł wiedeńskiego akwarelisty.

W korespondencji z Wiednia o tamtejszej wystawie obrazów w 1843 r. skrytykował ostro F. X. Jaworski typy ludowe («Kostiumy») wykonane w litografiach przez Zahradniczka; w grupie «Aus Galizien» trzeba się np. aż domyślać, iż mają to być stroje spod Krakowa; Zahradniczek na pewno nigdy nie był pod Krakowem («Dziennik mód paryskich», Lwów, 1843, nr 16, str. 126).

Zareplikował Adam Gorczyński, popularny ongiś pisarz znany pod pseudonimem «Jadama z Zatora», sam malarz i rysownik, autor widoków z Tatr, Pienin i Podkarpacia (ib. 1843, nr 22, str. 175). Przede wszystkim prostuje on nieściśności Jaworskiego. Nie Zahradniczek, lecz Rudolf Alt, jeden z pierwszych akwarelistów wiedeńskich jest autorem litografii; Zahradniczek rytował jedynie rysunki Alta na kamieniu jako ilustracje dzieła p. t. «Pittoreske Oesterreich» wydawanego przez Müllera. Były tam podobizny mieszczan Nowego Targu, Grybowa i Jasła, górali i karpackich pasterzy tzw. juhasów, wreszcie parobków i dziewczek z okolic Kalwarii i Jasła.

Pisze dalej obrońca Alta, że artysta przed kilku laty wybrał się w podróż po Galicji. Jako dobry znajomy wstąpił do Gorczyńskiego, a ten dał mu wskazówki i pomoc w podróży po nieznanym mu kraju. Gorczyński oglądał wszystkie rysunki Alta i okolic i ludu; stwierdza wielką artystyczną wartość krajobrazowych widoków, a tak samo wierność w oddaniu kostiumów ludowych. Co więcej, Alt starał się oddać typy twarzowe, tak np. w rysunku mieszczanina grybowskiego wyraz twarzy i całą postawę. Przy sposobności tej polemiki zachęca Gorczyński, aby artyści zainteresowali się strojami ludowymi wobec wielkiej ich różnorodności.

Mamy zatem autorytatywne zdanie dobrego znawcy. Opinia Gorczyńskiego, który przed Altem wędrował po Małopolsce, zwiedzał Tatry, Podhale, Pieniny i Podkarpacie³⁾

¹⁾ Na pewno niektóre niedociągnięcia i dowolności spowodował nie sam Alt, lecz litografujący jego akwarele Zahradniczek. Tak np. widok Nowego Targu wywołuje wrażenie, iż miasteczko to składało się niemal wyłącznie z murowanych domów i to nawet niektórych wcale okazałych.

²⁾ Z podróży podkarpackiej dostarczył Gorczyński sporo widoków Pillerowi we Lwowie do wydawnictwa «Galicja w obrazach». Są to krajobrazy Rymanowa, Dukli, Nowego Targu, Odrzykonja, Pienin, Krynicy, Dobromiła, Dąbrowy w powiecie tarnowskim, Kalwarii, Czchowa, drogi do Morskiego Oka, Morskiego Oka, Biecza i Kobylanki w pow. jasielskim. Wartość tych rysunków jest różna: jedne mogą uchodzić za dokumenty, np. widoki miast, inne, jak np. Morskie Oko, są fantastyczną mieszaniną wyobraźni autora z rzeczywistością. Ta maniera, tak typowa dla dawnych tatrzańskich widoków, przetrwała w swych resztkach jeszcze w dziewięćdziesiątą lat ubiegłego wieku, np. u Walerego Eliasza. Co do Gorczyńskiego, to nie wiadomo ile zniekształceń trzeba przypisać samemu autorowi, a ile ryownikowi, który wykonywał jego widoki w litografiach.

Współcześni recenzenci, najmniej przeważnie powołani do wydawania sądu, przyjmowali życzliwie ilustracje «Galicji w obrazach», zarówno pochodzące od Gorczyńskiego, jak i od Auera, Langa itd. Natomiast Rau-

coś znaczy. A jednocześnie jego artykuł poważnie pomniejsza rolę Mehoffera w małopolskiej twórczości Alta, o ile jej w ogóle całkiem nie eliminuje.

Z malarskiej rodziny Altów nie tylko Rudolf zwiedzał podtatrzańskie okolice. Pod Tatrami z południowej strony malował jego ojciec, Jakub. Jest on autorem pięciu barwnych litografii ilustrujących jeden z wcześniejszych zeszytów wydawnictwa «Das pittoreske Oesterreich», mianowicie zeszyt spiski, wydany w 1840 r. z tekstem Dawida Kuntza («Das Zipser Komitat im Königreiche Ungarn»). Tytuły tych rycin są następujące: «Leutschau», «Keszmark», «Mind-Szent»; na czwartej tablicy są cztery mniejsze rysunki pod zbiorowym napisem «Zipszer Gespanschaft», a to: «Schloss Zipsz», «Schloss Nedicz», «Schloss Lublau» i «Bad Schmekes mit der Lomnitzer Spitze»; ostatnia wreszcie litografia przedstawia «Trachten der Landleute». Także Rudolf Alt był na Spiszu. Heveš (str. 98) podaje, iż jego dziełem jest piękna panorama Tatr ze Smokowcem na pierwszym planie.

Podobnie jak Rudolf, tak i Jakub Alt nie dał widoków z głębi Tatr. U obu to pasmo górskie, to poszczególne szczyty występują tylko łącznie z widokiem miejscowości na najdalszym planie pejzażowej kompozycji. U Rudolfa łańcuch tatrzański wznosi się nad nowotarską doliną, występuje na portrecie malowanym w Wysowej pod Jordanowem i w widoku Smokowca — u Jakuba grupa skalistych turni jest tłem Kieżmarku, a Łomnica panuje nad Smokowcem. Malownicze stawy, dzikie doliny i groźne szczyty położone w sercu Tatr nie stały się tematem obu Wiedeńczyków. Może zresztą je malowali, tylko o wyborze materiału ilustracyjnego decydowała wydawnicza firma, której jakby zależało wyłącznie na widokach miejscowości i strojach ludowych.

Juliusz Zborowski

Odkrycie nowego rękopisu Stęczyńskiego

Wiosną 1938 roku p. Maria Domańska wśród starych rupieci na strychu w domu przy ul. Szczepańskiej 9 w Krakowie odkryła gruby oprawny tom o wymiarach 31 × 24 cm, zawierający na 299 stronicach tekst rękopiśmienny nieznanego dotąd naszej bibliografii pamiętnika Stęczyńskiego, do którego dołączony był «Skorowidz rzeczy». Tytuł brzmi: «Wspomnienia malowniczo-historycznych przechadzek po Tatrach, Spizu, Orawie, Węgrzech, Serbii, Siedmiogrodzie, Sławonii, Multanach, Banacie, Kroacji, Dalmacji i Krainie, odbytych w r. 1845, z notat swoich opowiedział Bogusz Zygmunt Stęczyński, b. bibliotekarz ś. p. Miecz. hr. Dzieduszyckiego, autor Okolic Galicji, Tatrów i w. i. (z 96 rysunkami różnych autorów)». Autor¹⁾ pisał swe «Wspomnienia» latami, część dopisków pochodzi z lat po 1879 r., ręką starczą, trzęsącą skreślona (np. o pierwszych latach działalności Towarzystwa Tatrzańskiego, o wmurowaniu tablicy ku czci Kraszewskiego w dol. Kościeliskiej itp.). Całość pisana językiem niewyrobnym,

tenstrauchowa, autorka bardzo charakterystyczna dla swej epoki, o dużej kulturze i wyrobieniu artystycznym, odnosi się z lekceważeniem do tych rycin («Miasta, góry i doliny», Poznań 1844, I, str. 166). W szczególności jej krytyka trafia właśnie w Gorczyńskiego widok Morskiego Oka. Istotnie wielkim artystą Gorczyński nie był. Ale to nie umniejsza jego krajoznawczego autorytetu w ocenie etnograficznej wartości akwarel Alta.

¹⁾ Bogusz Zygmunt Stęczyński, ur. w 1814 r. w Hermanowicach w pow. przemyskim, rysownik, rymopis i archiwariusz, wydał: «Okolice Galicji» (1847), «Feronija z podróży po Spizu, Węgrzech, Sławonii itd.», «Ziewonija czyli pieśni i dumania o dawnych zamkach, rozwalinach, klasztorach, świątyniach, kaplicach, pałacach, ogrodach, górach, lasach, skałach, źródłach, wodospadach, z dodatkiem o Doboszu, Janosiku, Podgórskim Vetrarze i Waligórskim, wielkich bandytach polskich, pisane w podróży po Galicji od r. 1833 do 1856», a przede wszystkim «Tatry w dwudziestu czterech obrazach, skreślone piórem i ryłcem» (Kraków 1860), dzieło opisowo-geograficzne naśladujące «Zofiówkę» Trembeckiego, cenny dokument znajomości Tatr i góralszczyzny w połowie XIX wieku. *Przyp. red.*

opisy nieraz bardzo interesujące, poezje autora wplecione w tekst — znacznie słabsze. Na początku B. Z. Stęczyński stwierdza gust Polaków do podróży po obcych i malowniczych krajach, zaznaczając, że leżący najbliżej nas łańcuch Karpat oraz łączący się z nim od południa Bałkan — dają dostateczną ilość wrażeń związanych z pięknem krajobrazów i bogactwem przyrody. W dalszym ciągu autor skarży się, że jego opisy Karpat wzbudzały większe zainteresowanie w redakcjach czasopism zagranicznych, niż w krajowych. Karpaty Polskie, Słowację, Karpaty Siedmiogrodu uważa za kraj wymarzony dla artysty-malarza i rysownika, za skarbnicę tematów dla wędrowek artystycznych, dla poznania i pokochania pierwotnej natury górskiej, pisze o potrzebie i korzyściach dla człowieka, płynących z kultu i zrozumienia pierwotnej przyrody i z przebywania na jej łonie jako turysta; kończy stwierdzeniem konieczności poznania kraju i przyrody dla odpowiednio mocnego pokochania go. Spotykamy wreszcie w tych uwagach autora rysy podobne do zasad, głoszonych przez J. Ruskina oraz do też, na których opiera się nowoczesny ruch ochrony przyrody i swojszczyzny. W swej wędrowce opisuje malowniczo po kolei Nowy Sącz, Nawojową, Muszynę (z opisem ruin zamku), dolinę Popradu, Podoliniec (ciekawe notatki historyczne o mieście i zakładzie naukowym OO. Pijarów, podania o Janosiku), Szmeks (gdzie opisuje źródła mineralne czyli «Sławkowskie Szczawy», sezon klimatyczny, lasy okoliczne), wycieczkę swą na Sławkowski Szczyt (dotarł do «Królewskiego Nosa») wraz z uwagami o kosodrzewinie i granicie tatrzańskim. Z dalszych kart «Wspomnień» wynika, iż Stęczyński więcej i wielokrotnie po Tatrach chodził, przeważnie w towarzystwie przewodnika Józefa Bigosa (prawdopodobnie z Bukowiny, gdzie parokrotnie latem przebywał i skąd widoki Tatr rysował). Był nawet, jak na owe czasy, taternikiem w pełnym tego słowa znaczeniu. Popatrzmy bowiem, jak się przedstawiało dalsze jego itinerarium. Zwiedził dolinę Zimnej Wody z wodospadami, spał tam pod «Ogni-Kamieniem» (Feuerstein), obejrzał dolinę Pięciu Stawów Spiskich, dolinę Wielicką, gdzie opisuje Kwietnicę, Długi Staw, Polski Grat (= Polski Grzebień!). W dalszym ciągu odwiedził Stwołę, Mięguszwowce (opisuje interesująco lud słowacki pod Tatrami), dolinę Mięguszwowiecką, Jezioro Popradzkie, Hińczowe Stawy, Koprową Przełęcz. Autor używa rzadkich w naszej literaturze połowy XIX wieku wyrazów: źleń, turnia itp. Zanim powraca do ponownego opisu innej wędrowki tatrzańskiej, opowiada o swych wrażeniach krajoznawcy z wędrowek po Wielkiej Łomnicy, Huncowcach (podając, że nazwa tu pochodzić ma rzekomo od miejsca bitwy Hunnów z Rzymianami w r. 441!), Kieżmarku (którego dzieje i zabytki szerzej omawia), Drużbakach (opisując źródła mineralne i kąpiele), Lubowli i jej zamku, a następnie po Spiskim Pogodrodziu, Zamku Spiskim, Lewoczy, Nowej Wsi, Gelnicy i dalszych miejscowościach. Przy opisach Starej Wsi Spiskiej, Haligowiec, Gniazd, Smierdzonki (i okolicznych grot, zapewne w Aksamitce) wspomina o specjalnym sentymencie Polaków dla ziemi spiskiej. Zwiedził też Stęczyński Zdziar, Kotlinę, Jaskinie Bielskie, wieś Rakusy. Osobno wspomina o Jaworzynie, dolinie «Czarnego Jaworu» i o przejściach, jakie niewiele lat przed nim słynny uczonek szwedzki J. Wahlenberg miał z góralami spiskimi, gdy go w czasie poszukiwań naukowych posądzili o czarnoksięstwo. Przy opisie Morskiego Oka i Czarnego Stawu mówi nie tylko o krzyżu żelaznym biskupa Zieglera z 1823 r., lecz i o pomniku żelaznym ministra austriackiego Taaffego, wrzuconym przez Polaków w 1848 r. w fałę Morskiego Oka, następnie o już istniejącym wówczas zwyczaju podpisywania się turystów na kamieniach, o ówczesnym «schronisku». Opis Morskiego Oka własny dubluje wrażeniami, wyniesionymi stamtąd i spisany przez słynną Łucję z książąt Gedroyców generałową Rautenstrauchową. Dalsze opisy doliny Za Mnichem, Pięciu Stawów Polskich, wodospadu «Siklaw» (używane jako masculinum), o którym odwiedzeniu w 1817 roku przez Anglika Browna wspomina, następnie Tatr

Spiskich, przeplata wrażeniami z dziedziny łowiectwa (kozice), pasterstwa wysokogórskiego, szalaśnictwa, serowarstwa (pisze o czerpaku, oszczypcy). Ciekawe, że autor wędrówki swe odbywał przybrany całkowicie w strój góralski. W dalszych opisach, widocznie znacznie później «z notat» opracowanych, Stęczyński myli się i miesza: po Jaskółczej Górze, Białym Stawie, Siodle, Rakuskiej Czubie, widokach na Uplaz, Turnice, Kluczyk, Dudowe Kominy, Durl itd. coś się balamuci z «Zielonym Stawem» leżącym między Łomnicą a Krywanem. Pod Łomnicą i Krywanem (coś się autorowi pomieszał ten Krywań z Kiezmarским) odwiedził staw, skąd oglądał Widły. Opisuje, że był na Miedzianych Ławach, że był na Średnim Gracie (opis wyglądu na Niemiecką Drabinę?), opisuje też Czarne Jezioro (4822 stóp n. p. m.), Czerwone Jezioro (5340 stóp) złączone z legendą góralską o królu węzów, Staw Kołowy zwany Jeziorem Floka (Pflöksee, 4973 stóp), którym się szczególnie zachwyca, Kamienne Jezioro (5629 stóp), gdzie wspomina o świstakach na wysepce (?) i o szalasie pasterskim, Lejkowy Staw, Jezioro Kręte (5560 stóp) ze wznoszącą się nad nim górą Mnich (jezioro to miało zalać doliny spiskie w czasie trzęsienia ziemi w 1662 r.). Wreszcie Stęczyński twierdził, że był na Łomnickim szczycie i przełęczy. Wspomina jednak że Garluchowski Wierch (lub Wierch Kotła) jest najwyższym i pierwszym szczytem Tatr. Następują opisy «Liptowskich Alp» i w ogóle Tatr Zachodnich (doliny Kościeliskiej ze wszystkimi skałami i halami: Ornak, Smytnią, Tomanową, Pyszną, sztolniami itd.), potem Orawy i żupaństwa Turczańskiego; pisze o Zamkach Orawskich, Bibliotece Czaplowiczowskiej w Dolnym Kubinie, zabytkach Św. Marcina, Zniewu, Prawna, Trenczyna, Trnawy, Dewina, Bratysławy, którą zwie Brzetysławą (1845!), a potem o Komarnie, jaskiniach we wsi Paradla (niewątpliwie miało być Baradla) ze słynną naciekową grota Aktelek. O Słowakach, «środek narodowości między Czechami a Polakami trzymających», ich życiu i zajęciach, wysławia się autor z najżywszą sympatią.

Przy opisie naszych górali podaje Stęczyński szereg autentycznych poezyj ludowych, niektórych bodaj że po dziś niespisanych a od połowy ubiegłego stulecia wśród ludu zapomnianych; niektóre z nich nadzwyczaj interesujące porównawczo i bardzo dla Podhala charakterystyczne. Wśród poezyj autora samego wyróżnia się 28-strofowy poemat o Janosiku, bodaj że jeden z pierwszych literackich utworów polskich na temat z życia Janosika, kto wie, czy nie natchniony już istniejącymi na ten temat wówczas poematami autorów słowackich.

Osobno autor opisuje pogranicze wschodniej Słowacji i Polski: Preszów, Bardyjów, zdrojowisko Kąpiele Bardyowskie (dołączając stare zdjęcia fotograficzne uzdrowiska), Zborów (z rysunkiem zamku Makowicy). Następują specjalne ustępy, poświęcone Pieninom i okolicy, Czerwonemu Klasztorowi, Sromowcom, Niedzicy, Czorsztynowi, ruśniackim wsiom północnego Spisza: Haligowcom, Lipnikowi, Kamionce, następnie Szczawnicy (ze zdjęciami fotograficznymi Szczawnicy Wyżnej i Miodziusia); kończy zaś charakterystyką górali pienińskich. O dolinie Popradu wspomina z uczuciem, dając uwagi o Starym Sączu, Ryrtrze, Piwnicznej, Werchomli, Krynicy (i jej źródłach), osobno o Miliku, Jędrzejówce, Rzegiestowie (!), Muszynie; zainteresuje czytelnika wspomnienie autora o szczycie Jaworzyny Krynickiej i o jeździe łodziami przełosem Popradu.

Nie można tu pominąć paru znakomitych rysunków autora, zdobiących dzieło. Są wśród nich, po raz pierwszy odkryte, oryginały rycin znanych następnie z drukowanych dzieł Stęczyńskiego, są też rysunki dotąd całkiem nieznanne. Wyróżniają się pięknnością ryciny: «Górale Tatrowi—Juhasy» (rysunek dudziarzy!), «Janosik w kole swych ludzi», «Garluch — Król Tatrów» od północy (rysunek z ujścia Rówienek do Białej Wody, z 1845 r.).

Praca Stęczyńskiego powinna stać się przedmiotem szczegółowego badania i po-

równania z innymi jego dziełami (częściowo rękopiśmiennymi) oraz wiadomościami o życiu autora, celem stwierdzenia, gdzie i kiedy autor był właściwie w Tatrach, jakie szczyty odwiedził, co z wnętrza Tatr poznał. Znajomość Tatr była u Stęczyńskiego, jak widać z opisów, nie powierzchowna, lecz umocniona kilkakrotnymi nawrotami oraz prawdziwymi wyprawami taternickimi w głąb gór i krajoznawczymi oraz etnograficznymi po Podhalu, Spiszu, Orawie i Podkarpaciu.

Witold Mileski

Przyczynek do życiorysu Sabały i polowań na niedźwiedzie w Tatrach

Jest w Stanisława Witkiewicza książce «Z Tatr» (Lwów 1907, str. 55—65) «Opowiadanie Sabały», napisane w 1894 r., znane również z «Przeglądu Zakopiańskiego» (1899, nr 3). Treścią opowiadania są myśliwskie przygody Sabały z niedźwiedziami, przede wszystkim zaś wspomnienie o zbiorowym polowaniu na okazałą sztukę w okolicach doliny Kościelisk. Obławę urządzał Edward Homolacz, właściciel dóbr zakopiańskich.

Przeglądając roczniki krakowskiego «Czasu», znalazłem wzmianki o tej wyprawie. Nie są one bez wartości dla życiorysu Sabały, — przede wszystkim dla stwierdzenia, iż w swoich myśliwskich gawędach nie miał się z prawdą i że nie były czczą przechwałką jego opisy triumfów nad niedźwiedziami, z żartobliwą przesadą zawarte w słowach: «Coby te nieboscyki.... stanyny, cok ik wybił, toby hetki w Zokopanem i w Kościelisku sýćko pojadyli i ludzi sie pote hycyli» (Andrzej Stopka «Sabała», 1897, str. 15). Ponadto mają te kronikarskie notatki wartość dla dziejów tatrzańskiego myślistwa tym więcej, iż ustalają datę wielkiej obławy w szesnastu ludzi.

A więc było to 17 lutego 1859 r. Korespondencja z Nowego Targu w «Czasie» (nr 45 z 25 lutego 1859 w kronice), podpisana literami A. T.¹⁾ tak opisuje przebieg myśliwskiej wyprawy:

«Dnia 17 lutego b. r. ubito na polowaniu u młodego p. Edwarda Homolacza w lasach państwa Zakopańskiego (sic!) ogromnej wielkości niedźwiedzia; pojawienie się tego zwierza śród zimy, między zaśnieżonymi skałami północnych ścian Tatrów, należy do rzadkich wydarzeń. Podziwu godną także jest odwaga i zręczność naszych strzelców tatrzańskich, którzy zazwyczaj licho uzbrojeni puszczają się z zapalczywością w śmiertelne zapasy z tak srogim i silnym zwierzem. Ubito teraz niedźwiedź wartą kuli Radziwiłła «Panie kochanku» lub Michała Rejtana, miał bowiem 8 stóp długości i ważył po zupełnym wytrzewieniu 3 cetnary 18 funt. wied., można więc stąd powziąć wyobrażenie o jego ogromie, oraz jak nierówną była walka Jaśka Krzeptowskiego, górala z Kościelisk, który bez żadnej innej broni, oprócz strzelby jednorurki spotkał się sam na sam i pod swe nogi podesłał tak potężnego zwierza.

Na szczycie jednej z niższych skał sterczących z pomiędzy lasów przy Kościeliskach, obrał sobie w dzień polowania ów niedźwiedź legowisko i stamtąd zdawał się spoglądać na zbliżających się i okalających go strzelców. Po rozstawieniu się, puszczony

¹⁾ Czy nie Apolinary Tomkowicz, częsty bywalec u Homolaczów w Zakopanem? Jest on autorem artykułu «Biały Dunajec w Tatrach» w lwowskich «Rozmaitościach» (1835, nr 38, str. 301—302 z 19 września), przedrukowanego z niewielkim skrótem w «Kurjerze Warszawskim» p. t. «Wyjątek z tegorocznej podróży» (1835, nr 269, str. 1373—1374 z 9 października).

na trop pies góralski zagłosił i wyruszył niedźwiedzia, który ustępując powoli, zwrócił się prosto ku stanowisku p. E. Homolacza, lecz zimowy wicher tatrzański zrywając się co chwila z właściwą sobie gwałtownością zaniósł odwiatr strzelców do zwierza, bo ten nagle zmienił kierunek i ruch i w sążnistych susach wypadł na opodal stojącego Jaśka Krzeptowskiego. Spotkanie tak raptowne bynajmniej nie przeraziło wprawnego strzelca. Stał on nieruchomie przyparty do pnia smreka i z zimną krwią pozwolił sobie niedźwiedziowi minąć, aby o kroków dziesięć z swej pojedynki kulą grzbiet mu strzaskać i jednym skokiem umknąć na smreka. Raniony zwierz, rycząc, zwrócił się i począł szukać swego przeciwnika, lecz zgruchotana kość w grzbiecie odjęła mu siłę wdrapania się na drzewo. Omdlony czy ustępujący przed głosami pogońców, stoczył się w parów zarosły gąszczem młodych smereczyn i zniknął z oczów. Jasiek co rychło zsunął się z drzewa, nabił strzelbę i uprzedzając biegnących ku niemu strzelców, wpadł pogonią w gestwiny i wkrótce potem rozległ się drugi strzał, a kula lichej pojedynki powaliła śmiertelnie niedźwiedzia w chwili, gdy ten ostatki sił zbierał, by się rzucić na swego prześladowcę. Jest to dziewiąty niedźwiedź, co padł w Tatrach od ręki i pojedynki górala Jaśka Krzeptowskiego».

A tak się Sabala uskarżał Witkiewiczowi i Stopce na swoją lichą, staroświecką flintę i z taką zazdrością patrzył na nowoczesny sprzęt myśliwski w rękach panów z kuźnickiego dworu!

Autor korespondencji zestawia Sabalę z zawołanym strzelcem ukraińskim Walorkiem, który z Konstantym hr. Branickim polował na lwy «w Algerii» w 1858 r. i zabił ogromną lwicę, zaś w następnym roku potężnego lwa («Czas» 1859, nr 129 w kronice).

Myśliwskie trofeum Sabala przywiózł Homolacz «z Zakopany» do Krakowa, jak o tym donosi kronika «Czasu» (w nrze 42 z 22 lutego 1859 r.). Mogli nawet Krakowianie oglądać olbrzymia w mieszkaniu Homolaczów, przy ul. św. Jana, w domu hr. Wodzickich. W tej notatce jeszcze jeden nowy szczegół czytamy: «Stary ten zwierz musiał już być nieraz spotkać się z strzelcem, bo mu brakuje u jednej nogi dwóch palcy, zapewne ustrzelonych». Kto wie, może tym strzelcem, który przyprawił niedźwiedzia o stratę palców, był także Sabala, zapamiętały tropiciel «Onego».

Juliusz Zborowski



Z odzyskanych gór: Jaworowa Grań

Fot. F. Larisch

BADANIA NAUKOWE

Badania naukowe w Karpatach

Wschodnich w 1938 r. Tegoroczne zestawienie podaje wiadomości o możliwie wszystkich badaniach prowadzonych w terenie i o pracach naukowych, dotyczących polskich Karpat Wschodnich, o ile tylko zdołano uzyskać odpowiednie informacje. Ponadto wykonywanych jest wiele prac, opartych zwłaszcza na materiałach statystycznych i innych, niezbiieranych bezpośrednio w terenie. Wiele prac nie ma celu bezpośrednio naukowego, lecz cele praktyczne, jak np. planowanie regionalne, melioracje, podniesienie hodowli itd., tym niemniej stanowią one cenną pozycję w wszechstronnym naukowym poznaniu Karpat Wschodnich. Część wyników wzmiankowanych badań referowana była na Zjeździe Naukowym i Wojskowym Środkowym i Wschodnim Karpatom Polskim, odbytym w Krakowie w październiku b. r.

Badania geologiczne prowadzone były na całym obszarze Karpat Wschodnich. W Bieszczadach zdjęć geologicznych dokonywali geolodzy i współpracownicy P.I.G.: dr L. Horwitz na brzegu karpackim na zach. i półn.-zach. od Przemyśla, dr St. Krajewski w okolicach Brzozowa na arkuszu Sanok, dr Zdz. Opolski reambulował zdjęcie okolicy Cisny, dr J. Wdowiarz uzupełnił zdjęcie na zachód od Przemyśla w okolicy Dubiecka. Również na obszar Bieszczadów przypadają badania dr. B. Kokoszyńskiej nad stratygrafią dolnej kredy w Karpatach, w okolicy Starego Sambora i Dobromila, oraz prof. W. Rogali nad stratygrafią eocenu w tym samym odcinku Karpat, a ponadto w Karpatach Skolskich. Dr St. Wdowiarz, geolog i-my «Galicja» kontynuował zdjęcie geologiczne arkusza Stary Sambor. Z ramienia S. A. «Pionier» wykonał szczegółowe badania geologiczne przybrzeżnej strefy Karpat okolic Bolechowa i Doliny (arkusze: Bolechów, Dolina, Tuchla) inż. J. Obtułowicz. Na tym samym odcinku pracował również inż. A. Kisłowo, który wykonał szczegółowe badania geofizyczne metodą sejsmiczną (okolic Bolechowa), oraz mgr K. Maryniak, który prowadził badania grawimetryczne wagą Eötvösa (okolic Doliny). W Gorgnach pracowali: dr H. Teisseyre, który przeprowadził szczegółowe badania geologiczne na obszarze 100 km², przy zastosowaniu ręcznych kopanek w okolicy Niebyłowa, Przysłupia i Rosulnej (arkusze: Dolina i Porohy). Dr B. Bujalski geolog i-my «Galicja» kontynuował szczegółowe zdjęcie arkusza Mikuliczyn. W Karpatach Pokuc-

kich kartowali z ramienia P.I.G.: mgr K. Guzik okolice Żabiego, Ilici Górnej i Zelenego, mgr A. Tokarski Góry Hryniawskie i prof. B. Swiderski wspólnie z mgr. O. Guzikową, mgr. K. Guzikiem i mgr. A. Tokarskim okolice Jawornika i Popa Iwana na Czarnohorze. Wspomnieć wreszcie należy, że z ramienia Karpackiego Instytutu Geologiczno-Naftowego w Borysławiu przeprowadzane były badania w różnych odcinkach Karpat Wschodnich w związku z drukującą się mapą geologiczną przeglądową. Również wykonano prace na Przedgórzu, w szczególności odnośnie do stratygrafii i tektoniki formacji solonośnej, a także warstw młodszych tortonu i sarmatu. Prof. M. Kamiński i inż. Zb. Tokarski badali z punktu widzenia ceramicznego gliny garncarskie na Huculszczyźnie w okolicy Kuł, Kosowa, Pistynia, Żabiego i Krasnoili.

Z zakresu gleboznawstwa wymienić należy studia hydrologiczno-gleboznawcze, przeprowadzone przez inż. B. Dobrzańskiego z Instytutu Chemii Rolniczej i Gleboznawstwa P. L. na terenie powiatów brzozowskiego i rzeszowskiego. Prof. A. Musierowicz, kierownik wymienionego Instytutu, wykończył dwie prace, dotyczące stosunków glebowych na połoninach gór Hryniawskich (pasmo Baby Ludowej).

Z dziedziny meteorologii wspomnieć należy, oprócz obserwacji wykonywanych przez stację meteorologiczną na szczycie Czarnej Hory (Popa Iwana) (2026 m n.p.m.), obserwacje dra A. Kochańskiego, prowadzone w obserwatorium meteorologicznym w Bezmiechowej (614 m n.p.m. na szczycie Słonegno w Bieszczadach Zachodnich), specjalnie pod kątem poznania warunków dla lotnictwa szybowcowego.

Badania botaniczno-rolnicze prowadzone były, podobnie jak w latach poprzednich, przez współpracowników Stacji Botaniczno-Rolniczej we Lwowie, doc. W. Swederskiego, dra Br. Szafrana i dra Grz. Kozija. W b. r. przeprowadzili oni doświadczenia nawozowe na połoninie Pożyżewskiej w Czarnohorze, oraz na łąkach w okolicy Kosmacza i Prokurawy w Górach Pokuckich. Z wyników lat poprzednich opublikowali: dr Grz. Kozij: «Wyniki doświadczeń z nawożeniem łąk podgórskich w Karpatach Wschodnich» oraz doc. W. Swederski i dr Br. Szafran: «Dalsze badania nad podniesieniem wydajności połonin i łąk podgórskich» (Pamiętnik Puławski).

W nawiązaniu do prac zaczętych w latach poprzednich, dr P. Kontny rozsze-

rzył poszukiwania na terenie Karpat Wschodnich nad cisem w wiekach ubiegłych, w trakcie zaś badań na terenie Gór Pokuckich odszukał sześć nowych stanowisk limby, trzy nowe stanowiska kosodrzewiny oraz trzy duże stanowiska sosny reliktowej.

Obfite były w r. b. badania z zakresu faunistyki, a zwłaszcza entomologii. I tak prof. R. Kuntze prowadził badania w głównym paśmie Czarnohory od połoniny Pożyżewskiej po Bystrzec nad górskimi gatunkami chrząszczy z plemienia *Halticini* (Suszówkowe). Miały one na celu wyświetlić ich rozszedlenie pionowe oraz rośliny żywicielskie, a są fragmentem pracy prowadzonej od 1924 r., mającej na celu opracowanie monograficzne tej grupy. Wyniki zostały oddane do druku. Z. Kuntzowa prowadziła badania nad muchówkami z rodziny *Syrphidae*. Badania dały obfite wyniki, stwierdzono mianowicie szereg gatunków wysokogórskich, znanych w Polsce tylko z Tatr, oraz pewne gatunki dotychczas na ziemiach polskich nie notowane. Terenem badań był obszar między Worochta a grzbieciem Czarnohory, na odcinku Turkuł—Szpyci. Inż. Wł. Walles zbierał w dalszym ciągu materiał entomologiczny w Gorganach i Czarnohorze do studium porównawczego na temat Kusaków (*Staphylinidae*). Częściowe wyniki opublikował w «Złotym Szlaku» Nr 1, 1938 r. Lek. Wł. Łazorko zbierał w Gorganach chrząszcze. Zdz. Lesser zbierał materiały do szczegółowego opracowania entomologicznego góry Malawy koło Delatyna, a także w dolinie Prutu, zaś dr St. Piławski materiały do pająków, w okolicy Sanoka i w Gorganach.

W nawiązaniu do wiadomości podanych w roku ub. o badaniach entomologicznych pracowników Państwowego Muzeum Zoologicznego w Warszawie dodać należy, że dr J. Kremky opracowuje w r. b. *Macrolepidoptera i Tortricidae* zebrane wspólnie z St. Adamczewskim w 1935 r. w okolicach Pistynia i Kosowa oraz materiały z tych grup zebrane osobiście w r. ub. w okolicach Kut, Kosowa i Pistynia. Z tych samych materiałów opracowują: dyr. O. Holik z Pragi — *Zygaenidae*, inż. M. Masłowski — *Scopariinae*, St. Adamczewski — *Pterophoridae*. Mgr. K. Tarwid opracowuje *Diptera Nematocera* z materiałów zebranych przez siebie w Gorganach Środkowych w u. r. Z tychże materiałów rodzinę *Syrphidae* opracowuje Z. Kuntzowa.

Prof. B. Fuliński, doc. M. Gieysztor oraz E. Szynal prowadzili badania nad fauną wirków Czarnohory w nawiązaniu do dawniejszych badań prof. Fuliń-

skiego i Szynala w Czarnohorze i doc. Gieysztorą w Tatrach. Wyniki obejmują wykrycie gatunków nowych dla fauny Karpat (znanych z Alp), oraz także odkrycie gatunków nowych dla wiedzy. Ponadto prof. Fuliński z wyników dawniejszych opublikował w r. b. pracę o stulbi czerwonej w Czarnohorze (Kosmos, seria A.). Dr L. K. Pawłowski kontynuował badania hydrobiologiczne i zoologiczne, zaczęte w dwu poprzednich latach w dolinie Prutu od Jamny aż do źródeł. W r. b. zbierał materiały hydrobiologiczne dla części dorzecza Prutu od Jaremcza do Ardzeluży (opis hydrograficzny, analizy chemiczne wody, pomiary termiczne) oraz materiały faunistyczne do pijawek, larw, owadów wodnych, skorupiaków, skąposzczetów, wirków i innych.

Przy badaniach biologicznych wymienić należy badania, prowadzone nad zwierzętami hodowanymi, w oparciu o Akademię Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, a zmierzające przede wszystkim do podniesienia poziomu hodowli. Z serii tych prac wymienić należy prowadzone przez prof. J. Olbrychta poszukiwania pierwotnego bydła wschodniokarpackiego na Huculszczyźnie, w Ilci i innych miejscowościach, uwieńczone pozytywnym rezultatem. Wyniki prac nad bydłem huculskim, prowadzonych także w latach ubiegłych, publikowane były w fachowych czasopismach (prof. J. Olbrycht: «Bydło huculskie», Rolnik, Lwów 1930, dr J. Zintel: «Studia zootechniczne nad bydłem huculskim» — Rozprawy biologiczne, Lwów 1935). W r. b. dr Zdz. Meciński opublikował wyniki studiów zootechnicznych nad owcą górską na Huculszczyźnie, zaś lek. Br. Szechiński prowadził badania miometryczne nad kozą, lek. Wł. Günther badania osteometryczne nad owcą, tudzież badania nad wełną owiec z Huculszczyzny, a prof. J. Olbrycht zbierał materiały do poznania dawnego konia huculskiego.

Badania antropologiczne prowadzone były przez mgr. Fr. Wokroja, Fr. Leskova i Wł. Sokołowskiego z Zakładu Antropologii U. J. K., a przy poparciu Towarzystwa Przyjaciół Huculszczyzny i Funduszu Kultury Narodowej. Badania były dalszym ciągiem badań zesłoroczných nad strukturą rasową ludności huculskiej i objęły w r. b. mieszkańców następujących miejscowości na Huculszczyźnie i jej peryferiach: Starunia, Łojowa, Łanczyn, Delatyn, Zarzece, Osławy Białe, Dora, Jamna, Mikuliczyn, Tatarów, Worochta, Jablonica, Zabie, Bystrzec, Krzyworównia, Jasieniów Górny, Uścierki, Białobereżka, Roztoki, Rożen Wielki, Jaworów, Babin, Riczka, Sokołówka, Brustury, Szeszory, Prokurawa,

Kosmacz, Berezów. Zmierzone i opisano razem 981 osobników.

Z zakresu etnografii zbierał materiały na Huculszczyźnie doc. J. Falkowski. W związku z szczegółowymi badaniami etnograficznymi na Huculszczyźnie, prowadzonymi też w latach poprzednich, okazała się potrzeba poznania ukształtowania etnicznego i kultury ludowej obszarów z nią sąsiadujących, celem uzyskania materiałów porównawczych. W tym celu w r. b. przebadano wschodnią Bojkowszczyznę po dolinę Oporu włącznie. Zebrano bardzo obfite materiały do ukształtowania i samookreślenia etnicznego, jak i całokształtu kultury ludowej. Badania były prowadzone pod kierownictwem doc. J. Falkowskiego przy współudziale mgr. Wł. Jagiełły, mgr. M. Duliby i Fr. Jednoroga. Przy sposobności badań dokonano około 600 zdjęć fotograficznych, które złożono w archiwum ikonograficznym Zakładu Etnologicznego U. J. K.

Osobną pozycję w badaniach kultury materialnej stanowią badania nad budownictwem ludowym, prowadzone, podobnie jak r. ub. przez Zakład Architektury Polskiej i Historii Sztuki Politechniki Warszawskiej, przy poparciu Komisji Naukowych Badań Ziemi Wschodnich. Dwie grupy uczestników badań pracowały na Huculszczyźnie, oraz po jednej na Bojkowszczyźnie (powiat Turka) i Łemkowszczyźnie (powiat Lesko). Przy badaniach zebrano obfity materiał w postaci planów, przekrojów, rysunków i zdjęć fotograficznych.

Badania językoznawcze, podobnie jak w latach ubiegłych, prowadzone były z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. Prof. J. Janów prowadził badania gwaroznawcze nad słownictwem huculskim, przygotowując słownik gwarowy. Ponadto prof. Janów przeprowadził przy współudziale mgr. St. Hrabeca szereg prac terenowych w Kosmaczu, Bereznicy i Żabiu, które poświęcono głównie zbieraniu słownictwa huculskiego. W Kosmaczu i Bereznicy skontrolowano cały zasób wyrazów, jakie zawierał słownik huculsko-polski w 2-giej redakcji, uzupełniając go szeregiem nowych dodatków tak, że odpis całego zbioru wynosi obecnie 572 stron. Dalsze prace badawcze prof. Janowa odnoszą się do słownictwa Podkarpacia, łącznie z tamtejszą sprawą kolonizacji wołoskiej, oraz do poznania północnego zasięgu słownictwa huculsko-pokuckiego. Na terenie zachodniej Bojkowszczyzny prowadził badania gwaroznawcze prof. Zdz. Stieber przy współudziale mgr. St. Hrabeca. Badania te objęły 31 miejscowości na terenie powiatów: Stryj, Turka,

Drohobycz, Sambor, Dobromil i Lesko. — W badaniach tych została zwrócona szczególna uwaga na gwary ślacheckie zagrodowej.

W grupie badań geograficznych zanotować należy, że w r. b. dr. A. Schmuck kontynuował zbieranie materiałów do monografii geograficznej Kołomyji i okolicy. Z geograficzno-gospodarczego punktu widzenia ujęte są też przeważnie prace, wykonywane przez współpracowników Studium Turyzmu U. J. Z prac tych, odnoszących się także do Karpat Wschodnich ukończono następujące: dr St. Leszczycki, kierownik Studium: «Przemysł turystyczno-letniskowy i uzdrowiskowy w Polskich Karpatach», oraz: «Wytyczne gospodarki uzdrowiskowo-letniskowej w Karpatach» (obie prace publikowane); Zb. Tokarski: «Klasyfikacja i rozmieszczenie miejscowości wypoczynkowych w Karpatach», «Średni dochód z ruchu uzdrowiskowo-letniskowego w Karpatach», oraz: «Badania nad stanem przemysłu pensjonatowo-hotelowego w Truskawcu»; B. Klimaszewski: «Plan gospodarki turystycznej w Karpatach»; El. Trybowska: «Mapa turystyczna województwa lwowskiego».

W dziedzinie badań gospodarczych, ujmowanych od strony już to ekonomicznej, już to geograficzno-gospodarczej, czy też historyczno-gospodarczej, mamy do zanotowania szereg prac, prowadzonych planowo od kilku lat przeważnie z inicjatywy Komisji Naukowych Badań Ziemi Wschodnich, Towarzystwa Przyjaciół Huculszczyzny, także przy poparciu finansowym Funduszu Kultury Narodowej. W r. b. ukończono prace statystyczne, prowadzone pod kierownictwem dra L. Grodzickiego, dotyczące struktury posiadania mniejszej własności, z uwzględnieniem wyznań posiadaczy. Dla Karpat Wschodnich materiał opracował dr Grodzicki, w dalszym ciągu od strony geograficznej opracowują go: dr M. Orlicz, mgr J. Malicka i H. Halicka. Ci sami pracownicy dokończyli zbierania szczegółowego materiału do struktury małej własności na Huculszczyźnie w powiatach: kosowskim i nadwórniańskim.

Pod kierownictwem inż. P. Suchodolskiego zostały podjęte badania nad zarobkami ubocznymi ludności wiejskiej w lasach Karpat i Podkarpacia. Badaniami objęto następujące ośrodki: Kosów, Nadwórna, Skole, Turka i Sanok. Prace badawcze prowadzone były według szczegółowej ankiety. Głównymi zagadnieniami, które zbadane zostały, były: ustalenie rodzajów zarobków ubocznych w lasach, wysokość odnośnego dochodu, stosunek ich do innych zarobków, wreszcie próba ustalenia ogólnej sumy dochodów w lasach Podkarpacia.

Z ramienia Państwowego Banku Rolnego przeprowadzał dr P. Kontny studia nad stosunkami gospodarczymi na połoninach Huculszczyzny, ze szczególnym uwzględnieniem połonin Gór Pokuckich. Równocześnie w dalszym ciągu prowadził studia nad zagadnieniami gospodarczymi i gospodarczo-histerycznymi Karpat Wschodnich. — W związku z zeszlazoczną pracą nad wędrówkami pasterskimi z Pokucia i Podgórze w Karpaty Wschodnie, jako podstawę do badań nad ewent. rozszerzeniem się tyfusu i innych chorób zakaźnych, dr Kontny przeprowadził badania kontrolne nad tym zagadnieniem. Zostały one rozszerzone na Gorgany i część Bieszczadów, obejmując powiaty: Stryj, Kalusz, Dolina, Nadwórna, Kosów, Kolomyja, Sniatyn i Horodenka. Problem wymieniony opracowywał dr Kontny w porozumieniu z Instytutem Biologii Ogólnej U. J. K. i Instytutem Geograficznym U. J. K. W czasie badań terenowych odkrył dr Kontny nowe materiały archiwalne do pierwszej połowy XVIII w. dla dziejów gospodarczych Karpat Wschodnich.

Na dużą skalę prowadzone były również badania demograficzne, narodowościowe i socjograficzne, głównie z ramienia Komisji Naukowych Badań Ziemi Wschodnich, za pośrednictwem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych. W r. b. badania skoncentrowały się przede wszystkim na zagadnieniu szlachty zagrodowej. Mgr T. Makarewicz przeprowadził studia terenowe socjograficzne w następujących wsiach powiatu turczańskiego: Iwaszkowce, Wysocko Wyzne i Borynia, wyzyskując przy tym materiał archiwalny. Praca ta zmierza do wyświetlenia czynników, kształtujących odrębność szlachty oraz do zbadania jej struktury i dynamiki społecznej. Równocześnie prowadził badania nad szlachtą zagrodową mgr J. Pączosa. Zebrał on materiał dotyczący liczby, rozmieszczenia, podstawowych wartości etniczno-grupowych oraz stanu społeczno-gospodarczego szlachty na terenie powiatu dronobyckiego, turczańskiego, samborskiego i częściowo dobrońskiego. Ponaćo, jako studium detaliczne podjął mgr J. Pączosa zbadanie stosunków etnicznych oraz współżycia grup narodowościowych w gromadzie Opaka w powiecie drohobyckim. Oprócz dwu wymienionych pracowników, nad zagadnieniem ilości i rozmieszczenia szlachty zagrodowej w Małopolsce Wschodniej łącznie z Karpatami pracował dr T. Cieślak oraz sen. Wł. Pulnarowicz. Niektóre wyniki ich poszukiwań zostały opublikowane («Wiad. Służby Geograficznej» 1938 r.). Inicjatywa tych badań była ogniskowana w Sekcji Naukowej Komitetu do Spraw

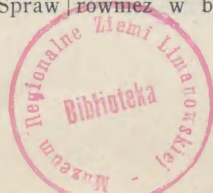
Szlachty Zagrodowej na Wschodzie Polski w Warszawie.

Na zakończenie podać należy informacje o poszukiwaniach prehistorycznych. W r. b. prowadzili je dr M. Śmiszko i doc. K. Majewski. Poszukiwali oni nowych stanowisk kultur przedhistorycznych w dolinie Rybnicy, oraz kontrolowali podane ostatnio w literaturze wiadomości o występowaniu w głębi Karpat na Huculszczyźnie znalezisk prehistorycznych (kultura lipicka) w Jasieniowie Górnym, Sokolówce i inn. W wyniku badań dr Śmiszko i doc. Majewski stwierdzili, że podane z Jasieniowa ślady ognisk z ułankami ceramiki pochodzą z XVII w., a ślady kultur prehistorycznych, zdaje się, nie przekraczają pasa brzożnego Karpat. *M. Orlicz.*

Badania naukowe w Karpatach Zachodnich. Podobnie jak w latach ubiegłych zostało w roku bieżącym przeprowadzonych szereg badań terenowych. Pod kierownictwem prof. dr. J. Smoleńskiego oraz dr. M. Klimaszewskiego studia nad morfologią południowych stoków pasma Babiej Góry prowadził mgr. K. Beres. Podobne studia morfologiczne w dorzeczu Ropy kontynuował mgr. W. Breitmeier. Również w dalszym ciągu zbierał dane do występowania rumowisk skalnych na szczytach karpackich W. Walczak. W Beskidzie Śląskim badania morfologiczne prowadził A. Michalik, natomiast J. Kuchcińska wykonała zdjęcie morfologiczne doliny Strążyskiej. Obserwacje nad formami wietrzenia w piaskowcach ciężkowickich przeprowadził Zd. Czeppe. Studia nad uzależnieniem morfologii od budowy geologicznej na arkuszu Wadowice wykonał mgr. W. Henoch.

Z zakresu botaniki prof. dr. Bogumił Pawłowski przeprowadzał badania fitosocjologiczne w Tatrach a dr. Jan Wallas pracował nad strukturą fitosocjologiczną łąk pienińskich.

Z zakresu klimatologii prowadził badania dr. Adam Kochański adiunkt U. J. K. w Beskidzie Śląskim, dokonyując obserwacji w Aleksandrowicach koło Bielska nad właściwościami termicznymi powietrza dla użytku szymbownictwa (wzloty aerologiczne). Dr. Władysław Milata prowadził badania 10-cio dniowe nad rozmieszczeniem opadów w masywie Babiej Góry oraz obserwacje nad stosunkami termicznymi w okolicach Krakowa (t. zw. wielkiego Krakowa). Ponad to przeprowadził pomiary nad pokrywą szaty śnieżnej w grupie Wielkiej Racy. Badania te będą kontynuowane również w bieżącym roku oraz skoordyno-



wane przez Karpacką Komisję Śniegowa i Lawinową Towarzystwa Krzewienia Narciarstwa.

Z zakresu antropogeografii prowadzone były w dalszym ciągu zespołowe badania pod kierownictwem prof. dr. J. Smoleńskiego oraz dr. S. Leszczyckiego nad cechami fizjonomicznymi wsi w okolicach Krakowa oraz na pogórzu karpackim. Wykonano również plany krajobrazowe i funkcjonalne kilku miasteczek leżących na terenie województwa krakowskiego. Prócz tego dr. S. Leszczycki przeprowadził kontrolne badania nad cechami geograficznymi osadnictwa na Podhalu (w powiecie nowotarskim). Dr. J. Młodziejowski zebrał obfity materiał antropogeograficzny ze wsi pochalańskich, prowadząc przez dwa miesiące studia w terenie. Dr. J. Szafarski zebrał oryginalne materiały historyczne do miast spiskich, a w szczególności znalazł dotąd niepublikowane plany miast spiskich.

Z zakresu etnografii prowadziła w dalszym ciągu studia nad genealogią rodu góralskiego Gaśieniców dr. J. Feistówna pod kierunkiem prof. dr. W. Semkowicza. Podobne studia nad rodami góralskimi prowadził również dr. L. Wyrostek. Mgr. R. Reinfuss prowadził badania etnograficzne w powiecie nowotarskim i nowosądeckim. Dr. T. Seweryn dyrektor Muzeum Etnograficznego oraz mgr. R. Reinfuss przeprowadzili badania nad granicami grup etnograficznych w Karpatach Zachodnich. Obserwacje z zakresu kultury materialnej oraz duchowej Pogórzan Gorlickich, dotąd naukowo zupełnie nie opracowanych, przeprowadził A. Wójcik, który ma zamiar w dalszym ciągu opracować sąsiednie grupy Pogórzan.

Nad toponomastyką tatrzańską pracował w dalszym ciągu Witold Paryski, gromadząc materiały z okolic Morskiego Oka oraz z dolin sąsiednich.

Prof. dr. T. Sulimowski rozpoczął wstępne badania nad grodziskiem w Zawadzie Lanckorońskiej oraz w Trzemeśni.

Z ramienia Studium Turystyki U. J. przeprowadził badania na Śląsku Żołziańskim K. Bromek. Nad strukturą własnościową przemysłu pensjonatowego w Rabce Zdroju pracowała mgr. El. Trybowska. Poza tym z ramienia Krakowskiej Izby Przemysłowo Handlowej przeprowadzone zostały badania nad przemysłem pensjonatowym. l.

Prace naukowe Zakładu Hodowli Lasu S. G. G. W. w górach. Z ramienia Zakładu Hodowli Lasu Szkoły Głównej Go-

spodarstwa Wiejskiego w Warszawie wykonywano w roku 1938, podobnie jak w latach poprzednich szereg badań naukowych w górach.

Kierownik Zakładu prof. dr Marian Sokołowski zakończył badania nad lasami pierwotnymi w Tatrach. Asystent Zakładu dr inż. Maciej Zajączkowski kontynuował swe badania nad lasami modrzewiowo-świerkowymi w Beskidzie Małym, oraz wspólnie z dr. Zofią Radwańska-Kuleszną studiował zespoły roślinne reliktowych stanowisk sosny na Łysej Polanie i w dolinie Chochołowskiej w Tatrach. P. Mieczysław Dębski pracował nad lasami pierwotnymi w Karpatach Wschodnich, p. Janusz Wasilewski badał limbę w Gorganach, zaś p. Mieczysław Rakowski kontynuował swe studia nad rebnią smugową w lasach Dóbr Żywieckich.

Prace Zakładu nie ograniczyły się tylko do gór polskich, lecz objęły swym zasięgiem w roku bieżącym także Alpy i Balkany. Prof. Sokołowski zapoznał się ze sposobami gospodarstw leśnych w górach Bawarii, dr Zajączkowski wraz z dr. Kuleszną śledzili występowanie sosny pospolitej w Alpach Wschodnich oraz warunki odnowienia w świerkowo-modrzewiowych lasach Górnej Styrii, zapoznając się przy tym z różnymi sposobami górskich gospodarstw leśnych, a p. Marczuk prowadził studia nad sosną *Pinus Peuce* występującą w górach Pirynu i Rodopach w Bułgarii.

Z prac wydanych drukiem przez Zakład, a będących wynikiem badań prowadzonych poprzednio w górach, należy wymienić dwie prace prof. M. Sokołowskiego i dra M. Zajączkowskiego: «O szacie leśnej Tatr», Wierchy, rocznik 1938 i «Lasy Urwiskowe» — Przyroda i Technika 1938. Poza tym współpracownicy zakładu ogłosili szereg mniejszych artykułów i notatek dotyczących lasów górskich. m. zaj.

Badania zawartości tlenu w wodzie jezior tatrzańskich. W ciągu zimy 1937/38 pracowała na jeziorach Tatr polskich ekspedycja Zakładu Ichtiobiologii i Rybactwa U. J., badająca stosunki tlenowe tych jezior. Oto sprawozdanie tymczasowe z tych badań.

Rozmieszczenie tlenu w jeziorach stało się ostatnimi czasy przedmiotem bardzo intensywnych studiów, dzięki temu, że zawartość tego gazu w wodzie obrazuje doskonale zachodzące w danym miejscu procesy budowy czy rozkładu materii organicznej. Badano przede wszystkim jeziora o dużym bogactwie życia, tzw. jeziora typu eutroficznego, na ubogie zaś zwane oligotroficznymi mniejszą zwracano uwagę. Nic więc dziwnego, że

skrajnie oligotroficzne i trudno dostępne jeziora wysokogórskie uległy w tym względzie ogromnemu zaniedbaniu, a zwłaszcza panujące w nich zimą stosunki tlenowe całkowicie nie były znane.

Badania nasze objęły dziewięć największych stawów, mianowicie: Morskie Oko i Czarny nad Morskim Okiem, — Przedni, Wielki, Czarny i Zadni z Pięciu Stawów Polskich — oraz Czarny, Zielony i Długi Gąsienicowe. Wykonano na tych stawach w ciągu zimy około 30 przekrojów, przy czym oznaczano w różnych warstwach temperaturę wody, ilość zawartego w niej tlenu i dwutlenku węgla, oraz pobierano ilościowo próby planktonowe i próbki mulów dennych.

Temperaturę wody mierzono termometrem odwracalnym, t. j. takim, który przewraca się na odpowiedniej głębokości, przez co odrywa się słupek rtęci. Próby wody do analiz na zawartość tlenu, pobierane były specjalnym przyrządem tzw. batometrem, który przy pomocy ciężarka puszczanego po linie zamyka się w dowolnym miejscu. Wodę w ten sposób pobraną i przeniesioną do flaszek objętościowych, badano metodą Winklera polegającą na jodometrii. Wodę do badania na wolny dwutlenek węgla pobierano również batometrem, a po przeniesieniu jej do flaszki wirowej z kalibrowaną szybką mierzono roztworem sody. Próbkę biologiczną pobierano przy pomocy dużej flaszki Mayer'a, którą otwiera się przez szarpnięcie liną. Po kilka litrów wody pobranych tą metodą odsączano na siatce z gazy mlynarskiej, dzięki czemu otrzymywano występujące w niej organizmy zagęszczone w małej objętości. Umieszczone w małych słoiczkach konserwowano je do dalszych badań. Próbkę mulów dennych pobierano sondą pucharową.

Temperatura wody okazała się dość niska i tylko w jednym wypadku osiągnęła w głębszych warstwach 4°C. Przyczyną tego trzeba szukać w silnych wiatrach jesiennych. Obserwowaliśmy też wpływy przepływu na oziębienie wody jezior. Szczególnością termiczną jezior wysokogórskich przez nas zauważoną jest obniżanie się temperatury warstw pod lodem położonych bezpośrednio przed odmarnięciem pokrywy zimowej, co następuje na skutek napływania wody z topniejącego śniegu.

Układ tlenu wykazuje tu dwie odrębne właściwości. Jedną z nich to maximum tlenowe na głębokości 15 m, opisane już poprzednio przeze mnie na podstawie letnich badań. Przypisałem je wówczas wpływowi mikroskopijnych roślin, zwanych okrzemkami. Teraz poczyniono dalsze obserwacje co do występowania i przemieszczania

się tego maximum w okresie zimowym. Drugą osobliwością są ubytki tlenowe w warstwie przydennej. Stanowią one pewnego rodzaju rewelację, gdyż na podstawie dotychczas panujących poglądów w tym typie jezior zjawiska takiego oczekiwać by nie należało. Ubytki te określone jako «pseudoeutrofia» posuwają się częstokroć bardzo daleko, dochodząc aż do zupełnego braku tlenu. Dotychczasowe sposoby tłumaczenia ubytków tlenowych nie są tu wystarczające, przyczyna zjawiska zostaje więc nie jasna, jakkolwiek na podstawie poczynionych obserwacji można już pewną hipotezę wysunąć. W jednym tylko wypadku muł zdradzał lekki zapach siarkowodoru.

Ilość dwutlenku węgla wzrasta ku dnu, nigdzie jednak wartości bardzo wysokich nie osiąga.

Próbki biologiczne znajdują się w opracowaniu mikroskopowym w pracowniach. Wyniki tych badań, powiązane z wynikami analiz chemicznych, będą się nawzajem objaśniać i uzupełniać. Rzeczą rzucającą się tu w oczy jest masowe występowanie w dwu stawach drobnych raczków zwanych widłonogami, oraz wielka ilość rozwielitek przy dnie stawu Zielonego, co zdaje się być w związku z ubóstwem tlenu w tej warstwie. Porobiono szereg obserwacji co do pojawiania się w prześlabach niektórych organizmów, przede wszystkim larw owadów.

Przy sposobności wykopywania przerębli poczyniono obserwacje dotyczące mechaniki zamarzania. Cechą charakterystyczną lodu na jeziorach wysokogórskich jest warstwowość budowa, powstająca jak to zaobserwowano przez kolejne zamarzanie wody dostającej się na lód drogą wyrównania ciężaru pokrywy lodowej. Największa spotykana grubość pokrywy wynosiła 3,5 m. Zwraca uwagę gaz zawarty wśród lodu i przepajającej go wody.

Część kosztów tych badań pokryło Polskie Towarzystwo Tatrzańskie oraz Komisja Fizjologiczna P. A. U. przyznanymi na te badania zasiłkami. Korzystaliśmy też z szczerzej gościnności schronisk przy Morskim Oku, przy Pięciu Stawach Polskich i na Hali Gąsienicowej.

Olszewski

Karpacki zjazd naukowy w Krakowie. Komitet wykonawczy Zjazdów naukowych, poświęconych Ziemiom Wschodnim, zorganizował w Krakowie w dniach 30 i 31 października 1938 r. swój drugi zjazd (I-szy poświęcony był Polesiu), obejmujący programem swym zagadnienia Karpat Środkowych i Wschodnich. Inauguracja zjazdu, odbyta uroczystość w auli głównej Uniwersytetu Jagiellońskiego, zgromadziła liczne grono ucze-

stników, którzy wysłuchali głębokiego przemówienia ministra gen. dyw. T. Kasprzyckiego (jako prezesa Komitetu Badań Ziemi Wschodnich i prezesa Związku Ziemi Górskich), podnoszącego rolę dania naukowych podstaw wszelkim poczynaniom Polski na półwyspie bałtycko-czarnomorskim, na którym kraj nasz powołany jest do szczególnie wielkich i poważnych zadań. Inauguracyjny wykład prof. dra J. Smoleńskiego p. t. «Zróznicowanie ludności Karpat Polskich i tendencje zmian» dał rzut oka na stosunki demograficzne w naszych ziemiach górskich dawniej i dziś i był doskonałym wprowadzeniem w całość prac Zjazdu.

Obrady Zjazdu toczyły się w dwu sekcjach: humanistycznej i ekonomicznej. Wymieniamy dla zobrazowania prac Zjazdu poszczególne referaty: prof. dr B. Zaborski: «Rozmieszczenie ludności w Środkowych i Wschodnich Karpatach Polskich według języka i wyznania» (referent silnie podkreślił konieczność uwzględnienia w tej dziedzinie obok cech języka i wyznania także gęstości zaludnienia dla otrzymania właściwego obrazu danego regionu), dr J. Falkowski: «Etnografia górali Środkowych i Wschodnich Karpat Polskich», mgr R. Reinfuss: «Problem wschodniego zasięgu etnograficznego Łemkowszczyzny», dr T. Seweryn: «Ochrona swojszczyzny w Karpatach Polskich», prof. dr J. Janów: «Ważniejsze cechy gwar huculsko-pokuckich a teorie o Bokochocach», prof. dr K. Dobrowolski: «Elementy rumuńsko-balkańskie w kulturze ludowej Karpat Polskich», dr M. Dobrowolska: «Z badań nad osadnictwem Łemkowszczyzny», doc. dr J. Mydlarski: «Szkic antropologiczny ludności Karpat Polskich», dr R. Falkowski: «Struktura antropologiczna pow. leskiego», doc. dr W. Ormicki: «Ruch ludności w Karpatach Polskich», prof. dr E. Kucharski: «Żywił alañski (jaski) w Karpatach Wschodnich», prof. dr T. Marchlewski: «Ochrona przyrody w Karpatach», prof. dr B. Świderski: «Bogactwa mineralne Karpat Polskich», inż. J. Kłoska: «Lasy Karpat Polskich», inż. P. Suchodolski: «Zarobki ludności z lasów Karpat Wschodnich», dr E. Stenz: «O insulacji Karpat Wschodnich», dr L. Grodzicki: «Struktura własności rolnej w Karpatach Polskich», prof. dr J. Rostafiński: «Koń, krowa, owca i pies połonin Huculszczyzny», doc. dr W. Świderski: «Perspektywy podniesienia wydajności łąk i pastwisk górskich i podgórskich w Karpatach Wschodnich», dr St. Leszczycki: «Przemysł turystyczno-leśnikowy i uzdrowiskowy w Karpatach Polskich», dyr. H. Mianowski: «Drobna wytwórczość przemysłowa w Karpatach Polskich». Syntetyczne znaczenie miał referat nac. St.

Malessy p. t. «Możliwości rozwoju gospodarczego Karpat Polskich». Po większości referatów wywiązywała się interesująca dyskusja, wśród której zwrócimy uwagę na konferat dotyczący kwestii szlachty zagrodowej na Podkarpaciu i uwagi, zgłaszane do poszczególnych referatów przez naukowców-fachowców od pewnych zagadnień. Pierwszego dnia obrad otwarta została w Instytucie Geograficznym U. J. niezmiernie bogata i pouczająca zbiorowa wystawa kartograficzna, poświęcona Karpatom z rozmaitych punktów widzenia rozpatrywanym.

W drugim dniu Zjazdu odbyło się pod przewodnictwem prof. dra Wróblewskiego, prezesa P. A. U., II plenarne zebranie, na którym nastąpiło symboliczne przekazanie dorobku Komisji badań naukowych Ziemi Wschodnich z dziedziny prac karpackich Komitetowi Naukowemu Ziemi Górskich przy Pol. Akademii Umiejętności. Zjazd zatwierdził szereg rezolucji, wśród których wymieniamy apel o gruntowne opracowanie zagadnień odnoszących się do łąk i pastwisk karpackich z punktu widzenia przyrodniczego, gospodarczego i prawnego, uchwałę stwierdzającą, że ochrona przyrody górskiej w Polsce jest kwestią kapitalną z punktu widzenia ekonomicznego, postulat konieczności dalszego rozwoju sieci komunikacyjnej w ziemiach karpackich i na Pogórzcu, apel o rozpoczęcie badań dialektologicznych nad ludnością polskich obszarów etnograficznych ziem wschodnich i t. d. Obrady zjazdu zakończył pouczający referat dyr. J. Rudnickiego: «Środkowe i Wschodnie Karpaty w programie Związku Ziemi Górskich».

Zjazd, w którym wzięło udział ok. 250 uczestników, miał poważne znaczenie dla dalszego posunięcia organizacji naukowych badań górskich w Polsce oraz dla wymiany poglądów nad szeregiem zagadnień ważnych dla tych badań pomiędzy fachowcami z różnych dziedzin nauki, w ich odcinkach odnoszących się do krain karpackich.

W. Mileski.

Karpacka Komisja Śniegowa i Lawinowa w Krakowie. Z końcem okresu zimowego 1937/38 utworzono w Krakowie przy Towarzystwie Krzewienia Narciarstwa Karpacka Komisję Śniegową i Lawinową. Na członków Komisji powołano szereg fachowców ze sfer naukowych i narciarskich z całej Polski.

Zadaniem Komisji, która właściwe swe prace rozpocznie w bieżącym sezonie zimowym, jest prowadzenie, subwencjonowanie i publikowanie badań nad uśnieżeniem Karpat.

Badania będą prowadzone nad formami uśnieżenia, morfologią szaty śnieżnej, gesto-

ścią i zwartością śniegu, termiką śniegu, nad gatunkami śniegu i pokrywy śnieżnej, nad ciężarem właściwym śniegu, nad wpływem ukształtowania terenu, wiatrów, szaty roślinnej na pokrywę śnieżną, nad warunkami pogodowymi i kształtowaniem się pokrywy śnieżnej, oraz nad lawinami w Tatrach i Czarnohorze i t. p. i t. p.

W pracach wstępnych, które rozpoczęto jeszcze w lecie, położono specjalny nacisk na: a) gromadzenie fotografii form uśnieżenia, lawin, gatunków śniegu i innych, b) skompletowanie przezroczycy do odczytów, c) przygotowanie materiału kartograficznego, d) przygotowanie bibliografii polskiej i obcej dotyczącej przyszłych prac Komisji, e) w końcu na opracowanie i przygotowanie programu pracy w najbliższym okresie zimowym.

W okresie zimowym 1938/39 r. program przewiduje skartowanie i opracowanie nawisów oraz zleńców lawiniastych w Karpatach. Poza tym będą prowadzone szczegółowe badania nad gęstością śniegu i kształtowaniem się pokrywy śnieżnej w obszarach grzbietowych gór.

Badania Komisji będą publikowane w «Pracach» Komisji, oraz na łamach prasy naukowej i turystycznej.

Ważną rzeczą jest to, że program prac Komisji przewiduje badania nie tylko w celach naukowych, ale uwzględnia również w szerokim zakresie potrzebę tych badań z punktu widzenia potrzeb zimowego ruchu narciarsko-turystycznego w Karpatach.

Dr Wł. Milata.

Jak podzielona jest praca naukowa w C. A. I.? Centro Alpinistico Italiano ma ze wszystkich wielkich klubów i organizacji alpejskich najlepiej zorganizowany dział badań naukowych. Wspomnieć wypada tutaj znakomity a kilkakrotnie już w wydawnictwach P. T. T. wymieniany «Manuale scientifico», oraz inne wydawnictwa tego klubu, mogące być wzorowym przykładem,

jak można i należy pobudzać badawcze zainteresowania członków górskiej organizacji turystycznej i jak ich poczynania naukowe z jednej strony wspomagać, z drugiej zaś skutecznie i celowo wykorzystywać. — Praca naukowa w C. A. I. kierowana jest i wykorzystywana przez Komitet Naukowy C. A. I., dzielący się na szereg komisji fachowych: 1) komisję radiofoniczną, której zadaniem jest dokładne opracowanie warunków telekomunikacji falami krótkimi i ultrakrótkimi na obszarze górskim Włoch i kolonii, 2) komisję medyczno-fizjologiczną, poświęconą specjalnie badaniom reagowania ustroju ludzkiego (zdrowego i chorego) na wysokość i klimat gór; 3) komisję biologiczną koncentrującą badania nad fauną i florą górską, oraz ich ochroną; 4) komisję toponomastyczną; 5) komisję badań nad lodowcami i lawinami; 6) komisję speleologiczną. Prezes Komitetu Naukowego jest jednocześnie przewodniczącym wszystkich komisji fachowych. Praca Komitetu i jego komisji cieszy się stałym poparciem i znaczną pomocą finansową zarządu głównego i prezydium Klubu. Komitet publikuje interesujące wydawnictwa.

w. mil.

Sensacyjne odkrycie archeologiczne w Beskidach. Od dwu lat prowadzono naukowe badania prehistoryczne i archeologiczne na Grojcu (612 m n. p. m.) nad Zywcem. Wyniki badań tych dały bardzo bogaty plon. Dzięki poparciu badań (prowadzonych pod kierunkiem prof. dra Sulimierskiego) przez Tow. Przyjaciół Ziemi Żywieckiej przeprowadzono rozkopanie dawnego osiedla grodowego (po drewnianym zamku Skrzyńskich z XV wieku), pod którym odkryto zabytki z epoki kultury lużyckiej (z przed około 600 lat przed Chr.), świadczące, że w głębi Karpat Zachodnich ludność wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pre-słowiańska przebywała w odosobnionych osadach od niepamiętnych czasów. Interesujące jest wielkie cmentarzysko «lużyckie», na którym leżała jednak warstwa kulturalna młodsza, zapewne pochodząca od ludów krwi celtyckiej.

w. mil.

OCHRONA PRZYRODY.

Od Redakcji. Z powodu wyjazdu prof. dra W. Goetla w dłuższą podróż za granicę, w roku bieżącym nie zamieszczamy jego dorocznego artykułu o sprawach ochrony przyrody w Karpatach. Artykuł, obejmujący sprawozdanie za okres dwóch lat, zostanie ogłoszony w następnym roczniku «Wierchow».

Z działalności Krakowskiego Oddziału Ligi Ochrony Przyrody w Polsce. Krakowski Oddział Ligi Ochrony Przyrody obejmuje zasięgiem swej działalności znaczne obszary górskie, to też ochrona przyrody naszych gór jest zawsze przedmiotem jego pracy i troski. Wyrazem tego jest stała współpraca z Komisją Ochrony Gór Pol-

skiego Towarzystwa Tatrzańskiego, polegająca na osobistym kontakcie Zarządów obu tych organizacji, oraz na odstępowaniu Komisji znacznej części funduszów, które wpływają do Ligi od P. T. T. jako od towarzystwa związkowego.

Ze wszystkich zagadnień ochrony przyrody górskiej najbardziej palącą i najbardziej bolesną jest od paru lat sprawa niszczenia Tatr przez zbędne inwestycje hotelarsko-turystyczne oraz związane z tym fakt zawieszenia na czas niewiadomy wydania rozporządzenia Rady Ministrów o Tatrzańskim Parku Narodowym.

Zarząd Krak. Oddziału Ligi Ochrony Przyrody ma tę sprawę stale na oku, a wyrazem poglądu na nią jest uchwalona przez Walne Zebranie w dniu 2 maja 1938 r. rezolucja następującej treści:

«Walne Zgromadzenie Krakowskiego Oddziału Ligi Ochrony Przyrody w Polsce przyjęło w dniu 2 maja b. r. z głębokim zalem i troską wiadomość o odłożeniu na czas nieokreślony rozporządzenia o Parku Narodowym w Tatrach i równoczesnym ustaniu czynności Państwowej Rady Ochrony Przyrody, spowodowanym przez niezamianowanie jej nowego składu od dnia 1 maja b. r.

Tymczasem w Tatrach zachodzą coraz to nowe fakty, zagrażające całkowitą niemal zagładą ich przyrody, zniszczeniem bezpowrotnym resztek ich pierwotnego krajobrazu na rzecz drobnych grup chwilowo zainteresowanych, z zupełnym niezrozumieniem wartości jakie Tatry przedstawiają dla całego Państwa i przyszłych pokoleń.

Liga Ochrony Przyrody zwraca się do czynników rządowych z gorącym apelem o położenie kresu obecnemu katastrofalnemu stanowi rzeczy przez:

1) jak najrychlejsze wydanie rozporządzenia o utworzeniu Tatrzańskiego Parku Narodowego,

2) zamianowanie Państwowej Rady Ochrony Przyrody w składzie, który da rekojmyj należytej kontynuacji dotychczasowej linii działalności tej Instytucji, uwzględniającej w życiowy sposób idealne i gospodarcze wartości».

Rezolucję tę rozesłano do szeregu pism codziennych oraz czasopism fachowych, naukowych, leśniczych, turystycznych i t. p., gdyż Liga Ochrony Przyrody stawia sobie za zadanie ciągle uświadamianie jak najszerszym warstwom społeczeństwa, że w Tatrach dzieje się źle, że temu najpiękniejszemu klejnotowi przyrody polskiej grozi zniszczenie i że ten stan rzeczy musi ulec zmianie.

Podobny cel miało publiczne zebranie pod hasłem «Ratujmy Tatry i Góralczyznę»,

zorganizowane dnia 3 czerwca w Krakowie przez blisko ze sobą ideowo związane organizacje: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Krakowski Oddział Ligi Ochrony Przyrody, Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika i Krakowski Oddział Towarzystwa Krajoznawczego. Zebranie to uchwaliło następującą rezolucję:

«Mieszkańcy Krakowa zebrani w dniu 3 czerwca 1938 r. na publicznym zgromadzeniu, zwołanym przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Ligę Ochrony Przyrody, Polskie Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika i Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, zaniepokojeni wiadomościami pojawiającymi się w prasie o projektach nowych dróg i budowli w Tatrach, niezgodnych z wytycznymi projektu Parku Narodowego Tatrzańskiego, wnoszą stanowczy protest przeciw wykonaniu tych planów i zwracają się do Pana Premiera z prośbą o wydanie zarządzeń, które by wstrzymały skutecznie dalsze niszczenie piękna Tatr.

Projektowane prace, podobnie jak już wykonane w latach ostatnich, mające na celu rzekome zwiększenie ruchu turystycznego, w rzeczywistości podcinają u korzenia zdrowy ruch turystyczny w Polsce, narażają Skarb Państwa na milionowe wydatki, wprowadzają w głąb gór przemysł turystyczno-hotelarski o charakterze międzynarodowym, grożący wyparciem bogatej, rodzimej kultury góralskiej i przynoszą kulturze polskiej nie dające się naprawić szkody. Co gorsze, prace te, wobec sprzeciwu właścicieli odpowiednich terenów, realizowane są z jaskrawym pominięciem obowiązujących w Polsce ustaw, co szerzy w społeczeństwie niepokój, zamęt i poczucie bezprawia.

Od chwili rozpoczęcia wspomnianych robót w r. 1934 całe niemal społeczeństwo polskie, zorganizowane w licznych towarzystwach naukowych, społecznych i zawodowych, protestowało gorąco przeciw nadmiernej uprzystępnianiu Tatr, które grozi unicestwieniem ich cech najbardziej wartościowych, przede wszystkim ich pierwotnego piękna.

Protestowała także prasa w setkach artykułów. Widocznie jednak wola społeczeństwa, broniącego przyrody ojczystej i głosy najbardziej wartościowych jego przedstawicieli nie są jeszcze dość silne, skoro znów zjawiają się projekty nowych, niepotrzebnych dróg, zbędnych hoteli i wyciągu, które miały by być wykonane w Tatrach w ciągu nadchodzącego sezonu letniego.

Najwyższy niepokój musi też wzbudzać w społeczeństwie ustąpienie Państwowej Rady Ochrony Przyrody przy Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego



Fragment wnętrza Wystawy Ochrony Przyrody w Krakowie, w czerwcu 1938 r.

i nie mianowanie nowej, wskutek czego wykonywanie ustawy o ochronie przyrody zawisło w powietrzu, co jest szczególnie niebezpieczne wobec coraz częściej ponawiających się zamachów na przyrodę Tatr.

Ubezpieczenie tego organu państwowego przynosi Polsce niepowetowaną szkodę na terenie międzynarodowym, gdzie poprzednio stanowisko Polski w zakresie ochrony przyrody było przodujące.

Organ, który z urzędu powinien by wystąpić z protestem przeciw niszczyielskiej działalności wpływowych czynników, nie rozumiejących jak wielką szkodę moralną wyrządzają społeczeństwu przez niszczenie tak drogiej nam przyrody tatrzańskiej, nieopatrzonym posunięciem został rozwiązany. Wobec tego zgromadzeni w dniu dzisiejszym mieszkańcy Krakowa zwracają się bezpośrednio do Pana Generala, jako Premiera i Ministra Spraw Wewnętrznych, z prośbą o stanowcze przeciwstawienie się wspomnianym projektom i ograniczenie ich do ram, zakreślonych w uchwałach Komisji Organizacyjnej Parku Narodowego Tatrzańskiego, w której brali udział przedstawiciele tak kompetentnych Władz Państwowych jak i Czynników społecznych».

Rezolucję tę przesłano wraz z podpisami obecnych Panu Premierowi.

Praca nad ochroną naszych gór nie ogra-

nicza się wyłącznie do zagadnień tatrzańskich. Krakowski Oddział Ligi Ochrony Przyrody, kontynuując rozpoczętą w r. 1937 pracę nad przysposobieniem kadr fachowych przewodników-przyrodników, których celem będzie zaznajamianie szerokiej rzeszy turystów ze skarbami przyrody górskiej, zorganizował w lecie 1938 r. Instruktorski Kurs Ochrony Przyrody w Pienińskim Parku Narodowym.

Propagowanie hasel ochrony przyrody wśród społeczeństwa a przede wszystkim wsczeplanie ich w młodzież jest jednym z najważniejszych celów jaki postawił sobie Krakowski Oddział Ligi Ochrony Przyrody. Dla zrealizowania tego celu trzeba mieć odpowiednich instruktorów, oraz zainteresować zagadnieniami ochrony przyrody sfery nauczycielskie i młodzież, przygotowującą się do zawodu pedagogicznego. Mając to na względzie Krak. Oddział Ligi Ochrony Przyrody zorganizował w roku szkolnym 1937/38 cykl wykładów z ochrony przyrody w Państwowym Pedagogium w Katowicach i podobny cykl w Państw. Żeńsk. Liceum Pedagogicznym w Krakowie.

Celem przygotowania instruktorów ochrony przyrody zorganizowano w styczniu b. r. V z rędu kursu ochrony przyrody dla słuchaczy przyrody Uniwersytetu Jagiell. Tegoroczny kurs miał za zadanie zapoznać uczest-

ników z wielkim gospodarczym i społecznym znaczeniem ochrony przyrody i złożyło się nań szereg wykładów.

Instruktorzy po odbyciu kursu wykorzystują odrazu czynnie zdobytą na nim wiedzę, wygłaszając pogadanki w gimnazjach i szkołach powszechnych oraz na koloniach letnich. W roku szkolnym 1937/8 wygłosili instruktorzy Ligi Ochrony Przyrody 17 takich pogadanek a w lipcu i sierpniu odwiedzili 9 kolonii wakacyjnych młodzieży szkół średnich i powszechnych. Wyjazdy instruktorów Ligi Ochrony Przyrody na kolonie wakacyjne mają niewątpliwie znaczenie dla ochrony przyrody górskiej, gdyż większość kolonii organizowanych przez Krakowskie Kuratorium Szkolne przebywa w okolicach górzyskich. Instruktorzy więc, zaznajamiając na miejscu młodzież z przyrodą bezpośredniego otoczenia i prowadząc wycieczki do bliższych rezerwatów wyrabiają w niej odczucie piękna przyrody górskiej i zrozumienie potrzeby jej ochrony.

W czasie Dni Krakowa w czerwcu b. r. urządził Krak. Oddział Ligi Ochrony Przyrody wspólnie z Komitetem Ochrony Przyrody i Kołem Przyrodników S. U. J. wystawę ochrony przyrody. Przyroda górską była na niej, rzecz prosta, bogato reprezentowana.

Wystawę tę zwiedziło około 1.900 osób, głównie młodzieży szkolnej.

Jadwiga Dyakowska.

Drugi terenowy Kurs Ochrony Przyrody w Pieninach. Z inicjatywy Krakowskiego Oddziału Ligi Ochrony Przyrody i przy finansowym poparciu Ministerstwa W. R. i O. P. (500 zł.), Komisji Ochrony Gór P. T. T. (250 zł.), Krakowskiego Oddziału Ligi Ochrony Przyrody (100 zł.) i Koła Przyrodników Studentów U. J. (50 zł.), odbył się w dniach od 20—29 lipca b. r. drugi z kolei terenowy Kurs Ochrony Przyrody w Parku Narodowym w Pieninach.

Uczestnicy kursu, przyrodnicy, słuchacze Uniwersytetu Jagiellońskiego, w liczbie 20 osób otrzymali teoretyczne przygotowanie do właściwego kursu w wykładach, które prowadzili pp. prof. dr Bogumił Pawłowski i doc. dr Roman Wojtusiak w czerwcu b. r. w Krakowie. W Pieninach zaś, mieli możliwość w trakcie licznych wycieczek i wykładów w terenie zapoznać się szczegółowo z geologią, florą i fauną oraz gospodarką leśną w Parku Narodowym. Kierownictwo naukowe Kursu spoczywało w rękach pp. prof. dr. Ludwika Horwitza geologa, botanika dr. Jana Walasa i dyrektora Parku Narodowego p. inż. Stanisława Smólskiego, którzy też

w takiej kolejności prowadzili odpowiednie wycieczki i wykłady.

Prof. Horwitz w wykładzie a następnie w całodziennej wycieczce zaznajomił uczestników Kursu szczegółowo z budową geologiczną i stratygrafią Pienin. Dzięki zaś uprzejmości dyrektora Parku Narodowego p. inż. Smólskiego, który wspólnie z prof. Horwitzem wycieczkę tę prowadził, uczestnicy Kursu mieli sposobność przejść przez takie partie Parku Narodowego, do których wstęp zwyczajnym turystom jest wzbroniony. Wycieczka ta więc nie tylko, jeśli chodzi o stronę geologiczną, była bardzo ważna, ale umożliwiła równocześnie zapoznanie się bliższe z gospodarką leśną w Parku Narodowym.

Cztery całodzienne wycieczki, prowadzone przez dra J. Walasa, poświęcone były całkowicie florze Pienin. Oprócz wspomnianych wycieczek, wykład dra Walasa na temat historii flory Pienin, wyczerpał tę stronę naukową Kursu.

Przyjazd w dniu 24 lipca do Krościenka p. rektora prof. dra Władysława Szafera, odbił się żywym echem wśród uczestników Kursu, którzy jasno zdawali sobie sprawę, że mieli zaszczyt gościć w swym gronie nie tylko gorliwego protektora, ale i bojownika idei ochrony przyrody, który od chwili odzyskania niepodległości Polski aż niemal do ostatnich miesięcy kierował jako Delegat Ministra W. R. i O. P. Państwową Radą Ochrony Przyrody. P. rektor prof. dr W. Szafer w osobiście prowadzonej wycieczce a następnie w dłuższym wykładzie, zapoznał uczestników Kursu z bardzo ciekawym z punktu widzenia naukowego przypadkiem odkrycia flory płocięńskiej w jednej z cegielni w Krościenku nad Dunajcem.

W ostatnim dniu Kursu p. inż. S. Smólski poświęcił dwa wykłady faunie Pienin i gospodarce leśnej w terenach objętych Parkiem Narodowym.

Kurs zakończył się w dniu 29 lipca zwiedzeniem pod kierunkiem p. inż. Smólskiego muzeum przyrodniczego i etnograficznego, które mieści się w gmachu Dyrekcji Parku Narodowego w Pieninach.

Kurs był zakwaterowany przez dziesięć dni w jednym z domów należących do plebanii, którego łaskawie bezinteresownie udzielił Przewielebny Ksiądz Dziekan, Bączyński, proboszcz parafii Krościenko nad Dunajcem.

Celem tego rodzaju Kursów Ochrony Przyrody, tak tego który miał miejsce w roku ubiegłym w Tatrach, jakoteż i tego, z którego zdajemy niniejsze sprawozdanie, jest przede wszystkim przygotowanie wśród młodzieży akademickiej studiującej na Uniwersytecie Jagiellońskim nauki przyrodnicze, odpowied-



Uroczystość otwarcia rezerwatu PTT «Kamienie Brodzińskiego».
Przemawia prezes Towarzystwa, prof. W. Goetel.

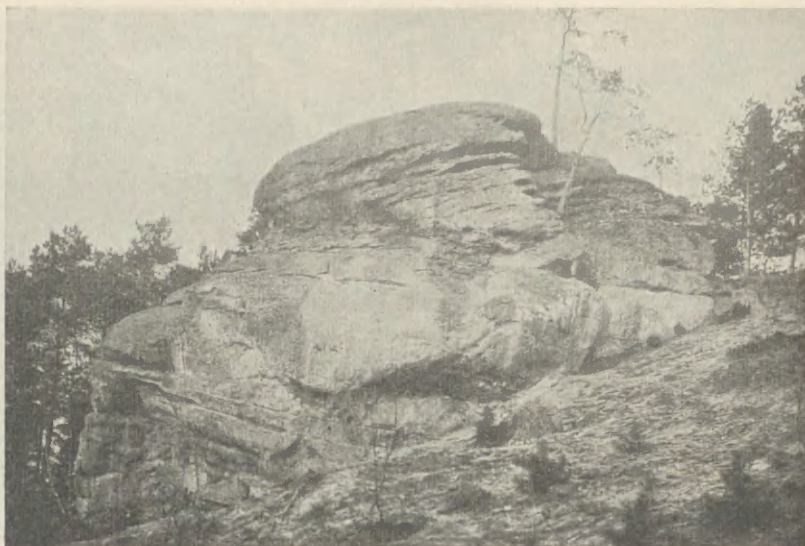
nich kadr instruktorów Ochrony Przyrody. W chwili obecnej, gdy idea ochrony przyrody przeżywa kryzys, tym większa daje się odczuć potrzeba instruktorów, posiadających nie tylko wiadomości teoretyczne, zdobyte w trakcie studiów, ale i posiadających pewien zasób wiedzy praktycznej. Zdobyć zaś tej ostatniej umożliwić mogą tylko kursy terenowe prowadzone pod fachowym kierownictwem. Kursy Ochrony Przyrody spełniają i inne równie ważne zadania. Zwróć uwagę tylko na jeden moment osiągnięty przez Pieniński Kurs Ochrony Przyrody. W roku ubiegłym Kurs miał miejsce w Tatrach w tym właśnie okresie, w którym Państwowa Rada Ochrony Przyrody toczyła o nie zawzięty bój, sprzeciwiając się gospodarce prowadzonej tamże przez oficjalne czynniki kierujące turystyką a zmierzającej wyraźnie pod hasłem «uprzystępniania Tatr», do jak najszybszego pozbawienia ich naturalnego oblicza. A jak wyglądają w zestawieniu z Tatrami Pieniny? Na to pytanie odpowiedź dać może każdy turysta, który tutaj w Pieninach przekonać się może naocznie ile zdziałać potrafi racjonalna gospodarka w przyrodzie, uwzględniająca wszelkie postulaty jej ochrony. I ten moment uznać trzeba za najważniejsze bodajże osiągnięcie i zdobyc takiego Kursu, który nosi nazwę Kursu Ochrony Przyrody. A moment krajoznawczy? Mło-

dzież akademicka, z której rekrutują się uczestnicy Kursów Ochrony Przyrody, nie zawsze ma możliwość spędzenia ferii letnich pod hasłem «poznaj swój kraj ojczysty», gdyż warunki materialne na to jej nie pozwalają. Dzięki dwóm Kursom Ochrony Przyrody pewna część przynajmniej tej młodzieży akademickiej miała sposobność poznać perły polskiego krajobrazu — Tatry i Pieniny.

Z tych to więc i całego szeregu innych jeszcze względów, uważam kontynuowanie tego rodzaju Kursów w przyszłości za bardzo pożądane i ze wszech miar godne poparcia.

Bronisław Ferens.

Otwarcie rezerwatu P. T. T. „Kamienie Brodzińskiego“ Dnia 12 czerwca 1938 r. odbyło się uroczyste otwarcie i oddanie do użytku publicznego pięknego zabytku przyrody, jakim jest rezerwat skalno-leśny P. T. T., nazwany «Kamieniami Brodzińskiego» ze względu na związaną tych odznaczających się romantycznym pięknem okolic Pogórza Wiśnickiego (południowa część pow. bocheńskiego) z osobą urodzonego opodal w Królówce poety a zwłaszcza jego młodymi latami. — Zarząd Główny P. T. T. wraz z Kołem P. T. T. w Bochni (które się rezerwatem opiekują) wykupiły teren 11 a 60 m², obejmujący na malowniczym



«Wielki Kamień» w rezerwacie «Kamienie Brodzińskiego».

Fot. P. Galas

grzbiecie Paprotnej (ok. 15 km od Bochni, ok. 8 km od Wiśnicza Nowego, ok. 4½ km od Lipnicy Murowanej) wyniosła turnię szczytową i położoną poniżej grupę skał (piaskowiec ciężkowicki) oraz otaczający je las szpilkowy. Rezerwat jest wspaniałym punktem widokowym na Beskid Wyspowy i na Pogórze; połączony jest znakowanymi szlakami turystycznymi z całą okolicą, nadająca się szczególnie do celów letniskowych i turystycznych.

Uroczystość otwarcia rezerwatu zgromadziła około 500 osób, wśród których największą rolę przedstawiciele okolicznej ludności włościańskiej (która swym obywatelskim stanowiskiem ułatwiła wykupno i urządzenie rezerwatu), nadto delegaci Zarządu Głównego, z prezesem prof. W. Goetlem i mjr. B. Romaniszynem na czele, Oddz. Tarnowskiego i Koła Bocheńskiego P. T. T., przedstawiciele władz administracyjnych ze starostą powiatowym W. Pałoszem, delegaci organizacji społecznych itd. Poza pięknymi i głębokimi przemówieniami (m. in. prof. P. Galasa, prof. J. Fischera, mjra Br. Romaniszyna, prof. dra W. Goetla, starosty W. Pałosza i innych), uroczystość urozmaiciły popisy działwy szkolnej, chóry i kapele ludowe oraz tańce.

Koło P. T. T. w Bochni przewiduje w bli-

skiej przyszłości możliwość rozszerzenia granic rezerwatu na Paprotnej na sąsiednie grupy skał i okoliczny las grzbiety.

w. mil.

Rezerwat P. T. T. na Kornutach.

W paśmie Magóry Wątkowskiej (Beskid Środkowy) urządził dzięki wydatnej pomocy Komisji Ochrony Gór P. T. T. Oddział Gorlicki P. T. T. piękny skalno-leśny rezerwat o typie średnio-górskim, wykupując partie grzbiety pasma, t. zw. Kornuty, przez które przechodzi jeden z głównych znakowanych szlaków turystycznych w górach zachodniej Łemkowszczyzny, odznaczający się wielkimi walorami widokowymi. Poza niezmiernie interesującymi utworami skalnymi zwraca tam uwagę przepiękna flora, wśród której pojedyncze skupiska rodzimej kosówki, będącej w tym stanowisku, odległym od powszechnie znanych siedzib kosodrzewiny tatrzańskiej lub wschodnio-karpackiej już teraz obiektem poważnych studiów naukowych. Podajemy na następnej stronie parę charakterystycznych widoków z Kornutów. Ubiegłego lata Oddział Gorlicki P. T. T. ustawił na granicach rezerwatu drogowskazy i tablice ostrzegawcze. Rezerwat leży na obszarze gminy Przegonina i posiada powierzchnię 3 ha 32 a 8 m².

w. mil.



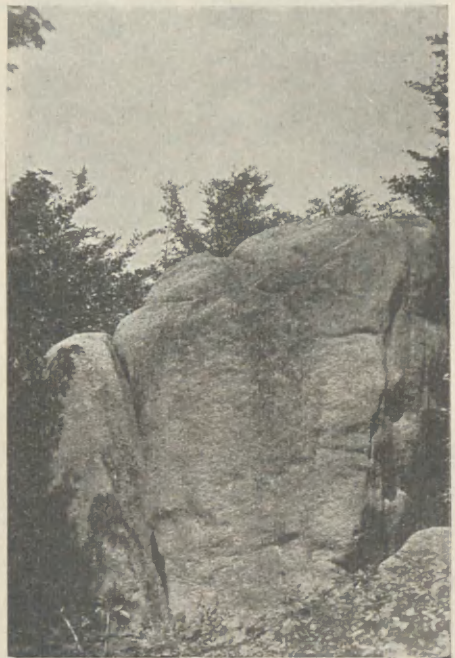
W partiach grzbietowych Kornutów

Fot. A. Wójcik



Skąły i las na Kornutach

Fot. J. Dziępek



Skąły na Kornutach

Fot. J. Dziępek



Lipa w Podobinie. We wsi Podobin (pow. limanowski) na północnych stokach Górców położonej, stała lipa odwieczna, na zboczu górskim w pobliżu starożytnego osiedla góralskiego. Dnia 29 czerwca 1938 r. przeszedł nad Karpatami Zachodnimi silny wichur, który nie miało szkód poczynił — lipę starą zламаł, główny konar rzucił na chałupę Fr. Rakoczego, niszcząc dach i powodując szkodę ok. 1000 zł. Lipa miała już pęknięcia i w b. r. właśnie zainteresowała się nią Komisja Ochrony Gór P. T. T., która zamierzała drzewo zabezpieczyć. Zanim się to stało, lipa uległa zniszczeniu; pozostał



Fot. S. Flizak

pień 6 m wysokości, na którym zboku gałąź żywa utrzymuje się dotychczas. Pień był już bardzo wyrażony, ściany kładłba cienkie; konserwacja nie na wiele lat żywot drzewa by już przedłużyła!

Podajemy widok potężnego pnia sędziwej lipy przed jej złamaniem. Przy sposobności wzmianki o tym drzewie podajemy wiadomość, nadesłaną nam przez prof. S. Flizaka, że istnieje we wsi Podobin tradycja, iż do połowy XIX wieku na lipie tej wisiał szklany dzwon (odłany w hucie w Lubomierzu), na którym dzwoniło w południe i na Anioł Pański; dzwon ten uległ rozbiciu na

skutek rzucenia w niego kamieniem przez zbrodniczą jednostkę. *w. mil.*

„Baszta Kmity“ — charakterystyczna skała zbudowana z szarego piaskowca drobnopiezarnistego tzw. ciężkowieckiego w Gliniem koło Leska (2 km na płd.-wschód od miasta) na wschodniej Łemkowszczyźnie została na skutek interwencji Lwowskiego Komitetu Ochrony Przyrody w tamtejszym urzędzie wojewódzkim uznana za obiekt podlegający ochronie publicznej. *w. mil.*

Zarządzenie o ochronie krajobrazu wydał b. wojewoda stanisławowski odnośnie do obszaru następujących miejscowości: Kosmacz, Hryniawa, Jasienów Górny, Kosów, Kuty, Sokółówka, Zabie, Białoobrezka, Roztoki, Rożen Mały i Wielki, Brunatny, Pistryń, Prokurawa, Szeszory, Delatyn, Jaremcze, Jablonica, Nadwórna, Łanczyn, Mikuliczyn, Pniów, Porohy, Worochta, Zielona, Ostrowy Białe i Czarne, Zarzecze nad Prutem, Krywiec, Rosilna, Babcze, Maniowa, Markowa, Solotwina, Hwozd, Mołotków i Morszyn. W tych miejscowościach mają być stosowane specjalne ograniczenia w zakresie budownictwa, przebudowy lub zmiany zabudowy poszczególnych obiektów oraz całości miejscowości lub ich okolic z punktu widzenia ochrony krajobrazu i właściwości oraz wartości regionalnych.

w. mil.

Rezerwat w Uryczu. Dnia 22 kwietnia 1938 r. p. Wojewoda Stanisławowski wydał zarządzenie «o ochronie tworów przyrody, obejmujących środkową grupę skał z otoczeniem w Uryczu...» Zarządzenie to opiera się na zasadzie art. 5 ustawy o ochronie przyrody z dnia 10 marca 1934 r., a wydano je na prośbę gromady Urycz, po wysłuchaniu opinii Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Ochrona na terenie wskazanym w zarządzeniu polega na zakazie dokonywania wszelkich zmian bez pozwolenia władzy państwowej w przedmiotach i ich otoczeniu, na zakazie wszelkiego użytkowania gospodarczego i zakazie umieszczania na obszarze chronionym tablic, ogłoszeń i napisów, z wyjątkiem tablic ostrzegawczych o rezerwacie — wreszcie na ograniczeniu swobodnego dostępu do chronionych skał. Sposób zwiedzania rezerwatu przez turystów określa «regulamin dla zwiedzających twory przyrody w Uryczu podlegające ochronie», dodany jako aneks do omawianego rozporządzenia. Regulamin podobny jest w zasadniczej treści do regulaminów

wydawanych przez Administrację Lasów Państwowych dla rezerwatów znajdujących się na terenie Lasów Państwowych. Wstęp do rezerwatu jest płatny, nie powiedziano jednak wyraźnie komu przypadać ma użyskana z opłat suma. Zresztą zakazane są wszelkie czynności, które mogą odbić się ujemnie na wyglądzie skał. Dobrze się stało, że rezerwat o którego utworzenie od wielu lat walczyło P. T. T. a w szczególności jego Oddział w Drohobyczu, został zorganizowany na podstawach prawnych.

w. mil.

W Czecho-Słowacji o kolejce na Łomnicę. W zeszycie 4-tym «Horolezca», organu Klubu Alpinistów Czechosłowackich ogłosił dr F. V. Kroutil dłuższy artykuł p. t. «Osúd Lomnického štítu», w którym najwięcej miejsca poświęcił sprawie budowanej kolejki linowej na Łomnicę. Przytoczywszy wszystkie argumenty, wyliczane przez zwolenników kolejki, autor wykazuje po kolei ich bezpodstawność, posługując się szerokim materiałem dowodowym i znakomitą orientacją w sprawach turystyki tatrzańskiej. Zwalczając dzikie ambicje kolejkowiczów wyrażane w zdaniu: «To také nemá celá Evropa», cytując głośne oświadczenie gen. Manaresi, prezesa Centro Alpinistico Italiano, wypowiedziane w 1936 r. w związku z projektowaną wówczas kolejką na Matterhorn: «Oznajmiam, że Włoski Klub Alpejski nigdy nie udzieli aprobaty tego rodzaju inicjatywie». A wspominając w zakończeniu dole umarłych stawków tatrzańskich, «oczcu tatrzańskiej przyrody», przypomina, że Łomnica wznosi się nad jednym z nich, t. zw. Lęjkowym Stawkiem: «Dolem, w zanikłym stawku, zamknęły się oczy, zgasała dusza Tatr. I nasz szczyt ginie i wśród wybuchów dynamitu, «pod pyłty s piskiem a cementem,

pod bubny ocelového lana» kończy swe istnienie pierwszego, wspaniałego, historycznego szczytu Tatr.

Albowiem jak narody, tak i górskie szczyty żyją i umierają». *n. d.*

Kozice a narciarze. Inż. Miroslav Némec ogłosił w czeskim piśmie «Straž Myslivosti» artykuł o niebezpieczeństwie, jakie kozicom grozi w Tatrach, skoro się narciarze na zboczach wierchów pokażą.

Stwierdza on, że piesi turyści, poruszający się zazwyczaj po znakowanych, ściśle określonych szlakach, najmniej zakłócają spokój kozicom, natomiast pewnikiem już jest, że z dolin Tatr Wysokich, nawiedzanych ostatnio coraz częściej przez ludzi zimą (np. dolina Hlińska) kozice usuwają się w kierunku Tatr Zachodnich, gdzie znajdują więcej upragnionego spokoju. Statystyka wykazuje, że ostatnio w okolicy Krzyżnego Liptowskiego stan kozic się zwiększył, natomiast ogromne straty liczebne wykazują kozice w okolicy Stawu Popradzkiego i Szczyrbskiego Jeziora, gdzie właśnie ruch narciarski w ostatnim sezonie zimowym był najwyższy.

W dobrach państwowych na południowych zboczach Tatr stan kozic obniżył się o 10% w roku 1937. Jeszcze większa jest różnica w stosunku lat 1937 i 1938. W roku 1937 naliczono tu 409 (w tym 28 młodych) kozic, w r. 1938 doliczono się już tylko 262 (23 młodych). A więc ubytek 147 sztuk w jednym rewirze!

Wniosek: stworzyć należy w Tatrach Wysokich po stronie słowackiej rezerwat wyłączny dla kozic i wyznaczyć trzeba tereny dla ruchu narciarskiego tak określone, by ruch ten nie przeszkadzał pierwotnemu zwierzo-
mg.

SPRAWY TURYSTYCZNE.

Ratownictwo w Tatrach w 1938 r. (Sprawozdanie z działalności Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, Sekcji Ratowniczej Oddziału Zakopiańskiego P. T. T.). — Skład Zarządu TOPR był ten sam co w roku ubiegłym, tj. prezes: dyr. Tadeusz Malicki, I wiceprezes: Andrzej Marusarz, II wiceprezes: mgr. Zbigniew Korosadowicz, sekretarz: Ignacy Bujak, gospodarz: Stanisław Zdyb, skarbnik i kierownik Pogotowia Górskiego: Józef Oppenheim, członkowie Zarządu: Stanisław Gąsienica z Lasu, Stanisław Gąsienica Byrcyn i An-

drzej Wawrytko, lekarz Pogotowia: Witold Paryski. Prezydium odbyło dwa posiedzenia dla załatwienia aktualnych spraw, sekretariat pracował w ścisłym porozumieniu z Prezydium, prowadził korespondencje, ewidencje wypadków oraz organizował wyprawy ratownicze. Gospodarz Pogotowia czuwał nad inwentarzem ratunkowym, uzupełniał go w miarę potrzeby i porządkował po wyprawach. Kierownik Pogotowia prowadził całość ratowniczych wypraw, ich likwidację, utrzymywał ścisły kontakt z członkami Pogotowia Górskiego oraz z bratnią instytucją ratow-

niczą po stronie południowej Tatr. T. O. P. R. dzięki subwencji Zarządu Głównego PTT (zł. 1700), Gminy Uzdrawiskowej Zakopane (zł. 1000), oraz T. K. N. (zł. 500, na materiały opatrunkowe do schronisk i na częściowe pokrycie wypraw) utrzymało wysoki poziom zdolności do akcji ratowniczych w b. r., który ilością wypadków górskich nie różnił się zupełnie od roku ubiegłego. Wydział Turystyki Ministerstwa Komunikacji udzielił subwencji w kwocie zł. 1000 w styczniu 1938 roku, jako dotację za rok 1937, zaś za rok 1938 przyznał na październiku t. r. subwencję zł. 1500. W okresie zimy TOPR utrzymywało dwóch stałych dyżurnych Pogotowia Górskiego na Kasprowym Wierchu (Józef Wawrytko i Stanisław Gąsienica z Lasu), których koszta opłacało T. K. N. — W lecie, przez lipiec i sierpień dyżurowała w Dworcu Tatrzzańskim również dwóch członków Pog. Gór., opłacanych przez Zarząd Główny PTT i TOPR po połowie. Wielką trudność w organizowaniu akcji ratunkowej sprawia brak telefonów do schroniska na Pysznnej i w dolinie Pięciu Stawów Polskich. T. O. P. R. urządziło we wrześniu br. pokaz akcji ratownictwa w terenie dla obozu wysokogórskiego podchorążych W. P.

Seria wypraw ratunkowych w roku sprawozdawczym rozpoczyna się od śmierci ś. p. Zdzisława Słowińskiego, zamieszkałego w Kościelisku-Kiry, który zginął w lawinie śnieżnej pod Tomanową Liptowska.

Dnia 27 listopada 1937 r. o godz. 10.30 zawiadomił telefonicznie Pog. Gór. ojciec ś. p. Słowińskiego, że syn jego został pod Tomanową zasypany lawiną, towarzysz zaś jego Jan Sobczyk mimo, że był w niedużej odległości od miejsca gdzie spadła lawina, nie zdołał odnaleźć i udzielił pomocy zasypanemu. Pog. Gór. wyruszyło natychmiast dwoma takśówkami do dol. Kościeliskiej w składzie: J. Oppenheim, Andrzej Marusarz sen., Stanisław Roj, Jan Ceberniak, Władysław Gąsienica, Józef i Jan Gąsienica Tomków i ochotnicy Jan Sobczyk i Tadeusz Paudyn. Do wyprawy przyłączyli się również strażnicy lasów państwowych Józef Stopka Działuś i Stanisław Karpiel. Poszukiwania trwały przez sobotę (27 listopada) do zmroku i przez całą niedzielę, bezskutecznie. W niedzielę przybyli do Tomanowej na pomoc w poszukiwaniu H. Bednarski, K. Schiele, Fr. Bujak, Józef Wawrytko, Szymon Zarzycki, Józef Słowiński, Wowkonowicz i bracia Sobczykowie. W dni te panowała w górach tak silna zadyмка śnieżna, że wicher wyrwywał z rąk żelazne pręty do sondowania i obalał pracujących. W tych warunkach trudno było trafić na jakikolwiek ślad po zasy-

panym w lawinie. Ponieważ znikła wszelka nadzieja znalezienia narciarza jeszcze przy życiu, Pogotowie wróciło nocą drugiego dnia wśród niesłychanie ciężkich warunków. Akcja ta nie miała dotąd równej sobie pod względem trudności w jakich się odbywała. Przez cały następny tydzień różni narciarze poszukiwali ś. p. Słowińskiego i dopiero gdy śnieżyce ustały, Chotarski z Zakopanego trafił przypadkowo sondą na zwłoki znajdujące się pół metra pod lawiną. Ciało znajdowało się w pozycji leżącej, u jednej nogi przypięta była narta, drugiej brak, z boku leżał kijek narciarski. Pogrzeb śp. Słowińskiego odbył się w Kościelisku przy licznych udziale przyjaciół i kolegów Zmarłego.

Dnia 30 grudnia 1937 r. zablądził przy zjeździe na nartach z Kasprowego Wierchu do Cichej Doliny zamiast do Goryczkowej sztygar ze Śląska Stefan Tobiczky. Zaniepokojona jego nieobecnością żona dała znać do Pog. Rat., które w składzie: Stanisław Roj i Stefan Idzikowski wyruszyło na poszukiwania. W górach panowała mgła, co utrudniało bardzo akcję. O wypadku zawiadomiono również Pog. Górskie czeskosłowackie. Tymczasem zaginiony blądząc dotarł do Hradku, skąd dopiero na trzeci dzień powrócił do Zakopanego.

Dnia 9 stycznia 1938 r. zginął w lawinie w Suchym Żlebie w Kalatówkach adwokat z Zakopanego b. p. Dr Otto Wachs. Wypadek zdarzył się na wysokości drugiej skałki. Na oczach towarzyszy lawina pyłowa porwała dra Wachsa i pokryła go śniegiem tak, że mimo natychmiastowych poszukiwań towarzyszy nie zdołano natrafić na zasypanego. Z Kalatówek zawiadomiono Pog. Górskie, które natychmiast przybyło na miejsce w składzie: J. Oppenheim, Andrzej Marusarz sen., Jan Obrochta, Józef Stopka i Jan Gąsienica Tomków i łącznie z wielką ilością (około 200) narciarzy znajdujących się w tym dniu (niedziela) na Kalatówkach rozpoczęło usilne systematyczne poszukiwania. W krótkim czasie Franciszek Bujak natrafił sondą na ciało zasypanego. Zastosowano natychmiast wszystkie środki dla przywrócenia życia ofierze wypadku, w czym specjalnie dużo trudu i starań dokładał p. Dr Stefan Wesołowski, chirurg szpitala św. Łazarza w Warszawie, lecz wszelkie zabiegi okazały się bezskuteczne. B. p. Wachs poniósł śmierć wskutek uduszenia pyłem śnieżnym, a nadto doznał również i wewnętrznych obrażeń. Zwłoki znajdowały się na głębokości 1.20 m pod śniegiem. Lawina miała około 150 m długości, 25 m szer. i 2 m grubości.

Dnia 27 stycznia 1938 r. zginął w lawinie nad Morskim Okiem służący schroniska PTT ś. p. Władysław Bachleda. Lawina sto-

czyła się ze stoków Miedzianego na staw, a siła prądu powietrza była tak wielka, że cała weranda schroniska uległa zupełnemu zniszczeniu. W tym momencie na stawie pracowało dwóch ludzi przy rąbaniu lodu. Masy śniegu porwały jednego z nich i zaniósły na stoki Zabiego, drugiego zaś (Bachledę) zasypały bez śladu. Zawiadomione o wypadku Pog. Gór. wyruszyło zaraz do Morskiego Oka, ale mimo intensywnych poszukiwań ciała ś. p. Bachledy nie znaleziono. Zostało ono, jak się później okazało, wtłoczone masami śniegu pod lód i dopiero w pierwszych dniach czerwca po stajaniu lodów znaleziono zwłoki w stawie.

Dnia 11 lutego 1938 r. wyruszyła na nartach z Zakopanego przez Łysą Polanę Felicja Nordówna z Przemyśla, nauczycielka w Krakowie. Po przejściu granicy wszelki ślad po niej zaginął. Nordówna była początkującą narciarką. Tak nasze jak i czeskosłowackie Pog. Gór. czyniło poszukiwania przez długi czas za zaginioną, lecz bezskutecznie. Dopiero sześć miesięcy później (dnia 10 sierpnia) władze czeskosłowackie doniosły, że znaleziono zwłoki b. p. Nordówny pod Łomnicą w dolinie Zimnej Wody. Zwłoki zidentyfikowano na podstawie znalezionych przy zmarłej dokumentów. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie wskutek wyczerpania i przemrożenia. Zwłoki zabrała matka do kraju.

Dnia 29 marca zwrócono się telefonicznie z Katowic do Pogotowia o wszczęcie poszukiwań w Tatrach za p. dr. Stefanem Kossakiem i p. Edwardem Banasiem, którzy jeszcze dnia 27 marca wyruszyli na nartach z dol. Pięciu Stawów Polskich na Przełęcz Tomanową, w towarzystwie p. Adama Staniszwskiego. Na poszukiwania zaginionych wyruszyli Stanisław Roj, Jan i Józef Gąsienica Tomków i Andrzej Marusarz sen. Równocześnie dano znać telefonicznie do czeskosłowackiego Pog. Gór. o zaginięciu turystów. W międzyczasie wrócił do Zakopanego p. Staniszewski i zdał relację z przebiegu niefortunnej wycieczki. Przy podejściu na Tomanową rozdzielili się turyści w ten sposób, że Staniszewski szedł prosto na przełęcz pod nawis śnieżny, zaś dr Kossak z towarzyszem kierowali się ku przełęczy prawą stroną, podchodząc kosówkami i grzędą, aby uniknąć ewent. lawiny. Ponieważ zaskoczyła ich silna śnieżycza, narciarze stracili ze sobą kontakt. Staniszewski dotarł do restauracji Słowińskiego i tu czekał daremnie na towarzyszy, którzy tymczasem zjechali do Podbańskiej, następnie do Przybyliny i koleją wrócili do Katowic, skąd dopiero dali znać do Pog. Ratunkowego, aby ich nie szukano. Pogot. Górskie, które poszukiwało wyżej wspomnianych narciarzy udzieliło po drodze

pomocy narciarzowi, który w dniu 29 marca przy przejściu Czerwonych Wierchów musiał pod Krzesanicą zanocować z powodu niedyspozycji i zupełnego wyczerpania. O wypadku tym zawiadomił Pog. Gór. telefonicznie przewodnik Władysław Gąsienica, który prowadząc narciarza nie był w stanie sam jeden dać wyczerpanemu pomocy.

Dnia 15 kwietnia zawiadomiono ze schroniska w dol. Chochołowskiej telefonicznie o zaginięciu dwóch skautów: Miecz. Dębskiego i J. Marczukajtisa, obu z Warszawy, którzy w trudnych warunkach atmosferycznych wyruszyli na Wołowiec i do schroniska nie powrócili. Lekarz Pogotowia Rat. Witold Paryski wysłał na poszukiwania za zaginionymi Szymona Żaryckiego, Stanisława Roja, Andrzeja Marusarza jun. i Jana Gąsienicę Tomkowego. Pog. Rat. jednak wróciło z dol. Chochołowskiej, gdyż zaginionieni dali znać o sobie ze schroniska na Zwierówce, ze zbłądziwszy, tam dotarli.

Dnia 17 kwietnia na wezwanie telefoniczne z Cyrli wyruszyło Pog. Gór. pod Kopieniec, gdzie p. Hanna Starczewska, słuch. Polit. z Warszawy przy upadku na nartach doznała silnego obrażenia kregosłupa. Pogotowie Gór. zniósło ranną na Cyrle, po czym karetka pogotowia odstawiono ją do szpitala.

Dnia 27 kwietnia zwrócono się telefonicznie do Pogotowia Gór. z prośbą o poszukiwania za dwoma turystami, pp. Stefanem Podgórskim i Jarosławem Skarżyńskim, oboma z Warszawy, którzy już od tygodnia bawili w górach i opóźnili powrót na oznaczony dzień. Na poszukiwania wyruszyli Andrzej Marusarz sen. i Wojciech Wawrytko do Pięciu Stawów Polskich, a niezależnie od tego nasze Pog. zwróciło się do czeskosłowackiego Pog. z prośbą o poszukiwania zaginionych. Tymczasem narciarze już następnego dnia powrócili do Zakopanego.

Dnia 8 czerwca zawiadomiła Pog. Gór. żona dróżnika przy Wodospadach Mickiewicza, że przyszedł tam turysta wyczerpany i poraniony i prosi o pomoc dla swych towarzyszy, którzy nocowali w ścianie Świstówki i jeszcze się tam znajdują, on zaś sam z trudem zszedł ze ściany. W czasie schodzenia kilkakrotnie zleciał po śniegu żłebem i doznał powierzchownych zranień. Pog. Gór. wyjechało w składzie: mgr. Zb. Korosadowicz, Andrzej Marusarz sen., Andrzej Wawrytko i Andrzej Marusarz jun. i sprowadziło ze żłebu Świstówki turystów, którymi byli: pp. Józef Blaschke z żoną Małgorzatą z Katowic i Bernard Zdenek.

Dnia 18 czerwca p. Zdz. Rittersschild dał znać telefonicznie ze Strażysk około godz. 19-tej, że w północnej ścianie Giewontu pod krzyżem utknął turysta i woła o pomoc. Na

noc wyruszyli do Strażysk Andrzej Marusarz sen. i Andrzej Marusarz jun., Stanisław Gąsienica Byrcyn, Jan Gąsienica Tomków i Andrzej Wawrytko. Następnego dnia o świcie sprowadzono cało i zdrowo turystę, którym okazał się Stanisław Borkowski z Krakowa.

Dnia 21 lipca o godz. 16.50 zawiadomiono Pog. Gór. ze stacji na Kasprowym Wierchu, że turyści schodzący ze Świnicy słyszeli wołania dwóch osób o pomoc. Pogotowie Gór. wyruszyło natychmiast ku Świnicy, ale już wcześniej p. Stanisława Pfaffiusowa z Warszawy przechodząc w tej stronie udzieliła pomocy w zejściu z pierwszego uskołu grani Walentkowej początkującym turystom Janinie Nowosławskiej i Romanowi Kwincie.

Dnia 6 sierpnia pod szczytem Koziego Wierchu uległ w czasie burzy silnemu potłuczeniu mgr. Stanisław Majewicz z Krakowa. Koledzy ciężko rannego i zaalarmowani przygodni turyści (wśród których znajdował się znany poeta i turysta, red. «Kameny» K. A. Jaworski) znieśli go do schroniska przy Pięciu Stawach po czym w dolinie Roztoki przekazali go Pogotowiu. Mgr. Majewicz doznał ciężkich ran na głowie i groziła mu utrata oka. Ale wynik długiego leczenia okazał się zadawalniający.

Dnia 10 sierpnia zawiadomiono telefonicznie z Hali Gąsienicowej, że przy wchodzeniu na Kozi Wierch od północy spadł jakiś turysta, a towarzysz jego woła o pomoc. Pog. Rat. w składzie: Józef Wala Bachleda, Szymon Zarycki, Wojciech Wawrytko i Władysław Gąsienica wyruszyło natychmiast na miejsce wypadku i zniosło ku schronisku zwłoki ś. p. Romana Górskiego, ostatnio art. teatru w Katowicach, który uległ w czasie upadku rozbiciu głowy i połamaniu rąk i nóg. Zwłoki zabitego sprowadził Związek Artystów Scen Polskich do Warszawy.

Dnia 13 sierpnia na telefoniczne zawiadomienie wyruszyło Pog. Rat. na Zawratowa Turnię po turystów pp. Spitzmana i Wolfa. Turyści ci poprzedniego dnia wyruszyli z Pięciu Stawów Polskich w kierunku Zawratu i Świnicy, jednakowoż stracili orientację i zabłądzili na Zawratową Turnię, gdzie zmuszeni byli zanoćować. Wolf zdołał zejść sam do Zakopanego zaś Spitzmanowi udzielił pierwszej pomocy w zejściu p. Jan Staszel, po czym Pogotowie sprowadziło go cało i zdrowo.

Tegoż dnia zawiadomiono telefonicznie z Morskiego Oka Pog. Gór., że pod Przełęczą pod Chłopkiem zmarł turysta zdążający z Popradzkiego Stawu do Morskiego Oka. Turysta ów dr Józef Weinheber z Katowic, był w towarzystwie turystki, która

o śmierci jego dała znać do schroniska. Pog. Gór. w składzie J. Oppenheim, Wojciech Juhas, Szymon Zarycki, Stanisław Gąsienica Byrcyn, Jan Gąsienica Tomków i ochotnik Jan Makuc wyruszyli z Morskiego Oka. Ciało zmarłego znaleziono około 150 m niżej przełęczy po południowej stronie. Śmierć turysty nastąpiła prawdopodobnie wskutek osłabienia serca. Pog. Gór. zniosło zwłoki do szosy przy Morskim Oku, skąd odstawiono je do Zakopanego. Rodzina przewiozła następnie zwłoki do Katowic.

Na tym kończy się sprawozdanie z działalności Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego w Zakopanem za okres od listopada 1937 do końca listopada 1938 roku.

I. B.

Likwidacja Związku Pol. Tow. Turystycznych. Po dziesięcioletnim okresie pracy uległ w bież. roku likwidacji wskutek uchwały nadzwyczajnego walnego zjazdu delegatów Związek Polskich Towarzystw Turystycznych, stworzony dla koordynacji czynności poszczególnych organizacji turystyki czynnej w Polsce. Prace Związku w tej dziedzinie napotykały w ostatnich paru latach wiele trudności, tak, że aktywność swą skierował głównie ku publikacji tomów pracowicie i pilnie opracowywanego, czterotomowego «Przewodnika po Polsce» (polskiego «Baedekera»), którego dwa tomy już się ukazały, Majątek swój Z. P. T. T. przelał pod pewnymi warunkami na P. T. T.; chodzi tu w szczególności o prowadzenie dalej akcji wydawania powyższego «Przewodnika».

d. i.

Narciarski Komunikat Śniegowy T. K. N. i P. I. M. W okresie zimowym 1937/38, od grudnia do kwietnia ukazywał się, podobnie jak w latach poprzednich, narciarski Komunikat Śniegowy Towarzystwa Krzewienia Narciarstwa w Krakowie i Państwowego Instytutu Meteorologicznego w Warszawie, redagowany przez dra Władysława Milatę. Komunikat ten był drukowany co tydzień w piątki w formie biuletynu i rozsyłany po całej Polsce w 750 egzemplarzach. W tym samym dniu wieczorem był ogłaszany przez radio z Krakowa na całą Polskę, a w sobotę ukazywał się na łamach prasy w Warszawie, Krakowie, Katowicach, Poznaniu, Lwowie i Wilnie. Poza tym w tłumaczeniu niemieckim był przesyłany do Wrocławia, Bytomia, Gliwic, Opola, Berlina, Pragi, Berna Mor., Wiednia i Budapesztu.

Ponad to jako dodatki do komunikatu ukazywały się: poradnik kole-

jowy Ligi Popierania Turystyki, oraz pierwszy tego rodzaju w Polsce komunikat T. K. N. dla automobilistów, informujący o warunkach komunikacyjnych na ważniejszych karpaccich drogach samochodowych.

Poparcie udzielone temu wydawnictwu przez Wydział Turystyki Ministerstwa Komunikacji i Ligę Popierania Turystyki w Warszawie, oraz siedem lat pracy i doświadczenia dla narciarskiej służby śniegowej i pogodowej, pozwoliło na dalsze ulepszenie i usprawnienie komunikatów śniegowych, tak, iż wydawnictwo to znacznie przewyższyło tego rodzaju publikacje zagraniczne (niemieckie, czeskie, włoskie i francuskie).

W okresie zimowym 1938/39 narciarski komunikat śniegowy, jeszcze więcej usprawniony, będzie się ukazywał co tydzień w czwartki w godzinach po południowych, a wieczorem tego dnia będzie ogłaszany przez radio z Krakowa na całą Polskę.

Ponadto w okresie zawodów F. I. S. w lutym 1939 roku będzie się ukazywał specjalny, codzienny komunikat śniegowy i pogodowy Karpacckiej Komisji Śniegowej i Lawinowej z obszaru Beskidów Zachodnich i Tatr, w czterech językach: polskim, niemieckim, angielskim, francuskim.

mt.

Założenie Polskiego Towarzystwa Wypraw Badawczych. W ciągu roku 1937 nastąpiło w Warszawie założenie Polskiego Towarzystwa Wypraw Badawczych, organizacji dla przyszłego rozwoju wypraw zamorskich niezmiernie ważnej i w ogólnej organizacji kulturalnej ekspansji polskiej mogącej odegrać doniosłą rolę.

Z myślą powołania do życia instytucji tego rodzaju wystąpił pierwszy na wiosnę 1935 r. dr Jan K. Dorawski, ówczesny wiceprezes Klubu Wysokogórskiego (Sekcji Turystycznej) PTT. Chodziło o to, że gdy Klub Wysokogórski pierwszy natknął się na trudności, związane zarówno z przygotowaniem wypraw (nieдостateczne fundusze) jak i z ich przeprowadzeniem (sprawa opieki dyplomatycznej i ułatwień finansowych) i wszechstronnym wykorzystaniem (znowu niedostateczne fundusze na propagandę, wydawnictwa etc.) — środkiem do celowej naprawy tego stanu rzeczy miał się stać specjalny «Komitet Wypraw Egzotycznych», powołany jako czynnik reprezentacyjny i funduszozbiorczy.

Wówczas projekt ów nie doszedł jednak do skutku i dopiero w dwa lata później spotkał się z życzliwym przyjęciem memoriał w tej sprawie, złożony przez delegację Zarządu Głównego i Klubu Wysokogórskiego

PTT (w osobach prof. dra W. Goetla, inż. S. Bernadzikiewicza, inż. A. Karpińskiego) w Min. Spr. Wojsk. Zagadnienie oparto tym razem na znacznie szerszej podstawie — osobnego towarzystwa a nie Komitetu, i opieki nad wszelkimi wyprawami badawczymi, nie tylko wysokogórskimi. Pan Minister Spraw Wojskowych gen. dyw. Tadeusz Kasprzycki, tak zawsze życzliwy poczynaniom PTT i tym razem nie odmówił swej cennej pomocy, i w ten sposób już w maju 1937 r. można było przystąpić do wstępnych przygotowań.

Inauguracyjne zebranie towarzystwa odbyło się we wrześniu 1937 r. Powołało ono do życia prowizoryczny Zarząd, po czym w listopadzie tegoż roku odbyło się zebranie konstituujące Towarzystwa. Niebawem zaproszony oficjalnie przez specjalną delegację, p. Minister Kasprzycki zgodził się sam stanąć na czele organizacji. Dnia 20 grudnia 1937 r. okres organizacyjny PTWB dobiegł końca: pod przewodnictwem prezesa p. Min. Kasprzyckiego odbyło się konstituujące zebranie Rady Naczelnej PTWB (do której wchodzi przedstawiciele każdego z towarzystw zakładających PTWB), na którym zatwierdzono statut towarzystwa i wybrano jego pierwszy Zarząd.

Statut PTWB przewiduje w § 6 jako jego cele: «a) pomoc w pracach i zamierzeniach zrzeszonych organizacji i instytucyj w dziedzinie wypraw badawczych, o charakterze naukowym, gospodarczym lub sportowo-odkrywcym; b) pieczę nad należytą wartością i poziomem wypraw, a to przez koordynowanie i uzgadnianie zamierzeń organizacji i instytucyj zrzeszonych, przy czym dla wypraw o charakterze naukowym zasięga się opinii kompetentnych instytucyj naukowych, a w szczególności Polskiej Akademii Umiejętności wzgl. Rady Nauk Ścisłych i Stosowanych; c) inicjowanie wypraw i układanie inicjatyw towarzystw zrzeszonych, w ramach planu jednorocznego lub wieloletniego; d) pomoc przy opracowywaniu i ogłaszaniu wyników wypraw, realizowana przede wszystkim pod kątem widzenia wszechstronnego wykorzystania wypraw dla dobra państwa...» Jako założyciele Towarzystwa wystąpili: Instytut Morski, Klub Wysokogórski PTT, Liga Morska i Kolonialna, Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, Państwowy Instytut Geologiczny, Państwowy Instytut Meteorologiczny, Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przeprosobienia Wojskowego, Polskie Towarzystwo Geograficzne, Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Polski Instytut Współpracy z Zagranicą, Towarzystwo Geograficzne w Poznaniu, Wojskowy Instytut Geograficzny i Związek Pionierów

Kolonialnych. W skład Zarządu weszli: prof. dr J. Loth i mjr M. B. Lepecki jako wiceprezisi, dr T. Bernadzikiewicz jako sekretarz, rtm. A. Tuczemski jako skarbnik i inż. S. Daszyński, sen. J. Dębski, prof. dr W. Goetel, prof. dr S. Lencewicz, pplk. J. Lewakowski i prof. dr S. Smoleński jako członkowie Zarządu.

P. T. W. B. w lecie 1938 r. sfinansowało w znacznej części wyprawę naukową na Spitsbergen (p. str. 207) i jeszcze przed upływem 1938 r. ma sfinansować wyprawę naukową w Ruwenzori (w tej ostatniej znajduje się również grupa alpinistów). Na rok 1938 przewidywało zresztą PTWB na pierwszym miejscu poparcie dla zamierzonej wyprawy Klubu Wysokogórskiego PTT w góry Azji Centralnej; niezużyte na ten cel fundusze zostały zarezerwowane na rok przyszły.

Założenie Polskiego Towarzystwa Wypraw Badawczych powitał świat polskich turystów górskich z zadowoleniem. W ramach swego autorytetu nie powinno towarzystwu przychodzić ze szczególną trudnością wypełnianie wyznaczonych sobie celów. Dlatego, chcąc w nim widzieć udoskonalone narzędzie swoich zamierzeń w zakresie ekspansji egzotyczno-odkrywczej, Zarząd Główny i Klub Wysokogórski PTT starają się wziąć jak najżywszy udział w jego pracach i dalszej działalności.

J. A. Szcz.

Zmiany u sąsiadów. W związku z przewrotem państwowym w Czecho-Słowacji w jesieni 1938 r. nastąpiły u naszych sąsiadów również daleko idące zmiany w dziedzinie organizacji turystyki, które nie są jeszcze zakończone. Podajemy zatem tylko krótką informację o faktach, które na tym polu nastąpiły do końca listopada 1938 roku:

Dotychczas jednolity Klub Czeskosłowackich Turystów, z którym P. T. T. od lat współpracowało w dziale terenowej gospodarki turystycznej, wymagającym porozumiewania się sąsiedzkiego w licznych kwestiach na wspólnym pograniczu górskim, rozdzielił się w październiku 1938 roku na osobne organizacje: czeską i słowacką. Organizacja czeska ma się nazywać «Spolek Českých Turistů a Lyžařů» i objąć ma całą organizację i gospodarkę turystyczną i narciarską w Czechach i na Morawach (zniknąć mają więc pomniejsze organizacje, jak Svaz Č. S. Dělnických Turistů, Č. S. Obec Turistická itp.).

W Słowacji odbyło się dnia 6 listopada w Liptowskim Św. Mikuluszu zebranie 40 delegatów słowackich oddziałów Klubu Czesko-Słowackich Turystów, słowackich sekcji Svazu Lyžiarov oraz taternickiego klubu «James», którzy postanowili zjednoczyć się

w nową organizację: *Klub Slovenských Turistov a Lyžiarov* (K. S. T. L.). Klub ten otrzymał w parę dni później od centrali K. Cz. S. T. w Pradze cały majątek K. Cz. S. T. na obszarze Słowacji. Siedzibą władz naczelnych K. S. T. L. będzie Liptowski Św. Mikulusz. Z dotychczasowych wiadomości zdaje się wynikać, że nowy Klub który już w swej nazwie jednoczy zainteresowania turystyczne i narciarskie, nie zajmie się prawdopodobnie sportem narciarskim, skoro jednocześnie powstaje Slovenský Lyžiarský Sváz (Słowacki Związek Narciarski) z siedzibą w Bańskiej Bystrzycy, znanym ośrodkiem sportów zimowych Środkowej Słowacji.

Możemy tu jeszcze dodać, że zebranie konstytucyjne K. S. T. L. wybrało komitet organizacyjny, do którego weszli pp.: dr A. Piñoniak, notariusz w Kieżmarku, jako przewodniczący; F. Lipták, kierownik elektrowni w Spiskiej Nowej Wsi, jako wiceprezes; prof. Rakovský z Lipt. Św. Mikulusza; dr inż. Šimčíško z Bańskiej Bystrzycy; dr L. Izák, lekarz w Turczańskim Św. Marcynie i dyr. M. Mlynarčík z Żiliny.

w. mil.

Międzynarodowe zjazdy alpinistyczne w 1938 r. odbyły się w Pradze — jeszcze przed rozstrzygającymi wypadkami politycznymi w Czecho-Słowacji.

Od 30 czerwca do 2 lipca b. r. obradował zjazd Rady Asocjacji Słowiańskich Tow. Turystycznych. Przewodniczył prof. dr R. Kettner. Pierwszy dzień obrad poświęcony był uroczystemu otwarciu zjazdu i właściwemu zjazdowi Rady. Protokół z poprzedniego zjazdu Rady i sprawozdania prezydium Rady i Stałego Sekretariatu zatwierdzono jednomyślnie. Zmianę statutu A. S. T. i regulaminu Stałego Sekretariatu odłożono do następnego zjazdu. Zatwierdzono budżet na lata 1938 i 1939. Przyjęto wniosek Zw. Tow. Turystyki Górskiej w Jugosławii, aby przywrócić coroczne zwoływanie zjazdów Rady A. S. T. Dokonano wyborów członków Rady A. S. T. Prezesura przypadła drowi Fr. Tomišekovi z Lublany, sekretarzem obrano dra Pretnara z Lublany (Jugosławia); miejsce I wiceprezesa zostawiono dla osoby prezesa Bułgarskiego Związku Turystycznego w Sofii, II wiceprezesem pozostał prof. dr W. Goetel (P. T. T.), kierownik Stałego Sekretariatu A. S. T. w Krakowie, skarbnikiem dr E. Stofla z Krakowa (P. T. T.). Członkami komisji rewiz. wybrano pp. dr. J. K. Dorawskiego i inż. T. Skórkowskiego (obu z Krakowa). Wyrażono podziękowanie stałemu sekretariatowi za dotychczasową pracę i postanowiono pozostawić go w dotychczasowej siedzibie do 1940 roku. Omawiano wreszcie stosunek A. S. T. do Międzynarodowej Unii Alpin-

stycznej oraz zatwierdzono program pracy A. S. T. na najbliższy okres (wymieniono tam m. in. współpracę międzysłowiańską na polu kursów obozów alpinistycznych oraz wysokogórskich wypraw egzotycznych, wymianę turystyczną młodzieży, wymianę prelegentów i t. d.). W drugim dniu zajęły czas: zwiedzanie Pragi i 2 wystaw turystycznych, udział w prelekcjach dra A. Brileja o ochronie przyrody i parkach narodowych w Jugosławii i prof. R. Kettnera o jaskiniach Domicy. Poza przyjęciami i obchodami, związanymi z 50-leciem założenia Klubu Czeskich Turystów, uczestnicy zjazdu odbyli kilka wycieczek samochodowych.

Dnia 30 sierpnia, zasiadało z kolei walne zgromadzenie Międzynarodowej Unii Alpinistycznej (U. I. A. A.), poprzedzone obradami Komitetu wykonawczego Unii. Na zjeź-

dzie przyjęto do Unii «Rumuński Klub Karpacki» (Clubul Carpathin Român), ustalono porządek następnych walnych zjazdów: 1939 — Stockholm, 1940 — Sofia. Postanowiono rozwinąć działalność komisji śniegowo-lawinowej, prowadzić w stałej aktualności referat ochrony przyrody i krajozbrazu gór, usprawnić biuro informacyjne Unii i t. d. Zadnych zasadniczych, ważniejszych uchwał nie powzięto; dyskusja obracała się dokoła referatów, przedstawionych przez Biuro Unii a przynoszących, jak co roku wiele interesującego materiału.

Po zjeździe, któremu przewodniczył prezes Unii, hr. Egmond d'Arcis, uczestnicy zjazdu wzięli udział w wycieczkach zorganizowanych przez Klub Czesko-Słowackich Turystów.

w. mil.

ALPINIZM I TATERNICTWO

U kresu epoki odkrywczej w Alpach i w Tairach. Wchodzi w zwyczaj «Wierchów», że na czele działu «Alpinizm i taternictwo» wyodrębniają jakiś szczególnie w danym okresie ważny fakt z zakresu turystyki wysokogórskiej. W r. ub. faktem takim była bezspornie III niemiecka wyprawa na Nanga Parbat, zakończona hekatombą ofiar, może najbardziej tragiczne wydarzenie w dziejach alpinizmu. Była to wyprawa egzotyczna, odkrywcza, symbol zarówno tęsknot człowieka za Nieznanym jak i jego sportowej woli zwycięstwa, a zarazem przykład tych wszystkich niebezpieczeństw, które przynosi ze sobą współczesny alpinizm. W r. b. za taki naczelny fakt alpinistyczny trzeba uważać zdobycie pn. ściany Eigeru w Alpach Szwajcarskich a wraz z nim zdobycie środka pn. ściany Grandes Jorasses w Alpach Francuskich.

Czy to nie omyłka? W czasach odkrywczego wyścigu we wszystkich górach świata, w roku paru wypraw himalajskich, ma być najważniejszym zdarzeniem alpinistycznym zdobycie dwóch nowych dróg w Alpach, jeszcze jeden rekord wspinaczy z kategorii «samobójczych, zwariowanych i niepotrzebnych»?! Kto by tak sądził, nie zdaje sobie sprawy ani z tego czym są Alpy dla alpinizmu światowego ani ze znaczenia jakie obie zdobyte ściany zyskały sobie w całym świecie. Zwłaszcza ściana Eigeru wyrosła w latach ostatnich do wielkości «ostatniego problemu alpejskiego na miarę najwyższą», do wielkości legendy i symbolu grozy górskiej. Podczas gdy w Alpach Wschodnich alpinizm współczesny zapędził się w ślepy zaułek zdobywania ostatniorzędnych igieł i turniczek a zarazem przechod-

zenia pionowych i przewieszonych ścian skalnych przy pomocy całego arsenału haków, lin i pętli, i całej abrakadabry sztuczek technicznych — w Alpach Zachodnich uragały jeszcze ciągle przewadze człowieka ściany olbrzymie, wspaniałe, obronne strzelistością swoich w śnieg i lód zakutych krzesanic. Podbój tych ścian rozpoczął się dość już dawno — w 1925 r. — kiedy to Willy Welzenbach (zmarły później na Nanga Parbat) zdobył wraz z E. Allwein'em pn. ścianę Dent d' Hérens, pierwszą z cyklu «niemożliwych do pokonania». Potem nastąpiło zdobycie wsch. ściany Mont Blanc (1927), pn. i wsch. ściany Matterhornu (1931—2), pn. ściany Dent Blanche (1934) i dziesiątek innych, równie nadzwyczaj trudnych, potężnych i niebezpiecznych urwisk. Ale do ostatka broniły się dwie ściany najnieodstępniejsze z niedostępnych: pn. ściana Eigeru (3974 m) w berneńskim Oberlandzie i pn. ściana Grandes Jorasses (4205 m) w Alpach Sabaudzkich.

Obie te ściany «padły» w lecie 1938 r. Ale podczas gdy pn. ściana Eigeru pozostała do końca problemem nieskazitelnym, tragiczną ścianą wielu ofiar i niczyjego zwycięstwa, w pn. murze Grandes Jorasses udało się już dawniej wyszukać jedno wejście w prawej polaci urwiska. Dlatego choć droga obecna w Jorasses ani wielkością ani trudnościami nie ustępuje w zasadzie przejściu ściany Eigeru, do znaczenia symbolu w dniach dzisiejszych i w przyszłości, urasta przedewszystkim zdobycie zerw Eigeru.

Streszczam w największym skrócie dzieje pokonania obu krzesanic.

Atakowane po raz pierwszy już przed wojną północne urwisko Grandes



Masyw Grandes Jorasses od północy (linią kreskowaną oznaczono szlak z 1935 r., linią ciągłą szlak z 1938 r., kółkami miejsce biwaków)

Fot. A. Lorenzoni Novara 'z «Rivista mensile del CAI»

Jorasses opada od grani czterech wierzchołków masywu murem szerokim na 2 km a na blisko $1\frac{1}{2}$ km wysokim. O trudności tego sciosanego muru rozbiły się od lat szturmami najsprawniejszych alpinistów francuskich, niemieckich, włoskich, austriackich, angielskich, amerykańskich: w «Taterniku» znaleźć można dokładne opisy ich prób. W 1931 r. zginęli tu alpinści niemieccy Brehm i Ritter, w 1934 r. świetny alpinista (również niemiecki) Haringer. Wraz z Rudolfem Petersem zaatakował on jako pierwszy prawą część ściany, urwistą grzędę

spadająca od zach. wierzchołka, zwanego Pointe Margueritte (4065 m). Po trzech dniach wspinaczki zaskoczony niepogodą rozpoczął odwrót (już spod bloku szczytowego), w czasie którego runął w przepaść. Peters zdołał o własnych siłach po pięciu dniach pobytu w urwisku zejść w dolinę, po czym w 1935 r. zaatakował ponownie ścianę i ostatecznie zdobył ją w dniach 28—29 czerwca t. r. (towarzyszem jego w tej wspinaczce był Martin Meier). W dwa dni później powtórzyła ten sukces dwójka włoska i dwójka francuska (znajdowała się

wśród niej młoda panna, p. Loulou Boulaz!), w dniach 7—9 lipca t. r. przy III. prz. urwiska L. Steinauer i T. Messner poprawiają szlak pierwszych zdobywców, osiągając bardziej ponad środkiem urwiska zawieszony Pointe Croz (4108 m).

Nowe próby przynosi rok 1937. Ale tym razem kierują się one już ku środkowi ściany, ku grzędzie jaka spada od wschodniego (głównego) wierzchołka, Pointe Walker (4205 m). Tędy właśnie przedzierali się też Riccardo Cassin, Gino Espozito i Ugo Tizzoni, świetni wspinacze włoscy znani ze swoich popisów skalnych, gdy w dniu 4 sierpnia 1938 roku weszli w urwisko. Mieli do pokonania dwa pionowe, skrajnie trudne spiętrzenie zalodzonej i ośnieżonej grzędy: przebyli je przy pomocy swego nadzwyczajnego kunsztu technicznego; mieli do pokonania olbrzymią różnicę wysokości: wspinali się przeszło dwa dni i biwakowali w skale; mieli też do pokonania niepogodę i przejściowe burze śnieżne; zwyciężyli jednak i dnia 7 sierpnia cali i zdrowi zeszli do Courmayeur.

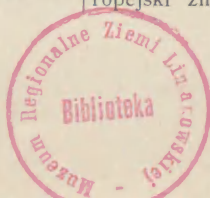
Dzieje zdobywania północnej ściany Eigeru są jeszcze bardziej dramatyczne. Ściana ta liczy 1800 m wys., jest więc nie tylko najtrudniejszą i nadzwyczaj niebezpieczną, ale i jedną z najwęższych w swym wypiętrzeniu ścian alpejskich. Nic więc dziwnego, że aż do czasów najnowszych nikt nie ośmielił się jej na serio zaatakować. Dopiero w 1934 r. uczynili to trzej młodzi wspinacze niemieccy: trudności rychło zmusiły ich do odwrotu, ekspedycja ratownicza udzieliła im pomocy. W rok później podjęli nową próbę wybitni alpinści niemieccy, K. Mehringer i M. Sedlmayr: w ciągu dwu dni nadzwyczaj ciężkiej wspinaczki udało im się dojść aż pod (zresztą klucz urwiska stanowiącą) ścianę szczytową; tu jednak zaskoczyła ich niepogoda i rozpoczęli odwrot, w czasie którego, zawieszeni na linach, zmarli z wyczerpania i odmrożeń. W r. 1936 nastąpiła nowa tragedia, której równie nie znają dzieje alpinizmu sportowego. Opisywana była ona w swoim czasie obszernie w gazetach europejskich (polskich nie wyłączając) i znalazła również dokładne oświetlenie w «Taterniku». Dlatego przypomnę tu tylko w jednym zdaniu, że w dniu 19 lipca owego roku zaatakowała ścianę czwórka znakomitych alpinistów niemieckich, W. Angerer, A. Hinterstoißer, A. Kurz i E. Rainer, którzy w dwu dniach wspinaczki posunęli się o sto m wyżej niż poprzednicy; ale trudności w połączeniu z zupełną niepogodą i ich zmusiły do odwrotu, w czasie którego poumierali kolejno z wyczerpania i wysiłków ponad miarę ludzką, ostatni z nich, Kurz, tuż przed progiem ocalenia.

Wstrząśnięta tymi wypadkami opinia publiczna zwróciła się przeciw alpinistom, i rząd szwajcarski wydał w jesieni 1936 r. formalny zakaz atakowania ściany. Zakaz ten — unikat w historii alpinizmu — niebawem jednak cofnięto, po stwierdzeniu, że nie ma ani możliwości egzekutywy ani podstaw etycznych. Ataki na ścianę ponowiły się w 1937 r., znowu przynosząc jedną ofiarę i kilka ekspedycji ratowniczych. Wreszcie w dniach 11—14 sierpnia t. r. Niemcy Ludwig Vörg i Hias Rebitsch zdołali nie tylko pokonać ścianę aż pod mur szczytowy ale i zawrócić spod niego z życiem.

Znaczyło to, że zbliża się już ostatni akt zdobywania ściany. Wprawdzie w czerwcu 1938 r. przypalili raz jeszcze życiem atak na nią dwaj wyborni wspinacze włoscy M. Menti i B. Sandri, ale już niebawem zaatakowali ją monachijszczy Vörg i Andreas Heckmair, oraz wiednieńczy Heinrich Harrer i Fritz Kasperek, połączeni ze sobą dopiero w ścianie i zwycięscy jej w dniach 21—24 lipca 1938 r. Są to alpinści najsprawniejsi ze sprawnych, znani ze wspinaczek w Kaukazie (Vörg) i Atlasie (Heckmair) i z wielu rekordowych dróg w Alpach. Wspinaczkę swą przeprowadzili sprawnie, zwyciężyli tak trudności jak i końcowy atak niepogody. Po powrocie oczekiwał ich telegram od kanclerza Hitlera, tuby prasowe i rozgłos, jaki nie stał się dotychczas udziałem może żadnego z alpinistów. Na zachodzie Europy alpinizm nie narciarstwo jest uważane za «sport królewski» albo za «nad-sport» (jak się najwcześniej wyrażono w Polsce). Autarkiczni Niemcy nie żałują nigdy dewiz na wyprawę na Nanga Parbat czy kolosy peruwiańskie, nie żałują ich zresztą na wyprawy we wszystkie góry świata, od Himalajów do Alp Albańskich. Świadomość wartości alpinizmu jest tam powszechna. To też tych czterech ludzi, którzy zwyciężyli straszliwą rzeczywistość i legendę Eigeru witano jako największych sportowców i najlepszych przedstawicieli hitlerowskiego ducha w sporcie. I nikogo to nie zdziwiło, że kanclerz i wódz przyjął ich na specjalnej audiencji.

Po zdobyciu pn. ściany Matterhornu napisał stary Alfred Steinitzer (świeżo zmarły, w jesieni 1938 r.) głośny artykuł «Matterhorn jako symbol początku i — końca». Po zdobyciu pn. ściany Eigeru wyrażono w «Oesterreichische Alpenzeitung» pogląd, że «wysokogórski podbój Alp został tym samym praktycznie ukończony».

Trudno temu zaprzeczyć. Alpinizm europejski znalazł się w punkcie zwrotnym.





Północna ściana Eigeru (linią ciągłą oznaczono szlak niemieckiej wyprawy)

*Zdjęcie lotnicze H. Steiner-Schrödera
(z „Der Bergsteiger“)*

Nie ma już do zdobycia ani dziewiczych turni ani nieprzystępnych urwisk. Jakież podlegnie więc dalszej ewolucji, jakież rozumne ujęcie dla swej energii znajdzie młodzież alpinistyczna, której na zachodzie Europy są całe zastępy? Głęboką troską nacechowane są wywody teoretyków i znawców alpinizmu. Czy nie dojdzie do wykoszlawienia ideologii alpinizmu, czy wprowadzenie doń elementów sportów boiskowych nie wypaczy stosunku współczesnego sportowca wysokogórskiego do przyrody? Czy europejski alpinizm przyszłości znajdzie w ogóle wspólny język z klasycznym alpinizmem odkrywczym, i czy znajdzie dla siebie, co ważniejsze, jakąś nową magnetyczną treść w zmienionych warunkach?

Pytania takie stawiają wszystkie środowiska alpejskie, a wraz z nimi musimy je raz jeszcze wysunąć i my, jako przedstawiciele taternictwa. Co dalej? «Alpinizm bezwątponia stoi przed głębokimi decyzjami» pisze młody Niemiec. A redaktor «Alpinisme» próbuje się pocieszać twierdzeniem, że przełomem byłoby dopiero pokonanie zach. ściany Aiguille du Petit Dru. Zdurna to pociecha! Zachodnie urwisko Dru jest jednym z tych ścieżek, które, bodaj na jednej części góry, realizują mallorystyczny «ideał góry niepokonalnej». Stoi ono poza praktyką alpinizmu, który bez względu na takie ucioty jak ściana Dru może rozwinąć się lub cofać. Bliższa prawdy jest pociecha inna: Alpy są tak duże, iż epoka schyłkowa, *Detailerschliessung*, potrwa tu jeszcze długo, cały szereg lat.

Niech by to wystarczyło w Alpach; ale czy może wystarczyć w Tatrach?

L. Davies przyjmuje jako kamień milowy nowoczesnego alpinizmu zdobycie pd. grani Aiguille Noire de Péteret (1930) i pn. ściany Mont Blanc (1932). Nastąpiło wówczas przezwyciężenie zarówno najwyższych efektywnych trudności jak i grozy legendy Niedostępnego. W Tatrach analogiczne wyniki można dostrzec w pokonaniu pn. ścian Zbiegu Konia i Małego Kiezmarskiego Szczytu. Ze zdobyciem środka pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu wysokogórski podbój Tatr został praktycznie ukończony — możnaby sparafrazować słowa Niemców o Eigerze. Te bowiem problemy, które jeszcze pozostały, ani nie są większe ani trudniejsze od już rozwiązanych. A rychło przyjdzie stwierdzić, że i takich problemów okresu zmierzchu zabrakło.

Od kilku lat, w nieuchronnej świadomości tego co następuje, szukamy dróg wymknięcia się z matni. Znaleźliśmy wyjście na szeroki, dziś jeszcze praktycznie bezkresny trakt egzotycznego alpinizmu odkryw-

czego. Ale, jak słusznie powiedziano, droga do Himalajów zaczyna się w Tatrach. A w Tatrach zlikwidowanie możliwości rekordów wywołało nie pierwszy już rok trwający zastój, który pogłębia się i grozi przekształceniem w ogólny kryzys polskiego ruchu wysokogórskiego.

Trzeba więc przebudować psychikę taternika i odrzucić założenia, w dzisiejszych warunkach niedające się urzeczywistnić. Trzeba szukać nowej treści i nowych elementów postępu. Jakich? Szukałem na to pytanie odpowiedzi już w «Taterniku» w 1935 roku. W historycznym roku prawdziwego powrotu Polski do Tatr świadomość nowych zadań, które nas tu oczekują, musi się upowszechnić. Przed naszą młodzieżą wysokogórską staje najbardziej odpowiedzialne zadanie: zbudowania w polskich Tatrach nowej epoki taternictwa.

J. A. Szczepeński.

Alpinizm w 1938 roku. Europa.

Zdobycie pn. ściany Eigeru i pn. filaru Grandes Jorasses usunęło nieco w cień inne wyniki alpinizmu sportowego, jakkolwiek nie brakło wśród nich sukcesów pierwszego rzędu i w najwyższym stopniu trudności. Logiki rzeczy nie da się odwrócić: sukcesy te, jeśli nawet nadzwyczaj wartościowe dla fachowców, mało już mówią szerszemu ogółowi. Dlatego pomijamy je na tym miejscu, nie wstępując zresztą, że fachowy organ wysokogórców w PTT, «Taternik» omówi je równie ściśle i dokładnie jak w roku ubiegłym. Chcemy raczej wskazać na uboczne ale bardziej charakterystyczne szczegóły jak np. na nadzwyczaj wysoki poziom ogólnego alpinizmu sportowego, wyrażający się m. i. w tym, że najtrudniejsze problemy atakuje się w tow. kobiecym (zdobycie wsch. ściany Balmhornu przez Lucie Durand i Hansa Haideggera) i że już dwie kobiety przeszły wsch. ścianę Mont Blanc a trzy osławioną skrajnie trudną pn.-zach. ścianę Civetta. Z «normalnie» rozwiązanych problemów czytelnika polskiego może zainteresować specjalnie wiadomość o zdobyciu pn. ściany Le Rateau, największego problemu Alp Delfinackich: w dniach 18—19 sierpnia M. Fournastier i A. Madier pokonali tę nadzwyczaj trudną i przeszło pół tysiąca m wys. liczącą ścianę. «Padla» również 1250-metrowa zach. ściana Mnicha (4105 m), zdobyta w dniach 19—20 września przez H. Hintermeiera i T. Sporrera. Warto też zacytować, że wstępujący oddawna w ślady ojca król Belgów Leopold III wpisał w ostatnim sezonie do rejestru swych sukcesów skalnych nową kapitalną wyprawę: przejście nową drogą nadzwyczajną

trudnej pn. ściany Rosengartenspitze (w tow. przew. Hansa Stegera), mówi się też, że król Belgów zbudował sobie w pobliżu Brukseli mały «ogródek wspinaczkowy» dla własnego użytku.

Dziś w Alpach, w gorączkowym poszukiwaniu wybitnia się, gdy problemów nie staje stwarza się je sztucznie przez wyprawy samotne, rekordy czasowe i akrobatyczne wyprawy skalne podejmowane w okresie zimowym. Możemy tu istotnie wymienić zadziwiające przykłady odwagi i sprawności: w Alpach Zachodnich pokonano zimą pn. grań Weisshornu (M. Bechman i E. Meyer, 3 kwietnia), a w dniach 9—10 lutego Erica Stagni i Marcel Gallay z przew. R. Lambert'em dokonali również trawersowania odstrasających czterotysięcznych Aiguilles du Diable (przy czym zaskoczeni przez długotrwałą niepogodę alpinści musieli zabiwakować w terenie do 13 lutego, co spowodowało ciężkie odmrożenia i amputacje u obu męskich uczestników wyprawy) — w Alpach Wschodnich równie wybitne było I wejście zimowe na Cima Piccolissima di Lavaredo i jeszcze bardziej sensacyjne I przejście zimowe pn. ściany Cima Grande di Lavaredo (J. Brunhuber i F. Kasparek [niebawem zwycięzca Eigeru] w dniach 13 i 20—21 marca), jeszcze przed niewielu laty symbolu niedostępnych krzesanic alpejskich (w 1937 r. pokonano ją również samotnie). Dla odmiany zacytujmy, że 27 czerwca 19-letni wspinacz niemiecki Leo Seitelberger przeszedł pn. ścianę Dachlu samotnie i w niespełna 4 godz., ścianę, którą za pierwszym razem pokonywano 4 dni i której trudności do dziś uchodzą za skrajnie wielkie. Niech tych parę przykładów starczy za szereg dalszych.

Z innych wydarzeń w alpinizmie europejskim wypada wspomnieć o przemianach organizacyjnych: Alpejski Klub Włoski nie jest Club Alpino Italiano lecz silnie zmilitaryzowanym Centro Alpinistico Italiano; Niemiecko-Austriackie Towarzystwo Alpejskie stało się, rzecz zrozumiała, organizacją o krótszej nazwie Deutscher Alpenverein; znany sportowy zamknięty klub wiedeński Oesterreichischer Alpenklub musiał wstąpić do Deutscher Alpenverein jako jedna z jego sekcji; w związku z załamaniem się dawnego państwa czeskosłowackiego, głęboki kryzys, do dziś nie zakończony, przechodzi najsilniejsze pod względem liczebnym do 1938 r. słowiańskie górskie towarzystwo turystyczne, Klub Czeskosłowackich Turystów; w łatwym do wytłumaczenia upadku znajdują się hiszpańskie organizacje turystyczne; upadek znaczenia Krylenki osłabił również działalność alpinizmu sowieckiego.

Natomiast nowym przykładem na wciąż rosnącą popularność turystyki wysokogórskiej w zachodniej Europie może być inauguracja nowego refuge Vallot na Mont Blanc, najwyższej (na 4262 m) położonego schroniska w Europie, z której zrobiono sensacje dziennikarską z protektoratem prezydenta republiki, reportażem radiowym (sprawozdawca zmarł z wyczerpania) i udziałem trzech czynnych ministrów (do schroniska dotarł tylko jeden, p. Jean Zay).

Zwrócić wreszcie należy uwagę na konsekwentnie i systematycznie rozwijaną działalność alpinistów niemieckich w rozlicznych górach półwyspu Bałkańskiego. Od kilku już lat jeżdżą Niemcy corocznie do bułgarskich masywów Riła i Piryń oraz w Alpy Albańskie (w b. r. zwiedzili tu H. Schatz i tow. Maja Drenit 2180 m i inne szczyty), nawiązali również żywe kontakty z turystyką rumuńską (wymienne wycieczki i t. p.), oraz jugosłowiańską. W bież. roku udali się też Bernard Mosl i Erich Probst w góry pogranicza albańsko-grecko-jugosłowiańskiego, w mało jeszcze poznane masywy Prenj i Goleńnica Planina. Zrobili tu kilka pierwszych wejść na dwutysięczne szczyty, nawiązali przyjazne porozumienie ze świeżo powstałymi Drużstwem Planinara Južne Srbije i Društvo Planinara u Bošni i Hercegovini i zapowiedzieli dokończenie eksploracji tych ostatnich dziewiczych pod względem turystycznym gór w Europie. Wyprawę ich sfinansował niemiecki Reichssportamt i Bergsteigerverband, jak widzimy Niemcy, choć himalaisci, nie uważają gór bałkańskich za cele niegodne uwagi. Ważna to wskazówka dla nas, którzy oddawna projektujemy nawiązanie bliższych stosunków z turystyką bałkańską i stale poprzestajemy na projektach, gdy zarówno turyści górscy bułgarscy, jak jugosłowiańscy, jak ostatnio wreszcie rumuńscy, szukają z nami stałe kontaktu. Wiele przyczyn przemawia za tym, aby dotychczasową obojętność zamienić wreszcie na potrzebne i korzystne zbliżenie.

A z ja. Wbrew przewidywaniom kolejna, siódma angielska wyprawa na Everest nie wywołała swoim przebiegiem większego zainteresowania w świecie: wyglądało prawie na to, jakby z góry zwątpiono w jej powodzenie. Wyprawa tegoroczna była, pod pewnymi względami, eksperymentem, składała się z siedmiu nalewdnie uczestników (P. Lloyd, P. R. Oliver, Z. E. Odell, E. E. Supton, F. S. Smythe, Ch. B. Warren i kierownik H. W. Tilman) i już z początkiem kwietnia przystąpiła do akcji w rejonie Everestu. Ale losy nie były jej przychylnie: alpinści chorowali jak na żadnej wyprawie himalajskiej, a monsun (uniemożliwiający w zasadzie kontynu-

wanie ataków) począł dąć już 5 maja. Założono jednak sześć obozów (z czego najwyższy w rekordowej wysokości 8290 m) i osiągnięto wys. ponad 8300 m (Lloyd i Tilman, 11 czerwca). Odwrót odbył się w zupełnym porządku, wyratowano nawet tragarza Pas-sanga, który w obozie czwartym uległ paraliżowi po ataku serca.

Nie odniosła również sukcesu IV niemiecka wyprawa na Nanga Parbat. Po tylu kłeskach lat poprzednich, po 30 ofiarach góry, zastosował kierownik nowej niemieckiej wyprawy, doświadczony himalaista Paul Bauer, taktykę maksymalnej ostrożności. I istotnie wyprawa odbyła się bez wypadku, ale do osiągnięcia zwycięstwa nad górą nawet się nie zbliżono. Alpinisci (F. Bechtold, U. Luft, M. Rebitsch, H. H. Ruths, L. Schmaederer i S. Zuck oraz lekarz dr Bahlke) mieli transporty zorganizowane samolotami, które i później utrzymywały z nimi kontakt. Założono kolejnych sześć obozów, w tym najwyższy na wys. 7000 m. Dnia 22 lipca Bauer, Bechtold i Luft znaleźli przy t. zw. Głowie Murzyna (jedynej skale na lodowej grani pomiędzy Rakiot Peak a Nanga Parbat) odwiانة z pod śniegu zwłoki W. Merkla i Gay-laya z wyprawy 1934 r. (pod «Wierchy» z r. ub., str. 206—209). Dnia 24 lipca osiągnięto najwyższą wysokość: 7250 m (Ruths i Rebitsch). Uporczywa niepogoda, silne mrozy i znaczna ilość świeżego śniegu skłoniły Bauera do zarządzenia już 27 lipca ogólnego odwrotu, skoro załamała się również podjęta przez Zucka i Schmaederera ostatnia próba 25 lipca. 4 września był Bauer z powrotem w Monachium.

Z innych wypraw na terenie Himalajów i Karakoram należy nam, w uzupełnieniu sprawozdania zeszłorocznego, wspomnieć o wyprawie F. S. Smythe'a w Himalaje Garhwalu: świetny himalaista angielski działał tu ok. 3 miesiące w lecie 1937 r. i w okresie tym zdobył szereg szczytów sześciotysięcznych, w tym Nilgiri Parbat, 6481 m (z dwoma tragarzami, 18 lipca) i szczyt bezimienny 6852 m (Smythe i P. R. Oliver, 4 sierpnia); największym sukcesem tej wyprawy było wejście na Mana Peak (7272 m), które powiodło się Smythe'owi samotnie (jego towarzysz Oliver doszedł do 7000 m) dnia 12 sierpnia: był to ogółem 22-gi szczyt siedmiotysięczny, zdobyty przez człowieka. Do roku 1937 przynależą również himalajska wyprawa zimowa, jaką w listopadzie przedsięwzięli C. R. Cooke i małżeństwo Hunt: najlepszym ich sukcesem było wejście na środkowy wierzchołek Nepal Peak (7145 m) dokonane samotnie przez J. Hunta w połowie listopada.

Powracając do roku 1938 w Himalajach,

równie znaczenie z wyprawami na Everest i Nanga Parbat miała amerykańska wyprawa w Karakoram, w której skład wchodził R. Bates, R. Burdsall, W. House i P. Petboldt. Wyprawa miała plany «światoburcze», gdyż nosiła się z zamiarem wejścia na drugi szczyt świata, K2 (8610 m): o przebiegu tej wyprawy bliższe szczegóły jeszcze nie nadeszły, wiadomo wszakże że swego głównego celu nie osiągnęła.

Nie osiągnęła również swego celu (już to rok 1938 był jednym z najbardziej niefortunnych w Himalajach!) angielska wyprawa w Karakoram (T. G. Brown, kap. J. B. Harrison, R. A. Hodgkin, J. O. M. Roberts i J. Waller) skierowana na Masherbrum (7821 m). I od tej wyprawy brak jeszcze dokładnych sprawozdań, wiadomo jednak że cofnięto się z wys. ok. 7600 m i że Harrison i Hodgkin (którzy dnia 16 czerwca posunęli się najwyżej) ulegli podczas odwrotu odmrożeniom nie mniejszym niż polscy alpinisci na wsch. ścianie Mont Blanc.

Najpóźniej w 1938 r. przybyła w teren niemiecka (austriacka) wyprawa w Karakoram (dr R. Schwarzgruber — kierownik, E. Ellmauthaler, dr Jonas, dr W. Frauenberger, T. Messner i L. Spannrafft — ucześnicy). Skierowała się ona do źródeł Gangesu, w rejon Gangotri, gdzie najwyższym szczytem jest Badrinath (7138 m). Działania w terenie rozpoczęły się z początkiem września: 9 t. m. Ellmauthaler i Messner weszli na pn. wierzch. Baghirathi (6512 m), a 11-go Frauenberger i Spannrafft na Chandar Parbat (6728 m). W połowie września podjęto z kolei ataki na dwa główne szczyty w okolicy: Badrinath oraz Satopanth (7062 m). I znowu wysiłków nie uwieczyło powodzenie: Messner i Spannrafft dotarli na Badrinath zaledwie do 5800 m, Ellmauthaler i Frauenberger na Satopanth do 6400 m. Zakończyły wyprawę wejścia Spannraffa i Messnera na Mandani Parbat (6198 m) i Swachhand Peak (6721 m), a Ellmauthalera, Frauenbergera, Jonasa i chorego poprzednio Schwarzgrubera na środk. wierzch. Chaturangi (6395 m). Wreszcie dnia 8 października Ellmauthaler, Frauenberger i Schwarzgruber osiągnęli wys. 6100 m na Kedernath (6940 m), a dnia 13 t. m. zdobyli, wraz z Jonesem wierzchołek Sri Kailash (6932 m). Nie przekroczywszy warstwy 7000 m wyprawa powróciła do Europy.

Poza najwyższymi, inne góry Azji wyoływały oczywiście mniejsze zainteresowanie, niektóre z nich zresztą, jak Alpy Japońskie, są już dość dawno wyeliminowane z zakresu gór nieznanych. Przykre dla polskich ambicji (przypominamy dwukrotnie z przyczyn zewnętrznych nie doszła do skutku

«wyprawę polską w Taurus») wiadomości nadeszły z terenu gór tureckich: okazało się, że władze tureckie, tak nieżyczliwe względem projektów polskich, pozwołyły jednak alpinistom niemieckim na eksplorację zarówno Taurusu jak i Gór Kurdyjskich. Z Taurusu (działała tu późnym latem grupa niemieckich alpinistów z Karyntii pod wodzą dra H. Spreitzera) nie mamy jeszcze większych sprawozdań, poza krótkim doniesieniem, że zdobyto pn. filar najwyższego szczytu Demir Kasyk (3900 m) i że podjęto następnie eksplorację niezbadanych jeszcze części masywu Ala Dagh. W Górach Kurdyjskich bawili Niemcy we wrześniu 1937 r.: góry te dziś bezludne (po wytepieniu Kurdów i Nestorian i wysiedleniu ich resztek) posiadają dwa łańcuchy wysokogórskie w typie wschodnio-alpejskim: Cilo Dagh i Sat Dagh. Niemcy (H. Kuntscher, H. Pacher, S. Rohrer, F. Rüttner i kierownik dr Hans Bobek) zwiedzili obie grupy i weszli ogółem na 41 szczytów, w tym na najwyższe w Cilo Dagh: Suppa Durek (4060 m) i Gelişin (4170 m), oraz w Sat Dagh: Ser e Majdan e Szedri (3530 m), Ser e Sem e Satı (3700 m) i Cia e Hendevede (3810 m).

Wreszcie musimy zwrócić uwagę na irańsko-afgańską wyprawę Niemca Wolfganga Gortera, który, wraz z E. Ruscherem wszedł w lipcu na Amu Kalan (5100 m), najwyższy szczyt łańcucha Koh-i-Baba w Zachodnim Hindukuszu, a następnie na 8 szczytów czterotysięcznych i 1 pięcioletni w łańcuchu Pagman w Południowym Hindukuszu, w połowie sierpnia dokonał następnie (w pięciodniowej wspinaczce, w tow. K. Danziger, K. Günstera i H. Wagnera) II przejścia słynnej z trudności, pn. ściany najwyższej góry Iranu, Demawend (5670 m).

Ameryka. Ścisłe wiadomości z terenów wysokogórskich tak północnej jak i południowej Ameryki pochodzą z reguły z opóźnieniem, nie możemy więc jeszcze obecnie streścić przebiegu roku alpinistycznego 1938 w Nowym Świecie. Nie ulega jednak wątpliwości, że zarówno w Górach Skalistych czy w Kolumbii Brytyjskiej jak i w Kordylierach Centralnych panował żywy ruch alpinistyczny, co zresztą w tych obszarach jest zjawiskiem dorocznym. Podobnie — godzi się przypomnieć — żywy ruch wysokogórski o formach zupełnie już turystyczno-sportowych nie odkrywczo-egzotycznych panuje w górach:

Oceanii i Australii, zwłaszcza w tych które mają najbardziej alpejski charakter, a więc w Alpach Nowozelandzkich.

Afryka. Rzecz charakterystyczna: po górach europejskich i północno-amerykańskich góry czarnego łądu uległy może naj-

bardziej eksploracyjnej gorączce człowieka. Wielkie problemy odkrywcze oczekują jeszcze rozwiązania w Patagonii, w Chinach, w Tybecie, w Turkestanie, próżno by ich szukać w Afryce. A przecież tak niedawno było jeszcze inaczej, i nawet góry Smocze, Atlas, Kilimandżaro, Kenia — tak dziś schodzone i zbadane wielostronnie — przedstawiały ponętny cel odkrywcy. Jak bardzo zmieniły się warunki eksploracyjne w Afryce, niech służy przykładem Góry Księżycowe (Ruvenzori), najwspanialszy twór górski w Afryce, przed półwieczem legendarny, a przed ćwierć wiekiem znany jeszcze minimalnie: wybitniejszych szczytów dziewiczych już tu brak zupełnie, a niejeden z głównych wierzchołków został już zwiedzony paroma drogami. W styczniu bawili tu alpinisci włoscy Besone, Borello i Ghiglione, oraz alpinisci niemieccy pod wodzą E. Eisemanna (szereg nowych dróg na najwyższe szczyty); w lutym alpinistka włoska Una Cameron z przew. E. Bareux i E. Croux; i ta wyprawa może się pochłubić szeregiem pomyślnie przeprowadzonych, pierwszorzędných wspinaczek.

Kraje polarne. Od lat skoncentrowana jest uwaga alpinizmu polarnego na górotworach Alaski, Grenlandii i Spitsbergenu, — nadzwyczaj trudno dostępne i w najbardziej wrogim człowiekowi klimacie świata położone góry Antarktydy nie są jeszcze na ogół obejmowane działalnością alpinistyczną.

Na Alasce systematycznie i owocnie działają od lat alpinisci amerykańscy: w czerwcu 1938 r. Bradford Washburn (i tow.) zdobył czterotysięczną Mount Saint Agnes, a w lipcu (w tow. Terris Moore'a) pięcioletnią Mount Sandford.

Na Spitsbergen jeżdżą ostatnio najczęściej wyprawy niemieckie i polskie, przy czym każda wyprawa niemiecka ma obok celów naukowych i pewne alpinistyczne do rozwiązania. W 1937 r. — o czym nie wspomnieliśmy jeszcze w «Wierchach» — działały na Spitsbergenie dwie wyprawy niemieckie, z których alpinistyczno-naukowa, pod wodzą dra H. Riehe, zdobyła wiele szczytów a m. i. Haitanna (931 m) w Ziemi Południowego Przylądka i Tre Kronen (1225 m) w rejonie Kingsbay, — a czysto sportowa wyprawa R. Eidenschinka i K. Schmitta jeszcze więcej szczytów, m. i. Olafberget (979 m), Supanberget (1020 m), Mnich (1222 m) i i. W 1938 r. pojawiła się w pd.-zach Spitsbergenie nowa wyprawa dra Riehe; osiągnęła dobre wyniki naukowe i alpinistyczne, ale szczegółów jeszcze brak.

Na Grenlandii znamienne są wyniki wyprawy szwajcarskiej, która w składzie: K. Baumann, R. Landolt, M. Perez, G. Pidermann i A. Roch działała w lecie b. r. we

wschodniej części tej największej wyspy świata. W przeciwieństwie do zeszłorocznej wyprawy polskiej na Grenlandię, której cele zakreślone były dość wąsko i poważniejszych wyników odkrywczych nie przewidywały, wyprawa szwajcarska nie zrezygnowała z udziału alpinistów, a tym samym i z wybitnych celów eksploracyjnych. Zamiar uwieńczyło powodzenie: w dniu 12 sierpnia zdobyli Szwajcarzy wspaniały szczyt Forel (3460 m), atakowany bezskutecznie już w 1933 r., i osiągnęli również najwyższy punkt wewnętrznego lądolodu grenlandzkiego. Tak wyprawa szwajcarska z 1938 r. stała się jedną z najbardziej owocnych w dziejach eksploracji Grenlandii.

K. R.

Polski rok alpinistyczny 1938. Nie jesteśmy narodem tak bardzo górskim jak Niemcy lub Szwajcarzy i alpinizm nie jest dla nas «sprawą narodową» jak dla Włochów czy Anglików. Jeśli nie liczyć odosobnionych i w gruncie rzeczy z polskim środowiskiem wysokogórskim nie związanych odkrywczych wypraw braci Smoluchowskich w Alpach Wschodnich w latach 1890—1894 — czy tym bardziej «przedhistorycznej» wyprawy Malczewskiego na Mont Blanc i Aiguille du Midi w 1818 r. — nie mieliśmy też żadnej dłuższej tradycji alpinistycznej. Nieco lepiej było w zakresie odkrywania wysokich gór egzotycznych (Grąbczewski na przełęczach Pamiru w latach 1885—1890, Rogoziński w górach Kamerunu w 1884 r.), ale i tutaj alpinizm mógł się wykazać właściwie tylko samotną wyprawą prof. A. Jakubskiego na Kilimandżaro w 1910 r.

Z tym większą radością można było już w nie wielu latach ostatnich stwierdzić szybki i wielostronny rozwój naszej akcji alpinistycznej. Dziś nikt już nie może lekceważyć ani ambicji polskich w zakresie udziału w ostatniej epoce odkryć geograficznych, jaką jest współczesna epoka zdobywania nieznanych gór świata, ani faktycznych naszych zdobyczy. Również i w zakresie alpinizmu sportowego podjęliśmy żywą działalność i wynikami swymi wybiłszy się na pierwsze miejsce wśród narodów słowiańskich: Czesi, Słowacy, Słowianie bałkańscy przynajmniej nam sami to kierownicze stanowisko (por. głosy d-rów Brileja, Gellnera i Kroutila, A. Veverki i i., uwagi w «Planinkim Vestniku», «Krásach Slovenska» i t. p.) i porównanie wyników równoczesnych wypraw treningowych np. polskiej i jugosłowiańskiej świadczą o tym samym. Oprócz narodów alpejskich (Niemców, Włochów, Francuzów, Szwajcarów) jesteśmy też jedynym, po Anglikach i Amerykanach, narodem, który ma

coś do powiedzenia w alpinizmie sportowym. Tradycje są młode ale ekspansja tym żywsza.

Dla polskiego alpinizmu odkrywczego rokiem przełomowym był 1934: uzyskanie wówczas wspaniałych sukcesów odkrywczych, jakimi było wejście nową drogą na Aconcagua (6980 m), najwyższą, oraz na Mercedario (6800 m), trzeci pod względem wysokości szczyt Ameryki, — oraz bardzo pomyślne wyprawy w Atlas i na Spitsbergen, wytyczyły dalsze szlaki ekspansji, ugruntowując zarazem przekonanie o wartościach i potrzebie dalszych wypraw. Potem przyszła wyprawa w Kaukaz (1935) i II wyprawa w Andy (1937) uwieńczona zdobyciem drugiego (Nevado Ojos del Salado, 6880 m) i czwartego (Nevado Pissis, 6780 m) szczytu Ameryki. Rok 1938 nie miał niestety możliwości dodania do tych wyników nowych triumfów. Jakkolwiek bowiem projektowano na jego okres letni największą z wypraw egzotycznych jakie dotychczas organizowano z Polski — wyprawę w masyw Sad Istragh (7349 m), w Hindukuszu po stronie Afganistanu — zamierzenie to nie doszło do skutku, podobnie jak i, mniej celowa, wyprawa na Kilimandżaro i w Kenia; zapowiedziana zaś wyprawa w Ruwenzori prowadzić ma swe działania w terenie dopiero w roku przyszłym. Z wypraw egzotycznych doszła więc w 1938 roku do efektywnego skutku tylko III wyprawa polska na Spitsbergen, mająca charakter ściśle naukowy. Wyprawa ta — w składzie: inż. S. Bernadzikiewicz, dr B. Halicki, dr M. Klimaszewski i L. Sawicki — działała w dniach od 5 lipca do 6 września na zach. wybrzeżu Spitsbergenu, w rejonie równiny Kaffiora, pomiędzy Icefjord'em i Kingsbay, przeprowadzając szeroko zakreślone badania naukowe, zwłaszcza z zakresu geomorfologii i glaciologii. Uczestnicy wyprawy odbyli przy tym szereg pieszych wycieczek na okoliczne lodowce i wzniesienia oraz wyjazdów łodzią motorową do sąsiednich fiordów i zatok (m. i. przeszli przez góry półwyspu Broggera oraz część lodowca Aavatsmark).

W pewnym przeciwieństwie do alpinizmu egzotycznego był za to w b. r. niezmiernie płodny w wydarzenia polski alpinizm sportowy. Na czoło wysuwa się tu dalsze dźwignięcia wyżej polskiego rekordu sportowego w Alpach lodowo-śnieżnych — rezultat przejścia wsch. ściany Mont Blanc, t. zw. drogą Sentinelle Rouge, główny plon tegorocznej wyprawy treningowej w Alpy. Piszemy o tym osobno na str. 116 bież. roczn. «Wierchów», nie powracamy już więc do tego tematu. Należy jednak przy okazji podkreślić szczególną rolę jaką dla alpinizmu polskiego odgrywa najwyższy szczyt Euro-

py. Już wyprawa Antoniego Malczewskiego w 1818 r. związała trwale polską turystykę z tą wspaniałą górą. Jak wiadomo (por. «Wierchy» z 1926 r., str. 119—124 i «Taternika» z 1933 r., str. 8—10) Malczewski dokonał VI wejścia na Mont Blanc, stając na jego wierzchole jako ósmy turysta; sukces na owe czasy niezwykłego znaczenia. I w latach późniejszych zapisali się jeszcze Polacy w kronikach Mont Blanc (np. Karol Hoppen, w 1838 r. 31-szy turysta na szczycie z okazji XXII nań wejścia). A w ciągu nie wielu lat ostatnich współcześni alpinści polscy mogli tu, obok rozmaitych bardziej popularnych choć pięknych wejść, zapisać również tak znakomite sukcesy jak XXXII przejście Grani Péteret (1932) i XII przejście Grani Innominata (1937). XVII prz. prawej części wsch. ściany jest wśród nich zdobyczą najcenniejszą. Pozwala ono zarazem ufać, że niedawne pytanie «Taternika»: «czy nie warto postarać się, aby i polscy alpinści mogli dojść do umiejętności, które pozwoliłyby im na mierzenie się z najwspanialszymi urwiskami lodowcowymi Alp Zachodnich?» — otrzyma rychło pozytywną odpowiedź.

Wspomniana już, tegoroczna polska wyprawa treningowa — V wyprawa alpejska Klubu Wysokogórskiego PTT — działała znów w grupie Mont Blanc, jako w najwyższym i dla polskich celów najwięcej wartości przedstawiającym masywie alpejskim. Skład jej stanowili tym razem: W. Gosławski, L. Januszewicz, Z. Korosadowicz, W. Orłowski i T. Pawłowski, kierownikiem był J. W. Zuławski. Zła pogoda nie sprzyjała naszym taternikom, nie osiągnęli też bardziej interesujących wyników, w każdym jednak razie weszli na 7 szczytów, w tym na Aiguille du Plan (3673 m), Aiguille du Midi (3843 m) i Tour Ronde (3792 m). Z prób wyróżnił się śmiały atak na nadzwyczaj trudną grań Grandes Jorasses (4205 m) od Col des Hirondelles, który w dniu 24 sierpnia przeprowadzili Gosławski i Pawłowski. Początkowe niepowodzenia wyprawy wynagrodził jednak końcowy sukces Golca, Korosadowicza i Zuławskiego na Mont Blanc, którego okupienie poważnymi odmożeniami nie może jednak rzucić cienia na jego sportowość, ze względu na specjalne okoliczności, usprawiedliwiające całkowicie postępowanie naszych alpinistów.

Prócz wyprawy klubowej działały w Alpach w 1938 r. jeszcze dwie inne «ekipy» polskie. W Alpy Austriackie udali na motocyklu (godny uwagi i powtarzania typ taniej sportowej podróży), dr. Zofia Kuleszyńska, najlepsza dziś alpinistka polska i dr Maciej Zajączkowski, oboje członkowie KWPTT. Cele wyprawy były turystyczne i przyrodni-

czo-naukowe, zwiedzono kilka szczytów, m. i. Hochkönig (2998 m) i najwyższy szczyt Niemiec Grossglockner (3798 m), w dniu 18 lipca dokonano również całkowitego, technicznie bardzo trudnego, przejścia pd.-wsch. grani Fuscherkarkopf (3362 m). W Dolomity włoskie udali się taternicy Mieczysław Babiński i Tadeusz Pawłowski. Weszli na szereg szczytów w tym na Cima Grande di Lavaredo (3003 m), Cima Piccola di Lavaredo (2881 m), Croda da Lago (2716 m) i Cinque Torri (2362 m). Wycieczki na te i sąsiednie szczyty są często odbywane, jakkolwiek nieraz technicznie porządnie trudne, zwrócić wszakże trzeba uwagę, że wyprawa z 1938 r. była pierwszym pojawieniem zetknięciem się Polaków z tym rajem wspinaczkowym Alp Wschodnich, i że lepsze rezultaty mogły być wynikiem tylko dłuższego treningu. Jako pierwsza współczesna próba «inwazji» polskiej w Dolomity, zasługuje jednak na uwagę i uznanie.

Bodaj w jednym zdaniu należy tu wreszcie wspomnieć o pomyślniej wyprawie Jerzego Pierzchały, który w 1937 r., w towarzystwie pewnego niemieckiego alpinisty, zwiedził kilkanaście szczytów w Alpach Oetztalskich, przy czym przeszedł tak frudne partie jak grań z Hintere Schwärze (3633 m) na Similaun (3607 m), pn.-wsch. grań Wildspitze (3774 m) i pn. grań Weisskugel (3746 m); wyprawy tej nie zdążyły już odnotować zesłoroczne «Wierchy». W połączeniu z wyprawami tegorocznymi, świadczy ona jak bardzo rozwinął się polski alpinizm (w dosłownym znaczeniu) i jak wiele nadziei można doń w dalszym ciągu przywiązywać.

Po za Alpami wyruszyli Polacy w b. r. w góry Korsyki. Podobnie jak wyprawa O. i dr. L. Gorskich w 1937 r. do bałkańskiego Dormitoru, była to wyprawa małżeństwa Zofii i dr. Tadeusza Bernadzikiewiczów. W rejonie dolin Spasimata i Trinbolaccia zwiedzili oni z początkiem sierpnia kilka szczytów jak La Mufrella (2148 m), Capo Landroncello (2144 m) i Capo Gialba (2101 m), na zakończenie odbywając dwie piękne wspinaczki, mianowicie dnia 10 sierpnia pn.-zach. ścianą na Capo Rosso (2475 m) i dnia 13 sierpnia 600 m wysoką pd.-zach. ścianą na Monte Cinto (2710 m). Pokonanie ściany Monte Cinto — najwyższej, jak wiadomo, góry Korsyki — zaliczyć trzeba do piękniejszych zdobyczy polskiego alpinizmu sportowego. W związku z tą wartościową wyprawą — skoro niepotrzebnie, a uporczywie nazywano ją pierwszą polską wyprawą w góry Korsyki — godzi się jednak przypomnieć, że polscy turyści dawno już nawiązali znajomość ze skalnymi, Tatry przypominającymi, górami tej czarownej wyspy, właśnie

w b. r. minęło 30 lat od czasu, gdy (w lecie 1908 r.) dr Walenty Staniszewski z Krakowa i jego syn Adam weszli na najwyższe szczyty Korsyki, Monte Cinto (2710 m), Monte Pizzudo (2580 m) i Monte Rotondo (2625 m), wiedzeni przez tamtejszego przewodnika Giuseppe Gambini.

Na zakończenie tego przeglądu, wiadomość z alpinistycznej prasy zagranicznej, że w zimie b. r. zginęli na Wildensteinie (w kurniawie) studenci polscy: M. Wilgowska i Lipiński. Nie był to pierwszy śmiertelny wypadek jaki dotknął Polaków w Alpach. Od lat już bowiem uprawia dorywczy alpinizm wielu studentów polskich z miast uniwersyteckich w zasięgu Alp. Niestety, z jednym wyjątkiem Koła Studentów Polaków w Grenoble w latach 1930—1933 (por. tegor. «Wierchy», str. 101—102), studenci owi ani się nie zrzeszają, ani nie szukają kontaktu z bardziej wyrobionym alpinizmem polskim w kraju.

N. D.

Rok taternicki 1938. Sezon zimowy. Omawiając przeszłoroczne sprawozdanie «Wierchów» z sezonu taternickiego 1937, zawyrokował śmiało «Taternik»: «zarzucanie ogółowi polskich turystów wysokogórskich, że zaniedbuje taternictwo zimowe, jest pozbawione podstaw». Po zimie 1937/8 r. sąd ten musimy zakwalifikować jako omyłkę: w świetle jej wyników taternickich pogląd artykułu «Wierchów» okazał się raczej zbyt łagodny, a zaniepokojenie zbyt słabe. W zimie 1935/6 r. uprawiali taternictwo zimowe z polskiej strony 17 osób, w zimie 1936/7 11 osób, w zimie 1937/8 — 6 (sześć) osób. Oto są ramy, w jakich obraca się współczesne polskie taternictwo zimowe! Powtarza się do znudzenia truizmy o wartości taternictwa zimowego dla całego polskiego ruchu wysokogórskiego, a wypraw egzotycznych w szczególności. Czyż nie należy przypuszczać, że osłabienie tętna taternictwa wśród naszych wysokogórców wyrze swój ujemny wpływ i na młody polski alpinizm egzotyczny? Byłoby to z niezmierną szkodą dla całej polskiej turystyki i dlatego głos ostrzeżeń podnosić należy ciągle i środków poprawy obecnego stanu rzeczy szukać bezwzględnie. Jednym z takich środków wydaje się urządzanie przez Klub Wysokogórski zimowych obozów tatrzańskich na wzór letnich obozów alpejskich i obowiązków w nich udział kandydatów na wyprawy alpejskie. Można by również pomyśleć o stworzeniu pewnego *junctum* pomiędzy udziałem w wyprawach odkrywczych a czynną niestabnącą (jeśli nawet nie ściśle wspinaczkową) działalnością wysokogórską w Tatrach.

Wierchy t. XVI.

Ubiegłej zimy, taternicy polscy — Stanisław Groński i Zbigniew Korosadowicz — dokonali takich wejść zimowych jak pn.-wsch. ścianą na Zawratowa Turnię (2 lutego) i pd.-zach. ścianą na Kozi Wierch (20 lutego); taternicy słowacy i spisy — Bertalan Duchon, Anton Veverka i in. — takich wejść jak pd.-wsch. ścianą na Jastrzębia Turnię (w kwietniu) i na Krywań od Szpary (18 kwietnia).

Sezon letni. Od dawna już nie mieliśmy tak pięknego i słonecznego lata jak w 1938 r. Po niezwykle długo trwającej zimy (w Tatrach warunki wiosenne trwały do lipca) nastąpiło pogodne i długie lato, w którym cały lipiec był pogodny i burzowy, okres gorszej pogody trwał tylko od połowy sierpnia do połowy września, a jeszcze w połowie października było zupełnie ciepło i słonecznie. W tym długim okresie bezśnieżnych skał taternicy nieraz przychodzili do głosu. Ale żaden wysiłek, żaden sukces, choć czasem bardzo piękny, nie przywróci już Tatom okresu ich pełnego zdobywania, gdy co trzecie urwisko było jeszcze dziewicze i z każdej doliny można było dziesiątkiem nowych dróg wdzierać się na otaczające ją szczyty. Z perspektywy ostatnich kilku lat widzimy też jak bardzo schyłkowy jest obecny okres taternictwa, mimo energii i sprawności niektórych młodych wspinaczy, mimo pojawienia się rzutkiego i sympatycznego nowego środowiska słowackiego i mimo odrodzenia się przewodnictwa tatrzańskiego (Motyka, Nitsch, Zamkovsky). Trzeba by z gruntu przebudować treść wewnętrzną taternictwa, by móc wyiść z obecnego epigonizmu.

Tyle uwag ogólnych. Co do szczegółów, to, pomimo że okres letni dawno już minął, a Tatry mamy pod bokiem, zestawienie odpowiednich danych nie może jeszcze nastąpić: niektórzy taternicy zreszteni nie lubią odpowiadać na zapytania, a «dzicy» donoszą o swoich wejściach z wielomiesięcznym opóźnieniem (skarżył się na tę opieszałość także «Taternik»!). Sumiennosc sprawozdawcza każe więc podkreślić, że jeśli na czoło przejść w sezonie wysuwamy w tej chwili I. przejście pd. ściany Małego Kołowego Szczytu — pokonanie jednej z ostatnich nietkniętych ścian tatrzańskich i rozwiązanie problemu nieraz już atakowanego i nadzwyczaj trudnego, dokonane w sierpniu przez Stanisława Motykę i tow. — to może dlatego, że jeszcze nie wiemy o jakimś innym, równie wartościowym wejściu. S. Motyka, J. Sawicki i niektórzy inni taternicy uprawiali działalność żywą i owocną: ale poza ogólnikami o nowych drogach w Durnym Szczycie, Basztach, Czerwonej Turni i t. p., mniej o ich wejściach na razie wiadomo niż o Anglikach

na Evereście czy Niemcach na Nanga Parbat. I mniej też o nich wiadomo, niż o sezonie wysokogórnym po południowej stronie Tatr, co do którego z całą ścisłością wiemy już o tak pięknych wejściach jak I. prz. wsch. zebra Szczyrbskiego Soliska (R. Kubin, Oplł, Smidinger, Virost i V. Roland, 31 lipca), a zwłaszcza I. prz. poźnej pd-zach. ściany Granackiej Turni (L. Budinszky, M. Gattinger, F. Mikolík i J. Wein, 13 sierpnia). Z południowej strony Tatr nadeszła również wiadomość o najlepszym w b. r. powtórzeniu: II. prz. prawej połaci wsch. ściany Gierlachu (Vlk i Michalek, 10 sierpnia). Drugą część sezonu w słowackich Tatrach osłabiły znane wypadki polityczne.

Z innych wydarzeń sezonu zanutujemy od dawna już w takich rozmiarach nie spotykane obrywanie się skał, jakie w b. r. wystąpiło na wsch. ścianie Pośredniej Grani i pn. ścianie Jaworowego Szczytu. Zmieniło ono w znacznej mierze warunki terenowe w dotkniętych katastrofą urwiskach i stworzyło z nich w pewnym sensie nowe problemy, co nawet, zauważono żartobliwie, może w zgola nieoczekiwany sposób rozwiązać zagadnienie wyczerpania się problemów tatrzańskich.

Jak i w r. ub. odbyło się w Tatrach kilka kursów taternickich, ale cieszyły się mniejszym powodzeniem niż dawniej. Wydaje się więc — pomimo pierwotnych bardziej korzystnych spostrzeżeń — że nawet ta forma kolektywnego uczenia się sportu wysokogórnego, przeszczepiona ze sportów boiskowych, zawiędzie na indywidualnym, taternickim gruncie.

Ważną nowością był natomiast kurs dla przewodników zawodowych, jaki po raz pierwszy zorganizowała na wiosnę b. r. Komisja dla spraw przewodnictwa P. T. T. Kurs ten, i przewidziane dalsze, pozwolą w szybkim tempie przywrócić przewodnictwu tatrzańskiemu tę świetność, którą się odznaczało w latach przedwojennych.

Nader pocieszającym i może nawet upoważniającym do daleko sięgającego optymizmu było pojawienie się w b. r. nowego zespołu młodzieży taternickiej, która wykazała ogromne umiłowanie Tatr i wysoki stopień sprawności technicznej i przeszła w sezonie kilka nadzwyczaj trudnych wspinaczek w okolicy Hali Gasienicowej. Przyłączenie całych północnych Tatr do Polski, pozwoli — chcemy wierzyć — tej młodzieży, częściowo nie należącej jeszcze do PTT — na uwzględnienie w swoich wspinaczkach całych Tatr, co może rozstrzygnąć o należyтым rozwoju jej taternictwa. Młodzież ta tworzy własne ramy organizacyjne: już na wiosnę 1937 r. utworzyła Górski Krąg Starszo-

harcerski w Zakopanem, a gdy ta forma nie okazała się dostatecznie korzystna, zawiązała w maju 1938 r. Harcerski Klub Tatrzański, podzielony na dwie sekcje: turystyczną i taternicką. Z dużą radością patrzymy na te poczynania młodzieży, pewni zresztą, że po opanowaniu kunsztu taternickiego przystąpi do Klubu Wysokogórnego.

Coroczna już teraz w Tatrach pozycja stanowiący cudzoziemski ruch taternicki. W ostatnim okresie pierwsze miejsce osiągnęła w nim wycieczka pięciu młodych alpinistów z Mediolanu, członków GUF (Gruppi Universitari Fascisti), która sfinansowała ich wyjazd. Chodzili oni z S. Motyka i dr. Z. Kuleszyna m. in. na takie drogi jak wsch. ścianę Zadniego Kościelca i pd.-wsch. ścianę Zamarłej Turni. W sprawozdaniach ogłoszonych w wielkim dzienniku «Corriere della Sera» przez jednego z uczestników, Carlo Masera, mile śledziliśmy nutę zachwyty nad pięknem Tatr i barwnością folkloru góralskiego, nieco razily pewne nieścisłości formalne, trochę ubawiły błędy drukarskie (o których niejaki pojęcie mogą dać schroniska «Wielski» i «Roftoche» oraz szczyt «Urieguszowieski»). W każdym razie wyprawy takie jak kolegów-alpinistów włoskich witamy zawsze jak najzyczliwiej, jeśli są złożone z równie dzielnych, pełnych zapału i przyjaznych gości jak p. Maser i jego czterej towarzysze. (Warto tu dodać bodaj w nawiasie, że mediolański GUF wysłał w 1938 r. swoich uczestników również w góry Rumunii i Bułgarii, gdzie wykonali szereg interesujących i trudnych wspinaczek. O obu tych ekskursjach przyniósł relacje październikowy zeszyt «Montagna». W oczach sprawozdawcy z Tatr alpinisci polscy są «silenzioso e veritiero, audace e sereno», i cały artykuł pisany jest omal entuzjastycznie). Oprócz tej wyprawy wyróżniły się śmiałe wspinaczki (m. i. pd. ścianą Zamarłej Turni) Niemców Hoinkesa i Hoffmana, opisanie w grudniowym zeszycie «Oesterreichische Alpenzeitung»; tu nb. polska pisownia nazw jest bezbledna.

Zastępuje też może na osobną wzmiankę, że dr Kuleszyna dokonała w b. r. samotnie I. całkowitego przejścia pd-zach. grani Hrubiej Turni. Jest to pierwszy problem tatrzański, rozwiązany samotnie przez kobietę.

Jak wynika ze sprawozdania T. O. P. R. (por. str. 194 n) po polskiej stronie wypadków o charakterze taternickim nie było. Po stronie słowackiej wypadków takich było sporo, ale, dzięki solidnej asekuracji, kończyły się szczęśliwie. Z wypadków śmiertelnych poświęmy wzmiankę, z powodu jego typowości, wypadkowi A. Krekszina, Rosjanina zamieszkałego

stałe w Piszczanach, i jego towarzysza, T. Pappa, jaki ich spotkał w czasie spóźnionego zejścia z Kieżmarskiego Szczytu do Doliny Kamiennego Stawu. Jeden z turystów odpadł w ciemności od skały, pociągając za sobą

z powodu nieudolnej asekuracji, kolegę. Papp spadł kilkadziesiąt metrów, ale, choć ranny, zdołał się uratować; Krekszin spadł zaledwie parę metrów, ale uderzywszy głową o kamień zginął na miejscu.
J. A. S.

PODHALE I PODKARPACIE

Zjazd górski 1938. W dniach od 12 do 15 sierpnia br. Nowy Sącz żył pod znakiem kilku imprez o niezmiernie ważnym dla całych Karpat Polskich znaczeniu. Najpopularniejszą był właściwy «Zjazd Górski», nieco mniejszy od «Tygodnia Gór» lecz również połączony z występami i pokazami etnograficznymi grup góralskich od Zaolzia po Czeremosze. Mimo niesprzyjającej pogody zjazd turystów był wielki, do czego przyczyniły się wydatne zniżki i program wycieczek (do Rożnowa, do Pienin, do Gorlic i Bieczka, w zdrowiskowa doliny Popradu itp.).

Karpackie obrady gospodarcze, zwołane i zorganizowane przez Zw. Ziemi Górskich do Nowego Sącza obsadzone były znakomicie: brało w nich udział około 800 uczestników, pracujących na plenum i w komisjach rolno-przemysłowej, uzdrowiskowo-turystycznej i kulturalno-oświatowej. Obrady były bardzo interesujące i ożywione.

Omówione wytyczne planowej gospodarki i rozwoju Karpat zostały 15 sierpnia przedstawione Radzie Naczelnej Związku Ziemi Górskich do zatwierdzenia. Rada pod przewodnictwem prezesa Związku, ministra gen. dyw. T. Kasprzyckiego rozpatrzyła sprawozdanie Zarządu głównego, zarządów oddziałów i komisji rewizyjnej, uchwaliła absolutorium za ubiegły okres, dokonała uzupełniających wyborów do władz.

W czasie Zjazdu Górskiego odbyło się uroczyste otwarcie Muzeum Ziemi Sądeckiej w salach starego Zamku jagiellońskiego; zorganizowana też była wzorowa wystawa rolnicza, pokazy hodowli i plodów rolnych itp. Zjazd zakończony został defiladą regionalną z udziałem wojska przed gen. Kasprzyckim i członkami Rady Naczelnej Związku.
d. i.

Z życia Związku Ziemi Górskich.

W ubiegłym okresie Z. Z. G. rozwijał nadzwyczaj owocną działalność we wszystkich dziedzinach swej aktywności. Praca prowadzona była zarówno przez Zarząd Główny, jak i przez oddziały (krakowsko-śląski, lwowski i stanisławowski) oraz biura i komisje Związku; szczególnie rozwinęła się działalność Biura planowania regionalnego Karpat oraz Komisji Swojszczyzny Z. Z. G. Obok

Zw. Letniskowego powiatów i gmin Wojew. Krakowskiego oraz Związku stanisławowskiego «Karpaty Wschodnie» stanicjował Z. Z. G. podobną organizację i dla terenów górskich wojew. lwowskiego; powstała ona pod nazwą: Związek Letniskowo-Turystyczny «Bieszczady». — Prowadzono dalej akcję wydawniczą, powołując do życia miesięczny «Biuletyn Zw. Ziemi Górskich», wydając broszurę dla ludu góralskiego (inż. St. Czernego) «Jak należy chować owce», «Sprawozdanie roczne» i inne. Zorganizowano Zjazd Górski w Nowym Sączu, przygotowano tamże karpacki zjazd gospodarczy, utworzono specjalny referat letniskowo-turystyczny przy centrali Z. Z. G. w Warszawie, opracowano (w Biurze Planowania Regionalnego Z. Z. G.) projekt wstępny szosy Krynica — Wysowa, zorganizowano wycieczkę kilkunastu inżynierów biur planowania z Polski za granicę, celem zapoznania się z najnowszymi zagadnieniami komunikacyjnymi, letniskowo-turystycznymi, urbanistycznymi itd. Do Z. Z. G. przystąpiły dalsze związki i organizacje, m. in. «Związek Szlachty Zagrodowej». — W akcji Z. Z. G. szczególnie ważną rolę grają regionalne konferencje powiatowe, z których w b. r. jako szczególnie udane wymieniamy konferencję w Nowym Sączu dnia 25 lutego b. r. i drugą w Gorlicach najazutrz (obie odbyte pod przewodn. wiceprezesów Z. Z. G. prof. W. Goetla i dyr. J. Rudnickiego). Nadto przy współudziale Z. Z. G. odbyła się bardzo udana I regionalna konferencja spiska w Łąpszach Niżnych dnia 27 lutego. W tej krótkiej notatce niesposób zresztą zestawić rozległych prac Związku Ziemi Górskich w rozmaitych dziedzinach pracy a w szczególności w akcji inicjatywy, koordynacji, uzgadniania itd. Aby o akcji Z. Z. G. i jego oddziałów (na obu szczeblach biorą w tej pracy żywy udział liczni przedstawiciele P. T. T.) dowiedzieć się więcej, należy zapoznać się z publikacjami Związku a w szczególności ze «Sprawozdaniem» rocznym». *w. mil.*

Kronika Podhala w bież. roczniku nie ukaże się z powodu nawału tegorocznego materiału do «Kroniki» «Wierchów». Możemy jedynie nadmienić, że postęp dokonany



pod względem urządzeń technicznych na Podhalu wzmógł się w b. r. stosunkowo bardzo znacznie. Zakopane w szczególności zmienia się nadzwyczaj szybko i to na korzyść: dzięki współpracy obecnego zarządu miejskiego, pozostającego pod wytrawnym kierownictwem burmistrza inż. E. Zaczyńskiego, z decydującymi w Polsce czynnikami w zakresie robót publicznych, zyskało Zakopane nowe trwałe jezdnie, chodniki, oświetlenie ulic, kolejkę linowo-ziemną na Gubałówkę, nowoczesny garaż samochodowy, rozpoczęcie wielkich prac nad budową nowego dworca kolejowego, elektryfikacją Skalnego Podhala, budową «szosy karpackiej», zakończeniem szosy Kraków—Zakopane, rozbudową Kościelisk i zbrocy Gubałówki itd. Szosę karpacką, która będzie miała olbrzymie znaczenie turystyczne i gospodarcze, buduje się naraz w kilku miejscach, np. na przełęczy Krowiarki pod Babią Górą; od strony orawskiej prace są szczególnie daleko posunięte.

Szczegółowe omówienie kroniki Podhala, Orawy i Spisza ukaże się w następnym roczniku «Wierchów».

w. mil.

Zjazd Podhalań. odbył się w b. roku w dniach 6 i 7 sierpnia w Odrowążu. Obradom przewodniczył i ponownie został prezesem jednogłośnie wybrany sen. F. Gwiżdż. Referat i przemówienia wygłosili pp. gen. A. Galica, dyr. J. Zachemski, wójt W. Kamiński (Szaflary), wójt Małgorzata Jachimiak (Odrowąż), mec. W. Siuty, mec. St. Kawczak, mgr Janota i inni. W obradach brał też udział starosta nowotarski M. Głut i prof. dr Fr. Bujak ze Lwowa.

Najważniejszymi uchwałami zjazdu są te, które poświęcono sprawom umożliwienia kształcenia dzieci chłopskich i upowszechnienia akcji sadownictwa na Podhalu. Po zjeździe odbyła się huczna zabawa góralska (z konkursem tańców).

d. i.

Organizacja akcji spisko-orawskiej w 1938 r. Akcję propagandową, prasową, informacyjną w kwestii Spisza, Orawy i Czadeckiego oraz konieczności rekultywacji naszej granicy południowej w Karpatach prowadziło przeważnie P. T. T. i jego pracownicy. Jednocześnie swój serwis prasowy uruchomił też Główny Komitet Pomocy dla Spisza, Orawy i Czadeckiego. Komitet ten w dniu 11 października br. zawiązał się w Krakowie. Ośrodkiem krystalizacyjnym był komitet zaolziański z prezydentem m. Krakowa drem M. Kaplickim na czele, który dobrał sobie szereg współpracowników od chwili przekształcenia na ciało społeczne, specjalnie naszymi kresami południowymi zainteresowane.

Ostateczny skład władz wyglądał tak, że poza prezesem urzędowali jako wiceprezesi: ks. kanonik dr F. Machay, prof. dr Fr. Walter, Jan Firla, prof. inż. St. Skoczylas; jako sekretarze: insp. E. Frączek (sekretarz generalny), mgr W. Mileski i dr M. Gotkiewicz. Jako przewodniczący sekcji pracowali: Finansowej — dr St. Chodorowski, Zaopatrzenia i Opieki — dr R. Żak, Propagandowo-Prasowej — dr J. Lankau. Ostatnia sekcja miała wielu współpracowników, wśród których wymieniamy pp.: prof. dra K. Dobrowolskiego, doc. dra A. Małeckiego, red. St. Faechera, F. Starzaka, adw. mgra Wł. Krygowskiego, prof. K. Sosnowskiego, dra J. Dobrzyckiego, dyr. Winiarza i w. in. W pracach komitetu brał udział nadzwyczaj czynny prof. dr Wł. Semkowicz.

Główny Komitet w porozumieniu z czynnikami miejscowymi utworzył liczne komitety lokalne, wydał drukiem dyrektywy i materiał propagandowy, afisze, ulotki, nalepki, listy do zbierania ofiar; wysyłał nadto liczne delegacje do władz, współorganizował wielkie informacyjne zgromadzenia publiczne.

Pracy było dużo, lecz poświęciliśmy jej wszystkie siły, wiedząc, że działamy w sprawie ważnej, wielkiej i dobrej. Czuliśmy się za sobą pełne poparcie całego narodu, a w szczególności całego świata turystycznego, w Głównym Komitecie stykaliśmy się nieraz ze wzruszającą ofiarnością szerokiach a często niezamożnych sfer społeczeństwa.

Akcja P. T. T. w sprawach spisko-orawskich prowadzona była z początku jako niezależna i bodaj, że jedyna w całym toku sprawy, od połowy zaś października w koordynacji i porozumieniu z Głównym Komitetem Pomocy dla Spisza, Orawy i Czadeckiego, który wówczas powstał i rozpoczął swą działalność.

W. Mileski.

130-lecie urodzin Sabaly. W końcu lipca 1938 r. obchodzono w Zakopanem 130-letnią rocznicę urodzin Jana Gąsienicy Krzeptowskiego Sabaly, sławnego przewodnika, myśliwca, muzyka i barda Skalnego Podhala. Przy tej okazji odbył się uroczysty zjazd rodziny Krzeptowskich, rozpoczęty nabożeństwem odprawionym w starym kościełku zakopiańskim przez ks. Wojciecha Krzeptowskiego i złożeniem wieńca na grobie Sabaly. Zjazd był interesującą uroczystością regionalną.

w. mil.

50-lecie Muzeum Tatrzańskiego. Latem bieżącego roku ubiegło 50 lat od założenia Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem, tej najpoważniejszej polskiej placówki naukowo-badawczej i muzealnej dla Podhala,

Spisza i Orawy. Początki muzeum sięgają inicjatywy grupy uczniów i przyjaciół żyjącego jeszcze wówczas Tytusa Chałubińskiego (którego imieniu Muzeum następnie poświęcono). Właściwym inicjatorem był przemysłowiec warszawski Adolf Scholtze († 1914), który rozpoczął wraz z dr. Ign. Baranowskim gromadzenie pierwszych zbiorów. Wśród nich znalazły się przede wszystkim dary znanego ornitologa, leśniczego Homolaców, a potem Komposesoriatu orawskiego, Kocyana. Pierwsze pomieszczenie eksponatów mieściło się w jednym pokoiku w domu Krzeptowskiego na Krupówkach, gdzie potem długie lata znajdowała się apteka p. Tabeau. Już w 1889 roku (roku śmierci T. Chałubińskiego, którą to rocznicę będziemy obchodzili w 1939 r.), otrzymuje Muzeum bogate zbiory mchów tatrzańskich, pieczołowicie przez T. Chałubińskiego kolekcjonowanych i będących podstawą (wraz z towarzyszącą zbiorem literaturą) następnych zbiorów zielnikowych i księgozbioru muzealnego. Wnet potem rodzina Chałubińskiego (syn Ludwik i córka Jadwiga Surzycka) ofiarowali naprzeciwko odziedziczonego po ojcu domu parcelę pod budowę gmachu Muzeum. Budynek ten (drewniany) stanął tam wkrótce istotnie i przez blisko 30 lat służył za pomieszczenie wciąż rosnącym zbiorom. Wcześniej przy Muzeum powstała stacja meteorologiczna, następnie do niego przyłączona.

Muzeum Tatrzańskie było od początku instytucją opartą o stowarzyszenie społeczne tejże nazwy, które opierało się wyłącznie o ofiarną pomoc społeczeństwa polskiego; przez cały czas niewoli raz jeden tylko wpłynęła do kasy Muzeum subwencja ze źródeł państwowych. Cele akcji Muzeum były zawsze jasno i tak samo jak dzisiaj postawione: miało być ono i było placówką badawczo-muzealną o zakresie regionalnym. Pierwszym prezesem (dość krótko zresztą) towarzystwa «Muzeum Tatrzańskie» był Edward hr. Raczynski z Poznania, potem — dłuższy czas — dr Florikiewicz z Warszawy (osiadł następnie w Zakopanem, które jego zapisowi zawdzięcza powstanie gimnazjów sanatoryjnych). Kustoszem był przez kilkadziesiąt lat Walenty Staszek, nauczyciel szkoły powszechnej w Zakopanem, sam rodem z Kościelisk. W tej pierwszej epoce przybyły do Muzeum etnograficzne zbiory podhalańskie Gnatowskiego wraz z jego cenną biblioteką regionalną.

Nowe życie — tuż przed wielką wojną — wlewa w aktywność Muzeum dr K. Dłuski, który wraz z żoną swą Bronisławą, podejmuje mimo olbrzymich trudności, akcję budowy własnego, nowoczesnego gmachu mu-

zealnego. Grunt pod budowę odstąpiło Towarzystwo Tatrzańskie tuż obok budynku Dworca Tatrzańskiego; bliskie sąsiedztwo obu gmachów miało być widomym symbolem współpracy obu instytucyj na terenie Tatr i Podhala. Współdziałanie to doznaje zresztą znakomitego bodźca w powstaniu Sekcji Przyrodniczej Tow. Tatrzańskiego, która całą swą akcję miała oprzeć o aparat badawczy Muzeum, oraz Sekcji Ludoznawczej Tow. Tatrzańskiego, założonej i prowadzonej przez Bronisława Piłsudskiego, starszego brata Marszałka, znanego etnologa i podróżnika († 1918 r.).

Dwadzieścia pięć lat temu rozpoczęto budowę obecnego, murowanego gmachu Muzeum. Poświęcenia kamienia węgielnego dokonano w czasie i w obrębie uroczystości, które Tow. Tatrzańskie urządzało w ciągu lata w Zakopanem z okazji czterdziestolecia swego istnienia. Wybuch i lata wojny były hamulcem zarówno w stałym rozwoju Muzeum jak i w postępach budowy nowego gmachu, który obecne kształty zaczął przybierać ostateczne pod koniec 1918 roku (budynek stawiany był według projektów w zasadzie St. Witkiewicza, plany pierwotne — będące jedną z pierwszych prób «rozwiązania» stylu zakopiańskiego w budowlu murowanej — uległy następnie szeregowi przeróbek i uzupełnień).

Rok 1918 był dla działalności Muzeum przełomowy: był to rok objęcia opieki nad tą instytucją przez władze niepodległego państwa polskiego. Najwyższe władze oświatowe Rzeczypospolitej udzieliły wówczas Muzeum swego stałego poparcia i pomocy, które trwają do dziś dnia. W r. 1918 zaczął też w zarządzie Muzeum pracować prof. Juliusz Zborowski, wkrótce mianowany jego dyrektorem i kustoszem działu etnograficznego, na których to placówkach ku niezmięnej korzyści dla instytucji pozostaje po dziś dzień.

W roku 1922, gmach obecny Muzeum wykończono i poświęcono, i zbiory ze starego budynku do niego przeniesiono. Kustoszem działu przyrodniczego został Konstanty Stecki (następnie mianowany profesorem Uniwersytetu Poznańskiego).

Czym była epoka 1922—1938? Zaznaczyła się następującymi punktami zasadniczymi: 1) stworzono właściwy, odpowiadający potrzebom tego rodzaju placówki regionalnej, księgozbiór i założono odpowiednie kartoteki; 2) rozpoczęto i prowadzono dalej akcję wydawniczą, stwarzając parę celowych typów publikacyj; 3) urządzono szereg sal wystawowych według współczesnych założeń muzealnictwa regionalnego (w pracy tej z roku na rok czyni się dalsze postępy); 4) w po-

rozumieniu z Pol. Tow. Tatrzańskim założono zaczątek alpinarium (wysokogórskiego ogrodu botanicznego) na gruncach ogrodu P. T. T. obok Dworca Tatrzańskiego; 5) nadano Muzeum charakter podwójny: placówki badawczo-naukowej oraz instytucji popularyzującej wiedzę o Tatrach i Podhalu; 6) rozwinęto bardzo znaczne kontakty z innymi placówkami i instytucjami w kraju i za granicą oraz poczyniono wielkie usługi informacyjne, propagandowe i popularyzacyjne w stosunkach z zagranicą odnośnie do terenu Tatr i Podtatrza.

W działalności i stanie obecnym Muzeum są też i «ciemne» strony. Oparcie jego istnienia w ciągu długich lat li tylko na ofiarności dobrych ludzi a także przebywanie ok. 30 lat w starym, szczupłym, drewnianym budynku spowodowały, iż i dzisiaj jeszcze, mimo obecnej opieki ze strony Ministerstwa Wyzn. Rel. i Oświecenia Publicznego oraz Funduszu Kultury Narodowej, system przechowywania zbiorów pozostawia wiele do życzenia. Wszelkie braki dyrekcja Muzeum stara się w miarę sił i możliwości uzupełniać i naprawiać. Dziś widać, że co najmniej dwa razy większe pomieszczenia są już potrzebne Muzeum i na sale z ekspozycjami i na księgozbiór i na pracownię naukową. Nikt nie myślał, gdy kładziono fundamenty pod obecny gmach, że rozwój Muzeum Tatrzańskiego im. Chałubińskiego będzie tak szybki i że wkrótce wiele cennych eksponatów latami całymi będzie musiało leżeć w magazynach! Przecież dziś razi już w Muzeum w Zakopanem brak osobnego działu, poświęconego turystyce, historii «odkrywania» Tatr, dziejom taternictwa i narciarstwa górskiego w Polsce, rozwojowi i Podhala z punktu widzenia letniskowego i uzdrowiskowego, dziejom Zakopanego i Podhala; brak działu obrazującego w osobnych stoiskach stan obecny i rozwój przemysłu ludowego, gospodarstwa regionalnego (pasterstwo, mleczarstwo, hodowla, łowiectwo, rybołówstwo i t. d.).

Z natury rzeczy Muzeum Tatrzańskie jako instytucja muzealna i naukowa badawcza, powołana jest do ściślejszej współpracy z takimi placówkami, jak Muzeum regionalne im. W. Orkana w Rabce (powstałe przy tamtejszym Oddziale PTT), Muzeum regionalne w Nowym Sączu, Muzeum Pienińskie w Krościenku (przy zarządzie Parku Narodowego Pienińskiego), Muzeum Etnograficzne w Krakowie i t. d.

Współpraca ta istnieje i ma widoki dalszego rozwoju w ramach planowego współdziałania w obrębie sieci górskich muzeów regionalnych w Karpatach Polskich. Muzeum Tatrzańskie roztacza od niedawna

opiekę nad Dworkiem Moniaków w Zubrzyicy Górnej na Orawie (będącym własnością państwa), o którym w niniejszym roczniku osobno piszemy; z natury rzeczy silna jest współpraca Muzeum we wszelkiej akcji z dziedziny ochrony zabytków Podhala i kultury regionalnej Podtatrza, ochrony przyrody i krajobrazu, ratowania dzieł sztuki i budownictwa i t. d. Współdziałanie Muzeum Tatrzańskiego i P. T. T. ma podstawy szczególnie trwałe i realne.

Przy wszystkich dodatnich, pozytywnych stronach akcji Muzeum Tatrzańskiego należy podkreślić, iż to wszystko, co dotąd zostało zrobione, jest tylko podstawą właściwego dalszego rozwoju. Rozwój ten zaś uwarunkowany jest: 1) koniecznością rozbudowy obecnego gmachu Muzeum i powstania nowych pomieszczeń na sale ekspozycyjne i pracownię, oraz 2) zwiększeniem personelu pracowników Muzeum (dziś więcej niż zbyt szczupłego!), a co za tym idzie i dotacji ze źródeł publicznych na cele właściwego funkcjonowania i koniecznego dalszego rozwoju tej niezmiernie pożytecznej i niezbędnej dla dalszego postępu naukowych badań Tatr i Podhala instytucji. W staraniach swych Muzeum Tatrzańskie zawsze doznawać będzie zupełnego poparcia Pol. Tow. Tatrzańskiego. Sądzić też wypada, że odpowiednią pomoc i poparcie tej niezmiernie pożytecznej, niezastąpionej placówce, również okazywać stale będzie Związek Ziemi Górskich.

W. Mileski.

Odnowienie murowanej kaplicy przy starym cmentarzu w Zakopanem.

W początkach XIX w. Zakopane nie miało własnego kościoła, a część wsi należała do parafii chochołowskiej, a część do poroninowskiej. Jakie skutki wynikały z tych odległości dla religijnych wierzeń górali, wiemy z Witkiewicza «Na przełęcz», z Tetmajera i licznych ludowych opowiadań. Aby przynajmniej od czasu do czasu mogły się odbywać w Zakopanem nabożeństwa i kazania, wystawił własnym kosztem murowaną kaplicę z ołtarzykiem Paweł Gąsienica na roli Osiedle (p. «Kronika Parafii Zakopiańskiej» ks. Józefa Stolarczyka w «Roczniku Podhalańskim», str. 106). Dokładnej daty postawienia kaplicy nie znamy; zapewne wymurował ją fundator w latach 1800—1824, gdyż z «Kroniki» parafialnej wynika, iż stała już przed kupnem dóbr zakopiańskich przez Homolców.

Pierwotnie odprawiali w niej nabożeństwa tylko przygodnie dojeżdżający z sąsiednich parafii księża. Z objęciem probstwa przez ks. Stolarczyka (1847 r.) nastąpiły regularne ceremonie kościelne. Nie trwało to

długo, bo już w 1847 r. stała się część drewnianego kościoła z ołtarzem na tej samej roli, w sąsiedztwie murowanej kaplicy. W 1851 r. wykończono budowę i nabożeństwa przeniesiono do nowej świątyni. Mimo to kaplica od czasu do czasu nadal była używana dla odprowadzania mszy, zwłaszcza w dzień św. Jana Nepomucena, którego kamienna figura zdobi po dziś dzień jedną z wnęk frontowych.

Gdy stanął murowany, dzisiejszy kościół parafialny, najstarsza zakopiańska świątynia poszła w zapomnienie i zaczęła ulegać zniszczeniu. Jeszcze kilka lat temu była magazynem siana. Opinia publiczna doprowadziła wprawdzie do usunięcia magazynu, stan kaplicy jednak był już pożałowania godny. Z ołtarzaka pozostało jedynie obramienie, a spękane i wypaczone ściany groziły lada dzień zawaleniem.

W lecie 1938 r. z inicjatywy Muzeum Tatrzańkiego przystąpiono do zabezpieczenia i gruntownego remontu zrujnowanej pamiatki. Stało się to wspólnym kosztem Urzędu Parafialnego, Zarządu Miejskiego i Muzeum Tatrzańkiego, przy czym należy podkreślić, że ks. dziekan Tobolak przeznaczył na konserwację kaplicy część daru, jaki ofiarował Bank Podhalański na odnowę obecnego kościoła parafialnego. Remont, ogólnym zdaniem bardzo udany, przeprowadził bezinteresownie inż. arch. Stefan Meyer, od kilku lat współpracownik wojewódzkiego Urzędu konserwatorskiego. Kamienną figurę św. Jana odnowił art.-rzeźbiarz Stanisław Sobczak.

W szczególności wykonano następujące roboty:

stwierdzono, że fundamenty były zaledwie 20 cm pod powierzchnią ziemi, co przy zamarzaniu i oddziaływaniu powodowało ruchy ziemi, a w konsekwencji pęknięcia i rysy w budowlu, murowanej zresztą dość prymitywnie na glinie. Podbito zatem fundamenty wokół murów do głębokości 1,20 m na silnej zaprawie. Przemurowano części murów nad ziemią, gdzie były rysy i pęknięcia, uzupełniając te mury na zaprawie wapienno-cementowej. Przemurowano sklepienia nadokienne, spękane i opadnięte, a tak samo sklepienie nad drzwiami wejściowymi. Odbito spękana i w dużej mierze opadniętą wyprawę na zewnątrz kaplicy. Części murów wykazujące duże zruszenia przemurowano w ich zewnętrznej stronie i wytestowano ściany zewnętrzne pozostawiając naturalny kamień, który swoim kolorem daje interesującą i charakterystyczną szatę kościółkowi. Wewnątrz uzupełniono i poprawiono wyprawę ścian, oraz w podłodze dano podkład betonowy pod przyszlą podłogę z płaskich «skrzyżali». Poprawiono również z grubsza drewniany sufit, wstawiono dwa nowe okna drewniane i nową futrynę drzwiową.

Pozostaje na przyszłość poprawa drewnianego gzymsu i zastąpienie szczytowych listew od frontu wedle starych wzorów, jak również wymiana obecnych drzwi na nowe, skomponowane na modłę znaną z kaplic podhalańskich, z zastosowaniem starego okucia; ponadto trzeba wykończyć sufit (szalunek i listwy) i uzupełnić gontowe pokrycie. Na koniec należy kaplicę przyozdobić niezbędnym ołtarzem.

Juliusz Zborowski.

PRZYCZYNKI KRAJOZNAWCZE

Nowo odkryte znaki poszukiwaczy skarbów w Tatrach. W jednym ze źle bów opadających z Łysanek ku Dolinie Strążyńskiej zauważył w czerwcu 1938 uczeń gimn. w Zakopanem, Przemysław Kotarbiński, na stromej ścianie skałki wykute w kamieniu znaki. Zainteresowany tym odkryciem Stanisław Kopkowicz, również uczeń gimn., udał się w to miejsce, znaki opisał i postarał się o ich sfotografowanie. Przedstawiają one krzyże, strzałki, kreski i trudne do odgadnięcia kombinacje kresków, linii prostych, zao-kraglonych itd. Z dotychczas znanych znaków, pozostałych po poszukiwaczach skarbów, znaki w Łysankach są najbliższe położone od Zakopanego. Z powodu cienia, jaki stale panuje na przewieszce skały i utrudnionego dostępu, fotografowanie znaków jest nielatwe. W dostarczonej przez Kopkowicza

fotografii trzeba było retuszem wydobyc rysunek znaków, tak bowiem w cieniu zlewają się z kamiennym tłem.

Nasuwa się przy znakach kutych w skałach tatrzańskich wątpliwość, czy wszystkie można przypisywać poszukiwaczom skarbów. Na pewno tak prymitywne, jak tu opisane, jak te, które w I. roczniku «Wierchow» przedstawił Konstanty Stecki, — umieszczone w zacisznych, mało dostępnych miejscach — są dziełem poszukiwaczy skarbów zgodnie z ludową tradycją. Czy jednak tak kształtymi cyframi wyróżniające się daty na skałach, jak np. wykuta w skałach wozu Krakowa data 1663, rozmiarami pokazna i bynajmniej nie zatajona w jakiejś ciszy, są naprawdę pamiątką po poszukiwaczach? Co najmniej wątpliwe. Może są to pozostałości po górnictwie tatrzańskim,

może daty rozpoczęcia roboty «na baniach» i w sztolniach, może znaki stwierdzające istnienie pokładów rudy żelaznej, wyczerpanie tych pokładów i t. p. W każdym razie trzeba przyjąć, iż znaki skalne są różnego pochodzenia i że tylko pewną ich kategorię, najprymitywniejszą w treści i wykonaniu,



Fot. L. Sierociński

można łączyć z górskimi poszukiwaczami skarbów.

Wśród znaków, jakie opisują lub reprodukuja dawne «spiski» czyli przewodniki rękopiśmienne do skarbów tatrzańskich, znajdujemy również dwie odmiany. Jedna — to najprostsze znaki, np. wyobrażenie drabiny, krzyża, na jakie zdobyły się nawet nieoczytany w «spiskach» góral, aby zaznaczyć, czy to miejsce o istnieniu skarbu podejrzane, czy też bezpieczny, zaciszny schowek dla dukatów, zdobytych zbójnickim rzemiosłem. Ale druga kategoria, zawierająca znaki bardziej skomplikowane, dość odległe chłopskiemu myśleniu, jest napewno importem, tkwiącym w alchemii i «wiedzy tajemnej». Oczywiście góral dziedziczący po przodkach jako najcenniejsze dobro, rękopiśmienne spisek, z równym powodzeniem wykuwał potem w skałach tajemnicze, niezrozumiałe mu znaki, jak i własne, prymitywne w treści i wszystkim jasne. Podobnie jak oprócz własnego, pobożnego westchnienia do nieba o pomoc w odszukaniu podziemnej «złotej sali» lub pływającej po mitycznym Żabim jeziorze «złotej kaczki», klepał wyuczone z rękopisu zawile zaklęcia i formułki pod adresem wyimaginowanych, złych lub dobrych, strażników zaczarowanego skarbu.

Juliusz Zborowski.

Grot „Szczelina“ w Dolinie Chochołowskiej. Niezbadałą dotąd, nową grocie w skałach nad Zawiesistą w Dolinie Chochołowskiej zwiedził we wrześniu 1938 r. uczeń III kl. gimnazjum zakopiańskiego, Stanisław Kopkowicz wraz ze swym kolegą, Grossem. Zauważył on mały otwór pod skałą na lewo od bramy Zawiesistej, z którego wiał dość silny wiatr. Otwór ten nie był dotąd zwiedzany, jakkolwiek dotarli do niego przed kilku laty znani badacze grot tatrzańskich, Zwolíncy. — Wejście do groty jest bardzo ciasne. Po kilku metrach dociera się do dużego kamienia, który leży nad 3,5 metrowym progiem. Z prawej strony można przesunąć się pod kamieniem i przejść próg. Stąd w prawo mamy komin do góry, a w lewo dalszy korytarz. Po kilkunastu metrach dość wygodnego korytarza dochodzi się do małej salki, której strop tworzą głazy. W lewej ścianie salki

jest widoczny otwór mały na zewnątrz. Mamy tu kilka korytarzy. Jednym z nich, niskim i krętym, dochodzi się do wysokiego, ukośnego korytarza. Idziemy nim do progu wysokiego na metr. Nad progiem wisi oparty o ściany grot, olbrzymi kamień. Tu korytarz rozdwa się: w prawo idzie dalej wąski korytarz, w lewo prowadzi ok. 2 metrowy próg, pokryty śliską gliną. Z powodu tej śliskości zwiedzający grocie zaniechali na razie zbadania tej części korytarza, udali się natomiast w prawo kilkudziesięciometrowej długości korytarzem, kończącym się zwaliskiem głazów. W tym zwalisku na wysokości 3,5 do 4 metrów znajduje się między kilkoma kamieniami szczelina, którą można dalej się posuwać. Po przejściu salki i korytarza dochodzi się do miejsca, w którym dwie ściany zbliżają się do siebie i gdzie zamiast podłogi znajduje się szczelina podchodząca pod lewą ścianę. Część tej przeszkody obaj chłopcy przebyli, ale z powodu braku liny całej przejść nie mogli. Dalsza część groty przedstawia się jako sala. Zbadanie reszty groty odłożono na przyszłość. Dotychczas przebyta przestrzeń groty wynosi około 120 metrów.

k.

Nowe stanowisko cisa w Tatrach —

W czasie mych prac botanicznych, wykony-

wanych w roku bieżącym w Tatrach natrafiłem na nieznaną dotychczas nikomu okaz cisa. Cis ten znajduje się na skalnej wapiennej ścianie, wznoszącej się nad budynkiem dawnego polskiego urzędu celnego na Łysej Polnie, t. zw. Skałce nad Łysą Polaną. Rośnie on na wzniesieniu ok. 1100 m w miejscu prawie zupełnie niewidocznym. Dostęp do niego możliwy jest jedynie przy pomocy liny. Pień, wysokości ok. 3 m i dość gruby znajduje się w pionowym, wąskim kominku tak, że jest prawie całkiem ukryty i dopiero korona okazu wychyla się na zewnątrz w formie pięknego, płaskiego «parasola». Dokładnych pomiarów drzewa nie wykonywałem. Niewidoczność okazu i trudny dostęp do niego zapewnijają mu ochronę przed uszkodzeniem zarówno przez człowieka jak i ze strony zwierząt.

W pobliżu wspomnianego cisa rośnie również na półce skalnej piękny okaz jałowca o piramidalnym kształcie i niespotykanej naogół w górach wysokości.

m. zaj.

W związku z napisem na Czołe Turbacza, (por. notatkę W. Mileskiego w poprzednim roczn. «Wierchów», str. 229), przytaczam poniższy szczegół, który może częściowo posłużyć do rozwiązania postawionego zagadnienia.

W zbiorze starodawnych aktów, noszącym tytuł «Sprawy gromadzkie państwa Poręba Wielka» w tomie XIX znajdują się dwa dokumenty, w których występuje nazwisko Koldras. Są to krótkie kontrakty kupna i sprzedaży gruntu. Pierwszy z 1848 roku opiewa na sprzedaż 1/8 części roli

Kacikowej z izbą i okołem (t. j. stodołą) przez Franciszka Zapalę z Poręby Wielkiej na rzecz IMC Pana Franciszka Koldrasa za kwotę 56 reńskich monety konwencyonalnej. Drugi z 1849 r. zaświadcza sprzedaż tej samej realności przez IMC Pana Franciszka Koldrasa na rzecz Jana Czencza, pisarza prowentowego w Porębie Wielkiej za kwotę 100 reńskich monety konwencyonalnej. Jest jeszcze i trzeci na 161 stronie tego samego tomu, który głosi, że Jan Czencz sprzedaje grunt nabyty od Pana Franciszka Koldrasiańskiego (!) Jakubowi Goldmanowi w 1852 r.

Nasamprzód należy stwierdzić, że nazwisko Koldras nie jest miejscowe; ani w Porębie Wielkiej, ani w okolicznych wsiach nie ma chłopów Koldrasów. Tytuł IMC Pan zdaje się wskazywać na pochodzenie szlacheckie, lecz nie z bezwzględną pewnością, gdyż są przykłady, że władza dworska w wyjątkowych wypadkach zaszczyciała tym tytułem także chłopów. W tomie XIV na str. 184 tego samego zbioru znajduje się dokument, w którym chłop z Podobina Marcin Potaczek nazwany jest IMC Panem. Trzeba jednak wiedzieć, że Potaczkowie byli rodem soltysim i przez dwór jeszcze do niedawna z pośród chłopów wyróżnianym. Jeżeli Fr. Koldras nie był szlachcicem, to pochodził z rodziny dobrze zasłużonej dworowi lub sprawie krajowej. Poza tym z przytoczonego źródła nie da się wyciągnąć żadnych dalszych wniosków co do osoby Fr. Koldrasa a tym mniej co do napisu na skale na Trubaczu.

S. Flizak.

PIŚMIENICTWO

Jan Gwalbert Pawlikowski: O lice ziemi. Warszawa 1938, str. 399, z portretem autora. — Staraniem Państwowej Rady Ochrony Przyrody ukazało się wspaniałe wydawnictwo, będące ukoronowaniem niejako pracy publicystycznej prof. dra J. G. Pawlikowskiego w dziedzinach ochrony przyrody i ochrony swojszczyzny w ogólności. Książka, wydana nadzwyczaj starannie, zawiera wybór pism (z niektórymi uzupełnieniami i drobnymi zmianami) zdaniem naszym podstawowych dla całego ruchu ochrony przyrody i rodzimego regionalizmu w Polsce. Są to takie kapitalne dzieła, jak w 1913 r. opublikowana a dziś zupełnie już wyczerpana rozprawa «Kultura a natura» (zajmująca cały dział I. książki), lub jak rzadka w bibliotekach i obiegu księgarskim

praca «O celach i środkach ochrony przyrody» (drukowana w 1920 r. w tomie I rocznika «Ochrona Przyrody», skąd też przedrukowano artykuł B. Wigilewa «Ochrona Tatr», który użyto jako wstępu do działu III. książki: «Ochrona przyrody górskiej — Tatry»). Są w książce przedruki z innych, dalszych tomów «Ochrony Przyrody» a to rozprawy, obejmujące podstawowe zagadnienia z zakresu społecznej organizacji ochrony przyrody, prawa ochrony przyrody, międzynarodowej organizacji ochrony przyrody i t. p., lub z «Wierchów», jak artykuły o Tatrach jako przyszłym parku narodowym, o stosunku idei ochrony gór do nowoczesnych prądów w alpinizmie i t. p. Obok tego znajduje się wybór celniejszych polemicznych artykułów autora, zabiera-

jącego zawsze śmiały i odważny głos w walce o Tatry i ochronę ich krajobrazu i przyrody (są tu więc przedruki zarówno artykułów dotyczących zalewu Tatr tablicami czy pseudo-schroniskami, jak też dyskusji na temat żelaznego krzyża na Giewoncie, jak wreszcie głosów w obronie Tatr przed aglomeracją ostatnio na pewnym ich odcinku nadmiaru urządzeń technicznych — kolejki linowej, schronisk, dróg, ścieżek i t. p.). — Czwarty i ostatni dział poświęcony jest w całości stylowi zakopiańskiemu, i konieczności jego ochrony w budownictwie zakopiańskim a to dla zachowania właściwego obrazu «lica ziemi» podtatrzańskiej, rodzimego charakteru i stylu, któremu jako zjawisku społecznemu poświęcono jest przedruk tekstu wykładu Pawlikowskiego z 1911 r., dziś naogół niedostępnego dla ogółu. Przy tej sposobności zestawiono wybór paru innych jeszcze prac, drukowanych ongi bądź w «Lamusi», bądź w rzadkich dziś i w niewielu egzemplarzach zachowywanych publikacjach.

Całość książki ukazała się pod sumienną redakcją prof. dra W. Szafera i prof. dra A. Wodźniczki, którzy w przedmowie podnieśli, że dzieło ukazuje się w momencie dla ochrony przyrody i ochrony Tatr przełomowym oraz, że zasady i ideały w książce tej zawarte winny stać się podstawą do dalszej działalności nowej Państwowej Rady Ochrony Przyrody.

Nas szczególnie cieszy wyzierający wszędzie z kart tego «katechizmu polskiego ruchu ochrony przyrody» tak widoczny od samego początku olbrzymi udział Pol. Tow. Tatrzańskiego w tym potężnym ideowym ruchu, który mimo chwilowych przeszkód i trudności ma wszelkie widoki pewności swego znakomitego dalszego rozwoju, gdyż oparty jest w pełni «o rodzime pierwiastki, tkwiące w polskiej przyrodzie i w polskiej duszy».

Witold Mileski.

Stanisław Ryszard Dobrowolski: Janosik z Tarchowej. Poemat. Warszawa, F. Hoesick 1937. — Poeci współcześni sięgający w swych próbach epickich do naszej przeszłości, nie zawsze dokonywali w niej szczęśliwego wyboru. Nie mówiąc o niedawnych stosunkowo czasach, roku 1905, który poza lirycznym w dużym stopniu «Powrotem na Powiśle» St. R. Dobrowolskiego nie doczekał się dotychczas w mowie wiązanej takiej wizji poetyckiej, jaką mu w prozie dali Strug i Żeromski, — takie momenty historyczne, jak uniwersał połaniecki, działalność Towarzystwa Demokratycznego, «Proletariatu» i in. — nie były dotąd wyzyskane. A ileż postaci plutarcho-

wego godnych pióra nie wprowadzono jeszcze do poezji epicznej (ks. Sciegienny, Worcell, Jar. Dąbrowski i in.)! Za to Bruno Jasieński w poszukiwaniu polskiego Pugaczowa usiłował bezskutecznie odbronować takiego Jakuba Szele!

Ostatnio Stanisław Ryszard Dobrowolski sięgnął do legendarnej dotąd postaci Janosika. Dotąd (mam na myśli Tetmajera). Bo obecnie Dobrowolski w swej poetyckiej relacji oparł się na pracy Józefa Krzyżanowskiego («Proces Janosika», Warszawa 1936, odbitka z «Przeglądu Współczesnego»), stąd w poemacie wiele autentyzmu. Postać Janosika już niejednokrotnie pociągała poetów, zarówno polskich (Tetmajer), jak i słowackich (Zaborsky, Botto), przy czym w interpretacji Tetmajera osiągnęła wyżyny prawdziwego arcyzmu. Ale autora «Legandy Tatr» nie krepował dokumentaryzm, mógł on swobodnie dać wodze swej bogatej fantazji. Dobrowolski (zgodnie z opinią Józ. Krzyżanowskiego) szuka w poczynaniach Janosika początków wyzwoleńczego ruchu chłopskiego w Polsce. We wstępie swym wyraźnie nawiązuje do «Powrotu na Powiśle», gdy mówi, że «staroświecka pieśń» szepcze mu «w ucho ten sam śpiew, co wzrósł pośród Powiśla ulic», że słyszy w niej to, «co już słyszał w brukach Łodzi». Mam jednak wrażenie, że ten pierwiastek rewolucyjno-społeczny Dobrowolski wyzyskał w swym poemacie za mało. Wprawdzie «piszczy bieda podhalańska u gazdowskich progów», wprawdzie «przysły wieści od spiskiego Kiesmarku, że ninie nie przepuści Miłośnicy najlichszej dziedzinie, że z piarzystych żlebów w Tatrach i z jałowych grani, jak przydusi chciwy żupan, nawyciska danin», wprawdzie dalej «beczy głód w szopie», a ekonom ze dworu krzyczy «na pańskie» i wreszcie «wstawał naród», «idą zemstę brać na panach» i dwukrotnie brzmią (odmiennym nawet podkreślone drukiem) słowa pieśni: «ej, panowie, nie będziecie przewodzić nad nami». Ale poza tymi, nierozwiniętymi należycie momentami — ruchu chłopskiego w poemacie nie widzimy. A Juro pójdzie «za bucki» głównie dzięki pokumaniu się z Uhorczkiem i chociaż później «pańskiem z harnasiowej ręki żywią się chudzi», to jednak nie urasta on w naszych oczach na bohatera ludowego, obrońcę sprawiedliwości, a nawet na tego zbójnika «co świat równa». Jest tegim, nieustraszonym harnasiem, co ani niedźwiedzia ani ludzi się nie lęka, umie i pić na umór, i «na pocztowych się zasadzać», i bawić się do upadłego, i «hojną dłońią rozdawać pierścionki dziewczynom» — a gdy przyjdzie, i umierać hardo. Ale nie jest polskim Pu-

gaczowem (już raczej Kostka Napierski jest w tej roli odpowiedniejszy). I ta społeczna strona poematu, mam wrażenie, wypadła najslabiej.

Ale nie będąc utworem o Janosiku, obrońcy krzywd chłopskich, «Janosik z Tarchowej» jest pięknym poematem o Janosiku-harnasiu. W trocheicznym czternastogłoskowcu (typu osiem plus sześć) przedstawia poeta bytowanie zbrojnika od chwili, gdy go «kołysała, hołubiła matka» aż do momentu, gdy został, jak opiewa autentyczny wyrok: «na hak w lewym boku wbity i tak dla przykładu innych takich złoczyńców powieszony». To życie tchnie prawdą i postać Janosika od tej strony jest przekonująca. Sugestywne sceny walki z niedźwiedziem, napadci na księdza z Demanicy, wesela na zagrodzie Uhorczika są odmalowane z dużym realizmem i wywierają silne wrażenie. To samo można powiedzieć o niektórych miejscach odzwiercadelających życie pasterskie w górach (zwłaszcza piękny obraz pieśni V: noc czerwocwa na rewuckiej hali).

Z obrazów natury gęsto rozsianych w poemacie na szczególniejszą uwagę zasługują artystyczny opis halnego i powodzi (II pieśń — świetne aliteracje i onomatopeje). W ogóle Dobrowolski doskonale operuje różnymi środkami techniki poetyckiej, uzyskując nieraz piękne efekty. Rozmiar wiersza i rytmika (może jednak zbyt monotonna), częste paralelizmy w rodzaju «leży Juro na barłogu, brzask od okien stuką, hen od Czaczy po gościńcu dzied Tarchowej szuka», wplecione w tekst poematu autentyczne piosenki góralskie — wszystko to ma na celu nadanie utworowi charakteru eposu ludowego, ale wyszukane nieraz przenośnie (np. «pod koszulą jęć jaskółczym pisklęciem się tłucze» albo «ciecze mleko mgieł ze strągi na świat») wskazują wyraźnie na jego współczesny rodowód. Razi maniera sztucznych rymów typu: Spisz i — towarzyszy (takich zestawień z typu «i» mamy w poemacie aż siedem).

Na zakończenie jeszcze dwie uwagi: Tarchowa (ściślej: Terhowa) nie znajduje się wcale na Orawie, lecz bardziej na zachód w tzw. Hornotrenciansku, Osobita zaś jest przeważnie górą wapienną, nie ścisłym jest więc powiedzenie «od granitu Osobitej po wapienie Pienin» (str. 17). Poza tym w opisie nocy na zamku orawskim razi taki klójący się z topografią Tatr passus: «Spod Łomnicy idą nisko chmury». Błędy te (jak i rusycyzm, który się wkradł na str. 11: «nie wałaskie rosłe chłopcy a niedźwiedzie prawie», zamiast *lecz*) powinny być koniecznie usunięte w następnym wydaniu, którego «Janosik» niewątpliwie się doczeka.

Reasumując: pomimo pewnych niedociągnięć i usterek poemat Dobrowolskiego jest utworem wartościowym, stanowiącym ważką pozycję w naszej literaturze tatrzańskiej.

K. A. Jaworski.

Eugeniusz Pawłowski: Kurniawa.

Część III powieści «Chochołowscy», Kraków—Warszawa 1937, nakł. Związek Podhalań, str. 402.— Jest to ciąg dalszy omówionych w poprzednich rozdziałach «Wierchów» powieści «We mgłę świtu» i «Burza nadciąga». Tom ten kończy dzieje i przeżycia grupy bohaterów akcji, rozgrywającej się na Podhalu w okresie powstania chochołowskiego w 1846 roku, w dobie tego samostanowienia porywu ludowego w Polsce XIX wieku o wolność narodu. Czytanie powieści tej nie jest może porywające, lecz daje wiele zadowolenia miłośnikom Podhala, gdyż dzięki autorowi, będącemu znakomitym znawcą góralskiej kultury ludowej, wzywamy się w dzieje wielkich rodów górali chochołowskich, w ich powszednie, codzienne przeżycia, w ich oryginalną, namiętną, bogatą psychikę, pełną wszakże już wówczas, na pierwotnym Podtatrzu z połowy ubiegłego stulecia, ogólnoludzkiach trosk, odczuć, porywów, klęsk i zwycięstw. Zwraca uwagę poprawne używanie gwary góralskiej i dobre wczucie się w wewnętrzne życie wsi podhalańskiej.

w. mil.

T. A. Mischke: Enualla. Kraków

1938, nakł. Z. O. S. I. M. (?), str. 207, z portretem autora. Podtytuł książki brzmi: «Gawędy i bajeczki dla dorosłych». Autor — znany lekarz zakopiański, myśliciel i filozof. Gawędy jego — to próba przeprowadzenia też o konieczności odrodzenia ludzkości przez «tatrzaństwo», przez który to termin dr Mischke określa «duchowe taternictwo», uszlachetnienie natury ludzkiej przez obcowanie z krainą wierchów i turni. Treść książki często niejasna, nieraz przesycona odbiciem jakby namiętnych pasji autora, gęsto przetkana kunsztownymi dociekaniem i myślowymi i własnymi teoriami, dotyczącymi psychologicznej natury człowieka — wskazuje na pseudo-mesjanistyczne nastawienie autora do spraw tego padółu. Jeśli tu dziełko recenzujemy, to nietylko ze względu na jego wysoki ton ideologiczny, lecz na przepojenie książki wielkim uczuciem miłości dla Tatr i Podhala. Książka powstała pod wpływem tego uczucia i zawiera kilka poezji autora na tematy tatrzańskie.

w. mil.

Jan Rzewnicki: Moje przygody w Tatrach. (Uśmiechy i dreszcze). Warszawa 1938. Nakł. księgarni F. Hoesicka, str. 304. — «Skuszony ku utrapieniu czytelników» jak sam powiada żartobliwie, wydał znany turysta i miłośnik Tatr, Jan Rzewnicki wybór swoich wspomnień tatrzańskich, które sam z chwałebną szczerością charakteryzuje jako «nie tyle taternickie i sportowe, ile turystyczne — ot — majówkowe niejako, anegdotalne, towarzyskie...». Istotnie nie należy w jego opowiadaniach szukać taternictwa. Wodzi Rzewnicki czytelnika po Rysach i Zawracie, po Liliowem i Swistówce, wodzi ścieżkami, a gdy wyrusza na Durny od Klimkowej Przełęczy bierze przewodnika i pisze z przejęciem: «Podziwiam tylko fantazję pierwszego odkrywcy, któremu taka droga do głowy przyszła, i wątpię, czy w ogóle sami bylibyśmy doszli na szczyt...»

Rzecz charakterystyczna, że do ogłaszania książek na tematy tatrzańsko-taternickie najchętniej przystępują albo ci co z taternictwa już się wycofali (jak Zaruski, Malczewski, Roguska-Cybulska) albo ci, którzy taternikami nigdy nie byli (Bocheński, Kurek, Michał Pawlikowski, Rytard, Rzewnicki, dawniej Witkiewicz). Daje to obraz mocno zamazany i jednostronny stosunku Polaków do Tatr i jest może jedną z przyczyn słabego dopływu świeżych sił do taternictwa (brak propagandy). Jakże inaczej jest w Niemczech lub Anglii, gdzie na czele piśmiennictwa alpinistycznego stoją tacy ludzie jak Bauer lub Smythe. Dlatego posiada trwałą aktualność dawny apel K. A. Jaworskiego w «Kamieniu» o «wydanie wypisów tatrzańskich, na które złożyłyby się mogły celniejsze opisy wypraw wysokogórskich od Chałubińskiego począwszy ... a na najmłodszych skończywszy».

Proszę mnie jednak źle nie rozumieć: bynajmniej nie uważam, by prawo do ogłaszania drukiem swoich wspomnień tatrzańskich mieli tylko zdobywcy wielkich nowych dróg, «przedstawiciele każdorazowej elity» jakby powiedział R. Kordys. Opis przejścia przez Zawracik może nas silniej wzruszyć, niż opisy najokropniejszych wspinaczek: chodzi tylko o to, że w opisie wielkich czynów taternickich temat może usprawiedliwić wiele niedomagań formy, podczas gdy opis wycieczki niefrasobliwej musi być bezwarunkowo dziełem sztuki, jeśli ma kogośkolwiek zainteresować i usprawiedliwić swoje życie książkowe.

Rzewnicki jest przemiłym gawędziarzem i facecjonistą, którego skrzywdziły losy nie dając mu chodzić po Tatrach w ub. wieku. W jego kartkach z pamiętnika wiele spoty-

kamy aluzji aktualnych, ale atmosfera w nich panująca, cały stosunek człowieka do gór, żywcem przenoszą nas w szanowne czasy sześciu wydań Eljasza. Jest wprost niezwykle jak w okresie narastania nowoczesnego taternictwa (ostatnia wycieczka opisana w *Moich przygodach* datuje się z r. 1929) można się było do tego stopnia wyosobnić w swoich odczuciach, wrażeniach i stosunku do taternictwa. Przecież i ceper powojenny w Tatrach jest inny, a turystom daleko do tej sielskości i bez troski, dla której trudne problemy turystyczne Tatr współczesnych (bodaj walka o ochronę ich pierwotności) jakby w ogóle nie istniały.

Zaletą wspomnień jest brak sztucznego patosu, żywy tok opowiadania, uśmiechy częstsze niż dreszcze. Wśród opisów wyróżniają się swoim literackim poziomem: wesoła opowieść o schodzeniu po ciemku z Białczańskiej Przełęczy Wyżniej i dramatyczna o wyprawie na Durny i związanej z nią śmiercią przewodnika spiskiego J. Breuera; utrwalony w tym ostatnim opisie obraz J. Gąsienicy Daniela pozostaje w pamięci i nabiera rysów tym bardziej patetycznych, gdy sobie przypominamy, że Daniel już w niespełna pół roku później również zginął w Tatrach.

J. A. Szcz.

Roman Wojtusiak: W sercu Kaukazu. Lwów—Warszawa 1937, nakł. Książnicy-Atlas; str. 254, ryc. 60, mapki 2. — Książka wydana jest starannie i gromadzi opis przeżyć i spostrzeżenia autora z wyprawy naukowo-alpinistycznej Klubu Wysokogórskiego P. T. T. w masyw Centralnego Kaukazu. Autor bezpretensjonalnie, prosto i plastycznie opisuje przebieg wyprawy, przytyskając jej dzieje interesującymi opowiadaniem o kraju, ludziach, przyrodzie i współczesnych stosunkach na Kaukazie. W porównaniu z omówioną w ub. roczniku «Wierchów» pracą inż. W. Ostrowskiego («W skale i lodzie»), pisaną na tenże temat, książka Wojtusiała daje mniej osobistych przeżyć autora i zgodnie ze swym podtytułem («Diennik przyrodnika pierwszej polskiej wyprawy w góry Wysokiego Kaukazu») kładzie większy nacisk na badania naukowe wyprawy, niż na wyniki alpinistyczno-sportowe grupy wspinaczy (w wyprawie działały grupy naukowa i alpinistyczna równoległe i taki typ wypraw autor uważa za najracjonalniejszy dla eksploatacji gór egzotycznych). Doc. Wojtusiak dał dobrą książkę podręczniczą, stanowiącą nowy przyczynek do rosnącego wciąż tego działu naszej literatury — w niej zaś godnie powiększył dział książek z dziedziny alpinizmu polskiego.

w. mil.

F. S. Smythe: Obóz Szósty. Z angielskiego przełożył Aleksander Dobrot. — Warszawa 1938. T-wo Wyd. «Rój». Str. 338 i kilkanaście ilustracji.

Książka, którą mam tu omówić, nie jest zwykłą nowością wydawniczą «Rój», jedną z tysiąca: jest to pierwsze dzieło nowoczesnego alpinizmu światowego, przełożone na język polski, a więc wobec uwagi jaką dzisiejsze społeczeństwo poświęca kulturam w najwyższe góry świata — czyn kulturalny, a wobec namnożenia się w latach ostatnich alpinistycznych książek polskich — znakomity dla czytelnika materiał porównawczy.

Książka Smythe'a — relacja z wyprawy na Everest z 1933 r., w czasie której osiągnął autor rekordową wysokość ok. 8500 m — jest niezwykła. Jej opis, prosty i pozbawiony patosu, «klasyczny», wywołuje niezmiernie wrażenie. Zapewne, przyczynia się do tego sam obiekt opisu, przygoda, wobec której błędna wyprawa polarna, opis wysiłków największych jakie mogą spotkać eksploratora. Wyprawa na Everest — to nieustanna, najlepsze siły i nerwy pożerająca walka z klimatem i wysokością, jakiej równej nie masz na kuli ziemskiej. Smythe umie tę walkę opisać niezmiernie sugestywnie. Wszyscy zaczynamy rozumieć co znaczy wiatr himalajski i co znaczy mróz, «potwornie zimna ciecz, spływająca po zboczach i otulająca nieuchronnie śmiertelnym całunem». A opis końcowego ataku i odwrotu czyta się jak rozdział najwyższego bohaterstwa.

«Dniami krwawej męki» nazywali wspinacze pobyt w górnych regionach Everestu. Czemu więc idą tam wciąż w górę, z uporem i rozpaczliwą wytrwałością? Każdy człowiek gór umie odpowiedzieć na to pytanie, i Smythe również daje nam odpowiedź.

Jego książka jest przeznaczona dla szerokiego ogółu, dla laików. I celowi swemu odpowiada w zupełności. Tą celowością przewyższa też polskie książki alpinistyczne, o wiele bardziej osobiste, liryczne lub sprawozdawcze. Smythe jest dziennikarzem — ma więc znakomite wyczucie wyboru tego, co należy opisać i tego co wolno lub należy opuścić. Jest reporterem — pisze więc nadszczajająco zajmująco, zwięźle, bez balastu. Jest Anglikiem — a więc pisze przystępnie i ze specyficznym angielskim humorem, któremu wolno podbarwić nawet grozę. Jest Europejczykiem (w dawnym tego słowa znaczeniu) — więc jego stosunek do tragarzy jest głęboko ludzki, a do otaczającego świata pozbawiony wszelkiego fanatyzmu. Jest uczestnikiem wyprawy zbiorowej — pisze więc o swoim dowódcy i kolegach, a sposób w jaki to czyni może być jeszcze jednym przykładem angielskiej zasady *fair play*. Jest wre-

szcie alpinistą, jednym z największych w świecie — to również daje miarę wysiłku, który go zmusił do odwrotu.

W czasach głębokiego barbarzyństwa książka Smythe'a przywraca wiarę w bezinteresowność i wielkość człowieka. W obliczu Everestu tracily wszelkie znaczenie wydarzenia świata nizinnego. Niestety, takie stanowisko jest narkotykiem: bo Everest to tylko Przygoda, po której powraca nieuchronnie — życie na codzień. Czyż jednak ludzie nie są gotowi za narkotyk płacić nawet życiem? Dla nas, alpinistów, ta wspaniała książka kryje jeszcze jedno wzruszenie: obrazu gór, które nas czekają.

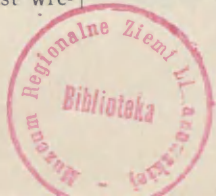
Polskie tłumaczenie książki — czynność nie łatwa i odpowiedzialna — jest bardzo dobre. Wstęp do polskiego wydania (pióra J. Orenburga) podaje dzieje zdobywania Everestu w słowach pełnych zapału i znajomości tematu; uzupełnienie to, zbędne dla czytelników angielskich (wśród których znajomość dzieł wypraw na Everest jest powszechna), jest bardzo użyteczne dla czytelnika polskiego, dla którego Everest to bądź co bądź temat bardzo odległy i egzotyczny. Słowem: «Obóz Szósty» należy każdemu jak najgoręcej polecić.

Jedną muszę wynotować wadę polskiego tekstu, a to w tym celu by ją usunięto w drugim wydaniu: rodzime nazwy tybetańskie podawane są w pisowni angielskiej a odmieniane po polsku, skutkiem czego powstają takie dziwolągi jak forma «Kangchenjundze» i t. p. Gdy Anglicy piszą nazwy tybetańskie w ten sposób, aby ich odczytanie zbliżyło się najbardziej do dźwięku oryginału, są logiczni, podobnie jak logiczni byli np. uczestnicy polskiej wyprawy w Atlas, pisząc nazwy berberskie w transkrypcji polskiej; jest to zwyczaj powszechny, pozwalający uniknąć różnych nieporozumień. Ale tłumacz «Obozu Szóstego» nie jest logiczny. Wytykam tę usterkę, ponieważ przy okazji radbym również i pisownię «Taternika» nawrócić z analogicznej a błędnej drogi.

J. A. Szczepański.

Paweł Hulka-Laskowski: Śląsk za Olzą. Katowice 1938, str. 493; 274 pięknych ilustracji, 2 mapy. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego (seria «Pamiętnika Inst. Śląskiego»). — Wspaniałe wydawnictwo opisowo-informacyjne jest dzisiaj już dokumentem historycznym. Uwzględniła bardzo szeroko zagadnienia góralszczyzny nadolziańskiej i opisuje przepiękny kraj beskidzki Gór Jabłonkowskich. Interesujące są też opisy ziemi czadeckiej. Książka o dużych wartościach literackich, wydana bardzo starannie.

w. mil.



Słowacja i Słowacy. Tom I «Kraj i Lud», Kraków 1937, str. 270; tom II «Dzieje i literatura», Kraków 1938, str. 408. Nakładem Sekcji Słowackiej Tow. Słowiańskiego w Krakowie. — Wspaniała praca zbiorowa, wydana w ciągu ostatnich dwu lat pod sumienną i staranną redakcją prof. dra W. Semkowicza, stanowi wartościową publikację, godnie i w sposób nadzwyczaj korzystny i bardzo potrzebny zastępującą przestarzałą i wyczerpaną już książkę Zawilińskiego «Słowacy», będącą dotychczas jedynym dostępnym w języku polskim kompendium o najbliższym nam mową, charakterem i pochodzeniem sąsiedzie, o zakarpaccim narodzie słowackim. Tom I obejmuje następujące rozprawy: dr. M. Olszewicza «Słowacja w literaturze polskiej», dra M. Gotkiewicza «Od Dunaju po Tatry» (opis turystyczno-krajoznawczy Słowacji, w formie lekkiego przeglądu wdrówek wzdłuż najbardziej malowniczych szlaków tej przepięknej ziemi), wreszcie doc. dra W. Bobka «Lud słowacki» (zarys etnografii słowackiej. Tom II zawiera prace: Fr. Hrušovskiego «Zarys dziejów słowackich do r. 1918» (w przekładzie dra M. Gotkiewicza) — będący pierwszym w tym zakresie dziełem nie tylko w języku polskim, lecz pierwszym tego rodzaju ujęciem historii Słowacji w ogóle; dra H. Batowskiego «Zarys dziejów słowackich w ostatnim dwudziestolecium 1918—1937»; prof. dra W. Semkowicza studium «Polacy i Słowacy w dziejowym stosunku» (autor podkreśla tu ważną rolę współpracy Polaków i Słowaków nad rozwojem turystyki i ochrony przyrody w pogranicznych partiach Karpat); wreszcie dra W. Bobka «Dzieje literatury słowackiej w zarysie».

Dzieło jest obficie i gustownie ilustrowane; w korekcie należało było poprawić tego rodzaju uchybienia, jak np. informacje o kolejce zębatej do Szczyrbskiego Jeziora, zniszczonej już dobrych kilka lat temu, lub nazwanie kościoła w Zdziarze kościołem w Zegrze, a widoku z Małej Wysokiej widokiem z Tatr Bielskich. Szkoda, że w tomie II podano mapę żup w Słowacji, nie na naturalnym podziale na historyczne żupy opartą, lecz na krótkotrwałym podziale na «velżupy» obowiązującym w latach 1920—1927. Uwagi powyższe w niczym nie mogą obniżyć poglądu, że stoiemy przed dziełem kapitalnym, które stać się musi podstawą dla każdego polskiego nie tylko badacza Słowacji i stosunków słowackich, lecz także dla każdego miłośnika tego pięknego kraju karpacciego, podręcznym przyjacielem każdego turysty górskiego w Polsce, który dzięki konwencji turystycznej mógł zwiedzać południową stronę Tatr i Beskidów.

W. Mileski.

Slovensko, wyd. Maticy Slovenskej, Turczański Święty Marcin 1938. Wspaniałe to wydawnictwo zawiera przedmowę pióra Józefa Orszagha, prezydenta krajowej Słowacji po słowacku, niemiecku, francusku i angielsku oraz 216 dużych plansz fotograficznych ze zdjęć znakomitego, najlepszego fotografa słowackiego Karola Plicki (Plicka znany jest jako autor przepięknego filmu krajoznawczego i ludoznawczego «Zem pieva», który w Polsce wyświetlany był niestety tylko we fragmentach na specjalnych, zamkniętych pokazach). Opracowanie graficzne wydawnictwa J. Cencika i druk tłoczni «Slovenská Grafia» w Bratysławie stoi na bardzo wysokim poziomie. Wzmiąnkę o publikacji dajemy ze względu na to, że wiele plansz — to wspaniałe zdjęcia krajobrazowe z Karpat Słowackich, między in. z Fatry, z Tatr Wysokich i Niżnych, z Orawy i Spisza, wreszcie zdjęcia etnograficzne z góralszczyzny słowackiej (a także polskiej i ruskiej na Spiszu czechosłowackim: Zdziar, Osturnia, Jarembina).

w. mil.

Jan Reyhman: O polsko-słowackiej współpracy na Podhalu. Warszawa 1938, str. 19. Nakładem Tow. Przyjaciół Słowaków im. L. Sztura ukazała się powyższa broszura, nawiązująca do rozpraw prof. dra Wł. Semkowicza o polsko-słowackich terenach współpracy naukowej i kulturalnej (1933) oraz dra W. Olszewicza «O polsko-słowackiej współpracy na terenie Śląska Cieszyńskiego» (1934). Autor w krótkim zarysie porusza kwestię wzajemnych wpływów etnicznych na pograniczu narodowościowym Podhala, Liptowa, Orawy i Spisza, następnie fakty i dokumenty indywidualnej, przemysłowej i celowej współpracy jednostek i to od XVIII wieku poczynając (ks. Hugolin Gawłowicz, ks. Blaszyński, Staszic, Zejszner, K. Tetmajer, Zawiliński, W. Elias, Radzikowski, P. Chmielowski, Br. Piłsudski, Wł. Orkan, W. Semkowicz, K. Stecki, J. Zborowski, W. Antoniewicz, J. St. Bystron, A. Chybiński, Pacewiczowa, Gotkiewicz, Młodziejowski, Małecki, Stieber, ks. Tobolak, J. Krzyżanowski, Dobrowolski, Gwizdź, A. Zachełmski, W. Goetel, M. Orłowicz, W. Mileski i inni). Jednocześnie treściwie omówieni są działacze i wyniki prac i badań ze strony słowackiej na pograniczu Podhala czynionych. Pisane interesująco i żywo.

d. i.

Kazimierz Dobrowolski: Dwa studia nad powstaniem kultury ludowej w Karpatach Zachodnich. Kraków 1938, odb. ze «Studiów historycznych ku czci Stanisława Kutrzeby», t. II, str. 72, mapa 1.— Książka obejmuje dwie rozprawy, uzupełnia-

jące się a oparte na poprzednich studiach autora, poświęcającego się w swej karierze naukowej ze szczególnym upodobaniem pasjonującym go (i nie tylko jego!) zagadnieniom wpływu napływu pasterzy «wołoskich» na kulturę ludową i skład etniczny ludności góralskiej Karpat. Rozprawa pierwsza, «Z badań nad zagadnieniem wołoskim w Karpatach Zachodnich», obejmuje rozważania autora z dziedziny teorii kultury i znaczenia specjalnego kultury ludowej w Karpatach Zachodnich dla badań teoretycznych, następnie zaś zajmuje się kwestią chronologii fal osadnictwa karpackiego i wytworzeniem długowiekowego procesu wykrzyżowania biologicznego i kulturalnego na obszarach Karpat, zależnego od współzycia paru nawarstwień etnicznych, między którymi działała stale osmoza w dziedzinie zapożyczeń z kultury duchowej i materialnej, a także biologiczno-rasowa. Dobrowolski rozważa następnie sprawy chronologii osadnictwa i hipotezy historyczne co do ruchów, które wywodzi od pierwotnej emigracji szczepów pasterzy albańskich i aromuńskich (kucowołoskich) zawierających następnie coraz to więcej infiltratów obcych, kolejno południowo-słowiańskich, rumuńskich i ruskich. Autor daje interesujące uwagi o dawnym, rzadkim lecz pierwotnym, zaludnieniu rolniczym polskim dolin Karpat Środkowych, za którymi dopiero później nasunęła się fala osadnictwa «wołoskiego», wytwarzając dzisiejszy klin lemkowski, wbity między terytoria etniczne polskie i wschodnio-słowackie (prawdopodobnie pierwotnie polskie, następnie zesłowaczone). Wreszcie autor, po zwróceniu uwagi na fakt silnych paralelizmów w kulturze ludowej Bałkanu, Rumunii i ludów północno-karpaccich, wypowiada swój pogląd o roli udziału niemieckiego i węgierskiego w powstaniu pasterstwa w Tatrach (wbrew pracom K. Poikańskiego i Z. Pacewiczowej wpływ ten autor uznaje za nader nikły).

Druga rozprawa zajmuje się nazwą miejscową «Beskid, Bieszczad» i podobnymi jej odmianami, tak częstymi w Karpatach. Dobrowolski omawia po kolei dawne poglądy na tę kwestię, a to podając hipotezy etymologii: rodzimą, tracko-dacko-iliryską, germańską i scytyjską, oraz krytykuje dotychczasowe metody badania, nieuwzględniające potrzeby dokładnego badania toponomastyki Karpat i Bałkanu. Autor rozważa chronologię i rozwój formy nazw *beskid*, *bieszcziet* i t. p., podaje wiadomość o źródłach, gdzie nazwa ta się pojawia (pierwszy raz w dokumencie z 1269 r.), rozważa znaczenie nazwy na rodzimym jej podłożu w Albanii, skąd zdaniem jego przez ruchy migracyjne ludności pasterskiej dotarła poprzez Żelazną Bramę,

Siedmiogród do Karpat Polskich i Słowackich. Jako uzupełnienie rozważań (bardzo przekonywujących) autora, który konsekwentnie dowodzi, że pierwiastki albańskie i południowo-słowiańskie do Karpat wniosła fala plemion pasterskich, mocno zromanizowanych i w XIV—XV w. istotnie jeszcze rumuńskich językowo w znacznej mierze (skądże inaczej tak mnożne i silne rozprzestrzenie się toponymii i onomastyki rumuńskiej w Karpatach Zachodnich?), — należy przeczytać streszczenie pracy tegoż autora p. t. «Przyczynki do wpływów rumuńsko-balkańskich w kulturze ludowej Karpat Zachodnich» (odb. ze «Sprawozdań Pol. Akademii Umiejętności», tom XLIII, 1938, nr 6, str. 230). Referat na tematy poruszone w obu tych pracach, wywołał ożywiającą dyskusję na Zjeździe Naukowym, poświęconym Karpatom Środkowym i Wschodnim w Krakowie, w październiku 1938 r. (o czym piszemy osobno w bież. roczniku). Szkoda, że w dyskusji tej nie poruszono możliwości dwóch hipotez. Jedna — to ewentualność pozostania przecieży w Karpatach po okresie wędrówek ludów w połowie I-go tysiąclecia naszej ery jakichś resztek dawnej ludności trako-iliryskiej, pokrewnej albańczykom, która mogła istotnie pozostawić wiele starych nazw miejscowych, a między innymi i owe «bieskiet», znaczące i dziś jeszcze po albańsku «hale, poloniny, wysokie grzbiety trawiaste». A druga — to zagadnienie, czy niektóre wpływy romańskie nie mogły przyjąć do podłoża Karpat znacznie dawniej, niż pierwsi imigranci wołoscy, rumuńscy — a mianowicie, czy pewne słowa, nazwy, pojęcia, zwyczaje, nie mogły popod Tatry wzdłuż bardzo dawnego osadnictwa w dolinie Wagu dotrzeć od granic niedalekiego imperium rzymskiego, od łacińskiej Vindobony (gdzie dziś Wiedeń), od pobliskiego lecz ludniejszego od niej Carnuntum (niedaleko Dewina i Bratysławy), od Aquincum (gdzie dziś Budapeszt), od Trenczyna wreszcie, gdzie długi czas *castrum* legie rzymskie (jak pozostałe po nich tablice świadczą) utrzymywały? Z rzymskimi pieniędzmi (znajdywanymi stale w całej Słowacji), z wyrobami kultury łacińskiej, obyczajami i t. p. przenikać mogły też niektóre pojęcia, słowa, nazwy, których nikłe ślady mogły przetrwać wędrówki ludów i dalsze koleje osadnictwa.

Pracę swą autor kończy rozważaniami nad koniecznością docierania zawsze do źródeł poszczególnych zjawisk, obserwując potem ich powstanie, istotę, rozwój i tendencje dalszych losów oraz podkreśla moment jednoczesnego ujmowania zjawisk z dziedziny etnografii i kultury ludowej — także w odniesieniu do obszarów karpaccich — w uję-

ciu genetyczno-integralnym i w uwzględnieniu dynamiki poszczególnych elementów.

W. Mileski.

Janina Oryźyna: Przemysł ludowy w Polsce. Warszawa (1937), nakł. tygodnika «Polska Gospodarcza», str. 206; 8 tablica wielobarwnych i 48 ilustr. w tekście. Książka bardzo cenna choć nie wolna od usterek, obejmuje wiele materiału, odnoszącego do polskich regionów karpaccich, przede wszystkim do Podhala i Huculszczyzny.

w. mil.

Zabytki sztuki w Polsce. Inwentarz topograficzny. Cz. III, t. I, zes. 1: Powiat Nowotarski. Opracował dr Tadeusz Sztydlowski, prof. Uniw. Jagiell. — Warszawa, 1938, wyd. Ministerstwo W. R. i Ośw. Publ. Str. 181, ryc. 220, mapka 1 (rozmieszczenia zabytków sztuki w powiecie). W wielkim, 17-tomowym monumentalnym wydawnictwie, przygotowanym do druku pod kierunkiem dr. J. Szablowskiego, kierownika Centralnego Biura Inwentaryzacji Zabytków Sztuki w M. W. R. i O. P., ukazał się od razu w zeszyście 1. opis zabytków nieruchomych i ruchomych (zarówno pozostających w posiadaniu publicznym jak prywatnym) na terenie powiatu nowotarskiego. W ten sposób na Podhalu wraz z polskimi politycznie częściami Spisza i Orawy zostały zestawione (w porządku alfabetycznym miejscowości) zarówno te wszystkie skarby sztuki, które, od lat znane i uznane, wzbudzały podziw zwiedzających i otoczone były szacunkiem i czcią miejscowej ludności (np. kościoł w Dębnie, zamki w Czorsztynie i Niedzicy itd.), jak też te, które dopiero czujne oko konserwatora wydobyci bądź z ukrycia, bądź z zapomnienia.

Przeglądając stronę po stronie ten niezmiernie interesujący zeszyt, spostrzegamy, jak wielkie być musiały bogactwa i energia twórczości artystycznej w kresowej ziemi podhalańskiej, skoro mimo bezprzykładnych wiekowych zniszczeń i braku opieki — tyle jeszcze zabytków zdołano zainwentaryzować. Uwzględnienie w słowie i fotografii kościołów, kaplic, zamków, zabytków świeckich (budowle dworskie, godne ochrony chałupy i t. d.) oraz ich wewnętrznych szczegółów i urządzeń, wreszcie ich zanalizowanie w kolejności następstwa stylów — pozwala dokładnie wnikać w dzieje artystyczne i kulturalne Podhala, Orawy i Spisza oraz w etapy ich rozwoju.

Z drobnych usterek tego cennego wydawnictwa wymienić można by m. inn.: nieuwzględnienie zabytków pozostałych po samorodnym rzeźbiarzu góralskim Wojciechu Kułachu w jego rodzinnym Gliczarowie i wsiach

okolicznych (świątki i figury przydrożne w okolicy i w chałupie — obecnie jego dzieci i wnuków — z oryginalnymi rzeźbami w drzewie i unikatem-piecem) oraz mniej licznych zabytków rozrzuconych po wsiach położonych na zachód od Białego Dunajca, pozostałych po bracie poprzedniego, Piotrze Kułachu z Bańskiej; nieuwzględnienie roślinnego otoczenia niektórych zabytków jak np. starych drzew (Białka, Jurgów, Crawka, Rabka, Sieniawa i t. d.), które stanowią integralną a przeważnie chronioną już prawnie część tych obiektów. Słuszne byłoby podać, na czym gruncie stoją opisywane kaplice, figury itp. i w czyim ręku i opiece pozostają obecnie poszczególne zabytki. W Kłikuszowej można było wspomnieć o resztkach dworu (obejścia, zagrodzenia zabytkowego i kuźni), w Dolnej Ochotnicy — o zabytkowych pomnikach nagrobnych na cmentarzu (Tetmajerów i in.), toż samo gdzieindziej.

Zeszyt, poświęcony pamięci ś. p. Stanisława Tomkowicza, który pierwszy systematycznie badał zabytki i dzieje sztuki na obszarze powiatu nowotarskiego, — zawiera nader interesujący «Wstęp», będący doskonałym wprowadzeniem czytelnika; wstęp ten zawiera: Uwagi geograficzno-historyczne, przegląd materiału zabytkowego (architektura: budowle kościelne, budowle świeckie; rzeźba; malarstwo; urządzenia wewnątrz kościelnych; naczyńia, szaty i sprzęty liturgiczne; dzwony; inne zabytki) i przegląd literatury przedmiotu. Przy każdym opisie powołane są źródła, stwierdzające informacje; wydawnictwo uwzględnia tu również częstokroć tradycję ludową. Zeszyt kończy streszczenie francuskie (Zarys uwag o zabytkach sztuki na Podhalu).

Do zeszytu 1 dodano «Słowo wstępne do Inwentarza zabytków sztuki w Polsce» pióra dra J. Szablowskiego, również ze streszczeniem francuskim.

Wydawnictwo przygotowano i wydano starannie i estetycznie. Trudno sobie wyobrazić bez niego wszelką bibliotekę regionalistyczną lub podhalańską. Z radością miłośnicy Podkarpacia ujrzą dalsze zeszyty, poświęcone powiatom górskim a w szczególności beskidzkim, sąsiednim dla Podhala oraz wschodnio-karpaccim, śląskim i obejmującym tereny Pogorza.

Witold Mileski.

Jan i Stefan Reychnanowie: Przemysł wiejski na Podhalu (Folusz, tartak, młyn, olejarnia, gonciarnia, browar.) Wydawnictwo Muzeum Tatrzańkiego im. Dr T. Chałubińskiego w Zakopanem. Zakopane 1937, str. 92, ryc. 54. — W dotychczasowej literaturze etnograficznej ogromnie rzadko zwracano uwagę na zagadnienie tech-

nicznej strony wiejskiego przemysłu. Poza najczęściej opisywanymi foluszami do bicia sukna i olejarni, prawie że nie ma należytych opisów młynów wiejskich, gonciarek, tartaków, czy browarów, które stawiane rękami wiejskich cieśli i kowali niejednokrotnie stanowią bardzo ciekawe okazy ludowej techniki.

Łukę w naszej literaturze jeśli chodzi o Podhalę wypełnia książka J. i S. Reychmanów, którzy po trzechletnich studiach terenowych ogłosili pracę poświęconą tej właśnie zaniedbanej przez badaczy dziedzinie ludowej kultury. Książka, poza krótką przedmową wydawcy, obejmuje sześć rozdziałów, w których opisane jest kolejno urządzenie folusza, tartaku, młynka, olejarni, gonciarni i browaru, treść książki zamyka zestawienie wyrazów gwarowych, oraz streszczenie w języku francuskim (2 strony).

Badania autorów wbrew tytułowi nie ograniczyły się do obszaru samego Podhala lecz obejmują również obszary przyległe jak Spisz, Orawę i dalsze jak np. osiedla Ruśniaków szlacheckich a nawet wybiegają poza granice państwa na Liptów. Opisy opracowane bardzo starannie i możliwie jasno, ilustrowane kilkudziesięciu rycinami wykonanymi zgodnie z wymogami rysunków technicznych powodują, że praca Reychmanów posiada nieocenioną wartość dokumentarną.

W dzisiejszych czasach, gdy zabytki ludowej kultury giną w tempie zastraszającym, gdy z dnia na dzień maleje liczba foluszy, młynów i starych olejarni, z całym uznaniem należy przyjąć książkę Reychmanów, którzy w ostatniej chwili przed całkowitą zagładą utrwaliли ołówkiem i słowem zabytki dawnego wiejskiego przemysłu.

W pracy zwraca ponadto uwagę staranne zestawienie literatury dotyczącej zagadnienia przemysłu wiejskiego na innych obszarach zarówno karpacckich, jak i pozakarpacckich; jedynym brakiem, jaki możnaby autorom wytknąć, jest brak mapki, na której uwidoczniłoby się dawniejsze i dzisiejsze rozmieszczenie obiektów ludowego przemysłu w obrębie Podhala.

Roman Reinjuss

Andrzej Czudek: Ochrona przyrody w województwie śląskim. Kraków 1938, nr 49 «wydawnictw osobnych» Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Str. 216, ryc. 51. — Piękna i pouczająca książka, będąca wzorowym inwentarzem, wskazującym, co już uczyniono ze strony władz, społeczeństwa oraz jednostek dla skutecznej ochrony śląskiego krajobrazu, flory, fauny i zabytków przyrody nieożywionej. Interesujące uwagi o ochronie gatunkowej w świecie roślin

Wierchy, t. XVI.

i zwierząt śląskich (stan faktyczny i postulaty), o łowiectwie, lasach i leśnictwie na Śląsku, o istniejących i pożądanych rezerwach — dają, jak i cała książka wiele materiału dla górskiego regionu Śląskiego; zaznaczyć bowiem wypada, że choć wydana przed powrotem Zaolzia, praca traktuje zarówno o obszarach dotychczas do województwa śląskiego przynależnych, jak i o odzyskanym dopiero po jej ukazaniu się Zaolziu.

Publikacja jest tym więcej pożyteczna, że poza zainteresowaniem naukowców, turystów i krajoznawców, przyczyni się niewątpliwie (przede wszystkim dzięki dobremu rozdziałowi: «Ochrona przyrody w szkole śląskiej») do zainteresowania tą dziedziną szerokich warstw nauczycielstwa i wychowawców.

Z zauważonych braków zacytuje tylko dwa: nie wspomniano nic o legendarnej jaskini pod szczytem Klimczoku, związanej legendami z postacią zbójnika tegoż imienia, oraz o występowaniu w górnej Czadecce, rzecze zlewiska Wagu i Dunaju, wypływającej w Jaworzynce, fauny wodnej czarnomorskiej (a przede wszystkim charakterystycznej ryby lososiowatej: głowacicy, znanej nam z Czarnej Orawy, Prutu i Czeremoszu).

w. mil.

Dr Marian Gotkiewicz: O Polakach w okręgu Czadeczkim. Żywiec 1938, str. 19, ilustr. 6, mapki w tekście 2. Odbitka z kwartalnika «Gronie», nr 3 (wydawnictwo T. S. L. w Żywcu). — W rozprawie autor zestawia i streszcza wszystkie dotychczasowe źródła i wiadomości o stanie polskości w ziemi Czadeczkiej, i podaje szereg własnych uwag, opartych o znajomość terenu (który dawniej niemal w całości, a w części do XIX w. stanowił część Księstwa Cieszyńskiego, zanim Węgry podstępnie nie zagarnęły gminę po gminie całego okręgu aż niemal po główny, wododziałowy grzbiet Beskidów Zachodnich). Autor podaje ciekawe przykłady pieśni ludowych oraz polskiej góralskiej gwary czadecckiej, noszącej już (podobnie, jak strój i obyczaj) pewne cechy bliższego sąsiedztwa i wielowiekowej styczności z «hornotrenczianami» (górskim szczeniem słowackim, z którego pochodził historyczny Janosik z Terchowej). Pieśni i gwarą są dla dra Gotkiewicza obok żywej jeszcze tradycji niezbitym dowodem potwierdzającym wieści o pochodzeniu polskich osad góralskich na Bukowinę rumuńską z Czadeczkim. Interesujące są zestawienia nazwisk Czadczan i nawiązania ich do polskich nazwisk z Orawy, Podhala i Żywiecczyny. Wreszcie znajdujemy bogatą bibliografię przedmiotu.

Dobrze się stało, że w chwili zwrócenia przez rząd i społeczeństwo polskie uwagi na

naszych rodaków zamieszkałych poza kordonem granicznym na Spiszu, Orawie i w Cza-deckim, ukazała się powyższa rozprawka, uświadamiająca społeczeństwo o wadze i rozmiarach sprawy Polaków czadeckich.

W. Mileski

Inż. Włodzimirz Kawecki: Przyczynek do znajomości stosunków leśno-pasterskich oraz historii gospodarczej hal w Beskidzie Żywieckim. Lwów 1938, nakł. Pol. Tow. Leśnego, odb. z «Sylwana»; str. 19, 1 mapka i 3 ryc.— Autor, będący znanym pracownikiem na niwie regionalizmu żywieckiego, a przy tym znawcą stosunków halnych i pasterskich Żywiecczyny daje na podstawie niedawno odkrytych w górali żywieckich pergaminowych dokumentów z początku XVIII wieku obraz ustroju halnego w tych czasach. Podkreślone są w broszurze dobrze momenty ekonomiczne, troska administracji o równowagę interesów leśnictwa i potrzeb pasterstwa już 200 lat temu, ciekawe przeżytki dawnej gospodarki wołoskiej, której ślady w kulturze pasterskiej górali żywieckich tak mocno trwają po dziś dzień. Takim przeżytkiem zanotowanym z XVIII wieku — to zimowanie pasterzy z owcami na niższych halach, które zanikło tam dopiero w początku XIX wieku. Szkoda, że autor nie wyjaśnia istoty pieniądza obliczeniowego w stosunkach między dworem a pasterzami, zwanego «złotym górskim». Również bez wyjaśnienia pozostawiono silne i częste słowaczyny dokumentu «splacki» hali Romanki z 1718 roku, przekazującego halę tę od jednego do drugiego gazdy z okolic wsi Żabnicy. Trudno to bowiem uważać za czechizmy, które tak kwitły wówczas na Śląsku, w kraju stanowiącym część województwa krakowskiego i «Korony»; działał tu więc raczej wpływ bliskiego sąsiedztwa północnej Słowacji na te odległe wówczas górskie okolice Polski, w których zdarzały się jeszcze długo wypadki osadzania się całych rodzin słowackich chłopów, uciekających tam z przeludnionego «Hornotrenczianska», a nawet z dalszych okolic przed nędzą, głodem i uciskiem węgierskich panów.

w. mil.

Dalsza walka o Tatry. Warszawa 1938. Nakł. Ligi Obrony Przyrody w Polsce. Str. 16. — Obejmuje protesty organizacji społecznych, naukowych, kulturalnych i t. d. przeciwko systematycznej akcji niszczenia przyrody i krajobrazu Tatr i uniemożliwianiu przeprowadzenia w praktyce idei Tatrzańskiego Parku Narodowego. Zawiera pouczające i zasmucające zestawienie prze-

pisów prawnych, pogwałconych lub pominiętych w tej dziedzinie w latach 1934—1938.
d. i.

St. Leszczycki: Region Podhala.

(Podstawy geograficzno-gospodarcze planu regionalnego). Kraków 1938, str. 286, liczne tablice i tabele statystyczne, 72 mapki.— Pracowita rozprawa dra Leszczyckiego ukazała się w t. II «Biuletynu Komisji Studiów Ligi Popierania Turystyki» (stanowiąc ciąg dalszy zamieszczonego w t. I tego wydawnictwa artykułu «Podhale jako region uzdrowiskowoturystyczny» tegoż autora), a równocześnie jako zeszyt 20 «Prac Instytutu Geograficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego» ukazujących się pod redakcją prof. dra J. Smoleńskiego. Skrupulatna rozprawa powyższa gromadzi wszystkie dane z dziedziny stosunków fizjograficznych i demograficznych Podhala. Na podstawie przeprowadzonej ich analizy autor rozpatruje po kolei stronę gospodarczą i komunikacyjną, następnie zaś podstawy geograficzne planu regionalnego Podhala, którym to terminem autor obejmuje teren powiatu nowotarskiego w granicach z 1937 r.

Pierwsza ta nowoczesna monografia regionu górskiego w Polsce przedstawia się imponująco pod względem bogactwa zebranego materiału i przez to właśnie musi stać się na długie lata podreęczną encyklopedią dla każdego badacza Podhala lub działacza, pracującego w tym regionie. Praca dra Leszczyckiego, oparta o 10-letnie studia autora może służyć za prototyp prac, które stać się winny podstawą naukową dla każdego planowania dalszego właściwego rozwoju poszczególnych regionów kraju, a przede wszystkim górskich ziem Polski. Książkę kończy résumé francuskie i obszerna bibliografia przedmiotu.

w. mil.

Ks. Dr. F. Machay: Gazda Piotr Borowy. Życie i pisma. Kraków, 1938,

nakł. Zw. Górali Spisza i Orawy, str. 112. Piękna monografia ks. kan. sen. Machaya daje nam żywy obraz postaci i działalności apostoła Orawy, Borowego, wielkiego chłopskiego działacza narodowego i religijnego, zmarłego w opinii świętości w 1932 r., jednego z delegatów góralskich, którzy pojechali w 1919 r. do Paryża, by w imieniu miejscowej ludności prosić prezydenta Wilsona o przyłączenie Orawy i Spisza do Polski. Borowy ukazuje się w tej książce jako niezwykła postać samouka-katechety, «przykładnego naśladowcy Chrystusa» (jak głosi jego płyta nagrobna w kościele w Lipnicy Wielkiej), którego rola w akcji podniesienia poziomu moralnego i etycznego Orawiaków, trwającej przeszło 50 lat, nie jest jeszcze

dotatecznie oceniona. Praca zawiera życiorys Borowego, omówienie jego działalności jako wzorowego patrioty katolickiego na Orawie, uwagi o Borowym jako o bardzo oryginalnym myślicielu, pisarzu i kaznodziei; w dalszym ciągu znajdujemy w książce obfity wybór z pism Borowego oraz wspaniałe i słynne jego «bajki» alegoryczne, gwarą góralską w czasie akcji plebiscytowej i pracy apostołkiej przez Borowego wygłaszane. Książkę kończą «złote myśli» Borowego. Publikacja wydana estetycznie, ozdobiona drzeworytami Jakubowskiego, zawierająca liczne ilustracje, musi zaciekać każdego, kto interesuje się odrodzeniem narodowym polskiej Orawy i tym, co może uzdolniona jednostka wykonać dla rozwoju duchowego góralszczyzny. *W. Mileski*

Dra A. M. Wieczorek: Fotografowanie w górach. Poznań 1938, wyd. Księgarni Wł. Wilaka. Str. 48, liczne ilustr. Zawiera przedmowę oraz rozdziały: Góry żywiołem włóczędzy i fotoamatora. Dwa bieguny górskiego krajobrazu i różnorodność jego nastrojów. Portret turystyczny w górach. Zdjęcia na klamrach, oddanie przepaści na fotografii. Kompozycja — góry z bliska i z daleka. Narzędzia pracy. Górska przyroda na usługach fotografa. Fotografia ojczysta w górach. — Całość stanowi polecenia godny «Poradnik fotograficzny» dla fotoamatorów rekrutujących się spośród rzesz turystów górskich; autor — sam turysta górski i stały mieszkaniec Zakopanego — daje w swej pracy dowód wycucia i umiłowania piękna wędrowek górskich oraz sposobów jego wykorzystania. *w. mil.*

Zygmunt C. Koźdorowski: Jak uprawiać turystykę. Warszawa, «Dom Książki Polskiej», bez r. wyd. (1938), str. 64. Podtytuł tej książeczki brzmi «Praktyczny poradnik turystyczno-krajoznawczy». Jej działy są następujące: Jedziemy na wakacje. Rodzaje turystyki. Przygotowania do wyjazdu. W drogę! Zwiedzamy. Wędrowki krajoznawcze. Turysta a tuziemcy.

Autor prosto lecz może zbyt najwinnie przedstawia szereg zagadnień, do których czytelnik radby nieco inną przyłożyć miarę. Wiele bowiem jest tam ogólników, brak natomiast tego, czego się w «praktycznym poradniku» należało spodziewać: wskazówek o cenach, przepisach dewizowych, paszportowych, wizowych, granicznych, różnych ulgach zniżkowych i ułatwieniach turystycznych współczesnego świata, o biurach podróży, towarzystwach turystycznych, krajoznawczych i narciarskich i t. p.

Autor daleki jest od trzeźwego spojrze-

nia na świat, skoro przy opisywaniu walorów turystyki górskiej, wspomina o «sielance pastwisk i podgórskich wiosek», co do których raczej turystyce warto byłoby wskazać na heroizm pracy i na ciężkie nierzabętywanie ich mieszkańców; konieczna doza uczuciowości wprowadza autora w nieco teatralny «nastrój romantyczny», w którym skały w górach «nie są dla nas zwykłymi skalami, lecz murami bajecznych zamków, gdzie legendarny smok strzeże cudnie pięknej królewny»...

Wreszcie na str. 52 autor wydaje sobie złe świadectwo obywatelskie, nakłaniając właściwie turystów do lekceważenia wszelkich przepisów i zakazów umieszczonych w lasach na tablicach ostrzegawczych; wkońcu i uwagi o zdrojowiskach (opis deptaku i panującej na nim «zazwyczaj atmosfery dobrej tonu i dostojnej uprzejmości») mają charakter raczej felietonowy, niż praktycznych wskazówek poradnika turystycznego, który nie może w tej postaci spełnić ani roli informacyjnej ani pouczającej lub wychowującej turystów.

w. mil.

Dwie prace o propagandzie turystyki. Pierwsza z nich — to Mieczysław a Fularskiego «Propaganda turystyki» (Warszawa, 1938, str. 134, bez nakładcy). Książka na podstawie źródeł teoretycznych oraz osobistych doświadczeń autora omawia ważne zagadnienia związane z rozwojem turystyki polskiej. Praca przedstawia sytuację na odcinku propagandy turystycznej zarówno w Polsce jak i za granicą, następnie zaś cele i zadania propagandy turystyki polskiej, wreszcie jej środki i metody jak też opis organizacji obsługi ruchu turystycznego. Książka zawiera mnóstwo zebranego z wielu krajów materiału i nadzwyczaj ciekawe są różne schematy, tablice, mapy i wykresy, ilustrujące tekst. Szczególnie oba ostatnie rozdziały tej pracy przynoszą czytelnikowi wiele interesujących informacji i wskazań.

Nieco wcześniej ukazała się nakładem Związku Powiatów R. P. praca dra Adama Zielińskiego «Jak opracować turystyczne wydawnictwa propagandowe» (Warszawa, 1938, str. 35). — Stanowi ona (zgodnie z tekstem podtytułu) instrukcje dla redaktorów i wydawców, przede wszystkim do użytku samorządowych komisji letniskowo-turystycznych. Autor traktuje w tej pracy turystykę ściśle jako zagadnienie gospodarcze i to bardzo ważne, podchodzi do omawianych kwestyj z punktu widzenia handlowego, kupieckiego, daje następnie dokładnie opracowane wzory techniki

krajowej propagandy turystyczno-letniskowej (plakatai, prospektami, broszurami i t. p.); nie pominięto tu kwestyj technicznych, wydawniczych i redakcyjnych, jak: rodzajów druku, doboru barw, użycia takiego lub innego fotografii i t. d.

Obie prace mają duże znaczenie również dla racjonalnej propagandy turystycznej ziem górskich w Polsce. *w. mil.*

Szereg druków propagandowych wydało w 1938 r. Ministerstwo Komunikacji, m. in. ulotkę o uzdrowiskach, b. piękne graficznie «Śniegi Polski», nowy numer kwartalnika propagandowego «Polska», kulturalny i pomysłowy «Kalendarz Fotograficzny» itp. Obok tych wydawnictw należy też wspomnieć o pięknym albumie fotograficznym «Czarnohora», wydanym przez Karpackie Towarzystwo Narciarzy. Wśród tego rodzaju wydawnictw wyróżnił się jeszcze bardziej «Kalendarz Huculszczyzny», wydany przez Oddział Stanisławowski PTT, wraz z Kołem w Bitkowie. *k. r.*

Mieczysław Orłowicz: Podział Karpat Polskich na grupy górskie z punktu widzenia turystycznego.

Komunikaty Studium Turyzmu U. J., zeszyt 4. Kraków 1938. Str. 31 i mapka. — Broszura dra Orłowicza jest najdokładniejszym, jak dotąd, rozwinięciem uwidocznionego w tytule, dla turysty pozornie nudnego, a przecież z wielu względów interesującego, skomplikowanego i ważnego tematu. Dr Orłowicz miał wspaniałe, jak chyba nikt w Polsce, przygotowanie krajoznawcze dla swej pracy. Drobiazgowość jego podziału wydaje się chwilami zbędna, scholastyczna, przesadna, nawet irytująca. Ale wiadomo, że różnicowanie terenowe gór postępuje w miarę rozwoju ich poznawania i, przede wszystkim, rozwoju ruchu turystycznego. Niegdyś wystarczały nazwy Tatry i Karpaty, nie tak jeszcze dawno dzielono Karpaty Polskie na kilka zaledwie pasm, dziś stosowany jest faktycznie podział prof. W. Goetla i S. Leszczyckiego («Wierchy» z 1936 r., str. 140—147), jutro kto wie czy nie przyjdzie już czas na podział w skali dokładności Orłowicza. Pomijam natomiast sprawę poszczególnych projektów zmian czy nowych nazw (choć mogą budzić wątpliwości), bo ani tu pora ani miejsce na gruntowną dyskusję. *n. d.*

Kozubowa, 1928—1938, nakł. Pol. Tow. Turystyczno-Sportowego «Beskid Śląski» w Orłowej. — Broszura bogato ilustrowana, poświęcona dziesięcioleciu istnienia polskiego schroniska turystycznego w górach tej części Ziemi Cieszyńskiej, która

18 lat pozostawała w obrębie granic Czecho-Słowacji. Wydawnictwo ukazało się przed powrotem Zaolzia do Polski i ma głównie cel propagandowy i poparcia Pol. Tow. Turystyczno-Sportowego «Beskid Śląski», pracującego od 1920 r. w czeskiej politycznie części Cieszyńskiego jako kontynuator akcji P. T. T. w górach polskich w zakresie ich zagospodarowania turystycznego. Broszura opisuje Kozubową t. j. samą górę, drogi dojścia oraz punkty wyjścia, schronisko, sąsiedni szalas z bacówką, osiedla góralskie okoliczne i t. d. Podana jest też zwięzła historia budowy schroniska na Kozubowej, będącego chlubą organizacyjnych osiągnięć turystów polskich z Zaolzia. *w. mil.*

Przewodnik po Polsce; t. II: Polska Południowo-Wschodnia. Warszawa 1937, nakł. Związku Pol. Tow. Turystycznych. Str. 540; 19 map, 8 planów miast. — Po tomie I «Przewodnika», obejmującym opis Polski północno-wschodniej, ukazał się — bodaj, że jeszcze lepiej i staranniej opracowany — opis ziem, obejmujących środkową i wschodnią Małopolskę, Lubelszczyznę, Wołyń oraz południowe części Podlasia i Polesia. Przewodnik opracowany jest, zgrubsza biorąc, ulepszonego systemu «baedeckerowskim». Komitet redakcyjny postarał się o świetnych współpracowników, którzy poza opisem turystycznym dali bardzo dobre materiały, odnoszące się do naukowej strony (historia, przyroda, etnografia, sztuka, sprawy gospodarcze) omawianych regionów. Tom II «Przewodnika», opracowany równie jak poprzedni pod przewodnictwem redakcji St. Lenartowicza, dla turystów górskich przedstawia zainteresowanie szczególne, gdyż obejmuje całe polskie Karpaty Wschodnie łącznie z Pogórzem i częścią Beskidu Środkowego. Informacje zawiera przewodnik możliwie najbardziej wyczerpujące i ściśle a praktyczny i jasny układ, bogactwo treści i staranność wykończenia stawiają książkę tę w rzędzie najlepszych dzieł z zakresu nowej literatury turystycznej w Polsce. *w. mil.*

Mgr W. Midowicz: Beskidy Wysokie. Kraków, 1938, str. 48. Wydawnictwo to stanowi tom II «Przewodnika narciarskiego po Karpatach i Tatrach», publikowanego przez Polski Związek Narciarski, i obejmuje grupy górskie Babiej Góry, Pilska i Wielkiej Raczy. Pisany zwięzle, niemal telegraficznym stylem, stanowi cenną pomoc dla mnogich rzesz narciarzy, corocznie idących w tę najpiękniejszą partię Beskidów Zachodnich, odznaczającą się najlepszymi warun-

kami śniegowymi oraz charakterem szczytów nieraz przechodzącym ze średnio-górskiego w wysokogórski (w stosunku karpackim, rzecz jasna). Przewodnik obejmuje tylko wybór szlaków, uwzględniając wszystkie niemal praktyczniejsze podejścia i zjazdy oraz szlaki łącznikowe, podaje treściwie wiele cennych wskazówek dla turystów co do zagospodarowania schronisk, punktów wyjściowych, wyboru baz dla kursów narciarskich, układania tur dalekobieżnych itp., zawiera też opis szczegółowej trasy wodocęj z Beskidów Raczańskich w masywy Magury Orawskiej i Małej Fatry. Książeczka zaopatrzona jest w schematyczną mapkę Beskidów Wysokich, wykazującą przebieg głównych grzbietów górskich i najważniejszych szlaków komunikacyjnych.

w. mil.

E. Nawratil i Cz. Trybowski: Rabka i okolica oraz krótki przewodnik po Beskidzie Wysokim i Gorcach.

Kraków 1938, nakł. Zakładu Zdrojowego w Rabce, str. 123 oraz plan Rabki (z objaśnieniami) i mapka szlaków i atrakcji turystycznych okolic Rabki. — Poza przewodnikami ogólniejszymi, obejmującymi opis turystyczny całego pasma górskiego, jak klasyczne przewodniki K. Sosnowskiego po Beskidach Zachodnich lub H. Gašiorowskiego po Karpatach Wschodnich, — konieczne są już dzisiaj przewodniki, poświęcone mniejszym grupom górskim, odnoszące się do pewnego ośrodka zdrojowo-letniskowego i otaczających go w okolicy terenów wycieczkowych. Tego rodzaju dobrych przewodników mieliśmy — o ile chodzi o Karpaty Polskie — mało. Rabka z okolicą, odwiedzane co roku przez wielką liczbę kuracjuszy i letników, od dawna domagały się tego rodzaju opracowania, jakim jest omawiana książeczka, formatu kieszonkowego, ozdobiona ok. 30 rycinami i zawierająca treść jasno i przejrzysto ujętą. Pierwsza część przewodnika mówi o Rabce i okolicy z punktu widzenia opisu ogólnego, który jest ujęty interesująco i zwięźle (w części poświęconej etnografii możnaby zacząć opinię autorów o wpływie języka czeskiego i węgierskiego na gwary ludności, która jest typowo beskidzko-górska i gdzie możnaby wspomnieć obok archaizmu raczej o wpływie wołoskim lub gwary Skalnych Podhalan). — Druga część przewodnika — to szczegółowy opis Rabki. Część tę zamyka dział «Osobliwości turystyczne», gdzie wiele miejsca poświęcono zabytkowemu kościółkowi drewnianemu św. Magdaleny i mieszczącemu się w nim Muzeum Regionalnemu P. T. T. im. W. Orkana. — Część trzecia, to właściwy prze-

wodnik po okolicznych terenach górskich — od najbliższych wzgórz po opis dalszych, jedno- lub parodniowych wycieczek w Beskid Wysokim i w Gorce. Śmiemy twierdzić, że Beskid Wysokim został po raz pierwszy może potraktowany tak pieczołowicie i szczegółowo. Szkoda, że w przewodniku wydanym w bież. roku parę szczegółów jest już nieaktualnych: Gorc posiada nie «schronisko» lecz schron strzeżony Oddz. Krakowskiego P. T. T. przy wzorowej hali Kamienickiej; szlaki Gorc—Ochotnica, Gorc—Przysłop i Gorc—Szczawa są wyznakowane w bieżącym roku; na Przysłopie od trzech lat niema już stacji T. K. N. w gajowni, od roku natomiast istnieje już stacja P. T. T. (Oddz. w Rabce) w domu J. Gniewckiego; zlikwidowana jest także stacja T. K. N. w Niedźwiedziu. Dobry jest poradnik, dający zestawienie wycieczek dłuższych i określonych, obejmujący również część Pogórza i dojszcia górami do Babiej Góry i Pienin oraz zestawienie wycieczek narciarskich. W naogół dokładnym zestawieniu literatury opuszczono doskonały dla Podtatrz, Orawy i Spisza przewodnik J. Reichmana. Przewodnik kończy się skorowidzem nazw. Wydawnictwo praktyczne i pożyteczne, godne poparcia i rozpowszechnienia.

w. mil.

Dr Z. Radwańska-Kuleszyna i T. Pawłowski: Skalne drogi w Tatrach Wysokich (od 1926 r. do 1938 r.)

Warszawa 1938. Str. 296. — Odzyskanie przez Polskę rejonu Jaworzyny powinno stanowczo znaleźć swój wyraz m. i. w faktycznym wydaniu zapowiadanego od lat a ciągle niestety w stanie tworzenia znajdującego się «Przewodnika Monograficznego po Tatrach», podobnie jak taternictwo ery polsko-węgierskiej stworzyło przewodniki Komarnickiego oraz Chmielowskiego-Świerza. Sytuacja obecna jest paradoksalna: posiadają swój nowoczesny przewodnik Czesi i Słowacy, mówi się nanowo o wyjściu z druku przewodnika węgierskiego, tylko taternicy polscy, właściwi twórcy nowoczesnego taternictwa, muszą się posługiwać przewodnikami, w dzisiejszym stanie taternictwa pozbawionymi już aktualności, względnie sięgać do publikacji dorywczych jak dwu zeszytów «Nowych dróg» wydanych w latach 1931–2 przez b. Koło Wysokogórskie przy Oddz. Warszawskim P. T. T. lub do rubryki «Skalnych dróg» poszczególnych zeszytów «Taternika».

Ostatnią z takich dorywczych, zastępczych publikacji są «Skalne drogi», zbiór opisów nowych dróg taternickich po rok 1937, w opracowaniu dwojga znanych taterników. Zbiór miał być możliwie całkowity;

są w nim jednak znaczne braki i opuszczenia, zazwyczaj nieusprawiedliwione, by wymienić choćby nieobecność takich dróg jak na Skoruszą Przełęcz, na Przełęcz Nowickiego wprost od pn., na Mieguszowiecki Szczyt pn-wsch. grzędą, na Ponad Próbą Turnię od pd-zach. a Ponad Ogród Turnię od wsch., na Żółtą Ścianę pn.-zach. ścianą, na Mały Kościół pd.-zach. ścianą itp. Na samym opracowaniu opisów znać niewskazany pośpiech roboty i niewłaściwą mechanizację skrótów pierwotnych opisów. Mechanicznie też podzielono cały materiał na «nowe drogi» i «warianty», nie uznając «częściowo nowych dróg», co pociągnęło za sobą bałamuctwo, że wariantem stał się zarówno 20-metrowej długości wariant jak i 7-godzinna nowa droga. Stosowanie nomenklatury nie zostało przemyślane: zachowano naogół nowe nazwy wprowadzone przez «Taternika», wzbogacono je nawet paru niezbyt fortunnymi («Igła w Patrii») własnymi, ale opuszczono równocześnie takie jak Pańszczyckie Czuby lub Orla Przełęczka. Niewytłumaczony pośpiech roboty zaznaczył się również w niedość dbalej korekcie i w niestarannych rysunkach, nie mówiąc już o lapsusie z Wążecką Turnią, który zmusił aż do zaklejenia odpowiedniej strony druku nalepką z nowym tekstem.

Pomimo wymienionych tu wad, które doradzają taternikom dość ostrożne obchodzenie się ze «Skalnymi drogami» — należy sam fakt ich wyjścia z druku powitać życzliwie. W niemalym bowiem stopniu mogą zaradzić obecnemu brakowi właściwego przewodnika, zarazem raz jeszcze podkreślając jego nieodzowność. Jest też godną uznania energia, z jaką dwoje młodych taterników potrafiło przezwyciężyć trudności wydawnicze, stojące na drodze ich przedsięwzięciu, oraz trud jaki w każdym razie należało włożyć w zebranie i jednolite opracowanie kilkuset opisów, pochodzących spod pióra kilkudziesięciu taterników.

(jaszcz)

Dr Mieczysław Piotrowicz: Rozłucz jako letnisko. Nakł. Powiatowego Koła walki z gruźlicą, Turka nad Stryjem 1936. Str. 32. — Broszura, podająca dobry opis pięknej miejscowości w Bieszczadach, jej dzieje, warunki topograficzne i atmosferyczne okolic górskich, czynniki lecznicze, sprawy turystyczne itp. Osobny dodatek do broszury poświęcony jest źródrom mineralnym Rozłucz, predysponującym tę letniskowo-narciarską miejscowość w kierunku rozwoju na zdrojowisko o wydatnym znaczeniu leczniczym a to dzięki wartościom wód obu źródeł (szczawny alkaliczno-słony «Poraj» i źródło siarczanego).

w. mil.

S. Szymborski: Dniestr, Prut i Czeremosz z dopływami. Lwów—Warszawa 1938, nakł. Książnica—Atlas. Przewodnik dla turystów wodnych, który ukazał się w b. r. pod powyższym tytułem, jest wydawnictwem zeszytowym o nader dogodnym i praktycznym formacie oraz o bardzo pomysłowym rozmieszczeniu i opracowaniu mapek poszczególnych odcinków rzek, jak też tekstu objaśniającego. Każdy zeszyt stanowi całość kartograficzną i opisową, uzasadnioną warunkami hydrologicznymi. Osobny zeszyt zawiera część ogólną z uwagami o całym terenie, jego fizjografii, florze, faunie, folklorze, o charakterze poszczególnych rzek, warunkach technicznych spływu i obozowania itd. Przewodnik, którego poszczególne mapki (w skali 1:80.000) wraz z tekstem objaśnień są naprawdę chlubą polskiej kartografii turystycznej, omawiany ze względu na objęcie po raz pierwszy dla celów kajakowych naszych górskich rzek z terenu wschodniokarpackiego: Stryja, Swicy, Łomnicy, Bystrzycy, Prutu i Czeremoszu. Niektóre informacje w objaśnieniach wymagają aktualizacji (np. brak wiadomości o schronisku P. T. T. w Żabim-Ilcia w «Tadeuszówce» i t. d.). Styl przewodnika pogodny, jasny i naprawdę dowcipny (por. ustęp «formalności graniczne» w cz. I).

w. mil.

Rudolf Pilat: Cvičné skaly a horolezti v Československu. Praga 1938.

Nakł. Klubu alpinistów československých. Str. 64 i 6 ilustr. — Pilna uwaga, jaką Czesi poświęcali swoim ćwiczebnym terenom wspinaczkowym, jest godna naśladowania. Wbrew temu co się zwykło sądzić, Polska posiada takich terenów wcale dużo. I jeżeli dzisiejsze nawet Czechy mogą się chlubić Czeskim Rajem (Hruboska, Prachowskie Skąły, Betlejemske Skąły i i.), a Słowacja Słowackim Rajem czy Sulowskimi Skąłami, to i nasze formacje skalne w Jurze krakowskiej, na Podkarpaciu, a wreszcie i rozmaite «zamki» tatrzańskie, są niewiele albo i wcale nie gorsze. Największy «ogród wspinaczkowy» posiada dzisiejsza Czecho-Słowacja w Małej Fatrze w pobliżu Terchowej: urwiska sięgają do 200 m wysokości względnej (dla porównania warto zaznaczyć, że słynna południowa ściana Zamarłej Turni w Tatrach liczy tylko 120 m wys.). Wiele z tych ścian oczekuje jeszcze zdobywców. Ich spis dokonany przez prof. Pilata, jakkolwiek nie jest przewodnikiem i posiada wiele luk, może spełnić pożyteczną rolę. Tym potrzebniejszy byłby podobnego typu spis polski. Czy nikt się nim nie zajmie?

n. d.

Ernst von Bethlenfalvy: Die Tierwelt der Hohen Tatra. Str. 116. Spišské Podhradie 1937. — Interesująca książka jednego z najlepszych i długoletnich znawców fauny Tatr i łowiectwa (właściciela dóbr w Huncowcach w powiecie Kieżmarskim) stanowi zbiór studiów i szkiców z dziedziny biologii zwierząt lownych z obszaru Tatr i Podtatrza. Tekst urozmaicają liczne ciekawe zdjęcia z natury. Autor, kończący zresztą swą pracę słowami Axela Munthe, tak pełnymi miłości do otaczającej człowieka natury, przedstawia się nie tylko jako znakomity znawca przedmiotu lecz także jako wnikliwy biosocjolog i jako osoba w pełni oddana Tatom i trosce o niepewną przyszłość ich przyrody.

Motywy podstawowym pracy jest chęć zwrócenia uwagi na niezbędność niezakłócania przez działalność ludzką harmonii przyrody. Autor przytacza przykłady takiej działalności: stare limby np. nie wykazują przyrostu młodziży, gdyż wytepienie kun, gronostajów, lisów i t. p. powoduje zżeranie nasion limby przez ptactwo (z orzechówką na czele), nadmiernie rozmnożone. Tak samo brak niedźwiedzi, wilków, rysiów i t. p. powoduje, że koziorożec z Tatr Bielskich schodzi już bardzo wczesną jesienią stadami w zielone jęszcze i bogate w paszę doliny, co powoduje przyspieszony okres rui a potem rodzenie się młodych koźląt już w lutym, kiedy cały przychówek z reguły ginie, pokonany surowym klimatem tatrzańskiej zimy. Gdyby pewna liczba drapieżców pozostała w górach, to by do pierwszych śniegów (gdzieś do grudnia) utrzymywała się w dolinach górskich (spełniając rolę policji sanitarnej w stosunku do stad sarnich i jelenich), a szczególnie czujny koziorożec schodziłby dopiero do opuszczonych przez drapieżców dolin w grudniu, przyczym okres rodzenia się młodych koźląt następował by około początku kwietnia, a zdrowy rozwój młodziży przypadł by już na wiosnę górska. — Zakłócenia równowagi naturalnej w przyrodzie mszczą się zaś niekiedy w sposób zgoła nieprzewidywany!

w. mil.

„25 Rokov Liptovského muzeum v Ružomberku“, Rožomberok 1937, str. 72 + 1 il. Muzeum Liptowskie w Ružomberku powstało w r. 1912, ale początki zbiorów sięgają końca XIX w. kiedy dwaj bracia, Ružomberczanie Adolf Kürthi († 5 lipca 1915) i Juliusz Kürthi († 23 czerwca 1938) rozpoczęli zbieranie okazów archeologicznych, etnograficznych i geologicznych z okolicy. W r. 1912 powstało Towarzystwo Muzeum Liptowskiego, które rozwiązało się w r. 1921, a zbiory przejęło miasto. W r. 1937 zostały

one przeniesione do nowego, specjalnie dla Muzeum wybudowanego gmachu. Z okazji jubileuszu wydana została broszurka ilustrująca rozwój muzeum w ciągu tych 25 lat. Oprócz części sprawozdawczej i statystycznej broszurka ta zawiera przesyłane z okazji jubileuszu listy, adresy, bądź artykułki ucytonych, którzy współpracowali z muzeum w ciągu tych 25 lat, jak prof. P. Deffontaine z Lille, prof. Bolko Richthofen z Królewca, R. Balló b. żupan liptowski (przed wojną), dr Béla Dornyai (wspomina on, jak jego badania nad geologią gór w okolicy Ružomberka pomogły mu do polemiki naukowej z prof. W. Goetlem w r. 1916), dr E. Beniger z Naturhistorisches Muzeum w Wiedniu, dr V. Budaváry («Zbiory przedhistoryczne w Muzeum Liptowskim»), J. Hofman («Zadania muzealnictwa liptowskiego») i in.

jr

Julian Tarnowyc: Istoryčni pamiatky w Zachidnich Karpatach, Lwów 1938, nakł. wydawnictwa «Nasz Łemko», str. 119, liczne ilustr. w tekście. — Powyższa książeczka jest czymś pośrednim między skorowidzem rozumowanym, przewodnikiem opisowym a pracowitym schematyzmem osad i cerkwi. Wśród materiału wiele cennych uwag historycznych (np. do dziejów osadnictwa), lecz całość sprawia raczej wrażenie broszury propagandowej, mającej na celu przede wszystkim wykazanie pra-ukraińskości całej ziemi lemkońskiej. Akcenty nieprzyjazne w stosunku do polskości i rzymskiego katolicyzmu nadają niektórym ustępom niemiły ton i umniejszają możliwość bezstronnego i pożytecznego korzystania z książeczki.

w. mil.

Novak-Svolinsky: Horske rostliny, Praga 1937, zeszyt 3 z. lorku «Naše přiroda v obrazech», wydanie Tow. «Vesmir». Obejmuje 115 barwnych tablic, zawierających rysunki roślin i kwiatów górskich z Tatr, Karpat Środkowych i Wschodnich, Beskidów Zachodnich, Fatry, Gór Kruszcowych, Sudetów, Rudaw, Czeskiego Lasu i Szumawy.

w. mil.

Jožo Weider: Päť rokov chatarom b. m. w. 1937. — Gospodarz schroniska turystycznego pod Rozsutcem w Malej Fatrze wydał swe wspomnienia, będące znakomitą propagandą tego wspaniałego masywu górskiego, szczególnie dzięki dodaniu 16 artystycznych zdjęć fotograficznych. *w. mil.*

Teofil Kuryłto: Lemky — Kniaziamy cerkwy, Lwów 1938 r., str. 13, ilustr. 3.— Broszura jest przeglądem życiory-



sowym wielkich postaci duchowieństwa katolickiego obrządku bizantyńsko-słowiańskiego («grecko-katolickiego»), pochodzącego z terenu Łemkowszczyzny. Po kolei omówione są dzieje i działalność biskupa przemyskiego T. Polańskiego (rodem z Bartnego), kardynała Sylwestra Sembratowicza, metropolity lwowsko-halickiego (rodem z Dosznicy), biskupa stanisławowskiego J. Pelesza (rodem z Smrekowicy), biskupa przemyskiego J. Kocylowskiego (rodem z Pakoszówki), pierwszego administratora apostolskiego Łemkowszczyzny dra B. Masciucha († 1936 r.). Praca pisana jest dialektem lemkońskim i stanowi próbę zobrazowania wkładu lemkońskiej inteligencji od początku XIX wieku w rozwój cerkwi unickiej w Małopolsce Środkowej i Wschodniej. *w. mil.*

Dr Iv. Honl i J. Dostal: Jasinsky prusmyk. Dejiste boju 1914 a 1916—1917. Praga 1937, str. 14, zeszyt 30 «przewodnika po polach bitew i pamiątkach wojennych w Czechosłowacji». Wydawnictwo Kola studiów dziejów czecho-słowackich przy Wojsk. Instytucie Naukowym. Dodaje rejestr miejscowości, mapkę w podz. 1:200.000, bibliografię literatury i opisy wycieczek w okolicy Przelęczy Tatarskiej. *w. mil.*

„Podkarpatska Rus“. Bratislava 1936. Wydawnictwo Klubu Przyjaciół Rusi Podkarpackiej. Praca zbiorowa pod redakcją dra Jarosława Zatloukala. — Luksusowe czeskie wydawnictwo, opublikowane pod protektorem byłego gubernatora Rusi Podkarpackiej Konstancyi Hrabara i byłego prezydenta ziemskiego Antonina Rozspyla, nakładem «Firmy Nakładowej Podkarpackoruskiej J. Stejskal», stanowić miał tom I serii «Náš Východ» (= Nasz Wschód). Dzieło zawiera 67 artykułów i rozpraw obejmujących zagadnienia Rusi Zakarpackiej w trzech działach: a) polityczno-gospodarczo-społecznym, b) twórczości umysłowej, artystycznej i przejawów życia duchowego i c) przyrodniczym. Zeszłoroczna notatka o tym 330-stronicowym, ilustrowanym starannie dziele, zamieszczona w t. XV «Wierchów» (na str. 251) nie mogła dać, rzecz jasna, zobrazowania i scharakteryzowania poszczególnych zamieszczonych w nim prac. Obecnie pragniemy na niektóre z nich zwrócić dokładniejszą uwagę; tym więcej, że obok prac istotnie obiektywnych, w których autorzy starają się dać czytelnikowi fragmenty popularnej, a jednak możliwie ścisłej, swego rodzaju encyklopedii zagadnień tej pięknej karpackiej krainy, — znajdujemy prace bądź o wyraźnej tendencji politycznej bądź — co gorzej — pozorne bezstronne a zawierające ostre nieraz

i niesprawiedliwym zgrzytem brzmiące aluzje.

Już wstępny artykuł dra J. Zatloukala wspomina o znaczeniu Podkarpackiej Rusi dla Czechosłowacji, nazywając kraj ten «mostem, spajającym Czechosłowację z Rosją», twierdząc, że sąsiadujące z Czechosłowacją państwa: Polska, Niemcy i Węgry sieją nasiona niepokoju i walki w Europie środkowej; tenże autor dalej pisze, iż Podkarpacie stoi w ogniu walk, w których polityka rządu praskiego musi obalać kłamiwe mniemania, związane z rewizjonizmem i akcją nieprzyjaciół CSR. Niesmaczną i niepotrzebną groźbą jest koniec tego ustępu, że Związek Sowiecki chroni Czechosłowację i jej wolność każdorazowo możliwością straszliwego uderzenia 175 milionowej swej masy(!). — Tego rodzaju tendencje są rzadkie w dalszych artykułach. Jedynie trzy z nich pozwalają sobie na najzupełniej zbyteczne i jakże szkodliwe w pracach publicystycznych o charakterze popularyzacyjno-naukowym aluzje antypolskie. Artykuł inż. J. Brandejsa, podający rozwój stosunków wewnątrzpolitycznych w Rusi Podkarpackiej (zresztą b. interesujący) wspomina o jakiejś planowej akcji polskiej irredenty(?) w stosunku do tego kraju! — V. Kłofáč w swym szkicu programowym o Podkarpackiej Rusi staje ostro po stronie kierunku, pragnącego zaprowadzić w tym kraju paralelizm kulturalny rosyjsko-czeski i pisze m. in. o polskich planach oderwania ziemi tej od Czechosłowacji. Wreszcie gen. J. Šnejdársek (do niedawna prezes Stow. polsko-czechosłowackiego w Bratysławie) pisząc o wojskowym znaczeniu Podkarpackiej Rusi, wspomina, że kraj ten rozdziela nieprzyjaciół republiki Česko-Słowackiej i zapewni połączenia republiki z Rosją (jak?) i Czarnym Morzem(?). Wreszcie autor jawnie twierdzi, że posiadanie Rusi Podkarpackiej — to zapewnienie utworzenia na tyłach nieprzyjaciół sieci lotnisk wojskowych «naszych rosyjskich sojuszników», co tym jest łatwiejsze, że od Jasiny do sowieckiej granicy jest niewiele ponad 100 km (= jedna godzina lotu lub parę godzin jazdy zmotoryzowanych dywizyj). Ponieważ dla ciągnących z Rosji dywizyj pomocniczych Podkarpacka Ruś stanowi znakomity korytarz (które dywizje autor chciał dywizje sowieckie z Ukrainy na Podkarpacie przetrzącać — nie wiadomo; terenu państwowego Polski i Rumunii nie bierze w ogóle pod uwagę!), należy tam jego zdaniem rozbudowywać bazy, lotniska, koszary, składowiska, warsztaty.

Inne prace mają charakter odpowiadający zadaniom dzieła. — Dr K. Krofta daje ciekawy szkic o dawnych stosunkach Rusinów

węgierskich z Czechami i Słowakami oraz wspomina o współpracy czeskiej i słowackiej w dziele rusińskiego odrodzenia narodowego od roku 1848; w pracy tej interesująca wiadomość o wierszowanym apelu jednego z budzicieli karpatoruskich Aleksandra Pawłowicza (1819—1900) do Polaków w okresie walk Słowian o swe prawa w obrębie monarchii habsburskiej. — A. Malich pisze o muzealnictwie dawnym i współczesnym na Rusi Podkarpackiej, dr J. Jankovich o wynikach badań prehistorycznych, dr V. Ondrouch o najstarszych dziejach tego kraju (głównie o epoce dackiej), dr F. Gabriel o jego rozwoju społeczno-gospodarczym, ks. prof. A. Wołoszyn o początkach przebudzenia narodowego jego ludu, prof. A. Raušer o dziejach przyłączenia Rusi Podkarpackiej do Czechosłowacji (niezmiernie interesujące uwagi o przewrotach politycznych w tamtych stronach w latach 1918—1920, jak np. dzieje poszczególnych Rad Narodowych Ruskich, ich działalność, wahań, decyzji, następnie prób rozwiązania sprawy ze strony węgierskiej i ukraińskiej, okupacji rumuńskiej i t. d.). — Dr J. Pasternak podaje ciekawe uwagi o odwiecznych kontaktach ziem halickiej i podkarpatoruskiej, prof. J. Podešt o styczności podkarpacko-rumuńskiej, inż. L. Macháček o problemach gospodarczo-technicznych Podkarpackiej Rusi, inż. Zd. Pitterman o ekonomicznym znaczeniu lasów tego kraju, dr Włodz. Kubijowicz o pasterstwie, połoninach i gospodarce hodowlanej, prof. dr V. Suk o Żydach na Podkarpaciu (interesujące uwagi i wnioski socjologiczne i kulturalne, zobrazowane na instruktywnych mapkach), J. Zajic o najaktualniejszych problemach gospodarczych, F. J. Špala o przemyśle domowym, dr S. Mikulaninec o stosunkach zdrowotnych i higienicznych; kilka innych rozpraw (w tym o Masaryku i jego stosunku do Rusi oraz Rusi Podkarp. do niego) kończy I dział książki.

Dział II rozpoczyna przegląd ruchu literackiego podkarpackiego w XIX i XX wieku pióra dra A. Hartla. Dr E. Nedzielski opracował nową beletrystykę podkarpacką (rozwijającą się, jak cała twórczość tej ziemi w kierunkach językowych: rosyjskim, ukraińskim i lokalno-dialektycznym). Dr Wł. Birczak pisze o dzisiejszym stanie piśmiennictwa podkarpatoruskiego; L. Kaigl o sztuce i plastyce, prof. O. Bokšaj o malarstwie, prof. dr I. Pańkiewicz o pieśni ludowej Zakarpacia, dr F. Kolesa o muzyce ludowej, prof. J. Vondraček o poezji ludowej (z licznymi przykładami), doc. W. Sachaniew o malarstwie religijnym (ikon) oraz o ornamentyce ludowej,

J. Pešina o stanie i potrzebach szkolnictwa powszechnego (także mniejszościowego, przyczym obok szkół ruskich, czeskich, węgierskich i żydowskich istniało w 1937 r. także 17 szkół niemieckich oraz 1 szkoła i 15 kursów dla małej mniejszości rumuńskiej, mieszkającej w 4 wsiach pogranicznych). Dr W. Hadzega opracował dzieje kościelne, ks. kan. A. Ilnicki stan kościoła grecko-katolickiego («unickiego»), P. Poprad o stan kościoła grecko-wschodniego (prawosławia), A. Markuš ludowe obyczaje i przesady; kilka dalszych artykułów kończy ten dział.

Ostatnia część książki zawiera pracę dra J. Hromádkki o środowisku geograficznym jako podłożu życiowych przejawów na Podkarpackiej Rusi, dr J. Krála uwagi o współczesnych badaniach geograficznych w tym kraju, dr I. Klášterskiego szkic o stosunkach wegetacyjnych, inż. F. Wiesnera rozważania o bogactwach naturalnych, wreszcie dr F. Gabriela notatkę o turystyce i gospodarce turystycznej (i o akcji K. Cz. S. T. w górach Podkarpackiej Rusi), prof. A. Malicha przegląd faunistyczny oraz prof. dra B. Cyrusa i prof. A. Malicha interesujące uwagi o obecnym stanie i postulatach ochrony przyrody podkarpackiej.

Książka obejmuje rozległy i różnorodny materiał, przy czym poszczególne zagadnienia są nierównomiernie opracowane. Niektóre rozprawy są wzorowe i źródłowe, inne zaś — to tylko szkice lub luźne uwagi. Wielkim brakiem jest niezamieszczenie na końcu książki zestawienia bibliografii najważniejszych prac o Rusi Podkarpackiej z różnych dziedzin życia.

Witold Mileski

„**Taternik**“. Organ Klubu Wysokogórskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskie-go. Rocznik XXII. Warszawa, 1937—8. Str. 176. — Nasze bratnie wydawnictwo walczyło w ub. roku z pewnymi trudnościami finansowymi, które uzewnętrzniły się zmniejszeniem objętości rocznika, restrykcją bardzo dotkliwą dla wszystkich polskich turystów wysokogórskich. Uniemożliwiło to m. i. wydanie specjalnego zeszytu poświęconego naszej II wyprawie w Andy, co z kolei w znacznej mierze osłabiło wyniki propagandowe tej wyprawy, które w przeciwnym wypadku mogły być dobrze wyszukane. Nie można bowiem za dostateczną rekompensatę zapowiedzianego zeszytu monograficznego uważać obszerniej pracy J. A. Szczepańskiego «Andy i andynizm», którą «Taternik» zaczął ogłaszać w ostatnim czasie; ponieważ z samą polską wyprawą w Andy stoi ona w związku dość odległym.

Abstrahując jednak od tych przykrych trudności administracyjnych, należy z zadowoleniem stwierdzić, że «Taternik» jest w dalszym ciągu jednym z najpoważniejszych, najbardziej wszechstronnych i fachowych wydawnictw wysokogórskich, z którego możemy być szczerze dumni wobec alpinizmu zagranicznego. Nad poziomem pisma czuwa niestrudzenie, z właściwą sobie pedanterią i zamilowaniem, red. Zdzisław Dąbrowski, doskonały znawca wszystkich wysokogórskich zagadnień.

Nie zajmę się szczegółowo w tym krótkim omówieniu bogatą treścią ostatniego rocznika odsyłając raczej każdego bezpośrednio do sześciu zeszytów pisma, które powinien czytać i prenumerować każdy, kto się interesuje wysokimi górami (a dziś, po odzyskaniu Tatr Jaworzyńskich powinno być ich więcej niż dawniej). Specjalnie chcę jednak podkreślić wspomnienia T. Bernadzikiewicza, J. Golcza i S. Grońskiego, odnoszące się do wspinaczek w Mont Blanc, piękny przykład umiłowania i zainteresowania, jakim się wśród polskich alpinistów cieszy najwyższa góra Europy. Polski alpinizm posiada już w swym dorobku wejścia na Mont Blanc, od popularnej «route Nationale» aż po urwiste, bardzo trudne i długie szlaki jak graniami Péteret, Innominata i Mont Maudit oraz ścianą wschodnią przez Brenva i Sentinelle Rouge; życzymy młodym polskim alpinistom, aby już niebawem mogli przejść tutaj dwie pozostałe, najtrudniejsze drogi.

Wspomnienia z góry obcych reprezentuje poza tym sympatyczny opis L. Gorskigo z bałkańskiego Dormitoru. Z tematów tatrzańskich wybijają się na plan pierwszy dwa wspomnienia L. Januszewicza, zwięzłe i opracowane literacko, prawdziwa ozdoba rocznika, oraz wspomnienie J. W. Żuławskiego ze wspinaczki wsch. ścianą Łomnicy. Dochodząca tu do głosu nuta pesymizmu w stosunku do wiary w realizację idei zachowania pierwotności przyrody tatrzańskiej, pozwala raz jeszcze stwierdzić bezkompromisowość stanowiska taternictwa polskiego w stosunku do współczesnego «cywilizowania» jedynych naszych gór wysokich. Baczna uwaga, jaką «Taternik» poświęca tym zagadnieniom, wyraża się również we wprowadzeniu nowego działu «Sprawy ochrony przyrody Tatr», którego notatki czyta się jak prawdziwe komunikaty z placu boju.

Spory i polemiki nieraz dochodzą w «Taterniku» do głosu: świadczą one najlepiej o żywotności ruchu, którym służy «Taternik». W omawianym roczniku w ogniu polemiki wyjaśniły się ostatecznie wszelkie szczegóły, związane ze znaną wyprawą prof. Jakubskiego na Kilimandżaro w 1910 r.

Przy wszechstronności i sumienności «Taternika» należy żałować, że nie znalazł w nim dotychczas miejsca nekrolog śp. J. Nowickiego, gdy niemal w każdym zeszycie nie brak «karty żałobnej». Przy niezmiennej skrupulatności sprostowań wszelkich własnych (i cudzych) omyłek, przeoczeń, nieścisłości i błędów drukarskich tym bardziej razi trzykrotne nazwanie wyprawy dwu taterników słowackich na Krywań od Szpary w kwietniu 1938 r. — «1. wejściem zimowym», gdy skądinąd wiadomo, że już dnia 21 stycznia 1930 r. dokonał tego wejścia (samotnie) Władysław Krygowski (por. «Taternika» z 1930 r., str. 43). Nie istnieje też (choć się to może wydawać dziwne) szczyt «Hochberghorn» lecz tylko Hohberghorn.

Doskonała jest szata zewnętrzna «Taternika», wykazująca ciągły postęp. Natomiast korekta szwankuje. Działy bieżące opracowywane są pieczołowicie i z poczuciem aktualności. W rubryce «Z piśmiennictwa» zwraca uwagę gruntowna, nader surowa ocena nowego podręcznika taternictwa Z. Klemensiewicz; «Wierchy» omówiono obszernie a życzliwie; niektóre recenzje w tym dziale są zbyt drobiazgowo! Przesadną zaborczość wykazuje również chwilami «Kronika Himalajska», która zresztą dysponuje piórem J. Orenburga, najlepszego dziś teoretyka himalaizmu w Polsce. Słuszna wydaje się natomiast silna redukcja objętości rubryki «Skalne drogi»: więcej tu może być dziś przyczynkarstwa niż prawdziwych nowości.

Resumując: «Taternik» jest wydawnictwem na b. wysokim poziomie, i b. dobrze spełniającym swoją kulturalną rolę. To też polski świat turystów górskich uczyni naprawdę wszystko, aby nie dopuścić do jego upadku lub choćby zniżenia lotu.

J. A. Szcz.

„Ochrona Przyrody“. Rocznik XVII, Kraków, 1937, str. 361. — Ostatni tom oficjalnego organu Państwowej Rady Ochrony Przyrody przedstawia się jako okazała i bogato ilustrowana ksiązka o różnorodnej treści, zajmującej nietylko specjalistę i naukowca, lecz każdego turystę i krajoznawcę. Świat turystów górskich, osłuchany ostatnio z energiczną akcją planowania regionalnego Karpat Polskich, prowadzoną pod opieką i kierownictwem Związku Ziemi Górskich, zainteresuje się niewątpliwie aktualnymi tematami, które poruszają interesujące rozprawy A. Wodziczki: «Planowanie kraju drogą do utrzymania równowagi w przyrodzie», B. Tretera «Ochrona krajobrazu i cech regionalnych w budownictwie wiejskim w ramach przepisów budowlanych», A. Kuncewicz «Pla-

nowanie regionalne, sprawy budowlane — a ochrona przyrody», oraz w dalszych artykułach J. Królikowskiego, St. Leszczyckiego, M. Barbackiego i innych. Sprawy dotyczące gór poruszone są w rozprawach J. Młodziejowskiego «Rzeźba Polskich Tatr Zachodnich», B. Pawłowskiego «Zagadnienie ochronny szaty roślinnej Gór Czywczyńskich», A. Srodonia «Modrzew polski w Maniawie w Gorganach», St. Smólskiego «Jałowiec sawina w Pieninach», M. Łańcuckiej «Przyczynę do rozmieszczenia szafranu spiskiego w Polsce», L. Sitowskiego «Drozd skalny w Pieninach» oraz w szeregu mniejszych artykułów. Część urzędowa i wiadomości bieżące przyniosą wielką mnogość ciekawych informacji.

w. mil.

„**Ziemia**” ilustr. organ Pol. Tow. Krajoznawczego, dawała w bież. roku wiele materiału artykułowego i kronikarskiego, poświęconego Karpatom, Pogórzcu i Wyżynie Małopolskiej. Wyróżnia się zeszyt, poświęcony specjalnie Słowacji z artykułami W. Semkowicza, M. Gotkiewicza, J. Reichmana, K. A. Jaworskiego i innych. W artykułach tych uwzględnione są silnie górskie krainy Słowacji; szczególnie interesująca jest J. Reichmana bibliografia «Słowacka literatura krajoznawcza z ostatnich lat». — Numer październikowy «Ziemi» przyniósł artykuły: S. Flizaka «Z ziemi Zagórzan», M. Cholewy «Zabawy sobótkowe na ziemi sądeckiej», J. Garbacika «Sobień i Lesko — dwa zamki Kmitów», A. Wrzoska «Śląsk zaolziański».

w. mil.

„**Turyzm Polski**”. Rocznik I. Nr 1—10 Kraków 1938. — Studium Turyzmu, utworzone przy Instytucie Geograficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego i kierowane przez dra St. Leszczyckiego, rozpoczęło przy poparciu finansowym Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji wydawanie miesięcznika pod powyższym tytułem, poświęconego sprawom gospodarki turystycznej w Polsce i za granicą oraz teoretycznym i praktycznym kwestiom, związanym z turystyką jako elementem ekonomicznym i zagadnieniem organizacyjnym.

Z artykułów i rozpraw pierwszych 10 zeszytów «Turyzmu» z rocznika 1938 r., wymieniamy w szczególności następujące, jako mające cisyły związek z górami: St. Milatowa «Ruch turystyczny na szlakach narciarskich w Beskidzie Śląskim», mgr St. Smolec «Stan prac nad organizacją ruchu letniskowego w Polsce», mgr W. Mileski «Kilka zagadnień prawnych dotyczących turystyki i narciarstwa», dr St. Leszczycki «O specjalnej mapie narciarskiej», K. Pawlewski «Zagadnienie dro-

gi karpackiej», Wł. Radkiewicz «Badania nad uzależnieniem ruchu turystycznego w Pieninach od warunków klimatycznych», prof. dr W. Goetel «Turystyka a ochrona przyrody», dyr. St. Wiśniewski «Potrzeby inwestycyjne polskich uzdrowisk», mgr W. Mileski «Elementy planowej gospodarki turystycznej w Karpatach», dr A. Gadomski «Regiony krajoznawczo-turystyczne okolic Krakowa», mgr Z. Filipowicz «Propaganda w turystyce», dr St. Leszczycki «Wytyczne gospodarki uzdrowiskowo-letniskowej w Karpatach», mgr Wł. Krygowski «Ochrona urządzeń turystycznych», mgr T. Chorabik «Ruch wycieczkowy w sezonie zimowym w województwie krakowskim (1937—38)».

Nadto bogata «Kronika» przynosi w każdym zeszycie wiadomości z działu organizacji i gospodarki turystycznej za granicą. Kronika uwzględnia też silnie dział informacyj bieżących z terenu karpackiego Polski i krajów sąsiednich, zawiera nadto dwa działy: «Poradnik techniczny» i «Przegląd wydawnictw».

w. mil.

„**Gronie**”. Kwartalnik poświęcony sprawom Zywiecczyni, wydawany przez zarząd T. S. L. w Żywcu i Sekcję Miłośników Zywiecczyni przy Kole T. S. L. im. A. Asnyka w Żywcu. — Celem pisma jest służyć idei samowiedzy i rozwoju regionalnego ziemi Zywieckiej, utrzymywać łączność z inteligencją pochodzącą z Zywiecczyni, informować o pięknie i wartościach turystycznych i letniskowych tego regionu, o jego dziejach, właściwościach regionalnych, etnograficznych, kulturalnych, gospodarczych, zabytkach itd.

Pismo powyższe, pozostające pod redakcją komitetu z p. Wł. Nowotarskim na czele, odznacza się zarówno poważnym ujęciem tematu, jak też miłą dla oka szatą zewnętrzną a przede wszystkim bogatą oraz interesującą treścią. Trudno tu wymieniać wszystkie ciekawe rozprawy i artykuły, w które «Gronie» obfitują, czy to historyczne St. Szczotki, czy dotyczące muzykologii ludowej St. M. Stoińskiego, czy interesujące prace Z. Döllingera, T. Reymana, J. Nowaka, M. Jeziorskiego, A. Kutrzebianki, A. J. Kamińskiego, K. Pieradzkiej, L. Schröttera, M. Gotkiewicza i innych. Artykuł prof. dra Fr. Bujaka «Czym winny jest stać Gronie?» ma znaczenie ogólniejsze dla wszystkich pism regionalnych, daje im bowiem zwarte, jasne a znakomite wskazania praktyczne, bardzo przemyślane i nadzwyczaj życiowe i praktyczne. Każdy zeszyt zawiera również «Kronikę» z ubiegłego kwartału.

Czasopismo odnosi się nader przyjaźnie do P. T. T. i do jego poczynań. W pracach redakcyjnych bierze zresztą żywy udział

wielu czynnych członków Oddziału Żywieckiego naszego Towarzystwa. *w. mil.*

Sprawozdanie Związku Ziemi Górskich za okres od 12. XI. 1936 do 31. XII. 1937 pod redakcją K. Pawlewskiego, Warszawa 1938, str. 91, liczne ilustracje i mapy.—Wydawnictwo to stanowi znakomite wprowadzenie czytelnika w całość poczynań i akcji Związku, który za naczelne zadanie postawił sobie opracowanie drogi inicjatywy, działalności badawczej i koordynacji — planu rozwoju gospodarczego i kulturalnego Karpat Polskich w ramach rozumnie pojętego regionalizmu. Słowo wstępne prof. dra W. Goetla i poszczególne rozdziały, poświęcone rozmaitym działom aktywności Związku i jego oddziałów i komisji, zaznajamiają czytelnika odrazu z tym wszystkim, co się robi bądź bezpośrednio w terenie bądź dla terenu. Interesujące są sprawozdania poszczególnych biur planowania obszarów górskich i sprawozdanie Muzeum Huculskiego w Żabim oraz artykuł prof. dra Zaborskiego o studiach naukowych w planowaniu ziem górskich. Spośród kilku usterek publikacji nie najmniejszą jest brak spisu treści. *w. mil.*

Biuletyn Komisji Studiów L. P. T. W ciągu ostatnich dwu lat ukazały się już dwa tomy powyższego wydawnictwa Ligi Popierania Turystyki, a w szczególności jej Komisji Studiów. Publikacja ta pozostaje pod redakcją St. Faechera. Tom I «Biuletynu» zawiera szereg artykułów i rozpraw, wśród których wymieniamy następujące: pracę dra St. Leszczyckiego «Podhale jako region uzdrowiskowo-turystyczny», zaopatrzoną w mapki i wykresy, obrazujące poszczególne zagadnienia terenowe i gospodarcze Podhala, i podającą szereg wniosków ważnych dla rozpatrywania dalszych możliwości rozwoju tego regionu; rozprawkę dra Wł. Milaty o uśnieżeniu Karpat, opartą o dane zebrane z okresu 10 lat; bibliografię turystyczną za 1936 r., opracowaną przez E. Nawratilównę. — Tom II «Biuletynu» zawiera jedną tylko pracę — obszerną rozprawę dra St. Leszczyckiego «Region Podhala», którą omawiamy osobno. *w. mil.*

Kalendarz góralski na rok zwyczajny 1938, Frysztat, nakł. Ludowej Drukarni Sembol i Ska, str. 120, ilustracje.— Myśl wydania tej publikacji była znakomita, dotyczyła bowiem popularnego, przystępnego wydawnictwa w mowie polskiej dla rdzennego ludu polskiego, żyjącego w zwartej masie w obrębie granic republiki czesko-słowackiej. Tym więcej, że użyto licznie gwary ludowej, łatwiej

więc pozornie trafić by można do ludu i przyczynić się pośrednio do jego narodowego uświadamiania. Popelniono jednak znaczny, zdaniem naszym, błąd. Część artykułów, opowiadań, poezji a nawet porad gospodarczych napisano mową literacką, część zaś przeróżnymi dialektami i gwarami góralskimi. Chcąc, aby się coś znalazło dla każdego z regionów polskiej góralszczyzny w Czechosłowacji (Kalendarz ukazał się w końcu 1937 r.), dano ustępy w gwarze górali śląskich, inne w czadeckiej, orawskiej, spiskiej. Sądzimy, że do praktycznego użytkowania tej publikacji przez ludność poszczególnych odłamów układ taki nie może się przyczynić, gdyż pozostawia wrażenie pewnego zamęcenia myślowego i jest raczej utrudnieniem niż ułatwieniem propagandy polszczyzny w zakordonowej góralszczyźnie polskiej. *w. mil.*

Pamiętnik IV. Sejmu Związku Podhalań w Północnej Ameryce, Chicago 1937, str. 52, liczne ilustracje. Wzorem lat poprzednich Związek Podhalań w Stanach Zjednoczonych wydał «Pamiętnik» swego ostatniego sejmiku w postaci pięknej publikacji, zawierającej obok części sprawozdawczej z działalności Związku i jego poszczególnych organów i kół także szereg artykułów, poezji i artykułów. Wydawnictwo jest dowodem niesłabnącej żywotności polskiej organizacji góralskiej w Stanach Zjednoczonych, obok której staje do pracy analogiczna organizacja podhalańska w Kanadzie — obie współdziałające z ośrodkami podhalańskimi w «starym kraju». *w. mil.*

Szkolne schroniska wycieczkowe, Warszawa 1938, wyd. Ministerstwa W. R. i Oświecenia Publicznego, str. 114. — W bież. roku użyteczne to wydawnictwo przyniosło wiele uzupełnień zarówno w zestawieniu sieci obiektów turystycznych i punktów noclegowych w Polsce, jak przede wszystkim w podaniu literatury opisowej i przewodnikowej. Układ przejrzysty, informacje na ogół zupełnie ściśle. *w. mil.*

Nowe górskie wydawnictwa Kartograficzne. W ubiegłym okresie letnim ukazały się dawno oczekiwane, nowe wydania mapy Tatr w podziale 1:20.000, opublikowane przez Wojskowy Instytut Geograficzny w Warszawie. Są to barwne, doskonale cieniowane i zawierające obok wrysowania poziomiczno plastyczny rysunek skał, wydania: «turystyczne» i «narciarskie». Mapa obejmuje Tatry Polskie, teren poza granicą oznaczając również w pełni treścią, lecz nie rysu-

jąc na nim poziomic. Treść turystyczna znacznie uzupełniona i unowocześniona, usterek naogół mało. Wydanie narciarskie zastosowało klucz znaków kartograficznych zatwierdzony przez Międzynarodową Unię Alpinistyczną dla map narciarskich. Zaszła w międzyczasie zmiana granicy państwowej w Tatrach wymaga jednak nowych wydań, które obejmą w obrębie Tatr Polskich cały odzyskany obszar Jaworzyny.

To samo odnosi się do nowego wydania arkusza zbiorowego mapy 1:100.000, który pod nazwą «Tatry» łączy razem dotychczasowe arkusze: Chyżne, Zakopane, Tatry Zachodnie, Tatry Wysokie. Również i tu treść turystyczna uzupełniono.

Z wydawnictw W. I. G. pozatatrzańskich wymieniamy dalszą edycję arkuszy 1:100.000, których ciąg odnośnie terenu Karpat pomnożył się o tyle, że choć nie wszystkie arkusze karpackie ujrzały już światło dzienne, o tyle niema już w tym ciągu przerwy, gdyż zachodnio- i wschodnio-karpackie arkusze połączone są paroma nowymi mapami z obszaru Beskidu Środkowego. Również w 1938 roku ukazała się mapa 1:20.000 «Pieniny» i mapa 1:10.000 «Rabka i okolica».

Z wydawnictw innych wymieniamy: «Szczegółową mapę Pienin i okolic Krynic» w podziale 1:150.000, wydaną przez S. A. «Ruch» a obejmującą właściwie cały Beskid Sądecki wraz ze wschodnią częścią Gorców, Pieninami, północnym Spiszem i północnym Beskidu Wyspowego i Środkowego. Mapa ta wykonana metodą offsetową, jest typowym wydawnictwem orientacyjnym i posiada, podobnie jak analogiczna mapa Beskidów Wysokich (Babia Góra—Pilsko—Racza), także przez «Ruch» wydana, wiele niedokładności.

Jesienią 1938 r. ukazała się wreszcie popularna mapka p. t. «Spisz, Orawa, Czadeczkę, Podhale, Sądeckizna» w podziale 1:400.000, wydanie biura kartograficznego A. Stocki w Warszawie. Mapka ta nie przedstawia żadnych zalet poza taniością (35 groszy jednokolorowe wydanie, 50 groszy — barwne).

Z czesko-słowackich publikacji wymienić trzeba nowe, trzecie wydanie arkusza «Wysoké Tatry» w podz. 1:75.000, na którym Wojsk. Instytut Geograficzny w Pradze łącznie z Klubem Czesko-Słowackich Turystów zamieściły najnowszą treść turystyczną ze stanu z końca 1937 roku. *w. mil.*

Z czeskich i słowackich czasopism naukowych — Staraniem Komitetu badań naukowych w Słowacji i Podkarpaciej Rusi przy Instytucie Słowiańskim w Pradze wydano w końcu 1936 r. pierwsze

tomy nieperiodycznego wydawnictwa «Carpathica». Wydawnictwo to pozostaje pod redakcją prof. dra K. Chotka. Publikacja ukazuje się w dwóch równoległych działach: przyrodniczym i humanistycznym (obejmującym zakres badań historycznych, językoznawczych, etnograficznych i t. d.). W tym ostatnim dziale ukazał się tom pierwszy, obejmujący poza pracą J. Böhma i J. M. Jankoviča «Skythové na Podkarpatské Rusi» (część I: «Mohylové pohrebište v Kuštanovicih») szereg szkiców i prac dialektologicznych i etnograficznych z terenu Słowacji i Podkarpaciej Rusi.

Doc. dr Stranská jako część swego dzieła p. t. «O studium Tater» publikuje rozprawę «Lidové stavby na Spišské Magurze» (Budownictwo ludowe w Magórze Spiskiej), 48 stron, 21 rycin poza tekstem i 12 w tekście. Autorka zaznacza, że podczas gdy południowe Podtatrze jest już całkiem dobrze opracowane przez badaczy słowackich i czeskich pod względem naukowym, artystycznym i opisowym, o tyle «północne Podtatrze czeskosłowackie» nie jest dostatecznie ze strony uczonych w Czechosłowacji przebadane, przy czym środowiskami zainteresowania badawczego dla tych stron jest dotychczas głównie Muzeum Tatrzeńskie w Zakopanem oraz Polskie Tow. Tatrzeńskie ze swym naczelnym organem «Wierchy». Autorka zdaje sprawę z części wyników swej wyprawy dokonanej z akademikami w latach 1933 i 1934 na Zamagórze Spiskie, stwierdzając, że tego rodzaju badania terenowe są podstawą do opracowywanych przez nią badań etnograficznych i kultury ludowej całego Podtatrza — od Orawy po Spisz. Dr Stranská podaje plany i fotografie zagród i budowli góralskich, zwraca uwagę na różnice w osadnictwie wsi typu góralskiego, jak np. Zdziar, Jeziersko, Osturnia, Leśnica i t. d. a osadami, wywodzącymi swój ród w znacznej mierze z kolonizacji na prawie niemieckim jak np. Lendak, Relów, Hanuszowce, Matiaszowce i t. d. Autorka stwierdza w budownictwie północnego Spisza silny wpływ Skalnego Podhala i Nowotarszczyzny. Zwraca uwagę na system gospodarki rolnej, dochodząc często do tych samych wyników co Mileski i Reyhman w pracy o Osturni («Wierchy», t. XIII) np. odnośnie do szerzenia się w nowym budownictwie chałup na Zamagórze Spiskim po stronie czesko-słowackiej «stylu zakopiańskiego» i wpływu ornamentyki z Białki i Czarnej Góry (autorka traktuje i dalej niejednokrotnie o tych samych tematach, które poruszają Mileski i Reyhman, chociaż pracy ich jeszcze, pisząc swą rozprawkę, nie znała; nie wiadomo dlaczego na stronie

17-tej wsi Białkę i Bukowinę zalicza do polskiego Spisza).

Niezmiernie ciekawe jest zestawienie nomenklatury ludowej poszczególnych części budynków górskich na Żamagórz Spiskim oraz podanie rozprzeźrzenia się tej nomenklatury poza ścisły teren polskich gwar górskich na północnym Spiszu. Powyższa terminologia gwarowa podana jest naogół wiernie, choć pisownia czeską (np. přicolek, pjuro, pientro, přejozd, somšek i t. d.).

Ścisłe związane z poprzednią rozprawą przyzwynek J. Strnadla p. t. «Lidové stavby v Osturni» (Budownictwo ludowe w Osturni) podaje krótką monografię rusko-polskiej wsi górskiej Osturnia na Żamagórz Spiskim oraz szereg wiadomości, które mogą stanowić dobre uzupełnienie pracy o tej interesującej miejscowości, jaka ukazała się w tomie XIII «Wierchow». Strnadl podaje, że początek wsi datuje się z czasów przybycia pierwszych pasterzy wołoskich, którzy założyli tam szalasy, następnie zaś od chwili osadzenia się na roli dezerterskich oddziałów Żiżki i przybycia kolonistów górskich ze sąsiedniej wsi Frankowej. Autor podaje, że w XIX wieku około 1.900 osób wyemigrowało z Osturni, głównie do Lubicy, Kieżmarku i t. d. Interesujące są uwagi szczegółowe o zdobnictwie poszczególnych części budynków i mebli, o systemie gospodarki rolnej i leśnej, o pozostałościach wspólnie rodzimych i gromadzkich, o niewykorzystanych źródłach mineralnych i t. d.

Niezmiernie interesująca jest słowacka praca Józefa Stolca p. t. «Zprawy o sbierani dialektického materiálu na Spiši». Autor podaje sprawozdania ze swych badań przedświadczeń w latach 1933 do 1935 z pomocą Tow. Naukowego im. Šafarika w Bratysławie oraz dwie mapy w podziałce 1:200.000, obrazujące terytoria zasięgu języków i gwar na Spiszu czecho-słowackim jak też izoglos poszczególnych cech fonetycznych i gramatycznych. Na bardzo interesujących mapach i w tekście oznaczono wyraźnie granice terenów północnego Spisza zajętych przez ludność o polskiej gwarze górskiej («goralština»), z czego wynika, że 33 wsi polskie znajdują się na tym obszarze. Równie interesujące są dane w tekście i na mapie co do charakterystyki językowej i rozmieszczenia osad ruskich na Spiszu, sięgających aż na samo jego południe. Studium jest najnowszym opracowaniem zagadnienia gwar szuniawskich, łuczywniańskich i innych dialektów na pograniczu Spisza z ziemiami Liptowską, Zwoleńską i Gemerską, które dawniej tak bardzo zajmowały badaczy polskich, oraz narzeczy z okolic Lewoczy i Nowej Wsi Spiskiej. Stolec przy-

gotowuje monografię słowackich narzeczy Spisza na wzór J. Stanislava «Liptovské Náriečia».

Tenże Stolec w «Sborniku Matice Slovenskej» (część pierwsza: Jazykoveda, Turczański Św. Marcin 1937, r. XV, nr. 1—2) zamieszcza pracę p. t. «Zmeny o > u a i e > iv náreči spišskom, I», do której dodaje mapę dialektów Spisza. Z tego właśnie względu mimo ograniczenia rozprawki do jednego zagadnienia, praca jest bardzo interesującym przeglądem gwarowym Spisza, przede wszystkim dlatego, że stwierdza niewątpliwie polskość północnego Spisza i powstanie w okolicach Kieżmarku (od Białej Spiskiej aż po Twarożną i Ruskinowce) obszaru oznaczonego jako mieszany teren osadnictwa polsko-niemieckiego; również najwyraźniej oznaczona jest polskość wsi Ciepliczka Liptowska.

Przy porównywaniu map Stolca w obu wyżej wymienionych wydawnictwach widoczne są pewne niekonsekwencje, jak np. podanie w jednej z nich Mniszka nad Popradem jako wsi ruskiej, podczas gdy na drugiej z nich oznaczona jest jako polska i t. p. Na mapie w «Sborniku M. S.» zwraca nadto uwagę, zgodnie z metodą, przyjmowaną przede wszystkim w tego rodzaju pracach przez Węgrów, oznaczenie barwą białą anekumem (terytoriów niezamieszkałych), co nie wpływa bynajmniej na przejrzystość zobrazowania stosunków etnograficznych (zwarte terytorium etnograficzne polskie wskutek oznaczenia białymi plamami pasma Magóry Spiskiej, Tatr, Gór Lewockich i t. d. przedstawia się wówczas z natury rzeczy jako skupisko drobnych enklaw). Dlatego też dużo jaśniejsze choć nie całkiem dokładne jest przedstawienie stosunków językowych w pracy tegoż autora w wydawnictwie «Carpathica». Należy dodać, że w tym wydawnictwie znajduje się także druga mapa stosunków dialektycznych, poświęcona gwarom ruskim i słowackim. Na mapie tej ludność polska nie jest oznaczona osobną barwą, natomiast poprowadzona jest południowa granica gwar «góralskich» w ten sposób, że obejmuje cały teren powiatów Stara Wieś Spiska, Lubowla i północnej części kieżmarskiego wraz z m. Kieżmarkiem i okolicą. Należy tu zaznaczyć, że w swoich pracach autor nie wymienia nigdzie ludności lub gwary polskiej, lecz tylko mówi o «góralszczyźnie» i gwarach górskich, rozumiejąc przez to tereny i mowę polską w odróżnieniu i przeciwstawieniu do terenów i dialektów słowackich.

W wymienionym wyżej tomie «Sbornika» znajdują się nadto następujące rozprawy:

Iwan Pańkewycz daje monografię gwa-

rową ruskiej enklawy etnograficzno-językowej: wsi Zawadka w okolicy Wondryszla na południowym Spiszu. — Wł. Kuraszkiewicz podaje materiały językowe ze wsi zachodnio-łemkowskich Polanki i Komłoszy z okolic Bardiowa i Zborowa w Szaryszu. — Z. Stieber drukuje drugą już część omówienia gwar okolic Bardiowa, wykazujących szczególne podobieństwo do gwar małopolskich. Autor, stwierdza, że nie można tego podobieństwa tłumaczyć ani sąsiedztwem (ludność polską od słowackiej oddziela tam pas narodowościowy łemkowski) ani dawną zależnością polityczną (enklawy historyczne polskiego Spisza nie dochodziły pod Bardiów), lecz stawia tezę, że chodzi tu o nawiązania do stosunków z wczesnego średniowiecza, t. j. z czasów, gdy ludność ruska nie wcisnęła się była jeszcze pomiędzy Słowaków a Polaków. Stieber podaje, że w XIII wieku okolice Bardiowa należały do polskich Cystersów z Koprzywnicy a wieś Gabułów do polskich Bozogrobców z Mie-

chowa; przypuszczalnie w czasach do XIII w. okolice Bardiowa posiadały najstarsze osadnictwo polskie. O gwarach wschodnio-słowackich w Szaryszu i Gemerze piszą mniejsze rozprawki J. Fedak, J. Szabó i St. Tobik. Ostatni autor w swej rozprawie o przejściowym terytorium między dialektami środkowym a wschodnio-słowackimi stwierdza polskość gemerskich wsi: Pohorela, Łom, Drabskie, Kisuca. Autor pisze: «Ludność między sobą mówi tu po polsku, a tylko z obcymi mówi mniej lub więcej dobrze po słowacku». Wsi te jak wynika z literatury historycznej węgierskiej kolonizowane były w końcu XVIII wieku przez rodzinę Forgách'ów. Osadnicy pochodzili mieli z północnej Orawy i z Czadeckiego. Również wieś Polomka była przez rodziny Kohárych, Tökelich i Széchyh kolonizowana w XVI wieku osadnikami polskimi. Wreszcie autor podaje ciekawe uwagi o pochodzeniu grecko-katolickiej ludności wsi Vernar i Telgart.

Witold Mileski

RÓŻNE

„Harnasie“ w Warszawie. Jako pierwszą premierę w sezonie wystawiła wreszcie i warszawska opera w jesieni 1938 r. «Harnasiów» Szymanowskiego (por. str. 26). Przedstawienie stało na dobrym poziomie i odniosło pełny sukces, jakkolwiek podniesiono pewne zastrzeżenia zarówno w stosunku do wykonawców roli tytułowej (Z. Dąbrowski) i panny młodej (B. Karczmarewiczówna) jak też i strony dekoracyjno-kostiumowej, opartej wprawdzie na projektach Stryjeńskiej (w Paryżu wyzyskano wielki talent dekoracyjny Lorentowiczówny) ale ze znacznymi odchyleniami. Stroną muzyczną przedstawienia kierował Dołycki, zyskując pełne uznanie.

k. r.

Lawina śnieżna z Miedzianego, która w dniu 27 stycznia 1938 r. stoczyła się ze stoków Marficznego do Morskiego Oka (por. str. 194) była nie tylko największą z obserwowanych przy Morskim Oku, ale jak się zdaje, w ogóle jedną z największych lawin tatrzańskich. Oprócz ofiary ludzkiej pociągnięła ona za sobą dalsze szkody jak wylamanie kosodrzewiny, zgruchotanie mostku przy wypływie Rybiego Potoku i szopy na łódź (wraz z łodzią) a przede wszystkim znaczne zniszczenie w schronisku PTT nad jeziorem (wywołane nie bezpośrednio lawiną, która oczywiście budynku schroniska dosięgnąć nie mogła, lecz pędem powietrza, po-

wstałym na skutek gwałtownego toczenia się mas śniegu). Szkody te Oddział Krakowski PTT szybko naprawił, korzystając ze specjalnej subwencji Zarządu Głównego PTT. Warto tu zwrócić uwagę, że poprzednie największe lawiny nad Morskim Okiem spadły w dniach 27—29 stycznia 1911 r. i zostały opisane dokładnie przez gen. Zaruskiego w «Pamiętniku T. T.» z 1911 r. i przedrukowane w książce «Na bezdrożach tatrzańskich». Lawina ze stycznia 1938 r. wywołała wielkie wrażenie i szereg głosów prasy około przyczyn jej powstania.

n. d.

Wzlot polskiego balonu stratosferycznego, nazwanego patetycznie «Gwiazdą Polski», miał nastąpić w jesieni 1938 roku z Polany Chochołowskiej, w celach poczynienia różnorodnych obserwacji naukowych i pobicia światowego rekordu lotu na wysokość. Poczynione rozliczne i kosztowne przygotowania w sposób nader dotkliwy odbiły się na wyglądzie doliny Chochołowskiej w ciągu całego sezonu letniego, doprowadziły również do ostatecznego przekształcenia drogi wiodącej na Polanę Chochołowską w bity, a zbyt szeroki gościniec.

Jak wiadomo, próba wzlotu balonu zakończyła się w nocy z 13 na 14 października niepowodzeniem: skutkiem zerwania się zupełnie niespodziewanego silnego wiatru, zrezygnowano w ostatniej chwili z podjęcia lotu

i rozpoczęto opróżnianie balonu z wodoru, przy czym nastąpiło samozapalenie się gazu i spłoniecie części powłoki balonu. Lot musiał zostać odłożony do wiosny 1939 r.

Należy ubolewać, że organizatorzy lotu stratosferycznego wybrali jako miejsce wzlotu właśnie Tatry, w których warunki pogodowe są najbardziej kapryśne z całej Polski i nigdy nie dają dostatecznych gwarancji uchronienia się przed groźnymi niespodziankami, a w których urządzenie tego rodzaju imprez pociąga za sobą znaczne szkody dla ochrony przyrody. Ufamy więc, że komitet lotu stratosferycznego — po tegorocznym ujemnym doświadczeniu — wyznaczy w przyszłym roku inną okolicę jako miejsce wzlotu.

k. r.

Pierwszy wypadek samolotowy w Tatrach wydarzył się w dniu 22 listopada 1938 r. po stronie słowackiej. Mianowicie trójmotorowy Fokker czesko-słowacki, lecący z Nowej Wsi Spiskiej do Pragi, zablądził we mgłę i poszybował nad Tatry, gdzie zawadził o skały Durnego Szczytu ponad doliną Pięciu Stawów Spiskich, po czym runął na ośnieżone zbocze spadające z Łomnickiego Ramienia ku dolinie Zimnej Wody. Z pięciu osób, stanowiących obsługę samolotu, dwie zostały ciężko ranne, trzy wyszły z większymi lub mniejszymi obrażeniami.

n. d.

Nowe widokówki górskie. — Staraniem Książnicy-Atlas we Lwowie ukazała się w bież. roku obfita seria pięknych kart z widokami gór polskich. Są to zdjęcia matowe, lśniące i ofsetowe w cenie 10—20 groszy za sztukę, obejmujące bardzo piękne widoki krajobrazowe, sceny z życia ludności góralskiej, obrazki z budownictwa regionalnego i zdjęcia zabytków przyrody i sztuki. Kilka set wyjątkowo udanych i nadzwyczaj efektownych oraz starannie wykonanych zdjęć zgrupowano w następujące działy: Czarnohora w zimie, Czarnohora w lecie, Gorgany w zimie, Gorgany w lecie, Bieszczady w zimie, Bieszczady w lecie, Pieniny, Tatry i Podhale w lecie, wreszcie specjalne widokówki fotograficzne ze scenami zimowymi (narcisarskimi). Zdjęcia wykonali przeważnie następujący autorzy: Klemensiewicz, Lenkiewicz, Kokurewicz, Puchalski, Gerhardt, Wiczorek, Krystek, Służewski, Serafin, Kupiec, Olszaniecki.

Powyższe widokówki powinny być wzorem, jak można publikować niedrogie a bardzo efektowne i udanie skomponowane widokówki z górskich terenów Polski. Zauważyliśmy jednak omyłki w objaśnieniach widoków z Tatr!

w. mil.

„Janosik z Terchowej“ (drzeworyt oryginalny Stanisława Zgajńskiego). — Poznański Oddział P. T. T. zamówił u szamotulskiego grafika, St. Zgajńskiego oryginalny drzeworyt, przedstawiający Pała Bielika w roli «Janosika» w znanym filmie słowackim.



kim. Każdy członek P. T. T. może sobie zamówić powyższy drzeworyt (formatu 23,4 × 17,1 cm) wysyłając pocztówkę pod adresem Poznańskiego Oddziału P. T. T. — Poznań, ul. Fredry 10 pok. 369. Cena drzeworytu wraz z passe-partout i opakowaniem wynosi 8 złotych. Koszta zaliczki pocztowej ponosi zamawiający. Mamy nadzieję, że pomiędzy członkami P. T. T. znajdzie się niejeden miłośnik grafiki, zwłaszcza, że tematycznie «Janosik» leży w zainteresowaniach ogółu «tatromanów».

KRONIKA ŻAŁOBNA.

Wacław Anczyc. W dniu 27 września 1938 r. zmarł w Krakowie śp. Wacław Anczyc, właściciel najświetniejszej drukarni w Polsce, drukarz z fachu i zamilowania. Jego zasługi dla typografii książki polskiej stanowią epokę: przyczynił się on najwięcej do wyparcia konkurencji zagranicznej na rynku polskim i stworzył drukarnię, stojącą na poziomie czasu. Czynna miłość do książki polskiej związała go też trwale z Towarzystwem Miłośników Książki, którego został członkiem honorowym.

Śp. Wacław Anczyc był synem Władysława Ludwika Anczyca, autora «Kościuszki pod Raclawicami» i znanego wiersza «Hej za mną w Tatry! w ziemię czarów» (ogłoszonego w 1-szym tomie «Pamiętnika T. T.» z 1873 r.), wielkiego miłośnika Tatr, czynnego pracownika T. T. w pierwszym okresie jego istnienia i wybornego popularyzatora spraw tatrzańskich, zmarłego w 1883 r. Wacław Anczyc odziedziczył po ojcu umiłowanie Zakopanem i gór, w latach 1898—1904 zasiadał w Wydziale Towarzystwa jako jego skarbnik, oraz jako kierownik komisji dla robót w Tatrach i na obu polach tej działalności wyróżnił się swoją energią, inicjatywą i rzutkością (jego dziełem była m. i. ścieżka z Hali Gąsienicowej do Czarnego Stawu wiodąca zboczami Małego Kościelca w miejsce dotychczasowej, dnem doliny). Do końca życia pozostał zresztą Anczyc bliski sprawom górskim, nie tracąc dla nich serca i służąc im w miarę swoich sił. Już u schyłku życia zebrał wspomnienia swej zakopiańskiej młodości w barwnej gawędzie «O dawnym Zakopanem», ogłoszonej na czele zeszlorocznych «Wierchów». Przeżył lat 73. Śmierć jego wywołała żal ogólny, ubył prawdziwy miłośnik gór i szczerzy turysta. Osierocił syna Władysława, który objął po ojcu prowadzenie Anczycowskiej oficyny i bierze tradycyjnie czynny udział w pracach P. T. T. dla gór polskich.

J. A. Szcz.

Stefan Marian Rago, major kawalerii, b. ułan 1. pułku Ułanów Krechowickich im. Bol. Mościckiego, oficer 7. pułku Ułanów Lubelskich, major 24. pułku Ułanów, kawaler orderów: Virtuti Militari, Krzyża Niepodległości, trzykrotnego Krzyża Walecznych, urodzony dnia 2 lutego 1896 r. w Miedznie (pow. siedleckiego), zginął na polu chwały w okolicach Przełęczy Zdziarskiej dnia 27 listopada 1938 r., zabity zdradziecką kulą w chwili obejmowania ze swym szwadronem obszarów Jaworzyny Spiskiej, przyznanych Polsce ugodą polsko-czesko-słowacką z dnia 1 listopada 1938 r.

Śmierć majora Rago, którego krew wsiąkała w zbocza Magóry Spiskiej jako znak nierozdzielności polskiej krwi i polskiej ziemi pod Tatrami, stała się zaprawą, cementującą odzyskaną część ziemi Spiskiej z Macierzą w sposób wieczysty.

Dnia 28 listopada 1938 r. odbyło się uroczyste wyprowadzenie zwłok Zmarłego w Zakopanem i w Nowym Targu, dnia 1 grudnia zaś — manifestacyjny pogrzeb w Warszawie, poprzedzony przez modły żałobne z kazaniem ks. dra sen. F. Machaya, przy udziale reprezentantów urzędów i władz wojskowych i cywilnych z marsz. E. Śmigłym Rydzem na czele.

Zgon majora Rago na Spiszu oraz st. strzelca Stanisława Mlekodaja i strzelca Ożjasza Storcha w Czadeckim — to ofiary nieprzewidziane i tragiczne, które były jednak niedaremne — krwią bowiem nieraz i życiem swych najlepszych synów wykuwał Naród swe rubieże również gdzieindziej — na Śląsku czy na Kresach Wschodnich. Odtąd i górską granicą Polski w Karpatach ma swych bohaterów, których imiona przejdą do historii «od pokolenia do pokolenia».

W. Mileski



Konrad Szubert. Tragiczny wypadek zabrał z naszego grona ś. p. inż. Konrada Szuberta, dyrektora Lwowskiej Okręgowej Dyrekcji Lasów Państwowych.

Inż. K. Szubert urodził się dnia 14 listopada 1886 r. w miejscowości Nadyby Wojutydze w woj. lwowskim. Po ukończeniu wyższych studiów leśnych w Akademii Rolniczej w Wiedniu i odbyciu służby wojskowej w czasie wojny światowej, pracował w swoim umiłowanym zawodzie, jako nadleśniczy, inspektor i dyrektor Lasów Państwowych. Znaczną część swej pracy poświęcił przytem lasom górskim, organizując w latach 1926 do 1930 lasy b. Komory Cieszyńskiej, a od roku 1930 do chwili zgonu kierując rozległymi lasami Dyrekcji Lwowskiej. Śmierć zastała go na posterunku, w powrocie do Lwowa z podróży służbowej do lasów odzyskanego Zaolzia. Zginął, jak żył, wśród swej gorącej, ofiarnej pracy.

Dla licznej rzeszy turystów i miłośników przyrody górskiej śmierć inż. Szuberta oznacza stratę nad wyraz ciężką. Niemordowanej i wysoce utalentowanej działalności Zmarłego zawdzięczamy położenie podwalin pod wzorowe zagospodarowanie lasów Cieszyńskich, oczyszczenie lasów Karpat Wschodnich od złych stron gospodarki koncesyjnej i dźwignięcie urzędzenia tych lasów na wysoki poziom.

Ś. p. Szubert łączył w sposób umiejętny wymagania życia gospodarczego oraz uprzemysłowienia lasów z postulatami turystyki i ochrony przyrody. Dla turystyki miał głębokie odczucie i zrozumienie. Budowa schronisk w górach i znakowanie szlaków znajdowały w Nim protektora, któremu zawdzięczamy ułatwienie i poparcie szeregu inwestycji turystycznych w Karpatach. Pracował przy tym czynnie w turystyce górskiej; mimo swego nader ograniczonego czasu znalazł czas na należenie do Zarządu Oddziału Lwowskiego P. T. T. Równoległe szła Jego praca dla ochrony przyrody. Wielkie zasługi położył dla rozwoju Parków Narodowych w Pieninach i Czarnohorze. W czasie urzędowania Zmarłego, Park Narodowy w Pieninach został drogą wykupu drobnych parcel powiększony o 40 ha. Ponadto przy silnym współudziale ś. p. inż. Szuberta powstało muzeum Pienińskie. Żywy udział brał Zmarły w Komisji Parku Narodowego Pienińskiego.

Czarnohorski Park Narodowy dyr. Szubert udostępnił szerszej publiczności, budując drogę łączącą stację kolejek leśnych z parkiem, przy równoczesnym zorganizowaniu komunikacji pasażerskiej na wspomnianych kolejkach. Zasługą ś. p. Dyrektora była również regulacja Prutu, dokonana celem ochrony rezerwatu cisowego. Odnosząc się z entuzjazmem do idei Parku Narodowego Tatrzańskiego, unormował ś. p. Szubert organizację administracji terenów tatrzańskich i ustalił wytyczne gospodarki ochronnej.

Z zagadnieniami ochrony przyrody, żywo popieranymi przez ś. p. Szuberta, wiąże się wzorowe rozwiązanie zagadnienia gospodarki połoninowej. Należyta organizacja tej gospodarki w nadleśnictwach Worochta, Mikuliczyn i Hryniawa, jak również w nadleśnictwie zakopiańskim, jest trwałym śladem Jego zdolności organizacyjnych.

Doniosłą dla gór była praca ś. p. dyr. Szuberta dla ludności huculskiej. Rozwinął On tam szeroko zakrojoną działalność społeczną i akcją tą, która przyczyniła się do polepszenia doli nie tylko robotników leśnych, lecz i całej ludności, przyczynił się wybitnie do związania w sposób trwały mieszkańców kresów południowo-wschodnich z państwowością polską. Celem rozwinięcia i wzmocnienia swej działalności społecznej w Karpatach Wschodnich objął z wiosną b. r. przewodnictwo Oddziału Lwowskiego Związku Ziemi Górskich. Nagła śmierć nie pozwoliła Mu już rozwinąć na tym polu szerszej działalności, jak również dokończyć szczytnej misji reorganizacji lasów Ziemi Zaolziańskiej, powierzonej Mu na krótko przed zgonem.

To krótkie zestawienie działalności Zmarłego niech posłuży dla przybliżonego

zdania sobie sprawy, czym była działalność ś. p. dyr. Szuberta dla Ojczyzny i dla gór polskich.

Ale nie mogę nie wspomnieć o jednej jeszcze Jego właściwości. Był to człowiek piękny ciałem i duchem.

Z radością patrzyło się na Jego postać i twarz szlachetną, na jasne i mądre oczy. Stosunek Jego do ludzi był pełen dobroci i życzliwości. Czyny Jego były stanowcze, konsekwencja w wykonaniu planów żelazna, przeprowadzenie jednak tak wytworne, że otoczenie nie przeczuwało, ile siły mieściło się w tym człowieku nazewnątrż łagodnym i spokojnym.

Żal gorący ściska serce nas wszystkich, którzy z Nim pracowaliśmy. Dla leśników polskich, tych najwierniejszych przyjaciół turystów i miłośników przyrody, niech postać ś. p. dyr. Szuberta będzie wzorem, jak żyć i pracować dla Ojczyzny!

Walery Goetel

Janina Siła-Nowicka, emerytowana pocztmistrzyni w Zawoi pod Babią Górą, zmarła w Mielcu 20 grudnia 1937 r. Ś. p. Nowicka przybyła na swój posterunek przed 41 laty i w myśl tradycji wyniesionej z domu i wskazań ojca (słynnego przyrodnika, prof. U. J. Maksymiliana Nowickiego, jednego z założycieli Tow. Tatrzańskiego i autora projektu ustawy galicyjskiej o ochronie kozicy) a także pod wpływem swego brata, słynnego poety tatrzańskiego Franciszka Nowickiego, zamieszkałego przez szereg lat w Zawoi, — stała się pionierką rozwoju podbabiogórskich letnisk, pracując usilnie nad rozbudzeniem zainteresowania dla Beskidów Wysokich i turystyki górskiej. Należała do inicjatorów i założycieli Oddziału Babiogórskiego P. T. T. (obecnego Żywieckiego).
w. mil.

Ks. dziekan Jan Rosiek, długoletni i zasłużony proboszcz w Kamienicy koło Łącka (pow. limanowski), Kawaler Złotego Krzyża Zasługi, zmarł w styczniu b. r.

Zmarły był wybitnym działaczem społecznym i pracował wiele nad podniesieniem kulturalnym letnisk i uzdrowisk swego rejonu. Interesował się bardzo możliwościami rozwojowymi zdrojowiska w Szczawie.
w. mil.

Dr Emil Carewicz, profesor II gimnazjum państwowego w Tarnowie, długoletni członek zarządu i sekretarz Oddziału P. T. T. w Tarnowie, zmarł po długiej i ciężkiej chorobie dnia 1 listopada 1938 r. w Zakopanem w wieku lat 53. W Zmarłym traci nasze Towarzystwo niezwykle czynnego i cennego działacza, który poza swą pracą zawodową i organizacyjną szczególnie umiłowal dział robót w górach, zakładał stacje noclegowe P. T. T., znakował i konserwował szlaki (jemu do zawdzięczenia mamy turystyczne szlaki znakowane, łączące Tatry i Podhale z Pieninami, szlaki w grupie Lubania, nowe szlaki w Pogórzu Rożnowskim i w okolicach Łowczówka, Ciężkowic i t. p.).
w. mil.
Cześć Jego pamięci!

OD REDAKCJI

Obecny rocznik «Wierchów» ukazuje się w druku z parotygodniowym opóźnieniem, spowodowanym koniecznością bodaj częściowego dostosowania treści tomu do wielkich wydarzeń politycznych, których widownią były nasze kresy karpackie późną jesienią 1938 roku. Następny rocznik «Wierchów» wyjdzie jednak z druku z początkiem grudnia 1939 r.

W związku z tym przyspieszonym terminem ukazania się przyszłych «Wierchów» w rękach Czytelników, ulegają przesunięciu ostateczne terminy dostarczania materiałów do druku: dla artykułów jest nim czas do dnia 15 maja, dla notatek w Kronice do dnia 30 września. Teksty nie dostarczone Redakcji w tym terminie nie będą mogły ukazać się w «Wierchach». Wobec corocznego nawału materiału redakcyjnego — uprasza zarazem Redakcja Szan. Autorów o wcześniejsze porozumienie się z nią w sprawie projektowanych dla «Wierchów» artykułów.

Większe prace nie przyjęte do druku Redakcja zwraca na żądanie. Również fotografie, zużyte czy odrzucone, o ile zostało wyrażone przy przesyłce takie życzenie.

Do Redakcji i Administracji «Wierchów» należy adresować: Centralne Biuro Polskiego Tow. Tatrzańskiego, Kraków, ul. A. Potockiego 5, I p.; telefon 172—22. Nr konta P. K. O. 406.999. Wszelkich informacji udziela dyrektor Centralnego Biura PTT, sekretarz Redakcji mgr W. Mileski.

